



**KEN
FOLLETT**
NIEBEZPIECZNA FORTUNA

KEN FOLLETT
NIEBEZPIECZNA FORTUNA
(A Dangerous Fortune)
Tłumaczenie Sławomir Kędzierski



Wydanie polskie: 2016

Wydanie oryginalne: 1993

PROLOG

W dniu, w którym zdarzyła się tragedia, uczniów szkoły Windfield ukarano zakazem opuszczania pokojów.

Była gorąca majowa niedziela i normalnie chłopcy spędzaliby popołudnie na boisku.

Niektórzy graliby w krykieta, a pozostali obserwowaliby ich z zacienionego skraju Biskupiego Lasu. Ale popełniono przestępstwo. Z biurka pana Offertona, nauczyciela łaciny, skradziono sześć złotych suwerenów i cała szkoła była podejrzana. Wszyscy chłopcy mieli pozostać w sypialniach, dopóki złodziej nie zostanie schwytany.

Micky Miranda siedział przy stole pełnym inicjałów powycinanych przez pokolenia nudzących się uczniów. W ręku trzymał rządową publikację zatytułowaną Wyposażenie piechoty. Zazwyczaj fascynowały go ryciny przedstawiające szable, muszkiety i karabiny, ale dzisiaj było mu zbyt gorąco, by mógł się skupić. Po przeciwnej stronie stołu jego kolega z pokoju, Edward Pilaster, przepisywał przetłumaczony przez Micky'ego fragment z Plutarcha. Podniósł wzrok znad ćwiczeń łacińskich i wskazując wysmarowanym atramentem palcem, stwierdził:

- Nie mogę odczytać tego słowa. Micky popatrzył.

- Ścięty, zdekapitowany - wyjaśnił. - Po łacinie tak to się właśnie nazywa: decapitare.

- Nie miał kłopotów z łaciną, być może dlatego, że wiele słów w jego ojczystym języku hiszpańskim było bardzo podobnych.

Pióro Edwarda skrzypiało. Micky wstał nerwowo i podszedł do otwartego okna. Nie czuło się najłżejszego powiewu. Tęsknie popatrzył w stronę lasu. W porzuconych kamieniołomach w północnej części Biskupiego Lasu znajdował się zacieniony stawek. Woda w nim była chłodna i głęboka...

- Chodźmy popływać - powiedział nagle.

- Zabronili nam wychodzić - odparł Edward.

- Moglibyśmy przejść przez synagogę. - Nazywali tak następny pokój, w którym mieszkało trzech żydowskich chłopców. W Windfield do spraw teologii podchodzono liberalnie i tolerowano odmienne przekonania religijne, co doceniali rodzice uczniów: Żydzi, metodyści - tacy jak rodzina Edwarda i katolicy - jak ojciec Micky'ego. Wbrew oficjalnej polityce szkoły Żydzi byli jednak w pewnym stopniu szykanowani. - Możemy wyjść przez ich okno - ciągnął Micky - zeskoczyć na dach pralni, zsunąć się po ślepym murze stajni i przemknąć do lasu.

Edward wyglądał na przerażonego.

- Jeżeli nas złapią, „tłuczek” będzie w robocie.

„Tłuczkiem” nazywano klonową laskę przełożonego szkoły, doktora Polesona. Karą za ucieczkę z kozy było dwanaście bardzo bolesnych uderzeń. Micky'ego już kiedyś spotkała chłosta za grę w karty i do tej pory wzdrygał się na samą myśl o tym.

Teraz jednak niebezpieczeństwo schwytania było niewielkie, a myśl o rozebraniu się i wskoczeniu nago do stawu - tak nęcąca, że niemal czuł chłód wody obmywającej jego spocone ciało.

Spojrzał na Edwarda. Palister nie cieszył się w szkole sympatią. Był zbyt leniwy, aby zostać dobrym uczniem, zbyt niezgrabny, aby odnosić sukcesy w grach sportowych, i zbyt samolubny, aby zdobyć sobie przyjaciół. Micky był jego jedynym kolegą i Edward nie znosił, kiedy przebywał on w towarzystwie innych chłopców.

- Spytałem Pilkingtona, czyby ze mną nie poszedł - oznajmił Miranda, podchodząc do drzwi.

- Nie, nie rób tego - zaprotestował zaniepokojony Edward.

- A to niby dlaczego? Ty się za bardzo boisz.

- Wcale się nie boję - zaprzeczył nieprzekonującym tonem Pilaster. - Muszę skończyć odrabianie łaciny.

- Więc kończ, a ja tymczasem popływam sobie z Pilkingtonem.

Edward przez chwilę patrzył na niego z taką miną, jakby chciał dalej się upierać, ale w końcu uległ.

- W porządku, pójdę - zgodził się niechętnie.

Micky otworzył drzwi. W budynku rozlegał się stłumiony pomruk głosów, ale w korytarzu nie widać było żadnego nauczyciela. Przemknął do sąsiedniego pokoju, a jego kumpel podążył za nim.

- Cześć, Hebrajczycy - powiedział.

Dwaj chłopcy grali przy stole w karty. Spojrzeli na nich, nie przerywając gry, i nie odezwali się słowem. Trzeci, „Grubasek” Greenbourne, jadł ciasto. Jego matka wciąż przysyłała mu jedzenie.

- Witajcie - odezwał się przyjaźnie. - Chcecie ciasta?

- Na rany boskie, Greenbourne, żresz jak świnia - odparł Micky. „Grubasek” wzruszył ramionami i nadal pochłaniał ciasto. Jako tłuści och i Żyd zarazem, był stałym obiektem kpin. Zdawało się to jednak nie robić na nim najmniejszego wrażenia. Mówiono, że jego ojciec jest najbogatszym człowiekiem na świecie. Może dlatego zupełnie nie reaguje na przezwiska, pomyślał Micky. Podszedł do okna, otworzył je i rozejrzał się wokoło. Podwórko było puste.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytał „Grubasek”.

- Idziemy popływać - wyjaśnił Miranda.

- Dostaniecie baty.

- Wiem - potwierdził żalonym tonem Pilaster.

Micky usiadł na parapecie, przekręcił się na brzuch, przesunął do tyłu i zeskoczył na pochyły dach pralni. Zdawało mu się, że usłyszał trzask dachówki pękającej pod jego nogą, ale dach wytrzymał ciężar. Spojrzał do góry i zobaczył zaniepokojonego Edwarda, wyglądającego przez okno.

- Chodź! - przywołał go do siebie. Zbliżył się do krawędzi i opuścił po rynnie na ziemię. W chwilę później wylądował przy nim kolega.

Micky wyrzwał ostrożnie zza rogu pralni. Nikogo nie zauważył. Bez chwili wahania przemknął przez podwórko do lasu. Biegł między drzewami tak długo, aż uznał, że nie widać go już z okien budynków szkoły. Dopiero wtedy zatrzymał się, aby odpocząć.

Edward dołączył do niego.

- Udało się! - oznajmił Miranda. - Nikt nas nie spostrzegł.

- Pewnie nas złapią, kiedy będziemy wracali - rzekł ponuro Pilaster. Micky uśmiechnął się do niego. Edward - ze swoimi prostymi jasnymi włosami, niebieskimi oczami i dużym, szerokim, płaskim nosem - miał bardzo angielski wygląd. Był wysokim chłopcem o rozrośniętych barkach, silnym, lecz z nieskoordynowanymi ruchami. Brakowało mu wycucia elegancji i ubierał się niechlujnie. Chociaż obaj byli szesnastolatkami, różnili się pod każdym względem.

Miranda - ciemnooki wyrostek, o czarnych kędzierzawych włosach - bardzo dbał o swój wygląd. Nie cierpiał, kiedy ktoś był brudny lub zaniedbany.

- Zaufaj mi, Pilaster - powiedział. - Czy nie troszczę się zawsze o ciebie? Edward uśmiechnął się, udobruchany.

- No dobrze, chodźmy.

Szli przez las niemal niewidoczną ścieżką. Pod osłoną liści wiązów i brzoź było nieco chłodniej i Micky od razu poczuł się lepiej.

- Co będziesz robił latem? - zapytał kolegę.

- Zazwyczaj jeździmy w sierpniu do Szkocji.

- Czy twoja rodzina ma tam domek myśliwski? - Miranda nauczył się już słownictwa wyższych sfer i wiedział, że „domek myśliwski” jest właściwym określeniem, nawet jeżeli dotyczy zamku z pięćdziesięcioma pokojami.

- Wynajmujemy go - odparł Edward. - Ale nie polujemy. Mój ojciec nie jest sportsmenem.

Micky usłyszał w jego głosie jakieś obronne nutki, które go zaintrygowały. Wiedział, że angielska arystokracja lubi polować na ptactwo w sierpniu i na lisy w zimie. Zdawał sobie również sprawę, że nie posyła swoich synów do tej szkoły. Ojcowie uczniów z Windfield byli raczej biznesmenami i przemysłowcami niż hrabiami i biskupami, i z pewnością nie tracili czasu na polowania i gonitwy za lisem. Pilasterowie reprezentowali bankierów i kiedy Edward oznajmił: „Mój ojciec nie jest sportsmenem”, wyznał tym samym, że jego rodzina nie należy do najwyższych kręgów społeczeństwa. Micky'emu wydawało się zabawne, że Anglicy bardziej szanują próżniaków niż ludzi pracy. W jego własnym kraju nie darzono szacunkiem ani beużytecznej szlachty, ani zapracowanych ludzi interesu. Ziomkowie Mirandy szanowali jedynie siłę. Jeżeli człowiek dysponował siłą, dzięki której mógł kontrolować innych - nakarmić ich lub zagłodzić, uwięzić lub uwolnić, zabić lub pozwolić im żyć - czegoż więcej mógł sobie życzyć?

- A co z tobą? - zapytał Edward. - Jak spędzisz lato? Micky chciał, żeby to pytanie padło.

- Tutaj - odpowiedział. - W szkole.

- Chyba nie będziesz znowu tu siedział przez całe wakacje?

- Muszę. Nie mogę pojechać do domu. Podróż trwa sześć tygodni w jedną stronę. Musiałbym wracać, zanim dotarłbym na miejsce.

- Na Boga, to przykre.

Prawdę mówiąc, Micky wcale nie miał ochoty wyjeżdżać z Anglii. Od śmierci matki nie znosił domu. Teraz mieszkali w nim sami mężczyźni - ojciec, starszy brat Paulo, paru wujów i kuzynów oraz stu czterdziestu vaqueros. Ojciec był bohaterem w oczach swoich ludzi i kimś zupełnie obcym dla niego - zimnym, nieprzystępnym, niecierpliwym człowiekiem. Ale prawdziwy problem stanowił Paulo - głupi, lecz silny, który nienawidził Micky'ego za jego spryt i z lubością go upokarzał. Nigdy nie pominął okazji, aby poinformować wszystkich, że młodszy brat nie potrafi skrepować cielaka, ujeździć konia czy odstrzelić wężowi łeb. Jego ulubionym dowcipem było płoszenie konia Micky'ego tak, aby poniósł. Chłopak zamykał wtedy oczy i śmiertelnie przerażony, trzymał się łąku siodła, podczas gdy koń pędził jak oszalały przez pampę, dopóki się nie zmęczył. Nie, Micky nie miał ochoty wracać do domu na wakacje. Ale nie uśmiechało mu się również pozostanie w szkole. Tak naprawdę pragnął, żeby zaprosiła go na lato rodzina Pilasterów.

Edward nie wysunął jednak takiej propozycji i Miranda nie wrócił do sprawy. Był przekonany, że jeszcze nadarzy się okazja. Przeszli przez rozpadający się płot i ruszyli po zboczach niskiego pagórka. Minęli jego szczyt i znaleźli się nad stawem. Ściany kamieniołomu były strome, ale zwinni chłopcy znaleźli sposób, żeby po nich zejść. Na samym dole znajdował się głęboki staw z mętną zieloną wodą, w której żyły żaby i ropuchy, a od czasu do czasu można było napotkać nawet zaskrońca. Micky ze zdziwieniem stwierdził, że jest już tam trzech innych chłopców. Zmrużył oczy, patrząc pod światło odbijające się od powierzchni wody, i przyjrzał się nagim postaciom. Wszyscy byli z czwartej klasy w Windfield. Marchewkowa strzecha włosów należała do Antonia Silvy, jego ziomka, chociaż karnacja i barwa włosów zdawały się temu przeczyć. Ojciec Tonia nie posiadał tak wielkich włosów jak rodzina Mirandów, ale jego rodzice mieszkali w stolicy i mieli wpływowych przyjaciół. Podobnie jak on, Silva nie mógł pojechać na wakacje do domu, lecz dzięki przyjaciołom w ambasadzie cordovańskiej nie musiał zostawać w szkole przez całe lato.

Drugim chłopcem był Hugh Pilaster, kuzyn Edwarda. W niczym nie byli do siebie podobni. Hugh - z czarnymi włosami i drobnymi regularnymi rysami - prawie przez cały czas uśmiechał się szelmowsko. Edward nie lubił go, bo był dobrym uczniem, a on sam wyglądał na jego tle jak rodzinny matolek.

Następnym kąpiącym się był Peter Middleton, raczej nieśmiały z natury i najczęściej trzymający się bardziej pewnego siebie Hugh'a. Wszyscy trzej mieli białe, jeszcze pozbawione owłosienia ciała i szczupłe kończyny.

Niespodziewanie Micky dostrzegł czwartego chłopaka. Pływał samotnie w drugim końcu stawu. Był starszy od pozostałej trójki i wydawało się, że jest tu na własną rękę. Miranda nie widział jego twarzy dość wyraźnie, aby móc ją rozpoznać.

Edward uśmiechał się złośliwie. Dostrzegł okazję spleatania jakiegoś niemilego figla. Przyłożył palec do ust, nakazując ciszę, i ruszył w dół ściany kamieniołomu. Micky podążył jego śladem.

Dotarli do półki, gdzie kąpiący się chłopcy złożyli ubrania. Tonio i Hugh nurkowali, badając coś pod wodą, Peter zaś pływał spokojnie tam i z powrotem. Właśnie on pierwszy dostrzegł nowo przybyłych.

- Och, nie - jęknął.

- No, no - odezwał się Edward. - Wymykacie się, chłopcy, poza teren szkoły, nieprawdaż?

W tej samej chwili Hugh Pilaster zauważył kuzyna i zawołał w odpowiedzi:

- I wy też!

- Lepiej wracajcie, zanim was złapią - powiedział Edward. Podniósł z ziemi parę spodni. - Ale nie zamoczcie ubrań, bo wszyscy się zorientują, gdzie byliście. - Mówiąc to, cisnął spodnie na sam środek stawu i zaniósł się śmiechem.

- Ty draniu! - wrzasnął Peter, chwytając pływające ubranie. Micky uśmiechnął się z rozbawieniem.

Jego kumpel podniósł but i też wrzucił go do wody.

Mniejsi chłopcy wpadli w panikę. Edward wziął następne spodnie i cisnął je przed siebie. Widok trzech ofiar wrzeszczących i nurkujących w poszukiwaniu odzieży był zabawny i Miranda zaczął się śmiać.

W czasie gdy Edward w dalszym ciągu rzucał buty i części garderoby, Hugh Pilaster wygramolił się szybko z wody. Nie uciekł jednak - jak spodziewał się Micky - lecz popędził w stronę kuzyna i zanim ten zdążył się odwrócić, pchnął go z całej siły. Chociaż Edward był o wiele potężniejszy, atak zaskoczył go.

Zachwiał się na krawędzi półki, a potem stracił równowagę i z potężnym pluskiem runął do stawu.

Wszystko rozegrało się w mgnieniu oka. Hugh schwycił swoje ubranie i sprawnie jak małpka zaczął wspinać się po ścianie kamieniołomu. Peter i Tonio zanieśli się szyderczym śmiechem.

Micky ścigał przez chwilę młodszego Pilastera, ale nie miał najmniejszych szans złapać drobniejszego i zwinniejszego chłopca. Potem odwrócił się, aby sprawdzić, co z Edwardem. Właściwie nie musiał się martwić, bo ten zdążył już wypłynąć. Teraz trzymał Petera Middletona i raz po raz zanurzał jego głowę pod wodę, mszcząc się za urągliwy śmiech. Tonio odpłynął w bok i dotarł do brzegu stawu, trzymając w objęciach przemoczone ubranie. Odwrócił się i wrzasnął:

- Puść go, ty wielka małpo!

Silva zawsze był nieobliczalny i Micky zaczął się zastanawiać, co zrobi teraz.

Chłopiec przesunął się wzdłuż brzegu, a potem ponownie odwrócił, już z kamieniami w ręce - Miranda krzyknął, chcąc ostrzec Edwarda, ale się spóźnił.

Tonio rzucił zaskakująco celnie i trafił starszego Pilastera w głowę: na jego czole pojawiła się jaskrawa plama krwi.

Edward ryknął z bólu i zostawiwszy Petera, zaczął ścigać Silwę.

Hugh pędził nago przez las w stronę szkoły, kurczowo trzymając to, co zostało z jego ubrania, i starając się nie zwracać uwagi na ból w bosych stopach.

Dotarłszy do skrzyżowania ścieżek, skręcił w lewo, przebiegł jeszcze kawałek, a potem skoczył w krzaki i ukrył się w nich.

Czekał, próbując uspokoić świszczący oddech, i nasłuchiwał. Kuzyn Edward i jego

kumpel Micky Miranda to najgorsze zwierzaki w całej szkole - lenie, źli koledzy i brutale. Jedynym wyjściem było schodzić im z drogi. Nie miał jednak złudzeń, że tym razem Edward nie puści mu tego płazem. Zawsze go nienawidził.

Ich ojcowie również byli skłóceni. Ojciec Hugh'a, Toby, wycofał kapitał z rodzinnego interesu i założył własne przedsiębiorstwo. Zajął się handlem barwnikami dla przemysłu tekstylnego. Trzynastoletni zaledwie Hugh wiedział już, że w rodzinie Pilasterów wycofanie kapitału z banku uważano za największą zbrodnię. Ojciec Edwarda, Joseph, nigdy nie wybaczył tego swojemu bratu. Hugh zastanawiał się, co się stało z jego przyjaciółmi. Kąpali się we czwórkę, zanim pojawili się Micky i Edward. Tonio, Peter i on pluskali się w jednej części stawu, a starszy chłopak, Albert Cammel, pływał samotnie w drugim końcu. Tonio - zazwyczaj odważny aż do zuchwalstwa - straszliwie bał się Micky'ego Mirandy. Pochodzili z tego samego południowoamerykańskiego państwa, Cordovy, i Silva twierdził, że rodzina Mirandów jest potężna i okrutna. Na dobrą sprawę Hugh nie wiedział, co to znaczy, ale mógł się domyślić, widząc, jak Tonio, który potrafił stawić czoło każdemu piątoklasiście, zachowuje się grzecznie, a nawet służalczo wobec Micky'ego.

Peter był prawdopodobnie przerażony do utraty zmysłów. Bał się własnego cienia.

Hugh miał nadzieję, że udało mu się uciec przed tymi draniami.

Albert Cammel, przezywany „Garbusem”, przyszedł nad staw oddzielnie i pozostawił swoje ubranie w innym miejscu. Być może zdołał się wymknąć.

Hugh co prawda zbiegł, ale to wcale nie oznaczało końca jego kłopotów. Stracił bieliznę, skarpetki i buty. Będzie musiał wślizgnąć się do szkoły w ociekającej wodą koszuli i spodniach, licząc na to, że nie zobaczy go nikt z nauczycieli i starszych uczniów. Na samą myśl o tym jęknął głośno. Dlaczego wciąż zdarza mi się coś takiego? - zadał sobie pytanie, czując się strasznie nieszczęśliwie. Wpadał w tarapaty od dnia, w którym osiemnaście miesięcy temu przyjechał do Windfield. Nauka nie sprawiała mu trudności, pracował pilnie i z egzaminów uzyskiwał zawsze najlepsze wyniki w całej klasie. Ale dokuczliwe drobiazgowo przepisy irytowały go w sposób przekraczający granice zdrowego rozsądku. Ponieważ kazano im kłaść się spać za kwadrans dziesiąta, zawsze wynajdywał przekonujący powód, aby iść do łóżka pół godziny później. Stwierdził, że pociąga go wszystko, co zakazane, i czuł nieodparte pragnienie zbadania takich miejsc jak ogród przelożonego szkoły czy piwnica na węgiel i piwo. Biegał, kiedy powinien był chodzić, czytał, gdy miał spać, i rozmawiał w czasie modlitwy. No i zawsze kończyło się tak samo. Czując się winny i przerażony, zastanawiał się, dlaczego wciąż przysparza sobie kłopotów.

W lesie od kilku minut panowała cisza. Korzystał z niej, zastanawiając się nad swoją przyszłością; nad tym, czy skończy jak wyrzutek społeczeństwa, a może nawet przestępca - zamknięty w więzieniu, zesłany do Australii albo nawet powieszony.

Wreszcie uznał, że Edward już go nie ściga. Włożył mokre spodnie i koszulę. I w tej samej chwili usłyszał, że ktoś płacze.

Ostrożnie wyjrzał zza krzaka i zobaczył strzechę rudych włosów Tonia. Jego przyjaciel szedł powoli ścieżką - nagi, mokry, z ubraniami w rękach - i łkał.

- Co się stało? - zapytał Hugh. - Gdzie jest Peter? Silva zareagował gwałtownie.

- Nigdy nie powiem! Nigdy! - zawołał. - Oni mnie zabiją.

- W porządku, nie mów - odparł Hugh. Tonio straszliwie bał się Mirandy. Cokolwiek się tam stało, nie piśnie na ten temat ani słówka. - Lepiej się ubierz - poradził mu.

Chłopiec spojrzał nieprzytomnym wzrokiem na tobolek z mokrym ubraniem, który ścisnął w ramionach. Wydawał się zbyt wstrząśnięty, aby coś z nim zrobić. Hugh wziął go od niego. Znalazł buty, spodnie i jedną skarpetkę, ale koszuli nie było.

Pomógł mu włożyć wszystko, co znalazł, i ruszyli w stronę szkoły.

Tonio przestał płakać, lecz wciąż sprawiał wrażenie głęboko poruszonego. Hugh miał nadzieję, że tamci brutalnie nie zrobili jakiejś paskudnej krzywdy Peterowi.

Teraz jednak musiał myśleć o ratowaniu własnej skóry.

- Jeżeli uda nam się przedostać do sypialni, będziemy mogli zmienić ubranie i buty - powiedział, planując przyszłe działania. - A potem, kiedy cofną nam zakaz wychodzenia ze szkoły, pójdziemy do miasta i kupimy sobie na kredyt nową garderobę u Baxteda. Tonio skinął głową.

- Dobrze - odezwał się głuchym głosem.

Kiedy szli wśród drzew, Hugh zaczął się zastanawiać, dlaczego przyjaciel jest tak głęboko wstrząśnięty. W końcu tyranizowanie nie było niczym nowym w Windfield. Co się stało nad stawem po jego ucieczce? Ale przez całą drogę powrotną Tonio nie odezwał się słowem.

Szkołę tworzył zespół sześciu budynków, które niegdyś stanowiły centralny punkt dużej farmy. Ich sypialnia mieściła się w dawnej mleczarni położonej obok kaplicy. Aby się tam dostać, należało sforsować mur i przejść przez podwórko piątej klasy. Wspięli się na ogrodzenie i wyrzeli ostrożnie. Zgodnie z przewidywaniami Hugh podwórce było puste, ale mimo to zawahał się. Myśl o „tłuczku” spadającym na jego siedzenie sprawiła, że skulił się ze strachu. Nie było jednak innego wyjścia. Musiał przedostać się do szkoły i przebrać w suchą odzież.

- Nikogo nie ma - syknął. - Ruszamy!

Przeskoczyli razem przez mur i przebiegli przez podwórko w chłodny cień kamiennej kaplicy. Jak na razie wszystko układało się pomyślnie. Potem, trzymając się blisko ściany, prześlizgnęli się wzdłuż wschodniego rogu. Czekal ich już tylko krótki bieg przez podjazd. Nikogo nie było widać.

- Teraz! - dał sygnał.

Popędzili przez drogę. Ale w chwili gdy znaleźli się przy samych drzwiach, nastąpiło nieszczęście. Rozległ się znany władczy głos:

- Pilaster Młodszy! Czy to ty? - I Hugh wiedział, że wszystko przepadło. Poczuł, jak zamiera mu serce. Zatrzymał się i odwrócił. Pan Offerton wybrał ten właśnie moment, aby wyjść z kaplicy, i teraz stał w cieniu ganku - wysoka, szczupła postać w todze i birecie ze sztywnym kwadratowym denkiem. Hugh stłumił jęk. Nie ulegało wątpliwości, że od okradzionego łacinnika nie można było spodziewać się łaski. Nie ominie ich „tłuczek”. Mięśnie jego pośladków skurczyły się odruchowo.

- Podejź, Pilaster - polecił pan Offerton.

Zbliżył się, szurając nogami, a Tonio trzymał się tuż za nim. Po co ciągle tak

ryzykuję? - pomyślał z rozpaczą.

- Do gabinetu przełożonego, natychmiast - oznajmił nauczyciel łaciny.

- Tak jest, proszę pana - odparł nieszczęśliwym tonem Hugh. Sytuacja pogarszała się coraz bardziej. Gdy przełożony zauważył, jak jest ubrany, prawdopodobnie wyrzuci go ze szkoły. Jak to wytłumaczy matce?

- Ruszaj! - ponaglił ze zniecierpliwieniem pan Offerton. Obaj chłopcy odwrócili się, a wtedy łacinnik rzucił:

- Silva, ty nie.

Hugh i Tonio wymienili zdziwione spojrzenia. Dlaczego tylko jeden z nich miał być ukarany? Nie mogli jednak dyskutować z poleceniami i Silva pobiegł do sypialni, Pilaster zaś skierował się w stronę domu przełożonego. Już czuł na skórze spadający „tłuczek”. Wiedział, że będzie płakał, i świadomość tego była nawet gorsza niż ból, ponieważ wydawało mu się, że mając trzynaście lat, jest na to zbyt dorosły.

Dom przełożonego znajdował się z drugiej strony zespołu szkolnego i Hugh szedł tam bardzo powoli. W końcu jednak, choć w jego odczuciu zdecydowanie za szybko, dotarł na miejsce i pokojówka otworzyła drzwi prawie natychmiast po dzwonku.

Doktora Polesona spotkał w holu. Przełożony był łysym mężczyzną o twarzy buldoga, ale z jakiegoś powodu nie wyglądał na tak straszliwie zagniewanego, jak można się było spodziewać. Zamiast dopytywać się, dlaczego Hugh przebywał poza swoim pokojem i jest cały mokry, po prostu otworzył drzwi do gabinetu i powiedział cicho:

- Wejź do środka, Pilaster! - Z całą pewnością oszczędzał swój gniew na chwilę chłosty. Chłopiec przekroczył próg gabinetu, słysząc łomot własnego serca.

Ze zdziwieniem zobaczył, że w środku siedzi jego matka. I co gorsza, płacze.

- Poszedłem tylko popływać! - wykrztusił.

Drzwi zamknęły się za nim i Hugh zorientował się, że przełożony nie wszedł do gabinetu. W tej samej chwili zaczął zdawać sobie sprawę, że ta sytuacja nie ma nic wspólnego ze złamaniem zakazu i pływaniem, utratą ubrania i przyłapaniem go, gdy był na wpół nagi.

Ogarniało go straszliwe przeczucie, że chodzi o coś znacznie gorszego.

- Mamo, co się stało? - zapytał. - Dlaczego przyjechałaś?

- Och, Hugh - załkała. - Twój ojciec nie żyje.

Dla Maisie Robinson sobota była najlepszym dniem tygodnia. W soboty tata dostawał wypłatę. Dziś wieczorem będzie więc mięso na kolację i świeży chleb. Razem z bratem Dannym siedziała na stopniach przed wejściem do domu, czekając na powrót ojca z pracy. Danny miał czternaście lat, był od niej dwa lata starszy, i uważała, że jest wspaniały, chociaż nie zawsze był miły.

Dom był jednym z szeregu wilgotnych, dusznych budynków w portowej dzielnicy małego miasteczka na północno - wschodnim wybrzeżu Anglii. Należał do pani MacNeil, wdowy, która zajmowała frontowe pokoje na parterze. Robinsonowie mieszkali z tyłu, a piętro wynajmowała jeszcze jedna rodzina. Kiedy pojawi się tata, pani MacNeil znajdzie się na schodach, czekając na komorne.

Maisie była głodna. Wczoraj udało się jej wyprosić u rzeźnika kilka połamanych kości, tatuś zaś kupił rzepe i zrobił gulasz. Był to ostatni jej posiłek. Ale dzisiaj jest sobota!

Starła się nie myśleć o kolacji, bo od tego brzuch bolał ją jeszcze bardziej, odezwała się więc do Danny'ego:

- Tata zaklął dzisiaj rano.
- Co takiego powiedział?
- Że pani MacNeil jest paskudniak.

Chłopiec zachichotał. Słowo oznaczało kogoś wstrętnego. Dzieci po rocznym pobycie w nowym kraju płynnie mówiły po angielsku, ale pamiętały jidysz. Ich prawdziwe nazwisko nie brzmiało Robinson, lecz Rabinowicz. Pani MacNeil nienawidziła ich od chwili, gdy zorientowała się, że są Żydami. Nigdy przedtem nie zetknęła się z żadnym Żydem i kiedy wynajmowała im pokój, myślała, że są Francuzami. W całym mieście nie było żadnego innego Żyda. Robinsonowie wcale nie zamierzali tutaj przyjeżdżać. Zapłacili za przejazd do miasta, które nazywało się Manchester i gdzie żyło wielu Żydów. Kapitan statku powiedział, że to właśnie jest Manchester, ale ich oszukał. Kiedy zorientowali się, że trafili nie tam, gdzie chcieli, tata postanowił zaoszczędzić pieniądze na przeprowadzkę do Manchesteru, ale wtedy właśnie rozchorowała się mama. Chorowała w dalszym ciągu i dlatego wciąż znajdowali się tutaj.

Tata pracował w porcie, w wielkim składzie, nad którego bramą widniały wypisane dużymi literami słowa: TOBIAS PILASTER CO. Maisie często zastanawiała się, co znaczy owo „Co”. Tata był urzędnikiem, który prowadził spisy baryłek z barwnikami, przywożonych i wywożonych z budynku. Był bardzo uważnym człowiekiem, takim, który zawsze sporządza notatki i spisy. Mama natomiast stanowiła jego przeciwieństwo i to właśnie ona chciała, aby pojechali do Anglii. Uwielbiała urządzać przyjęcia, wycieczki, poznawać nowych ludzi, ładnie się ubierać i grać w różne gry. I dlatego tata tak bardzo ją kocha, pomyślała Maisie - ponieważ była kimś, kim on nigdy się nie stanie. Ale po ożywieniu mamy nie pozostało nawet śladu. Leżała całymi dniami na starych materacach, budząc się na chwilę i znowu zasypiając. Jej spocona twarz lśniła, oddech miała gorący i cuchnący. Lekarz powiedział, że musi się wzmocnić, jeść dużo świeżych jajek, śmietany i codziennie wołowinę, Tata zapłacił mu pieniędzmi przeznaczonymi na kolację. Teraz Maisie, jedząc, za każdym razem czuła się winna, bo wydawało jej się, że zjada coś, co może ocalić życie mamy.

Maisie i Danny nauczyli się kraść. W dzień targowy szli do centrum miasta i ściągali kartofle oraz jabłka ze straganów na placu. Handlarze mieli się na baczności, ale od czasu do czasu coś odwracało ich uwagę - jakaś kłótnia o resztę, gryzące się psy albo pijak - i wtedy dzieciaki chwytaly, co wpadło im pod rękę.

Kiedy przyjało im szczęście, spotykały bogate dziecko w ich wieku. Wtedy czekały na odpowiedni moment i je napadały. Takie dzieci często nosiły w kieszeni pomarańczę albo torebkę cukierków, a także kilka pensów. Maisie bała się, że ich złapią. Wiedziała, że mama bardzo by się za nich wstydziła, ale byli przecież głodni.

Podniosła głowę i zobaczyła zbliżającą się ulicą grupkę mężczyzn. Co to znaczy?

Było zbyt wcześnie na powrót pracowników z portu. Rozmawiali ze złością, wymachując rękami i potrząsając pięściami. Gdy się zbliżyli, poznała pana Rossa, który mieszkał na piętrze i razem z tatą pracował u Pilasterów. Dlaczego nie jest w pracy? Czy ich wyrzucono? Wyglądał na bardzo zagniewanego, czyżby więc jej przypuszczenia były słuszne? Twarz miał zaczerwienioną i kłął głośno, mówiąc coś o głupich baranach, paskudnych pijawkach i kłamliwych sukinsynach. Kiedy cała grupa znalazła się przed domem, pan Ross odłączył się raptownie i tupiąc głośno, wszedł do środka. Maisie i Danny musieli szybko usunąć mu się z drogi, żeby nie oberwać podkutymi butami. Maisie ponownie podniosła wzrok i zobaczyła tatę - szczupłego mężczyznę z czarną brodą i łagodnymi piwnymi oczyma. Z pochyloną głową szedł w pewnej od innych odległości i wyglądał na tak zatroskanego i smutnego, że zachciało jej się płakać.

- Tato, co się stało?! - zawołała. - Dlaczego jesteś wcześniej w domu?

- Wejźmy do środka - odparł tak cicho, że ledwo go usłyszała.

Dzieci ruszyły za nim, kierując się na tył domu. Ukląkł przy materacu i pocałował mamę w usta. Obudziła się i uśmiechnęła do niego. Nie odpowiedział jej tym samym.

- Firma upadła - oznajmił w jidysz. - Toby Pilaster zbankrutował.

Maisie nie była pewna, co to znaczy, ale z tonu głosu ojca domyślała się, że spotkało ich jakieś nieszczęście. Zerknęła na Danny'ego, który wzruszył ramionami. Również nie zrozumiał. - Ale dlaczego? - zapytała mama.

- Nastąpił krach finansowy - wyjaśnił tata. - Wczoraj w Londynie upadł wielki bank.

Mama zmarszczyła czoło, usiłując się skupić.

- Ale nie jesteśmy w Londynie, cóż nas to obchodzi?

- Nie znam szczegółów.

- A więc nie masz pracy?

- Ani pracy, ani pieniędzy.

- Dzisiaj mieliście otrzymać wypłatę. Tata schylił głowę.

- Nie zapłacili nam.

Maisie ponownie spojrzała na Danny'ego. To potrafiła zrozumieć. Brak pieniędzy oznaczał, że nie będzie jedzenia dla nikogo z nich. Brat sprawiał wrażenie przerażonego, jej chciało się płakać.

- Muszą ci zapłacić - szepnęła mama. - Przecież pracowałeś cały tydzień i powini dać ci pensję!

- Nie mają pieniędzy - odparł ojciec. - Przecież na tym właśnie polega bankructwo, że jesteś winien ludziom pieniądze, lecz nie możesz im zapłacić.

- Zawsze mówiłeś, że pan Pilaster jest dobrym człowiekiem.

- Toby Pilaster nie żyje. Powiesił się ubiegłej nocy w swoim biurze w Londynie. Miał syna w wieku Danny'ego.

- Ale jak nakarmimy nasze dzieci?

- Nie wiem - rzekł i Maisie z przerażeniem zobaczyła, że tata płacze. - Bardzo mi przykro, Saro - wykrztusił, a łzy spływały mu na brodę. - Przywiozłem was do tego

straszego miejsca, w którym nie ma żadnego Żyda i nikt nie może nam pomóc.

Nie mogę zapłacić lekarzowi, nie mogę kupić lekarstw, nie mogę nakarmić naszych dzieci. Zawiodłem was. Przepraszam cię, przepraszam... - Pochylił się i położył głowę na piersiach mamy. Zaczęła go głaskać po włosach drżącą ręką. Maisie była wstrząśnięta. Tata nigdy nie płakał. Wyglądało na to, że sytuacja jest beznadziejna. Być może teraz wszyscy umrą.

Danny wstał, popatrzył na nią i gestem głowy wskazał jej drzwi. Na palcach wyszli z pokoju. Maisie usiadła na stopniach przed wejściem i rozszlochała się głośno.

- Co teraz zrobimy? - zapytała.

- Musimy uciec - odparł Danny.

Jego słowa sprawiły, że poczuła chłód w piersi.

- Nie możemy - odparła.

- Musimy. Nie ma jedzenia. Jeżeli zostaniemy, zginiemy.

Maisie nie przejmowała się tym, że może umrzeć, ale przyszło jej do głowy coś innego. Mama z całą pewnością zagłodzi się na śmierć, byle tylko ich nakarmić. Żeby ją ocalić, muszą odejść.

- Masz rację - powiedziała do brata. - Jeśli sobie pójdziemy, może tacie uda się znaleźć dla mamy dosyć jedzenia. Musimy uciec dla jej dobra.

Kiedy usłyszała własne słowa, ze zdziwieniem zaczęła zastanawiać się nad losem swojej rodziny. Ich obecna sytuacja była nawet gorsza niż w dniu, w którym opuścili Wiski, a domy wioski wciąż jeszcze płonęły za ich plecami. Wsiedli później do zimnego pociągu, ze wszystkimi swoimi rzeczami, które zmieściły się w płóciennych workach. Wtedy była przekonana, że bez względu na to, co się zdarzy, tata się o nich zatroszczy. Teraz musiała sama o siebie zadbać.

- Dokąd pójdziemy? - zapytała po chwili szeptem. - Ja płynę do Ameryki.

- Do Ameryki? Jak?

- W porcie stoi statek, który z porannym odpływem wyrusza do Bostonu. Dziś w nocy wejść po linie i ukryć się w łodzi na pokładzie.

- Będiesz pasażerem na gapę! - stwierdziła z lękiem i podziwem w głosie.

- Tak jest.

Popatrzyła na brata i po raz pierwszy zobaczyła cień wąsików rysujący się nad jego górną wargą. Stawał się mężczyzną i pewnego dnia będzie miał gęstą czarną brodę jak tata.

- Ile czasu będziesz płynął do Ameryki?

Zawahał się z głupią miną i odparł:

- Nie wiem.

Zrozumiała, że nie jest przewidziana w jego planach, i poczuła się przerażona i nieszczęśliwa.

- A więc nie jedziemy razem - rzekła ze smutkiem. Spojrzał na nią wzrokiem winowajcy, ale nie zaprzeczył.

- Powiem ci, co powinnaś zrobić - oznajmił. - Idź do Newcastle. Dojdiesz tam w

ciągu jakichś czterech dni. To wielkie miasto, większe niż Gdańsk, nikt tam nie zwróci na ciebie uwagi. Obetnij włosy, ukradnij spodnie i udawaj chłopaka. A potem znajdź jakieś duże stajnie i zacznij pomagać przy koniach - zawsze dobrze sobie z mmi radziłaś. Jeżeli im się spodobaś, będziesz dostawała napiwki i po jakimś czasie może ci dadzą jakąś pracę.

Maisie nie mogła sobie wyobrazić, że znajdzie się całkowicie sama.

- Wolalabym pojechać z tobą - szepnęła.

- Nie możesz. Będę miał wystarczająco dużo kłopotów, żeby się schować na statku, kraść jedzenie i tak dalej. Nie mógłbym się tobą zaopiekować.

- Nie musiałbyś. Będę cicho jak myszka.

- Niepokoiłbym się o ciebie.

- A nie będziesz się niepokoił, zostawiając mnie zupełnie samą?

- Musimy teraz sami zatroszczyć się o siebie! - oznajmił ze złością. Znaczyło to, że Danny podjął już decyzję. Nigdy nie potrafiła go przekonać, kiedy już raz coś postanowił. Z obawą w sercu spytała:

- Kiedy wyruszamy? Rano? Pokręcił głową.

- Natychmiast. Muszę wejść na statek, jak tylko się ściemni.

- Naprawdę tak uważasz?

- Tak. - I jakby chcąc to udowodnić, wstał. Również podniosła się ze schodów.

- Czy powinniśmy coś wziąć ze sobą?

- Co?

Wzruszyła ramionami. Nie miała ubrania na zmianę, żadnych pamiątek, niczego własnego. Nie było też jedzenia ani pieniędzy, które mogliby zabrać ze sobą.

- Chciałabym pocałować mamę na pożegnanie - powiedziała.

- Nie! - rzucił ostro Danny. - Jeżeli to zrobisz, zostaniesz.

Miał rację. Gdyby zobaczyła teraz mamę, załamałaby się i wszystko wyznała. Przełknęła ślinę.

- Dobrze - odparła, powstrzymując łzy. - Jestem gotowa. Odeszli razem.

Kiedy dotarli do końca ulicy, zapragnęła odwrócić się i po raz ostatni spojrzeć na dom, ale obawiała się, że może zmienić decyzję, że to osłabi jej postanowienie. Szła więc dalej, ani razu nie spojrzawszy za siebie.

Wycinek z „Timesa”:

CHARAKTER ANGIELSKIEGO UCZNIĄ. - Zastępca koronera w Ashton, pan H.S. Wasbrough przeprowadził dziś w hotelu „Station” w Windfield oględziny ciała trzynastoletniego ucznia, Petera Jamesa St. John Middletona. W trakcie rozprawy poinformowano, że chłopiec pływał w stawie w opuszczonych kamieniołomach znajdujących się w pobliżu szkoły Windfield. Nagle dwaj jego starsi koledzy spostrzegli, że znalazł się w kłopotach. Jeden z nich, Miguel Miranda, obywatel Cordovy, zeznał, że jego towarzysz, szesnastoletni Edward

Pilaster, zdjął ubranie i skoczył do wody, próbując uratować młodszego kolegę, jednakże bez powodzenia. Przełożony szkoły w Windfield, doktor Herbert Poleson, oświadczył, że uczniom zakazano zbliżać się do kamieniołomów, ale zdawał sobie sprawę, iż polecenia tego nie zawsze przestrzegano. Sąd orzekł przypadkową śmierć przez utonięcie. Zastępca koronera zwrócił uwagę na osobistą odwagę Edwarda Pilastera, który podjął próbę uratowania życia przyjaciela. Wyraził też pogląd, że charakter angielskiego ucznia, kształtowany przez takie instytucje jak szkoła w Windfield, jest czymś, z czego słusznie możemy być dumni.

Micky Miranda był zafascynowany matką Edwarda.

Augusta Pilaster była wysoką, postawną kobietą po trzydziestce. Miała czarne włosy i brwi, dumną twarz z wysokimi kośćmi policzkowymi, prostym, ostrym nosem i silnie zarysowanym podbródkiem. Właściwie nie była ładna i z całą pewnością nie można ją było określić jako piękną, ale ta wyniosła kobieta w jakiś sposób wydawała się ogromnie fascynująca. Na rozprawę włożyła czarną suknię i czarny kapelusz, co przydawało jej wyglądowi dramatyzmu. Jednocześnie Micky był głęboko przekonany, że oficjalny strój krył pod sobą zmysłowe ciało, a jej arogancki, władczy sposób bycia maskował niezwykle namiętną naturę. Nie mógł oderwać od niej oczu.

Obok Augusty siedział jej mąż Joseph, ojciec Edwarda, brzydki czterdziestoletni mężczyzna o wiecznie skwaszonej minie, z takim samym dużym, szerokim i sterczącym nosem jak u syna, takimi samymi jasnymi, rzędnącymi włosami i porastającymi policzki krzaczastymi bokobrodami, które miały zapewne rekompensować łysinę. Micky zastanawiał się, dlaczego tak wspaniała kobieta wyszła za takiego człowieka. Był bardzo bogaty i pewnie o to chodziło. Wracali do szkoły powozem wynajętym w hotelu „Station”: państwo Pilasterowie, Edward i Micky oraz przełożony szkoły, doktor Poleson. Micky'ego bawiło obserwowanie, jak przełożony niemal ściele się u nóg Augusty Pilaster. Stary Pole pytał, czy rozprawa ją zmęczyła, czy powóz jest dla niej wystarczająco wygodny, nakazywał woźnicy, aby jechał wolniej, i pod koniec podróży wyskoczył po to tylko, aby przeżyć dreszcz przytrzymania jej ręki, gdy wysiadała. Jego buldogowate oblicze nigdy nie było aż tak ożywione.

Rozprawa przebiegła dobrze. Micky, opowiadając uzgodnioną z Edwardem historię, zrobił najbardziej szczerą i wzbudzającą zaufanie minę, ale w głębi duszy był przerażony. Ci świętoszkowaci Brytyjczycy są bardzo bezwzględni, jeśli chodzi o mówienie prawdy, gdyby więc przyłapano go na kłamstwie, miałby poważne kłopoty. Ale sąd był tak oczarowany bohaterką postacią uczniów, że nikt nie starał się podważać jego zeznań. Zdenerwowany Edward ledwo wyjąkał swoje oświadczenie, koroner uznał, że chłopak jest ogromnie rozstrojony faktem, iż nie zdołał ocalić Peterowi życia. Stwierdził stanowczo, że nie powinien z tego powodu czuć się winny.

Żadnego innego chłopca nie wezwano na rozprawę. Hugh wyjechał ze szkoły w dniu wypadku z powodu śmierci ojca. Tonia nie poproszono o zeznania, gdyż nikt nie

wiedział, że był świadkiem utonięcia - Micky strachem zmusił go do milczenia.

Inny świadek, nieznanый chłopak, który pływał w dalszej części stawu, nie ujawnił się.

Rodzice Petera Middletona byli pogrążeni w zbyt wielkim smutku, aby przybyć na rozprawę. Przysłali swojego adwokata, starego człowieka o sennych oczach, którego jedynym pragnieniem było załatwić całą sprawę jak najszybciej. Starszy brat Petera, David, był jednak obecny i bardzo żywo zareagował, gdy adwokat nie raczył zadać pytań Micky'emu i Edwardowi, ale Miranda z ulgą zauważył, że starsuszek zlekceważył przekazywane szeptem protesty. Micky był mu wdzięczny za to lenistwo. Sam przygotował się na krzyżowy ogień pytań, ale Edward mógł się załamać, gdyby zaczęto podawać w wątpliwość jego zeznania.

W zakurczonym saloniku przełożonego pani Pilaster objęła syna i pocałowała ranę na jego czole.

- Moje biedne dziecko - westchnęła. Micky i Edward nie powiedzieli nikomu o Toniu i kamieniu, ponieważ musieliby wyjaśnić, jak to się stało. Wytłumaczyli, że Edward uderzył się w głowę, nurkując w poszukiwaniu Petera.

Gdy pito herbatę, Micky ujrzał zupełnie nowe oblicze kolegi. Jego matka, siedząc przy nim na sofie, bez przerwy go głaskała i nazywała Teddym. Edward jednak nie był tym zakłopotany, jak większość chłopców w podobnej sytuacji. Raczej odwrotnie - nie ukrywał, że pieszczoty sprawiają mu przyjemność, i przez cały czas na jego ustach błąkał się triumfujący uśmieszek, którego Miranda nigdy dotąd u niego nie widziała. Ma bzika na jego punkcie, pomyślał Micky, a jemu najwyraźniej się to podoba. Po kilkuminutowej pogawędce pani Pilaster wstała nagle, zaskakując tym mężczyzn, którzy również poderwali się błyskawicznie.

- Jestem pewna, że ma pan ochotę zapalić, doktorze Poleson - powiedziała i nie czekając na odpowiedź, stwierdziła: - Pan Pilaster przespaceruje się z panem po ogrodzie i wypali cygaro. Teddy, kochanie, idź razem z ojcem. Chciałabym spędzić kilka minut w ciszy kaplicy. Być może Micky zechce mnie tam zaprowadzić?

- Ależ oczywiście, z całą pewnością, oczywiście - wyjąkał przełożony, niezgrabnie pragnąc spełnić tę serię poleceń. - Ruszaj, Miranda. Micky był oszołomiony. Bez najmniejszego wysiłku zmusiła wszystkich do spełnienia jej życzeń! Przytrzymał przed panią Pilaster drzwi i poszedł za nią. W holu zapytał uprzejmie:

- Czy życzy pani sobie parasol, pani Pilaster? Słońce jest dosyć ostre.

- Nie, dziękuję ci.

Wyszli na zewnątrz. Wokół domu przełożonego kręciło się wielu chłopców. Micky domyślał się, że rozeszła się już wieść o oszałamiającej matce Pilastera i wszyscy przyszli tu, aby chociaż zerknąć na nią. Ucieszony, że może jej towarzyszyć, przeprowadził ją przez podwórza i dziedzińce do kaplicy szkolnej.

- Czy zaczekać na panią przed wejściem? - zapytał.

- Wejdz do środka. Chcę z tobą porozmawiać.

Poczuł zdenerwowanie. Przyjemność towarzyszenia wspaniałej, dojrzałej kobiecie w czasie spaceru po terenie szkoły zniknęła powoli. Zaczął się zastanawiać, dlaczego życzy

sobie rozmawiać z nim na osobności.

Kaplica była pusta. Usiadła w tylnej ławce i poprosiła, aby usiadł obok niej. Spojrzała mu prosto w oczy i rozkazała:

- A teraz powiedz mi prawdę!

Zauważyła, że na twarzy chłopca przez ułamek sekundy odmalowały się lęk i zdziwienie. Nie myliła się zatem. Szybko się jednak opanował.

- Przecież już ją powiedziałem. Pokręciła głową.

- Nie. Uśmiechnął się.

Jego uśmiech zaskoczył ją. Przyłapała go na kłamstwie, wiedziała, że chłopak musi się bronić, a jednak zdołał się do niej uśmiechnąć. Niewielu ludzi potrafiło oprzeć się sile jej woli. Ten chłopiec, mimo młodego wieku, zdaje się wyjątkiem.

- Ile masz lat? - zapytała.

- Szesnaście.

Przyglądała mu się uważnie. Był wręcz nieprzyzwoicie przystojny, co szczególnie podkreślały jego kędzierzawe ciemnokasztanowe włosy i gładka skóra, chociaż w wyglądzie ciężkich powiek i pełnych warg można było dostrzec jakiś cień dekadencji. Sposobem trzymania głowy i urodą przypominał jej nieco hrabiego Stranga... Z lekkim poczuciem winy odsunęła od siebie tę myśl.

- Peter Middleton nie był w niebezpieczeństwie, kiedy przyszliście nad staw - oznajmiła. - Pływał sobie bez żadnych kłopotów.

- Na jakiej podstawie tak pani twierdzi? - zapytał spokojnie.

Czuła, że jest przestraszony, ale zachowywał zimną krew. Rzeczywiście, sprawiał wrażenie niezwykle dojrzałego młodzieńca. Przekonała się, że musi w większym stopniu, niż zamierzała, odkryć swoje karty.

- Zapominasz, że był tam Hugh Pilaster - wyjaśniła. - Jest moim kuzynem. Zapewne słyszałeś, że jego ojciec odebrał sobie życie w ubiegłym tygodniu i dlatego Hugh był dziś nieobecny. Ale rozmawiał z matką, która jest moją szwagierką.

- I co powiedział? Augusta zmarszczyła brwi.

- Ze Edward wrzucił ubranie Petera do wody - wyznała niechętnie. Na dobrą sprawę nie mogła zrozumieć, dlaczego Teddy zrobił coś takiego.

- A potem?

Uśmiechnęła się. Ten chłopak zaczął przejmować inicjatywę w rozmowie. Zadawał jej pytania, chociaż to ona zamierzała go wypytywać.

- Po prostu powiedz mi, co się naprawdę wydarzyło. Skinął głową.

- Bardzo proszę.

Augusta poczuła ulgę, ale zarazem niepokój. Chciała znać prawdę, lecz obawiała się tego, co może usłyszeć. Biedny Teddy, niewiele brakowało, a umarłby w niemowlęctwie, ponieważ z jej mlekiem było coś nie w porządku. O mało nie zszedł z tego świata, zanim lekarze zorientowali się, na czym polega problem, i zaproponowali przyjęcie mamki. Od tej pory wciąż był taki wrażliwy, wciąż potrzebował jej szczególnej opieki. Gdyby to od niej zależało, wcale nie poszedłby do szkoły z

internatem, lecz jego ojciec był pod tym względem nieustępliwy... Znowu zwróciła uwagę na Micky ego.

- Edward nie chciał zrobić nic złego - zaczął chłopak. - Po prostu się wygłupiał.

Dla śmiechu wrzucił do wody również ubrania innych chłopców.

Augusta skinęła głową. To, że chłopcy dokuczają sobie nawzajem, jest przecież całkowicie zrozumiałe. Biedny Teddy sam na pewno musiał znosić podobne żarty.

- I wtedy Hugh wepchnął Edwarda do wody.

- Ten mały Hugh zawsze sprawiał kłopoty - stwierdziła. - Jest dokładnie taki sam jak jego nieszczęsny ojciec. - I pewnie równie źle skończy, pomyślała.

- Inni chłopcy zaczęli się śmiać i wtedy Edward zanurzył głowę Petera pod wodę, żeby dać mu nauczkę. Hugh uciekł, a Tonio rzucił kamieniem.

Augusta była wstrząśnięta.

- Ależ Edward mógł zostać ogłuszony i utonąć!

- Nic mu się jednak nie stało i zaczął gonić Tonia. Przyglądałem im się i nikt nie zwracał uwagi na Petera Middletona. W końcu Tonio zdołał uciec Edwardowi. I dopiero wtedy zauważyliśmy, że Peter się nie odzywa. Naprawdę nie wiemy, co mu się stało. Może się zmęczył, kiedy Edward go przytapiał, i był za bardzo wyczerpany, żeby wyjść ze stawu. W każdym razie pływał twarzą w dół. Wyciągnęliśmy go natychmiast, ale było już za późno.

Trudno dopatrzeć się w tym winy Edwarda, uznała Augusta. Chłopcy zawsze są wobec siebie okrutni. Z drugiej jednak strony była szczęśliwa, że cała ta historia nie wyszła na jaw w czasie rozprawy. Dzięki Bogu, Micky ochronił Edwarda.

- A co z innymi chłopcami? - spytała. - Musieli wiedzieć, co się stało.

- Na szczęście Hugh tego samego dnia opuścił szkołę.

- A ten drugi, chyba nazywał się go Tonio?

- Antonio Silva. W skrócie Tonio. Proszę się nim nie przejmować. Pochodzi z mojego kraju. Zrobi tak, jak mu każę.

- Skąd możesz być tego pewien?

- Wie, że jeżeli sprawi mi kłopoty, jego rodzina ucierpi z tego powodu. W głosie chłopca zabrzmiało coś niepokojącego i Augusta zadrżała.

- Może przyniosę pani szal? - zapytał z troską. Pokręciła przecząco głową.

- Inni chłopcy nie widzieli, co się stało? Micky zmarszczył czoło.

- Gdy przyszedliśmy, w stawie pływał jeszcze jeden chłopak.

- Kto taki? Wzruszył ramionami.

- Nie mogłem dostrzec jego twarzy. Nie przypuszczałem, że może to mieć jakieś znaczenie.

- Czy zorientował się, co zaszło?

- Nie wiem. Nie mam pojęcia, kiedy odszedł.

- Ale kiedy wyciągnęliście ciało z wody, jego już nie było?

- Tak.

- Bardzo chciałabym wiedzieć, kto to taki - oznajmiła z niepokojem Augusta.
- Może nawet nie był ze szkoły - zasugerował Micky. - Mógł tam przyjść z miasta.

W każdym razie nie zgłosił się na świadka i sędzę, że nie jest dla nas groźny. „Nie jest dla nas groźny”. Auguście zaświtała myślenie, że ten chłopak wciągnął ją w coś nieuczciwego, może nawet przestępczego. Taka sytuacja zupełnie jej się nie podobała. Wplątała się w nią nieświadomie i teraz znalazła się w potrzasku. Spojrzała na niego ostro i powiedziała:

- Czego chcesz?

Po raz pierwszy udało jej się zaskoczyć Micky'ego. Z oszołomioną miną zapytał:

- O co pani chodzi?

- Ochroniłeś dziś mojego syna. Popełniłeś krzywoprzysięstwo. - Spostrzegła, że jej bezpośredniość wytrąciła go z równowagi, i sprawiło jej to przyjemność. Znowu panowała nad sytuacją. - Nie wierze, że podjąłeś takie ryzyko z dobrego serca. Mam wrażenie, że oczekujesz czegoś w zamian. Może więc po prostu powiedziałbyś, o co ci chodzi? - Zauważyła, że jego spojrzenie na moment zatrzymało się na jej piersiach, i przez jedną szaloną chwilę wydawało jej się, że chłopak zamierza zrobić nieprzyzwoitą propozycję. On jednak oznajmił:

- Chciałbym spędzić z państwem lato. Nie spodziewała się tego.
- Dlaczego?

- Mój dom jest oddalony o sześć tygodni drogi. Musiałbym zostać na wakacje w szkole. Nie cierpię tego - jestem tu samotny i się nudzę. Pragnąłbym na pani zaproszenie spędzić wakacje z Edwardem.

Nagle znowu był uczniem. Myślała, że poprosi o pieniądze albo o pracę w Banku Pilasterów. A to życzenie sprawiało wrażenie drobnej dziecięcej zachcianki. Ale, jak widać, dla niego nie takiej znowu drobnej. W końcu, pomyślała, przecież ten chłopak ma zaledwie szesnaście lat.

- Bardzo proszę, możesz spędzić z nami lato - odparła.

Myśl o tym nie sprawiła jej przykrości. Na swój sposób był niezwykle młodzińcem, w dodatku przystojnym i z doskonałymi manierami - na pewno swoim zachowaniem nie przyniesie im wstydu. A może wywrzeć dobry wpływ na Edwarda. Jeżeli Teddy w ogóle miał jakąś wadę, było nią pewne nieorganizowanie. Micky natomiast stanowił jego przeciwieństwo. A nuż trochę jego siły woli przejdzie na jej syna?

Micky uśmiechnął się, błyskając białymi zębami.

- Dziękuję - rzekł. Wydawał się szczerze uradowany.

Zapragnęła pobyć przez chwilę sama i przemyśleć wszystko, co usłyszała.

- Możesz teraz odejść - powiedziała. - Sama trafię do domu przełożonego. Chłopak wstał z ławki.

- Jestem bardzo wdzięczny - oznajmił i wyciągnął rękę. Ucisnęła ją.

- Ja również jestem ci wdzięczna za to, że ochroniłeś Teddy'ego. Pochylił się, jakby chciał ucałować jej dłoń, i nagle, ku jej zaskoczeniu, pocałował ją w usta. Wszystko

odbyło się tak szybko, że nie zdążyła się odwrócić.

Starła się jakoś zaprotestować, wyprostowała się, ale żadne słowa nie przychodziły jej do głowy. W chwilę później Micky już zniknął. Oburzające! Przecież w ogóle nie powinien jej całować, a co dopiero w usta! Za kogo on się uważa? Jej pierwszą myślą było odwołanie zaproszenia na wakacje. Ale nie mogła tego zrobić.

Dlaczego? - zadała sobie pytanie. Dlaczego nie może anulować zaproszenia jakiegoś zwykłego uczniaka? Zachował się arogancko i nie powinien znaleźć się w jej domu.

Lecz myśl o złamaniu obietnicy sprawiła, że poczuła się niepewnie. Uświadomiła sobie, iż problem nie polega jedynie na tym, że Micky ocalił Teddy'ego przed hańbą. Teraz sprawa wyglądała o wiele gorzej. Tą rozmową weszła z nim w przestępczy spisek, skazując się wobec niego na nieprzyjemną bezbronność.

Długo siedziała w chłodnej kaplicy, patrząc na białe ściany i zastanawiając się z niepokojem, w jaki sposób ten sprytny, mądry chłopak wykorzysta swoją władzę.

CZEŚĆ PIERWSZA

1873

Rozdział pierwszy - Maj

Gdy Micky Miranda miał dwadzieścia trzy lata, jego ojciec przyjechał do Londynu, żeby kupić karabiny.

Señor Carlos Raul Xavier Miranda, zawsze nazywany przez Micky'ego Tata, był niskim mężczyzną o potężnych barach. Bruzdy zmarszczek na jego opalanej twarzy świadczyły o agresywnym i brutalnym charakterze. W skórzanych osłonach nóg, szerokoskrzydłym kapeluszu i na grzbiecie gniadego ogiera mógł sprawiać wrażenie władczego, ale pełnego wdzięku człowieka, tu jednak, w Hyde Parku, ubrany w surdut i cylinder czuł się idiotycznie, wskutek czego wpadł w niebezpiecznie zły humor.

W niczym nie byli do siebie podobni. Micky - wysoki i szczupły, o regularnych rysach - wszystko, na czym mu zależało, zdobywał uśmiechem, nie zaś marszczeniem brwi. Był niezwykle przywiązany do wytwornych atrybutów londyńskiego życia - pięknych ubrań, eleganckich manier, batystowych prześcieradeł i skanalizowanych mieszkań. Najbardziej obawiał się, że Tata zechce zabrać go z powrotem do Cordovy. Nie mógł znieść myśli o dniach spędzanych w siodle i spaniu na twardej ziemi. Jeszcze gorsza była perspektywa znalezienia się we władzy starszego brata Paula, który stanowił dokładną kopię ojca. Być może Micky któregoś dnia powróci do domu, ale stanie się tak dopiero wówczas, gdy będzie już ważną osobistością, dyktującą swoje własne prawa, nie zaś tylko młodszym synem Taty Mirandy. Tymczasem jednak musiał przekonać ojca, że będzie bardziej przydatny w Londynie niż w domu, w Cordovie. Słonecznym sobotnim popołudniem szli wzdłuż South Carriage Drive. Park był pełen korzystających z ciepłej pogody eleganckich londyńczyków, poruszających się pieszo, konno lub w otwartych powozach. Ale Tata wcale nie był zadowolony.

- Muszę mieć te karabiny! - mruczał do siebie po hiszpańsku. Powtórzył już to zdanie dwukrotnie.

Micky odpowiedział mu niepewnie w tym samym języku:

- Mógłbyś je kupić w kraju.

- Dwa tysiące? - odparł ojciec. - Być może mógłbym. Ale wszyscy od razu dowiedzieliby się o tak dużym zakupie.

A więc chciał utrzymać wszystko w tajemnicy. Micky nie miał pojęcia, o co mu chodzi. Należność za dwa tysiące karabinów i amunicję do nich prawdopodobnie pochłonięłaby wszystkie rodzinne rezerwy gotówki. Po co ojcu nagle potrzebna taka ilość broni? W Cordovie nie było wojny od czasów legendarnego Marszu Kowbojów,

gdy Tata poprowadził swoich ludzi przez Andy, aby wyzwolić prowincję Santamaria spod hiszpańskiego panowania. Na co mu teraz te karabiny? Wszyscy kowboje Taty, krewni, dzierżawcy i pieczeniarze razem wzięci stanowili niecały tysiąc ludzi. Ojciec musiał więc planować i wynajęcie dodatkowej siły. Z kim mieliby walczyć? Miranda starszy nie raczył się z nim podzielić tą informacją, a Micky bał się zapytać. Zamiast tego powiedział:

- Niewątpliwie nie można u nas w kraju dostać broni tak wysokiej jakości.

- To prawda - zgodził się ojciec. - Karabiny Westleya - Richardsa są najlepsze, jakie w życiu widziałem.

Tata mógł liczyć na jego pomoc w wyborze broni. Micky zawsze fascynował się uzbrojeniem i był doskonale zorientowany w najnowszych osiągnięciach technicznych w tej dziedzinie. Carlos Miranda potrzebował karabinów o krótkich lufach, odpowiednich dla ludzi na koniach. Syn zabrał go więc do fabryki w Birmingham i pokazał odtylcowy karabin Westleya - Richardsa nazywany „małpim ogonem” z powodu charakterystycznie wygiętej dźwigni przeładowania.

- I bardzo szybko je produkują - poinformował.

- Spodziewałem się, że będę musiał czekać na nie co najmniej sześć miesięcy. Ale oni mogą je zrobić w ciągu kilku dni!

- To dzięki amerykańskim maszynom - wyjaśnił Micky.

W dawnych czasach, kiedy wyrobem strzelb zajmował się kowal, który dopasowywał części metodą prób i błędów, produkcja dwóch tysięcy karabinów rzeczywiście zajęłaby aż pół roku. Ale współczesne maszyny były tak precyzyjne, że części jednego karabinu pasowały do każdego innego egzemplarza tego samego wzoru i dobrze wyposażona fabryka mogła dziennie wytwarzać setki identycznych sztuk broni.

- No, no, maszyna, która robi dwieście tysięcy nabojów dziennie! - Ojciec z podziwem pokręcił głową. Zaraz jednak jego nastrój znów się zmienił i oznajmił posępnie: - Ale jak mogą żądać zapłaty za karabiny przed ich dostarczeniem? Nie miał pojęcia o międzynarodowym handlu. Przypuszczał, że producent dostarczy mu broń do Cordovy i dopiero tam odbierze za nią należność. A tymczasem żądano od niego pieniędzy już teraz, zanim broń opuści fabrykę w Birmingham.

Carlos Miranda niechętnie myślał o wysłaniu baryłek ze srebrnymi monetami przez Ocean Atlantycki. A co gorsza, nie mógł przekazać całego rodzinnego majątku, dopóki karabiny nie znajdą się bezpiecznie na miejscu.

- Rozwiążemy ten problem, Tato - oświadczył uspokajającym tonem Micky. - Po to właśnie są banki handlowe.

- Powtórz mi wszystko jeszcze raz - polecił ojciec. - Chcę się upewnić, że wszystko dobrze rozumiem.

Micky był zadowolony, że może coś Tacie wyjaśnić.

- Bank zapłaci producentowi w Birmingham. Dzięki temu karabiny zostaną wysłane do Cordovy i ubezpieczone na czas podróży. Kiedy dotrą na miejsce, bank przyjmie od ciebie płatność w swoim oddziale w kraju.

- Ale wtedy będą musieli wysłać srebro do Anglii.
- Niekoniecznie. Mogą nim zapłacić za ładunek solonej wołowiny wysyłanej z Cordovy do Londynu.
- Jak na tym zarabiają?
- Mają we wszystkim swój procent. Zapłacą producentowi po cenach hurtowych, wezmą prowizję za przewóz oraz ubezpieczenie i każą ci dopłacić za broń.

Miranda senior skinął głową. Usiłował nie dać po sobie poznać, że jest pod wrażeniem, i Micky'emu sprawiło to wyraźną przyjemność.

Wyszli z parku i skierowali się wzdłuż Kensington Gore do domu Josepha i Augusty Pilasterów.

Przez wszystkie siedem lat od chwili utonięcia Petera Middletona, Micky spędzał z Pilasterami każde wakacje. Po ukończeniu szkoły przez rok podróżował z Edwardem po Europie, a później mieszkał z nim w jednym pokoju w ciągu trzech lat spędzonych wspólnie na uniwersytecie w Oksfordzie. Tam również pili, grali i urządzali awantury, udając tylko, że studiują.

Micky nigdy już nie pocałował Augusty, chociaż bardzo tego pragnął. Myślał zresztą o czymś więcej niż tylko o pocałunkach. I miał wrażenie, że mogłaby na to pozwolić. Był pewien, że pod pokrywą lodowatej wyniosłości kryło się gorące serce namiętnej kobiety. Ale roztropność kazała mu trzymać żądze na wodzy. W końcu zdobył coś bezcennego - jedna z najbogatszych rodzin w Anglii traktowała go jak syna i byłoby szaleństwem narażać tę wymarzoną pozycję, uwodząc panią domu. Mimo wszystko jednak nie przestawał o tym myśleć.

Niedawno rodzice Edwarda przenieśli się do nowego domu. Południową stronę Kensington Gore, niegdyś wiejskiej drogi prowadzącej przez pola z Mayfair do wsi Kensington, obecnie zabudowano wspaniałymi domami. Od północy ulica przylegała do Hyde Parku i ogrodów pałacu Kensington. Było to znakomite miejsce do zamieszkania dla bogatych ludzi interesu.

Micky nie miał natomiast takiej pewności co do architektury budynku. Z całą pewnością dom był niezwykły. Zbudowany z czerwonej cegły i białego kamienia, w oknach na parterze i pierwszym piętrze miał wielkie witraże. Nad pierwszą kondygnacją wznosił się potężny tympanon, w którego trójkątnym obrysie umieszczono trzy szeregi okien - sześć, cztery i dwa w szczycie. Na tym poziomie znajdowały się zapewne sypialnie dla niezliczonych krewnych, gości i służących. Na każdym stopniu schodkowych boków tympanonu tkwiły kamienne zwierzęta - lwy, smoki i małpy. Na samym zaś szczycie widniał statek pod pełnymi żaglami. Być może wyobrażał on ów pierwszy statek do przewozu niewolników, który według rodzinnej legendy stanowił podwaliny fortuny Pilasterów.

- Nie wiem, czy w całym Londynie jest drugi taki dom - oznajmił Micky, kiedy stanęli wraz z ojcem przed jego frontonem.

- Niewątpliwie tego właśnie pragnęła jego właścicielka - odparł ojciec po hiszpańsku.

Micky skinął głową. Tata jeszcze nie zetknął się z Augustą, a już potrafił właściwie ją ocenić.

Budynek miał również rozległe sutereny. Mostek, przerzucony nad czymś w rodzaju fosy, prowadził do wejściowego ganku. Drzwi były otwarte i obaj weszli do środka.

Augusta urządzała przyjęcie, popołudniową herbatkę, aby pochwalić się nową rezydencją. Wyłożony dębową boazerią hol był pełen gości i służby. Micky i Tato oddali kapelusze lokajowi, a następnie przecisnęli się przez tłum do obszernego salonu mieszczącego się z tyłu budynku. Okna balkonowe pootwierano i część gości przeniosła się na wyłożony kamiennymi płytami taras i do ogrodu.

Micky specjalnie wybrał taką okazję na przedstawienie swojego ojca, ponieważ manieri Taty nie zawsze odpowiadały londyńskim standardom i wołał, żeby Pilasterowie zapoznawali się z nim stopniowo. Nawet jak na cordovańskie zwyczaje, zanadto ignorował towarzyskie uprzejmości i oprowadzanie go po Londynie przypominało spacer z lwem na smyczy. Uparł się na przykład, aby przez cały czas mieć ukryty pod surdudem pistolet.

Micky nie musiał wskazywać mu Augusty.

Stała pośrodku pokoju spowita w jedwabną suknię koloru królewskiego błękitu, z kwadratowym, głębokim dekoltem odsłaniającym wspaniałe wypukłości jej piersi.

Gdy Carlos Miranda uściśnął jej rękę, spojrzała na niego swymi hipnotyzującymi ciemnymi oczyma i powiedziała niskim, aksamitnym głosem:

- Señor Miranda, jakże mi miło wreszcie pana poznać. Natychmiast oczarowała Tatę. Pochylił się nisko nad jej dłonią.

- Nigdy nie zdołam odwzajemnić się za pani dobroć dla Miguela - odparł niepewną angielszczyzną.

Micky przyglądał się jej, gdy rzucała urok na jego ojca. Niewiele zmieniła się od tamtego pocałunku w kaplicy szkoły Windfield. Jedna czy dwie zmarszczki wokół oczu nadawały jej jeszcze bardziej fascynujący wygląd, srebrne pasemka we włosach podkreślały kruczą czerń całej reszty. I jeżeli nawet nieco przytyła, była dzięki temu jeszcze bardziej zmysłowa.

- Micky często opowiadał mi o pańskim wspaniałym ranczu - mówiła właśnie do Taty.

- Musi pani kiedyś do nas przyjechać i je zobaczyć - oznajmił, zniżając głos. Boże uchwaj, pomyślał Micky. Augusta w Cordovie byłaby równie nie na miejscu jak flaming w kopalni węgla.

- Może kiedyś - rzekła. - Czy to daleko?

- Nowym, szybkim statkiem zaledwie miesiąc.

Micky zauważył, że ojciec wciąż trzyma ją za rękę. I jego głos stał się niewyraźny. Już był pod jej urokiem i Miranda junior poczuł ukłucie zazdrości. Jeżeli ktokolwiek miałby z nią flirtować, to raczej on, nie Tata.

- Słyszałam, że Cordova jest pięknym krajem - powiedziała pani Pilaster. Chłopak modlił się, aby ojciec nie zrobił nic niestosownego. Przecież potrafił być czarujący, jeśli chciał, a teraz odgrywał przed Augustą rolę romantycznego południowoamerykańskiego granda.

- Zapewniam panią, że powitamy ją jak królową - oświadczył stłumionym głosem.

Teraz było już oczywiste, że się do niej zaleca.

Ale trafiła kosa na kamień.

- Cóż za niezwykle kusząca propozycja - odparła z bezwstydną nieszczerością, która zupełnie nie dotarła do ojca Micky'ego. Jednocześnie uwolniła swoją dłoń i zawołała, patrząc nad jego ramieniem: - Och, kapitanie Tillotson, jakże miło, że pan przyszedł! - Po czym odwróciła się, aby przywitać nowo przybyłego gościa. Miranda senior był niepokieszony. Dopiero po chwili zdołał się opanować i rzucił ostro:

- Zaprowadź mnie do prezesa banku.

- Oczywiście - zapewnił nerwowo Micky. Rozejrzał się, szukając wzrokiem Setha. Zgromadził się tu cały klan Pilasterów, w tym niezamężne ciotki, bratankowie i bratanice, szwagrowie i szwagierki oraz rozmaici kuzyni i kuzynki. Rozpoznał paru członków parlamentu i trochę pośledniejszej arystokracji. Widząc szczupłą, wyprostowaną postać Bena Greenbourne'a, prezesa Banku Greenbourne'ów, doszedł do wniosku, że większość gości jest ludźmi interesu i zarazem rywalami. Ben był ojcem Solomona, chłopca, którego Micky znał jako „Grubaska” Greenbourne'a.

Stracili ze sobą kontakt po ukończeniu szkoły, „Grubasek” bowiem nie studiował na uniwersytecie ani nie podróżował po Europie, ale włączył się od razu do interesów rodzinnych.

Arystokracja uważała rozmowę o pieniądzach za coś wulgarnego, ale ci ludzie nie mieli takich zahamowań. Micky wciąż słyszał słowo „kryzys”. W gazetach często używano określenia „krach”, ponieważ zjawisko to rozpoczęło się w Austrii.

Według Edwarda, który od niedawna pracował w rodzinnym banku, ceny akcji spadały, a bankowa stopa procentowa rosła. Niektórzy byli zaniepokojeni, lecz Pilasterowie uważali, że w Londynie nie może się zdarzyć coś takiego jak w Wiedniu.

Micky wyprowadził ojca przez drzwi balkonowe na wyłożony płytami taras, gdzie w cieniu pasiastych markiz ustawiono drewniane ławki. Tam właśnie odnaleźli starego Setha, który mimo gorącej letniej pogody siedział z nogami okrytymi kocem. Cierpiał na jakąś nieokreśloną chorobę i wyglądał niezwykle krucho, ale charakterystyczny wielki nos Pilasterów wciąż jeszcze nadawał mu majestatyczny wygląd.

Jakaś dama pochylała się nad nim, mówiąc:

- Jaka szkoda, że nie czuł się pan dość dobrze, aby być na królewskim levee, panie Pilaster!

Micky mógłby ją uprzedzić, że jest to zupełnie niewłaściwy temat do rozmowy z Pilasterem.

- Wręcz przeciwnie, cieszyłem się z tej wymówki - burknął Seth. - Nie rozumiem, dlaczego powinienem kłaniać się ludziom, którzy przez całe życie nie zarobili na pensa.

- Ale księżę Walii... to przecież taki zaszczyt!

Seth nie był w nastroju do dyskusji - właściwie bardzo rzadko kiedy był - więc i teraz odpowiedział ostro:

- Młoda damo, nazwisko Pilasterów jest gwarancją uczciwego prowadzenia interesów w częściach świata, gdzie nawet nie słyszano o księciu Walii.

- Ależ panie Pilaster, pańskie słowa brzmią tak, jakby odnosił się pan z dezaprobatą

do rodziny królewskiej! - oburzyła się kobieta, ze wszystkich sił starając się jednak zachować żartobliwy ton.

Seth nie żartował od siedemdziesięciu lat.

- Odnoszę się z dezaprobatą do nieróbstwa - odparł. - Biblia powiada: „Jeśli kto nie chce robić, niech też nie je”. Napisał tak święty Paweł w Drugim liście do Tesaloniczan, w rozdziale trzecim, wersie dziesiątym i wyraźnie pominął milczeniem fakt, że rodziny królewskie są wyjątkiem od tej zasady. Kobieta wycofała się, zmieszana. Kryjąc uśmiech Micky odezwał się:

- Panie Pilaster, czy mógłbym panu przedstawić mojego ojca, Carlosa Mirandę, który przybył tu z Cordovy z wizytą?

Seth uściskał dłoń starego Mirandy.

- Z Cordovy, tak? Mój bank ma swój oddział w waszej stolicy, w Palmie.

- Nieczęsto odwiedzam stolicę - rzekł Tata. - Mam ranczo w prowincji Santamaria.

- A więc pański interes to wołowina?

- Tak.

- Niech pan inwestuje w chłodnictwo. Tata był wyraźnie zdezorientowany.

- Ktoś wynalazł maszynę do trzymania mięsa w chłodzie - wyjaśnił Micky. - Jeżeli znajdą sposób zamontowania ich na statkach, będziemy mogli wysyłać wołowinę na cały świat, nie zasalając jej. Ojciec zmarszczył brwi.

- Bardzo niedobry dla nas wynalazek. Mam wielkie zakłady solenia mięsa.

- Niech je pan zburzy - poradził Seth. - I inwestuje w przemysł chłodniczy. Carlos nie lubił, kiedy ktoś mu mówił, co ma robić, i Micky poczuł niepokój. Kątem oka spostrzegł Edwarda.

- Tato, chciałbym ci przedstawić mojego najlepszego przyjaciela - oznajmił. Udało mu się odciągnąć ojca od Setna. - Oto Edward Pilaster.

Starszy Miranda zlustrował młodego człowieka spokojnym wzrokiem. Przyjaciela Micky'ego nie był przystojny. Wdał się w ojca, nie w matkę, i wyglądał jak zdrowy, muskularny wiejski chłopak o jasnej karnacji. Nocne eskapady i morze wypitego wina nie zostawiły na nim znaku - w każdym razie jeszcze nie zostawiły.

Tata uściskał mu rękę i powiedział:

- Jesteście przyjaciółmi od wielu lat.

- Serdecznymi kumplami - potwierdził Edward.

Miranda senior nie zrozumiał tego zwrotu i zmarszczył brwi.

- Czy możemy przez chwilę porozmawiać o interesach? - zapytał Micky. Zeszli z tarasu na niedawno położony trawnik. Boczne rabatki dopiero co obsadzono i widać jeszcze było świeżo skopaną ziemię i niewielkie krzewy.

- Tata dokonuje tu dużych zakupów i musi zorganizować przewóz oraz finanse - wyjaśnił Micky. - Może to być pierwszy drobny interes, jaki załatwisz dla rodzinnego banku.

Edwarda propozycja ta wyraźnie zaintrygowała.

- Pomogę wam z przyjemnością - odparł i zwrócił się do starszego Mirandy. - Czy

zechciałby pan przyjść jutro rano do banku, abyśmy mogli dopełnić niezbędnych formalności?

- Przyjdę - odparł Tata.

- Wyjaśnij mi coś - odezwał się Micky. - Co będzie, jeżeli statek zatonie? Kto straci - my czy bank?

- Nikt - stwierdził Edward pełnym zadowolenia tonem. - Ładunek będzie ubezpieczony u Lloyda. Po prostu odbierzemy pieniądze za ubezpieczenie i prześlemy wam nową partię. Nie płacie, dopóki nie otrzymacie swojego towaru. A skoro już o tym mowa, co zamierzacie przewieźć?

- Karabiny.

Twarz Edwarda spochmurniała.

- Och, w takim razie nie mogę wam pomóc. Micky był zaskoczony.

- Dlaczego?

- Ze względu na starego Seta. Przecież wiesz, że jest metodystą. No cóż, cała rodzina należy do kościoła metodystów, ale on jest o wiele pobożniejszy od pozostałych. W każdym razie nie będzie finansował handlu bronią, a ponieważ jest Starszym Partnerem, określa politykę banku.

- Niech to diabli! - zaklął Micky. Zerknął z lękiem na ojca. Na szczęście Tata nie zrozumiał rozmowy. Micky poczuł, że ścisza go w dołku. Przecież jego planu nie może zniweczyć coś tak głupiego jak przekonania religijne Seta! - Ten przeklęty stary jest już właściwie martwy, po co więc się wtrąca?

- Wkrótce ma się wycofać - poinformował go Edward. - Ale jak sądzę, zastąpi go wuj Samuel, a on, jak wiesz, jest taki sam.

Coraz gorzej. Samuel był niezonatym synem Seta, miał pięćdziesiąt trzy lata i cieszył się doskonałym zdrowiem.

- Będziemy zatem musieli zwrócić się do innego banku handlowego - oznajmił Micky.

- Niewątpliwie to najprostsze rozwiązanie, biorąc pod uwagę, że będziesz musiał przedstawić kilka wiarygodnych referencji finansowych - stwierdził przyjaciel.

- Referencji? Po co?

- No cóż, bank zawsze liczy się z ryzykiem, że kontrahent wycofa się z umowy, pozostawiając go z ładunkiem niechcianych towarów znajdującym się w odległej części świata. Po prostu potrzebuje poświadczenia, że klient jest wiarygodnym biznesmenem.

Edward nie uświadamiał sobie, że w Ameryce Południowej pojęcie wiarygodnego biznesmena po prostu nie istnieje. Tata był caudillo, wielkim latyfundystą, właścicielem setek tysięcy akrów pampy, dla którego pracowali liczni vaqueros, stanowiący zarazem jego prywatną armię. Dysponował władzą w zakresie, jakiego Wielka Brytania nie znała od średniowiecza.

To, o czym mówił Edward, miało dokładnie tyle sensu, co pytanie o referencje Wilhelma Zdobywcy. Micky starał się nie dać nic po sobie poznać.

- Niewątpliwie zdołamy przedstawić coś takiego - oznajmił. W gruncie rzeczy

znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Jeśli jednak zamierzał pozostać w Londynie, musiał doprowadzić do zrealizowania tej transakcji.

Odwrócili się i ruszyli spacerowym krokiem w stronę tarasu. Micky usiłował ukryć dręczący go niepokój. Tata na razie nie zdawał sobie sprawy, że zetknęli się z bardzo poważnym problemem, ale prędzej czy później Micky będzie musiał wszystko mu wyjaśnić i wtedy zaczną się kłopoty. Ojciec nie przyjmował przeszkód z wyrozumiałością, a jego gniew był przerażający. Na tarasie pojawiła się Augusta i zwróciła się do Edwarda:

- Znajdź mi Hasteada, Teddy, kochanie. - Hastead był jej korpulentnym walijskim kamerdynerem. - Nie ma już lemoniady, a ten wstrętny człowiek gdzieś zniknął. - Edward ruszył spełnić polecenie, jego matka zaś obdarzyła Tatę ciepłym, serdecznym uśmiechem. - Czy dobrze się pan czuje na naszym małym spotkaniu towarzyskim, señor Miranda?

- Doskonale, bardzo dziękuję - odparł.

- Musi pan wypić herbatę albo szklaneczkę lemoniady.

Micky wiedział, że Tata wolałby tequilę, ale na herbatkach urządanych przez metodystów nie podawano napojów alkoholowych.

Augusta spojrzała na niego. Zawsze potrafiła szybko wyczuć nastrój rozmówcy.

- Widzę, że niezbyt dobrze się bawisz, Micky. Co się stało? - zapytała. Bez wahania podzielił się z nią swoim kłopotem.

- Miałem nadzieję, że Tata pomoże Edwardowi załatwić w banku nowy interes, ale dotyczy on karabinów i amunicji i właśnie dowiedzieliśmy się, że wuj Seth nie zechce finansować handlu bronią.

- Seth wkrótce przestanie być Starszym Partnerem - stwierdziła. - Ale Samuel reprezentuje takie same poglądy jak jego ojciec.

- Rzeczywiście? - oznajmiła wyniośle Augusta. - A któż powiedział, że właśnie Samuel zostanie Starszym Partnerem?

Hugh Pilaster założył nowy jasnobłękitny krawat ascot, z nieco wypchanym węzłem tuż pod samą krawędzią kołnierzyka. Właściwie powinien być w nowym garniturze, ale zarabiał tylko sześćdziesiąt osiem funtów rocznie i musiał ożywić stare ubranie nowym krawatem. Ascot był ostatnim krzykiem mody, a jasny błękit dość zuchwałym kolorem. Kiedy jednak spostrzegł swoje odbicie w wielkim lustrze nad kominkiem w salonie ciotki Augusty, stwierdził, że błękitny krawat i czarny surdut zupełnie nieźle podkreślają jego niebieskie oczy i czarne włosy. Miał nadzieję, że ascot nada mu intrygująco zuchwały wygląd. Być może tak właśnie pomyśli Florence Stalworthy. Zaczął przejawiać zainteresowanie ubraniami od chwili, gdy ją spotkał. Mieszkał u ciotki Augusty i właściwie był biedny, co stanowiło nieco krępującą sytuację. Tradycja Banku Pilasterów nakazywała jednak płacić pracownikom tylko tyle, ile byli warci, bez względu na to, czy są członkami rodziny, czy też nie. Inny uświęcony tradycją zwyczaj wymagał, by wszyscy zaczynali od najniższych szczebli. Hugh był w szkole najlepszym uczniem i zapewne zostałby prymusem, gdyby tak często nie wpadał w rozmaite kłopoty. Jednakże jego wykształcenie nie bardzo się w banku liczyło i w związku z tym wykonywał obowiązki praktykanta - otrzymując pensję odpowiednią do swojego

stanowiska. Stryjostwo nigdy nie zaproponowali mu pomocy finansowej i dlatego musieli się pogodzić z jego nieco podniszczoną garderobą.

Oczywiście, niezbyt go obchodziła ich opinia o jego wyglądzie. Ważne było natomiast zdanie Florence Stalworthy - bladej, ładnej dziewczyny, córki hrabiego Stalworthy'ego. Najważniejsze jednak, że interesowała się nim, Hughiem Pilasterem. Prawdę mówiąc, mogła go zafascynować każda dziewczyna, która zechciałaby z nim porozmawiać. Martwił się tym, uważając, że jego uczucia są płytkie, nic jednak nie mógł na to poradzić. Gdy dziewczyna przypadkiem go dotknęła, czuł suchość w ustach. Nurtowała go ciekawość, jak wyglądają jej nogi pod warstwami sukien i halek. Niekiedy pożądanie paliło go jak rana. Miał dwadzieścia lat, a uczucia te dręczyły go od chwili, gdy skończył piętnaście. Przez ostatnie pięć lat nie pocałował nikogo oprócz własnej matki. Herbatka u ciotki Augusty stanowiła dla niego wyrafinowaną torturę. Jak na każdym przyjęciu, wszyscy starali się być uprzejmi, znaleźć tematy do rozmów i okazać wzajemne zainteresowanie. Dziewczęta wyglądały czarująco, uśmiechały się i niekiedy dyskretnie flirtowały. Tak wiele osób zgromadziło się w tym domu, że nie do uniknięcia była sytuacja, w której jakaś dziewczyna nie otarłaby się o Hugh'a, nie zderzyła z nim, nie dotknęła go ramieniem, a nawet, przeciskając się w tłoku, nie przywarła piersiami do jego pleców. W rezultacie czekał go tydzień bezsennych nocy.

Oczywiście, wiele z obecnych tu osób było jego krewnymi. Jego ojciec, Tobias, i ojciec Edwarda, Joseph, byli braćmi. Ale ojciec wycofał swój kapitał z rodzinnego interesu, założył własną firmę, zbankrutował i popełnił samobójstwo. Dlatego właśnie Hugh musiał opuścić drogą szkołę z internatem w Windfield i zostać dochodzącym uczniem w Folkestońskiej Akademii dla Synów Dżentelmenów. Dlatego też zaczął pracować w wieku dziewiętnastu lat, zamiast udać się na wycieczkę po Europie i stracić kilka lat na uniwersytecie. Z tego również powodu mieszkał u ciotki i nie miał nowego ubrania na przyjęcie. Był krewnym, ale biednym. Kłopotliwym dodatkiem do rodziny, której duma, pewność siebie i stanowisko towarzyskie opierały się na bogactwie.

Nikom z krewnych nigdy nie przyszłoby do głowy ofiarować mu pieniądze. Bieda była karą za złe rozumienie interesów i nikt nie uważał za konieczne pomagać ludziom, którym się nie powiodło, ponieważ zgodnie z panującą opinią, źle wpływałoby to na inicjatywę i przedsiębiorczość. Sugestię wspomżenia bankruta skwitowano by jednym zdaniem: „Równie dobrze można by rozdawać więźniom puchowe kołdry”.

Fakt, że jego ojciec stał się ofiarą kryzysu finansowego, w niczym nie zmieniał sytuacji. Tobias Pilaster poniósł klęskę jedenastego maja tysiąc osiemset sześćdziesiątego szóstego roku, w dniu, który bankierzy nazwali Czarnym Piątkiem.

Wtedy biuro maklerskie Overend Gurney Ltd zbankrutowało ze stratą pięciu milionów funtów, pociągając za sobą wiele przedsiębiorstw, a wśród nich London Joint Stock Bank, spółkę budowlaną sir Samuela Peto oraz spółkę Tobias Pilaster Co. Ale według filozofii życiowej Pilasterów w interesach nie było taryfy ulgowej. Kryzys finansowy istniał również teraz i bez wątpienia, zanim się zakończy, upadną ze dwie firmy. Jednakże Pilasterowie zabezpieczali się przezornie, odsiewając co słabszych klientów, ograniczając kredyty i bezlitośnie odrzucając wszystkie nowe propozycje oprócz absolutnie bezpiecznych. No cóż, pomyślał Hugh. Ja również jestem Pilasterem. Może nie mam ich nosa, ale wiem, na czym polega działanie w samoobronie. Niekiedy

czuł wzbierającą w sercu wściekłość, gdy rozmyślał o tym, co spotkało jego ojca. W takich momentach odczuwał jeszcze silniejsze pragnienie, aby stać się najbogatszym i najbardziej szanowanym członkiem tej przeklętej rodziny. Jego tania szkoła dała mu znajomość przydatnej arytmetyki i innych podobnych nauk, kiedy w tym samym czasie jego bogaty brat stryjeczny Edward zmagał się z łaciną i greką, fakt zaś, że nie uczęszczał na uniwersytet, pozwolił mu wcześniej wystartować w interesach.

Nigdy nie czuł pokusy, aby wybrać inną drogę życiową, stać się malarzem, członkiem parlamentu czy duchownym. Finanse miał we krwi. Zawsze mógł błyskawicznie podać aktualną stopę dyskontową. Postanowił, że nigdy nie będzie tak zarozumiały i tak zakłamanym jak jego starsi krewni, ale mimo wszystko zamierzał zostać bankierem.

Nie myślał jednak na ten temat zbyt często. Większość czasu poświęcał marzeniom o dziewczętach.

Wyszedł z salonu na taras i spostrzegł ciotkę Augustę, która zmierzała ku niemu, holując za sobą dziewczynę.

- Drogi Hughu - oznajmiła - oto twoja przyjaciółka, panna Bodwin. Jęknął w duchu. Rachel Bodwin była wysoką intelektualistką o radykalnych poglądach. Nie można jej było uznać za ładną - miała matowe brązowe włosy i jasne, dość blisko osadzone oczy, ale również żywy temperament, ciekawą i pełną buntowniczych pomysłów osobowość. Hugh bardzo ją polubił, kiedy przyjechał do Londynu, aby pracować w banku. Ale Augusta postanowiła, że powinien się z Rachel ożenić, i to popsuło ich wzajemne stosunki. Przedtem zaciekle i swobodnie sprzeczali się na temat rozwodów, religii, nędzy i prawa wyborczego dla kobiet. Od kiedy jednak ciotka rozpoczęła swoje działania, które miały ich zbliżyć, podczas spotkań po prostu stali i prowadzili niezgrabną, pustą konwersację.

- Jakże cudownie pani wygląda, panno Bodwin - powiedział automatycznie.

- Jest pan niezwykle uprzejmy - odparła znudzonym głosem. Augusta odwracała się właśnie, gdy spostrzegła jego krawat.

- Wielkie nieba! - zawołała. - A cóż to takiego?! Wyglądasz jak oberżysta! Hugh zaczerwienił się jak burak. Gdyby mógł wymyślić jakąś ostrą replikę, może by zaryzykował i spróbował się odciąć, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Zdołał jedynie wymamrotać:

- To nowy krawat. Nazywa się ascot.

- Powinieneś go oddać pucybutowi! - rzuciła i odeszła.

Hugh z nienawiścią pomyślał o losie, który zmusił go do mieszkania u despotycznej ciotki.

- Kobiety nie powinny wypowiadać się w sprawie męskich ubrań - oznajmił markotnie. - To nie przystoi damom.

- A ja uważam, że mają prawo wypowiadać się na każdy interesujący je temat - rzekła Rachel. - Dlatego mogę powiedzieć, że podoba mi się twój krawat i dobrze pasuje do twoich oczu.

Uśmiechnął się do niej i poczuł o wiele lepiej. Jest naprawdę bardzo miła, uznał.

Jednakże to nie dlatego Augusta chciała go z nią ożenić. Rachel była córką prawnika specjalizującego się w sporządzaniu umów handlowych. Jej rodzina nie dysponowała żadnym kapitałem oprócz dochodu z praktyki zawodowej ojca i na drabinie społecznej sytuowała się kilka szczebli poniżej Pilasterów. Na dobrą sprawę Bodwinowie nie zostaliby w ogóle zaproszeni na przyjęcie, gdyby pan Bodwin nie wykonywał pożytecznych prac dla banku. Hugh, żeniąc się z Rachel, potwierdziłby tylko, że jest gorszą odmianą Pilasterów. I o to właśnie chodziło Augustynie.

Chociaż sama myśl o oświadczeniach wcale nie była mu przykra. Ciotka wspominała o hojnym prezencie ślubnym, gdyby ożenił się zgodnie z jej wyborem. Ale jego kusił nie prezent, lecz perspektywa, że co noc kładłby się do łóżka z kobietą i podwijał jej nocną koszulę - za kostki, kolana, uda...

- Nie patrz tak na mnie - rzuciła złośliwie Rachel. - Powiedziałam tylko, że podoba mi się twój krawat.

Hugh zaczerwienił się ponownie. Chyba nie odgadła, co mu przyszło do głowy? Jego myśli o dziewczynach były tak bardzo fizyczne, cielesne, że najczęściej bardzo się ich wstydził.

- Przepraszam - wymamrotał.

- Cóż za ludzie z tych Pilasterów - oznajmiła żywo, rozglądając się wokoło. - Jak dajesz sobie radę z nimi wszystkimi?

On również się rozejrzał i zobaczył wchodzącą Florence Stalworthy. Wyglądała wyjątkowo ładnie. Jej jasne loki opadały na delikatne ramiona, miała na sobie wykończoną koronkami i jedwabnymi wstążkami różową suknię i kapelusz ze strusimi piórami. Zauważyła jego spojrzenie i uśmiechnęła się.

- Widzę, że straciłam już twoje zainteresowanie - rzekła z charakterystyczną dla niej bezpośredniością Rachel.

- Najmocniej przepraszam - odparł Hugh. Dziewczyna dotknęła jego ramienia.

- Hugh, mój drogi, posłuchaj mnie przez chwilę. Lubię cię. Jesteś jednym z niewielu przedstawicieli londyńskiego towarzystwa, który nie jest niewymownie nudny. Ale nie kocham cię i nie wyjdę za ciebie, bez względu na wysiłki twojej ciotki .

Był zaskoczony.

- Ależ... - zaczął.

Rachel jednak jeszcze nie skończyła.

- A ponieważ wiem, że żywisz do mnie takie same uczucia, bardzo cię proszę, nie udawaj, iż masz złamane serce.

Po chwili pewnego oszołomienia Hugh uśmiechnął się. To właśnie w niej lubił. Musiał przyznać jej rację - sympatia nie oznaczała miłości. Nie był pewien, czym w ogóle jest miłość, ale ona zdawała się wiedzieć.

- Czy to znaczy, że możemy wrócić do naszych sprzeczek na temat sufrażystek? - zapytał wesoło.

- Tak, ale nie dzisiaj. Zamierzam właśnie porozmawiać z twoim dawnym kolegą szkolnym, señorem Mirandą.

Hugh zmarszczył brwi.

- Micky nie potrafi wymówić słowa „sufrażystka”, a cóż dopiero wyjaśnić ci jego znaczenie.

- Mimo wszystko połowa londyńskich debiutantek mdleje na jego widok.

- Nie potrafię zrozumieć dlaczego.

- Bo jest męską Florence Stalworthy - odparła i odeszła.

Zmarszczył brwi, zastanawiając się nad jej słowami. Micky wiedział, że Hugh jest ubogim krewnym, i traktował go odpowiednio do jego pozycji, trudno więc było zdobyć się w tej sprawie na obiektywizm. Miranda był towarzyski i zawsze wspaniale ubrany. Przypominał zmysłowego kota o lśniącym, gładkim futrze. Może przesadnie dbał o swój wygląd i dlatego mężczyźni zarzucali mu, że jest nie dość męski, ale kobietom zupełnie to nie przeszkadzało.

Hugh patrzył w ślad za Rachel, przechodzącą przez pokój do miejsca, w którym stał Micky ze swoim ojcem i rozmawiał z siostrą Edwarda Clementine, ciotką Madeleine i młodą ciotką Beatrice. Kiedy podeszła do nich, odwrócił się, uściśnął jej dłoń i powiedział coś, co spowodowało, że się roześmiała. Micky zawsze rozmawiał z trzema lub czterema kobietami naraz.

Hughowi nie spodobały się słowa Rachel, że Florence jest odpowiednikiem Mirandy.

Owszem, pomyślał, jest atrakcyjna i również cieszy się popularnością, ale Micky jest w jakiś sposób podły.

Przecisnął się do Florence, czując podniecenie i zdenerwowanie zarazem.

- Lady Florence, jak się pani miewa? Uśmiechnęła się promiennie.

- Cóż za niezwykły dom!

- Podoba ci się?

- Nie jestem pewna.

- Tak samo mówi większość ludzi.

Roześmiała się, jakby powiedział coś szczególnie zabawnego, i poczuł się zadowolony.

- Wiesz, jest bardzo nowoczesny. Znajduje się w nim pięć łazienek! A wielki kociół w suterenie ogrzewa cały dom za pomocą rur z gorącą wodą.

- Ale ten kamienny okręt na szczycie dachu to już chyba przesada.

- Też tak sędzę - przytaknęła Hugh szeptem. - Przypomina mi krowią głowę przed sklepem rzeźnika.

Znowu zachichotała. Cieszył się, że udało mu się ją rozśmieszyć. Doszedł do wniosku, że będzie przyjemniej, jeżeli wyprowadzi ją z tego tłumu.

- Chodźmy obejrzyć ogród - zaproponował.

- Doskonale.

Ogród wcale nie był wspaniały, ponieważ zasadzono go dopiero niedawno, ale nie miało to żadnego znaczenia. Wyprowadził Florence z salonu na taras, tam jednak zatrzymała go Augusta, która spojrzała na niego z dezaprobatą i oznajmiła:

- Lady Florence, jak to miło z pani strony, że zechciała pani przyjść. Edward pokaże pani ogród. - Schwyciła stojącego w pobliżu syna i wypchnęła ich oboje, zanim Hugh

zdołał wykrztusić słowo. Zacisnął z gniewem zęby i przysiągł, że nie pozwoli jej postawić na swoim. - Hugh, kochanie, wiem, że chciałeś porozmawiać z Rachel - zwróciła się ku niemu. Wzięła go za ramię i wprowadziła z powrotem do środka. Nie mógł nic uczynić, najwyżej wyrwać rękę i urządzić scenę. Rachel stała z Mickyem i jego ojcem. - Micky, chciałabym, żeby twój ojciec poznał mojego szwagra, pana Samuela Pilastera. - Zabrała obu Mirandów, pozostawiając Hugh'a i Rachel znowu razem.

- Nie sposób jej się przeciwstawić - roześmiała się dziewczyna.

- To tak, jakby próbować zatrzymać rozpędzony pociąg - rzucił ze złością Hugh. Przez okno widział suknię Florence przesuwającą się obok Edwarda po ścieżkach ogrodu.

Rachel spojrzała w tym samym kierunku i doradziła mu:

- Idź za nią. Uśmiechnął się.

- Dziękuję.

Szybkim krokiem ruszył przez ogród. Kiedy zbliżał się do nich, przysłała mu do głowy przewrotna myśl. A może postąpić tak jak ciotka i odciągnąć Edwarda od Florence? Augusta będzie wściekła, kiedy się o tym dowie, ale warto się narazić na jej gniew dla kilku minut spędzonych sam na sam z Florence. Do diabła z tym, pomyślał.

- Och, Edwardzie - powiedział. - Twoja matka prosiła, abym cię do niej przysłał.

Jest w holu.

Edward nie podawał w wątpliwość jego słów, był przyzwyczajony do nagłych zmian zdania matki.

- Proszę mi wybaczyć, lady Florence - rzekł i się oddalił.

- Rzeczywiście przysłała cię po niego? - zapytała Florence.

- Nie.

- Ależ jesteś niegrzeczny! - stwierdziła z uśmiechem. Popatrzył w jej oczy, kąpiąc się w promieniach jej aprobaty.

Trzeba będzie za to później zapłacić, ale zgodziłby się wycierpieć nawet więcej za jeden taki uśmiech.

- Chodźmy obejrzeć sad - zaproponował.

Tata Miranda rozbawił Augustę. Cóż za przysadzisty wieśniak! Tak bardzo się różni od swojego zgrabnego, eleganckiego syna. Augusta bardzo lubiła Mickyego i Mirandę. W jego towarzystwie zawsze czuła się bardziej kobieco, mimo jego młodego wieku. Niekiedy spoglądał na nią w taki sposób, jakby była najbardziej godnym pożądanym obiektem na świecie. Nieraz pragnęła, aby nie tylko patrzył. Oczywiście, było to szalone pragnienie, ale mimo wszystko ogarniało ją od czasu do czasu. Zaniepokoiła ją rozmowa na temat Setha. Micky wspomniawszy, że gdy stary Seth umrze albo się wycofa, Starszym Partnerem w Banku Pilasterów zostanie jego syn, Samuel.

Z pewnością nie mówił tego, opierając się na własnych domysłach, musiał usłyszeć coś w rodzinie. Tymczasem ona wcale nie chciała, aby władzę przejął Samuel. Pragnęła tego stanowiska dla swojego męża Josepha, który był bratankiem Setha. Spojrzała przez okno salonu i zobaczyła na tarasie czterech partnerów Banku Pilasterów. Trzej byli

Pilasterami: Seth, Samuel i Joseph - metodyści z początku wieku mieli skłonność do nadawania biblijnych imion. Stary Seth wyglądał jak inwalida, którym zresztą był, i siedział teraz z kolanami okrytymi kocem. Obok niego stał jego syn. Samuel nie wyglądał tak dystyngowanie jak ojciec. Miał taki sam, podobny do ptasiego dziobu nos, ale szpeciły go miękkie usta i brzydkie zęby. Według tradycji to on powinien zostać sukcesorem, ponieważ był najstarszym partnerem po Secie. Joseph rozmawiał ze stryjem i kuzynem, podkreślając wypowiedane słowa krótkimi, nerwowymi gestami dłoni, zdradzającymi zniecierpliwienie. On również miał nos Pilasterów, ale rysy jego twarzy były raczej nieregularne i tracił już włosy. Czwarty partner stał nieco z tyłu, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, i przysłuchiwał się dyskusji. Był to major George Harsthorn, mąż siostry Josepha, Madeleine. Na jego czole wyraźnie rysowała się blizna po ranie odniesionej dwadzieścia lat temu w czasie wojny krymskiej. Nie był jednak bohaterem. Służył w wojskach lądowych, kiedy jego koń spłoszył się na widok maszyny parowej, zrzucił go i Harsthorn uderzył głową o koło wozu kuchennego. Wystąpił z armii, ożenił się z Madeleine i został partnerem banku. Był miłym człowiekiem, który szedł tam, gdzie popchnęli go inni .

Nie miał wystarczająco dużo rozsądku, aby prowadzić bank, zresztą i tak nikt by się nie zgodził, żeby Starszym Partnerem został ktoś, kto nie nazywa się Pilaster. Za jedynych poważnych kandydatów uchodzili więc jedynie Samuel i Joseph.

Teoretycznie decyzję podejmowali partnerzy w drodze głosowania, jednakże zgodnie z tradycją rodzina zazwyczaj osiągała porozumienie. Augusta postanowiła postawić na swoim, ale zadanie mogło okazać się niełatwe.

Starszy Partner Banku Pilasterów był jednym z najważniejszych ludzi na świecie.

Jego decyzja o udzieleniu pożyczki mogła ocalić monarchę, odmowa - zapoczątkować rewolucję. Obok kilku innych - J. P. Morgana, Rothschildów, Bena Greenbourne'a - trzymał w dłoniach dobrobyt całych narodów. Pochlebiały mu głowy państw, naradzali się z nim premierzy i nadszkarci dyplomaci, a przed jego żoną płaszczyli się wszyscy.

Joseph pragnął tego stanowiska, ale nie był dość subtelny. Augusta drżała na samą myśl, że jej mąż pozwoli okazji prześlizgnąć się między palcami. Gdyby pozostawić go samemu sobie, gotów oznajmić wprost, że chce, aby brano go pod uwagę, a potem biernie czekać na decyzję rodziny. Mogłoby mu nawet nie przyjść do głowy, że należy przedsięwziąć określone działania, aby zapewnić sobie wygraną w tej rywalizacji. Powinien też pamiętać, że nie wolno mu w żadnym wypadku zdyskredytować rywala.

Augusta znalazłaby sposoby, aby go w tym wyręczyć.

Bez kłopotu ustaliła słaby punkt Samuela. W wieku pięćdziesięciu trzech lat był wciąż kawalerem i mieszkał z młodym mężczyzną, którego nazywano żartobliwie jego „sekretarzem”. Do tej pory rodzina nie zwracała uwagi na sprawy prywatne Samuela, ale ona zastanawiała się, czy nie zmienić tej sytuacji.

Z Samuelem trzeba było jednak obchodzić się ostrożnie. Ten pedantyczny, kapryśny człowiek potrafił całkowicie zmienić swój ubiór tylko dlatego, że kropla wina upadła na kolano jego spodni, ale nie był słaby i nie można go było zastraszyć.

Atak czołowy nie wchodził w rachubę jako metoda walki z nim.

Nie miała żadnych zahamowań przed sprawieniem mu kłopotów. Nigdy go nie lubiła.

Czasami zachowywał się tak, jakby uważał ją za zabawną, i często nie traktował jej poważnie. Niezwykle ją to złościło.

Przechodząc między gośćmi, postanowiła zapomnieć, że jej bratanek Hugh w irytujący sposób nie chce zalecać się do bardzo odpowiedniej dla niego dziewczyny. Z tą gałęzią rodziny zawsze były problemy, ale teraz nie mogła dopuścić, aby cokolwiek odwróciło jej uwagę od o wiele ważniejszej sprawy, którą zasygnalizował Micky - od zagrożenia, jakim stał się Samuel.

Spostrzegła w holu szwagierkę, Madeleine Hartshom. Biedna Madeleine, bez trudu można było poznać, że jest siostrą Josepha. Zdradzał to ów charakterystyczny nos Pilasterów. Niektórym mężczyznom nadawał on dystyngowany wygląd, ale kobieta z takim dziobem musiała wyglądać pospolicie.

Niegdyś Madeleine i Augusta rywalizowały ze sobą. Przed wieloma laty, gdy Augusta wyszła za mąż za Josepha, Madeleine bardzo się nie podobało, że cała rodzina zaczęła skupiać się wokół bratowej, choć sama nie dysponowała jej magnetyzmem i energią, przejawiającą się w organizowaniu ślubów i pogrzebów, pomocy dla chorych, ciężarnych i osieroconych oraz swataniu i łagodzeniu konfliktów. Zachowanie Madeleine omal nie doprowadziło do rozdzwienku w rodzinie.

Ale szwagierka sama dostarczyła Auguste broń przeciwko sobie. Pewnego popołudnia Augusta, wchodząc do ekskluzywnego sklepu ze srebrami na Bond Street, spostrzegła Madeleine, prześlizgującą się na zaplecze. Zatrzymała się na chwilę, udając, że zastanawia się nad zakupem podstawki do grzanek, i wtedy spostrzegła młodego człowieka podążającego w tę samą stronę. Słyszała, że pokoje nad takimi sklepami wykorzystywano niekiedy do romantycznych schadzek, i była niemal pewna, że Madeleine ma romans. Pięćfuntowy banknot przekonał właścicielkę sklepu, panią Baxter, aby zdradziła nazwisko młodego wicehrabiego Tremaina.

Augusta była autentycznie wstrząśnięta, ale przede wszystkim przemknęło jej przez myśl, że skoro Madeleine może romansować z wicehrabią Tremainem, ona mogłaby robić to samo z Mickym Mirandą. Ale oczywiście nie było o czymś takim nawet mowy. Poza tym, skoro wydała się tajemnica Madeleine, jej również mogłoby się przydarzyć coś podobnego.

Gdyby ta sprawa wyszła na jaw, Madeleine byłaby zniszczona towarzysko.

Mężczyznę, który miał miłosną przygodę, uważano bowiem za romantycznego hultaja, lecz kobietę w takiej samej sytuacji - po prostu za dziwkę. Ujawnienie tajemnicy groziło odrzuceniem Madeleine przez jej sferę i zhańbieniem rodziny. Augusta zastanawiała się, czy nie wykorzystać sekretu do zdobycia kontroli nad szwagierką, ale w ten sposób uczyniłaby z niej tylko wiecznego wroga, a mnożenie zbędnych nieprzyjaciół zawsze było głupotą. Musiała wymyślić coś innego, żeby rozbroić Madeleine i zarazem zyskać w niej sojuszniczkę. Po długim namyśle opracowała strategię. Zamiast grozić szwagierce zdobytą informacją, udała, że jest całkowicie po jej stronie.

- Mam dla ciebie dobrą radę, droga Madeleine - szepnęła - Do pani Baxter nie można

mieć zaufania. Powiedz swemu wicehrabiemu, aby znalazł bardziej dyskretne miejsce spotkań. - Szwagierka błagała ją, aby zachowała tajemnicę, i była rozbijającą wdzięczna, kiedy Augusta chętnie obiecała dozwolone milczenie. Od tej pory nie było już między nimi nawet cienia rywalizacji.

Teraz Augusta ujęła Madeleine pod ramię i rzekła:

- Chodź obejrzyć mój pokój... Sądzę, że ci się spodoba.

Na drugim piętrze domu znajdowały się sypialnie i garderoby Augusty i Josepha oraz gabinet. Zaprowadziła kuzynkę do swojej sypialni, zamknęła drzwi i czekała na jej reakcję.

Urządziła pokój w najnowszym, japońskim stylu. Znalazły się w nim pokryte kunsztownym ornamentem krzesła, tapety we wzory w kształcie pawich piór i mnóstwo porcelanowych figurek na półce nad kominkiem. Stała tu również ogromna komoda wymalowana w japońskie motywy, a siedzenia na wykuszu okiennym były częściowo przesłonięte kotarami przedstawiającymi ważki.

- Augusto, ależ to ekstrawaganckie! - wykrzyknęła Madeleine.

- Dziękuję - Augusta była niemal szczęśliwa z uzyskanego efektu. - Widziałam lepszy materiał na zasłony, ale w „Liberty's” już go sprzedano. A teraz zobacz pokój Josepha.

Przeprowadziła Madeleine przez drzwi łączące obie sypialnie. Nieco skromniejszy pokój męża utrzymany był w tym samym stylu. Tapety miały kolor ciemno wyprawionej skóry, a zasłony były z brokatu. Obiekt szczególnej dumy Augusty stanowiła lakowa serwantka, w której znajdowała się kolekcja wysadzanych drogimi kamieniami tabakierki Josepha.

- Joseph jest taki ekscentryczny - oznajmiła Madeleine, spoglądając na tabakierki. Augusta uśmiechnęła się. Prawdę mówiąc, jej mąż nie był w najmniejszym stopniu ekscentryczny, ale zbieranie tak ślicznych subtelnych przedmiotów przez trzeźwo myślącego metodystę wydawało się czymś niezwykłym i cała rodzina uważała ten fakt za zabawny.

- Mówi, że to inwestycja - stwierdziła Augusta. Brylantowa kolia dla niej byłaby równie dobrą inwestycją, ale nigdy nie kupował jej kosztowności. Metodysci uważali biżuterię za zbędną ekstrawagancję.

- Mężczyzna powinien mieć jakieś hobby - rzekła kuzynka. - Dzięki temu trzyma się z dala od kłopotów.

Mówiąc dokładnie, chodziło jej o trzymanie się z dala od domów publicznych. Ta aluzja do męskich grzeszków przypomniawszy Augustę o przyczynie, dla której sprowadziła tu szwagierkę. Bardzo cicho, zupełnie jakby myślała na głos, zapytała:

- Madeleine, moja droga, co zrobimy z kuzynem Samuelem i jego „sekretarzem”? Madeleine zrobiła zaskoczona minę.

- A czy powinniśmy coś zrobić?

- Jeżeli Samuel ma zostać Starszym Partnerem, to nawet musimy.

- Dlaczego?

- Moja droga, Starszy Partner Banku Pilasterów spotyka się z ambasadorami,

głowami państw, nawet członkami rodzin królewskich, więc jego życie prywatne musi być absolutnie bez skazy.

Madeleine zaczerwieniła się, gdy pojęła aluzję.

- Chyba nie chcesz przez to powiedzieć, że Samuel jest w jakiś sposób... zdeprawowany?

O to właśnie Augustie chodziło, ale wołała nie mówić tego wprost, w obawie, że szwagierka zacznie bronić kuzyna.

- Mam nadzieję, że nigdy się tego nie dowiem - odparła wymijająco. - Ważniejsze jest jednak, co myślą ludzie.

Nie przekonała Madeleine.

- Rzeczywiście sądzisz, że ludzie tak pomyślą...? Augusta z wysiłkiem zmusiła się do okazania cierpliwości.

- Moja droga, obie jesteśmy mężatkami i wiemy, jacy są mężczyźni. Przejawiają zwierzęce potrzeby. Ludzie podejrzewają, że nieżonaty pięćdziesięcioletni mężczyzna, który mieszka z ładnym chłopakiem, jest zdeprawowany, i Bóg mi świadkiem, że w większości wypadków ich przypuszczenia są słuszne.

Madeleine zmarszczyła brwi z wyraźnie zaniepokojoną miną. Jednak nim zdążyła się odezwać, rozległo się pukanie do drzwi, stanął w nich Edward.

- Czego sobie życzyłaś, mamu? - zapytał.

Augustę zirykowało to nagłe wtargnięcie syna i nie miała pojęcia, o czym on mówi.

- Dlaczego przyszedłeś?

- Przysłałaś po mnie.

- Ależ skąd! Poleciłam ci oprowadzić lady Florence po ogrodzie. Edward sprawiał wrażenie urażonego.

- Hugh powiedział, że chciałaś mnie widzieć! Dla Augusty wszystko stało się jasne.

- Rzeczywiście? I jak sądzę, sam teraz spaceruje po ogrodzie z lady Florence? Edward pojął, co jego matka chciała mu dać do zrozumienia.

- Chyba tak - odparł z irytacją. - Nie złość się na mnie mamu, proszę! Augusta natychmiast złagodniała.

- Nie martw się, Teddy, kochanie - oznajmiła. - Hugh jest tak przebiegły. - Ale jeżeli myślał, że udało mu się przechytrzyć ciotkę Augustę, był również głupi. Całe zdarzenie rozdrażniło ją, lecz po namyśle uznała, że napomknęła już Madeleine na temat kuzyna Samuela tyle, ile trzeba. W obecnym stadium działania należało jedynie zasiać ziarno wątpliwości, wszelkie dalsze pociągnięcia byłyby zbyt niezręczne i obcesowe. Postanowiła na razie na tym poprzestać. Wyprowadziła szwagierkę i syna z pokoju, wyjaśniając:

- A teraz muszę wrócić do moich gości.

Zeszli na dół. Przyjęcie było udane, sądząc z gwaru rozmów, śmiechu i dźwięku kilkudziesięciu srebrnych łyżeczek brzęczących o filiżanki i spodeczki. Augusta szybko sprawdziła jadalnię, w której służba rozstawiała talerzyki z sałatką z homara, ciasto owocowe i mrożone napoje. Przeszła przez hol, zamieniając kilka słów z każdym

godnym uwagi gościem, ale szukając jednej konkretnej osoby - matki Florence, lady Stalworthy.

Martwiła ją możliwość ożenku Hugh'a z Florence. W banku powodziło mu się zdecydowanie za dobrze. Natura obdarzyła go bystrym, handlowym umysłem i ujmującym sposobem bycia zawodowego gracza w karty. Nawet Joseph wyrażał się o nim z aprobatą, nie uświadamiając sobie, jakie zagrożenie stwarza to dla jego własnego syna. Małżeństwo z córką hrabiego dałoby Hughowi status społeczny, co w połączeniu z jego przyrodzonymi talentami uczyniłoby z niego niebezpiecznego rywala Edwarda. Kochany Teddy nie miał tego powierzchownego wdzięku swego kuzyna ani jego głowy do cyfr, a więc ona, jego matka, musiała mu udzielić wszelkiej możliwej pomocy.

Zobaczyła lady Stalworthy, stojącą w wykuszowym oknie salonu. Była to przystojna kobieta w średnim wieku, ubrana w różową suknię i mały słomkowy kapelusik przybrany sztucznymi kwiatami z jedwabiu. Augusta z niepokojem zastanawiała się, co lady Stalworthy myśli o Hughu. Chłopak nie był wprawdzie wspaniałą partią, ale gdyby Florence zdecydowała się za niego wyjść, zapewne nie uznałaby tego za życiową katastrofę. Dla swojej najmłodszej z trzech córek, z których dwie wyszły już dobrze za mąż, mogła okazać się wyrozumiała. Augusta musiała temu zapobiec. Ale jak?

Stała u boku lady Stalworthy i zauważyła, że obserwuje ona dwoje młodych spacerujących po ogrodzie. Hugh coś wyjaśniał dziewczynie, a oczy Florence błyszczały radośnie, gdy spoglądała na niego i słuchała.

- Beztroska radość młodości - oznajmiła Augusta.

- Hugh sprawia wrażenie bardzo miłego chłopca - odparła lady Stalworthy. Augusta spojrzała na nią ostro. Lady Stalworthy uśmiechała się marzycielsko. Kiedyś musiała być równie ładna jak jej córka i teraz zapewne przypominała sobie swoją młodość. Trzeba było natychmiast sprowadzić ją na ziemię.

- Jakże szybko mijają te beztroskie dni.

- Ale są tak cudowne, gdy trwają. Nadeszła pora na porcję trucizny.

- Jak pani zapewne wiadomo, ojciec Hugh'a nie żyje - oświadczyła. - A ponieważ jego matka mieszka spokojnie w Folkestone, Joseph i ja uznaliśmy za nasz obowiązek przejąć rodzicielską troskę. - Przerwała na chwilę. - Nie muszę chyba mówić, jak wielkim zaszczytem byłby dla Hugh'a związek z państwa rodziną.

- Miło to od pani słyszeć - odparła lady Stalworthy, zupełnie jakby dziękowała za komplement. - Wszak Pilasterowie są nader czcigodną rodziną.

- Dziękuję. Jeżeli Hugh będzie pilnie pracował, być może któregoś dnia stać go będzie na dostatnie życie.

Lady Stalworthy spojrzała na nią, nieco zaskoczona.

- Czyżby ojciec nic mu nie zostawił?

- Nie. - Augusta musiała dać jej do zrozumienia, że Hugh, żeniąc się, nie otrzyma od rodziny żadnych pieniędzy. - Będzie musiał pracować na swój awans w banku, żyjąc z pensji.

- Ach tak - odparła lady Stalworthy i przez jej twarz przemknął leciutki grymas rozczarowania. - Na szczęście Florence ma własne niewielkie dochody.

Augusta poczuła, że serce jej zamiera. A więc Florence miała swoje pieniądze. Wiadomość była fatalna. Augusta zastanawiała się, jak duże są to środki. Stalworthy'owie nie byli tak bogaci jak Pilasterowie - w końcu niewielu im dorównywało - ale wystarczająco zamożni. W każdym razie niezamożność Hugh'a nie była w stanie zniechęcić do niego matki Florence. Augusta musiała więc sięgnąć do bardziej przekonujących argumentów.

- Droga Florence może stać się tak wielką pomocą dla Hugh'a... Sprawić, że się ustatkuje. Jestem tego pewna.

- Tak - stwierdziła z roztargnieniem lady Stalworthy i nagle zmarszczyła brwi. - Ustatkuje?

Augusta zawahała się. To, co miała zamiar zrobić, było niebezpieczne, ale musiała zaryzykować.

- Nigdy nie słucham plotek, podobnie jak pani - zaczęła. - Jego ojciec Tobias niewątpliwie nie miał szczęścia, to nie ulega wątpliwości, ale wszystko wskazuje na to, że Hugh w zasadzie nie odziedziczył jego słabości...

- To dobrze - stwierdziła lady Stalworthy, lecz jej twarz zaczęła zdradzać głęboki niepokój.

- Jednakże Joseph i ja będziemy szczęśliwi, widząc, że ożenił się z tak rozsądną młodą damą jak Florence. Jesteśmy pewni, że wykaże się wobec niego stanowczością, jeżeli ... - urwała.

- Ja... - Lady Stalworthy zająknęła się lekko. - Obawiam się, że nie wiem, co było słabością jego ojca.

- No cóż, to doprawdy bez znaczenia.

- Oczywiście, ta informacja pozostanie wyłącznie między nami obiema.

- Chyba nie powinnam była w ogóle poruszać tej sprawy.

- Ale przecież dla dobra mojej córki muszę wiedzieć wszystko. Jestem pewna, że mnie pani rozumie.

- Hazard - odparła Augusta, ścisząc głos. Nie chciała, aby ktokolwiek inny ją usłyszał. W ich otoczeniu znajdowali się ludzie, którzy wiedzieliby, że kłamie. - To dlatego odebrał sobie życie. Ze wstydu, rozumie pani. - Boże spraw, żeby Stalworthy'owie nie zadali sobie trudu sprawdzenia tej wiadomości, pomyślała gorączkowo.

- Sądziłam, że nie powiodło mu się w interesach.

- To również.

- Cóż za tragedia.

- Przyznaję, że Joseph musiał raz czy dwa razy płacić długi chłopca, ale porozmawiał z nim bardzo stanowczo i jesteśmy pewni, iż podobna sytuacja już się nie powtórzy.

- Bardzo mnie to uspokoiło - oznajmiła lady Stalworthy, ale wyraz jej twarzy zaprzeczał słowom.

Augusta odniosła wrażenie, że powiedziała już dosyć. Jej rzekoma przychylność ewentualnemu małżeństwu mogła się stać niebezpiecznie łatwa do zdemaskowania.

Znowu spojrzała przez okno. Florence śmiała się z czegoś, o czym mówił Hugh, odchylając głowę do tyłu i pokazując zęby w sposób... dość nieprzyzwoity. On zaś niemal pożerał ją wzrokiem. Wszyscy obecni na przyjęciu mogli dostrzec, że interesują się sobą.

- Sądzę, że wkrótce sprawa powinna się sfinalizować - dodała.

- Zapewne rozmawiali już dość, jak na jeden dzień - stwierdziła z zafrasowanym wyrazem twarzy lady Stalworthy. - Lepiej będzie, jeżeli się tym zajmę. Proszę mi wybaczyć.

- Ależ oczywiście.

Augusta poczuła ulgę. Przeprowadziła kolejną delikatną rozmowę. Od tej pory lady Stalworthy będzie traktowała Hugh'a podejrzliwie, a kiedy matkę zaczyna niepokoić kandydat do teki córki, bardzo rzadko ostatecznie wybór pada na niego. Rozejrzała się i zauważyła Beatrice Pilaster, kolejną swoją szwagierkę. Joseph miał dwóch braci - Tobiasa, ojca Hugh'a, oraz Williama, nazywanego Młodym Williamem, ponieważ urodził się dwadzieścia trzy lata po Josephie. William miał obecnie dwadzieścia pięć lat, a mimo to nie był jeszcze partnerem w banku. Jego żona Beatrice przypominała wielkiego szczeniaka - szczęśliwego, niezgrabnego i pragnącego stać się przyjacielem wszystkich dokoła. Augusta postanowiła porozmawiać z nią o Samuelu i jego sekretarzu. Podeszła do niej i zaproponowała:

- Beatrice, kochanie, nie chciałabyś obejrzeć mojej sypialni?

Micky i jego ojciec opuścili przyjęcie i ruszyli z powrotem do wynajętego mieszkania. Ich droga prowadziła wyłącznie przez parki - najpierw Hyde Park, potem Green Park i wreszcie St. James Park. Kiedy dotarli do rzeki, zatrzymali się pośrodku Westminster Bridge, aby odpocząć chwilę i się rozejrzeć. Na północnym brzegu rzeki rozciągało się największe miasto świata. W górze jej biegu widniały budynki parlamentu, stanowiące współczesną imitację usytuowanego w sąsiedztwie trzynastowiecznego Opactwa Westminsterskiego. W dole rzeki mogli dostrzec ogrody Whitehall, pałac księcia Buccleuch i wielki kamienny budynek nowej stacji kolejowej Charing Cross.

Nie było widać doków ani żadnego wielkiego statku, ale cała rzeka zatłoczona była małymi łódkami, barkami i statkami spacerowymi, bardzo malowniczymi w wieczornym słońcu.

Południowy brzeg mógł właściwie znajdować się w zupełnie innym kraju. Mieściły się tam garncarnię Lambeth. Na tych błotnistych polach, usianych byle jak skleconymi warsztatami, bez przerwy pracował tłum mężczyzn o szarych twarzach i obszarpanych kobiet, gotujących kości, sortujących śmiecie, rozpalających piece i wlewających masę do form, aby wyprodukować rynny i kominy niezbędne szybko rozwijającemu się miastu. Zaduch czuło się nawet tu, na moście, w odległości czterystu metrów. Niskie budy, w których gnieździł się garncarze, tłoczyły się wokół murów pałacu Lambeth, londyńskiej rezydencji arcybiskupa Canterbury, przypominając brud pozostawiony przez przyływ na błotnistym brzegu morza. Mimo swego sąsiedztwa z pałacem arcybiskupim teren ten znany był pod nazwą Diabelskiego Pola, zapewne ze względu na to, że ognie i dymy, snujący się robotnicy i koszmarny smród przywodziły ludziom

na myśl piekło. Micky mieszkał w Camberwell, dystyngowanym przedmieściu za garncarniami, ale i on, i jego ojciec z wahaniem zatrzymali się na moście, z niechęcią myśląc o wkroczeniu na Diabelskie Pole. Micky wciąż przeklinał metodystyczne sumienie starego Setha Pilastera, które tak nieoczekiwanie pokrzyżowało mu plany.

- Rozwiążemy problem transportu karabinów, Tato - powiedział. - Nie musisz się tym martwić.

Ojciec wzruszył ramionami.

- A kto nam przeszkadza? - zapytał.

Pytanie było proste, ale w rodzinie Mirandów miało określone znaczenie. Kiedy napotykali trudny do rozwiązania problem, zadawali pytanie: „Kto nam przeszkadza?”. Naprawdę jednak oznaczało ono: „Kogo musimy zabić, aby sprawę załatwić?”. Teraz przypomniało ono Micky'emu barbarzyństwo życia w prowincji Santamaria, wszystkie wstrząsające legendy, o których wolał nie pamiętać. Historię o tym, jak Tata ukarał niewierną kochankę, przykładając jej do głowy lufę karabinu i pociągając za spust. Albo żydowskiej rodziny, która ośmieliła się otworzyć w stolicy prowincji swój sklep tuż obok jego - podobno podłożył ogień i spalił żywcem wszystkich: małżeństwo i ich dzieci. Micky był tymi opowieściami przerażony. Wybuchowy temperament ojca był równie znany jak jego skłonność do stosowania przemocy i złośliwość, ale mimo wszystko nie spodziewał się po nim aż takich czynów. Mirandowie byli bogaci. Tata - właściciel tysięcy sztuk bydła - zmonopolizował cały handel końmi na olbrzymim terenie, dzierżawił ziemię drobnym farmerom i do niego należała większość sklepów w prowincji Santamaria.

W Anglii ich pieniądze były jednak niewiele warte. W kraju za cordovańskiego srebrnego dolara dostawało się pierwszorzędny posiłek, butelkę rumu i dziwkę na noc. Tutaj ledwo starczał na tani obiad i szklanek cienkiego piwa. Kiedy Micky przybył do szkoły w Windfield, przeżył z tego powodu szok. Starał się uzupełniać swoje kieszonkowe wygranymi w karty, ale dopóki nie zaprzyjaźnił się z Edwardem, i tak z trudem udawało mu się wiązać koniec z końcem. Nawet teraz Edward opłacał wszystkie wspólne kosztowne rozrywki - operę, wyprawy na wyścigi konne, polowania i prostytutki. Micky wciąż jednak musiał mieć jakiś podstawowy dochód - na czynsz, rachunki od krawca, opłaty w klubach dla dżentelmenów będących istotnym elementem londyńskiego życia oraz napiwki dla służby. Jak zdobyć niezbędne pieniądze? - zastanawiał się. Pójść do pracy? Sam pomysł był nie do przyjęcia. Żaden z Mirandów nie pracował dla zarobku.

Zamierzał właśnie zapytać, czy ojciec uważa, że zdoła żyć bez pieniędzy, kiedy ten nagle zmienił temat i rzekł:

- A teraz ci powiem, po co mi te karabiny. Zajmiemy pustynię.

Micky nic z tego nie zrozumiał. Posiadłości Mirandy obejmowały większą część prowincji Santamaria. Z ich ziemiami graniczyły mniejsze posiadłości rodziny Delabarca. Na północy zaś gleba była tak sucha, że ani Tata, ani sąsiad nie zadali sobie trudu, aby zgłaszać do tych terenów pretensje.

- Po co nam ta pustynia? - zapytał.

- Pod pyłem znajduje się minerał zwany saletrą. Wykorzystuje się go jako nawóz, o

wiele lepszy niż łajno. Można go rozsyłać na cały świat i sprzedawać za wysoką cenę. Chcę, żebyś w Londynie zajął się sprzedażą.

- Skąd wiadomo, że ten minerał tam jest?

- Delabarca zaczął go wydobywać. W ten sposób jego rodzina może się stać bardzo bogata.

Micky poczuł podniecenie. Ten fakt może odmienić przyszłość rodu Mirandów.

Oczywiście, nie od razu. A w każdym razie nie dość szybko, aby rozwiązać problem, w jaki sposób on ma żyć bez pensji. Ale na dłuższą metę...

- Musimy działać szybko - stwierdził Tata. - Bogactwo daje potęgę i dzięki niemu rodzina Delabarca wkrótce stanie się silniejsza od nas. Dlatego musimy ich zniszczyć.

Rozdział drugi - Czerwiec

Whitehaven House

Kensington Gore

Londyn, SW

2 czerwca 1873

Droga Florence!

Gdzie jesteś? Miałem nadzieję zobaczyć Cię na balu wydanym w Bridewell, potem w Richmond, a wreszcie w sobotę w Muncaster... ale nigdzie się nie zjawiałaś! Napisz do mnie i daj jakiś znak życia.

Głęboko Ci oddany Hugh Pilaster

Park Lane 23

Londyn, W.

3 czerwca 1873

Whitehaven House Kensington Gore

Londyn, SW

6 czerwca 1873

Najdroższa Florence

Wreszcie udało mi się znaleźć zaufanego posłańca, który przekaże Ci ten list.

Dlaczego ukrywasz się przede mną? Czyżbym obraził Twoich rodziców? Albo... Boże uchronaj - Ciebie? Twoja kuzynka Jane dostarczy mi Twoją odpowiedź.

Odpisz jak najszybciej!

Z najserdeczniejszymi pozdrowieniami

Hugh

Stalworthy Manor

Stalworthy

Buckinghamshire

7 czerwca 1873

Drogi Hughu

Zabroniono mi widywać się z Tobą, ponieważ jesteś hazardzistą, podobnie jak Twój ojciec. Jest mi bardzo przykro, ale muszę wierzyć, że moi rodzice chcą dla mnie jak najlepiej.

Z głębokim żalem Florence

Whitehaven House

Kensington Gore

Londyn, SW

8 czerwca 1873

Droga Mamo

Właśnie odrzuciła moje względy młoda dama, ponieważ mój ojciec był podobno hazardzistą. Czy to prawda? Proszę, odpisz mi natychmiast. Muszę to wiedzieć!

Twój kochający syn

Hugh

Wellington Village

Folkestone Kent

9 czerwca 1873

Drogi Synu

Nigdy nie słyszałam, aby Twój ojciec grał. Nie mogę sobie wyobrazić, kto mógłby rzucić na Niego tak perfidną kalumnię. Utracił pieniądze wskutek załamania finansowego, tak jak Ci mówiłam. Nie było żadnej innej przyczyny.

Mam nadzieję, że czujesz się dobrze i szczęśliwie, mój Drogi Synu, i że Twoja ukochana zechce Cię przyjąć. U mnie właściwie nic się nie zmienia. Twoja siostra Dorothy jak zawsze przesyła Ci ucałowania.

Twoja matka

Whitehaven House

Kensington Gore

Londyn, SW

10 czerwca 1873

Droga Florence

Sądzę, że ktoś musiał przekazać Ci nieprawdziwe informacje o moim ojcu. Jego przedsiębiorstwo upadło, to prawda, ale nie było w tym jego winy - wielka firma o nazwie Overend Gurney zbankrutowała na pięć milionów funtów, pociągając za sobą ruinę wielu jej kredytodawców. Ojciec odebrał sobie życie tego samego dnia.

Nigdy jednak nie grał, podobnie jak ja.

Jeżeli wyjaśnisz to Czcigodnemu Hrabiemu, Twojemu Ojcu, sądzę, że wszystko

dobrze się ułoży.

Twój oddany Hugh

Stalworthy Manor

Stalworthy Buckinghamshire

Pisanie mi kłamstw niczego dobrego nie przyniesie. Teraz jestem pewna, że rady moich rodziców były słuszne, i muszę o Tobie zapomnieć.

Florence

Whitehaven House

Kensington Gore

Londyn, SW

12 czerwca 1873

Droga Florence

Musisz mi uwierzyć! Możliwe, że nie powiedziano mi prawdy o moim ojcu - chociaż nie mogę wątpić w szczerść słów mej matki - ale jeśli o mnie chodzi, znam przecież prawdę! Kiedy miałem czternaście lat, postawiłem szylinga w czasie derbów i przegrałem - i wtedy uświadomiłem sobie bezsens hazardu. Kiedy Cię zobaczę, mogę Ci przysiąc.

Z nadzieją... Hugh

Foljambe MERRIWETHER, ADWOKACI GRAY'S INN LONDYN, WC

13 czerwca 1873

Hugh Pilaster, Esq.

Panie, otrzymaliśmy polecenie naszego klienta, hrabiego Stalworthy'ego, aby zażądać od Pana zobowiązania, iż zaniecha Pan prób porozumienia się z jego córką.

Prosimy przyjąć do wiadomości, że czcigodny hrabia poczyni wszelkie niezbędne kroki, łącznie z nakazem Sądu Najwyższego, aby wyegzekwować swoją wolę w rzeczonyj sprawie, jeżeli nie zastosuje się Pan do jego polecenia.

Foljambe Merriwether Albert C. Merriwether

Hugh...

Florena pokazała Twój ostatni list swojej matce, a mojej ciotce. Zabrali ją do Paryża do końca londyńskiego sezonu, a potem pojedą do Yorkshire. Nic nie zdziałasz - jej już na Tobie nie zależy. Przykro mi...

Jane Argyll Rooms były najbardziej popularnym miejscem rozrywki w Londynie, ale Hugh dotąd jeszcze tam nie był. Nigdy zresztą nie przyszło mu do głowy, aby odwiedzać takie miejsca. Chociaż w gruncie rzeczy nie był to burdel, lokal miał bardzo

złą reputację. Kiedy jednak kilka dni po ostatecznym odrzuceniu go przez Florence Stalworthy Edward zdawkowo zaproponował, aby Hugh wyprawił się z nim i Mickym na wieczorną hulanke, przyjął zaproszenie.

Hugh nie spędzał wiele czasu ze swoim kuzynem. Edward zawsze był draniem, brutalem i leniem, który zmuszał innych, żeby wykonywali pracę za niego, a jemu, Hugowi, przydzielono rolę rodzinnej czarnej owcy, uznając, że podąża śladami ojca. Postanowił więc zakosztować rozkoszy rozwiązłego życia. Podrzędne spelunki i kobiety lekkich obyczajów należały do stylu życia tysięcy Anglików z wyższych sfer. Może wiedzieli, co robią. Może właśnie coś takiego, zamiast prawdziwej miłości, prowadziło do szczęścia.

Prawdę mówiąc, nie miał całkowitej pewności, że naprawdę kochał Florence. Był zły na jej rodziców, że zwrócili się przeciwko niemu, a jego gniew podsycaly dodatkowo perfidne kłamstwa opowiadane o jego ojcu. Przekonał się jednak z pewnym wstydem, że wcale nie ma złamanego serca. Często myślał o Florence, ale mimo wszystko w dalszym ciągu spał dobrze, jadł z apetytem i bez trudu potrafił skupić się na swojej pracy.

Czy to znaczyło, że nigdy jej nie kochał? Dziewczyną, którą lubił najbardziej, nie licząc swojej sześcioletniej siostry Dotty, była Rachel Bodwin, i zastanawiał się, czyby się z nią nie ożenić. Ale czy była to miłość? Nie wiedział. Może był zbyt młody, by zrozumieć miłość. Albo po prostu jeszcze się z nią nie zetknął.

Argyll Rooms znajdowały się tuż obok kościoła na Great Windmill Street, nieopodal Piccadilly Circus. Edward zapłacił po szylingu od osoby i weszli do środka. Cała trójka przywdziała stroje wieczorowe - czarne fraki z jedwabnymi klapami, czarne spodnie z jedwabnym lampasem, głęboko wycięte białe kamizelki, białe koszule i białe muszki. Ubranie Edwarda było nowe i drogie, Micky'ego tańsze, ale elegancko skrojone, natomiast frak Hugh'a należał kiedyś do jego ojca.

Znaleźli się w rześcicie oświetlonej lampami gazowymi sali balowej; ogromne lustro w złoconych ramach dodatkowo potęgowały blask. Parkiet zatłoczony był tańczącymi parami, a umieszczona za starannie wykonaną połączoną kratką orkiestra grała żwawą polkę. Niektórzy mężczyźni mieli na sobie wieczorowe stroje, świadczące, że należą do wyższych warstw i przyszli tu na hulanke.

Większość jednak włożyła czarne dystyngowane garnitury, sugerujące, że są urzędnikami lub drobnymi przedsiębiorcami.

Ponad salą balową biegła ocieniona galeria. Edward wskazał ją Hughowi i powiedział:

- Jeżeli zaprzyjaźnisz się z jakąś laleczką, możesz zapłacić jeszcze jednego szylinga i zabrać ją na górę. Znajdziesz tam pluszowe kanapki, przyćmione światła i ślepych kelnerów.

Hugh czuł się oszołomiony, ale nie światłami, lecz odkrywającymi się przed nim możliwościami. Wokół znajdowały się dziewczyny, które przyszły tu tylko po to, żeby poflirtować! Niektóre przyszły z przyjaciółmi, inne jednak zjawily się tu same, zamierzając tańczyć z całkowicie obcymi osobami. I wszystkie były ubrane jak z igły w wieczorowe suknie z turniurami, często również z bardzo głębokim dekoltem, i

najprzedziwniejsze kapelusze na głowach. Zauważył jednak, że dziewczęta na parkiecie skromnie osłaniały się pelerynkami. Nicky i Edward zapewnili go, że nie są to wcale prostytutki, ale zwykłe dziewczyny, sprzedawczynie sklepowe, krawcowe i pokojówki.

- Jak mam się z nimi poznać? - spytał Hugh. - Przecież nie zaczepię ich jak zwykle ulicznice?

Edward odpowiedział mu, wskazując na wysokiego, dystyngowanego wyglądającego mężczyznę we fraku i białej muszce, z przypiętą jakąś odznaką, który wydawał się sprawować pieczę nad tańcami.

- To mistrz ceremonii. Jeżeli dasz mu napiwek, przedstawi was sobie.

Hugh odczuwał panującą w lokalu dziwną, podniecającą atmosferę, łączącą w sobie rozwiązłość i elegancję.

Polka skończyła się i niektórzy tancerze powrócili do swoich stolików. Nagle Edward wyciągnął rękę i zawołał:

- Niech mnie licho! Przecież to „Grubasek” Greenbourne!

Hugh popatrzył w tym kierunku i zobaczył ich dawnego szkolnego kolegę. Był tęższy niż dawniej i jego brzuch wylewał się z białej kamizelki. Trzymał pod ramię oszłamiająco piękną dziewczynę. Usiedli przy stoliku i Micky zaproponował cicho:

- Może byśmy przyłączyli się do nich na chwilę?

Hugh miał ochotę przyjrzeć się bliżej nieznamomej i chętnie się zgodził. Trzej młodzi ludzie przecisnęli się do stolików.

- Dobry wieczór, „Grubasku”! - odezwał się wesoło Edward.

- Witajcie, koledzy - odparł Greenbourne. - Obecnie wszyscy mówią na mnie „Solly” - dodał przyjaźnie.

Hugh od czasu do czasu widywał Solly'ego w City, finansowej dzielnicy Londynu, ponieważ od kilku lat Greenbourne pracował w centralnym oddziale rodzinnego banku mieszczącym się tuż za rogiem, koło Banku Pilasterów. Natomiast Edward, który bywał w City zaledwie od paru tygodni, nie miał jeszcze takiej okazji.

- Pomyśleliśmy, że moglibyśmy się do was przysiąść - oznajmił niedbale Edward i spojrzął pytająco na dziewczynę.

Solly odwrócił się do swojej towarzyszki.

- Panno Robinson, chciałbym pani przedstawić moich dawnych szkolnych kolegów: Edwarda Pilastera, Hugh'a Pilastera i Micky'ego Mirandę.

Reakcja panny Robinson była zaskakująca. Mimo warstwy różu i pudru zbladła wyraźnie i zapytała:

- Pilasterowie? Czy może krewni Tobiasa Pilastera?

- To był mój ojciec - odparł Hugh. - Skąd pani zna jego nazwisko? Opanowała się szybko.

- Mój ojciec pracował kiedyś w firmie Tobias Pilaster i Co. Jako dziecko nieraz zastanawiałam się, kim jest ów Co. - Roześmiali się wszyscy i chwila napięcia minęła. - Może panowie usiądą? - zaproponowała.

Na stole stała butelka szampana. Solly nalał trochę dziewczynie i poprosił kelnera o

dodatkowe kieliszki.

- No cóż, mamy tu prawdziwe spotkanie dawnych kumpli z Windfield - powiedział.
- Zgadnijcie, kto jeszcze jest tutaj? Tonio Silva.

- Gdzie? - zapytał szybko Micky. Wydawał się niezadowolony z tej wiadomości i Hugh zastanawiał się, co jest tego powodem. Przypomniawszy sobie, że w szkole Tonio zawsze śmiertelnie bał się Mirandy.

- Na parkiecie - wyjaśnił Solly. - Jest z przyjaciółką panny Robinson, panną April Tilsley.

- Możecie mi mówić Maisie - oświadczyła dziewczyna. - Nie przestrzegam zbyt etykiety. - Mrugnęła zmysłowo do Solly'ego.

Kelner przyniósł talerz z homarem i postawił go przed Greenbourne'em, który wsunął serwetkę za kołnierzyk koszuli i zabrał się do jedzenia.

- Sądziłem, że wam, Żydom, religia zabrania jeść skorupiaki - rzucił Micky z niedbałą impertynencją.

Solly był uodporniony na takie zaczepki.

- Jadam koszernie tylko w domu - odparł. Maisie Robinson spojrzała wrogo na Mirandę.

- A my, Żydówki, jadamy to, na co przyjdzie ochota! - powiedziała i wzięła kawałek homara z talerza grubasa.

Hugha zaskoczyła wiadomość, że Maisie jest Żydówką, zawsze bowiem sądził, że Żydzi mają ciemne włosy. Przypatrzył się uważniej dziewczynie. Była dość niska, ale mniej więcej trzy centymetry wzrostu dodawały jej wysoko upięte w kok brązowe włosy oraz wielki kapelusz, ozdobiony sztucznymi liśćmi i owocami. Pod rondem kapelusza widniała zuchwała twarzyczka o zielonych oczach rzucających figlarne błyski. Krój kasztanowego koloru sukni odsłaniał zadziwiająco dużą powierzchnię usianego piegami dekoltu. Piegami nie uchodziły za szczególnie pociągające, ale Hugh zupełnie nie mógł oderwać od nich oczu. Po chwili Maisie poczuła jego spojrzenie i popatrzyła mu w oczy. Odwrócił wzrok z przepraszającym uśmiechem.

Przyjrzał się siedzącym wokół niego osobom i zauważył, jak bardzo jego dawni szkolni koledzy zmienili się przez minione siedem lat. Solly Greenbourne wyraźnie dojrzał. Chociaż w dalszym ciągu był tęgi i jak niegdyś uśmiechał się beztrudnie, mimo swoich niespełna dwudziestu pięciu lat zdradzał już władczy sposób bycia. Być może wynikało to z faktu bycia bogatym... Ale Edward też był bogaty i nie roztaczał takiej aury. Solly'ego już szanowano w City, i to nie tylko dlatego, że był dziedzicem Banku Greenbourne'ów. Wszak młody głupiec piastujący tak wysokie stanowisko łatwo mógł się wystawić na pośmiewisko. Edward postarzał się, ale w przeciwieństwie do Greenbourne'a wcale nie wydorósł. Dla niego, jak dla dziecka, zabawa była wszystkim. Nie był tępy, ale nie potrafił skupić się na pracy w banku, ponieważ zawsze wolał robić co innego - tańczyć, pić i grać.

Micky, ze swoimi ciemnymi oczami, czarnymi brwiami, kędzierzawymi, może nieco zbyt długimi włosami, bardzo wyprzystojniał. Jego wieczorowy strój był w dobrym guście, choć zdawał się zanadto wyzywający - frakowa marynarka miała aksamitny

kołnierz i mankiety, a koszula plisowany gors. Już przyciągał pełne podziwu spojrzenia i zachęcające uśmiechy kilku dziewcząt przy sąsiednich stolikach. Ale Maisie Robinson Poczula do niego niechęć i Hugh domyślał się, że nie chodziło tu jedynie o uwagę na temat Żydów. W Mickym czaiło się coś groźnego. Był niepokojąco spokojny, czujny i pełen rezerwy. Nie był szczery, rzadko okazywał wahanie, niepewność czy wrażliwość. I nigdy nie odsłaniał swojej duszy - jeżeli w ogóle ją miał. Hugh mu nie dowierzał.

Następny taniec skończył się i do stolika podszedł Tonio Silva z panną April Tilsley. Hugh od opuszczenia szkoły kilka razy zetknął się z Toniem, ale nawet gdyby nie widział go od wielu lat, poznałby natychmiast dzięki strzesze marchewkowego koloru włosów. Byli najlepszymi przyjaciółmi do tego koszmarnego dnia w tysiąc osiemset sześćdziesiątym szóstym roku, kiedy przyjechała matka, aby zawiadomić go o śmierci ojca i konieczności opuszczenia szkoły. Wtedy byli niegrzecznymi chłopakami z czwartej klasy, którzy zawsze pakowali się w jakieś awantury, lecz mimo zbieranych ciągów cieszyli się życiem.

Hugh przez wszystkie te lata często się zastanawiał, co faktycznie zaszło owego pamiętnego dnia przy stawie. Nigdy nie uwierzył w drukowaną w gazetach historię o tym, że Edward próbował uratować Petera Middletona - nie miałby na to dosyć odwagi. Ale Tonio wciąż nie chciał rozmawiać na ten temat, a jeszcze jeden, jedyny świadek, Albert „Garbus” Cammel, wyjechał do Kraju Przylądkowego.

Hugh przyglądał się Toniowi, kiedy witał się z Mickym. Jak niegdyś, Silva zdawał się przerażony.

- Jak się masz, Miranda - powiedział spokojnym głosem, ale na jego twarzy odmalował się lęk połączony z podziwem - uczucia, jakie ktoś mógłby żywić do mistrza bokserkiego znanego ze swej skłonności do wybuchów gniewu.

Hugh zauważył, że towarzyszka Tonia, April, jest trochę starsza od swojej przyjaciółki Maisie i z powodu ostrych rysów twarzy wygląda o wiele mniej atrakcyjnie. Tonio jednak czuł się doskonale w jej towarzystwie. Dotykał jej ramienia i szeptał coś do ucha, wywołując głośne wybuchy śmiechu dziewczyny. Hugh odwrócił się do Maisie. Była pełna życia i rozmowna, mówiła śpiewnym głosem, w którym pobrzmiwał lekki akcent z północnej Anglii, gdzie znajdowały się składy Tobiasa Pilastera. Wyraz jej twarzy wciąż ulegał fascynującym przemianom, kiedy śmiała się, marszczyła brwi i nos, wydymała wargi i przewracała oczyma. Spostrzegł, że miała jasne rzęsy i piegi również na nosie. Mimo swej dość niekonwencjonalnej urody bez wątpienia była najładniejszą kobietą w sali.

Hugh nie mógł odpędzić myśli, że ponieważ znalazła się tutaj - w Argyll Rooms, zapewne chciała się dziś wieczorem całować, przytulać, a może nawet „pójść na całego” z jednym spośród siedzących przy stoliku mężczyzn. Marzył o przespaniu się niemal z każdą napotkaną dziewczyną i bardzo wstydził się, że tyle i tak często o tym myślał. Ale normalnie mogło to nastąpić dopiero po zalotach, zaręczynach i małżeństwie. Z Maisie zaś możliwe było coś takiego jeszcze dziś w nocy!

Znowu dostrzegła jego spojrzenie i poczuł się zakłopotany w takim samym stopniu jak w towarzystwie Rachel Bodwin, kiedy czasami odgadywała, o czym w danej chwili myśli. Rozpaczliwie szukał jakiegoś tematu do rozmowy i wreszcie wykrztusił:

- Czy zawsze mieszkała pani w Londynie, panno Robinson?

- Jestem tu dopiero trzy dni - odparła.

Może to banalny temat, pomyślał, ale przynajmniej rozmawiamy.

- Tak niedawno? - zdziwił się. - A co robiła pani wcześniej?

- Podróżowałam - odrzekła i odwróciła się do Solly'ego.

- Aha - stwierdził. Wyglądało na to, że rozmowa się skończyła, i Hugh poczuł się rozczarowany. Maisie zachowywała się tak, jakby miała o coś do niego pretensję. Ale zlitowała się nad nim April i wyjaśniła:

- Maisie była przez cztery lata w cyrku.

- Dobry Boże! I co tam robiła? Maisie znowu popatrzyła w jego stronę.

- Woltyżerka na oklep - powiedziała. - Jazda na koniu stojąc, przeskakiwanie z jednego na drugiego, takie tam numery.

- Oczywiście, w trykotach - dodała April.

Myśl o Maisie ubranej w trykoty była niezwykle pociągająca. Hugh zacisnął nogi i zapytał:

- W jaki sposób się tam pani dostała?

Zawahała się, a potem chyba podjęła jakąś decyzję. Obróciła się na krześle, aby spojrzeć mu prosto w twarz. W jej oczach Pojawił się niebezpieczny błysk.

- Sprawa wyglądała następująco - zaczęła. - Mój ojciec Pracował w firmie Tobias Pilaster i Co. Pański ojciec oszukał go, nie wypłacając mu tygodniowych poborów.

A wtedy właśnie moja matka chorowała. Bez tych pieniędzy albo ja umarłabym z głodu, albo ona. Dlatego uciekłam z domu. Miałam wówczas jedenaście lat. Hugh poczuł, że się czerwieni.

- Nie wierzę, że mój ojciec kogokolwiek oszukał! - oburzył się. - A skoro miała pani wtedy zaledwie jedenaście lat, nie mogła pani chyba zrozumieć, co się stało.

- Ale rozumiałam, co to głód i zimno!

- Być może zawinił tu pani ojciec - upierał się Hugh, choć zdawał sobie sprawę, że postępuje nierozsądnie. - Nie powinien decydować się na dzieci, jeśli nie mógł ich wyżywić.

- Mógł! - eksplodowała Maisie. - Pracował jak niewolnik, ale wy ukradliście mu jego pieniądze!

- Mój ojciec zbankrutował, lecz nigdy nie kradł.

- Wychodzi na to samo!

- Wcale nie i jeżeli pani twierdzi, że jest inaczej, uważam panią za głupią i bezczelną!

Towarzystwo przy stoliku poczuło, że posunął się za daleko, i kilka osób zaczęło jednocześnie coś mówić.

- Nie warto sprzeczać się o coś, co zdarzyło się tak dawno temu - wtrącił się Tonio.

Hugh wiedział, że powinien już przestać, lecz wciąż był wściekły.

- Od kiedy ukończyłem trzynaście lat, muszę wysłuchiwać, jak rodzina Pilasterów nie pozostawia suchej nitki na moim ojcu, ale nie pozwolę, aby czyniła to jakaś

cyrkówka!

Maisie wstała gwałtownie. Jej oczy rzucały groźne błyski i przez chwilę Hugh myślał, że go spoliczkuje. Ona jednak oznajmiła:

- Zatańcz ze mną, Solly. Być może zanim muzyka przestanie grać, twój grubiański przyjaciel pójdzie sobie.

Sprzeczką Hugh'a z Maisie przerwała spotkanie. Solly z dziewczyną gdzieś się ulotnili, a pozostali postanowili obejrzyć walki szczurów. Wprawdzie były nielegalne, ale w odległości pięciu minut drogi od Piccadilly Circus znajdowało się pół tuzina ringów i Micky Miranda znał je wszystkie.

Kiedy wyszli z Argyll Rooms na ulice londyńskiej dzielnicy zwanej Babilonem, było już ciemno. Tutaj, niewidoczny z pałaców w Mayfair, ale wygodnie blisko do klubów dla dżentelmenów na St. James, wił się labirynt wąskich uliczek, gdzie zajmowano się hazardem, krwawymi sportami, paleniem opium, pornografią, a przede wszystkim prostytutką. Noc była gorąca, duszna i powietrze wypełniał odór gotowanych potraw, piwa i rysztołów. Micky i jego przyjaciele szli wolno środkiem zatłoczonej ulicy. Już w pierwszej minucie stary mężczyzna w pogniecionym cylindrze zaproponował mu sprzedaż tomiku sprośnych wierszy, młody człowiek o urozowanych policzkach mrugnął do niego zachęcająco, dobrze ubrana kobieta w jego wieku rozchyliła szybko żakiet, pokazując na chwilę piękne, nagie piersi, a starsza, odziana w łańchmany nędzarka zaproponowała mu stosunek z mniej więcej dziesięcioletnią dziewczynką o anielskiej twarzyczce. Budynki, najczęściej puby, sale tańca, burdele i tanie hoteliki miały okopcone mury i niewielkie brudne okienka, przez które od czasu do czasu można było dostrzec oświetlonych gazowymi lampami bawiących się ludzi. Po ulicy kręcili się podobni do Micky'ego eleganci w białych kamizelkach, urzędnicy i sklepikarze w melonikach, wytrzeszczający oczy na wszystko wieśniacy, żołnierze w porozpinanych mundurach, marynarze z kieszeniami jeszcze wypchanymi pieniędzmi i zaskakująco wiele spacerujących pod rękę szacownie wyglądających par ze średniej sfery.

Micky bawił się doskonale. Po raz pierwszy od kilku tygodni udało mu się uwolnić na wieczór od Taty. Czekali, aby Seth Pilaster umarł, i mogli wreszcie sfinalizować zakup karabinów, ale starzec uparcie trzymał się życia jak pijawka.

Wyprawy z ojcem do teatrzyków muzycznych i burdeli wcale nie były przyjemne, a poza tym Tato traktował go właściwie jak służącego i niekiedy kazał mu nawet czekać na zewnątrz, kiedy szedł do dziwki. Dzisiejszy wieczór był długo wyczekiwana ulgą.

Cieszył się również z ponownego spotkania z Sollym Greenbourne'em, wszak Greenbourne'owie byli bogatsi nawet od Pilasterów i Solly któregoś dnia mógł się okazać przydatny. Wcale natomiast nie sprawił mu radości widok Tonia Silvy. Tonio zbyt dużo wiedział o śmierci Petera Middletona. Siedem lat temu potwornie bał się Micky'ego i nawet dzisiaj wciąż spoglądał na niego z obawą, ale nie był to już ten sam lęk, Miranda poczuł się zaniepokojony, ale chwilowo nie wiedział, co z tym począć.

Skręcili z Windmill Street w wąski zaułek. Ze stosów śmieci błyskały w ich stronę oczy kotów. Sprawdziwszy, że reszta idzie za nim, wszedł do obskurnego pubu, przeprowadził ich przez salę do tylnych drzwi, następnie przez podwórko, gdzie

oświetlona księżycem prostytutka klęczała przed klientem, i otworzył drzwi przypominającego stajnię drewnianego rozpadającego się budynku. Ubrany w długi, zatłuszczony płaszcz mężczyzna o brudnej twarzy zażądał za wejście po cztery pensy od osoby. Edward zapłacił i wszyscy wkroczyli do środka. Wnętrze budynku było jaskrawo oświetlone, pełne dymu tytoniowego i paskudnego smrodu krwi i odchodów. Czterdziestu czy pięćdziesięciu mężczyzn i kilka kobiet stało wokół okrągłego ringu. Należeli do rozmaitych klas społecznych. Niektórzy byli w ciężkich wełnianych garniturach i w chustach w kropki na szyjach, inni we frakach albo wieczorowych strojach. Kobiety natomiast sprawiały najczęściej wrażenie osób równie podejrzanego konduity jak April. Niektórzy mężczyźni przyprowadzili ze sobą psy, które albo trzymali na rękach, albo przywiązali je do nóg krzesła.

Micky wskazał brodacza w tweedowej czapce, który trzymał na grubym łańcuchu psa w kagańcu. Niektórzy widzowie oglądali zwierzę z bliska. Pies był krępy, doskonale umięśniony, miał wielki łeb z potężnymi szczękami. Wyglądał na złego i niespokojnego.

- Ten będzie następny - poinformował ich Miranda.

Gdy Edward poszedł kupić drinki od kobiety z tacą, Micky odwrócił się do Tonia i odezwał do niego po hiszpańsku. Było to zdecydowanie niegrzeczne w stosunku do Hugh'a i April, którzy nie znali języka, ale Hugh był nikim, a April kimś nawet jeszcze mniej znaczącym i afront ten nie miał żadnego znaczenia.

- Co teraz porabiasz? - zapytał.

- Jestem attache w ambasadzie cordovańskiej w Londynie - odparł Silva.

- Doprawdy? - Micky był zaintrygowany. Większość południowoamerykańskich państw nie widziała sensu w utrzymywaniu przedstawicielstw dyplomatycznych w Londynie, ale Cordova od dziesięciu lat miała tu swojego posła. Niewątpliwie Tonio otrzymał stanowisko attache ze względu na liczne powiązania Silvów ze stolicą Cordovy, Palmą. Mirandowie zaś byli prowincjonalnymi latyfandytami i nie dysponowali takimi wpływami. - I co musisz robić?

- Odpowiadam na listy brytyjskich firm, które chcą prowadzić interesy w Cordovie.

Pytają o klimat, obiegowe pieniądze, transport wewnątrz kraju, hotele i tak dalej.

- Pracujesz cały dzień?

- Niezbyt często. - Tonio ściszył głos. - Nie mów nikomu, ale najczęściej muszę pisać zaledwie dwa lub trzy listy dziennie.

- Płacą ci? - Wielu dyplomatów było niezależnymi finansowo ludźmi, którzy pracowali za darmo.

- Nie. Ale mam pokój w rezydencji ambasadora, otrzymuję posiłki i dotację na ubranie. Opłacają również moje członkostwo w klubach.

Micky był pod wrażeniem. Taki rodzaj pracy doskonale by go urządził. Poczł ukłucie zazdrości. Darmowe mieszkanie i utrzymanie, pokrywanie podstawowych wydatków młodego, światowego człowieka w zamian za godzinę pracy każdego ranka!

Zaczął się zastanawiać, czy nie znalazłby się jakiś sposób, aby usunąć Tonia z jego stanowiska.

Wrócił Edward z pięcioma porcjami brandy w małych kieliszkach i rozdał je obecnym. Miranda wypił swoją jednym haustem. Alkohol był ostry i podłego gatunku.

Nagle pies zawarczał i zaczął gorączkowo biegać w kółko, napinając łańcuch.

Sierść na jego karku zjeżyła się. Micky rozejrzał się i zobaczył dwóch mężczyzn, nadchodzących z klatką pełną wielkich szczurów. Gryzonie były jeszcze bardziej podniecone niż pies. Biegały, depcząc się nawzajem, i piszczały z przerażenia. Wszystkie psy w sali zaczęły ujadać i gdy ich właściciele próbowali uciszyć je krzykiem, zapanował straszliwy harmider.

Wejście zamknięto od wewnątrz i mężczyzna w wyszmelcowanym płaszczu przystąpił do zbierania zakładów.

- Na Jowisza - powiedział Hugh Pilaster. - Nigdy jeszcze nie widziałem tak wielkich szczurów. Skąd je wzięli?

- Specjalnie je hodują do tego celu - wyjaśnił Edward i odwrócił się, aby porozmawiać z wnoszącymi szczury. - Ile wystąpi w tej walce?

- Sześć tuzinów - odparł mężczyzna.

- To znaczy, że wpuszczą na ring siedemdziesiąt dwa szczury - poinformował Edward.

- W jaki sposób robi się zakłady? - spytał Tonio.

- Stawiasz na psa albo na szczury. Jeżeli uznasz, że wygrają szczury, możesz się zakładać, ile ich pozostanie, gdy pies zdechnie.

Brudny mężczyzna wykrzykiwał stawki zakładów i zbierał pieniądze, w zamian rozdając kawałki papieru, na których grubym ołówkiem wypisywał cyfry.

Edward postawił suwerena na psa, a Micky szylinga na to, że przeżyje sześć szczurów, czyli jego stawka wynosiła pięć do jednego. Nudziarz Hugh, jak można się było spodziewać, postanowił się nie zakładać.

Ring miał około stu dwudziestu centymetrów głębokości i otoczony był tej samej wysokości drewnianym ogrodzeniem; umieszczone na nim w pewnych odstępach prymitywne świeczniki rzucały do środka silne światło. Psu zdjęto kaganiec i wpuszczono go na ring przez drewnianą bramkę, którą natychmiast dokładnie zamknięto. Stał na sztywno wyprostowanych nogach, ze zjeżoną sierścią na grzbiecie, wpatrzony przed siebie, i czekał na szczury. Mężczyźni podnieśli do góry klatkę z gryzoniami. Zapadła pełna napięcia cisza.

Nagle Tonio powiedział:

- Dziesięć gwinei na psa.

Zaskoczył Micky'ego. Z tego, co mówił o swojej pracy i jej warunkach finansowych, można by wnosić, że musiał bardzo ostrożnie wydawać pieniądze. Czyżby go oszukiwał? A może robił zakład, na który nie było go stać?

Bukmacher zawahał się. Dla niego zakład również był wysoki. Mimo to po chwili wypisał karteczkę, podał ją Toniowi i schował do kieszeni pieniądze. Mężczyźni przesunęli klatkę do przodu, zupełnie jakby zamierzali wrzucić ją na ring, po chwili otworzyła się umocowana na zawiasach kłapa i wyskoczyły piszczące szczury. April krzyknęła, zaskoczona, a Micky roześmiał się. Pies zabrał się do dzieła ze

śmiercionośnym skupieniem. Gdy gryzonie posypały się jak grad, jego szczęki zaczęły rytmicznie się zatrząskiwac. Chwytał szczura, łamał mu kręgosłup ostrym potrząśnięciem potężnego łba i odrzucał, by schwycić następnego.

Smród krwi przyprawiał o mdłości. Wszystkie psy jazgotały wściekle, a widzowie jeszcze potęgowali hałas. Widząc tę rzeź, kobiety piszczały, a mężczyźni zagrzewali do walki psa albo szczury. Micky śmiał się bez przerwy.

Dopiero po chwili gryzonie zorientowały się, że są uwięzione na ringu. Niektóre biegały wokół jego krawędzi, szukając drogi ucieczki, inne podskakiwały, bezskutecznie usiłując wspiać się po pionowych ścianach, bądź zbijały się w gromadę. Przez kilka sekund pies miał pełną swobodę działania i uśmiercił z tuzin napastników albo i więcej.

Aż nagle wszystkie szczury, jak na dany sygnał, odwróciły się, rzuciły na psa i zaczęły go kąsać w łapy, w zad i krótki ogon. Kilka wskoczyło mu na grzbiet, gryząc jego kark i uszy, jeden zatopił drobne, ostre zęby w dolną wargę i zawisł, kołyszając się na zabójczej dolnej szczęce, aż wreszcie pies zawył z wściekłością i uderzył nim o ziemię, uwalniając krwawiący pysk.

Pies wciąż obracał się w kółko, chwytając szczura za szczurem i zabijając je po kolei, ale za nim wciąż było ich więcej. Kiedy wreszcie zaczął słabnąć, połowa gryzoni była martwa. Ludzie, którzy postawili na przeżycie trzydziestu sześciu gryzoni, teraz rwali swoje kartki, ci zaś, którzy obstawili mniejszą liczbę, wiwatowali głośniej.

Pies miał ze dwadzieścia czy trzydzieści ran od ukąszeń i krwawił coraz mocniej, a ziemia w ringu stawała się śliska od Posoki jego i szczurów. Wciąż jednak machał wielkim łbem, miażdżąc kruche grzbiety w potężnych szczękach, ale jego ruchy nie były już tak szybkie i nogi nie zapierały się tak mocno w błotniste podłoże. Teraz, pomyślał Micky, sytuacja staje się interesująca. Szczury, czując zmęczenie przeciwnika, rozzuchwały się. Kiedy trzymał jednego w pysku, inny rzucał mu się do gardła. Przebiegały mu między nogami, pod brzuchem i atakowały bardziej wrażliwe części ciała. Jeden, szczególnie wielki gryzoń, wbił zęby w jego tylną nogę i nie puszczał. Pies obrócił się, chcąc go chwycić zębami, a wtedy drugi napastnik skoczył mu do pyska, odwracając jego uwagę. Tylna łapa psa zaczęła się pod nim uginać... Szczur musiał uszkodzić mu ścięgno, pomyślał Micky. I nagle pies zaczął kuleć.

Teraz poruszał się o wiele wolniej. Zupełnie jakby zdając sobie z tego sprawę, mniej więcej z tuzin pozostałych przy życiu gryzoni zaatakowało wyłącznie jego zad. Ze zmęczeniem chwytał je w pysk, łamał im grzbiety, i rzucał je na zakrwawioną ziemię. Ale cały jego brzuch był jedną krwawą masą i z całą pewnością nie mógł już długo pociągnąć. Całkiem mądrze obstawiłem, uznał Micky. Kiedy pies padnie, pozostanie te sześć szczurów. Nagle pies jakby otrzymał nowy zastrzyk energii. Obracając się na trzech nogach, zabił czterech napastników, jednego po drugim. Był to jednak jego ostatni wysiłek. Upuścił kolejnego i raptem łapy załamały się pod nim. Jeszcze raz obrócił głowę, aby schwycić kolejnego gryzonia, lecz tym razem nie złapał żadnego i głowa opadła mu na ziemię.

Szczury zaczęły jeść.

Micky policzył je - pozostało sześć.

Spojrzał na swoich towarzyszy. Hugh wyglądał, jakby zbierało mu się na wymioty.

Edward odezwał się do niego:

- Trochę za mocne jak dla ciebie, co?

- Pies i szczury zachowywały się tak, jak nakazywała im natura - odparł Hugh. - To ludzie wzbudzają we mnie obrzydzenie.

Kuzyn mruknął coś pod nosem i poszedł kupić następne drinki.

Oczy April błyszcząły, gdy popatrzyła na Tonia, człowieka, Którego - jak sądziła - stać było na przegranie dziesięciu gwinei. Micky przyjrzał się Silvie nieco dokładniej i zobaczył na jego twarzy cień paniki. Nie wierzę, że może sobie pozwolić na utratę tylu pieniędzy, pomyślał.

Odebrał od bukmachera wygraną - pięć szylingów. W każdym razie udało mu się zarobić tego wieczoru. Zarazem miał uczucie, że przy okazji dowiedział się o Toniu czegoś, co może się w końcu okazać o wiele więcej warte. To właśnie Micky wzbudził największe obrzydzenie Hugh'a. Przez całą walkę śmiał się histerycznie. Początkowo Hugh nie uświadamiał sobie, dlaczego ten śmiech wydaje mu się tak koszmarnie znajomy. Dopiero potem przypomniał sobie śmiech Mirandy w chwili, gdy Edward wrzucił ubranie Petera Middletona do stawu. Było to bardzo ponure wspomnienie.

Edward wrócił z brandy i zaproponował:

- Chodźmy do Nellie.

Przełknęli swoje porcje wódki i wyszli na zewnątrz. Na ulicy Tonio i April odłączyli się i wślizgnęli do budynku wyglądającego na tani hotel. Hugh domyślił się, że zamierzają wynająć pokój na godzinę, a może na całą noc. Zastanawiał się, dokąd prowadzą go Edward i Micky. Niezbyt dobrze się bawił, ale mimo to był ciekaw, jak jest w burdelu. Skoro postanowił zakosztować rozpusty, powinien bawić się do końca.

Lokal „U Nellie” mieścił się przy Princes Street, niedaleko Leicester Square.

Przy drzwiach stali dwaj odźwierni, którzy odprowadzali właśnie jegomościa w meloniku.

- Tylko stroje wieczorowe - wyjaśnili w odpowiedzi na protesty owego mężczyzny w średnim wieku.

Wydawało się, że znają Edwarda i Micky'ego, ponieważ jeden z nich przyłożył dłoń do kapelusza, a drugi otworzył Przed nimi drzwi. Przeszli długim korytarzem do następnych drzwi. Obejrzano ich uważnie przez judasz, po czym wpuszczono do środka.

Wnętrze przypominało duży salon wielkiego londyńskiego domu. W dwóch potężnych kominkach płonął ogień, wszędzie stały sofy, fotele i małe stoliki, a cały pokój wypełniali mężczyźni i kobiety w wieczorowych strojach.

Po chwili jednak można się było zorientować, że nie jest to zwykły salon.

Większość panów była w kapeluszach. Mniej więcej połowa paliła, na co nie pozwalano w przyzwoitych salonach, a niektórzy zdjęli marynarki i muszki.

Przeważały kobiety kompletnie ubrane, ale kilka z nich miało na sobie chyba tylko bieliznę. Niektóre siedziały na kolanach mężczyzn, inne ich całowały, a jedna czy dwie pozwalały na dość śmiałe pieszczoty.

Po raz pierwszy w życiu Hugh znalazł się w burdelu.

Było tu hałaśliwie. Mężczyźni głośno opowiadali dowcipy, kobiety śmiały się, a ukryty gdzieś skrzypek grał walca. Hugh przeszedł za Mickym i Edwardem przez cały pokój. Na ścianach wisiały obrazy przedstawiające nagie kobiety oraz kopulujące pary i Hugh poczuł ogarniające go podniecenie. Na drugim końcu sali, pod olbrzymim olejnym malowidłem prezentującym plenerową orgię, siedziała najbardziej tęga osoba, jaką kiedykolwiek widział - mocno wymalowana kobieta o ogromnym biuście, ubrana w jedwabną suknię rozmiarami przypominającą purpurowy namiot. Tkwiła w wielkim, podobnym do tronu fotelu, otoczona przez dziewczyny.

Za nią znajdowały się wyłożone czerwonym dywanem szerokie schody, które zapewne prowadziły do sypialń.

Edward i Micky podeszli do tronu i ukłonili się. Hugh zrobił to samo.

- Nell, kochanie - powiedział Edward - pozwól, że ci przedstawię mojego kuzyna, pana Hugh'a Pilastera.

- Witajcie, chłopcy - odparła madame. - Chodźcie i zabawcie te piękne dziewczęta.

- Za chwileczkę, Nell. Czy dzisiaj się gra?

- U mnie zawsze się gra - rzekła i gestem dłoni wskazała drzwi z boku pokoju. Edward skłonił się ponownie i zapewnił:

- Jeszcze tu wrócimy.

- Nie sprawcie mi zawodu, chłopcy! Ruszyli dalej.

- Zachowuje się jak królowa! - mruknął Hugh. Kuzyn roześmiał się.

- To najwyższej klasy dom publiczny w Londynie. Niektórzy z tych, którzy dziś wieczorem kłaniają się przed nią, jutro rano będą kłaniali się przed królową. Przeszli do następnego pokoju, gdzie dwunastu czy piętnastu mężczyzn siedziało wokół dwóch stołów do bakarata. Gracze przesuwali kolorowe żetony za namalowaną w odległości około trzydziestu centymetrów od krawędzi stołu linię, starając się umieścić swoje zakładki. Prawie obok każdego z nich stały kieliszki, a powietrze było gęste od dymu cygar.

Przy jednym ze stołów stało kilka pustych krzeseł i Edward wraz z Mickym natychmiast je zajęli. Kelner przyniósł im kilka żetonów i obaj podpisali rewery. Hugh zapytał cicho kuzyna.

- Jaka jest stawka?

- Minimum funt.

Przyszło mu do głowy, że gdyby grał i wygrał, byłoby go stać na którąś z kobiet w sąsiednim pokoju. Nie miał przy sobie całego funta, ale Edwardowi najwidoczniej przysługiwał tu niemały kredyt... W tej samej jednak chwili przypomniał sobie Tonia i jego przegraną na walce szczurów.

- Nie będę grał - oznajmił.

- Nawet nam to nie przyszło do głowy - odparł wolno Micky.

Hugh poczuł się niezręcznie. Przez moment zastanawiał się, czy nie poprosić kelnera o drinka, ale doszedł do wniosku, że pewnie kosztowałby go tygodniową pensję.

Krupier rozdał karty i Micky z Edwardem obstawili. Hugh postanowił się wycofać.

Powrócił do głównego salonu. Gdy przyjrzał się bliżej meblom, stwierdził, że jest to właściwie tandeta. Na pluszowych obiciach widniały plamy, wypoliturowane drewno nosiło ślady przypaleń cygarami, a dywany były poplamione i podarte. Obok niego klęczał pijany mężczyzna, śpiewając do dziwki, a jego dwaj przyjaciele ryczeli ze śmiechu. Na sofie jakaś para całowała się otwartymi ustami. Hugh słyszał, że ludzie tak robią, ale nigdy tego nie widział. Stojąc nieruchomo, obserwował jegomościa, który rozpiął z przodu suknię kobiety i zaczął pieścić jej piersi. Były białe i zwiotczałe, z wielkimi ciemnoczerwonymi sutkami. Scena ta wzbudziła w nim obrzydzenie, a zarazem podnieciła go - poczuł, że sztywnieje mu penis. Mężczyzna na sofie pochylił głowę nad piersiami kobiety i zaczął je całować.

Hugh nie mógł uwierzyć własnym oczom: prostytutka spojrzała znad głowy klienta, dostrzegła wzrok młodego człowieka i mrugnęła do niego.

- Możesz zrobić to samo ze mną, jeśli chcesz - szepnął mu do ucha czyjś głos.

Z poczuciem winy obejrzał się gwałtownie, jakby przyłapano go na robieniu czegoś wstydliwego. Obok niego stała mocno wymalowana, ciemnowłosa dziewczyna mniej więcej w jego wieku. Nie mógł się powstrzymać, żeby nie zerknąć na jej biust, po czym z zakłopotaniem szybko odwrócił oczy.

- Nie krępuj się - powiedziała. - Patrz, ile chcesz. Są po to, abyś się nimi cieszył.

Z przerażeniem poczuł jej dłoń na swoim kroczu. Odnalazła jego sztywny członek i ścisnęła go.

- Do licha, jesteś już podniecony - stwierdziła.

Hugh cierpiał szczególną torturę. Miał wrażenie, że lada chwila eksploduje.

Dziewczyna podniosła głowę i pocałowała go w usta, jednocześnie pocierając jego penis.

To przepełniło miarę. Nie był już w stanie się opanować i poczuł wytrysk.

Dziewczyna spostrzegła to, przez chwilę patrzyła zaskoczona, a potem wybuchnęła śmiechem.

- Mój Boże, jesteś prawiczkim! - zawołała na głos, a potem, ku ostatecznemu jego upokorzeniu, rozejrzała się i poinformowała najbliższej stojącą dziewczkę: - Tylko go dotknęłam, a już się spuścił! - Kilka osób roześmiało się.

Hugh obrócił się na pięcie i ruszył w stronę wyjścia. Musiał się powstrzymać, żeby nie zacząć biec. W końcu jednak dotarł do drzwi i po chwili znalazł się na ulicy.

Na dworze nieco się ochłodziło, nabrał więc głęboko powietrza i stanął, aby trochę się uspokoić. Jeżeli tak wyglądała rozpusta, to wcale mu się nie podobała.

Maisie źle wyraziła się o jego ojcu, walki szczurów były obrzydliwe, kurwy wyśmiały go. Cała ta banda mogła iść sobie do diabła.

Odźwierny spojrzał na niego ze współczuciem.

- Postanowił pan wcześniej skończyć noc, proszę pana?

- Cóż za wspaniały pomysł - odparł Hugh i ruszył przed siebie.

Micky tracił pieniądze. Mógłby oszukiwać w bakaracie, gdyby trzymał bank, ale dziś

wieczorem bank nie doszedłby do niego. Poczuł w głębi ducha ulgę, kiedy Edward oznajmił wreszcie:

- Weźmy sobie parę dziewczyn.

- No to idź - odparł, udając, że wcale mu na tym nie zależy. - Będę grał dalej. W oczach Edwarda pojawił się błysk lęku.

- Robi się już późno.

- Próbuję się odegrać - upierał się Micky.

- Zapłacę za twoje żetony - powiedział cicho przyjaciel. Miranda udał, że się waha, i w końcu się poddał.

- Och, no dobrze. Pilaster uśmiechnął się.

Uregulował rachunek i wrócili do głównego salonu. Niemal natychmiast do Edwarda podeszła piersiasta blondynka. Objął ją za nagie ramiona i dziewczyna przycisnęła biust do jego torsu.

Micky przyglądał się dziewczynom. Zwróciła jego uwagę nieco starsza kobieta o sympatycznie rozwiązłym wyglądem. Uśmiechnął się do niej - i już była przy nim.

Oparła dłoń na gorsie jego koszuli, wbijając mu paznokcie w klatkę piersiową, stanęła na palcach i lekko ugryzła go w dolną wargę.

Dostrzegł, że obserwuje go czerwony z podniecenia Edward. On również poczuł pożądanie. Spojrzał na dziwkę.

- Jak masz na imię? - zapytał.

- Alice.

- Chodźmy na górę, Alice - zaproponował.

Poszli całą czwórką. Na podeście stała marmurowa rzeźba Przedstawiająca centaura z wielkim, sztywnym penisem. Gdy Przechodzili obok, Alice potarła go dłonią. Tuż obok posągu Jakaś para kopulowała na stojąco, nie zwracając uwagi, że obserwuje ich siedzący na podłodze pijany mężczyzna.

Kobiety skierowały się do osobnych pokoi, ale Edward zaprowadził je do jednego.

- Dziś wieczorem bawimy się wspólnie, chłopcy? - zapytała Alice.

- Oszczędzamy pieniądze - odparł Micky, a jego przyjaciel wybuchnął śmiechem.

- Chodziliście razem do szkoły, co? - stwierdziła ze znajomością rzeczy, zamykając drzwi. - Pewnie trzepaliście sobie nawzajem kapucyna?

- Zamknij się - rozkazał Micky, obejmując ją.

Kiedy całował dziewczynę, Edward stanął z tyłu i chwycił za jej piersi. Wyglądało, jakby się nieco zdziwiła, ale nie protestowała. Micky poczuł ręce przyjaciela przesuwające się między ciałem kobiety a jego własnym i zorientował się, że Edward ociera się o jej tyłek. Po chwili druga prostytutka zapytała:

- A co ja mam robić? Czuję się trochę opuszczona.

- Ściągaj majtki - odparł Edward. - Jesteś następna w kolejce.

Rozdział trzeci - Lipiec

Jako mały chłopiec Hugh sądził, że Bank Pilasterów jest własnością posłańców. Ludzie ci byli w rzeczywistości zaledwie gońcami, ale wszyscy wyglądali dość zażywnie i nosili nienagane surduty oraz kamizelki, z których kieszonek zwisały srebrne dewizki zegarków. Poruszali się po banku z tak majestatyczną godnością, że dziecku mogło się wydawać, iż są tu najważniejszymi osobami. Dziesięcioletniego wówczas Hugh'a przyprowadził do banku jego dziadek, brat starego Setha. Mieszcząca się na parterze, wyłożona marmurem sala kasowa sprawiała wrażenie kościoła - była wielkim, cichym i pięknym miejscem, gdzie wybrani kapłani odprawiali niezrozumiałe obrządki poświęcone bóstwu zwanemu Pieniądzem. Dziadek pokazał mu cały bank - ciche, wyłożone dywanami drugie piętro, zajmowane przez partnerów i ich urzędników prowadzących korespondencję, gdzie małego Hugh'a poczęstowano w Pokoju Partnerów kieliszkiem sherry i herbatnikami. Trzecie piętro pełne było bardzo przejętych starszych urzędników, którzy siedzieli w okularach na nosach przy stołach, obłożeni plikami papierów przewiązanych przypominającymi wstążki tasiemkami. Widział też najwyższe Piętro, gdzie młodszy urzędnicy - jak jego ołowiane żołnierzyki - tkwili w równych szeregach za wysokimi biurkami i trzymanymi w zabrudzonych atramentem palcach piórami wpisywali do ksiąg kolejne pozycje. Ale najciekawsze dla Hugh'a były podziemia, gdzie w skarbcach trzymano kontrakty starsze nawet od jego dziadka i gdzie tysiące znaczków pocztowych czekały na polizanie, a jeden pokój cały był wypełniony ogromnymi szklanymi słojami z atramentem. Zdumiał go wówczas ten dziwny proces: atrament dostarczano do banku, urzędnicy zapisywali nim papiery, które potem wracały do podziemi, na wieczne przechowanie, i w jakiś sposób dzięki temu powstawały pieniądze.

Obecnie jednak owa tajemnica dawno się ulotniła. Wiedział już, że potężne, oprawne w skórę księgi nie zawierały magicznych tekstów, ale zwykle, pracowicie zestawiane i skrupulatnie aktualizowane spisy transakcji finansowych. Teraz całymi dniami sporządzał takie wpisy, wskutek czego jego własne palce bolały i były poplamione atramentem. Weksel przestał być magicznym zaklęciem i stał się zwyczajną, zapisaną na papierze i zagwarantowaną przez bank obietnicą zwrócenia w konkretnym dniu określonej sumy pieniędzy. Dyskontowanie, które jako dziecko uznał za liczenie do tyłu od stu do jednego, okazało się wykupywaniem weksli nieco poniżej ich wartości, przetrzymywaniem ich do daty wykupu i otrzymywaniem z tego niewielkiego zysku.

Hugh był pomocnikiem kierownika biura, Jonasa Mulberry'ego, łysego mężczyzny

około czterdziestki, życzliwego, choć nieco zgorzkniałego. Jonas nigdy nie szczędził czasu, aby wyjaśnić mu wszystko, co trzeba, ale bardzo szybko potrafił odnaleźć błąd, jeżeli jego podwładny pracował niestarannie lub zbyt pośpiesznie.

Hugh, który podlegał mu bezpośrednio od roku, wczoraj popełnił poważną pomyłkę - zapodział gdzieś kwit załadunku partii bradfordzkiego sukna wysłanego do Nowego Jorku. Producent z Bradfordu znajdował się na dole, w sali kasowej, i domagał się pieniędzy, ale Mulberry przed potwierdzeniem wypłaty musiał najpierw sprawdzić kwit, którego Hugh nie mógł znaleźć. W końcu trzeba było poprosić klienta, aby przyszedł następnego dnia.

Wreszcie Hughowi udało się odszukać dokument, lecz martwił się tym przez całą prawie noc, a rano wymyślił nowy system przygotowywania papierów dla przełożonego.

Na stole przed nim znajdowały się dwie tanie drewniane tace, dwie podłużne kartki, gęsie pióro i kałamarz. Na jednej karcie napisał wolno i starannie:

Do załatwienia przez Kierownika Biura

A na drugiej:

Załatwione przez Kierownika Biura

Potem dokładnie osuszył napisy i przymocował kartki do tac. Następnie postawił je na stole Jonasa Mulberry'ego i cofnął się, aby podziwiać swoje dzieło. W tej samej chwili wszedł przełożony.

- Dzień dobry, panie Hugh - powitał go. W banku zwracano się w ten sposób do wszystkich członków rodziny, w przeciwnym bowiem razie łatwo można by się było pogubić w licznych Pilasterach.

- Dzień dobry, panie Mulberry.

- A cóż to takiego, u licha? - spytał z irytacją Mulberry, spoglądając na tace.

- No cóż - zaczął Hugh. - Znalazłem kwit załadunkowy.

- Gdzie był?

- Zaplątał się między podpisane przez pana listy. Mulberry zmrużył oczy.

- Chcesz powiedzieć, że to moja wina?

- Ależ nie - odparł szybko Hugh. - Utrzymanie porządku w pańskich papierach należy do moich obowiązków. Dlatego właśnie wprowadziłem te tace - żeby oddzielić dokumenty spraw, które już pan załatwił, od tych, do których jeszcze pan nie zajrzał.

Przełożony mruknął coś wymijająco. Powiesił melonik na haku za drzwiami i usiadł przy stole. Wreszcie oznajmił:

- Wypróbujemy to... Może się okazać całkiem pożyteczne. Ale następnym razem proszę łaskawie porozumieć się ze mną przed wprowadzeniem swoich genialnych pomysłów. W końcu to mój pokój i ja jestem kierownikiem biura.

- Oczywiście - zapewnił Hugh. - Bardzo przepraszam. - Zdawał sobie sprawę, że powinien był poprosić Mulberry'ego o pozwolenie, ale przejęty nowym pomysłem nie miał cierpliwości czekać.

- Wczoraj zakończono emisję rosyjskiej pożyczki - ciągnął Mulberry. - Chciałbym, żeby zszedł pan na dół do pokoju pocztowego i zorganizował przeliczenie subskrypcji.

- Tak jest.

Bank zaciągał pożyczkę dwóch milionów funtów dla rządu rosyjskiego. Wydał stufuntowe obligacje, które dawały pięć procent odsetek w stosunku rocznym. Sprzedawano je jednak za dziewięćdziesiąt trzy funty, dzięki czemu stopa odsetek wynosiła ponad pięć i trzy ósme procent. Większość obligacji zakupiły inne banki w Londynie i Paryżu, niektóre jednak przeznaczono do sprzedaży publicznej i teraz należało przeliczyć zgłoszenia.

- Miejmy nadzieję, że otrzymaliśmy więcej zamówień, niż jesteśmy w stanie zrealizować - stwierdził kierownik.

- Dlaczego?

- Bo ci chętni, którym się nie powiodło, będą próbowali kupić jutro obligacje w wolnej sprzedaży, co podniesie ich cenę być może do dziewięćdziesięciu pięciu funtów. W ten sposób wszyscy nasi klienci nabiorą przekonania, że zrobili dobry interes.

Hugh skinął głową.

- A jeżeli zgłoszeń będzie mniej?

- Wtedy bank jako poręczyciel musiałby wykupić nadwyżkę po dziewięćdziesiąt trzy funty. Jutro cena mogłaby spaść do dziewięćdziesięciu dwóch albo dziewięćdziesięciu jeden funtów i ponieśliśmy stratę.

- Rozumiem.

- No to do roboty.

Hugh opuścił znajdujące się na trzecim piętrze biuro Mulberry'ego i zbiegł po schodach. Był uszczęśliwiony, że kierownik zaakceptował pomysł tacek, a jednocześnie odczuwał ulgę, że nie ma większych kłopotów w związku z kwitem załadunkowym. Gdy dotarł na drugie piętro, gdzie znajdował się Pokój Partnerów, zobaczył Samuela Pilastera, ubranego jak z igły w srebrzystoszary surdut i granatowy krawat.

- Dzień dobry, wuju Samuelu - powiedział.

- Dzień dobry, Hugh. Dokąd zmierzasz? - Okazywał młodemu kuzynowi więcej zainteresowania niż inni partnerzy.

- Policzyć zgłoszenia na rosyjską pożyczkę. Samuel uśmiechnął się, pokazując nierówne zęby.

- Nie pojmuję, jak można tak cieszyć się nadchodzącym dniem, kiedy ma się w perspektywie coś takiego!

Hugh schodził dalej po schodach. W rodzinie zaczynało szeptać sobie do uszu opowieści o wuju Samuelu i jego sekretarzu. Hugh wcale nie był tym zaskoczony. Kobiety i księża mogli uznawać seks między mężczyznami za zboczenie, ale przecież coś takiego przez cały czas działo się w szkołach podobnych do Windfield i nikomu nie wyrządzało krzywdy. Dotarł na parter i wszedł do imponującej sali kasowej. Było

dopiero w pół do dziesiątej i tuziny urzędników pracujących u Pilasterów wchodziły wciąż przez wielkie frontowe drzwi, wnosząc zapachy bekonu usmażonego na śniadanie i pociągów metra. Hugh skinął głową pannie Greengrass, jedynej urzędnicze w całym banku. Rok temu, kiedy ją tu zatrudniono, cały bank dyskutował zażarcie, czy kobieta może wykonywać taką pracę. Spór rozstrzygnęła ona sama, udowadniając, że jest wyjątkowo kompetentną osobą. Hugh przypuszczał, że w przyszłości będzie więcej urzędniczek. Schodami na zapleczu zszedł do sutereny i udał się do pokoju pocztowego. Dwaj posłańcy sortowali pocztę. Zgłoszenia na rosyjską pożyczkę wypełniły już duży worek. Hugh postanowił, że dwaj młodszy urzędnicy zsumują zgłoszenia, a on sprawdzi rachunki.

Praca zajęła większą część dnia. Było kilka minut po czwartej, kiedy sprawdził ostatnią paczkę i dodał ostatnią kolumnę cyfr. Subskrypcji emisji nie zrealizowano w pełni. Pozostały niesprzedane obligacje na sumę nieco ponad stu tysięcy funtów. Nie było to dużo jak na emisję o wartości dwu milionów funtów, ale istniała olbrzymia psychologiczna różnica między nadwyżką zamówień a ich niedoborem i partnerzy mogli okazać się rozczarowani.

Wypisał rezultat na czystym arkuszu papieru i ruszył w poszukiwaniu Mulberry'ego. Sala kasowa była już cicha i spokojna. Kilku klientów stało przy długim, wypolituowanym do połysku kontuarze, za którym urzędnicy zdejmowali ogromne księgi z półek i stawiali je z powrotem. Pilasterowie nie prowadzili wielu rachunków osobistych. Był to bank handlowy, udzielający handlowcom kredytów na sfinansowanie ich przedsięwzięć. Jak powiedziałyby stary Seth, Pilasterowie nie byli zainteresowani liczeniem zabrudzonych pensów z zarobków sklepikarza ani wymiętoszonych banknotów krawca, ponieważ przynosiły niewielki dochód. Ale cała rodzina miała swoje konta w banku i możliwość taką stworzono też nielicznym bardzo bogatym klientom. Hugh właśnie dostrzegł jednego z nich - sir Johna Cammela, którego syn uczył się razem z nim do szkoły w Windfield. Sir John był szczupłym mężczyzną o łysej głowie, właścicielem dochodowych kopalni węgla i portów w Yorkshire. Teraz chodził tam i z powrotem po marmurowej posadzce ze zniecierpliwioną i poirytowaną miną.

- Dobry wieczór, sir Johnie - powiedział Hugh. - Mam nadzieję, że zajęto się panem?

- Nie, mój chłopcze. Czy nikt tu nie pracuje?

Hugh rozejrzał się szybko wokoło. Nie zauważył żadnego z partnerów czy starszych urzędników. Postanowił przejawić inicjatywę.

- Czy zechciałby pan wejść na górę, do Pokoju Partnerów, proszę pana? Wiem, że bardzo ucieszy ich pańska wizyta.

- Dobrze.

Hugh zaprowadził go na górę. Wszyscy partnerzy pracowali w tym samym pokoju - dzięki temu, zgodnie z tradycją, mieli jeden drugiego na oku. Pokój był urządzone jak czytelnia w klubie dla dżentelmenów: znajdowały się w nim skórzane sofy, szafy biblioteczne i stół z gazetami. Z wiszących na ścianach, oprawionych w ramy portretów spoglądały na swoich potomków poprzednie generacje Pilasterów. Pokój był pusty.

- Jestem pewien, że któryś z nich lada chwila powróci - oznajmił Hugh. - Czy mogę

panu zaproponować kieliszek madery? - Podszedł do kredensu i nalał solidną porcję, sir John tymczasem usadowił się w skórzanym fotelu. - A przy okazji chciałbym się przedstawić. Jestem Hugh Pilaster.

- Ach tak? - Sir John wydawał się nieco udobruchany faktem, że rozmawia z Pilastrem, nie zaś ze zwykłym młodym pracownikiem. - Chodziłeś do Windfield?

- Tak jest, proszę pana. Razem z pańskim synem Albertem. Nazywaliśmy go „Garbusem”.

- Wszystkich Cammelów tak nazywano Jest to gra słów: camel po angielsku znaczy „wielbłąd”.

- Nie widziałem go od... od tamtego czasu.

- Pojechał do Kraju Przylądkowego i tak mu się tam spodobało, że nie wrócił. Hoduje obecnie konie.

Albert Cammel znajdował się nad stawem tego nieszczęśliwego dnia w tysiąc osiemset sześćdziesiątym szóstym roku. Hugh nigdy nie słyszał jego wersji utonięcia Petera Middletona.

- Chciałbym do niego napisać - oznajmił Hugh.

- Jestem pewien, że ucieszy go list od dawnego kolegi szkolnego. Dam ci jego adres. - Sir John podszedł do stołu, zanurzył pióro w kałamarzu i szybko napisał coś na kartce. - Proszę.

- Dziękuję panu. - Hugh z satysfakcją zauważył, że klient Banku Pilasterów jest już w całkiem niezłym humorze. - Czy mógłbym jeszcze coś dla pana zrobić?

- No cóż, może mógłbyś mi to załatwić - rzekł Cammel, wyjmując z kieszeni czek. Hugh spojrzał na niego. Opiewał na sto dziesięć tysięcy funtów i była to największa suma na prywatnym czeku, z jaką kiedykolwiek miał do czynienia. - Właśnie sprzedałem sąsiadowi kopalnię węgla - wyjaśnił sir John.

- Z całą pewnością mogę go dla pana zdeponować.

- Jaki otrzymam procent?

- W obecnej chwili cztery procent.

- Sądzę, że to wystarczy.

Hugh zawahał się. Przyszło mu do głowy, że gdyby udało mu się namówić sir Johna do zakupu rosyjskich obligacji, niewielki niedobór sprzedaży emisji pożyczki przekształciłby się w niewielką nadwyżkę. Czy powinien o tym wspomnieć? Już przekroczył swoje uprawnienia, przyprowadzając gościa do Pokoju Partnerów. Postanowił zaryzykować.

- Mógłby pan otrzymać pięć i trzy ósme, kupując rosyjską pożyczkę. Sir John zmrużył oczy.

- Mógłbym zrobić to teraz?

- Tak. Wprawdzie subskrypcję zamknięto wczoraj, ale dla pana...

- Czy są bezpieczne?

- Tak bezpieczne jak rosyjski rząd.

- Zastanowię się.

Hugh dał się już ponieść zapałowi i bardzo chciał sfinalizować sprzedaż. - Jak pan na pewno wie, jutro stopa może być już inna. Kiedy obligacje pojawiają się na wolnym rynku, cena podniesie się lub spadnie. - W tej samej chwili jednak uznał, że staje się zbyt natarczywy, i wycofał się. - Natychmiast przeleję ten czek na pańskie konto, a jeżeli jest pan zainteresowany, proszę porozmawiać na temat obligacji z jednym z moich stryjów.

- W porządku, młody Pilasterze... Załatw to.

Hugh wyszedł i w korytarzu natknął się na Samuela.

- Wuju, sir John Cammel jest tutaj - powiedział. - Natknąłem się na niego w sali kasowej, a ponieważ wyglądał na bardzo poirytowanego, zaproponowałem mu kieliszek madery. Mam nadzieję, że postąpiłem właściwie?

- Jestem tego pewien - oznajmił Samuel. - Zajmę się nim.

- Przyniósł czek na sto dziesięć tysięcy. Wspomniałem mu o rosyjskiej pożyczce - jest w tym momencie niedobór sprzedaży na mniej więcej sto tysięcy. Samuel uniósł brwi.

- Postąpiłeś zbyt pochopnie.

- Powiedziałem mu jedynie, że mógłby porozmawiać z jednym z partnerów na jej temat, jeżeli chciałby uzyskać wyższą stopę procentową.

- Dobrze. To był niezły pomysł.

Hugh wrócił do sali kasowej, wyjął księgę sir Johna i wpisał depozyt, a potem zaniósł czek do urzędnika przeprowadzającego rozliczenia. Następnie udał się na trzecie piętro do biura Mulberry'ego. Przekazał mu kartkę zawierającą wynik sprzedaży obligacji rosyjskich, napomknął o możliwości wykupienia różnicy przez sir Johna Cammela i usiadł przy swoim stole.

Wszedł goniec z herbatą i chlebem z masłem na tacy. Ten lekki posiłek podawano wszystkim urzędnikom, którzy pozostawali w biurze po czwartej trzydzieści. Kiedy zajęć było niewiele, większość osób wychodziła o czwartej. Pracownicy bankowi stanowili elitę urzędniczą. Ludzie zatrudnieni w biurach handlowych i spedycyjnych, którzy często pracowali do późna, a czasami nawet przez całą noc, bardzo zazdrościli im tego statusu. Chwilę później wszedł Samuel i podał Mulberry'emu kilka dokumentów.

- Sir John kupił obligacje - poinformował Hugh'a. - Dobra robota... Świetnie wykorzystasteś sposobność.

- Dziękuję.

Samuel spojrział na biurko Mulberry'ego i zauważył tace z napisami.

- Co to takiego? - zapytał z ciekawości. - „Do załatwienia przez Kierownika Biura”, „Załatwione przez Kierownika Biura”.

- Dzięki temu można będzie rozdzielać przychodzące i wychodzące dokumenty. Uniknie się pomyłek.

- Znakomity pomysł. Myślę, że mnie również przydałoby się coś takiego.

- Prawdę mówiąc, panie Samuele, to był projekt młodego pana Hugh'a. Samuel spojrział z rozbawieniem na kuzyna.

- Widzę, że jesteś sprytny, mój chłopcze.

Hugh nieraz słyszał, że jest zbyt pewny siebie, więc tym razem zaczął udawać pokorę.

- Och, tyle jeszcze muszę się nauczyć.

- No, no, bez fałszywej skromności. Powiedz mi coś. Gdybyś przestał pracować dla pana Mulberry'ego, czym chciałbyś się zająć?

Hugh nie musiał zastanawiać się nad odpowiedzią. Najbardziej pożądaną funkcją było stanowisko korespondenta. Większość urzędników stykała się tylko z częścią transakcji, ale korespondent, sporządzający listy dla klientów, miał wgląd w całość.

Było to najlepsze stanowisko, aby jak najwięcej się uczyć i najlepsze do uzyskania awansu. A korespondent wuja Samuela, Bili Rose, zamierzał właśnie odejść na emeryturę.

Hugh odparł więc bez wahania:

- Chciałbym zostać korespondentem wuja.

- Już teraz? Po roku pracy w banku?

- Kiedy pan Rose odejdzie, minie już osiemnaście miesięcy.

- Rzeczywiście. - Samuel wciąż sprawiał wrażenie rozbawionego, ale nie odparł „nie”. - Zobaczymy, zobaczymy - oznajmił i wyszedł.

- Poradziłeś sir Johnowi Cammelowi, żeby kupił nadwyżkę rosyjskich obligacji? - zapytał Mulberry Hugh.

- Tylko mu o nich wspomniałem.

- No, no - pokręcił głową kierownik. - No, no. - I przez kilka następnych minut siedział, wpatrując się w niego z namysłem.

Było słoneczne niedzielne popołudnie i wszyscy londyńczycy wyszli na przechadzkę w swoich najlepszych odświętnych ubraniach. Na szerokiej alei Piccadilly nie było żadnego ruchu ulicznego. Maisie Robinson i April Tilsley szły wzdłuż Piccadilly, oglądając pałace bogaczy i próbując zaczepiać mężczyzn. Mieszkały w Soho. Zajmowały jeden pokój w ruderze na Camaby Street, niedaleko przytułku St. James. Wstawały koło południa, ubierały się starannie i wychodziły na ulicę. Do wieczora zazwyczaj spotykały paru facetów, którzy stawiali im obiady.

Jeżeli nie, szły spać głodne. Prawie nie miały pieniędzy, ale niewiele też potrzebowały. Kiedy trzeba było płacić czynsz, April prosiła aktualnego przyjaciela o „pożyczkę”. Maisie zawsze nosiła to samo ubranie i co wieczór prała bieliznę. Ktoregoś dnia może ktoś kupi jej nową suknię. Prędzej czy później - miała nadzieję - jeden z mężczyzn, którzy fundowali jej obiady, albo zechce się z nią ożenić, albo weźmie ją jako kochankę.

April wciąż była podniecona spotkaniem z facetem z Ameryki Południowej, Toniem Silva.

- Tylko pomyśl, stać go na przegranie w zakładzie dziesięciu gwinei! - powiedziała. - A ja zawsze lubiłam rude włosy.

- A mnie ten jego rodak, ten ciemny, wcale się nie spodobał. - odparła Maisie.

- Micky? Jest wspaniały.

- Tak, ale jest w nim coś paskudnego. April wskazała duży budynek.
- To dom ojca Solly'ego.

Stał z dala od ulicy i przypominał grecką świątynię, z szeregiem kolumn sięgających aż po dach. Od frontu był półkolisty podjazd. Na wielkich drzwiach wejściowych lśnił mosiądz, a w oknach widniały czerwone pluszowe zasłony.

- Tylko pomyśl - ciągnęła April. - Któregoś dnia mogłabyś tu mieszkać. Maisie pokręciła głową.

- Nie ja.

- Takie rzeczy już się zdarzały - zapewniła April. - Musisz po prostu być bardziej namiętna niż dziewczyny z wyższych sfer, co nie jest takie trudne. A kiedy już wyjdiesz za mąż, w mgnieniu oka nauczysz się elegancko mówić i wszystkiego innego. Zresztą ładnie się wysławiasz już teraz, z wyjątkiem chwil, gdy się złościś. A Solly jest miłym chłopcem.

- Miłym, tłustym chłopcem - odparła z grymasem Maisie.

- Ale jakim bogatym! Podobno jego ojciec trzyma w swojej wielkiej rezydencji orkiestrę symfoniczną, po prostu na wypadek, gdyby ktoś zechciał posłuchać muzyki po obiedzie! Maisie westchnęła. Nie miała ochoty myśleć o Sollym.

- Gdzie poszliście, kiedy nakrzyczałam na tego chłopaka, Hugh'a?

- Na walki szczurów. A potem Tonio zabrał mnie do hotelu „Batt”.

- Zrobiłaś to z nim?

- Oczywiście! Jak myślisz, po co się chodzi do hotelu?

- Żeby grać w wista? Zachichotały.

Po chwili April spojrzała podejrzliwie.

- A ty też to zrobiłaś z Sollym, prawda?

- Zrobiłam mu przyjemność - odparła Maisie.

- To znaczy?

Dziewczyna wykonała ręką gest i znowu zachichotały.

- Tylko wytrzepałaś mu kapucyna? Dlaczego? Maisie wzruszyła ramionami.

- No cóż, może miałaś rację - stwierdziła April. - Czasami lepiej nie dawać im wszystkiego za pierwszym razem. Jeżeli robi się coś po troszeczkę, można ich bardziej rozgrzać.

Maisie zmieniła temat.

- Spotkanie z ludźmi o nazwisku Pilaster wywołuje złe wspomnienia - oświadczyła. April skinęła głową.

- Szefowie, nienawidzę ich pierdolonych flaków - oznajmiła z niespodziewaną wściekłością. Jej język był jeszcze bardziej dosadny niż ten, z którym Maisie stykała się w cyrku. - Nigdy nie będę dla żadnego pracowała. Dlatego zajmuję się tym, co teraz. Mówię swoją własną cenę i każę płacić z góry.

- Mój brat i ja odeszliśmy z domu w dniu, w którym zbankrutował Tobias Pilaster - rzekła ze smutnym uśmiechem Maisie. - Można powiedzieć, że znalazłam się tutaj z powodu Pilasterów.

- Co robiłaś po ucieczce z domu? Od razu znalazłaś się w cyrku?

- Nie. - Na wspomnienie swojego ówczesnego przerażenia i samotności Maisie poczuła ukłucie żalu. - Brat wsiadł na gapę na statek płynący do Bostonu. Od tej pory nie widziałam go ani o nim nie słyszałam. Przez tydzień spałam na śmietniku.

Dzięki Bogu, pogoda była dobra, to był maj. Padało tylko jednej nocy. Okryłam się szmatami i potem przez wiele lat miałam pchły... Pamiętam pogrzeb.

- Czyj?

- Tobiasza Pilastera. Kondukt szedł ulicami, bo to był ważny człowiek w tym mieście. Pamiętam chłopca, niewiele starszego ode mnie, ubranego w czarny płaszcz i cylinder, trzymającego za rękę swoją mamę. To musiał być Hugh.

- Popatrz, popatrz - rzuciła April.

- Potem powędrowałam do Newcastle. Przebrałam się za chłopaka i pomagałam w stajniach. Pozwolili mi sypiać na sianie, przy koniach. Zostałam tam trzy lata.

- Dlaczego odeszłaś?

- Wyrosło mi to - odparła Maisie i zakolysała piersiami, przechodzący nieopodal mężczyzna w średnim wieku spojrzął i oczy o mało nie wyskoczyły mu z orbit. - Kiedy główny stajenny zobaczył, że jestem dziewczyną, próbował mnie zgwałcić. Przejechałam mu po pysku szpicrutą i na tym skończyła się moja praca.

- Mam nadzieję, że go pokiereszowałaś?

- Z całą pewnością ostudziłam jego zapał.

- Powinnaś wyróżnić go po palancie.

- Coś takiego mogłoby mu się spodobać.

- Co zrobiłaś po opuszczeniu stajni?

- Wtedy właśnie przyłączyłam się do cyrku. Zaczęłam pracować jako koni uch, a później zostałam wołyżerką. - Westchnęła z nostalgią. - Lubiłam cyrk. Ludzie są tam serdeczni.

- Domyślałam się, że aż za bardzo. Maisie skinęła głową.

- Nigdy nie mogłam się dogadać z aranżerem programu. Kiedy powiedział, żebym go obciągnęła, uznałam, że czas odejść. Doszłam do wniosku, że jeżeli mam zarabiać na życie, ssąc kutasy, lepiej robić to za wyższą stawkę. I znalazłam się tutaj.

- Zawsze podchwytowała czyjś sposób mówienia i teraz przyjęła nieskrępowany słownik April.

Przyjaciółka spojrzała na nią ironicznie.

- I ile ich już obciągnęłaś?

- Prawdę mówiąc, żadnego - odrzekła z zakłopotaniem Maisie. - Nie potrafię cię okłamywać, April... Nie jestem pewna, czy nadaję się do tego zawodu.

- Ależ jesteś do tego stworzona! - zaprotestowała April. - Masz błysk w oczach, któremu mężczyźni nie potrafią się oprzeć. Posłuchaj. Trzymaj się Solly'ego Greenbourne'a. Dawaj mu za każdym razem po troszeczkę. Jednego dnia Pozwól mu się pomacać, drugiego pokaż mu się nago... W ciągu trzech tygodni będzie sapał na samą myśl o tobie. Pewnej nocy weźmiesz mu instrument do ust i oznajmisz: „Jeżeli mi

kupisz mały domek w Chelsea, będziemy mogli to robić, kiedy tylko zechcesz". Przysięgam, Maisie, jeżeli Solly odpowie wtedy „nie”, zostanę zakonnica.

Maisie wiedziała, że przyjaciółka ma rację, ale wszystko w niej buntowało się przeciwko takiemu stawianiu sprawy. Nie była pewna dlaczego. Być może dlatego, że Solly w żaden sposób jej nie pociągał. I - paradoksalnie - ponieważ wydawał się taki miły. Nie mogła zmusić się, aby manipulować nim w tak bezwzględny sposób. Co gorsza, uświadamiała sobie, że oznaczałoby to całkowitą rezygnację z prawdziwej miłości - prawdziwego małżeństwa z mężczyzną, którego by uwielbiała. Z drugiej jednak strony musiała przecież jakoś żyć, a podjęła nieodwołalne postanowienie, że nie będzie egzystować tak jak jej rodzice - oczekując cały tydzień na nędzne grosze w dniu wypłaty, zawsze zagrożeni bezrobociem spowodowanym przez jakiś kryzys finansowy, który wydarzył się w odległości setek kilometrów.

- A może któryś z pozostałych? - zapytała April. - Możesz w nich przebierać.

- Spodobał mi się Hugh, ale go obraziłam.

- A poza tym i tak nie ma pieniędzy.

- Edward jest świnią, Micky mnie przeraża, a Tonio jest twój.

- Pozostaje więc Solly.

- Nie wiem.

- Ale ja wiem. Jeżeli pozwolisz mu się prześlizgnąć między palcami, resztę życia spędzisz, szlifując bruk na Piccadilly i powtarzając sobie: „Mogłabym teraz mieszkać w tym domu”.

- Tak, pewnie tak będzie.

- A jeżeli nie Solly, to kto? Możesz skończyć z jakimś paskudnym drobnym sklepikarzem w średnim wieku, który będzie ci wydzielał każdego pensa i żądał, żebyś prała pościel.

Maisie posepnie rozważała tę perspektywę, a tymczasem doszły do zachodniego krańca Piccadilly i skrzyły na północ, w Mayfair. Zapewne potrafi skłonić Solly'ego do małżeństwa, jeżeli już na coś takiego się zdecyduje. I bez specjalnego wysiłku da sobie radę z odgrywaniem roli wielkiej damy. Połowę sukcesu stanowił sposób wyrażania się, a ona zawsze dobrze potrafiła naśladować.

Brzydziła ją jednak sama myśl o skłonieniu miłego grubasa do takiego pozbawionego uczucia małżeństwa.

Przechodząc na skróty między znajdującymi się na tyłach zabudowaniami gospodarczymi, minęły dużą stajnię. Maisie odczuła tęsknotę za cyrkiem i zatrzymała się, aby pogłaskać wysokiego ogiera kasztanowatej maści. Koń natychmiast wsunął chrapy w jej dłoń.

- Redboy zazwyczaj nie pozwala dotykać się obcym - rozległ się męski głos. Odwróciła się i zobaczyła mężczyznę w średnim wieku, ubranego w czarny surdut i żółtą kamizelkę. Elegancki ubiór kontrastował jednak z ogorzałą twarzą i charakterystycznym dla ludzi niewykształconych sposobem mówienia. Domyśliła się, że jest to dawny stajenny, któremu udało się otworzyć własny interes, i niezłe mu się powodzi. Uśmiechnęła się i odparła:

- Nie masz nic przeciwko mnie, prawda, Redboy?
- Nie sądzę, żeby potrafiła go pani teraz dosiąść i pojechać, co?
- Pojechać na nim? Ależ tak. Mogłabym na nim pojechać bez siodła i stanąć na jego grzbiecie. Czy jest pański?

Mężczyzna skłonił się lekko i rzekł:

- George Sammles, do usług szanownych pań. Jestem właścicielem, jak stoi tu napisane. - Wskazał na swoje nazwisko widniejące na bramie.

- Nie powinnam się chwalić, panie Sammles - wyjaśniła Maisie - ale ostatnie cztery lata spędziłam w cyrku i pewnie potrafiłabym pojechać na wszystkim, co ma pan w swoich stajniach.

- Naprawdę? - odparł z namysłem. - No, no.

- O czym pan myśli, panie Sammles? - spytała April. Zawahał się.

- Może się to wydać trochę obcesowe, ale zadawałem sobie pytanie, czy z tą damą można by zrobić interes.

Maisie zastanawiała się, co teraz nastąpi. Do tej chwili uważała, że jest to właściwie tylko luźna pogawędka.

- Proszę mówić.

- Zawsze jesteśmy zainteresowane robieniem interesów - dodała znacząco April, Maisie jednak odniosła wrażenie, że Sammles miał na myśli co innego niż jej przyjaciółka.

- Widzi pani, Redboy jest na sprzedaż - zaczął. - Ale nie sprzedaje się konia, trzymając go w stajni. Gdyby jednak pojeździła pani na nim z godzinkę po parku, na pewno taka dama, wyglądająca, ośmielę się powiedzieć, jak z obrazka, zwróciłaby uwagę. A wtedy byłaby szansa, że prędzej czy później ktoś by zapytał, jak wiele za niego chce.

Czy można na tym zarobić? - zastanawiała się Maisie. Czy mogłaby dzięki temu opłacić czynsz, nie sprzedając ciała lub duszy? Ale nie zapytała o to, tylko stwierdziła:

- A wówczas ja odpowiedziałabym: „Niech pan porozmawia z panem Sammlesem na Curzon Mews, bo chabeta jest jego”. O to panu chodzi?

- Właśnie tak, z tą tylko różnicą, że nazwałaby pani Redboya „wspaniałym stworzeniem”, „doskonałym okazem rumaka” lub czymś w tym rodzaju, ale nie chabeta.

- Być może - rzekła myśląc w duchu, że użyłaby raczej swoich słów, nie Sammlesa.

- Przejdźmy jednak do konkretów. - Nie mogła już udawać, że nie obchodzi jej pieniądze. - Ile pan mi zapłaci?

- A ile według pani powinienem? Maisie wymieniła fantastyczną sumę:

- Funta dziennie.

- Za dużo - odparł natychmiast. - Dam pani połowę.

Nie mogła uwierzyć własnemu szczęściu. Dziesięć szylingów dziennie było niezwykle wysoką pensją. Dziewczęta w jej wieku, które pracowały jako pokojówki, były zadowolone, otrzymując szylinga dziennie. Poczowała, że serce uderza jej szybciej.

- Zgoda - oznajmiła szybko, obawiając się, że zmieni zdanie. - Kiedy mam zacząć?

- Proszę przyjść jutro o wpół do jedenastej.

- Będę.

Uścisnęli sobie dłonie i dziewczyny ruszyły dalej. Sammles zawołał za nią:

- Niech pani włoży tę samą suknię co dzisiaj. Przyciąga oko.

- Ależ oczywiście - zapewniła Maisie. Miała tylko tę jedną. Tego jednak nie powiedziała Sammlesowi.

Do wydawcy „Timesa”

ZAMIESZANIE W PARKU

Szanowny Panie Ostatnimi dniami około wpół do dwunastej daje się zauważyć w Hyde Parku tak wielkie stłoczenie powozów, że ruch zostaje wstrzymany na całą niemal godzinę. Wysuwano najrozmaitsze przypuszczenia co do przyczyny zatorów - że zbyt wielu mieszkańców prowincji przybyło na sezon do miasta albo że zamożność obywateli jest taka wielka, iż nawet żony kupców mogą utrzymywać powozy i jeździć po parku, nigdzie jednak nie wspomniano o prawdziwym tego powodzie. Otóż odpowiedzialność spoczywa na damie, której nazwisko jest nieznane, a nazywanej przez panów „Lwicą”, niewątpliwie ze względu na jej ciemnoblonde włosy. Ta urocza istota, cudownie ubrana, dosiada z wdziękiem i swobodą rumaki, które onieśmieliłyby wielu mężczyzn, albo z równą łatwością doskonale powozi dobranymi parami koni. Wieść o jej urodzie i talentach jeździeckich rozeszła się tak szeroko, że cały Londyn zjawia się w parku w porze, kiedy można się jej spodziewać, a znalazłszy się już na miejscu, publiczność przekonuje się, iż nie może się ruszyć. Czy nie mógłby Pan, Szanowny Panie, którego sprawą jest wiedzieć wszystko i znać wszystkich i który zapewne zna prawdę o „Lwicy”, wpłynąć na nią, aby zaniechała swoich wyczynów, a park mógł powrócić do spokojnego i godnego stanu i znowu stać się przejezdnym?

Pozostaje Pańskim pokornym sługą,

OBSERWATOR

List musi być jakimś żartem, pomyślał Hugh, odkładając gazetę. „Lwica” istniała naprawdę - słyszał, jak urzędnicy w banku rozmawiali o niej, ale to nie ona była przyczyną zatoru powozów. Zaintrygowało go to jednak. Przez witrażowe okna Whitehaven House popatrzył na park. Był świąteczny dzień, świeciło słońce i mnóstwo ludzi spacerowało lub jechało wierzchem albo w powozach. Hugh pomyślał, że na dobrą sprawę mógłby przejść się do parku, żeby zobaczyć sprawczynię zamieszania.

Ciotka Augusta również wybierała się do parku. Jej lando zajechało przed fronton budynku. Z przodu siedział stangret z peruką na głowie, z tyłu zaś lokaj w liberii. Ciotka odbywała przejażdżki po parku każdego ranka, zgodnie ze zwyczajami kobiet z wyższych sfer i próżniaków, rzekomo dla zaczerpnięcia świeżego powietrza i zyskania tężyzny fizycznej. Tak naprawdę jednak park stanowił miejsce, gdzie się widziało i samemu było się widzianym. Prawdziwy powód powstawania korków polegał po

prostu na tym, że ludzie zatrzymywali powozy, aby poplotkować, i blokowali przejazd.

Hugh usłyszał głos ciotki. Wstał od stołu, przy którym jadł śniadanie, i wyszedł do holu. Jak zwykle Augusta była wspaniale ubrana. Dzisiaj miała na sobie purpurową suknię z obcisłym żakietem i mnóstwem koronek. Kapelusz - miniaturowy słomiany kapelusik o średnicy paru zaledwie centymetrów, tkwiący z przodu jej wysoko ułożonej fryzury, zupełnie nie pasował do ubioru. Był to najnowszy model i na głowie ładnej dziewczyny wyglądałby słodko. Ciotce jednak daleko było do słodyczy i wyglądała w nim śmiesznie. Nieczęsto popełniała takie błędy, ale kiedy się jej zdarzały, ich przyczyną było zawsze ślepe podporządkowanie się modzie.

Rozmawiała z wujem Josephem. Miał znękaną minę, co często mu się zdarzało podczas rozmowy z żoną. Stał przed nią, na wpół obrócony, gładząc ze zniecierpliwieniem bokobrody. Hugh zastanawiał się, czy kiedykolwiek łączyło ich jakieś uczucie. Przypuszczał, że chyba tak, ponieważ poczuli Edwarda i Clementine. Rzadko kiedy okazywali sobie przy' wiązanie, ale od czasu do czasu, przypomniawszy sobie Hugh, Augusta robiła dla Josepha coś naprawdę istotnego. Tak, pomyślał, zapewne ciągle jeszcze się kochają. Ciotka jak zwykle nie zwracała na Hugh'a najmniejszej uwagi.

- Cała rodzina się niepokoi - mówiła z naciskiem, zupełnie jakby wuj Joseph twierdził co innego. - To może doprowadzić do skandalu.

- Ale przecież ta sytuacja trwa od lat i jak dotąd nikt nie uznał jej za skandaliczną.

- Ponieważ Samuel nie jest Starszym Partnerem. Zwyczajny człowiek może sobie pozwolić na wiele rzeczy, ale Starszy partner Banku Pilasterów jest osobą publiczną.

- No cóż, sprawa chyba nie jest taka pilna. Stryj Seth wciąż żyje i wszystko wskazuje na to, że zamierza żyć wiecznie.

- Owszem - odparła Augusta z wyraźną irytacją w głosie - Czasami chciałabym... - Przerwała, powstrzymując się, by nie powiedzieć zbyt wiele. - Prędzej czy później jednak przekaże władzę. To może nastąpić choćby jutro. Kuzyn Samuel nie powinien udawać, że nie ma powodu do niepokoju.

- Zapewne - odparł Joseph. - Ale jeżeli postanowi udawać, nie jestem pewien, czy należy coś zrobić.

- Ktoś może donieść o tym Sethowi.

Hugh zastanawiał się, jak dużo stary Seth wie o życiu swojego syna. W głębi duszy chyba znał prawdę, ale nie przyjmował jej do wiadomości. Joseph wyglądał na zmieszanego.

- Niech Bóg broni.

- Z całą pewnością jest to godne ubolewania - stwierdziła z hipokryzją w głosie Augusta. - Ale musisz uświadomić Samuelowi, że jeżeli nie zmieni swojego trybu życia, o wszystkim może się dowiedzieć jego ojciec.

Hugh podziwiał jej bezwzględność. Oto przesyłała Samuelowi sygnał: „Zrezygnuj ze swojego sekretarza albo twój ojciec zostanie poinformowany, że jego syn jest w gruncie rzeczy żonaty z mężczyzną”.

Prawdę mówiąc, nic jej nie obchodził Samuel i jego sekretarz. Po prostu chciała

uniemożliwić mu zostanie Starszym Partnerem i doprowadzić do tego, by prezesura przypadła jej mężowi. Wyglądało to dosyć paskudnie i Hugh zastanawiał się, czy Joseph w pełni zdaje sobie sprawę, do czego zmierza Augusta.

Wuj odezwał się z zakłopotaniem:

- Wolałbym rozwiązać problem bez sięgania do tak drastycznych środków. Augusta ściszyła głos do szeptu. Hugh zawsze uważał, że w takich sytuacjach jej nieszczerłość jest równie oczywista jak w wypadku smoka, który usiłuje mrużyć.

- Jestem pewna, że znajdziesz odpowiedni sposób - oznajmiła, uśmiechając się prosząco. - Pojedziesz dziś ze mną? Tak bardzo pragnę, abyś mi towarzyszył! Pokręcił głową.

- Muszę iść do banku.

- Co za szkoda. Będziesz zamknięty w zakurzonej biurze w taki piękny dzień jak ten.

- W Bolonii wybuchła panika.

Hugha zainteresowała ta wiadomość. Od czasu krachu wiedeńskiego w różnych częściach Europy upadło kilka banków i uległo likwidacji parę spółek, ale to była pierwsza „panika”. Jak dotąd, Londynowi udawało się unikać niebezpieczeństwa. W czerwcu stopa oprocentowania bankowego, termometr finansowego świata, podniosła się do siedmiu procent - co nie oznaczało jeszcze gorączki - a potem opadła z powrotem do sześciu. Być może jednak dzisiaj będzie trochę emocji.

- Mam nadzieję, że ta sytuacja w niczym nam nie zagrozi - rzekła Augusta.

- Dopóki będziemy uważali, nie - odparł Joseph.

- Ale przecież dzisiaj jest dzień świąteczny... W banku nie będzie nikogo, kto by ci zrobił chociaż herbatę!

- Przypuszczalnie zdołam przeżyć pół dnia bez herbaty.

- Za godzinę przyślę ci Sarę. Piecze twój ulubiony placek z wiśniami. Przyniesie ci trochę i zrobi herbatę. Hugh dostrzegł okazję.

- Czy mogę iść z tobą, wuju? - zapytał. - Może będziesz potrzebował pomocnika?

- Nie będziesz mi potrzebny.

- Może przyda ci się do załatwiania spraw, mój drogi - wtrąciła się ciotka.

- Albo zechce wuj zasięgnąć mojej rady - dodał z uśmiechem Hugh. Joseph nie docenił żartu.

- Po prostu przeczytam depesze i podejmę decyzję, co trzeba będzie zrobić jutro rano, po otwarciu rynku.

Chłopak nierozsądnie nalegał.

- Chciałbym jednak pójść... Po prostu z ciekawości. Naciskanie na Josepha zawsze było błędem.

- Już powiedziałem, że nie będę cię potrzebował - oznajmił z irytacją. - Jedź z ciotką do parku. Powinna mieć towarzystwo. - Włożył kapelusz i wyszedł.

- Masz wyjątkowy talent do irytowania ludzi, Hugh - stwierdziła Augusta. - Weź kapelusz. Jestem gotowa do wyjścia.

Na dobrą sprawę wcale nie uśmiechało mu się jechać z ciotką. Wuj jednak wydał polecenie, a że ponadto był ciekaw, jak wygląda „Lwica”, dłużej więc nie protestował.

Pojawiła się córka Augusty, Clementine, w stroju wyjściowym. W dzieciństwie Hugh często bawił się z kuzynką, ale zawsze była skarżypytą. Gdy miała siedem lat, poprosiła go, aby pokazał jej swojego ptaszka, a potem doniosła o tym matce i oberwał w skórę. Teraz, w wieku dwudziestu lat, Clementine z wyglądu przypominała matkę, ale o ile Augusta zachowywała się wyniośle, Clementine była tylko sprytna.

Ruszyli. Lokaj pomógł im wsiąść do landa. Było zupełnie nowe, w jaskrawobłękitnym kolorze i zaprzężone we wspaniałą parę myszatyh wałachów - powóz godny żony wielkiego bankiera. Panie usiadły twarzą do kierunku jazdy, a Hugh usadowił się naprzeciwko nich. Dach pojazdu był złożony ze względu na słońce, ale damy otworzyły parasolki. Stangret machnął batem i ruszyli.

Parę minut później znaleźli się już na South Carriage Drive. Był zatłoczony tak, jak opisywał autor listu do „Timesa”. Poruszały się po nim setki koni, na których jechali wierzchem mężczyźni w cylindrach i amazonki, tuziny najrozmaitszych powozów - odkrytych i zamkniętych, dwu - i czterokołowych, a także dzieci na kucykach, piesze pary, niańki z wózkami dziecięcymi i ludzie z psami. Powozy połyskiwały świeżą farbą, konie były wyszczotkowane i wyczesane, panowie mieli na sobie odświeżone ubrania, a panie - suknie we wszystkich Możliwych barwach, uzyskiwanych dzięki nowym, chemicznym barwnikom. Wszyscy poruszali się wolno, aby lepiej ocenić konie i powozy, ubrania i kapelusze. Augusta rozmawiała z córką i ich konwersacja nie wymagała żadnego udziału Hugh'a oprócz przytakiwania od czasu do czasu.

- Tam jest lady St. Ann w kapeluszu Dolly Varden! - zawołała Clementine.

- Przestały być modne już rok temu - odparła jej matka, - No, no - wtrącił się Hugh.

Obok pojawił się kolejny powóz i Hugh ujrzał w nim swoją ciotkę, Madeleine Hartshorn. Gdyby miała bokobrody, wyglądałaby dokładnie jak jej brat Joseph, pomyślał. Była w rodzinie najserdeczniejszą przyjaciółką Augusty. Wspólnie sprawowały kontrolę nad życiem towarzyskim. Augusta była siłą napędową, Madeleine zaś jej wierną akolitką.

Oba powozy stanęły i damy zaczęły wymieniać pozdrowienia. Tamowały ruch i dwa lub trzy inne powozy zatrzymały się za nimi.

- Przejeżdż się z nami, Madeleine - zaproponowała Augusta. - Chcę z tobą porozmawiać. - Lokaj pomógł Madeleine wyjść z jej powozu i przesiąść się do landa bratowej.

Znowu ruszyli przed siebie.

- Grożą, że powiedzą staremu Sethowi o sekretarzu Samuela - oświadczyła Augusta.

- Och nie! - jęknęła Madeleine. - Nie mogą tego zrobić!

- Rozmawiałam z Josephem, ale nie da się ich powstrzymać - ciągnęła Augusta. Jej ton, pełen szczerego przejęcia, odebrał Hughowi oddech. Jak jej się to udaje? Być może za prawdę uznawała to, co akurat było jej wygodne.

- Porozumiem się z George'em - obiecała Madeleine. - Taki wstrząs mógłby zabić drogiego wuja Seta.

Hugh rozważał pomysł powtórzenia treści tej rozmowy wujowi Josephowi. Z całą pewnością, pomyślał, Joseph byłby oburzony, gdyby dowiedział się, jak on i inni partnerzy są manipulowani przez swoje żony. Ale na pewno nie uwierzyliby Hughowi.

Był nikiem... i dlatego Augusta nie przejmowała się, mówiąc o wszystkim w jego obecności.

Ich powóz zwolnił i prawie stanął w miejscu. Z przodu widać było skupisko koni i powozów.

- Co się tam dzieje? - zapytała z irytacją Augusta.

- Tam musi być „Lwica” - oznajmiła z podnieceniem Clementine.

Hugh z entuzjazmem przyglądał się tłumowi, ale nie mógł dostrzec przyczyny zatoru. Przed nimi znajdowało się kilka rozmaitych powozów, dziewięć czy dziesięć koni i gromadka pieszych.

- Któż to taki, ta „Lwica”? - spytała Augusta.

- Och, mam, to osławiona osoba!

Gdy powóz Augusty zbliżył się nieco, z tłumy wyłoniła się niewielka zgrabna wiktoria, ciągniona przez parę kucyków, wysoko wyrzucających nogi. Powoziła nią kobieta.

- Oto właśnie „Lwica”! - pisnęła Clementine.

Hugh spojrział na kobietę powożącą Wiktorią i ze zdumieniem stwierdził, że jest nią Maisie Robinson.

Strzeliła z bata i kucyki przyspieszyły kroku. Ubrana była w brązowy wełniany kostium przyozdobiony jedwabnymi falbankami, z jasnobeżową muszką na szyi. Na jej głowie sterczał mały zawadiacki cylinderek z pofalowanym rondem.

Hugh znowu poczuł przyływ gniewu za to, co powiedziała o jego ojcu. Nic nie wiedziała o finansach i nie miała prawa tak lekko oskarżać ludzi o nieuczciwość.

Jednocześnie jednak nie mógł przestać myśleć o tym, że Maisie wygląda absolutnie zachwycająco. Było coś niezwykle czarującego w jej drobnej, zgrabnej figurce, przechyleniu cylinderka, a nawet w tym, jak pewnie siedziała na koźle, trzymając bat i potrząsając wodzami.

A więc Lwicą była Maisie Robinson! W jaki sposób zdobyła pieniądze na konie i powozy? Czyżby nagle się wzbogaciła? Do czego zmierzała?

Kiedy jednak rozmyślał, zdarzył się wypadek. Nerwowy koń pełnej krwi kłusował właśnie obok powozu Augusty, gdy nagle spłoszył go mały, hałaśliwy terier. Koń stanął dęba, a jeździec spadł na drogę... tuż przed Wiktorią Maisie.

Szybko zmieniła kierunek, wykazując godne podziwu opanowanie pojazdu, i skręciła na ukos. Jej unik spowodował, że znalazła się dokładnie przed landem Augusty, zmuszając stangreta do gwałtownego ściągnięcia wodzów.

Zatrzymała raptownie swój powóz tuż obok. Wszyscy spojrzeli na zrzuconego jeźdźcę. Wyglądało na to, że jest cały i zdrow. Wstał bez niczyjej pomocy, otrzepał się i klnąc pod nosem, odszedł łapać konia. Maisie poznała Hugh'a.

- Hugh Pilaster, słowo daję! - zawołała. Zarumienił się.

- Dzień dobry - rzekł, nie mając pojęcia, co powiedzieć dalej.

Poważnie naruszył etykietę. W obecności ciotki nie powinien był przyznać się do znajomości z Maisie, bo przecież nie mógł przedstawić jej takiej osoby. Należało ją zignorować.

Maisie jednak nie uczyniła próby zwrócenia się do dam.

- Jak podobają ci się kucyki? - zapytała. Jakby zupełnie zapomniała o ich sprzeczce.

Hugh był absolutnie zafascynowany tą piękną, zadziwiającą kobietą, jej umiejętnością powożenia i swobodnym sposobem bycia.

- Są wspaniałe - odparł, nawet na nie nie spoglądając.

- Są na sprzedaż.

Ciotka Augusta oznajmiła lodowatym tonem:

- Hugh, powiedz łaskawie tej osobie, żeby pozwoliła nam przejechać! Maisie po raz pierwszy spojrzała na nią.

- Zamknij paszczę, stara małpo - rzuciła obojętnie.

Clementine pisnęła, a ciotka Madeleine jęknęła cicho z przerażeniem. Hughowi opadła szczęka. Dzięki wspaniałemu ubraniu Maisie i drogiemu powozowi łatwo można było zapomnieć, że jest tylko łobuziakiem ze slumsów. Jej odpowiedź była tak cudownie wulgarna, że przez chwilę oszołomiona ciotka Augusta nie mogła wykrztusić słowa. Nikt nigdy nie odważył się odezwać do niej w taki sposób! Maisie nie dała jej czasu ochłonać. Odwróciła się znowu do Hugh'a i oznajmiła:

- Powiedz swojemu kuzynowi Edwardowi, że może kupić moje kucyki. - Następnie strzeliła z bata i odjechała.

Augusta eksplodowała:

- Jak śmiałeś narazić mnie na impertynencje takiej osoby? - gotowała się z wściekłości. - Jak śmiałeś zdjąć przed nią kapelusz!

Hugh patrzył na Maisie, obserwując jej oddalające się zgrabne plecy i zawadiacki cylinderek.

Ciotka Madeleine przyłączyła się do bratowej.

- I skąd ją w ogóle znasz, Hugh? - zapytała. - Żaden dobrze urodzony młodzieniec nie powinien zawierać takiej znajomości! W dodatku wygląda na to, że przedstawiłeś ją Edwardowi!

To Edward przedstawił Maisie Hughowi, ale nie miało sensu wyjaśniać, jak sprawy wyglądały naprawdę. I tak by mu nie uwierzyły.

- Właściwie wcale jej dobrze nie znam - odezwał się. Clementine była zaintrygowana.

- Gdzie, na litość boską, ją poznałeś?

- W lokalu zwanym Argyll Rooms.

Augusta, marszcząc brwi, spojrzała na córkę i oświadczyła:

- Nie życzę sobie słuchać o takich rzeczach. Hugh, każ Baxterowi jechać do domu.

- Przespaceruję się trochę - oświadczył chłopak i otworzył drzwiczki landa.

- Chcesz pójść za tą kobietą! - rzuciła Augusta. - Zabraniam ci!

- Ruszajcie, Baxter - polecił, schodząc na ziemię. Stang ret potrząsnął lejcami, koła zaczęły się obracać i Hugh uprzejmie uchylił kapelusza przed oddalającymi się rozgniewanymi ciotkami.

Zdawał sobie sprawę, że nie koniec na tym, że czekają go dalsze kłopoty.

Poinformują o wszystkim stryja Josepha i wkrótce wszyscy partnerzy będą wiedzieć, że utrzymuje kontakty z pospolitymi kobietami.

Była jednak niedziela, świeciło słońce, a park wypełniali cieszący się życiem ludzie. Hugh postanowił nie zaprzętać sobie głowy późniejszym gniewem ciotki.

Wędrując przez park, czuł się lekko i beztrąsko. Skierował się w przeciwną stronę niż ta, w którą odjechała Maisie. Ludzie krążyli tu dookoła, może więc uda mu się natknąć na nią ponownie.

Miał wielką ochotę jeszcze raz z nią porozmawiać. Chciał, aby zrozumiała, jak naprawdę wyglądały sprawy z jego ojcem. Dziwne, lecz nie czuł już do niej urazy za to, co powiedziała. Po prostu błędnie oceniła sytuację, pomyślał, i kiedy jej wszystko wyjaśni, na pewno zrozumie. W każdym razie sama rozmowa z nią wydawała się podniecająca.

Dotarł do Hyde Park Corner i skręcił na północ, wzdłuż Park Lane. Uchylił kapelusza przed licznie napotykanymi krewnymi i znajomymi: Młodym Williamem i Beatrice w krytym powozie zaprzężonym w jednego konia, wujem Samuelem na kasztanowatej klaczy, panem Mulberrym z żoną i dziećmi. Maisie mogła zatrzymać się w drugim końcu albo w ogóle odjechać. Zaczął obawiać się, że już jej więcej nie zobaczy.

Ale się mylił.

Właśnie wyjeżdżała z parku, przecinając Park Lane. Niewątpliwie to była Maisie, poznał ją po beżowej muszce na szyi. Ona jednak go nie spostrzegła.

Odruchowo poszedł za nią przez ulicę, w głąb Mayfair, a potem zaczął biec, aby nadążyć. Zatrzymała wiktoria przy stajniach i zeskoczyła. Wyszedł z nich stajenny i pomógł jej przy koniach.

Hugh zbliżył się, dysząc ciężko. Zastanawiał się, dlaczego tak się zachował.

- Halo, panno Robinson - odezwał się.

- Witam znowu!

- Szedłem za panią - wyjaśnił zupełnie niepotrzebnie. Spojrzała na niego.

- Po co? - zapytała. Bez namysłu wykrztusił:

- Chciałem zapytać, czy nie zechciałaby pani wyjść ze mną któregoś wieczoru? Przechyliła głowę na bok i odrobinę ściągnęła brwi. Spoglądała przyjaźnie, jakby spodobał się jej ten pomysł, i pomyślał, że wyrazi zgodę. Wyglądało na to, że rozważa propozycję, ale jej pragnienia kłóca się z praktycznym spojrzeniem na życie. Odwróciła wzrok i zmarszczyła lekko czoło. Wreszcie podjęła decyzję.

- Nie stać pana na mnie - oznajmiła zdecydowanym tonem. Potem odwróciła się do niego plecami i weszła do stajni.

Cammel Farm Kraj Przylądkowy

Afryka Południowa

14 lipca 1873

Drogi Hughu

Wiadomość od Ciebie sprawiła mi dużą radość. Jesteśmy tu dość osamotnieni i nie wyobrażasz sobie, jaka to przyjemność otrzymać długi, pełen informacji list z kraju. Pani Cammel, która przed wyjściem za mnie była Hon Hon. - skrót od the Honourable, tytułu należnego osobom pewnych Szczebli angielskiej arystokracji. Amelia Clapham, szczególnie dobrze bawiła się, czytając Twój opis „Lwicy”... Wiem, że mówię o tym dużo za późno, ale ogromnie wstrząsnęła mną śmierć Twojego ojca. Uczniowie nie piszą do siebie listów kondolencyjnych, a Twoją tragedię przyćmiło w pewnym stopniu utonięcie tego samego dnia Petera Middletona. Możesz mi jednak wierzyć, że wielu z nas myślało o Tobie i rozmawialiśmy na Twój temat, kiedy tak nagle zabrano Cię ze szkoły...

Jestem zadowolony, że zapytałeś mnie o Petera. Od tamtego dnia czuję się winny.

Nie widziałem, jak ten biedak umarł, ale spostrzegłem wystarczająco dużo, aby domyślić się reszty.

Twój kuzyn był, jak to barwnie określiłeś, bardziej zepsuty niż zdechły kot.

Tobie udało się wydostać z wody większość Twoich rzeczy i zwiąć, ale Peter i Tonio nie byli tak szybcy.

Pływałem z drugiej strony stawu i nie sądzę, żeby Edward i Micky w ogóle mnie zauważyli. Albo może mnie nie poznali. W każdym razie nigdy nie rozmawiali ze mną o tym wypadku.

Otóż kiedy uciekłeś. Edward zaczął jeszcze bardziej znęcać się nad Peterem, zanurzając jego głowę pod wodę i chlapiąc mu w twarz, kiedy biedak próbował odzyskać ubranie.

Widziałem, że sytuacja wymyka się spod kontroli, ale obawiam się, iż byłem wówczas absolutnym tchórzem. Powinienem przyjść Peterowi z pomocą, lecz sam byłem niewiele od niego większy i z całą pewnością nie stanowiłem odpowiedniego przeciwnika dla Edwarda i Micky 'ego Mirandy. Nie chciałem również, aby zamoczyli moje ubranie. Pamiętasz karę za złamanie zakazu opuszczania terenu?

Nie mam zamiaru zaprzeczać, że dwanaście uderzeń „tłuczkiem” przerażało mnie najbardziej. Złapałem więc swoje rzeczy i wymknąłem się, nie zwracając niczyjej uwagi.

Spojrzałem za siebie jeszcze raz, z krawędzi kamieniołomu. Nie wiem, co działo się w tym czasie, ale zobaczyłem, że Tonio wspina się po zboczu, trzymając tobołek z przemoczoną odzieżą, Edward ściga go, płynąc przez staw, a Peter łapie powietrze i krztusi się na samym środku.

Pomyślałem, że Peterowi nic się nie stanie, ale najwyraźniej się myliłem. Musiał być u kresu sił i kiedy Edward gonił Tonia, a Micky im się przyglądał, Peter utonął, przez nikogo niezauważony.

Oczywiście, dowiedziałem się o tym później. Wróciłem do szkoły i wślizgnąłem się do swojej sypialni. Kiedy nauczyciele zaczęli wypytywać, przysięgłem, że nie ruszałem się z pokoju przez całe popołudnie. A gdy wyszła na jaw ta koszmarna sprawa, nie miałem

odwagi przyznać, że znam faktyczny przebieg wydarzeń.

Nie jest to historia, z której można być dumnym, Hugh. Przynajmniej jednak poczułem się lepiej, że wreszcie wyznałem prawdę...

Hugh odłożył list Alberta Cammela i zapatrzył się w okno sypialni. List wyjaśniał więcej i mniej, niż „Garbus” sobie wyobrażał.

Tłumaczył, w jaki sposób Micky Miranda wkręcił się w łaski rodziny Pilasterów do tego stopnia, że spędzał każde wakacje z Edwardem i wszystkie jego wydatki pokrywali rodzice kuzyna. Bez wątpienia Micky powiedział Augustcie, że Edward, praktycznie rzecz biorąc, zabił Petera. W czasie rozprawy jednak twierdził, że Edward próbował ratować tonącego. Kłamiąc zatem, Miranda ocalił Pilasterów od publicznej hańby, za co Augusta musiała być mu głęboko wdzięczna... a jednocześnie również obawiać się, że któregoś dnia może on obrócić się przeciwko nim i wyznać prawdę. Hugh poczuł nagły lodowaty chłód w żołądku. Albert Cammel nieświadomie ujawnił, że związki ciotki Augusty z Mickym były silne, mroczne i głęboko zepsute.

Zagadką pozostawała inna sprawa. Hugh wiedział o Peterze Middletonie coś, z czego chyba nikt inny nie zdawał sobie sprawy. Peter był słabeuszem i wszyscy chłopcy odpowiednio go traktowali. Wstydząc się tego, zaczął intensywnie ćwiczyć - przede wszystkim pływając. Przemierzał staw godzinami, starając się nabrać sił.

Ale nic nie pomagało - trzynastoletni chłopak ma szansę stać się barczysty i z rozbudowaną klatką piersiową, dopiero gdy wyrośnie na mężczyznę, i procesu tego nie sposób przyspieszyć.

Jego wysiłki spowodowały jednak, że w wodzie czuł się jak ryba. Potrafił nurkować do dna, wstrzymywać na kilka minut oddech, wynurzać się i robił to wszystko z oczami otwartymi pod wodą. Żeby go utopić, trzeba było czegoś więcej niż przytapienie przez Edwarda Pilastera.

Co więc było przyczyną jego śmierci?

Albert Cammel powiedział prawdę w takim stopniu, w jakim ją znał. Ale musiało być coś jeszcze. Tego gorącego popołudnia w Biskupim Lesie z pewnością zdarzyło się coś więcej. Zły pływak mógł zginąć przez przypadek; mógł utonąć, gdy brutalne wybryki Edwarda przekroczyły granice rozsądku. Ale w wypadku Petera - przypadkowa śmierć nie wchodziła w rachubę. A skoro tak, to musiała ona być rezultatem świadomego działania.

Zatem to było morderstwo.

Hugh zadrzał.

Znajdowało się tam tylko trzech chłopców - Edward, Micky i Peter. Mordercą był Edward lub Micky.

Albo obaj.

Augusta przestała być zadowolona z japońskiego stylu, w jakim urządziła swój dom.

Salon wypełniały orientalne Parawany, kanciaste meble na cienkich nóżkach oraz

japońskie wachlarze i wazy w czarnych łąkowych serwantkach. Wszystko to było bardzo drogie, ale na Oxford Street pojawiły się tanie kopie i takie ozdoby nie wyróżniały już najlepszych domów. Niestety, Joseph nie pozwoliłby na tak szybką zmianę wystroju wnętrza i Augusta wiedziała, że przyjdzie jej jeszcze spędzić kilka lat wśród tych coraz bardziej pospolitych sprzętów.

Salon był miejscem, w którym królowała na swych codziennych herbatkach. Kobiety zazwyczaj zjawiały się pierwsze - . szwagierki, Madeleine i Beatrice, oraz jej córka Clementine. Partnerzy przybywali z banku około piątej - Joseph, stary Seth, mąż Madeleine, George Hartshorn, i niekiedy Samuel. Jeżeli interesy w banku przebiegały spokojnie, przychodzili również chłopcy - Edward, Hugh i Młody William. Jedynym stałym gościem nienależącym do rodziny był Micky Miranda.

Niekiedy składał też wizytę jakiś pastor metodystów, na przykład misjonarz zbierający fundusze na nawracanie pogan na morzach południowych, na Malajach czy w niedawno otwartej Japonii.

Augusta bardzo się starała, aby zapewnić sobie stały dopływ gości. Wszyscy Pilasterowie lubili słodczyce, toteż nigdy nie mogło zabraknąć pysznych bułeczek i ciasteczek oraz najlepszej herbaty z Asamu i Cejlonu. W czasie tych spotkań planowano wielkie wydarzenia, takie jak święta rodzinne czy śluby, jeżeli więc ktoś przestawał na nie przychodzić, wkrótce tracił rozeznanie, co się dzieje. Mimo wszystko od czasu do czasu któryś z członków rodziny dążył do zdobycia pewnej niezależności. Ostatnio zdarzyło się to rok czy dwa lata temu żonie Williama, po dość obcesowym stwierdzeniu Augusty, że nie pasuje do Beatrice materiał, który wybrała na suknię. W takich jednak sytuacjach Augusta stosowała swoją taktykę. Przez jakiś czas zostawiała daną osobę w spokoju, a potem zdobywała ją na nowo jakimś szczególnie ekstrawaganckim czy spektakularnym gestem. W wypadku Beatrice było to kosztowne przyjęcie urodzinowe urządzone dla jej matki, bardzo już starej i nienadającej się do życia towarzyskiego. Beatrice była tak wdzięczna, że zupełnie zapomniała o sprawie materiału na suknię - do czego właśnie Augusta zmierzała.

W czasie tych rodzinnych spotkań Augusta dowiadywała się co się dzieje w rodzinie i banku. Obecnie najbardziej niepokoił ją stary Seth. Bardzo starannie i ostrożnie przyzwyczajala rodzinę do myśli, że Samuel nie powinien zostać Starszym Partnerem, ale Seth, mimo coraz gorszego stanu zdrowia, wcale nie zdradzał skłonności do wycofania się z interesów. Doprowadzało ją do szału, że upór starca powstrzymuje realizację jej starannie opracowanych planów.

Był koniec lipca i Londyn stawał się spokojniejszym miastem. O tej porze roku arystokracja wyjeżdżała na jachty w Cowes albo do domków myśliwskich w Szkocji.

Przebywała na prowincji, mordując ptactwo, polując na lisy i tropiąc sarny aż do Bożego Narodzenia. Między lutym i Wielkanocą zacznie pojawiać się z powrotem, a w maju londyński sezon osiągnie swój szczyt.

Pilasterowie nie postępowali według tych zasad. Chociaż bogatsi niż większość arystokracji, byli przede wszystkim ludźmi interesu i nie przychodziło im nawet na myśl, aby tracić połowę roku na ściganie głupich zwierząt po polach i lasach.

Jednakże partnerzy dawali się czasami przekonać, żeby przeznaczyć na wakacje

część sierpnia - oczywiście tylko wtedy, gdy nie było jakiegoś szczególnego zamieszania w świecie bankowym.

W tym roku wakacje znajdowały się pod znakiem zapytania przez całe lato, ponieważ przez stolicy finansowe Europy przeciągały groźne burze. Na szczęście wszystko wskazywało, że najgorsze już minęło, bankowa stopa procentowa spadła do trzech procent i Augusta wynajęła niewielki zamek w Szkocji. Wraz z Madeleine planowały wyjechać tam mniej więcej za tydzień, a mężczyźni mieli ruszyć dzień lub dwa dni później.

Kilka minut przed czwartą, gdy stała w salonie, wciąż niezadowolona ze swojego umeblowania i uporu starego Seta, wszedł Samuel.

Wszyscy Pilasterowie są brzydcy, ale Samuel jest chyba najgorszy, pomyślała.

Oprócz charakterystycznego dużego nosa miał niewielkie kobiece usta i nierówne zęby. Był pedantem, zawsze nienagannie ubranym, kapryśnym w sprawie jedzenia, który kochał koty i nienawidził psów.

Augusta nie lubiła go jednak przede wszystkim dlatego, że spośród wszystkich mężczyzn w rodzinie najtrudniej go było przekonać. Mogła oczarować starego Seta, który mimo podeszłego wieku wciąż pozostawał czuły na wdzięki dam. Zazwyczaj potrafiła dać sobie radę z Josephem, po prostu nekając go tak długo, aż się zmęczył. George Hartshorn był pod pantoflem Madeleine i dzięki temu mogła manipulować nim pośrednio. Pozostali natomiast byli na tyle młodzi, że dawali się zastraszyć, chociaż Hugh czasami sprawiał jej kłopoty.

Na Samuela natomiast nic nie działało, najmniej zaś jej kobiecy urok. Miał doprowadzający ją do szału zwyczaj śmiania się z niej, kiedy uważała, że działa sprytnie i subtelnie. Nigdy nie traktował jej poważnie - i to stanowiło dla niej śmiertelną obrazę. Czuli się o wiele bardziej urażona spokojnym szyderstwem Samuela niż tym, że jakaś ladacznica w parku nazwała ją „starą małpą”. Dzisiaj jednak Samuel nie uśmiechał się ze swoim sceptycznym rozbawieniem. Wyglądał na rozgniewanego, tak rozgniewanego, że Augusta przez chwilę poczuła niepokój. Najwyraźniej specjalnie przyszedł wcześniej, aby zastać ją samą. Uświadomiła sobie, że przez dwa miesiące spiskowała, aby go zrujnować, a ludzie mordowali z o wiele bardziej błahych powodów. Nie podał jej ręki, lecz stał przed nią w perłowo - szarym surducie i krawacie koloru ciemnoczerwonego wina, rozsiewając lekki zapach wody kolońskiej. Augusta uniosła rękę obronnym gestem. Samuel roześmiał się sucho i odsunął od niej.

- Nie mam zamiaru cię uderzyć, Augusto - stwierdził. - Chociaż Bóg mi świadkiem, że zasłużyłaś na to, aby cię wychłostać.

Oczywiście, że nie odważyłby się jej dotknąć. Był łagodnym człowiekiem, który odmówił finansowania eksportu broni. Augusta poczuła gwałtowny przypływ pewności siebie i odparła lekceważącym tonem:

- Jak śmiesz mnie krytykować!

- Krytykować? - rzekł i znowu w jego oczach błysnęła wściekłość. - Nie poniżę się do tego stopnia, aby cię krytykować - Przerwał i po chwili odezwał się głosem, w którym obrzmiewał hamowany gniew: - Pogardzam tobą.

Augusty nie sposób było przestraszyć po raz drugi.

- Czyżbyś przyszedł tu, aby mi oznajmić, że zdecydowałeś się porzucić swój występny tryb życia? - zapytała dźwięcznym głosem.

- Występny tryb życia - powtórzył. - Zamierzasz zniszczyć szczęście mojego ojca i sprawić, żeby moje życie stało się koszmarem, po to jedynie, aby zaspokoić swoją ambicję, a mimo to śmiesz mówić o moim występnyim życiu?! Mam wrażenie, że jesteś tak oswojona ze złem, iż zapomniałaś, czym ono jest w istocie.

Był tak poruszony, że Augusta zastanawiała się przez chwilę, czy rzeczywiście groźby pod jego adresem są występkiem. Potem jednak doszła do wniosku, że Samuel próbuje osłabić jej zdecydowanie, chcąc obudzić w niej współczucie.

- Troszczę się jedynie o interesy banku - oznajmiła chłodno.

- A więc tak chcesz wytłumaczyć swoje postępowanie? Czy to właśnie powiesz Stwórcy w dniu Sądu Ostatecznego, kiedy zapyta cię, dlaczego mnie szantażowałaś?

- Spełniam swój obowiązek.

Czując, że znowu kontroluje sytuację, zaczęła się zastanawiać, po co właściwie Samuel tu przyszedł. Czy żeby przyznać się do porażki, czy też aby jej się przeciwstawić? Gdyby się poddał, zyskałaby pewność, że wkrótce zostanie żoną Starszego Partnera. Ale na myśl o tej drugiej ewentualności miała ochotę gryźć palce. Gdyby stawiał jej czoło, czekała ją długa i trudna walka, a jej wynik był trudny do przewidzenia. Samuel podszedł do okna i popatrzył na ogród.

- Pamiętam, jak byłaś małą, ładną dziewczynką - rzekł z namysłem. Augusta parsknęła ze zniecierpliwieniem. - Chodziłaś do kościoła w białej sukni i z białymi wstążkami we włosach - kontynuował. - Ale te wstążeczki nikogo nie zwiodyły. Już wtedy byłaś tyranem. Po nabożeństwie wszyscy spacerowali po parku, a dzieci - chociaż bały się ciebie - bawiły się z tobą, ponieważ organizowałaś zabawy. Terroryzowałaś nawet rodziców. Jeżeli nie otrzymywałaś tego, na co miałaś ochotę, podnosiłaś taki wrzask, że ludzie zatrzymywali powozy, aby zobaczyć, co się dzieje. Twój ojciec, niech Bóg ma w opiece jego duszę, chodził zawsze z twarzą udręczonego człowieka, który nie może zrozumieć, w jaki sposób spłodził takiego potwora.

Wszystko, co mówił, było tak bliskie prawdy, że Augusta poczuła się nieswojo.

- To dawne dzieje - odparła, odwracając wzrok. Samuel mówił dalej, jakby w ogóle jej nie słyszał:

- Nie o siebie się martwię. Owszem, chciałbym być Starszym Partnerem, ale mogę żyć i bez tego. Byłbym dobrym prezesem, choć może nie tak dynamicznym jak mój ojciec, ale za to lepiej pracującym w zespole. Lecz Joseph nie nadaje się na to stanowisko. Jest impulsywny, niecierpliwy i podejmuje błędne decyzje. Ty zaś tylko pogarszasz wszystko, podsycając jego ambicję, wskutek czego przestaje trzeźwo patrzeć na sprawy. Jest znakomitym pracownikiem w zespole, gdy kierują nim inni. Ale nie może być zwierzchnikiem, bo jest pozbawiony umiejętności właściwej oceny sytuacji. W ostatecznym rozrachunku przyniesie szkodę bankowi. Czy cię to nic nie obchodzi?

Przez chwilę Augusta zastanawiała się, czy Samuel nie ma przypadkiem racji. Czy nie groziło niebezpieczeństwo, że zabije kurę znoszącą złote jajka? Ale przecież w banku było tyle pieniędzy, że nie zdołaliby ich wydać, nawet gdyby żaden z nich nie pracował już ani przez chwilę. W każdym razie śmieszne było twierdzenie, że Joseph

stałby się nieszczęściem dla banku. W tym, co robili partnerzy, nie było przecież nic szczególnie trudnego. Przychodzili do banku, czytali finansowe strony gazet, pożyczali ludziom pieniądze i pobierali procenty. Joseph mógł robić to wszystko równie dobrze jak każdy z nich.

- Wy, mężczyźni, zawsze udajecie, że bankowość jest skomplikowana i tajemnicza - oznajmiła. - Ale nie uda ci się mnie oszukać. - Uświadomiła sobie, że jej słowa brzmią tak, jakby się broniła. - Będę tłumaczyć się przed Bogiem, nie przed tobą - dodała.

- Czy rzeczywiście poszłabyś do mojego ojca, tak jak groziłaś? - zapytał. - Wiesz, że to by go zabiło.

Wahała się tylko przez moment.

- Nie masz wyboru - oświadczyła zdecydowanie. Patrzył na nią przez długą chwilę.

- Wierzę ci, diabli co - rzekł.

Augusta wstrzymała oddech. Czy Samuel się podda? Czuła, że zwycięstwo znajduje się niemal w zasięgu ręki, i wyobrażała już sobie, jak inni mówią z szacunkiem:

„Pragnąłbym przedstawić panią Josephową Pilaster, żonę Starszego Partnera Banku Pilasterów.

Zawahał się, a potem oznajmił z widocznym niesmakiem:

- Bardzo dobrze. Powiem innym, że po ustąpieniu ojca nie będę chciał zostać Starszym Partnerem.

Augusta stłumiła triumfalny uśmiech. Wygrała. Odwróciła się, aby ukryć zadowolenie.

- Ciesz się swoim zwycięstwem - odezwał się z goryczą Samuel. - Ale pamiętaj, Augusto, wszyscy mamy tajemnice, nawet ty. Któregoś dnia ktoś w taki sam sposób wykorzysta twoje sekrety przeciwko tobie, a wtedy przypomnisz sobie, co mi zrobiłaś.

Zaintrygowało ją to. Do czego on robi aluzje? Bez żadnego powodu pomyślała o Mickym Mirandzie, lecz zaraz odpędziła tę myśl.

- Nie mam żadnych tajemnic, których mogłabym się wstydzić - zapewniła.

- Naprawdę?

- Tak! - odparła, lecz nagle ogarnął ją lęk. Popatrzył na nią dziwnie.

- Wczoraj przyszedł do mnie młody prawnik, który nazywa się David Middleton. Przez chwilę nic nie rozumiała.

- Czy powinnam go znać? Nazwisko było niepokojąco znajome.

- Widziałaś go raz, siedem lat temu, na rozprawie.

Poczuła, że robi jej się zimno. Middleton - tak, tak brzmiało nazwisko chłopca, który się utopił.

- David Middleton sądzi - wyjaśnił Samuel - że jego brat, Peter został zabity. Przez Edwarda.

Augusta straszliwie chciała usiąść, ale postanowiła, że nie da kuzynowi satysfakcji, okazując, jak bardzo wstrząsnęła nią ta wiadomość.

- Dlaczego, na litość boską, próbuje teraz, po siedmiu latach wyciągać tę sprawę?

- Powiedział mi, że nigdy nie zadowolął go wynik rozprawy, ale nic nie mówił na ten

temat, żeby nie sprawiać rodzicom jeszcze większych przykrości. Jego matka zmarła wkrótce po śmierci Petera, a ojciec w tym roku.

- Dlaczego rozmawiał z tobą, nie ze mną?

- Należy do mojego klubu. W każdym razie przeczytał ponownie protokoły rozprawy i twierdzi, że było kilku świadków, którzy nigdy nie zostali wezwani do złożenia zeznań.

Rzeczywiście byli, pomyślała z niepokojem Augusta. Ten nieznośny Hugh Pilaster, chłopak z Ameryki Południowej imieniem Tony czy jakoś tak, i trzecia osoba, której nigdy nie zdołano zidentyfikować. Jeżeli David Middleton dotrze do któregoś z nich, cała sprawa wyjdzie na jaw.

Samuel spoglądał na nią z namysłem.

- Z twojego punktu widzenia należy żałować, że koroner poczynił te uwagi o bohaterstwie Edwarda. To sprawiło, że ludzie zaczęli coś podejrzewać. Mogliby uwierzyć, że w czasie gdy chłopak tonął, Edward stał niezdecydowany na krawędzi.

Ale każdy, kto się z nim zetknął, wie, że nie przeszedłby *przez* ulicę, żeby komuś pomóc, a cóż dopiero rzucić się do stawu, aby ratować tonącego. Jego słowa były absolutną bzdurą, i to w dodatku obrazi i w.

- Jak śmiesz! - oburzyła się, lecz nie zabrzmiało to tak władczo jak zazwyczaj. Samuel nie zwrócił uwagi na jej słowa.

- Uczniowie nigdy w to nie uwierzyli. David uczęszczał parę lat wcześniej do tej samej szkoły i znał wielu starszych chłopców. Rozmowy z nimi tylko umocniły jego podejrzenia.

- Cały ten pomysł jest absurdalny.

- Middleton jest kłótliwym osobnikiem, jak wszyscy prawnicy - ciągnął Samuel, nie zważając na jej protesty. - Nie zostawi tej sprawy w spokoju.

- Wcale się go nie boję.

- To dobrze, ponieważ jestem pewien, że wkrótce złoży ci wizytę - Podszedł do drzwi. - Nie zostanę na herbacie, żegnam, Augusto.

Usiadła ciężko na sofie. Nie przewidziała tego. Jak zresztą miałaby przewidzieć?

Jej triumf nad Samuelem został zatruty. Ta stara sprawa wypłynęła ponownie, po siedmiu latach, kiedy powinna już być całkowicie zapomniana! Straszliwie bała się o Edwarda. Nie zniosłaby, gdyby coś mu się stało. Ścisnęła głowę dłońmi, aby stłumić dudnienie w skroniach. Co ma począć?

Pojawił się Hastead, jej kamerdyner, wraz z dwiema pokojówkami niosącymi tace z herbatą i ciastami.

- Pozwoli pani, madame? - zapytał z walijskim akcentem. Jego oczy zdawały się spoglądać w różnych kierunkach i ludzie nigdy nie byli do końca pewni, na co właściwie patrzy. Początkowo było to kłopotliwe, ale Augusta już się przyzwyczaiła. Skinęła głową. - Dziękuję, madame - powiedział i zaczął wraz z pokojówkami rozstawiać porcelanę. Augustę bardzo często uspokajał służalczy sposób bycia Hasteada oraz widok służby spełniającej jej życzenia, ale tym razem nie poprawiło to jej nastroju. Wstała i podeszła do otwartych drzwi balkonowych.

Oświetlony słońcem ogród też nie podziałał na nią kojąco. W jaki sposób powstrzymać Davida Middletona?

Wciąż przeżywała ten problem, kiedy przybył Micky Miranda.

Ucieszyła się na jego widok. W swoim czarnym surducie i takiego samego koloru satynowym krawacie, prążkowanych spodniach i z nienagannie białym kołnierzykiem wyglądał jak zawsze ujmująco. Dostrzegł, że jest wytracona z równowagi, i natychmiast zaczął okazywać współczucie. Przeszedł przez salon z kocim wdziękiem i jego głos zabrzmiał niemal jak pieszczota:

- Pani Pilaster, cóż, na litość boską, tak panią zmartwiło?

Była szczęśliwa, że to właśnie on przyszedł pierwszy. Schwyciła go za ramiona.

- Zdarzyło się coś przerażającego.

Dłonie Micky'ego spoczęły na jej talii, zupełnie jakby tańczyli, i gdy jego palce przycisnęły jej biodra, poczuła Przyjemny dreszcz.

- Proszę się nie przejmować - rzekł łagodnie - i wszystko mi opowiedzieć. Poczula się nieco pewniej. W takich chwilach jak ta bardzo lubiła Micky'ego. Przypomniała sobie swoje dziewczęce uczucie do młodego hrabiego Stranga - jego pełen wdzięku sposób bycia, piękne ubrania, a przede wszystkim grację jego ruchów, zgrabną sylwetkę i sprawność ciała. Chociaż Strang był jasnowłosym Anglikiem, Micky zaś ciemnowłosym Latynosem, obaj potrafili sprawić, że czuła się tak kobieco. Pragnęła przyciągnąć go do siebie i przytulić policzek do jego ramienia. . .

Spostrzegła, że pokojówki gapią się na nią, i uświadomiła sobie, iż Micky zachowywał się nieco nieprzyzwoicie, stojąc z dłońmi opartymi na jej biodrach. Odsunęła się od niego, wzięła go pod ramię i przez balkonowe drzwi poprowadziła do ogrodu, gdzie nie mogła podsłuchać ich służba. Powietrze było ciepłe i balsamiczne. Usiedli blisko siebie na stojącej w cieniu drewnianej ławce i Augusta obróciła się lekko, aby popatrzeć na niego. Miała ochotę wziąć go za rękę, lecz byłoby to niestosowne.

- Zobaczyłem wychodzącego Samuela - powiedział. - Czy to on tak panią zdenerwował?

Zaczęła mówić cicho i Micky pochylił się nisko, żeby ją usłyszeć; tak nisko, że niemal nie ruszając się z miejsca, mogłaby go pocałować.

- Przeszedł poinformować mnie, że nie będzie pretendował do stanowiska Starszego Partnera.

- Doskonała nowina!

- Tak. Oznacza bowiem, że z całą pewnością uzyska je mój mąż.

- A Tata będzie mógł dostać swoje karabiny.

- Gdy tylko ustąpi Seth.

- Straszne, jak ten stary Seth czepia się prezesury! - zawołał Micky. - Tata wciąż mnie pyta, kiedy to nastąpi.

Augusta zdawała sobie sprawę, dlaczego Micky tak się niepokoi. Obawiał się, że ojciec odeśle go do Cordovy.

- Nie wyobrażam sobie, aby Seth wytrwał długo - oświadczyła, chcąc go pocieszyć.

Spojrzał jej w oczy.

- Ale przecież nie tym tak się pani zmartwiła.

- Nie. Znowu wróciła sprawa tego nieszczęsnego chłopca waszej szkoły, który się utopił. Middletona. Wiem od Samuela że brat Petera, prawnik, zaczął węszyć. Przystojna twarz Micky'ego pociemniała.

- Po tylu latach?

- Podobno nic nie mówił ze względu na swoich rodziców, ale teraz już nie żyją. Miranda zmarszczył czoło.

- Jak poważny jest ten problem?

- Pewnie wiesz o tym lepiej niż ja. - Zawahała się. Istniało pytanie, które musiała zadać, chociaż obawiała się odpowiedzi. Zebrała całą odwagę. - Micky... czy uważasz, że ten chłopiec zginął z winy Edwarda?

- No cóż. . .

- Odpowiedz tak lub nie! - poleciła.

Micky milczał przez chwilę i wreszcie odparł:

- Tak.

Augusta zamknęła oczy. Kochany Teddy, pomyślała, dlaczego to zrobiłeś? Miranda odezwał się cicho:

- Peter źle pływał. Edward go nie utopił, ale zmęczył. Kiedy go zostawił, żeby ścigać Tonia, Peter jeszcze żył. Sądzę jednak, że nie starczyło mu sił, aby dopłynąć do brzegu, i utonął, kiedy nikt nie patrzył w jego stronę.

- Przecież Teddy nie chciał go zabić.

- Oczywiście, że nie.

- To były zwykłe uczniowskie wybryki.

- Edward nie chciał zrobić mu krzywdy.

- A więc to nie jest morderstwo.

- Obawiam się, że jednak tak - rzekł poważnie Micky i serce Augusty zamarło na chwilę. - Jeżeli złodziej przewróci człowieka po to jedynie, aby go obrabować, a człowiek ten dostanie ataku serca i umrze, złodziej jest winny morderstwa, chociaż nie zamierzał go zabić.

- Skąd o tym wiesz?

- Przed kilkoma laty sprawdziłem to u adwokata.

- Dlaczego?

- Chciałem wiedzieć, w jakiej sytuacji znalazł się Edward.

Augusta ukryła twarz w dłoniach. Sprawa wyglądała gorzej niż sobie wyobrażała. Micky odsunął jej ręce od policzków i ucałował każdą z osobna. Jego gest był tak pełen czułości, że miała ochotę się rozplakać. W dalszym ciągu trzymając ją za ręce, powiedział:

- Żaden rozsądny człowiek nie będzie prześladował Edwarda za coś, co zrobił, będąc jeszcze dzieckiem.

- Ale czy David Middleton jest rozsądnym człowiekiem?! - zawołała Augusta.

- Być może nie. Wygląda na to, że przez te wszystkie lata pielęgnował swoją obsesję. Niech nas Bóg zachowa przed tym, żeby upór doprowadził go do prawdy. Augusta zadrzała, wyobrażając sobie konsekwencje. Wybuchnąłby skandal. W prasie brukowej pojawiłyby się nagłówki: „Wstydlivy sekret syna bankiera”. W sprawę włączyłaby się policja. Biedny, kochany Teddy być może stanąłby przed sądem, a gdyby uznano go za winnego...

- Micky, to wszystko jest zbyt straszne. Nie chcę nawet o tym myśleć - szepnęła.

- W takim razie musimy coś zrobić.

Augusta uściśnęła jego rękę, potem puściła je i spróbowała ocenić sytuację.

Rozważała ogrom problemu. Widziała cień szubienicy padający na jej jedyne dziecko.

Należało więc jak najszybciej poczynić odpowiednie kroki. Dzięki Bogu, że Edward miał w Mickym prawdziwego przyjaciela.

- Musimy być pewni, że poszukiwania Davida Middletona niczego nie wykażą. Ile osób zna prawdę?

- Sześć - odparł natychmiast Micky. - Edward, pani i ja, to troje, ale my nic nikomu nie powiemy. Poza tym Hugh.

- Nie było go tam, gdy chłopiec zginął.

- Nie, lecz zobaczył wystarczająco dużo, żeby domyślić się, że historia, którą opowiedzieliśmy koronerowi, jest kłamstwem. A fakt, iż kłamaliśmy, sprawia, że wyglądamy na winnych.

- A więc Hugh stanowi problem. Inni?

- Tonio Silva widział wszystko.

- Nic wówczas nie powiedział.

- Wtedy za bardzo się mnie bał. Ale nie jestem pewien, czy jeszcze się boi.

- No a szósty?

- Nigdy nie dowiedzieliśmy się, kim był. Wtedy nie dostrzegłem jego twarzy, a przecież nigdy się nie ujawnił. Przypuszczam, że nic nie możemy na to poradzić. Skoro jednak nikt nie wie, kim on jest, nie sądzę, aby stanowił dla nas jakieś zagrożenie.

Augusta na nowo poczuła lęk. Wcale nie była pewna, że Micky ma rację. Istniało przecież niebezpieczeństwo, że ów nieznany świadek może się kiedyś pojawić. Ale nie mylił się, mówiąc, że w tym wypadku są bezsilni.

- A więc musimy sobie poradzić z dwiema osobami - i Hughiem i Tonim. Milczeli w zamyśleniu.

Hugha nie można już traktować jedynie jako drobną niedogodność, pomyślała Augusta. Jego energia zapewniła mu uznanie w banku i w porównaniu z nim Teddy po prostu dreptał w miejscu. Udało się jej udaremnić jego romans z lady Florence Stalworthy, ale teraz Hugh zagrażał Edwardowi w jeszcze większym stopniu. Coś trzeba było z nim zrobić, lecz co? Był Pilasterem, chociaż niegodnym. Wysilała umysł, ale nie zdołała nic wymyślić.

- Tonio ma pewną słabość - oznajmił z namysłem Micky.

- Ach tak?
- Jest złym graczem. Stawia więcej, niż go stać, i przegrywa.
- Zorganizujesz odpowiednio grę?
- Być może.

Augusta przyszło do głowy, że zapewne Micky, grając w karty, potrafi oszukiwać, nie mogła go jednak o to zapytać, ponieważ sama taka sugestia stanowiła dla każdego dżentelmena śmiertelną obrazę.

- To będzie kosztować - stwierdził Miranda. - Czy da mi pani pieniądze?
- Ile będziesz potrzebował?
- Obawiam się, że sto funtów.

Augusta nie wahała się. Na szali znajdowało się przecież życie Teddy'ego.

- Doskonale - powiedziała. Usłyszała głosy dobiegające z domu. Zaczynali przybywać pozostali goście. Wstała. - Nie bardzo wiem, jak załatwić sprawę z Hughiem - rzekła zmartwionym głosem. - Muszę o tym pomyśleć. Ale teraz chodźmy do środka.

W salonie znajdowała się jej szwagierka Madeleine i kiedy tylko Augusta z Mickym pojawili się w drzwiach, natychmiast podjęła rozmowę.

- Ten krawiec doprowadzi mnie do rozpacz. Dwie godziny zajęło mu przyfastrygowanie rąbka. Nie mogę doczekać się filiżanki herbaty, och i widzę, że masz to boskie ciasto migdałowe, ach mój Boże, czyż nie jest gorąco? Augusta ukradkiem ścisnęła rękę Micky'ego i siadła, aby nalać herbatę.

Rozdział czwarty - Sierpień

Londyn był duszny i gorący, a jego mieszkańcy tęsknili za świeżym powietrzem i otwartą przestrzenią. Pierwszego dnia sierpnia wszyscy udali się na wyścigi w Goodwood.

Jechano tam specjalnymi pociągami z Victoria Station w południowej części miasta.

Podział społeczeństwa brytyjskiego znajdował dokładne odbicie w warunkach jazdy.

Wyższe sfery podróżowały w luksusowych przedziałach pierwszej klasy, kupcy i nauczyciele - w tłoku, lecz wygodnie drugą klasą, natomiast robotnicy fabryczni i służba domowa - ściśnięci na twardych drewnianych ławkach klasy trzeciej. Po wyjściu z pociągu arystokracja wsiadała do powozów, klasa średnia do konnych omnibusów, robotnicy zaś szli pieszo. Pikniki bogatych wysłano wcześniejszymi pociągami. Mnóstwo koszyków niesionych przez młodych lokajów wyładowane było porcelaną i obrusami, gotowanymi kurczakami i ogórkami, szampanem i brzoskwiniami z cieplarni. Na mniej zamożnych czekały kramy, w których sprzedawano kiełbasę, skorupiaki i piwo. Biedni zabierali ze sobą chleb i ser zawinięte w chustki do nosa.

Maisie Robinson i April Tilsley udały się na wyścigi z Sollym Greenbourne'em i Toniem Silva. Pozycja dziewcząt w hierarchii społecznej była dość wątpliwa. Obaj młodzi dżentelmeni niewątpliwie powinni jechać pierwszą klasą, ale Maisie i April kwalifikowały się do trzeciej. Solly poszedł na kompromis, kupując bilety drugiej klasy, i ze stacji pojechali na wyścigi omnibusem.

Solly za bardzo jednak lubił jeść, aby zgodzić się na lunch kupiony w którymś z kramów, wysłał więc przodem czterech służących z olbrzymimi ilościami łososia na zimno i białego wina obłożonego lodem. Teraz rozłożyli śnieżnobiały obrus na ziemi, usiedli na elastycznej trawie i Maisie zaczęła karmić Greenbourne'a małymi kanapkami. Czuła, że przywiązuje się do niego coraz bardziej. Był miły dla wszystkich, zawsze wesoły i ciekawie się z nim rozmawiało. Jego jedyny grzech stanowiło obżarstwo. Wciąż mu nie uległa, ale wyglądało na to, że im bardziej mu się opiera, tym więcej dla niego znaczy.

Wyścigi zaczęły się po lunchu. Niedaleko, pod transparentem z napisem: „William Tucker, King's Head, Chichester”, stał na skrzyńce bukmacher i wykrzykiwał stawki. Miał na sobie garnitur w krzykliwą kratę, szeroki jedwabny krawat, wielki pęk kwiatów w klapie i biały kapelusz. Przewieszona przez jego ramię skórzana torba wypełniona była pieniędzmi.

Tonio i Solly obstawiali każdą gonitwę. Maisie szybko się tym znudziła - kiedy ktoś nie grał, jedna gonitwa wydawała się podobna do drugiej. April nie zamierzała zostawić Tonia samego, ale i ona doszła do wniosku, że na jakiś czas opuści towarzystwo i popatrzy, co się dzieje wokół toru.

Wyścigi konne nie stanowiły jedynej atrakcji. Błonia wokół torów wyścigowych wypełnione były namiotami, kramami i wozami. Znajdowały się tam miejsca do gry, odbywały pokazy dziwów natury, ciemnoskóre Cyganki wróżyły z ręki. Sprzedawano dzin, cydr, pierożki z mięsem, pomarańcze i Biblie. Współzawodniczyły ze sobą katarynki i orkiestry, wśród tłumów bładzili sztukmistrze, zonglerzy i akrobaci, dopraszając się datków. Widać było również tańczące psy, karły i gigantów, a także ludzi na szczudłach. Gwar, karnawałowa atmosfera przypomniały Maisie cyrk i poczuła pełne nostalgii ukłucie żalu za dawnym życiem. Kuglarze przyjeżdżali tutaj, aby zarobić pieniądze w każdy dostępny sposób, i cieszyła się widząc, że im się to udaje.

Zdawała sobie sprawę, że gdyby chciała, Solly chętnie dawałby jej pieniądze. Dotrzymywała towarzystwa jednemu z najbogatszych ludzi na świecie, a wynajmowała mały pokój w Soho. To przecież głupota! Już teraz mogła nosić futra, brylanty i myśleć o zakupie niewielkiego domku w St. John'swood albo Clapham. Objeżdżanie koni Sammlesa nie potrwa zbyt długo. Londyński sezon zbliżał się do końca i ludzie, których stać było na zakup koni, zaczęli wyjeżdżać na wieś. Maisie jednak pozwalała Solly'emu obdarowywać się jedynie kwiatami. Doprowadzało to April do szału. Minęła duży namiot. Przed jego wejściem dwie dziewczyny przebrane za bukmacherów i mężczyzna w czerni wołali: Jedynym pewniakiem na dzisiejszych wyścigach w Goodwood jest nadchodzący dzień Sądu Ostatecznego! Postawcie swoją wiarę na Jezusa, a wypłatą będzie żywot wieczny!". Wnętrze namiotu było cieniste i chłodne. Powodowana impulsem Maisie weszła do środka. Większość siedzących w ławkach osób wyglądała na nowo nawróconych. Przycupnęła obok wejścia i wzięła do ręki książeczkę z pieśniami.

Doskonale rozumiała ludzi, którzy wstępowali do kongregacji i zajmowali się nawracaniem w czasie wyścigów. Dzięki temu mieli wrażenie przynależności do wspólnoty. Podobne uczucie przynależności mógł jej dać Solly. Jako jego kochanka otrzymałaby nie tylko diamenty i futra, ale przede wszystkim dach nad głową, regularny dochód i pozycję w układzie społecznym. Być może nie była to rola godna szczególnego szacunku, a ponadto istniało niebezpieczeństwo, że kiedyś Solly się nią znudzi, stwarzała jednak lepsze perspektywy niż obecnie.

Zgromadzeni wstali, aby odśpiewać hymn o obmyciu się w krwi Baranka. Maisie źle się poczuła i wyszła.

Zatrzymała się przy teatrzyku kukielkowym. Przedstawienie osiągnęło właśnie kulminacyjny punkt, w którym kłótliwego Pana Puncta przerzuca z jednej strony sceny na drugą jego uzbrojona w pałkę żona. Maisie przyglądała się tłumowi wprawnym okiem. Przedstawienie Punch i Judy zazwyczaj nie przynosiło wielkich pieniędzy. Większość publiczności zapewne wymknie się, nic nie płacąc, a pozostali dadzą półpensówki. Istniały jednak inne sposoby oskubania widzów. Po kilku minutach obserwacji zauważyła chłopca, który właśnie usiłował okraść stojącego z tyłu

dżentelmena w cylindrze. Wszyscy oprócz Maisie oglądali sztukę i nikt nie spostrzegł, jak mała brudna ręka wsuwa się do kieszeni kamizelki mężczyzny.

Maisie nie miała najmniejszego zamiaru interweniować. Jej zdaniem bogaci i nieuważni młodzieńcy zasługiwali na utratę zegarków, a zuchwali złodzieje na swój łup. Kiedy jednak przyjrzała się lepiej ofierze, poznała czarne włosy i niebieskie oczy Hugh'a Pilastera. Przypomniała sobie słowa April, że Hugh nie ma pieniędzy.

Nie stać go było na utratę zegarka. Pod wpływem impulsu postanowiła uchronić Pilastera przed skutkami jego własnej nieostrożności.

Przecisnęła się szybko na tył tłumu. Kieszonkowiec był obszarpanym blondynkiem.

Miał mniej więcej jedenaście lat, tyle samo co ona, kiedy uciekła z domu.

Delikatnie wyciągał dewizkę zegarka Hugh'a z kieszonki jego kamizelki. Widzowie oglądający przedstawienie wybuchnęli śmiechem i w tej samej chwili złodziej zaczął wycofywać się, już z zegarkiem w ręce.

Maisie schwyciła go za przegub.

Krzyknął cicho z przerażenia i próbował się uwolnić, ale była zbyt silna.

- Oddaj mi to, a nic nie powiem - syknęła.

Wahał się przez chwilę. Spostrzegła, jak na jego twarzy zmagają się lęk i chciwość. Potem jednak pełnym rezygnacji gestem upuścił zegarek na ziemię.

- Zmykaj i okradnij kogoś innego - poradziła. Puściła rękę chłopca, który zniknął w mgnieniu oka.

Podniosła złoty zegarek z kopertą. Otworzyła ją i sprawdziła czas - było dziesięć po trzeciej. Na wewnętrznej stronie widniał napis:

Tobiasowi Pilasterowi od kochającej żony Lydii

23 maja 1851

Zegarek był prezentem matki Hugh'a dla jego ojca. ucieszyła się, że go odzyskała.

Podeszła bliżej i stuknęła młodego człowieka w ramię.

Odwrócił się poirytowany, że ktoś przeszkadza mu w oglądaniu, i nagle jego jaskrawoniebieskie oczy rozszerzyły się ze zdziwienia.

- Panna Robinson!

- Która godzina? - zapytała.

Odruchowo sięgnął po zegarek i zorientował się, że kieszonka jego kamizelki jest pusta.

- Dziwne... - Rozejrzał się, jakby myśląc, że gdzieś go upuścił. - Mam nadzieję, że. . .

Podążyła mu go.

. - Na Jowisza! - zawołał. - Jakim cudem go pani znalazła?

- Zobaczyłam, że pana okradziono, i odebrałam złodziejowi.

- Gdzie ten złodziej?

- Puściłam go. To był mały chłopiec. - Ale... - bąknął z zakłopotaniem.

- Pozwoliłabym mu zatrzymać pański zegarek, gdyby stać pana było na kupno nowego.

- Nie mówi pani tego poważnie.

- Owszem. Kiedy byłam dzieckiem, zdarzało mi się kraść. Zwłaszcza gdy wiedziałam, że ujdzie mi to na sucho.

- Koszmarne.

Maisie znowu poczuła irytację. Wydało jej się, że w jego sposobie myślenia kryje się hipokryzja.

- Pamiętam pogrzeb pańskiego ojca - powiedziała. - Dzień był zimny i padało. Pański ojciec zmarł, będąc winny mojemu pieniądzu, ale to pan miał tego dnia płaszcz, nie ja. Czy uważa pan to za uczciwe?

- Nie wiem - odparł z nagłym gniewem. - Byłem trzynastoletnim dzieckiem, kiedy mój ojciec zbankrutował... Czy w związku z tym powinienem przez całe życie przymykać oczy na występki?

Jego wybuch zaskoczył Maisie. Mężczyźni rzadko odzywali się do niej ostrym tonem, a Hugh zareagował tak już po raz drugi - Ale nie zamierzała znowu się z nim sprzeczać. Dotknęła Jego ramienia.

- Przepraszam - rzekła. - Nie chciałam krytykować Pańskiego ojca, tylko żeby zrozumiał pan, dlaczego dziecko musi czasami kraść.

Natychmiast złagodniał.

- A ja nie podziękowałam pani za odzyskanie zegarka. Moja matka dała go ojcu w prezencie ślubnym, dlatego jest dla mnie tak cenny.

- Dzieciak znajdzie z pewnością innego durnia, którego okradnie. Roześmiał się.

- Nigdy dotąd nie spotkałem kogoś takiego jak pani! - oznajmił. - Czy wypiłaby pani szklaneczkę piwa? Jest gorąco.

Właśnie o tym myślała.

- Tak, chętnie.

Kilka metrów dalej stał ciężki czterokołowy wóz wyładowany wielkimi baryłkami.

Hugh kupił dwa fajansowe kufle ciepłego słodowego piwa. Maisie upiła duży łyk - była bardzo spragniona i piwo smakowało jej lepiej niż francuskie wino Solly'ego.

Do wozu przymocowana była tablica, na której wypisano kredą dużymi literami:

„Jeżeli odejdiesz z kuflem, rozbijemy ci go na głowie!”.

Wyraz twarzy Hugh'a świadczył, że zamyślił się nad czymś. Po chwili odezwał się:

- Czy zdaje pani sobie sprawę, że oboje jesteśmy ofiarami tej samej katastrofy? Nie rozumiała.

- Co chce pan przez to powiedzieć?

- W tysiąc osiemset sześćdziesiątym szóstym nastąpił kryzys finansowy. A kiedy zdarza się coś takiego, upadają również uczciwe przedsiębiorstwa... Zupełnie jak w wypadku, kiedy jeden z zaprzężonych koni pada i pociąga za sobą inne. Mój ojciec zbankrutował, ponieważ ludzie byli mu winni pieniądze i nie oddali długu.

Tak bardzo się tym przejął, że odebrał sobie życie. Matka została wdową, a ja półsierotą. Pani ojciec nie mógł was wyżywić, bo inni byli jego dłużnikami, a to stało się przyczyną pani ucieczki z domu.

Maisie zdawała sobie sprawę, że Hugh mówi logicznie, ale w głębi serca nie mogła się z tym pogodzić. Zbyt długo nienawidziła Tobiasa Pilastera.

- Nie, to nie to samo - zaprotestowała. - Pracownicy nie mają wpływu na te sprawy... Po prostu robią, co im się każe. Władza należy do właścicieli i to ich wina, jeżeli coś źle się układa. Hugh zamyslił się.

- Nie wiem, może ma pani rację. Właściciele rzeczywiście otrzymują większą część zysków. Ale jestem pewien przynajmniej jednego: nie można za wszystko, co się stało, obwiniać dzieci - ani właścicieli, ani pracowników. Maisie uśmiechnęła się.

- Trudno uwierzyć, że zgadzamy się chociaż pod tym względem.

Wypili piwo, oddali kufle i przeszli kilka metrów dalej, do karuzeli z drewnianymi końmi.

- Chce się pani przejechać? - zapytał Hugh.

- Nie - odparła ze śmiechem.

- Czy jest tu pani sama?

- Nie... Z przyjaciółmi. - Z jakiegoś powodu wołała nie mówić, że przywiózł ją tutaj Solly. - A pan? Przybył pan ze swoją straszną ciotką?

Skrzywił się.

- Nie. Metodyści nie pochwalają wyścigów konnych... Byłaby oburzona, wiedząc, że tu jestem.

- Bardzo pana lubi?

- Ani trochę.

- Dlaczego więc zgadza się, aby pan u niej mieszkał?

- Lubi mieć ludzi na oku, żeby lepiej ich kontrolować.

- I kontroluje pana?

- Stara się. - Uśmiechnął się. - Czasami udaje mi się jej uciec.

- Przebywanie z nią pod jednym dachem z pewnością jest trudne.

- Nie stać mnie na wynajęcie mieszkania. Muszę być cierpliwy i ciężko pracować w banku. Kiedyś awansuję i stanę się niezależny. - Ponownie się uśmiechnął. - A wówczas każe jej zamknąć paszczę, tak jak to zrobiła pani.

- Mam nadzieję, że nie wpędziłam pana w kłopoty.

- Nie uniknąłem ich, ale wynagrodził mi je widok miny ciotki. Wtedy właśnie zacząłem panią lubić.

- I dlatego zaprosił mnie pan na obiad?

- Tak. Dlaczego pani odmówiła?

- Ponieważ April powiedziała mi, że nie ma pan nawet pensa.

- Stać mnie na parę kotletów i pudding śliwkowy.

- Jaka dziewczyna mogłaby się temu oprzeć? - zawołała ironicznie. Roześmiał się.

- Proszę mi towarzyszyć dziś wieczór. Pójdziemy potańczyć do Cremorne Gardens. Pragnęła tego, ale pomyślała o Sollym i poczuła wyrzuty sumienia.

- Dziękuję, ale nie.

- Dlaczego?

Sama zadawała sobie to pytanie. Nie kochała Solly'ego i nie brała od niego pieniędzy. Dlaczego więc poczuwała się do wierności wobec niego? Ma osiemnaście lat i jeżeli nie może nawet potańczyć z chłopcem, który jej się podoba, to po co żyć?

- No dobrze.

- Pójdzie pani?

- Tak.

Uśmiechnął się. Był wyraźnie uszczęśliwiony.

- Czy przyjść po panią?

Uchowaj Boże, żeby zobaczył obskurny pokoik w Soho, który dzieliła razem z April.

- Nie, spotkajmy się gdzie indziej.

- Dobrze... Pójdziemy na Nabrzeże Westminsterskie i popłyniemy statkiem do Chelsea.

- Doskonale! - Po raz pierwszy od wielu miesięcy czuła się tak podekscytowana. - O której?

- O ósmej?

Zastanowiła się szybko. Solly i Tonio zechcą pozostać na wyścigach do końca. Potem wszyscy wrócą pociągiem do Londynu. Pożegna się z Greenbourne'em na Victoria Station i przejdzie do Westminsteru. Doszła do wniosku, że powinna zdążyć.

- Ale jeżeli się spóźnię, poczeka pan na mnie?

- Jeśli będzie trzeba, nawet całą noc. Przypomniała sobie o Sollym i znowu poczuła wyrzuty sumienia.

- Muszę już wrócić do moich przyjaciół.

- Odprowadzę panią - zaproponował z zapałem. Tylko nie to.

- Nie, lepiej nie. - Jak pani sobie życzy.

Wyciągnęła rękę i uściskał jej dłoń. Wyglądało to dziwnie oficjalnie.

- A więc do wieczora - powiedziała.

- Będę czekał.

Odwróciła się i odeszła, czując, że na nią patrzy. Dlaczego się zgodziłam? - pomyślała. Czy naprawdę chcę tego? Czy rzeczywiście go lubię? Gdy spotkali się po raz pierwszy, ich sprzeczka zepsuła całe przyjęcie i dzisiaj również był gotów się pokłócić, gdyby nie załagodziła sprawy. Właściwie wcale do siebie nie pasują. Nigdy nie uda im się potańczyć razem. Może wcale nie pójdzie.

Ale ma takie cudowne niebieskie oczy.

Postanowiła nie myśleć o tym więcej. Zgodziła się z nim spotkać i dotrzyma słowa.

Może będzie się dobrze bawiła, a może nie, ale takie dzielenie włosa na czworo jest bez sensu.

Będzie musiała wymyślić jakiś pretekst, aby zrezygnować z obiadu, na który chciał ją dziś wieczorem zabrać Solly. Nigdy nie pytał o powód jej decyzji i przyjmował za dobrą monetę każde, nawet najbardziej nieprawdopodobne wyjaśnienie.

Ale mimo wszystko powinna podać jakąś wiarygodną przyczynę, ponieważ fatalnie by się czuła, nadużywając jego wyrozumiałości.

Wszyscy troje znajdowali się w miejscu, w którym ich zostawiła. Całe popołudnie spędzili, wędrując między barierką a bukmacherem w kraciastym ubraniu. Oczy April i Tonia błyszczały, mieli rozradowane, triumfujące miny. Gdy tylko April dostrzegła Maisie, zawołała:

- Wygraliśmy sto dziesięć funtów, czyż to nie cudowne?!

Ucieszyła się, widząc radość przyjaciółki. Zdobyli mnóstwo pieniędzy właściwie za nic. Gdy składała im gratulacje, Pojawił się Micky Miranda. Szedł wolnym krokiem, trzymając kciuki w kieszonkach błękitnoszarej kamizelki. Jego widok wcale nie zdziwił Maisie - wszyscy przyjeżdżali do Goodwood.

Chociaż Miranda był wyjątkowo przystojny, Maisie go nie lubiła. Przypominał jej cyrkowego aranżera programu, który uważał, że wszystkie kobiety powinny czuć się zaszczycone czynionymi przez niego propozycjami, i był głęboko urażony, gdy któraś go odtrącała. Za nim jak zawsze podążał Edward Pilaster. Maisie intrygowało, co mogło łączyć tych tak różnych ludzi. Micky był szczupły, nienagannie ubrany i pewny siebie, Edward zaś wielki, niezgrabny i wieprzowaty. Dlaczego byli tak nierozłączni? Chociaż wiele osób zdawało się oczarowanych Mickyem: Tonio zawsze spoglądał na niego z jakimś nerwowym podziwem, jak szczeniak na swojego okrutnego pana.

Za młodzieńcami szedł starszy mężczyzna z młodą kobietą, Micky przedstawił go zebrany jako swojego ojca. Maisie spojrzała na niego z zaciekawieniem. W niczym nie przypominał syna. Był niskim mężczyzną o krzywych nogach, niezwykle barczystym i z ogorzałą twarzą. W przeciwieństwie do Micky'ego nie czuł się dobrze w sztywnym kołnierzyku i cylindrze. Kobieta zachowywała się jak jego kochanka, ale musiała być młodsza przynajmniej o trzydzieści lat. Micky przedstawił ją jako pannę Cox. Wszyscy zaczęli rozmawiać o wygranych. Zarówno Edward, jak i Tonio zgarnęli duże sumy za konia, który nazywał się Prince Charlie. Solly wygrał, potem przegrał, ale przez cały czas zachowywał się tak, jakby oba wyniki sprawiły mu jednakową radość. Micky nie chwalił się swoimi sukcesami i Maisie domyśliła się, że nie grał tak wysoko jak pozostali. Sprawiał wrażenie zbyt ostrożnego, wyrachowanego, aby być hazardzistą.

Ale jego następne zdanie zaskoczyło ją.

- Planujemy dziś wieczorem grę o wysokie stawki, Greenbourne - odezwał się do Solly'ego. - Po funcie minimalnie. Przyłączysz się do nas?

Wydało jej się, że pozorna beztroska Micky'ego kryje wyraźne napięcie, ale nie mogła zrozumieć dlaczego.

Solly chętnie godził się na wszystko.

- Oczywiście - odparł.

- Masz ochotę zagrać? - Micky zwrócił się z kolei do fonia i choć zabrzmiało to jak „rób, co chcesz, nie zależy mi na tym”. Maisie uchwyciła w jego głosie fałszywe nuty.

- Możesz na mnie liczyć - oznajmił z podnieceniem Silva. - Będę na pewno! April zrobiła zmartwioną minę i zaoponowała:

- Tonio, nie dzisiejszego wieczoru... Obiecałeś mi.

Maisie przypuszczała, że Tonia nie stać na grę, w której minimalną stawką był funt.

- A co ci obiecałem? - zapytał, mrugając do kolegów.

Szepnęła mu coś do ucha i wszyscy mężczyźni roześmiali się głośno.

- To ostatnia wielka gra w sezonie, Silva - zauważył Micky. - Będziesz żałował, jeżeli ją przegapisz.

Jego słowa zdumiały Maisie. W Argyll Rooms odniosła wrażenie, że Miranda nie lubi Tonia. Dlaczego więc próbował go teraz namówić do wzięcia udziału w grze?

- Miałem dziś szczęście! - pochwalił się Tonio. - Zobacz, ile wygrałem na wyścigach! Wieczorem zagram w karty.

Micky zerknął na Edwarda i Maisie zauważyła wyraźną ulgę w tej wymianie spojrzeń.

- Zjemy wspólnie obiad w klubie? - zaproponował Edward.

Solly popatrzył na Maisie i uświadomiła sobie, że znalazła gotową wymówkę, aby uwolnić się od niego na ten wieczór.

- Idź na obiad z chłopcami, Solly - powiedziała. - Nie mam nic przeciwko temu.

- Jesteś pewna?

- Tak. Przeżyłam cudowny dzień. Spędź wieczór w swoim klubie.

- No to stoi - stwierdził Micky.

Oddalił się razem ze swoim ojcem, panną Cox i Edwardem, Tonio i April ruszyli obstawić następną gonitwę. Solly podał Maisie ramię i zapytał:

- Może trochę pospacerujemy?

Szli wzdłuż pomalowanej na biało barierki ogradzającej tor. Było ciepło i wiejskie powietrze pachniało wspaniale. Po jakimś czasie Solly odezwał się:

- Czy lubisz mnie, Maisie?

Zatrzymała się, stanęła na palcach i pocałowała go w policzek.

- Bardzo.

Spojrzała mu w oczy i z zaskoczeniem dostrzegła łyżę za jego okularami.

- Solly, kochanie, co się stało?

- Ja też cię lubię - odparł. - Bardziej niż kogokolwiek.

- Dziękuję ci. - Wzruszyła się. U Solly'ego reakcje wykraczające poza łagodne zadowolenie były czymś zupełnie niezwykłym.

Po chwili zapytał ją:

- Czy wyjdiesz za mnie?

Pytanie wprawiło ją w osłupienie. Była to ostatnia rzecz pod słońcem, jakiej się spodziewała. Mężczyźni z jego sfery nie oświadczali się dziewczynom takim jak ona. Uwodzili je, dawali im pieniądze, utrzymywali jako kochanki, mieli z nimi dzieci, ale nie żenili się. Była zbyt oszołomiona, by się odezwać.

- Dam ci wszystko, co zechcesz - nalegał Solly. - Tylko zgódź się. Małżeństwo z Sollym! Do końca życia byłaby niewiarygodnie bogata. Miękkie łóżko co noc, gorące piece w każdym pokoju i tyle masła, ile byłaby w stanie zjeść. Mogłaby wstawać, kiedy

miałaby ochotę, nigdy nie byłaby głodna, nigdy nędznie ubrana, nigdy zmęczona.

Słowo „tak” cisnęło jej się na wargi.

Pomyślała o małym pokoju w Soho z gniazdem myszy w ścianie, który dzieliła z April. O ustępie, śmierdzącym w upalne dni, o nocach, kiedy szły spać głodne, o bolących nogach po całym dniu chodzenia po ulicach.

Spojrzała na Solly'ego. Czy trudno być żoną takiego człowieka?

- Bardzo cię kocham - wyznał. - Do szaleństwa. Naprawdę ją kochał, wierzyła mu.

I na tym polegał kłopot. Kochał ją bez wzajemności. Zasługiwał na lepszy los.

Zasługiwał na żonę, która odwzajemniała jego uczucie, nie zaś wyrachowaną początkującą ulicznicę. Jeżeli się zgodzi, oszuka go. A przecież był dobrym człowiekiem.

Miała ochotę się rozplakać.

- Jesteś najmilszym, najlepszym człowiekiem, jakiego w życiu spotkałam...

- Nie mów „nie”, dobrze? - przerwał jej. - Jeżeli nie możesz powiedzieć „tak”, nie mów nic. Pomyśl o tym przynajmniej dzień, a może dłużej.

Maisie westchnęła. Wiedziała, że powinna mu odmówić, i najłatwiej byłoby to zrobić od razu, ale tak bardzo ją prosił.

- Pomyśle - obiecała. Rozpromienił się.

- Dziękuję.

Pokręciła ze smutkiem głową.

- Cokolwiek się stanie, Solly, nie sądzę, by kiedykolwiek oświadczył mi się ktoś lepszy od ciebie.

Hugh i Maisie przepłynęli spacerowym parowcem z Nabrzeża Westminsterkiego do Chelsea. Był ciepły, jasny wieczór i mętłą rzekę wypełniały łodzie wiosłowe, barki i promy. Parowiec płynął w jej górę, pod nowym mostem kolejowym prowadzącym do Victoria Station, koło zaprojektowanego przez Christophera Wrena szpitala w Chelsea na północnym brzegu oraz kwiatów na Battersea Fields - tradycyjnym miejscu pojedynków londynczyków - na południowym. Battersea Bridge był zdezelowaną, drewnianą konstrukcją, sprawiającą wrażenie, że lada chwila się zawali. Na jego południowym krańcu znajdowały się fabryki chemiczne, ale na drugim brzegu rzeki ładne domki otaczały Old Church w Chelsea i nagie dzieci pluskały się na płycznach.

Jakieś półtora kilometra za mostem zeszli ze statku i ruszyli wzdłuż mola w stronę wspaniałej złoczonej bramy Cremorne oadns. Między rzeką a King's Road ciągnęło się dwanaście lasków, pełnych grot, trawników i rabatek z kwiatami, zagajników i porośniętych paprociami polan. Gdy dotarli na miejsce, zapadł już zmierzch i kręte ścieżki oświetlone były wiszącymi na drzewach lampionami oraz lampami gazowymi. Wszędzie przewalały się tłumy. Wielu młodych ludzi, którzy uczestniczyli w wyścigach, postanowiło zakończyć dzień właśnie tutaj. Wszyscy byli ubrani wyjściowo i wędrowali beztrąsko przez ogrody, śmiejąc się i flirtując - dziewczęta parami młodzi panowie w większych grupach, małżeństwa - trzymając się pod rękę.

Cały dzień pogoda była wspaniała, słoneczna i ciepła, teraz jednak noc stawała się gorąca i duszna jak przed burzą. Hugh czuł zarazem uniesienie i zdenerwowanie.

Wspaniale było trzymać Maisie pod rękę, ale jednocześnie wciąż nie był pewien, jakie są zasady gry. Czego się po nim spodziewa? Czy pozwoli mu się pocałować? A może na coś więcej? Pragnął dotknąć jej ciała, lecz nie wiedział, w jaki sposób zacząć. Czy oczekuje od niego, aby zdecydował się na wszystko? Miał na to straszliwą ochotę, ale nigdy jeszcze tego nie robił i bał się wyjść na durnia. Inni urzędnicy u Pilasterów wiele mówili o panienkach, o tym, co chcieliby z nimi zrobić, a czego nie, ale Hugh podejrzewał, że w większości były to czcze przechwałki. Poza tym Maisie nie sposób było traktować jak pospolitą ulicznicę. Była kimś o wiele bardziej niezwykłym. Trochę się również obawiał, że może go zobaczyć ktoś znajomy. Jego zachowanie z całą pewnością wywołałoby oburzenie rodziny. Cremorne Gardens uchodziły nie tylko za miejsce odwiedzane przez niższe sfery, ale w dodatku metodyści uważali je za źródło niemoralności. Gdyby go więc tutaj zauważono, Augusta na pewno wykorzystałaby ten fakt przeciwko niemu. Co innego gdy Edward zabierał kobiety lekkich obyczajów do podejrzanych lokali - był w końcu jej synem i spadkobiercą.

Jego natomiast, biednego, źle wykształconego Hugh'a, obowiązywały odrębne zasady.

Z pewnością uznano by, że te mające podejrzaną reputację ogrody stanowią jego naturalne środowisko i że właściwie jest taki sam jak urzędnicy, rzemieślnicy oraz dziewczyny pokroju Maisie, toteż niewątpliwie skończy równie źle jak jego ojciec.

Hugh znajdował się w krytycznym punkcie swojej kariery. Czekał go właśnie awans na stanowisko korespondenta z pensją tu pięćdziesięciu funtów rocznie, ponad dwukrotnie wyższą niż obecnie, i informacja o jego złym prowadzeniu się mogłaby zaprzepaścić tę szansę.

Spoglądał z niepokojem na innych mężczyzn spacerujących po krętych ścieżkach między klombami, obawiając się spotkania ze znajomymi. Zauważył wśród nich kilku dżentelmenów bezsprzecznie pochodzących z wyższych klas, niektórych również w towarzystwie dziewczyn. Wszyscy jednak starannie unikali jego spojrzenia, co uświadomiło mu, że podobnie jak on nie mają ochoty być rozpoznani. Doszedł więc do wniosku, że jeżeli nawet natknie się na kogoś znajomego, ten ktoś będzie w jednakowym stopniu zainteresowany zachowaniem tajemnicy. Poczł się nieco pewniej.

Był dumny z Maisie. W seledynowej sukni z głębokim dekoltem i turniurą oraz kokietyjnie przechyloną na bok marynarskim kapeluszu na wysoko upiętych włosach przyciągała wiele pełnych podziwu spojrzeń. Minęli salę baletową, cyrk orientalny, amerykańską kręgielnię i kilka strzelnic, a potem weszli do restauracji, aby zjeść obiad. Dla Hugh'a było to zupełnie nowe doświadczenie. Chociaż restauracje stawały się coraz bardziej popularne, korzystały z nich najczęściej klasy średnie. Przedstawicielom wyższych sfer w dalszym ciągu nie podobał się pomysł jadać w miejscach publicznych. Wprawdzie młodzi ludzie, tacy jak Edward czy Micky, spożywali posiłki w mieście, ale uważali to za pospolitowanie się i czynili tak tylko wówczas, gdy szukali łatwych dziewczyn albo już zapewnili sobie ich towarzystwo.

Przez cały obiad Hugh starał się nie myśleć o piersiach Maisie. Górna część jej biustu wychylała się rozkosznie znad krawędzi dekoltu sukni; jasna, usiana piegami skóra

przykuwała wzrok. Raz już widział nagie piersi - w domu publicznym u Nellie, kilka tygodni temu. Ale nigdy ich nie dotykał. Czy były twarde jak mięśnie, czy miękkie? Gdy kobieta zdejmie gorset, to czy jej piersi poruszają się podczas chodzenia, czy są Nieruchome? A gdyby ich dotknął - czy poddałyby się naciskowi, czy też okazały się twarde jak kolano? Czy Maisie Pozwoliłaby mu ich dotknąć? Chwilami marzył nawet o ich całowaniu - w końcu widział, jak mężczyzna w domu publicznym całował biust dziwki - ale było to tajemne pragnienie którego się wstydził. W gruncie rzeczy wszystkie te myśli wzbudzały w nim pewne zażenowanie i czuł się paskudnie. Siedział z kobietą i przez cały czas koncentrował uwagę na jej nagim ciele, zupełnie jakby ona sama w ogóle go nie obchodziła; jakby tylko chciał ją wykorzystać. Nic jednak nie mógł na to poradzić. Maisie go fascynowała.

Kiedy jedli obiad, w innej części ogrodów rozpoczął się pokaz fajerwerków. Eksplozje i błyski rozdrażniłyzymane w menażerii lwy i tygrysy, które zaczęły ryczeć z oburzeniem. Hugh przypomniał sobie, że Maisie pracowała w cyrku, i zapytał ją o tamten okres.

- Kiedy ludzie żyją wspólnie i tak blisko, mają okazję dobrze się poznać - odparła z namysłem. - Niekiedy jest to dobre, niekiedy złe. Ludzie wciąż sobie pomagają. Są miłostki, wiele kłótni, czasami bójki... W ciągu trzech lat, które spędziłam w cyrku, zdarzyły się dwa morderstwa.

- Dobry Boże!

- A zarobki są niepewne.

- Dlaczego?

- Gdy ludzie muszą oszczędzać, rezygnują przede wszystkim z rozrywek.

- Nigdy o tym nie pomyślałem. Muszę zapamiętać, aby nie inwestować pieniędzy banku w żadną formę rozrywek.

Uśmiechnęła się.

- Przez cały czas myśli pan o finansach?

Nie, przemknęło mu przez głowę. Przez cały czas myślę o twoich piersiach. Głośno jednak odrzekł:

- Proszę zrozumieć, że jestem synem rodzinnej czarnej owcy. Wiem więcej o bankowości niż wszyscy inni młodzi Pilasterowie, ale muszę pracować dwa razy więcej, aby udowodnić, ile jestem wart.

- Dlaczego tak bardzo chce pan udowodnić swoją wartość.

Dobre pytanie, przyznał Hugh. Zastanowił się i po chwili odpowiedział:

- Chyba zawsze taki byłem. W szkole musiałem uczyć się najlepiej w klasie. A klęska mojego ojca postawiła mnie w fatalnej sytuacji. Wszyscy sądzą, że pójdę w jego ślady, więc muszę udowodnić im, że się mylą.

- Wie pan, na swój sposób odczuwam coś podobnego. Nie mam zamiaru żyć tak jak moja mama, zawsze na krawędzi nędzy. Zamierzam zdobyć pieniądze, bez względu na to, co będę musiała robić.

Najłagodniej jak potrafił zapytał:

- Dlatego chodzi pani z Sollym?

Zmarszczyła brwi i zląkł się, że się rozzłości, ale ten chwilowy nastrój minął i uśmiechnęła się ironicznie.

- Bardzo słuszne pytanie. Jeżeli chce pan znać prawdę, to wcale nie jestem dumna z moich związków z Sollym. Wprowadziłam go w błąd pewnymi... obietnicami. Jej słowa zaskoczyły go. Czyżby oznaczało to, że nie robiła z Sollym „wszystkiego”?

- Wydaje mi się, że lubi panią.

- Ja jego również. Ale jemu nie zależy i nigdy nie zależało na samej przyjaźni i zawsze zdawałam sobie z tego sprawę.

- Rozumiem, o co pani chodzi.

Hugh doszedł do wniosku, że jednak nie robiła tego z Sollym, a to mogło oznaczać, że z nim też nie zechce. Doznał zarówno zawodu, jak i ulgi. Zawodu - bo tak bardzo jej pragnął, ulgi - bo tak się tym denerwował.

- Wydaje się pan z czegoś zadowolony - stwierdziła Maisie.

- Chyba ucieszyła mnie wiadomość, że jesteście z Sollym tylko przyjaciółmi. Zasmuciła się nieco i przez moment obawiał się, że powiedział coś niewłaściwego. Zapłacił za obiad. Był dość drogi, ale Hugh wziął ze sobą dziesięć szylingów - całe oszczędności przeznaczone na nowe ubranie, dysponował więc mnóstwem gotówki. Kiedy wyszli z restauracji, wydało mu się, że ludzie w ogrodach - najwyraźniej pod wpływem wypitych okazałych ilości dżinu i piwa - zachowują się coraz bardziej gwałtownie.

Dotarli do parkietu. Taniec był czymś, czego Hugh się nie obawiał, ponieważ stanowił jedyny przedmiot, którego dobrze Uczono w Folkestońskiej Akademii dla Synów Dżentelmenów. Zaprowadził Maisie na parkiet i po raz pierwszy ją objął. Kiedy jego dłoń spoczęła na plecach dziewczyny, tuż nad turniurą, poczuł mrowienie w palcach. Przez materiał sukni promieniowało ciepło jej ciała. Lewą dłonią ujął rękę Maisie. Uścisnęła ją lekko, co wzbudziło w nim dreszcz. Gdy skończył się pierwszy taniec, uśmiechnął się do niej zadowolony. Ku jego zaskoczeniu czubkiem palca dotknęła jego warg.

- Lubię, kiedy się pan uśmiecha - powiedziała. - Wygląda pan wtedy tak chłopczo.

Nie za bardzo zależało mu na tym, aby wydać się jej „chłopczo”, ale w tej chwili odpowiadało mu wszystko, co sprawiało jej przyjemność.

Zatańczyli znowu. Stanowili dobraną parę. Maisie była niska, on niewiele od niej wyższy i oboje poruszali się lekko. Tańczył już z dziesiątkami, jeżeli nie setkami dziewcząt, ale nigdy nie odczuwał aż takiego zadowolenia. Dopiero teraz odkrywał, na czym polega urok tańca - na tym mianowicie, że trzyma tuż przy sobie kobietę, porusza się wraz z nią w rytm muzyki i wykonuje jednocześnie skomplikowane pasy.

- Czy nie jest pani zmęczona? - zapytał ją, gdy muzyka ucichła.

- Ani trochę! Zaczęli tańczyć znowu.

Na balach w towarzystwie uważano za przejaw złego wychowania, jeżeli ktoś tańczył z tą samą partnerką więcej niż dwa razy. Należało sprowadzić ją z parkietu i zaproponować szampana albo sorbet. Hugh'a zawsze drażniły te zasady i teraz, jako anonimowy uczestnik publicznych tańców, czuł się radośnie wyzwolony. Pozostali na

parkiecie aż do północy, dopóki grała orkiestra. Wszystkie pary zeszły z parkietu i ruszyły po ścieżkach parku. Hugh zauważył, że wielu mężczyzn obejmuje swoje partnerki, choć tańce się już skończyły, i z pewnym wahaniem zrobił to samo. Maisie najwyraźniej nie miała nic przeciwko temu.

Zabawa zaczęła przekraczać dozwolone granice. Obok ścieżek znajdowały się gdzieś niewielkie ogrodzone miejsca przypominające łoże w operze, w których ludzie mogli siedzieć, jeść i obserwować spacerujące tłumy. Niektóre z nich okupowały grupki obecnie zupełnie już pijanych studentów. Idącemu przed Hughiem mężczyźni stracono dla zabawy cylinder, a potem on sam musiał uchylić się, aby uniknąć trafienia rzuconym w niego bochenkiem chleba. Obronnym gestem przysunął Maisie bliżej siebie i z rozkoszą poczuł, że dziewczyna obejmuje go w pasie i przytula.

Altanki i zarośla obok głównej ścieżki pogrążone były w mroku. Hugh dostrzegł pary na drewnianych ławkach, ale nie zdołał ustalić, czy obejmują się, czy też tylko siedzą razem. Zaskoczyło go, kiedy idąca przed nimi para zatrzymała się nagle i zaczęła namiętnie całować na samym środku ścieżki. Zmieszany przeprowadził obok nich Maisie, ale kilka minut później znowu minęli ściskającą się parę. Hugh zerknął na dziewczynę i wydało mu się, że uśmiechnęła się do niego zachęcająco, ale nie mógł zebrać się na odwagę i jej pocałować. Park opanowało coraz większe rozpasanie. Musieli obejść szerokim łukiem bijatykę, w której brało udział sześciu czy siedmiu pijanych młodych ludzi - wrzeszczących, okładających się pięściami i przewracających nawzajem. Hugh zauważył również kilka samotnych kobiet i zastanawiał się, czy są to prostytutki. Robiło się niebezpiecznie i czuł, że musi ochraniać Maisie.

Nagle grupa trzydziestu czy czterdziestu młodych ludzi puściła się biegiem przed siebie, strącając ludziom kapelusze, rozpychając kobiety na boki i przewracając mężczyzn. Nie było przed nimi ucieczki - napastnicy pędzili szeroką ławą po trawnikach z obu stron ścieżki. Hugh zareagował szybko. Stał przed Maisie, tyłem do łobuzów, zdjął cylinder i otoczył dziewczynę ramionami, przyciskając ją mocno do siebie. Grupa Przewaliła się obok nich. Twarde ramię uderzyło Hugh'a w plecy tak mocno, że aż się zachwiał, ale nie wypuścił Maisie z objęć. Udało mu się utrzymać na nogach. Nieopodal upadła potrącona kobieta, a jakiś dżentelmen oberwał pięścią w twarz. Potem chuligani zniknęli. Hugh rozluźnił uścisk i spojrzał na Maisie. W jej wzroku dostrzegł wyczekiwanie.

Z wahaniem pochylił się i pocałował ją w usta. Były cudownie miękkie. Zamknął oczy. Cekał na to wiele lat - na swój pierwszy pocałunek. I okazał się rzeczywiście tak wspaniały, jak o tym marzył. Poczł jej zapach, jej usta poruszyły się delikatnie pod jego wargami. Chciał, aby chwila ta trwała wiecznie.

Przerwała pocałunek. Popatrzyła na niego ostro, a potem przytuliła mocno do siebie, przywierając doń całym ciałem.

- Możesz pokrzyżować wszystkie moje plany - powiedziała cicho.

Nie był pewien, co znaczą jej słowa. Zerknął w bok i zobaczył altankę z pustą ławką. Zbierając całą odwagę, zapytał:

- Może usiądziemy?

- Dobrze.

Zagłębili się w ciemność i usiedli na drewnianej ławeczce. Hugh pocałował ją znowu.

Tym razem nie zachowywał się już tak lękliwie. Objął Maisie za ramiona i przycisnął do siebie, a drugą ręką uniósł jej brodę. Potem pocałował ją jeszcze namiętniej niż poprzednio, mocno przywierając wargami do ust dziewczyny.

Zareagowała z entuzjazmem, wyginając plecy tak, że czuł jej biust uciskający jego tors. Zaskoczyło go, że tak to na nią podziałało, choć na dobrą sprawę nie znał powodu, dla którego dziewczęta nie miałyby znajdować przyjemności w całowaniu się. Jej zapał dodatkowo go podniecał.

Głaskał policzki i szyję Maisie, aż wreszcie jego dłoń spoczęła na jej ramieniu.

Pragnął dotknąć jej piersi, bał się jednak, że poczuje się tym urażona, i zawahał się. Przynęła usta do jego ucha i szeptem, który również był pocałunkiem, rzekła:

- Możesz ich dotknąć.

Zaskoczyło go, że z taką łatwością czyta w jego myślach, a zaproszenie podnieciło go jeszcze bardziej. Maisie nie tylko była chętna, lecz również chciała o tym mówić. „Możesz ich dotknąć”... Czubki jego palców prześlizgnęły się od ramienia, przez obojczyk, w dół, aż wreszcie dotknęły wypukłości piersi ponad dekoltem sukni. Skóra dziewczyny była ciepła i miękka, Nie był pewien, co robić dalej. Czy powinien wsunąć rękę pod suknię?

Odpowiedziała na jego niezadane pytanie, biorąc go za rękę i przyciskając ją do sukni poniżej dekoltu.

- Ściśnij je, ale delikatnie - szepnęła. posłuchał i przekonał się, że nie przypominały mięśni czy kolana. Były bardziej elastyczne, oprócz twardych sutek. Jego dłoń przesuwiała się od jednej do drugiej, gładząc i ściskając je na zmianę. Oddech Maisie parzył go w szyję. Wydawało mu się, że mógłby tak robić przez całą noc, ale przerwał, aby pocałować dziewczynę w usta. Tym razem tylko musnęła go wargami i odsunęła się, a potem zrobiła to jeszcze raz i jeszcze... Jego podniecenie wzrosło. Zdał sobie sprawę, że jest bardzo wiele sposobów całowania. Nagle zamarła w bezruchu.

- Posłuchaj - powiedziała.

Zaczął sobie uświadamiać, że w parku nasila się hałas. Wyraźnie słychać było krzyki i trzaski. Kiedy spojrzał w kierunku ścieżki, zobaczył, że ludzie rozbiegają się we wszystkie strony.

- Chyba wybuchła jakaś awantura - oznajmił.

W tej samej chwili usłyszał gwizdek policyjny.

- Do licha - mruknął. - Zaraz będą kłopoty.

- Lepiej stąd chodźmy - zaproponowała Maisie.

- Musimy dotrzeć do wyjścia na King's Road, a tam może uda nam się złapać dorożkę.

- Dobrze.

Zawahał się i poprosił:

- Jeszcze jeden pocałunek.

- Tak.

Pocałował ją, a Maisie przytuliła go mocno.

- Hugh - rzekła. - Cieszę się, że cię spotkałam.

Pomyślał, że to najmiłsze słowa, jakie kiedykolwiek usłyszał.

Wrócili na ścieżkę i szybkim krokiem ruszyli na północ.

Chwilę później dwaj młodzi ludzie przemknęli obok nich. Najwyraźniej jeden gonił drugiego. Uciekający zderzył się z Hughiem i go przewrócił. Kiedy udało mu się pozbierać i wstać, obaj mężczyźni zniknęli. Maisie była zaniepokojona.

- Nic ci się nie stało? - zapytała. Otrzepał się i podniósł cylinder.

- Nie - odparł. - Ale nie chciałbym, żeby tobie przytrafiło się to samo. Lepiej przejdźmy trawnikami... Tam powinno być bezpieczniej.

Gdy zeszli ze ścieżki, gazowe lampy zgasły.

Dalej szli w ciemności. Teraz już bez przerwy rozlegały się krzyki mężczyzn i piski kobiet, przerywane gwizdkami policyjnymi. Nagle Hugh uświadomił sobie, że może zostać aresztowany, a wtedy wszyscy dowiedzieliby się, gdzie spędzał czas, i Augusta uznałaby, iż jest zbyt lekkomyślny, aby powierzać mu odpowiedzialne stanowisko w banku. Jęknął. Potem jednak przypomniał sobie, co czuł, dotykając piersi Maisie, i doszedł do wniosku, że nie obchodzi go zdanie ciotki. Trzymali się z dala od ścieżek i otwartych przestrzeni, wybierając drogę między drzewami i zaroślami. Teren wznosił się stopniowo i Hugh wiedział, że kierują się we właściwą stronę.

W oddali zauważył migoczące latarnie i ruszyli ku światłom. Zaczęli napotykać inne pary i Hugh pomyślał, że będą mieli większe szansę uniknięcia kłopotów z policją, jeżeli znajdą się w grupie porządnie wyglądających i trzeźwych osób. Gdy zbliżyli się do bramy, pojawił się przy niej oddział trzydziestu czy czterdziestu policjantów. Chcąc przedostać się do parku pod prąd napierającego tłumu, funkcjonariusze zaczęli na oślep okładać pałkami mężczyzn i kobiety. Ludzie zawrócili i zaczęli uciekać w przeciwnym kierunku. Hugh szybko podjął decyzję.

- Pozwól, że będę cię nioś - odezwał się do Maisie. Zrobiła zdziwioną minę, ale zgodziła się. Pochylił się i wziął ją na rękę.

- Udawaj, że zemdlałaś - polecił.

Zamknęła oczy i zwiła bezwładnie w jego ramionach. Ruszył do przodu, przeciskając się między rozgorączkowanymi ludźmi i krzycząc najbardziej rozkazującym tonem, na jaki mógł się zdobyć:

- Z drogi, dajcie mi przejść! Z drogi!

Na widok najwyraźniej chorej kobiety nawet uciekający próbowali zejść mu z drogi.

Ruszył na spotkanie szarżujących policjantów, którzy sprawiali wrażenie równie przerażonych jak tłum.

- Odsuńcie się, konstablu! Przepuście tę damę! - krzyknął do jednego z nich. Mężczyzna spojrzał na niego wrogo i przez chwilę Hugh pomyślał, że bluff mu się nie uda. Zaraz jednak sierżant zawołał:

- Przepuścić tego dżentelmena!

Hugh przeszedł przez kordon policji i nagle znaleźli się na swobodzie.

Maisie otworzyła oczy i uśmiechnęła się do niego. Z przyjemnością trzymał ją na rękach i wcale nie było mu spieszno pozbyć się tego ciężaru.

- Dobrze się czujesz? - zapytał.

Skinęła głową. Wydało mu się, że dziewczyna ma oczy pełne łez.

- Postaw mnie - powiedziała. Zrobił to i uścisnął ją mocno.

- Proszę cię, nie płacz - rzekł. - Już po wszystkim. Pokręciła głową.

- Nie chodzi o tę awanturę - odparła. - Już widziałam bójki. Ale o to, że po raz pierwszy ktoś się o mnie zatroszczył. Przez całe życie musiałam dbać o siebie sama. To dla mnie zupełnie nowe przeżycie.

Nie wiedział, jak się zachować. Wszystkie dziewczęta, z którymi się stykał, oczekiwały, że mężczyźni będą się nimi opiekować. Przebywanie z Maisie wciąż go czegoś uczyło.

Rozejrzał się, szukając dorożki. Żadnej jednak nie było widać.

- Obawiam się, że będziemy musieli iść na piechotę.

- Kiedy miałam jedenaście lat, szłam cztery dni, aby dostać się do Newcastle - odpowiedziała. - Myślę, że zdołam dojść z Chelsea do Soho.

Micky Miranda zaczął oszukiwać przy kartach, kiedy był w szkole w Windfield, i w ten sposób uzupełniał zbyt małe kieszonkowe, które otrzymywał z domu. Jego metody były prymitywne, ale wystarczały, aby oskubać kolegów. Kiedy jednak, w czasie długiego transatlantyckiego rejsu do domu w przerwie między ukończeniem szkoły a rozpoczęciem studiów, próbował nabrać współpasażera, który okazał się zawodowym szulerem. Starszy mężczyzna był tym tak rozbawiony, że wziął go pod swoje skrzydła i nauczył podstawowych arkanów profesji.

Oszukiwanie było najbardziej niebezpieczne przy wysokich stawkach. Jeżeli ktoś grał o grosze, nigdy nie przychodziło mu do głowy, że przeciwnik może być nieuczciwy. Podejrzenia narastały proporcjonalnie do wysokości puli. Gdyby go przyłapano dziś wieczorem, oznaczałoby to nie tylko niemożność zrealizowania planu zrujnowania Tonia. Oszustwo karciane uchodziło w Anglii za najgorsze przestępstwo, jakiego mógłby się dopuścić dżentelmen. Poproszono by go o zrezygnowanie z członkostwa w klubach, a gdyby złożył przyjaciołom wizytę, usłyszałby, że państwa „nie ma w domu”. Nikt też nie odezwałby się do niego na ulicy. Każdy tego rodzaju przypadek kończył się zawsze tak samo: winowajca opuszczał kraj, aby zacząć wszystko od nowa gdzieś daleko, na nieucywilizowanych jeszcze ziemiach, takich jak Malaje czy Zatoka Hudsona. Micky natomiast musiałby wrócić do Cordovy, znieść szykany starszego brata i resztę życia poświęcić hodowli bydła. Na samą myśl o tym robiło mu się niedobrze.

Ale zyski dzisiejszego wieczoru mogły być równie wysokie jak ryzyko.

Nie robił tego wyłącznie, aby sprawić przyjemność Augustie, choć był to wystarczająco ważny powód - stanowiła przecież jego paszport do kręgów bogatych i potężnych ludzi w Londynie. Zarazem jednak chciał zdobyć stanowisko Tonia. Tata oświadczył, że Micky nie będzie już otrzymywał pieniędzy z domu, musi więc zarobić

na swoje utrzymanie. Praca Tonia była dla niego idealna. Dzięki niej mógłby - właściwie nic nie robiąc - żyć jak dżentelmen, a poza tym stanowiłaby krok w górę, ku lepszej pozycji. Któregoś dnia mógłby nawet zostać ambasadorem i wtedy byłby mile widziany w każdym towarzystwie. Nawet jego brat nie pozwalałby sobie więcej na szyderstwa z niego.

Micky, Edward, Solly i Tonio zjedli wczesny obiad w Cowes, jego ulubionym klubie.

O dziesiątej znajdowali się już pokoju do gry. Przy stoliku do bakarata przyłączyli się do nich dwaj inni gracze, których doszły wieści o wysokich stawkach - kapitan Carter i wicehrabia Montagne.

Montagne był durniem, ale Carter miał mocną głowę i Micky zdawał sobie sprawę, że musi na niego uważać.

W odległości dwudziestu pięciu - trzydziestu centymetrów od krawędzi stołu wymalowano białe linie. Przed każdym graczem, poza narysowanym prostokątem, piętrzył się stos złotych suwerenów. Gdy pieniądze kładziono za linię, w prostokacie, oznaczało to obstawienie karty.

Micky cały dzień udawał, że pije. W czasie lunchu zwilżał wargi szampanem i dyskretnie wylewał go na trawę. W pociągu do Londynu kilkakrotnie przyjmował od Edwarda manierkę, ale za każdym razem pozorował tylko picie, zatykając otwór językiem. Podczas obiadu nalał sobie niewielki kieliszek czerwonego wina, a potem dolewał dwukrotnie, nie przełykając ani kropli. Teraz zamówił po cichu piwo imbirowe, z wyglądu przypominające brandy z wodą sodową. Musiał być absolutnie trzeźwy, aby przeprowadzić delikatne manipulacje, za pomocą których zrujnuje Tonia Silvę.

Uświadomiwszy sobie powagę sytuacji, oblizal nerwowo wargi i spróbował się rozluźnić.

Ulubioną karcianą grą wszystkich szulerów był bakarat. Micky uważał, że grę tę wynaleziono po to, aby umożliwić sprytnym okradanie bogatych.

Przede wszystkim była to gra całkowicie losowa, niewymagająca ani umiejętności, ani strategii. Gracz otrzymywał dwie karty i sumował ich wartość - trzy i cztery dawało siedem, dwa i sześć - osiem. Jeżeli suma okazywała się wyższa od dziewięciu, liczyła się tylko ostatnia cyfra - piętnaście zatem oznaczało pięć, dwadzieścia - zero, najwyższym zaś wynikiem było dziewięć.

Gracz z najniższym wynikiem mógł wyciągnąć trzecią kartę, którą wykładano licem do góry, tak aby każdy mógł ją zobaczyć.

Następnie bankier wykladał trzy karty - jedną po lewej ręce, drugą po prawej, a ostatnią sobie. Gracze obstawiali lewą lub prawą kartę. Bankier płacił za każdą wyższą od jego.

Z punktu widzenia szulera drugim poważnym plusem bata rata była zasada, że w grze używało się przynajmniej trzech talii kart. Dzięki temu oszust mógł korzystać z czwartej talii i spokojnie wykladać karty z rękawa bez obawy, że któryś z graczy ma w ręce identyczną kartę.

W czasie gdy wszyscy wciąż sadowili się wygodnie i zapalali cygara, Micky poprosił

kelnera o trzy nowe talie. Służący przyniósł karty i oczywiście podał temu, kto je zamówił.

Aby kontrolować grę, Micky musiał rozdawać, a więc przede wszystkim za wszelką cenę musiał zostać bankierem. Wymagało to wykonania dwóch sztuczek - zneutralizowania przełożenia kart i odkrycia drugiej karty. Obydwie czynności były stosunkowo łatwe, obawiał się jednak, że z powodu napięcia nawet ten najprostszy trik może mu się nie udać.

Złamał pieczęcie. Karty zawsze pakowano w taki sam sposób - z dzokerami na górze i asem pik na dole. Micky wyjął dzokery i zaczął z przyjemnością tasować, czując czyste, lśniące powierzchnie nowych kart. Przełożenie asa z dołu na górę talii było najprostszą operacją pod słońcem, teraz jednak musiał pozwolić któremuś graczowi przełożyć talie w taki sposób, aby as pozostał na górze. Podał je Solly'emu, który siedział po jego prawej ręce. Kładąc karty na stole, skulił nieco dłoń, wskutek czego karta na samej górze - as pik - pozostała w jego dłoni, niewidoczna dla pozostałych. Solly przełożył. Trzymając cały czas rękę obróconą dłonią do dołu, aby ukryć asa, Micky wziął talię, i dołożył do niej zabranego asa. Udało mu się pomyślnie zneutralizować przełożenie.

- Najwyższa karta bierze bank? - zapytał, starając się, aby jego głos brzmiał obojętnie. Rozległ się pomruk potakiwania.

Trzymając mocno talię, przesunął górną kartę ułamek centymetra do tyłu i zaczął szybko rozdawać, przytrzymując górną kartę i wykładając drugą, dopóki nie nadeszła jego kolej. Wtedy wreszcie położył asa. Wszyscy jednocześnie odwrócili karty. Jedyne Micky miał asa, więc to on został bankierem.

Zdołał uśmiechnąć się beztrąsko.

- Mam wrażenie, że dziś mi się poszczęści - powiedział. Nikt nie skomentował jego słów.

Rozluźnił się nieco. Starannie ukrywając ulgę, zaczął pierwsze rozdanie.

Tonio siedział po jego lewej ręce razem z Edwardem i wicehrabią Montagne'em. Po prawej usadowili się Solly i kapitan Carter. Micky nie chciał wygrać, tego wieczoru nie o to mu chodziło. Pragnął jedynie, aby przegrał Tonio.

Przez jakiś czas grał uczciwie, tracąc nieco pieniędzy Augusty. Partnerzy też się rozluźnili i zamówili następną kolejkę drinków. Kiedy nadeszła odpowiednia pora, Micky zapalił cygaro.

W wewnętrznej kieszeni jego surduta, tuż obok pudełka z cygarami, znajdowała się kolejna talia kart, zakupiona w sklepie na St. James's Street. Tam właśnie nabywano karty dla klubu, dzięki czemu talie nie różniły się od siebie.

Ułożył dodatkową talię w wygrywające pary, dające w sumie dziewięć, czyli najwyższy wynik - cztery i pięć, dziewięć i dziesięć, dziewięć i walet, i tak dalej. Pozostałe dziesiątki i figury pozostawił w domu.

Wkładając pudełko z cygarami do kieszeni, ukrył w dłoni dodatkową talię, a potem - biorąc karty ze stołu - drugą ręką wsunął nowe pod spód starej talii. W czasie gdy pozostali mieszały brandy z wodą, on tasował, starannie układając talię - jedna karta z

dołu, dwie przypadkowe, kolejna z dłoni i znowu dwie przypadkowe. Dzięki temu rozdając na lewo, następnie na prawo i wreszcie sobie - mógł otrzymać wygrywającą parę.

Tonio zaczął grę, wykładając na stół większość pieniędzy wygranych na wyścigach - około stu funtów. Kiedy suma zmniejszyła się mniej więcej o połowę, wstał i oznajmił:

- Ta strona jest pechowa, usiądę przy Sollym. - Przeszedł na drugą stronę stołu. Dzisiaj Nic ci to nie pomoże, pomyślał Micky. Zorganizowanie Wszystkiego tak, aby teraz wygrywała lewa strona, a przegrywała prawa, wcale nie było trudniejsze.

Ale zaniepokoiły go słowa Tonia o pechu. Chciał, aby Silva uwierzył w swoje nikłe szczęście, mimo kolejnych przegranych.

Od czasu do czasu Tonio zmieniał sposób gry, stawiając pięć lub dziesięć suwerenów na kartę, zamiast dwóch lub trzech Micky dawał mu wtedy wygrywającą parę. Tonio zgarniał wygraną i przechwalał się:

- Mam dziś szczęście, jestem tego pewien! - mimo to stos leżących przed nim monet stale się zmniejszał.

Micky czuł się coraz swobodniej. Zgrabnie manipulował kartami, obserwując jednocześnie stan ducha swojej ofiary. Nie wystarczało mu ogranie Tonia do czysta. Ostatecznym jego celem było zmuszenie go do zagrania za pieniądze, których Silva nie miał. Nie mogąc spłacić długu, Tonio byłby ostatecznie zhańbiony.

Micky czekał niecierpliwie, Tonio tymczasem przegrywał coraz więcej i więcej.

Silva ogromnie bał się Mirandy, podziwiał go i zazwyczaj robił wszystko, co tamten mu zaproponował. Nie był jednak absolutnym durniem i wciąż istniała szansa, że zachowa dość zdrowego rozsądku, aby cofnąć się znad krawędzi ruiny finansowej.

Gdy pieniądze Tonia prawie zupełnie stopniały, Micky wykonał swój następny ruch.

Ponownie wyjął pudełko z cygarami.

- Dostałem z domu - powiedział. - Tonio, spróbuj. - Gdy Silva przyjął cygaro, Miranda poczuł ogromną ulgę. Cygaro było długie i wypalenie go potrwa przynajmniej pół godziny. Tonio nie zechce wyjść z gry, póki nie skończy. Kiedy zapalili cygara, Micky przystąpił do finału. Kilka rozdań później Tonio był już bez grosza.

- No cóż, to było wszystko, co wygrałem dziś w Goodwood - oznajmił ponuro.

- Powinniśmy dać ci szansę odegrania się - rzekł Micky. - Jestem pewien, że Pilaster pożyczyci ci sto funtów.

Edward zrobił nieco zaskoczoną minę, ale ponieważ po tak dużych wygranych byłoby niehonorowo odmówić, odparł:

- Ależ oczywiście.

W tym momencie wtrącił się Solly.

- Może powinieś się wycofać, Silva, i podziękować losowi, że miałeś za darmo dzień tak wspaniałej gry.

Micky przeklął w duchu grubasa za jego poczciwość i koleżeńskość. Jeżeli Tonio ulegnie głosowi rozsądku, cały jego plan rozsypie się w gruzy.

Silva zawahał się, a Miranda wstrzymał oddech.

Jednakże Tonio nie miał zwyczaju grać rozważnie i zgodnie z oczekiwaniami Micky'ego nie zdołał oprzeć się pokusie.

- Dobra - oświadczył. - Gram, dopóki nie skończę cygara. Micky niemal niedostrzegalnie westchnął z ulgą.

Tonio przywołał gestem kelnera i poprosił o papier, pióro i atrament. Pilaster odliczył sto suwerenów i Silva wypisał kwit. Miranda doskonale wiedział, że jeżeli Tonio przegra, nigdy nie zdoła spłacić długu.

Gra toczyła się dalej. Micky zorientował się, że przez cały czas - starając się utrzymać delikatną równowagę - trochę się poci. Dbał o to, aby Silva przegrywał systematycznie, ale od czasu do czasu dawał mu wygrać wysoko, aby podtrzymać go na duchu. Gdy wreszcie jego zasoby zmniejszyły się do pięćdziesięciu funtów, Tonio oznajmił:

- Wygrywam tylko wtedy, gdy gram wysoko. Stawiam wszystko na następne rozdanie. Była to duża stawka nawet jak na Cowes Club. Jeżeli Tonio przegra, będzie skończony. Kilku członków klubu zobaczyło wielkość puli i stanęło przy stole, aby obserwować grę.

Micky rozdał karty.

Spojrzał na siedzącego po jego lewej stronie Edwarda, który pokręcił głową, informując, że nie będzie dobierał karty.

Z prawej Solly zrobił tak samo.

Miranda odwrócił swoje karty. Dał sobie ósemkę i asa, co stanowiło razem dziewięć.

Edward odstłonił karty z lewej strony. Nicky nie mógł przewidzieć, jakie się tam znajdują. Wiedział z góry, co otrzyma, ale pozostałe rozdawał losowo. Edward miał piątkę i dwójkę, czyli łącznie siedem. Pilaster i kapitan Carter stracili swoje pieniądze.

Solly odwrócił karty, na które Tonio postawił całą swoją przyszłość.

Okazało się, że ma dziewięć i dziesięć, co w sumie stanowiło Piętnaście i liczyło się jak dziewięć. Remis. Nie było ani przegranego, ani zwycięzcy i Tonio zatrzymał swoje pięćdziesiąt funtów.

Nicky zaklął w duchu. Chciał, żeby Silva wreszcie przegrał wszystko.

Zebrał szybko karty i z lekkim szyderstwem zapytał:

- Zamierzasz obniżyć stawkę, Silva?

- Oczywiście, że nie - odparł Tonio. - Rozdawaj.

Nicky podziękował gwiazdom i rozdał, przydzielając sobie kolejną zwycięską parę.

Tym razem Edward postukał w swoje karty, informując, że chce trzecią. Nicky dał mu czwórkę trefl i odwrócił się do Solly'ego, który spasował.

Nicky odstłonił karty i pokazał piątkę z czwórką. Edward miał czwórkę, a potem odkrył jeszcze bezwartościowego króla i kolejną czwórkę, co w sumie stanowiło osiem punktów. Jego strona przegrała.

Dwójka i czwórka Solly'ego dawały razem sześć punktów, czyli prawa strona również przegrała do bankiera.

A Tonio był zrujnowany.

Zbladł, jakby za chwilę miał zemdleć, i mruknął pod nosem hiszpańskie

przekleństwo.

Nicky stłumił triumfalny uśmiech i przysunął do siebie wygraną. I nagle zobaczył coś tak przerażającego, że zaparło mu dech w piersiach i na ułamek sekundy wstrzymało bicie serca.

Na stole leżały cztery czwórki trefl.

Mieli grać trzema taliami kart. Każdy, kto by zauważył cztery identyczne czwórki, natychmiast zrozumiałby, że w jakiś sposób do talii zostały włączone dodatkowe karty.

Na tym właśnie polegało ryzyko tej metody oszukiwania, ale szansę zaistnienia takiego zbiegu okoliczności były mniej więcej jak jeden do stu tysięcy.

Gdyby ktoś spostrzegł ten stan rzeczy, zrujnowany byłby Nicky, nie Tonio. Do tej pory jednak nikt nie zwrócił na to uwagi. Kolory w bakaracie były nieistotne, w związku z czym nieprawidłowość nie rzucała się w oczy. Miranda zebrał szybko karty, czując, jak łomocze mu serce. Właśnie dziękował losowi, że udało mu się wyjść z opresji obronną ręką, kiedy odezwał się Edward:

- Poczekaj. Na stole były cztery czwórki trefl.

Nicky przeklął w duchu tego słonia w składzie porcelany. Edward po prostu myślał na głos. W końcu nie miał zielonego pojęcia o planie przyjaciela.

- Niemożliwe - odparł wicehrabia Montagne. - Graliśmy trzema taliami, a więc mogą być tylko trzy czwórki trefl.

- Właśnie - przytaknął Pilaster. Nicky puścił kłęb dymu z cygara.

- Jesteś pijany, Edwardzie. Jedna z kart była czwórką pik.

- Och, przepraszam.

- Tak późno w nocy - stwierdził Montagne - któż mógłby rozróżnić trefle i piki? Miranda doszedł do wniosku, że mu się powiodło, ale jego radość była przedwczesna.

- Obejrzyjmy karty - oznajmił wojowniczo Tonio.

Nicky poczuł, że serce mu zamiera. Karty z ostatniego rozdania leżały na stosie, który był tasowany i ponownie wykorzystywany po rozdaniu pakietu z ręki. Gdyby odwrócono odłożone karty, wszyscy zobaczyliby cztery identyczne czwórki i byłyby skończony. W rozpaczliwej próbie obrony spytał:

- Nam nadzieję, że nie kwestionujesz mojego słowa?

Było to najbardziej dramatyczne wyzwanie, jakie można było uczynić w klubie dla dżentelmenów. Minęło niewiele lat od czasów, gdy podobne słowa prowadziły do pojedynku. Ludzie przy sąsiednich stolikach zaczęli zwracać na nich uwagę. Wszyscy czekali na reakcję Tonia.

Nicky myślał najszybciej jak potrafił. Powiedział, że jedna z czwórek była czwórką pik, a nie trefl. Gdyby mógł ze szczytu stosu wyjąć taką właśnie odrzuconą kartę, udowodniłby swoją rację i jeżeli szczęście by mu dopisało, nikt nie zainteresowałby się pozostałymi.

Najpierw jednak musiał znaleźć czwórkę pik. Były takie tey. Mogły znajdować się w stosie na stole, ale istniało Prawdopodobieństwo, że przynajmniej jedna jest w pakiecie, który trzyma w ręce.

To była jego jedyna szansa.

W czasie gdy wszyscy patrzyli na Tonia, przekreślił pakiet tak, że karty były teraz zwrócone licem ku niemu. Niemal niezauważalnymi ruchami kciuka zaczął po kolei odginać ich rożki. Nie spuszczał wzroku z Tonia, ale wciąż trzymał karty w polu widzenia, dzięki czemu mógł dostrzec litery i symbole w narożniku każdej z nich.

- Obejrzyjmy odrzucone karty - nalegał uparcie Silva.

Wszyscy odwrócili się w stronę Micky'ego. Opanowując się z całych sił, w dalszym ciągu przeglądał pakiet, modląc się o czwórkę pik. W całej tej dramatycznej sytuacji nikt nie spostrzegł tego, co robi. Interesujące graczy karty znajdowały się w stosie na stole, nikogo więc nie obchodziły te, które trzymał w ręce. Poza tym trzeba było bardzo dobrze się przyjrzeć, aby zauważyć, że jego dłonie przekładają pakiet, a nawet gdyby ktoś zwrócił na to uwagę, na pewno nie uświadomiłby sobie, o co tu chodzi.

Nie mógł jednak bez końca jedynie deklorować swojej niewinności. Prędzej czy później któryś z obecnych straci cierpliwość, przestanie zachowywać się kurtuazyjnie i weźmie do ręki odrzucone karty. Aby zyskać choć kilka bezcennych chwil, powiedział:

- Jeżeli nie potrafisz przegrać jak mężczyzna, może nie powinieneś siadać do gry.

- Czuł drobne krople potu występujące mu na czoło i zastanawiał się, czy w pośpiechu nie przegapił już tej czwórki.

- Chyba nie zaszkodzi sprawdzić? - zapytał łagodnie Solly.

Niech go diabli porwą, zawsze jest tak obrzydliwie rozsądny, pomyślał rozpaczliwie Micky.

I nagle znalazł wreszcie czwórkę pik.

Ukrył ją w dłoni i odezwał się z nonszalancją, która była całkowitym zaprzeczeniem jego obecnych uczuć.

- Och, no dobrze.

Wszyscy zamarli w bezruchu i absolutnej ciszy.

Micky odłożył pakiet, który dopiero co tak gorączkowo przeglądał. Wciągnął rękę i wziął stos odrzuconych kart, upuszczając na jego wierzch schowaną w dłoni czwórkę pik. Przesunął stos w kierunku Solly'ego i oznajmił:

- Jestem pewien, że znajdziesz tu przedmiot sporu. Greenbourne odwrócił górną kartę i wszyscy zobaczyli czwórkę pik. W pokoju rozległ się pełen ulgi gwar głosów.

Micky wciąż drżał na myśl, że ktoś może odsłonić następne karty, a wtedy obecni ujrzeliby leżące pod spodem cztery czwórki trefl.

- Sądzę, że to wyjaśnia sprawę - oznajmił wicehrabia Montagne. - Mogę jedynie złożyć wyrazy ubolewania, że powątpiewano w pańskie słowo, Miranda.

- To bardzo uprzejme z pańskiej strony - odparł Micky.

Wszyscy spojrzeli na Tonia. Silva wstał. Jego twarz drgała nerwowo.

- Niech was wszyscy diabli! - rzucił i wyszedł z pokoju.

Micky zmieszał wszystkie karty na stole. Teraz już nikt nie pozna prawdy. Dłonie miał mokre od potu, więc wytarł je dyskretnie w spodnie.

- Bardzo przepraszam za zachowanie mojego ziomka - rzekł. - Nienawidzę ludzi,

którzy przy grze w karty nie potrafią zachować się, jak na dżentelmena przystało.

Wczesnym rankiem Maisie i Hugh szli na północ przez nieuporządkowane nowe przedmieścia Fulham i South Kensington. Było coraz goręcej i gwiazdy znikwały. Trzymali się za ręce, mimo że ich dłonie były śliskie od potu. Maisie czuła się oszołomiona, ale szczęśliwa.

Dzisiejszej nocy zdarzyło się coś dziwnego. Nie do końca pojmowała co, ale na pewno coś przyjemnego. Dotychczas kiedy mężczyźni całowali ją i dotykali jej piersi, traktowała to jako część transakcji. Zapłatę za coś, czego od nich potrzebowała. Dzisiaj wszystko było inaczej. Chciała, aby Hugh jej dotykał, a on był zbyt uprzejmy, żeby cokolwiek robić bez Wyraźnego zaproszenia!

Wszystko zaczęło się w czasie tańca. Do tego momentu nie Uświadamiała sobie, że będzie to przebiegało inaczej niż w czasie któregośkolwiek z poprzednich wieczorów spędzanych w towarzystwie młodych ludzi z wyższych sfer. Hugh był bardziej czarujący niż większość znanych jej osób, wyglądał doskonale w białej kamizelce i z jedwabną muszką, wciąż jednak uważała go po prostu za miłego chłopca. A potem, na parkiecie, zaczęła myśleć, jak by to było miło, gdyby ją pocałował. Uczucie wzmagало się, gdy spacerowali później po parku i obserwowali zalecające się do siebie pary. Jego wahanie było urzekające. Inni mężczyźni uważali obiad i rozmowę za nudny wstęp do ważniejszych spraw i nie mogli doczekać się chwili, w której zaprowadzą ją w jakiś ciemny kąt i zaczną obmacywać. Hugh natomiast był nieśmiały.

Ale w pewnych momentach z jego nieśmiałości nie pozostawał nawet ślad. W czasie zamieszek zachowywał się nieustraszenie. Gdy przewrócono go na ziemię, przejął się przede wszystkim tym, aby jej nie spotkało coś podobnego. W Hughu kryło się więcej niż w przeciętnym światowym młodzieńcu.

Kiedy wreszcie dała mu do zrozumienia, że chce, aby ją całował, zrobił to w rozkoszny, nieznanym jej dotąd sposób. A przecież nie było w tym żadnego kunsztu czy doświadczenia. Wręcz przeciwnie - był naiwny i niepewny. Dlaczego więc sprawiło jej to taką przyjemność? I dlaczego tak nagle zapragnęła poczuć jego dłonie na swoich piersiach?

Pytania te nie dręczyły jej, ale po prostu intrygowały. Była zadowolona, idąc przez pogrążony w ciemności Londyn w towarzystwie Hugh'a. Od czasu do czasu spadało kilka kropli deszczu, ale groźące oberwanie chmury nie następowało. Pomyślała, że byłoby cudownie, gdyby znowu ją pocałował.

Dotarli do Kensington Gore i skręcili w prawo, wzdłuż południowej strony parku, kierując się do centrum, gdzie mieszkała. Hugh zatrzymał się przed wielkim domem oświetlonym dwiema lampami gazowymi. Objął Maisie i poinformował:

- To dom mojej ciotki Augusty. Tutaj właśnie mieszkam.

Popatrzyła na budynek, zastanawiając się, jak wygląda życie w tak wielkim gmachu.

Trudno jej było wyobrazić sobie, po co komuś może być potrzebne tyle pokoi. W końcu gdy ma się gdzie spać i gotować albo nawet dysponuje luksusem oddzielnego pokoju, w którym można przyjmować gości, to czego jeszcze chcieć więcej? Jaki jest sens mieć dwie kuchnie lub dwa salony, skoro wystarczy jeden? Przypomniała sobie jednak, że właściwie ona i Hugh żyją w tym społeczeństwie jakby na odrębnych

wypach, rozdzieleni oceanem pieniędzy i przywilejów. Ta myśl wprawiła ją w zakłopotanie.

- Urodziłam się w chacie, w której była tylko jedna izba - powiedziała.

- Na północnym wschodzie?

- Nie, w Rosji.

- Doprawdy? Maisie Robinson nie brzmi jak rosyjskie nazwisko.

- Urodziłam się jako Miriam Rabinowicz. Zmieniliśmy nazwisko po przyjeździe tutaj.

- Miriam - powtórzył łagodnie. - Podoba mi się.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował. Natychmiast cały jej niepokój zniknął i poddała się uczuciu. Teraz już mniej się wahał. Wyraźnie wiedział, o co mu chodzi. Odpowiadała na jego pocałunki łapczywie, jakby pijąc chłodną wodę w upalny dzień. Miała nadzieję, że znowu dotknie jej piersi.

Nie zawiódł jej. W chwilę później jego dłoń nakryła delikatnie jej lewą pierś. Niemal natychmiast jej sutek nabrzmiął i palce Hugh'a pogładziły okrywający go jedwab sukni. Poczuli się zakłopotana, że jej pożądanie może być aż tak wyraźne, ale w nim wzbudziło to jeszcze większy zapał.

Zapragnęła poczuć jego ciało. Wsunęła ręce pod surdut i przesunęła nimi po jego plecach, czując przez cienką bawełnianą tkaninę koszuli żar jego skóry.

Zachowuję się jak mężczyzna, pomyślała, zastanawiając się, czy Hugh ma coś przeciwko temu. Ale było jej zbyt przyjemnie, aby mogła przestać.

I wtedy zaczęło padać.

Stało się to nagle, od razu. Zapłonęła błyskawica, natychmiast potem rozległ się grzmot i lunął deszcz. Zanim przestali się całować, ich twarze były mokre. Hugh ujął ją za rękę i pociągnął za sobą.

- Ukryjmy się w domu! - zaproponował.

Przebiegli przez ulicę. Poprowadził ją w dół po schodach, obok napisu „Wejście dla dostawców”, do suterenu. Kiedy znaleźli się przy drzwiach wejściowych, była przemoczona do nitki. Hugh otworzył je. Przyłożył palce do ust, nakazując ciszę, i wprowadził ją do środka.

Wahała się przez ułamek sekundy, zastanawiając się, czy nie powinna zapytać, co właściwie zamierza, ale myśl ta szybko uleciała i Maisie przekroczyła próg. Przeszli na palcach przez kuchnię o wymiarach niewielkiego kościoła i dotarli do wąskich schodów. Hugh szepnął jej do ucha:

- Na górze są czyste ręczniki. Pójdziemy tylnymi schodami. Przemierzmy trzy długie kondygnacje schodów, potem minęli kolejne drzwi i stanęli na podeście. Zerknął do otwartej sypialni, w której paliła się lampka nocna, i normalnym już głosem powiedział:

- Edward wciąż jeszcze nie wrócił. Nikogo innego na tym piętrze nie ma. Pokoje ciotki i wuja są piętro niżej, a służby piętro wyżej. Chodź.

Zaprowadził ją do swojej sypialni i podkręcił lampę gazową.

- Przyniosę ręczniki - rzekł i wyszedł.

Zdjęła kapelusz i rozejrzała się po pomieszczeniu. Było zaskakująco niewielkie i skromnie umeblowane. Znajdowało się w nim tylko pojedyncze łóżko, toaletka, prosta szafa i małe biurko. Spodziewała się zobaczyć coś bardziej luksusowego, ale Hugh był tylko ubogim krewnym i jego pokój wyraźnie tego dowodził. Z zaciekawieniem popatrzyła na jego rzeczy. Miał parę oprawnych w srebro szczotek z inicjałami T.P. - kolejne pamiątki po ojcu. Czytał książkę zatytułowaną Podręcznik dobrych zasad handlowych. Na biurku stała oprawiana fotografia kobiety i dziewczynki w wieku około sześciu lat. Otworzyła szufladkę nocnej szafki. Leżała w niej Biblia i jakaś książka pod nią. Odsunęła Biblię i przeczytała tytuł ukrytej publikacji - Księżna Sodomy. Uświadomiła sobie, że zachowuje się wścibsko, i z uczuciem winy szybko zamknęła szufladę. Hugh wrócił ze stosem ręczników. Maisie wzięła jeden z nich. Był ciepły i z przyjemnością ukryła w nim twarz. Tak właśnie wygląda życie bogatych, pomyślała - wielkie stopy ciepłych ręczników, kiedy tylko ich potrzebujesz. Osuszyła nagie ramiona i dekolt.

- Czyje to podobizny? - zapytała.
- Mojej matki i siostry urodzonej już po śmierci ojca.
- Jak ma na imię?
- Dorothy. Nazywam ją Dotty. Bardzo ją kocham.
- Gdzie mieszkają?
- W Folkestone, nad morzem.

Czy kiedykolwiek się z nimi zetknę? - przemknęło Maisie przez głowę.

Hugh wysunął zza biurka fotel i posadził ją na nim. Ukląkł przed nią, zdjął jej buty i wysuszył mokre nogi świeżym ręcznikiem. Zamknęła oczy - ciepły, miękki ręcznik dotykający jej stóp wywołał rozkoszne uczucie.

Jej ubranie było całkowicie przemoczone i dziewczyna zadrzała. Hugh zdjął surdut i buty. Maisie zdawała sobie sprawę, że nie wysuszy się, nie zdejmując sukni. Pod spodem była zupełnie przyzwoicie ubrana. Nie nosiła majtek - tylko bogate kobiety było na nie stać - ale miała na sobie długą halkę i koszulę. Wstała gwałtownie, obróciła się do niego plecami i spytała:

- Rozepniesz mi suknię?

Czuła, jak drżą mu ręce, gdy szamocze się z opornymi haftkami. Była również zdenerwowana, ale nie mogła się już wycofać. Kiedy skończył, podziękowała mu i wysunęła się z sukni.

Odwróciła się do niego.

Na jego twarzy malowało się rozczulające połączenie zakłopotania i pragnienia.

Stał jak Ali Baba spoglądający na skarby rozbójników. Początkowo myślała, że po prostu wytrze się ręcznikiem i włoży suknię, gdy już wyschnie, ale teraz zdała sobie sprawę, że na tym się nie skończy. I była zadowolona.

Ujęła głowę Hugh'a w dłonie, przyciągnęła ją do siebie i pocałowała go. Tym razem rozchyliła usta, oczekując, że zrobi to samo, ale pomyliła się. Domyśliła się, że nigdy tak się nie całował. Podrażniła jego wargi, przesuwając po nich czubkiem języka. Poczowała, że jest tym wstrząśnięty, ale i podniecony, a Po chwili rozchylił lekko wargi i nieśmiało

odpowiedział dotknięciem języka. Zaczął głośniej oddychać. Przerwał pocałunek, sięgnął do dekoltu jej koszuli i usiłował odpiąć guzik. Szamotał się z nim przez jakiś czas, a potem schwycił materiał oburącz i szarpnął koszulę tak mocno, że guziki rozprysnęły się na boki. Jego dłonie spoczęły na jej nagich piersiach. Zamknął oczy i jęknął. Wydawało jej się jakby topiła się od środka. Oczekiwała więcej, teraz i zawsze.

- Maisie... - odezwał się. Spojrzała na niego.

- Chcę... Uśmiechnęła się do niego.

- Ja też.

Kiedy słowa te zabrzmiały, zaczęła się zastanawiać, kto je wypowiedział. Mówiła bez zastanowienia, ale nie miała żadnych wątpliwości: pragnęła go bardziej niż czegokolwiek i kiedykolwiek. Pogładził ją po włosach.

- Nigdy tego nie robiłem - wyznał.

- Ani ja.

Spojrzał na nią z osłupieniem.

- Sądziłem, że... - Przerwał gwałtownie.

Poczuła ukłucie gniewu, ale opanowała się. Jeżeli uznał ją za rozpustną, sama była temu winna.

- Połóżmy się - zaproponowała. Westchnął, uszczęśliwiony, i zapytał:

- Jesteś pewna?

- Czy jestem pewna? - powtórzyła. Niemal nie mogła uwierzyć, że tak powiedział. Nie знаła dotąd mężczyzny, który zadałby podobne pytanie. Nikt nigdy nie myślał o tym, co czuje. Ujęła jego rękę w swoje dłonie i ucałowała ją od wewnątrz. - Jeżeli nie byłam dotąd pewna, teraz już jestem.

Wyciągnęła się na wąskim łóżku. Materac był twardy, ale prześcieradło chłodziło jej ciało. Położył się obok niej i zapytał:

- Co teraz?

Zbliżali się do granic jej doświadczenia, ale wiedziała, jaki powinien być następny krok.

- Pieść mnie - poprosiła.

Dotknął ostrożnie jej ciała ukrytego pod ubraniem, stała się niecierpliwa. Podwinęła halkę - nie miała nic pod spodem - i przycisnęła jego dłoń do łona. przesunął po nim palcami, całując jej twarz. Czowała jego szybki i gorący oddech. Powinna obawiać się zajścia w ciążę, ale nie mogła skupić się na groźącym jej niebezpieczeństwie, nie potrafiła się już opanować. Rozkosz była zbyt silna, aby mogła myśleć. Choć nigdy jeszcze tego nie robiła, dokładnie uświadamiała sobie, czego pragnie teraz. Przynęła wargi do jego ucha i wymruczała:

- Wsuń palec do środka. Posłuchał.

- Jesteś tam taka mokra - stwierdził ze zdziwieniem.

- Żeby ci było łatwiej.

Jego palce badały ją ostrożnie.

- Sprawia wrażenie takiej małej.

- Będziesz musiał być delikatny - rzekła, chociaż część jej osoby pragnęła, aby wziął ją gwałtownie.

- Czy zrobimy to teraz?

Nagle ogarnęło ją zniecierpliwienie.

- Tak, proszę, prędko.

Domyśliła się, że szamocze się ze spodniami, a potem położył się między jej nogami. Bała się - słyszała różne historie o tym, jak bardzo boli za pierwszym razem - ale jednocześnie jej pożądanie było zbyt silne, aby się cofnąć. Poczula, jak wchodzi w nią. Po chwili napotkał opór. Nacisnął lekko, a mimo to zabolęło.

- Czekaj! - powiedziała. Popatrzył na nią z niepokojem.

- Przepraszam...

- Wszystko będzie dobrze. Pocałuj mnie.

Zbliżył twarz do jej twarzy i pocałował ją w usta, najpierw delikatnie, potem namiętnie. Objęła Hugh'a w pasie, uniosła nieco biodra, po czym mocno przyciągnęła go do siebie, bżyknęła z bólu, ale zaraz coś w jej wnętrzu ustąpiło i napięcie cudownie zniknęło.

Przerwała pocałunek i spojrzała na niego.

- Dobrze się czujesz? - zapytał. Skinęła głową.

- Czy narobiłam hałasu?

- Tak, ale nie sędzę, aby ktoś usłyszał.

- Nie przerywaj - poprosiła. Zawahał się przez chwilę.

- Maisie - wyszeptał - czy nam się to śni?

- Jeśli tak, lepiej się nie budźmy. - Poruszyła się pod nim, pomagając mu dłońmi opartymi na jego biodrach. Poszedł za jej wskazówkami. Powróciły wspomnienia ich wspólnego tańca sprzed kilku godzin. Poddała się całkowicie ogarniającym ją wrażeniom. Zaczął oddychać głośno.

Aż nagle przez dźwięk ich oddechów usłyszał wyraźnie trzask otwieranych drzwi.

Maisie była tak przejęta swoimi doznaniem i zafascynowana ciałem Hugh'a, że nie zwróciła uwagi na ten odgłos.

Ostry głos zniszczył ich nastrój jak kamień ciśnięty w okno.

- No, no, no, Hugh... Co my tu widzimy? Dziewczyna zamarła.

Hugh jęknął rozpaczliwie i poczuła, jak jego nasienie wnika do jej wnętrza. Miała ochotę płakać.

- Wydaje ci się, że ten dom to burdel czy co? - rozległ się ponownie szyderczy głos.

- Hugh... Zejdź ze mnie - szepnęła Maisie.

Wyszedł z niej i stoczył się z łóżka. Zobaczyła w drzwiach jego kuzyna Edwarda. Stał z cygarem w ustach i przyglądał się im uważnie. Hugh szybko okrył Maisie wielkim ręcznikiem. Usiadła wyprostowana i podciągnęła ręcznik pod brodę. Edward uśmiechnął się paskudnie.

- No cóż, jeżeli już skończyłeś, mogę się nią zająć.

Hugh też owinął się ręcznikiem. Wyraźnie starając się opanować gniew, rzekł:

- Jesteś pijany, Edwardzie... Idź lepiej do swojego pokoju, zanim powiesz coś absolutnie niewybaczalnego.

Kuzyn nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi i podszedł do łóżka.

- O, toż to laleczka Solly'ego Greenbourne'a! Ale nie doniosę mu... jeśli będziesz dla mnie miła.

Maisie zdawała sobie sprawę, że Edward mówi zupełnie serio, i zadrżała z obrzydzenia. Wiedziała, że pewnych mężczyzn podniecają kobiety, które przed chwilą były z innym mężczyzną. April wspomniała jej kiedyś, że taką kobietę nazywano „nadzianą bułeczką”, i podświadomie wyczuwała, że Edward należy do tej właśnie kategorii mężczyzn. Hugh poczuł ogarniającą go wściekłość.

- Wynoś się stąd, cholerny durniu! - zawołał.

- Bądź dobrym kumplem - nalegał Edward. - W końcu to tylko pieprzona dziwka. - I mówiąc to, wyciągnął rękę, zrywając z Maisie ręcznik.

Zeskoczyła na podłogę po drugiej stronie łóżka, okrywając się rękami, ale nie było powodu do obaw, bo Hugh dwoma susami przemierzył małe pokój i z całej siły wyrzucił kuzyna w nos. Trysnęła krew i Edward ryknął z bólu.

Cios unieszkodliwił go natychmiast, ale rozwścieczony Hugh uderzył jeszcze raz.

Edward wrzasnął znowu, z bólu i strachu, i niepewnym krokiem ruszył w stronę drzwi. Hugh rzucił się za nim, okładając go pięściami. Edward darł się:

- Przestań, już nie bij, proszę! - Upadł w progu.

Maisie dobiegła do nich. Edward leżał na podłodze, a Hugh siedział mu na plecach i okładał bez przerwy.

- Hugh, przestań, zabijesz go! - krzyknęła, próbując chwycić go za rękę, ale jego wściekłość była tak wielka, że nie zdołała go powstrzymać.

Chwilę później zauważyła jakiś ruch w zaułku korytarza. Podniosła głowę i ujrzała ciotkę Hugh'a, Augustę. Stała na szczycie schodów, ubrana w czarny jedwabny peniuar, i patrzyła wprost na nią. W migoczącym świetle lampy gazowej wyglądała jak lubieżny duch.

W oczach Augusty Maisie dostrzegła jakiś dziwny wyraz. Początkowo nie mogła pojąć jego wymowy, ale wkrótce zrozumiała i poczuła lęk.

W jej spojrzeniu malował się triumf.

Gdy tylko Augusta zobaczyła nagą dziewczynę, poczuła, że wreszcie ma szansę raz na zawsze pozbyć się Hugh'a. Poznała ją natychmiast. To ta ladaczniczka nazywana „Lwicą”, która obraziła ją w parku. Już wtedy przyszło jej do głowy, że któregoś dnia ta mała, bezczelna dziewczucha wpędzi Hugh'a w poważne kłopoty. W sposobie, w jaki trzymała głowę w blasku jej oczu było coś wyzywającego i bezkompromisowego.

Nawet teraz, kiedy powinna czuć się upokorzona i zawstydzona, stała przed nią zupełnie naga i spoglądała spokojnie. Miała wspaniałe ciało - drobne, lecz kształtne, z pełnymi białymi piersiami i gęstwiną jasnoblond włosów na wzgórku łonowym. Patrzyła tak dumnie, że Augusta poczuła się niemal jak intruz. Ale to jej Hugh będzie zawdzięczał swój upadek.

Cały plan zaczął już nabierać kształtu w jej umyśle, gdy nagle dostrzegła leżącego na podłodze Edwarda z zakrwawioną twarzą.

Pamięć natychmiast wskrzesiła wydarzenia sprzed dwudziestu trzech lat, gdy w niemowlęctwie ciężko chorował i o mało nie umarł. Ogarnęła ją ślepa panika.

- Teddy! - wrzasnęła. - Co się stało z Teddym?! - Rzuciła się przy nim na kolana.

- Odezwij się do mnie, odezwij! - krzyknęła.

Poczuła niewysłowiony lęk, zupełnie jak wtedy, kiedy jej dziecko z każdym dniem marniało w oczach i lekarze nie mogli zrozumieć dlaczego. Edward usiadł i jęknął.

- Powiedz coś! - błagała.

- Nie mów do mnie „Teddy” - mruknął.

Jej przerażenie nieco osłabło. Był przytomny i mógł mówić. Ale głos miał niewyraźny, a nos sprawiał wrażenie zniekształconego.

- Co się stało? - zapytała.

- Złapałem Hugh'a z jego dziwką i po prostu dostał szału! - odparł.

Starając się opanować wściekłość i lęk, Augusta wyciągnęła rękę i lekko dotknęła nosa Edwarda. Wrzasnął głośno, jednak pozwolił, aby ścisnęła go delikatnie. Dzięki Bogu, nie złamany, pomyślała, to tylko opuchnięcie. Usłyszała głos swojego męża:

- Co się tu dzieje? Wstała z kolan.

- Hugh napadł na Edwarda - rzekła.

- Czy chłopakowi nic się nie stało?

- Tak sędzę.

- Do licha, mój panie, co to ma znaczyć?

- Ten dureń sam się o to prosił - oznajmił wyzywająco Hugh.

Bardzo dobrze, Hugh, pograj się jeszcze bardziej. Pod żadnym pozorem nie przepraszaj. Chcę, żeby twój wuj nie przestał być na ciebie wściekły - życzyła mu w myślach Augusta. Uwagę Josepha jednak przyciągała młoda kobieta i bez przerwy zerkał na jej nagie ciało. Augusta poczuła ukłucie zazdrości.

Uspokoili się. Edwardowi nie stało się nic poważnego. Zaczęła błyskawicznie się zastanawiać, w jaki sposób najlepiej wykorzystać sytuację. Hugh był teraz całkowicie bezbronny, mogła z nim zrobić wszystko. Natychmiast przypomniała sobie niedawną rozmowę z Mickym Mirandą. Tak, Hugh'a należało uciszyć, ponieważ zbyt wiele wiedział o śmierci Petera Middletona. Teraz nadeszła pora, aby zadać cios.

Najpierw jednak musiała rozdzielić go z dziewczyną.

Pojawiło się kilkoro służby w nocnych strojach. Stali w drzwiach prowadzących na tylną klatkę schodową i sprawiali wrażenie wstrząśniętych, ale i zafascynowanych sceną rozgrywającą się na podeście. Augusta spostrzegła swojego kamerdynera Hasteada w żółtym jedwabnym szlafroku, który Joseph oddał mu kilka lat temu, i lokaja Williamsa w prążkowanej koszuli nocnej.

- Hestead i Williams, pomóżcie paniczowi Edwardowi przejść do łóżka! - rozkazała.

Dwaj mężczyźni podskoczyli i podnieśli Teddy'ego. Następnie poleciała swojej gospodyni:

- Pani Merton, proszę okryć tę dziewczynę prześcieradłem albo czymś w tym rodzaju, zaprowadzić ją do mojego pokoju i dopilnować, żeby się ubrała.

Pani Merton zdjęła swój szlafrok i zarzuciła go na ramiona Maisie, która otuliła się nim, osłaniając swą nagość, ale nie zrobiła nawet kroku.

- A ty pobiegnij po doktora Humbolda na Church Street - zwróciła się ciotka do Hugh'a. - Dobrze by było, gdyby nos biednego Edwarda...

- Nie zostawię Maisie - zaprotestował chłopak.

- To ty go zraniłeś - odparła ostro Augusta - mógłbyś przynajmniej pofatygować się po lekarza!

- Nic mi nie będzie, Hugh - wtrąciła się Maisie. - Sprowadź lekarza. Poczekam na ciebie.

On jednak nie ruszał się z miejsca.

- Proszę tędy - powiedziała pani Merton, wskazując tylną klatkę schodową.

- Och, chyba pójdziemy głównymi schodami - stwierdziła Maisie. A potem królewskim krokiem przeszła przez podest i ruszyła po stopniach w dół. Gospodyni podążyła za nią.

- Hugh? - zapytała Augusta.

Widziała, że wciąż nie kwapi się do wyjścia, nie znajdował jednak żadnego rozsądnego powodu, aby odmówić. Po chwili oznajmił:

- Włożę buty.

Augusta starannie ukryła ogarniającą ją ulgę. Udało jej się ich rozdzielić. Teraz, jeżeli szczęście dalej się będzie do niej uśmiechać, przypieczeruje los kuzyna. Odwróciła się do męża.

- Chodź. Przejdźmy do twojego pokoju i omówmy całą tę sprawę.

Zeszli po schodach i po chwili znaleźli się w jego sypialni. Gdy tylko drzwi się zamknęły, Joseph objął ją i pocałował. Uświadomiła sobie, że chciałby się z nią kochać.

Sytuacja była dość niezwykła. Kochali się raz czy dwa razy w tygodniu i zawsze ona była inicjatorką - przychodziła do niego i kładła się do jego łóżka.

Wiedziała, że jej obowiązkiem jako żony jest go zaspokajać, ale lubiła kontrolować sytuację i z dezaprobatą przyjmowała jego wizyty w swoim pokoju.

Kiedy byli krótko po ślubie, trudniej było go opanować. Brał ją, kiedy miał na to ochotę, i przez jakiś czas zmuszona była mu ulegać. Jednakże później stopniowo zaczął respektować jej wymagania. Potem zdarzało się jeszcze, że zawracał Auguście głowę nieprzyzwoitymi propozycjami - żeby kochali się przy zapalonym świetle albo żeby kładła się na nim lub nawet robiła mu ohydne rzeczy ustami, ale ona stawiała zdecydowany opór i od dawna już przestał zadręczać ją takimi pomysłami.

Teraz jednak łamał uświęcony zwyczaj. Dobrze wiedziała dlaczego. Podniecił go widok nagiego ciała Maisie - te jędrne, młode piersi i kępka jasnoblonde włosów.

Na samą myśl o tym poczuła niesmak i odepchnęła go.

Zrobił urażoną minę. Nie było jej to na rękę, ponieważ chciała, aby gniewał się na Hugh'a, nie na nią, dotknęła więc jego ramienia przeproszającym gestem.

- Później - powiedziała. - Przyjdę do ciebie później. Przyjął jej obietnicę.
- W Hughu jest jakaś zła krew - stwierdził. - Odziedziczył ją po moim bracie.
- Po czymś takim nie może dłużej mieszkać w tym domu - oznajmiła Augusta tonem niedopuszczającym dyskusji.

Joseph wcale nie zamierzał sprzeczać się z żoną.

- Z całą pewnością - przytaknął.
- Musisz zwolnić go z banku - ciągnęła. Zrobił nadętą minę.
- Uprzejmie cię proszę, abys łaskawie nie dyktowała mi, co powinno dziać się w banku.

- Josephie, przecież właśnie cię obraził, sprowadzając pod twój dach tę upadłą kobietę - oświadczyła, używając eufemistycznego określenia prostytutki. Usiadł przy biurku.

- Dobrze wiem, co Hugh zrobił. Proszę cię tylko, abys oddzielała to, co się dzieje w domu, od tego, co dotyczy banku.

Postanowiła na razie nie nalegać.

- Doskonale. Jestem przekonana, że podejmiesz najwłaściwszą decyzję. Zawsze kiedy niespodziewanie się poddawała, tracił całą energię.

- Może istotnie będzie lepiej, jeżeli go zwolnię - rzekł po chwili. - Chyba powinien wrócić do swej matki w Folkestone.

Augusta wcale nie była tego pewna. Jeszcze nie obmyśliła swojej strategii.

- A w jaki sposób będzie zarabiał?

- Nie mam pojęcia.

. Zorientowała się, że popełniła błąd. Bezrobotny, zgorzkniały, włóczący się bez żadnego zajęcia Hugh stałby się bardziej bezpieczny. David Middleton jeszcze się do niego nie zwrócił. Niewykluczone, że prawnik nawet nie wiedział, że krytycznego dnia Hugh był nad stawem, ale prędzej czy później może to nastąpić. Poczula niepokój, żałując, że nie przemyślała sprawy dokładniej, zanim wysunęła propozycję zwolnienia kuzyna. Była zła na samą siebie.

Czy zdoła przekonać Josepha, aby jeszcze raz zmienił zdanie? Musiała spróbować.

- Może jednak potraktowaliśmy go zbyt surowo - oznajmiła.

Uniósł brwi, zaskoczony jej nagłą łaskawością. Augusta mówiła dalej:

- No cóż, wciąż powtarzałeś, że chłopak zdradza wielkie zdolności jako bankier. Być może nierozsądnie byłoby je marnować.

Joseph wyraźnie się zirytował.

- Augusto, z łaski swej zdecyduj wreszcie, czego chcesz! Usiadła w niskim fotelu obok biurka. Pozwoliła, aby jej szlafrok rozsunał się, odsłaniając wciąż jeszcze ładne nogi. Spojrzał na nie i jego twarz natychmiast złagodniała.

Korzystając z chwilowego odwrócenia uwagi męża, myślała gorączkowo. Nagle doznała olśnienia.

- Wyślij go za granicę - zaproponowała.

- Co?

Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym bardziej podobał jej się ten pomysł. Hugh znajdzie się poza zasięgiem Davida Middletona, ale wciąż w strefie jej wpływów.

- Na Daleki Wschód albo do Ameryki Południowej - ciągnęła, widząc całą sprawę w coraz bardziej różowych barwach. - Gdzieś, gdzie jego złe zachowanie nie będzie rzucało cienia na mój dom.

Joseph zapomniał, że zdenerwowała go przed chwilą.

- Zupełnie niezła propozycja - stwierdził z namysłem. - Mamy wakat w Stanach Zjednoczonych. Jegomość, który prowadzi nasze biuro w Bostonie, potrzebuje pomocnika.

Ameryka doskonale się nada, pomyślała Augusta. Była uszczęśliwiona swoją inwencją.

Ale Joseph rozważał tylko sytuację, jej zaś chodziło o to, aby się nią przejął.

- Wyślij Hugh'a jak najszybciej - poradziła. - Nie chcę go widzieć w tym domu ani dnia dłużej.

- Może wykupić bilet już rano - odparł Joseph. - A potem nie ma po co siedzieć w Londynie. Niech jedzie do Folkestone pożegnać się z matką i pozostanie tam do odpłynięcia statku.

W ten sposób nie zobaczy Davida Middletona przez wiele lat, stwierdziła z satysfakcją Augusta. Doskonale. A więc sprawa została załatwiona. Gdzie kryją się jakieś inne niebezpieczeństwa? - zastanowiła się i przypomniała sobie Maisie.

Czy Hughowi na niej zależy? Było to mało prawdopodobne, ale niewykluczone. A jeżeli nie zechce się z nią rozstać? Sytuacja była niejasna i Augusta czuła się tym zaniepokojona. Chłopak oczywiście nie mógł zabrać ze sobą tej dziewczki do Bostonu, ale był w stanie odmówić wyjazdu z Londynu bez niej. Może więc należało zniszczyć ten romans w zarodku? Po prostu na wszelki wypadek.

Wstała i ruszyła do drzwi łączących obie sypialnie. Joseph wyglądał na rozczarowanego.

- Muszę pozbyć się tej dziewczyny - oznajmiła.

- Czy mógłbym ci w czymś pomóc?

Pytanie męża zaskoczyło ją. Taka propozycja pomocy absolutnie nie była w jego zwyczaju. Chce jeszcze raz popatrzeć na tę dziwkę, pomyślała z rozdrażnieniem. Pokręciła przecząco głową.

- Zaraz wrócę. Kładź się do łóżka.

- Dobrze - odparł niechętnie.

Przeszła do swojej sypialni i zamknęła dokładnie drzwi. Maisie była już ubrana i przypinała kapelusz do włosów. Pani Merton złożyła dość elegancką seledynową suknię i właśnie wkładała ją do taniej torby.

- Pożyczyłam dziewczynie swoje ubranie, proszę pani, bo Jej jest całe mokre - oznajmiła.

To wyjaśnienie stanowiło zarazem odpowiedź na pytanie, które do tej pory

zadawała sobie Augusta. Wydawało jej się dziwne, że Hugh popełnił takie głupstwo jak sprowadzenie do domu dziwki. Teraz rozumiała, jak do tego doszło. Zaskoczyła ich burza i chłopak zaprosił ją, aby się osuszyła. A potem sprawy potoczyły się swoim biegiem.

- Jak się nazywasz? - zapytała dziewczynę.

- Maisie Robinson. Ty nie musisz mi się przedstawiać. Wiem, kim jesteś. Augusta zorientowała się, że nienawidzi Maisie Robinson. Nie była jednak pewna dlaczego - w końcu ta ladacznica nie jest warta tak silnych emocji. Może chodziło o to, jak wyglądała nago: dumnie, pociągająco i niezależnie.

- Przypuszczam, że chcesz pieniędzy? - rzekła pogardliwie.

- Ty obłudna krowo - odparła Maisie. - Przecież nie wysłaś za tego swojego bogatego brzydkiego męża z miłości.

Prawda zawarta w jej słowach odebrała Auguście oddech. Nie doceniała tej młodej kobiety. Źle rozpoczęła rozgrywkę i teraz powinna jakoś wyplątać się z niezręcznej sytuacji. Od tej pory należy postępować z nią ostrożnie. Opatrzność zesłała jej szansę, którą musi wykorzystać. Przełknęła obelgę i zmusiła się, aby jej głos brzmiał obojętnie.

- Może usiądziesz na krótko? - zapytała, wskazując krzesło.

Maisie wyglądała na zdziwioną, ale po chwili wahania skorzystała z zaproszenia. Augusta usadowiła się naprzeciwko niej.

Musiała skłonić dziewczynę, aby porzuciła Hugh'a. Maisie z pogardą przyjęła sugestię wzięcia pieniędzy i Augusta wcale nie zamierzała powtórzyć propozycji. Czuła, że pieniądze nie mają dla tej kobiety wielkiego znaczenia, a jednocześnie na pewno nie jest kimś, kogo dałoby się zastraszyć.

Zamierzała ją przekonać, że rozstanie jest najlepszym wyjściem zarówno dla niej, jak i dla Hugh'a. Byłoby jednak idealnie, gdyby Maisie nabrała przekonania, że sama doszła do takiego wniosku. Ona zaś powinna reprezentować dokładnie odwrotny pogląd. Tak, to jest właściwe rozwiązanie...

- Jeżeli chcesz za niego wyjść, nie mogę ci przeszkodzić - stwierdziła. Dziewczynę wyraźnie zaskoczyły te słowa i Augusta pogratulowała sobie w duchu, że jej się to udało.

- Dlaczego uważasz, że chcę za niego wyjść? - zapytała.

Augusta o mało się nie roześmiała. Miała ochotę wypalić: „Bo jesteś małą, sprytną poszukiwaczką złota”, ale zamiast tego oznajmiła:

- Któraż dziewczyna nie pragnęłaby tego? Hugh jest przystojny i pochodzi z bardzo dobrej rodziny. Nie ma wprawdzie pieniędzy, lecz rysują się przed nim wspaniałe perspektywy.

Maisie przymrużyła oczy i rzekła:

- Brzmi to tak, jakbyś rzeczywiście tego chciała.

Auguście faktycznie na tym zależało, ale musiała postępować ostrożnie. Dziewczyna była podejrzliwa i sprawiała wrażenie zbyt inteligentnej, aby łatwo dać się nabrać.

- Nie oszukujmy się, Maisie - odparła. - Wybacz, że ci to powiem, ale żadna kobieta z mojej sfery nie życzyłaby sobie, aby mężczyzna z jej rodziny poślubił kogoś, od kogo

dzieli go taka przepaść.

Maisie wcale się nie obraziła.

- Owszem - stwierdziła. - Gdyby go dostatecznie mocno nienawidziła. Augusta poczuła się podniesiona na duchu, więc kontynuowała:

- Ale ja wcale nie nienawidzę Hugh'a - oznajmiła. - Skąd ci to przyszło do głowy?

- On sam mi mówił, że traktujesz go jak ubożego krewnego i robisz wszystko, żeby inni postępowali tak samo.

- Ludzie potrafią być takimi niewdzięcznikami! Dlaczego jednak miałabym chcieć zrujnować jego karierę?

- Ponieważ jest lepszy od twojego głupiego syna Edwarda.

Augusta poczuła, że ogarnia ją wściekłość. Jeszcze raz Maisie znalazła się niebezpiecznie blisko prawdy. To fakt, że Edwardowi brakowało pospolitego sprytu kuzyna, lecz był wspaniałym, słodkim młodzieńcem, a Hugh po prostu był synem bankruta.

- Sądzę, że lepiej, abyś nie wymieniała imienia mojego syna - oznajmiła cicho. Maisie uśmiechnęła się.

- Oj, chyba dotknęłam czułego miejsca - powiedziała i natychmiast znowu spoważniała. - A więc taka jest twoja sprawa. No cóż, nie przyłączę się do niej.

- O co ci chodzi? - zapytała Augusta. Nagle w oczach dziewczyny pojawiły się łzy.

- Za bardzo lubię Hugh'a, żeby go zrujnować. Augustę zaskoczyła i ucieszyła siłą jej uczucia, układało się wspaniale, choć początek był fatalny.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytała.

Maisie ze wszystkich sił starała się nie rozplakać.

- Nie zobaczę się z nim więcej. Pewnie zniszczysz go mimo to, ale nie będę ci w tym pomagała.

- Może cię szukać.

- Zniknę. Nie wie, gdzie mieszkam, a będę unikała miejsc, w których mógłby mnie spotkać.

Dobry plan, pomyślała Augusta. Musisz tylko wytrwać w tym postanowieniu jakiś czas, a potem Hugh pojedzie za granicę i pozostanie tam przez wiele lat, może nawet na zawsze. Nic jednak nie powiedziała. Doprowadziła Maisie do oczywistego wniosku i teraz jej pomoc nie była już potrzebna. Dziewczyna otarła twarz rękawem.

- Lepiej sobie pójdę, zanim Hugh wróci z lekarzem - oznajmiła, wstając. - Dziękuję za pożyczenie sukni, pani Merton.

Gospodyni otworzyła przed nią drzwi.

- Wskażę pani drogę.

- Tym razem zejdzmy tylnymi schodami - rzekła Maisie. - Nie chcę... - Przerwała, przełknęła ślinę i dodała prawie szeptem: - ...zobaczyć Hugh'a.

I wyszła.

Pani Merton ruszyła za nią i zamknęła drzwi.

Augusta westchnęła głośno. Dokonała tego. Zniweczyła karierę Hugh'a, unieszkodliwiła Maisie Robinson i odsunęła niebezpieczeństwo grożące jej ze strony Davida Middletona. A wszystko to w ciągu jednej nocy. Maisie była wspaniałą przeciwniczką, ale ostatecznie okazała się zbyt uczuciowa.

Augusta przez chwilę napawała się swoim triumfem, a potem udała się do pokoju Edwarda.

Siedział na łóżku, popijając brandy z pucharka. Nos miał podrapany i pokryty zaschniętą krwią. Wyglądał nieszczęśliwie.

- Mój biedny chłopiec - uzalała się nad nim. Podeszła do szafki nocnej, zmoczyła róg ręcznika, usiadła na krawędzi łóżka i wytarła krew z jego górnej wargi. Skrzywił się. - przepraszam! - powiedziała. Uśmiechnął się.

- Wszystko w porządku, mamó. Rób tak dalej. To bardzo pomaga. Kiedy go myła, wszedł doktor Humboldt, a tuż za nim Hugh.

- Biłeś się, młody człowieku? - zapytał wesoło lekarz. Augusta zareagowała ostro.

- Ależ skąd! - odparła z oburzeniem. - Został napadnięty! Humboldt zmieszał się.

- Oczywiście, oczywiście - wymamrotał.

- Gdzie jest Maisie? - chciał wiedzieć Hugh.

Augusta nie zamierzała rozmawiać na ten temat w obecności lekarza. Wstała i wyprowadziła go z pokoju.

- Poszła sobie - oznajmiła.

- Wygoniłaś ją?

Miała ochotę zwrócić mu uwagę, żeby nie odzywał się do niej takim tonem, ale uznała, że nic nie zyska, doprowadzając go do złości. Jej zwycięstwo było już pełne, choć on o tym nie wiedział. Odparła więc ugodowo:

- Gdybym ją wyrzuciła, czy nie czekałaby na ulicy, żeby cię o tym poinformować? Odeszła z własnej woli, obiecała jednak, że napisze do ciebie jutro.

- Ale mówiła, że będzie czekać, aż wrócę z lekarzem.

- Widocznie zmieniała zdanie. Dziewczyny w jej wieku często tak postępują. Hugh wyglądał na oszołomionego, ale nie wiedział, jak Powinien zareagować.

- Zapewne chciała tak szybko, jak to możliwe, wydostać się z kłopotliwej sytuacji, w którą ją wplątałeś - dodała ciotka.

Chyba go przekonała.

- Myślę, że byłaś dla niej tak przykra, iż nie mogła już dłużej wytrzymać w tym domu.

- Dosyć tego! - ucięła ostro. - Nie zamierzam wysłuchiwać twoich opinii. Wuj Joseph życzy sobie widzieć cię z rana, nim wyjdiesz do banku. A teraz dobranoc. Przez chwilę sądziła, że zacznie się z nią kłócić. Ale na dobrą sprawę nie miał nic do powiedzenia.

- Doskonale - mruknął wreszcie i poszedł do swojego pokoju. Augusta wróciła do Edwarda. Doktor zamykał właśnie torbę lekarską.

- Nie stwierdziłem żadnych poważnych obrażeń - oznajmił. - Nos będzie przez kilka dni obolały i jutro pani syn może mieć podbite oko, ale jest młody i wkrótce wszystko

się zagoi.

- Dziękuję, doktorze. Hastead, odprowadźcie pana.

- Dobranoc.

Augusta pochyliła się nad łóżkiem i pocałowała Edwarda.

- Dobranoc, kochany Teddy. A teraz już śpij.

- Dobrze, kochana mamó. Dobranoc. Czekają ją jeszcze jedno zadanie.

Wróciła piętro niżej i weszła do pokoju Josepha. Miała nadzieję, że zasnął, czekając na nią, ale siedział w łóżku, czytając „Pall Mali”, „Gazette”. Odłożył pismo i uniósł kołdrę, aby ją wpuścić. Natychmiast ją objął. W pokoju było już dosyć jasno - nie zauważyła, że nadszedł świt. Zamknęła oczy.

Wszedł w nią szybko. Objęła go ramionami i zaczęła odpowiadać na jego ruchy. Przypomniała sobie, jak mając szesnaście lat, leżała na brzegu rzeki w ciemnoróżowej sukni i słomkowym kapeluszu, a młody hrabia Strang ją całował. Ale tym razem wyobrażała sobie, że nie poprzestał na pocałunkach, lecz podniósł jej spódnice i kochał się z nią w gorącym słońcu, nad rzeką pluszczącą tuż obok nich. . .

Kiedy było już po wszystkim, leżała przez chwilę obok Josepha, myśląc o swoim zwycięstwie.

- Niezwykła noc - wymamrotał sennie.

- Tak - odparła. - Ta wstrętna dziewczyna.

- Mmm - mruknął. - Niezwykle interesująca... arogancka i chętna... Uważa, że jest równie dobra jak inni... Wspaniała figura... zupełnie jak twoja, kiedy byłaś w jej wieku.

Augusta była śmiertelnie urażona.

- Josephie! - oburzyła się. - Jak mogłeś powiedzieć coś tak obrzydliwego! Nie zareagował i zobaczyła, że śpi. Rozwścieczona odrzuciła kołdrę, wyszła z łóżka i energicznym krokiem opuściła pokój. Nie zasnęła już tej nocy. Micky Miranda zajmował dwa pokoje w domu w Camberwell, stanowiącym własność wdowy z dorosłym synem. Żaden jego przyjaciel z wyższych sfer nigdy go tu nie odwiedził, nawet Edward Pilaster. Micky grał rolę światowca, dysponując bardzo skromnym budżetem, i eleganckie miejsce zamieszkania było jedną z tych rzeczy, bez których doskonale mógł się obejść.

Każdego ranka o dziewiątej gospodyni przynosiła kawę i gorące bułeczki dla niego i Taty. Przy śniadaniu Micky wyjaśnił, w jaki sposób spowodował, że Tonio Silva przegrał sto funtów, których nie miał. Nie spodziewał się hymnów pochwalnych, ale liczył, że ojciec przynajmniej bąknie coś o jego pomysłowości. Na Mirandzie seniorze opowieść jednak nie wywarła specjalnego wrażenia. Podmuchał na kawę, żeby ją ostudzić, i zaczął pić, siorbiąc głośno.

- A więc wróci do Cordovy?

- Jeszcze nie teraz, lecz wkrótce.

- Masz nadzieję. Tyle zachodu i masz tylko nadzieję! Micky poczuł się urażony.

- Dzisiaj przypieczętuje jego los - zapewnił.

- Kiedy byłem w twoim wieku...

- Wiem, poderznąłbyś mu gardło. Ale tutaj jest Londyn, nie prowincja Santamaria, i jeżeli zacznę na prawo i lewo Podrzynać ludziom gardła, powieszą mnie.

- Czasami nie ma wyboru.

- A czasami lepiej jest postępować rozważnie, Tato. Pomyśl o Samuelu Pilasterze i jego obiekcjach wobec handlu bronią. Usunąłem go z drogi bez rozlewu krwi, czyż nie?

Właściwie zrobiła to Augusta, ale Micky'emu ani się śniło informować o tym Tate.

- Nie wiem - upierał się ojciec. - Kiedy dostanę karabiny?

Dotknął bolesnego punktu. Stary Seth wciąż żył i wciąż pełnił funkcję Starszego Partnera w Banku Pilasterów. Był sierpień. We wrześniu w górach Santamaria zaczęły topnieć śniegi, toteż ojciec chciał jak najszybciej wyruszyć do domu z bronią. Gdyby Setha zastąpił Joseph, Edward przeprowadziłby całą transakcję i karabiny zostałyby wysłane. Ale staruch z irytującym uporem trzymał się stanowiska i życia.

- Wkrótce je będziesz miał, Tato - oznajmił Micky. - Seth nie pociągnie długo.

- Bardzo dobrze - odparł Miranda senior z miną zarozumialca, który właśnie zwyciężył w dyskusji.

Micky posmarował bułkę masłem. Zawsze się na tym kończyło. Nigdy nie uda mu się zadowolić ojca, bez względu na to, jak bardzo będzie się starał.

Zaczął się zastanawiać nad czekającym go dniem. Tak więc na Toniu ciążył dług, którego nigdy nie zdoła spłacić. Następnym etapem powinno być przekształcenie tej sytuacji w konflikt. Chciał, aby Edward i Tonio posprzeczali się publicznie.

Jeżeli zdoła coś takiego zorganizować, kompromitacja Silvy stanie się powszechna i Tonio będzie musiał zrezygnować ze swojej pracy w ambasadzie i wrócić do Cordovy. Dzięki temu znajdzie się poza zasięgiem Davida Middletona.

Micky planował przeprowadzić wszystko tak, aby nie uczynić z Tonia swojego wroga.

Chodziło mu przecież o określony cel - jego stanowisko. Silva mógł mu zaszkodzić - wystarczyłoby, gdyby przedstawił go w złym świetle ambasadorowi. Trzeba więc było delikatnie przekonać Tonia, że powinien ustąpić.

Całą sprawę komplikowała historia ich znajomości. W szkole Silva nienawidził i bał się go, teraz zaś podziwiał. W obecnej sytuacji Micky postanowił stać się jego najlepszym przyjacielem - jednocześnie rujnując mu życie.

Kiedy tak zastanawiał się nad problemami, które musi rozwiązać tego dnia, rozległo się stukanie do drzwi i gospodyni zapowiedziała gościa. Chwilę później zjawił się Tonio.

Micky zamierzał odwiedzić go po śniadaniu. Jego przybycie oszczędzało mu fatygi.

- Siadaj i napij się kawy - powitał go wesoło. - Miałeś pecha ubiegłej nocy! No cóż, karty są po to, aby wygrywać i przegrywać.

Tonio uklonił się Tacie i usiadł. Wyglądał, jakby przez całą noc nie spał.

- Straciłem więcej, niż było mnie stać - oznajmił.

Tata mruknął ze zniecierpliwieniem. Irytowali go ludzie rozczulający się nad sobą, a poza tym zawsze pogardzał rodziną Silvow jako tchórzliwymi mieszcuchami, którzy

działali dzięki protekcji i przekupstwu.

Micky odezwał się poważnym tonem, udając współczucie:

- Przykro mi to słyszeć.

- Wiesz, o co mi chodzi. W tym kraju człowiek, który nie zapłaci długu karcianego, przestaje być dżentelmenem. A ktoś, kto nie jest dżentelmenem, nie może być dyplomata. Będę musiał poprosić o dymisję i wrócić do domu. Oczywiście, pomyślał Micky, ale oświadczył ze smutkiem w głosie:

- Tak, to jest problem.

- Wiesz, jak traktują tu te sprawy - ciągnął Tonio. - Jeżeli nie oddasz długu następnego dnia, już jesteś podejrzany. A spłacenie stu funtów zajęłoby mi całe lata. Dlatego przyszedłem do ciebie.

- Nie rozumiem - powiedział Micky, rozumiejąc jednak doskonale.

- Czy pożyczyłbyś mi tę sumę? - rzekł błagalnie Tonio. - Jesteś Cordovańczykiem, innym człowiekiem niż ci Anglicy, i nie pozwolisz znajomemu zginąć z powodu jednej Pomyłki. No i przecież w końcu ci ją zwrócę.

- Gdybym miał pieniądze, z pewnością bym ci je dał - zapewnił Micky. - Bardzo bym chciał być tak zamożny.

Tonio skierował wzrok na Tatę, ale ten odpowiedział mu zimnym spojrzeniem i odparł po prostu:

- Nie.

Silva zwiesił głowę.

- Kiedy zaczynam grać, zupełnie głupieję - oznajmił głuchym głosem. - Nie wiem, co zrobić. Jeżeli wrócę do domu skompromitowany, nie będę mógł spojrzeć w oczy nikomu z mojej rodziny.

- Może znajdę sposób, aby ci pomóc - odezwał się z namysłem Micky.

- Och proszę, cokolwiek - rozpromienił się Tonio.

- Jak ci wiadomo, Edward i ja jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. Mógłbym wstawić się za tobą u niego, wyjaśnić mu twoją sytuację i poprosić, aby był dla ciebie pobłażliwy.

- Naprawdę? - Na twarzy Tonia pojawił się przebłysk nadziei.

- Poproszę go, aby poczekał na pieniądze i zachował dyskrecję. Nie mogę ci jednak obiecać, że się zgodzi. Pilasterowie mają górę pieniędzy, ale są upartymi ludźmi. W każdym razie spróbuję. Tonio schwycił Micky'ego za rękę.

- Nie znajduję słów, żeby wyrazić ci moją wdzięczność! - zawołał żarliwie. - Nigdy ci tego nie zapomnę.

- No, nie rob sobie zbyt wielkiej nadziei...

- Nic na to nie poradzę. Byłem zrozpaczony, a ty dałeś mi powód, aby żyć dalej.

- Tonio spojrział z zawstydzieniem i dodał: - Dziś rano myślałem o tym, żeby się zabić. Szedłem przez London Bridge i niewiele brakowało, a rzuciłbym się do rzeki.

Stary Miranda tylko mruknął pod nosem. Najwyraźniej uważał, że byłaby to najlepsza rzecz, jaką mógłby zrobić.

- Dzięki Bogu, że zmieniłeś zdanie - oznajmił pospiesznie Nicky. - A teraz najlepiej

będzie, jeżeli pójdę do Banku Pilasterów i porozmawiam z Edwardem.

- Kiedy się zobaczymy?

- Przyjdiesz na lunch do klubu?

- Oczywiście, jeżeli tego sobie życzysz.

- A więc spotkajmy się tam.

- Dobrze - rzekł Silva, wstając. - Idę, abys mógł skończyć śniadanie. I...

- Nie dziękuj mi. - Nicky podniósł dłoń. - Możesz zapeszyć. Czekaj i bądź dobrej myśli.

- Tak. Dobrze. - Tonio skłonił się przed Tata. - dowidzenia, señor Miranda. - Opuścił pokój.

- Głupi chłopak - mruknął ojciec.

- Kompletny dureń - zgodził się jego syn.

Nicky przeszedł do sąsiedniego pokoju i przebrał się w wyjściowe ubranie - białą koszulę ze sztywnym, stojącym kołnierzykiem i wykrochmalonymi mankietami, beżowe spodnie, starannie zawiązany czarny satynowy krawat i czarny dwurzędowy surdut.

Jego wywoskowane buty lśniły, a włosy błyszcząły od brylantyny. Ubierał się elegancko, ale konserwatywnie - nigdy nie włożyłby jakiegoś nowomodnego wykładanego kołnierza albo dandysowskiego monokla. Anglicy zawsze uważali, że każdy cudzoziemiec jest parweniuszem, i nie miał zamiaru umacniać ich w tym mniemaniu.

Pozostawiając Tatę na resztę dnia, powędrował przez most do dzielnicy finansowej zwanej City, ponieważ znajdowała się na miejscu dawnego rzymskiego miasta w Londynie. Ruch wokół katedry Świętego Pawła zamarł, ponieważ powozy, omnibusy konne, wozy z browarów, dorożki i wózki straganiarzy zablokowało olbrzymie stado owiec pędzonych w stronę rynku mięsnego Smithfield.

Bank Pilasterów był wielkim, nowym budynkiem o drugiej klasycystycznej fasadzie i imponującym wejściu między potężnymi żłobkowanymi kolumnami. Kilka minut po dwunastej Nicky wszedł przez podwójne drzwi do sali kasowej. Chociaż Edward rzadko zjawiał się w pracy przed dziesiątą, zazwyczaj bez trudu pozwalał się wyciągnąć na lunch, kiedy tylko minęło południe.

Nicky zbliżył się do jednego z posłańców i powiedział:

- Proszę łaskawie przekazać panu Edwardowi Pilasterowi, że chce się z nim widzieć pan Miranda.

- Tak jest, proszę pana.

W tym miejscu Nicky szczególnie zazdrościł Pilasterom. Każdy szczegół podkreślał ich bogactwo i władzę - lśniaca marmurowa posadzka, wytworne boazerie, przyciszone głosy, skrzywienie piór w księgach bankowych, a przede wszystkim ci utuczeni, dostojnie wyglądający posłańcy. Cała ta przestrzeń i wszyscy ludzie istnieli tylko po to, aby liczyć pieniądze rodziny Pilasterów. Nikt tu nie hodował bydła, nie wydobywał saletry ani nie układał linii kolejowych - wszystkie te prace wykonywali inni, którzy znajdowali się daleko stąd. Pilasterowie jedynie pilnowali, aby ich pieniądze się

mnożyły. Micky'emu wydawało się to najlepszym sposobem na życie od chwili zniesienia niewolnictwa. W panującej tu atmosferze krył się jednak również pewien fałsz. Czuło się powagę i dostojność - jak w kościele w sądzie czy muzeum, a przecież na dobrą sprawę Pilasterowie byli tylko lichwiarzami, którzy zachowywali się tak, jakby pobieranie procentów było szlachetnym powołaniem, niczym kapłaństwo. Po kilku minutach pojawił się Edward - z opuchniętym nosem i podbitym okiem. Nicky uniósł brwi.

- Hej, stary, co ci się stało?

- Pobiłem się z Hughiem.

- O co?

- Powiedziałem mu, żeby się wynosił, bo sprowadził kurwę do domu, i się wściekł. Mirandzie przyszło do głowy, że incydent ten pomógł zapewne Augustie uwolnić się od kuzyna.

- A co się z nim stało?

- Już go nie zobaczysz. Został wysłany do Bostonu.

Dobra robota, Augusto, pomyślał Micky. Byłoby idealnie, gdyby Hugh'a i Tonia udało się załatwić tego samego dnia.

- Mam wrażenie, że butelka szampana i solidny lunch dobrze ci zrobią.

- Wspaniały pomysł.

Wyszli z banku i skierowali się na zachód. Nie było sensu brać dorożki, ponieważ ulice zatarasowały owce i wozy. Minęli rynek mięsny, na który pędzono owce. Od strony rzeźni dolatywał nieznośny smród. Zwierzęta zrzucano z ulicy przez klapę w dół, do podziemnego szlachtuza. Upadek wystarczał, aby połamać im nogi i unieruchomić do czasu, aż rzeźnik będzie gotowy poderżnąć im gardła.

- Chyba wystarczy, aby do końca życia zrezygnować z baraniny - rzekł Edward, kiedy przechodzili obok, zakrywając twarze chustkami. Micky przypuszczał jednak, że trzeba by czegoś więcej, aby odebrać Pilasterowi ochotę na lunch. Wydostali się wreszcie z City, zawołali klakra i kazali się zawieźć na Pall Mall. Gdy tylko dorożka ruszyła, Micky zaczął swój przygotowany tekst:

- Nie cierpię faceta, który rozsiewa pogłoski o złym zachowaniu kolegi.

- Tak - Edward odezwał się niezdecydowanie.

- Ale kiedy dotyczy to przyjaciela, prawdziwy kumpel powinien na to zareagować.

- Mhm - mruknął Pilaster, zupełnie nie wiedząc, do czego Micky zmierza.

- I bardzo bym nie chciał, abyś pomyślał, iż siedzę cicho tylko dlatego, że jest moim ziomkiem.

Przez chwilę panowała cisza, a potem odezwał się Edward:

- Nie jestem pewien, czy cię rozumiem.

- Mówię o Toniu Silvie.

- Ach tak? Przypuszczam, że nie jest w stanie zwrócić mi długu.

- Nic podobnego! Znam jego rodzinę. Jest niemal tak bogata jak twoja. - Micky nic nie ryzykował, kłamiąc w tak bezczelny sposób. Londyńczycy nie mieli pojęcia, jak

bogate mogą być południowoamerykańskie rodziny. Edward zdziwił się.

- Dobry Boże. Uważałem, że jest zupełnie inaczej.

- Wcale nie. Mógłby zapłacić bez trudu. I to tylko pogarsza sytuację.

- Co? Co pogarsza sytuację? Micky westchnął ciężko.

- Obawiam się, że nie zamierza ci zwrócić pieniędzy. I będzie się tym przechwalał, mówiąc, że nie jesteś w wystarczającym stopniu mężczyzną, aby go do tego zmusić.

Edward poczerwieniał.

- Rzeczywiście? Do diabła, nie jestem mężczyzną?! Zobaczymy!

- Ostrzegałem go, żeby cię nie lekceważył. Powiedziałem, że nie pozwolisz robić z siebie durnia. Ale zbagatelizował moją radę.

- Co za łajdak. No cóż, jeżeli nie słucha mądrej rady, Pozna prawdę w nieprzyjemny sposób.

- Co za wstyd - oznajmił Micky. Edward siedział nadęty, w milczeniu.

Miranda kręcił się, zniecierpliwiony, a dorożka tymczasem pęzła wolno wzdłuż Strandu. Tonio powinien znajdować się już w klubie. Edward był w odpowiednim nastroju do wszczęcia kłótni. Wszystko układało się doskonale.

Wreszcie dorożka zatrzymała się przed klubem. Micky zaczekał, aż Pilaster zapłaci klakrowi. Weszli do środka. W szatni, w grupce osób wieszających kapelusze, zobaczyli Tonia Miranda poczuł, jak ogarnia go napięcie. Wszystko przygotował i teraz mógł tylko zacisnąć kciuki i liczyć na to, że wyreżyserowany przez niego dramat zostanie zagrany tak, jak sobie zaplanował.

Tonio dostrzegł Edwarda, popatrzył z zakłopotaniem i rzekł:

- Na Jowisza... Dzień dobry.

Micky zerknął na Pilastera. Twarz Edwarda poczerwieniała, oczy wyszły mu z orbit i wreszcie warknął:

- Słuchaj no, Silva.

Tonio spojrział na niego z lękiem.

- O co chodzi, Pilaster?

- O te sto funtów - odparł głośno Edward.

W pomieszczeniu zapadła nagła cisza. Kilka osób obejrzało się, a dwaj mężczyźni zatrzymali się w drzwiach i popatrzyli w ich stronę. Rozmawianie o pieniądzach było w złym tonie - dżentelmeni wspominali o nich jedynie w nadzwyczajnych okolicznościach. Wszyscy doskonale wiedzieli, że Pilaster ma tyle pieniędzy, iż nie wie, co z nimi robić, i było oczywiste, że uwaga o długi Silvy musi wynikać z jakichś szczególnych powodów. Obserwatorzy wyczuli szykujący się skandal. Tonio zbladł.

- Słucham?

- Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, możesz mi je oddać dzisiaj - oznajmił brutalnie Edward.

Wyzwanie zostało rzucone. Wiele osób orientowało się, że dług jest faktem i nie ma powodu dyskutować o nim. Jako dżentelmen Tonio mógł zareagować tylko w jeden sposób - powinien odpowiedzieć: „Ależ oczywiście. Jeżeli to takie ważne, mogę ci je

oddać natychmiast. Chodźmy na górę, wypiszę ci czek... albo może wolisz, abyśmy przespacerowali się do mojego banku?”. Jeśli tego nie zrobi, wszyscy dowiedzą się, że nie jest w stanie zapłacić, i będzie skompromitowany. Micky obserwował całą tę scenę z upiorną fascynacją. Najpierw na twarzy Tonia pojawiło się przerażenie i przez chwilę Miranda zastanawiał się, czy Silva nie popełni jakiegoś szaleństwa. Potem lęk przemienił się w gniew i Tonio otworzył usta, żeby zaprotestować, ale nie wydobyło się z nich ani jedno słowo. Zamiast tego rozłożył ręce błagalnym gestem, po czym szybko je opuścił. Wreszcie jego twarz wykrzywiła się jak u dziecka, które jest bliskie płaczu. W tej samej chwili Tonio odwrócił się i pognął przed siebie. Dwaj mężczyźni stojący w drzwiach usunęli mu się z drogi. Silva przebiegł przez hol i wyskoczył na ulicę, zapominając o kapeluszu.

Micky był w siódmym niebie - wszystko odbyło się dokładnie tak, jak zaplanował. Osoby znajdujące się w szatni zaczęły kaszleć i rozmawiać, aby ukryć zakłopotanie. Jeden ze starszych członków mruknął:

- Potraktowałeś go dość ostro, Pilaster.
- Zasłużył na to - wtrącił się szybko Micky.
- Bez wątpienia, bez wątpienia - przytaknął mężczyzna.
- Muszę się napić - oznajmił Edward.

- Zamów też brandy dla mnie, dobrze? - poprosił Micky. - Lepiej pójdę za Silva i dopilnuję, żeby nie rzucił się pod omnibus. - Szybkim krokiem wyszedł na ulicę. Teraz miał zrealizować najbardziej delikatną część swego planu. Musiał przekonać człowieka, którego zrujnował, że jest jego najlepszym przyjacielem.

Tonio pędził w stronę St. James, wpadając na ludzi i nie patrząc, dokąd zmierza.

Micky podbiegł do niego i złapał go za ramię.

- Strasznie mi przykro, Silva - powiedział.

Tonio zatrzymał się. Po jego policzkach spływały łzy.

- Jestem skończony - rzekł. - Już po wszystkim.

- Pilaster kategorycznie mi odmówił - stwierdził Micky. - Zrobiłem, co mogłem...

- Wiem, dziękuję ci.

- Nie dziękuj. Przecież mi się nie udało.

- Ale próbowałeś. Chciałbym w jakiś sposób wyrazić ci moją wdzięczność.

Micky zawahał się, myśląc jednocześnie: Czy powinienem już teraz poprosić go o jego stanowisko? Postanowił działać odważnie:

- Prawdę mówiąc, jest taka możliwość... Ale powinniśmy porozmawiać o tym kiedy indziej.

- Nie, powiedz mi od razu.

- Paskudnie się czuję. Załatwmy to innego dnia.

- Nie wiadomo, ile jeszcze dni tu zostanę. O co chodzi?

- No cóż... - Micky zrobił zakłopotaną minę. - Zapewne ambasador Cordovy będzie szukał kogoś na twoje miejsce...

- Będzie potrzebował kogoś od zaraz. - Na twarzy Tonia pojawił się błysk

zrozumienia. - Oczywiście... Powinieneś przyjść na moje miejsce! Doskonale się do tego nadajesz!

- Gdybyś mógł szepnąć słówko w mojej sprawie...

- Zrobię coś więcej: opowiem mu, jak mi pomagałeś i jak próbowałeś wyciągnąć mnie z sytuacji, w którą się wplątałem. Jestem pewien, że cię zaangażuje.

- Wolałbym nie odnosić korzyści z twoich kłopotów - rzekł Micky. - Czuję się jak prosię.

- Nie ma o czym mówić. - Tonio ujął oburącz dłoń Micky'ego. - Jesteś prawdziwym przyjacielem.

Rozdział piąty - Wrzesień

Sześćoletnia siostra Hugh'a, Dorothy, składała jego koszule i wkładała je do kufra. Wiedział doskonale, że gdy tylko siostrzyczka pójdzie spać, będzie musiał je wyjąć i wyprasować na nowo, ponieważ robiła to straszliwie nieporządnie. Udawał jednak, że jest z niej bardzo zadowolony.

- Opowiedz mi jeszcze raz o Ameryce - poprosiła.

- Ameryka jest tak daleko, że rano słońce potrzebuje aż czterech godzin, żeby tam dotrzeć.

- Czy ludzie tam cały ranek leżą w łóżkach?

- Tak. Wstają w porze lunchu i jedzą śniadanie! Roześmiała się.

- A to leniuchy!

- Niezupełnie. Widzisz, tam robi się ciemno dopiero koło północy, więc muszą pracować przez cały wieczór.

- I idą późno spać! Lubię kłaść się późno do łóżka. Ameryka mi się podoba. Dlaczego nie mogę z tobą pojechać?

- Bardzo bym chciał, Dotty. - Zrobiło mu się smutno. Nie będzie widział siostrzyczki przez wiele lat. Kiedy wróci, na pewno bardzo się już zmieni i będzie rozumiała, na czym Polegają strefy czasu.

Wrześniowy deszcz bębnił o szyby, wiatr szarpał fale w zatoce, ale w pokoju płonął węgiel w kominku. Hugh zapakował kilka książek: Współczesne metody prowadzenia interesów, Poradnik dobrego handlowca, Bogactwo narodów, Robinson Crusoe. Starsi urzędnicy w Banku Pilasterów pogardliwi odnosili się do tego, co nazywali „wiedzą książkową”, i często powtarzali, że najlepszym nauczycielem jest doświadczenie ale się mylili. Hugh szybciej zrozumiał zasady funkcjonowania różnych działów, ponieważ wcześniej zapoznał się z teorią.

Jechał do Ameryki w czasie kryzysu. Na początku lat siedemdziesiątych kilka banków udzieliło dużych pożyczek pod zabezpieczenie spekulacyjnych akcji kolejowych i kiedy budowa kolei w połowie tysiąc osiemset siedemdziesiątego trzeciego roku zaczęła napotykać trudności, pozycja banków się zachwiała. Kilka dni temu zbankrutował reprezentujący rząd Stanów Zjednoczonych Jay Cooke Co., pociągając za sobą First National Bank w Waszyngtonie, i wiadomość o tym dotarła do Londynu tego samego dnia transatlantyckim kablem telegraficznym. Obecnie zawiesiło

działalność pięć nowojorskich banków, wśród nich wielki Union Trust Company i od dawna istniejące Mechanics Banking Association. Giełda zamknęła drzwi. Interesy zaczną podupadać, tysiące ludzi utracą pracę, handel poniesie straty, a operacje finansowe Pilasterów w Ameryce staną się ostrożniejsze i zakrojone na mniejszą skalę. W tej sytuacji Hughowi trudniej będzie się wyróżnić. Do Londynu kryzys jeszcze nie dotarł. Stopa bankowa podniosła się o jeden punkt, niewielki londyński bank z silnymi amerykańskimi powiązaniem ogłosił upadłość, ale na razie nikt nie wpadał w panikę. Mimo to stary Seth uporczywie twierdził, że czekają ich kłopoty. Był już bardzo słaby. Przeprowadził się do domu Augusty i większość czasu spędzał w łóżku. W dalszym ciągu jednak nie chciał złożyć rezygnacji, uważając, że musi przeprowadzić Pilasterów przez grożące im niebezpieczeństwa.

Hugh zaczął składać ubrania. Bank zapłacił za jego dwa nowe garnitury - podejrzewał, że to matka namówiła dziadka, aby wydał odpowiednie polecenia. Stary Seth był dusigroszem jak wszyscy Pilasterowie, ale miał słabość do żony Tobiasa i na dobrą sprawę przez wszystkie te lata żyła ona z niewielkiej renty wypłacanej właśnie przez Seta.

Matka również wymusiła na banku, aby dano Hughowi przed wyjazdem kilka tygodni urlopu, żeby mógł się przygotować i pożegnać z najbliższymi. Widywała go dość rzadko. Od kiedy rozpoczął pracę, nie stać go było na zbyt częste kupowanie biletu kolejowego do Folkestone. Teraz jednak chciał pobyc trochę z matką i siostrą. Większą część sierpnia spędzili tutaj, nad morzem, podczas gdy Augusta przebywała ze swoją rodziną w Szkocji. Obecnie wakacje już się skończyły i Hugh musiał pożegnać się z matką. Właśnie weszła do jego pokoju. Od sześciu lat była wdową, ale wciąż ubierała się na czarno. Nie zdradzała ochoty do ponownego zamążpójścia, chociaż nie byłoby to żadnym problemem - ciągle bowiem była bardzo piękna, a jej urodę szczególnie podkreślały łagodne szare oczy oraz bujne blond włosy.

Zdawała sobie sprawę, że to kolejne długie rozstanie. Nie mówiła jednak o swoim smutku; starała się raczej dzielić z synem podniecenie związane z wyzwaniem, jakie rzucił mu nowy kraj.

- Czas do łóżka, Dorothy - powiedziała. - Idź i włóż nocną koszulkę. - I gdy tylko dziewczynka wyszła z pokoju, zaczęła na nowo układać koszule Hugh'a. Chciał porozmawiać z nią o Maisie, ale się krępował. Wiedział, że Augusta napisała do niej list, być może matka słyszała również o tej sprawie od innych członków rodziny albo nawet widziała się z którymś z nich podczas rzadkich wypraw po zakupy do Londynu. Historia, która do niej dotarła, mogła mieć niewiele wspólnego z faktami. Po chwili odezwał się:

- Mamo...
- Słucham cię, kochanie?
- Ciotka Augusta nie zawsze mówi prawdę.
- Nie musisz być tak uprzejmy - odparła z gorzkim uśmiechem. - Augusta od lat opowiada kłamstwa o twoim ojcu.

Hugh'a zaskoczyła jej szczerość.

- Czy sądzisz, że to ona nałgała rodzicom Florence Stalworthy, że tata był

hazardzistą?

- Niestety, jestem tego pewna.
- Dlaczego jest taka?

Matka odłożyła koszulę i zamyśliła się przez chwilę.

- Augusta była bardzo piękną dziewczyną - rzekła. - Jej rodzina uczęszczała do zboru metodystów w Kensington i stamtąd właśnie ją znam. Była jedynaczką, upartą i zepsutą. Jej rodzice nie reprezentowali sobą nic szczególnego - ojciec był pomocnikiem sklepowym, który otworzył własny interes i w końcu dorobił się trzech niewielkich sklepów spożywczych na zachodnich przedmieściach Londynu. Ale Augusta była najwyraźniej przekonana, że jest stworzona do wyższych celów. Podeszła do zalanego deszczem okna. Patrząc przez nie, widziała jednak nie burzliwy kanał La Manche, lecz przeszłość.

- Kiedy miała siedemnaście lat, zakochał się w niej hrabia Strang. Był wspaniałym chłopakiem - przystojnym, miłym, dobrze urodzonym i bogatym. Oczywiście jego rodzice byli wstrząśnięci perspektywą ożenku syna z córką sklepikarza. Augusta była jednak bardzo piękna i już wówczas nosiła się godnie, co pomagało jej w większości sytuacji towarzyskich.

- Czy zaręczyli się? - zapytał Hugh.

- Oficjalnie - nie, ale wszyscy byli zdania, że sprawa jest przesądzona. I wtedy wybuchnął straszliwy skandal. Jej ojca oskarżono, że systematycznie oszukiwał na wadze w swoich sklepach. Wyrzucony pracownik doniósł na niego do Ministerstwa Handlu. Mówiono, że oszukiwał nawet kościół kupujący u niego herbatę na wtorkowe wieczorne spotkania badaczy Pisma Świętego. Groziło mu bodajże więzienie, lecz zdecydowanie wszystkiemu zaprzeczył i ostatecznie sprawa ucichła. Strang jednak rzucił Augustę.

- Musiał złamać jej serce.

- Nie - odparła matka. - Wcale nie. Oszalała z wściekłości. Zawsze potrafiła dopiąć swego, a tym razem pragnęła Stranga bardziej niż czegokolwiek i nie mogła go mieć.

- Wtedy z zemsty wyszła za wuja Josepha?

- Powiedziałabym raczej, że w ataku złości. Był od niej starszy o siedem lat, a to dużo, kiedy ma się siedemnaście lat i wcale nie wyglądał lepiej niż teraz. Lecz był bogaty, bogatszy nawet od Stranga. Należy jednak oddać jej sprawiedliwość, że zrobiła wszystko, aby być dla niego dobrą żoną. Ale Joseph nigdy nie będzie Strangiem i ona nie może o tym zapomnieć.

- Co się stało ze Strangiem?

- Ożenił się z francuską hrabianką i zginął w wypadku na polowaniu.

- Prawie mi żal Augusty.

- Bez względu na to, co miała, zawsze chciała mieć więcej - więcej pieniędzy, lepszego stanowiska dla swojego męża, wyższej pozycji towarzyskiej dla siebie. Te ambicje dotyczące jej samej, Josepha i Edwarda wynikają stąd, że wciąż pragnie tego, co mógł dać jej Strang - tytułu, rodowej posiadłości, życia w ciągłym nieróbstwie, bogactwa bez pracy. Chociaż prawdę mówiąc, Strang ofiarował jej przede wszystkim

miłość. A tej straty nic nie zdoła jej zastąpić.

Hugh nigdy nie prowadził z matką tak szczerych rozmów. Poczuł, że może otworzyć przed nią serce.

- Mamo - odezwał się. - Jeżeli chodzi o Maisie... Wydawała się zdziwiona.

- Maisie?

- Dziewczynę... z której powodu wyniknęły te kłopoty. Maisie Robinson. Twarz matki rozjaśniła się.

- Augusta nikomu nie wymieniła jej nazwiska. Zawahał się, a potem wyrzucił z siebie:

- Ona wcale nie jest jakąś „upadłą” kobietą.

Matka była zakłopotana. Mężczyźni nigdy nie wspominali swoim matkom o czymś takim jak prostytutka.

- Rozumiem - powiedziała, odwracając wzrok. Hugh kontynuował:

- Jest z niższej sfery, to prawda. I Żydówką. - Spojrzał na matkę i zauważył, że jest zaskoczona, ale nie oburzona. - Nic nie można jej zarzucić. W gruncie rzeczy... - Zawahał się. Matka popatrzyła na niego.

- Mów dalej.

- W gruncie rzeczy była dziewicą... Matka zaczerwieniła się.

- Przepraszam, że rozmawiam z tobą o takich rzeczach, mamo - rzekł. - Gdybym jednak tego nie zrobił, znałabyś tylko wersję ciotki Augusty.

Matka przełknęła ślinę.

- Bardzo ją lubisz, Hugh?

- Raczej tak. - Poczuł, że łzy napływają mu do oczu. - Nie rozumiem, dlaczego zniknęła. Nie mam pojęcia, dokąd poszła. Nie znałem jej adresu. Pytałem w stajni, dla której pracowała, i w Argyll Rooms, gdzie ją spotkałem. Solly Greenbourne, który również bardzo ją lubił, jest tak samo zdezorientowany jak ja. Tonio Silva znał jej przyjaciółkę, April, ale wrócił do Ameryki Południowej, a ja nie mogę znaleźć tej dziewczyny.

- Cóż za tajemnicza sprawa.

- Jestem przekonany, że maczała w tym palce ciotka Augusta.

- Nie wątpię. Trudno mi sobie wyobrazić, jak to zrobiła, ale z pewnością sprytnie. Teraz jednak musisz myśleć o swojej przyszłości, Hughu. Boston jest dla ciebie wielką szansą. Musisz pracować ciężko i sumiennie.

- Ona jest niezwykłą dziewczyną, mamo. Widział, że mu nie uwierzyła.

- Zapomnisz o niej - oznajmiła.

- Wątpię, czy kiedykolwiek zdołam. Matka pocałowała go w czoło.

- Na pewno. Zapewniam cię.

W pokoju na poddaszu, który Maisie dzieliła wraz z April, wisiał tylko jeden obraz. Był to jaskrawy afisz cyrkowy przedstawiający Maisie w ozdobionych błyskotkami trykotach, stojącą na grzbiecie galopującego konia. Pod spodem widniał napis sporządzony czerwonymi literami: „Zadziwiająca Mai' się”. Podobizna była niezbyt

wierna, ponieważ w cyrku nie było białych koni, a sama Maisie nigdy nie miała tak długich nóg. Mimo to bardzo ceniła sobie ten afisz, jako jedyną pamiątkę z tamtych czasów. poza tym w pomieszczeniu znajdowało się jedynie wąskie łóżko, umywalka na stojaku, jedno krzesło i stolik na trzech nogach. Ubrania dziewcząt wisiały na wbitych w ściany gwoździach, a brud na szybach zastępował zasłony. Obie usiłowały utrzymać mieszkanie w czystości, ale było to niemożliwe. Z komina sypały się sadze, z dziur w podłodze wylały myszy, a kurz i insekty przeciskały się przez szczeliny między ramami okiennymi a murem. Dzisiaj padało i woda ściekała z parapetu oraz kapała z sufitu.

Maisie ubierała się. Było święto Rosz Haszana - dzień, w którym otwarta została Księga Życia, i zawsze zastanawiała się, co jest jej pisane. Właściwie nigdy się nie modliła, ale tego dnia regularnie to czyniła - z powagą i nadzieją, że jej karta Księgi zawiera jednak coś dobrego.

April wyszła do wspólnej kuchni przygotować herbatę i po chwili wpadła do pokoju z gazetą w rękę.

- Coś dla ciebie, Maisie, dla ciebie! - zawołała.

- Co?

- W „Lloyd's Weekly News”. Posłuchaj. „Panna Maisie Robinson, dawniej Miriam Rabinowicz. Uprasza się pannę Robinson o skontaktowanie się z adwokatami, panem Goldmanem i Jayem w Gray's Inn, którzy dysponują ważną dla niej wiadomością”. Przecież to chodzi o ciebie!

Serce Maisie zaczęło bić szybciej, ale odpowiedziała chłodno:

- Od Hugh'a. Nie pójdę.

April spojrzała na nią z rozczarowaniem.

- Może odziedzyczyłaś pieniądze po dawno zaginionym krewnym?

- Choćbym miała zostać królową Mongolii, daruję sobie taki kawał drogi do Gray's Inn, zważywszy na tak nikłe poszlaki. - Chciała, aby zabrzmiało to wesoło, ale serce ją bolało. Myślała o Hughu każdego dnia i nocy, i czuła się nieszczęśliwa.

Chociaż znała go krótko, nie mogła o nim zapomnieć.

Wiedziała, że jej szuka. Co wieczór przychodził do Argyll Rooms, nękał właściciela stajni Sammlesa, pytał o nią w połowie tanich pensjonatów w Londynie.

Aż nagle jego poszukiwania ustały i Maisie doszła do wniosku, że zrezygnował. Ta wiadomość mogła oznaczać, że zmienił tylko taktykę i próbuje dotrzeć do niej za pośrednictwem ogłoszeń prasowych. Było jej bardzo trudno nadal go unikać i straszliwie chciała znowu go zobaczyć. Ale podjęła już decyzję: zbyt Hugh'a kochała, aby go zrujnować. Wsunęła rękę w ramiączka gorsetu.

- Pomóż mi zasznurować - poprosiła przyjaciółkę. April zaczęła ściągać sznurówki.

- Nigdy nie widziałam swojego nazwiska w gazecie - powiedziała z zazdrością. - A o tobie pisali już dwa razy, jeżeli uznać „Lwicę” za nazwisko.

- I cóż mi z tego! Mój Boże, zaczynam tyć.

April zawiązała tasiemki i pomogła jej włożyć suknię. Wychodziły dziś wieczór. Nowy kochanek April był wydawcą czasopisma, człowiekiem w średnim wieku, który

miał żonę i sześćoro dzieci w Clapham. Wieczorem on i jego przyjaciel zabierali dziewczęta do music - hallu.

Przed spotkaniem zamierzały pospacerować po Bond Street i obejrzeć wystawy eleganckich sklepów. Oczywiście, nie po to, aby coś kupić. Żeby ukryć się przed Hughiem, Maisie zmuszona była zrezygnować z pracy u Sammlesa - ku jego wielkiemu żalowi, ponieważ sprzedała mu pięć koni i kucyka z dwukólką, ale zaoszczędzone pieniądze szybko topniały. Musiały jednak wyjść bez względu na pogodę - pozostawanie w pokoju zanadto je przygnębiało.

Suknia Maisie była trochę za ciasna w biuście i dziewczyna skrzywiła się, gdy April ją zapinała. Przyjaciółka spojrzała na nią ze zdziwieniem i zapytała:

- Bolać cię piersi?

- Tak, owszem... Ciekawa jestem dlaczego?

- Maisie - rzekła z niepokojem April. - Kiedy ostatni raz miałaś przypadłość?

- Nigdy nie liczę. - Maisie myślała przez chwilę i nagle przeszedł ją zimny dreszcz. - O mój Boże! - westchnęła.

- Kiedy?

- To chyba było przed wyścigami w Goodwood. Czy myślisz, że jestem w ciąży?

- Przybyło ci w pasie, bolać cię piersi i nie miałaś przypadłości przez dwa miesiące... Tak, jesteś w ciąży - oznajmiła z rozdrażnieniem April. - Nie mogę uwierzyć, że okazałaś się aż tak głupia. Kto to był?

- Hugh, oczywiście. Ale zrobiliśmy to tylko raz. W jaki sposób można zajść w ciążę od jednego pieprzenia?

- Często zachodzi się w ciążę od jednego pieprzenia.

- O Boże. - Maisie czuła się tak, jakby potracił ją pociąg. Wstrząśnięta, oszołomiona i przerażona usiadła na łóżku i zaczęła płakać. - Co ja teraz pocznę?

- zapytała bezradnie.

- Przed wszystkim powinniśmy pójść do tego biura adwokackiego. Nagle wszystko wydało jej się zupełnie inne.

Początkowo była zrozpaczona i zła. Potem uświadomiła sobie, że w tej sytuacji musi nawiązać kontakt z Hughiem dla dobra dziecka, które nosi w swoim łonie. I wtedy przyznała sama przed sobą, że jest bardziej zadowolona niż przestraszona. Marzyła, aby zobaczyć go znowu. Przedtem tłumaczyła sobie, że nie może tego zrobić, ale dziecko wszystko zmieniało. Teraz miała wręcz obowiązek skontaktować się z Hughiem. Ulga sprawiła, że poczuła się słabo.

Była bardzo zdenerwowana, gdy razem z April wchodziły po stromych schodach do biura adwokatów w Gray's Inn. Hugh wcale nie musiał zamieszczać tego ogłoszenia.

Nie byłoby nic dziwnego, gdyby zrezygnował z poszukiwań. Zachowywała się tak zniechęcająco, jak tylko dziewczyna potrafi, a przecież żaden mężczyzna nie będzie wiecznie kochał bez wzajemności. Być może ogłoszenie miało jakiś związek z jej rodzicami, jeżeli jeszcze żyli? Może zaczęło im się wreszcie powodzić i dysponowali pieniędzmi na jej poszukiwania? Nie była pewna, co o tym myśleć. Wiele razy pragnęła zobaczyć znowu mamę i tatę, ale obawiała się, że wstydziłiby się jej trybu życia.

Wspięły się na szczyt schodów i weszły do biura. Młody urzędnik w musztardowego koloru kamizelce uśmiechał się do nich protekcyjnie i chociaż dziewczyny były przemoczone, Wyraźnie zamierzał poflirtować.

- Moje panie! - zawołał. - Jakiż to cud zrządził, że takie boginie potrzebują usług panów Goldmana i Jaya? Czym mogę służyć?

April nie przepuściła okazji.

- Mógłby pan zdjąć kamizelkę. Bola mnie od niej oczy - oświadczyła. Maisie nie miała dziś ochoty bawić się w galanterię.

- Nazywam się Maisie Robinson - oznajmiła.

- Aha! Ogłoszenie. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności rzeczony dżentelmen znajduje się obecnie u pana Jaya.

Maisie ogarnęło obezwładniające drżenie.

- Proszę powiedzieć - odezwała się z wahaniem - czy ów dżentelmen... Czy przypadkiem nie jest to pan Hugh Pilaster?

Spojrzała błagalnie na urzędnika.

Nie zauważył wyrazu jej twarzy i odparł gwałtownie:

- Dobry Boże, nie!

Jej nadzieje znowu się rozwiały. Siedziała na twardej ławie przy drzwiach, starając się powstrzymać łzy.

- To nie on - rzekła.

- Nie - potwierdził urzędnik. - Znam Hugh'a Pilastera, chodziliśmy razem do szkoły w Folkestone. Wyjechał do Ameryki.

Maisie zachwiała się, jak uderzona.

- Do Ameryki? - szepnęła.

- Do Bostonu, w stanie Massachusetts. Wypłynął przed paroma tygodniami. Znała go pani ?

Maisie nie zwróciła uwagi na jego pytanie. Czuła, że serce zamiera jej w piersi, staje się ciężkie i zimne. Wyjechał do Ameryki. A ona nosi w swym łonie jego dziecko! Czuła się zbyt przerażona, aby płakać.

- A więc kto dał ogłoszenie? - zapytała agresywnie April.

Urzędnik poczuł się niezbyt pewnie. Zaprzestał swojej wyniosłej miny i odparł nerwowo:

- Lepiej będzie, jeżeli sam paniom wyjaśni. Proszę mi wybaczyć na chwilę. - Zniknął za wewnętrznymi drzwiami.

Maisie patrzyła otępiąłym wzrokiem na oparte o ścianę pudła z dokumentami. Na ich grzbietach widniały napisy - Dobra Blenkinsop, Królowa przeciwko Zakładom Młynarskim Wiltshire, Linie Kolejowe Great Southern, Pani Stanleyowa Evans zm.. Wszystko, co działo się w tym biurze, wiązało się z czyjąś tragedią, pomyślała - śmierć, bankructwo, rozwód, sprawa karna.

Drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł mężczyzna o frapującym wyglądzie. Choć był niewiele starszy od Maisie, miał twarz biblijnego proroka: wydatny nos o rozdętych

nozdrzach, krzaczastą brodę i czarne oczy surowo spoglądające spod czarnych brwi. Wydał jej się znajomy. Doszła do wniosku, że przypomina ojca, chociaż tata nigdy nie wyglądał tak srogo.

- Maisie? - zapytał. - Maisie Robinson?

Jego ubranie było trochę dziwnie skrojone, jakby kupił je gdzieś za granicą, i mówił z amerykańskim akcentem.

- Tak, jestem Maisie Robinson - odparła. - A kim, u diabła, pan jest?

- Nie poznajesz mnie?

Nagle przypomniała sobie chudziutkiego chłopaka, obszarpanego i bez butów, z lekkim zarysem wąsika nad górną wargą i pełnym determinacji spojrzeniem.

- O mój Boże! - zawołała. - Danny! - Na chwilę zapomniała o wszystkich swoich kłopotach i rzuciła się w jego objęcia. - Danny, to naprawdę ty?! Przytulił ją mocno, aż zabolęło.

- Oczywiście, że to ja - odparł.

- Kto to? - spytała April. - Kim on jest?

- Mój brat! - oznajmiła Maisie. - Ten, który uciekł do Ameryki! Wrócił! Danny odsunął ją od siebie i przyjrzał jej się uważnie.

- Jakim cudem tak wypiękniałas? - zapytał. - Byłaś przecież takim chudym skrzatem.

Dotknęła jego brody.

- Pewnie poznałabym cię, gdybyś nie miał tego futra na twarzy.

Za plecami Danny'ego rozległo się ciche kasznięcie. Maisie popatrzyła w tamtą stronę i zobaczyła stojącego w drzwiach starszego mężczyznę o lekko pogardliwym wyrazie twarzy.

- Najwidoczniej się nam udało - stwierdził.

- Panie Jay, przedstawiam panu moją siostrę, pannę Robinson.

- Sługa uniżony, panno Robinson. Czy mógłbym coś zaproponować...?

- Czemu nie? - odrzekł Danny.

- Na Theobak's Road, kilka kroków stąd, jest kawiarnia. Musicie państwo mieć bardzo wiele spraw do omówienia.

Najwidoczniej chciał się ich pozbyć ze swojego biura, ale Danny nie dbał o to, czego pan Jay sobie życzy. Cokolwiek przeszedł, z pewnością nie nauczył się uległości.

- Co wy na to, dziewczęta? Porozmawiamy tutaj, czy pójdziemy na kawę?

- Chodźmy do kawiarni - zaproponowała Maisie.

- I może zechce pan łaskawie wrócić nieco później, panie Robinson, aby uregulować rachunek? - dodał pan Jay.

- Nie zapomnę. Idziemy, dziewczęta.

Opuścili biuro i zeszli po schodach. Na usta Maisie cisnęło się mnóstwo pytań, ale z najwyższym trudem opanowała ciekawość do chwili, aż znaleźli się w kawiarni i usiedli przy stoliku. Wreszcie zapytała:

- Co robiłeś przez te siedem lat?

- Budowałem koleje - odpowiedział. - Przypadkowo znalazłem się tam w odpowiednim momencie. Właśnie skończyła się wojna secesyjna i zaczęto wytyczać linie kolejowe. Tak bardzo potrzebowali robotników, że sprowadzali ich z całej Europy.

Nawet chudy trzynastolatek miał szansę dostać pracę. Budowałem pierwszy stalowy most - przez Missisipi, w St. Louis, a potem linię kolejową Union Pacific w Utah.

Jako dziewiętnastolatek zostałem brygadzystą - koleje to robota dla młodych ludzi. A potem wstąpiłem do związków zawodowych i zorganizowałem strajk.

- Dlaczego wróciłeś?

- Nastąpił krach na giełdzie. Kolejom skończyły się pieniądze, a banki, które je finansowały, zbankrutowały. Teraz tysiące, setki tysięcy ludzi szuka tam pracy. Postanowiłem wrócić do domu i zacząć od nowa.

- I co będziesz robił? Też budował koleje? Pokręcił głową.

- Mam inny pomysł. Widzisz, krach finansowy dwukrotnie zrujnował mi życie. Ci, do których należą banki, są najgorszymi ludźmi na świecie. Niczego nie mogą się nauczyć i wciąż powtarzają te same błędy. A cierpią na tym robotnicy. Nikt młody nie Pomaga, nikomu to nawet nie przychodzi do głowy. Muszą więc pomagać sobie nawzajem.

- Ludzie nigdy sobie nie pomagają - stwierdziła April. - Na tym świecie każdy myśli o sobie. Trzeba być samolubem.

Maisie uświadomiła sobie, że April często tak mówi, chociaż z natury jest hojna i zrobiłaby wszystko dla przyjaciółki.

- Chcę założyć coś w rodzaju klubu dla robotników. Będą płacili sześć pensów na tydzień, a w razie nieuzasadnionego wyrzucenia ich z pracy klub będzie im wypłacał funta tygodniowo, dopóki nie znajdą innego zatrudnienia.

Maisie popatrzyła na brata z podziwem. Plan był cudownie ambitny, ale przecież tak samo pomyślała, kiedy jako trzynastoletni chłopak oznajmił: „W porcie jest statek, który z porannym odpływem wyrusza do Bostonu. Wejdę na pokład po linie i ukryję się w jednej z łodzi”. Zrobił, co zaplanował, i zapewne teraz uczyni to samo. Powiedział, że zorganizował strajk. Wszystko więc wskazywało na to, że wyrósł na człowieka, za którym szli inni.

- A co z tatą i mamą? - zapytał. - Czy wiesz coś o nich?

Maisie pokręciła głową i nagle, ku własnemu zdumieniu, zaczęła płakać. Niespodziewanie odezwał się ból z powodu utraty rodziny; ból, który starała się zagłuszyć przez wszystkie te lata. Danny położył jej dłoń na ramieniu.

- Pojadę na północ i spróbuję odnaleźć ich ślad.

- Mam nadzieję, że ich odszukasz - odparła. - Tak mi ich brakuje. - Dostrzegła spojrzenie wpatrującej się w nią ze zdziwieniem April. - Chociaż boję się, że będą się mnie wstydzić.

- A to dlaczego?

- Jestem w ciąży. Twarz mu poczerwieniała.

- I niezamężna?

- Tak.
- Spodziewasz się wyjść za mąż?
- Nie.

Danny był wściekły.

- Kim jest ten bydlak?
- Oszczędź sobie tego występu w roli oburzonego brata dobrze? - podniosła głos Maisie.

- Chciałbym mu skrócić kark...

- Zamknij się, Danny! - oznajmiła ze złością Maisie. - Zostawiłeś mnie siedem lat temu i nie masz prawa wracać i zachowywać się tak, jakbym była twoją własnością. - Zrobił zakłopotaną minę, ona zaś ciągnęła już spokojniejszym tonem.

- To nieważne. Przypuszczam, że ożeniłby się ze mną, ale nie chciałam tego, więc zapomnij o wszystkim. W każdym razie wyjechał do Ameryki. Danny zdążył już ochłonać.

- Gdybym nie był twoim bratem, sam bym się z tobą ożenił. Jesteś taka ładna! Ale mogę przynajmniej dać ci pieniądze, które mi zostały. - Nie przyjmę ich. - Zdawała sobie sprawę, że jej słowa zakrawają na niewdzięczność, ale tak musiała postąpić. - Nie przejmuj się mną, Danny. Wykorzystaj swoje pieniądze na założenie klubu robotników. Zadbam o siebie. Udało mi się, gdy miałam jedenaście lat, sądzę więc, że uda mi się i teraz, Micky Miranda i Tata siedzieli w niewielkiej jadłodajni w Soho nad najtańszym daniem - potrawką z ostryg oraz kuflami mocnego piwa. Restauracja znajdowała się w odległości kilku minut drogi od ambasady cordovańskiej na Portland Place, w której Micky każdego ranka tkwił obecnie przy biurku przez godzinę lub dwie, załatwiając pocztę ambasadora. Tego dnia skończył już pracę i spotkał się z ojcem na lunchu. Usiedli naprzeciwko siebie na twardych drewnianych ławach z wysokimi oparciami. Podłoga posypana była trocinami, a sufit pokryty wieloletnimi warstwami tłustej sadzy. Micky nie cierpiał jadać w takich miejscach, ale aby oszczędzić trochę pieniędzy, musiał to robić dość często. Do klubu Cowes przychodził tylko wtedy, gdy płacił Edward. Poza tym zabieranie Taty do klubu było szarpiącym nerwy przeżyciem. Micky wciąż się obawiał, że ojciec wywoła bójkę, wyciągnie pistolet albo splunie na dywan.

Miranda starszy wytarł miskę kawałkiem chleba i odsunął ją od siebie.

- Chcę ci coś wyjaśnić - powiedział. Micky odłożył łyżkę.

- Potrzebuję karabinów do walki z rodziną Delabarca. Kiedy ich zniszczę, przejmę ich kopalnie saletry. A one wzbogacą naszą rodzinę.

Micky bez słowa skinął głową. Słyszał te słowa już wielokrotnie, ale nie śmiał o tym przypomnieć.

- Kopalnie saletry to dopiero początek, pierwszy krok - ciągnął ojciec. - Jak będziemy mieli więcej pieniędzy, kupimy więcej karabinów. I różni członkowie naszej rodziny staną się ważnymi ludźmi w prowincji.

Micky nadstawił uszu. To było coś nowego.

- Twój kuzyn Jorge zostanie pułkownikiem w wojsku, a twój brat Paulo - komendantem policji w prowincji Santamaria.

Dzięki czemu będzie zawodowym sadystą, a nie tylko amatorem, pomyślał Micky.

- Ja zaś zostanę gubernatorem prowincji - oświadczył Tata.

Gubernator! Micky nie przypuszczał, że ambicje ojca sięgają tak wysoko. Ale to nie był jeszcze koniec.

- Kiedy przejmemy kontrolę nad prowincją, zajmiemy się całym krajem. Staniemy się żarliwymi stronnikami prezydenta Garcii. Ty będziesz jego posłem w Londynie.

Twój brat być może obejmie stanowisko ministra sprawiedliwości. Wujowie będą generałami, a twój przyrodni brat Dominie, który jest księdzem, zostanie arcybiskupem Palmy.

Micky był zdziwiony. Nigdy dotąd nie słyszał o przyrodnim bracie. Nie odezwał się jednak, bojąc się ojcu przerywać.

- A wtedy - oznajmił Tata - w odpowiedniej chwili Usuniemy rodzinę Garcii i zajmiemy ich miejsce.

- Chcesz powiedzieć, że przejmemy władzę? - zapytał Micky, szeroko otwierając oczy. Był wstrząśnięty zuchwalstwem i pewnością siebie ojca.

- Tak. W ciągu dwudziestu lat, mój synu, albo ja zostanę prezydentem Cordovy... albo ty.

Micky próbował wszystko sobie uporządkować. Konstytucja Cordovy zakładała demokratyczne wybory, ale jak dotąd nie odbyły się żadne. Prezydent Garcia przejął władzę dziesięć lat temu w wyniku zamachu stanu. Będąc głównodowodzącym Sił zbrojnych, po prostu obalił przywódcę powstania przeciwko Hiszpanom, prezydenta Lopeza, po którego stronie walczyli Tata i jego vaqueros. Ojciec zaskoczył Micky'ego subtelnością swojej strategii. Stać się czynnym stronnikiem obecnego władcy, a potem zdradzić go - no, no... Ale na czym polegałaby jego, Micky'ego rola? Miał zostać ambasadorem Cordovy w Londynie. Wykonał już zresztą pierwszy krok, usuwając Tonia Silvę i zajmując jego stanowisko. Będzie musiał znaleźć sposób, aby zrobić to samo z ambasadorem. I co wtedy? Gdy jego ojciec będzie prezydentem, on zostanie ministrem spraw zagranicznych i będzie podróżował po świecie jako przedstawiciel swojego kraju. Ale Tata sugerował, że Micky może również zostać prezydentem - nie Paulo, nie wuj Rico, ale on, Micky. Czy to było rzeczywiście możliwe? Czemu nie? Był przecież sprytny, bezwzględny i miał koneksje. Czegóż trzeba więcej? Perspektywa władania całym krajem była oszałamiająca. Wszyscy by mu się kłaniali, najpiękniejsze kobiety w Cordovie byłyby do jego dyspozycji, bez względu na to, czy życzyłyby sobie tego, czy nie. Dorównywałyby bogactwem Pilasterom.

- Prezydent - powiedział z rozmarzeniem. - To mi się podoba. Ojciec wyciągnął leniwie rękę i trzasnął go w twarz.

Uderzenie silnej, twardej, pokrytej odciskami dłoni zachwiało Mickym. Krzyknął, zaskoczony, urażony, i zerwał się na równe nogi. Poczul smak krwi w ustach. W lokalu zapadła cisza i wszyscy popatrzyli w ich stronę.

- Siadaj! - rozkazał ojciec.

Powoli, niechętnie Micky spełnił polecenie. Tata oburącz sięgnął nad stołem i chwycił go za kłapy surduta. Głosem pełnym wyrzutu oznajmił:

- I cały ten plan jest narażony na szwank dlatego tylko, że okazałeś się niewystarczająco sprytny, aby wykonać tak proste zadanie!

Micky zawsze straszliwie bał się ojca, gdy był w takim jak teraz nastroju.

- Tato - odezwał się - dostaniesz swoje karabiny!

- Za miesiąc w Cordovie nastanie wiosna. Musimy odebrać kopalnie Delabarcom jeszcze w tym roku, bo w przyszłym będzie już za późno. Wykupiłem bilet na statek płynący do Panamy. Przekupiłem kapitana, aby wyładował mnie razem z bronią na atlantyckim brzegu Santamarii. - Ojciec wstał i podniósł go z miejsca, potężnym chwytem rozrywając mu koszulę. - Statek odpływa za pięć dni - rzekł głosem, który przejął Micky'ego lękiem. - A teraz wynoś się i kup mi te karabiny!

Usłużny kamerdyner Augusty, Hastead, zdjął z Micky'ego mokry płaszcz i powiesił go w holu, w pobliżu płonącego w kominku ognia. Miranda nie podziękował mu. Nie lubili się nawzajem. Hastead był zazdrosny o każdego, kogo Augusta darzyła jakimiś względami, a Micky pogardzał nim za lizusostwo. Poza tym nigdy nie wiedział, w którą stronę właściwie kamerdyner patrzy, i to go denerwowało.

Przeszedł do salonu i zastał w nim samą Augustę. Chyba ucieszyła się na jego widok. Ujęła jego rękę w obie dłonie i stwierdziła:

- Jesteś taki zziębnięty.

- Przeszedłem przez park.

- Szalony chłopcze, powinieneś wziąć dorożkę.

Micky'ego nie stać było na dorożkę, ale Augusta o tym nie wiedziała. Przycisnęła jego dłoń do swej piersi i uśmiechnęła się. Był to rodzaj erotycznego zaproszenia, ale zachowywała się tak, jakby zupełnie niewinnie ogrzewała jego zmarznięte Palce.

Bardzo często robiła podobne rzeczy, kiedy byli sami, zazwyczaj Micky'emu sprawiało to przyjemność. Czasami trzymała go za rękę i dotykała jego uda, on zaś przesuwając palcami po jej dłoni lub ramieniu i spoglądał głęboko w oczy. Rozmawiali przy tym cicho, jak kochankowie, nie dając po sobie poznać, że flirtują. Ta gra bardzo podniecała obie strony Ale dziś Micky był zanadto zdenerwowany na taką zabawę.

- Jak się miewa stary Seth? - zapytał w nadziei, że usłyszy o nagłym pogorszeniu.

Wyczuła jego nastrój i bez protestu, choć z wyraźnym rozczarowaniem puściła jego dłoń.

- Chodźmy bliżej ognia - zaproponowała. Usiadła na sofie i poklepała miejsce obok siebie. - Seth czuje się o wiele lepiej.

W Micky'm zamarło serce.

- Może jeszcze być z nami przez wiele lat - oznajmiła, nie mogąc ukryć brzmiącej w głosie irytacji. Z niecierpliwością czekała na przejęcie władzy przez męża. - Wiesz, że mieszka obecnie tutaj. Możesz go odwiedzić po herbacie.

- Chyba wkrótce zrezygnuje, prawda? - dociekał Micky.

- Niestety, nic na to nie wskazuje. Właśnie dziś rano zabronił dokonania następnej edycji rosyjskich akcji kolejowych. - Pogłaskała go po kolanie. - Bądź cierpliwy. Twój ojciec w końcu dostanie swoje karabiny.

- Nie może już długo czekać - odparł zmartwionym tonem Micky. - Musi wyjechać w przyszłym tygodniu.

- A więc dlatego jesteś taki zdenerwowany - rzekła. - Biedny chłopiec. Chciałabym ci w jakiś sposób pomóc, ale w tej sytuacji nic nie mogę zrobić.

- Nie zna pani mojego ojca - oznajmił tonem rozpaczy. - Kiedy widzi panią, udaje, że jest cywilizowany, ale tak naprawdę to barbarzyńca. Bóg raczy wiedzieć, co ze mną zrobi, jeśli go zawiodę. W holu rozległy się głosy.

- Muszę cię o czymś poinformować, zanim przyjdą inni - oświadczyła szybko Augusta. - Wreszcie spotkałam się z panem Davidem Middletonem.

Micky skinął głową.

- Co powiedział?

- Był uprzejmy, ale szczery. Wyraził wątpliwość, czy rzeczywiście ujawniono całą prawdę o śmierci jego brata, i zapytał, czy mogłabym go skontaktować z Hughiem Pilasterem lub Antoniem Silva. Odparłam, że obaj są za granicą i traci tylko czas.

- Szkoda, że nie możemy rozwiązać problemu starego Setna w równie zgrabny sposób - westchnął Micky, gdy otworzyły się drzwi.

Wszedł Edward, a za nim jego siostra Clementine. Była niezmiernie podobna do matki, ale pozbawiona jej silnej osobowości i erotycznego powabu. Augusta zajęła się nalewaniem herbaty. Micky zaczął chaotycznie rozmawiać z Edwardem na temat planów na wieczór. We wrześniu nie było przyjęć ani balów. Arystokracja aż do Bożego Narodzenia trzymała się z dala od Londynu i tylko politycy wraz z żonami przebywali w mieście. Ale klasy średnie nie narzekały na brak rozrywek i Edward kupił właśnie bilety na przedstawienie. Micky udawał, że bardzo chętnie pójdzie do teatru, ale wciąż myślał o Tacie. Hastead przyniósł gorące bułki z masłem. Edward zjadł kilka, lecz Micky nie miał apetytu. Przybyli następni członkowie rodziny: brat Josepha, Młody William i jego brzydka siostra Madeleine wraz z mężem, majorem Hartshornem. Wszyscy mówili o nadciągającym kryzysie, ale Micky widział, że specjalnie się nim nie przejmują.

Stary Seth przewidział go i zrobił wszystko, by Bank Pilasterów nie był narażony na niebezpieczeństwo. Walory wysokiego stopnia ryzyka, takie jak obligacje egipskie, peruwiańskie i tureckie, straciły wartość, lecz angielskie obligacje rządowe i akcje kolejowe zanotowały jedynie niewielki spadek. Po kolei wszyscy szli na górę, aby odwiedzić Seta, i wracali, potwierdzając jego wspaniałe samopoczucie. Micky czekał do końca. Wreszcie udał się do niego o wpół do szóstej.

Seniora Pilasterów umieszczono w dawnym pokoju Hugh'a. Pielęgniarka siedziała przed otwartymi drzwiami na wypadek, gdyby jej potrzebował. Micky wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

Seth czytał w łóżku „The Economist”. Miranda rzekł:

- Dobry wieczór, panie Pilaster. Jak się pan czuje? Starzec niechętnie odłożył gazetę.

- Dobrze, dziękuję. Jak się ma pański ojciec?

- Z niecierpliwością czeka na powrót do domu. - Micky przyjrzał się wątłemu starcowi leżącemu na białym prześcieradle. Skóra jego twarzy była przezroczysta,

zakrzywiony, typowy dla Pilasterów nos sprawiał wrażenie bardziej ostrego niż kiedykolwiek, ale jego oczy błyszczały żywą inteligencją. Sprawiał wrażenie, że może żyć i prowadzić bank przez następne dziesięciolecie.

Micky niemal słyszał w uszach głos swojego ojca: „Kto stoi nam na drodze?”.

Stary człowiek był słaby i bezsilny, pielęgniarka siedziała na korytarzu i w pokoju znajdował się jedynie on. Uświadomił sobie nagle, że musi zabić Seta.

Głos ojca podpowiadał mu: „Zrób to teraz”.

Mógłby zadusić starca poduszką, nie zostawiając żadnych śladów. Wszyscy myśleliby, że śmierć nastąpiła z przyczyn naturalnych.

Micky poczuł obrzydzenie i zrobiło mu się niedobrze.

- Co się stało? - zapytał Seth. - Wygląda pan na bardziej chorego niż ja.

- Czy jest panu wygodnie? Może poprawie poduszki?

- Proszę nie robić sobie kłopotu, wszystko jest w porządku - odparł Seth, ale Micky już sięgnął za jego plecy i wyciągnął wielką puchową poduszkę. Spojrzał na starca i zawahał się.

W oczach Seta błysnął strach. Otworzył usta, aby krzyknąć. Zanim jednak zdołał wydać jakikolwiek dźwięk, Micky przykrył jego twarz poduszką.

Ręce Seta znajdowały się na kołdrze i jego dłonie z zaskakującą siłą zacisnęły się na przedramionach napastnika. Micky patrzył z przerażeniem, jak starcze palce wpijają się w materiał jego rękawów, ale mimo to przyciskał poduszkę z całej siły. Starzec rozpaczliwie szarpał jego ręce, lecz młody człowiek był o wiele silniejszy.

Kiedy ta próba obrony zawiodła, Seth zaczął wic się i kopać, ale nie mógł wyrwać się z żelaznego uścisku. Stare łóżko Hugh'a zatrzęszczało i Micky z przerażeniem pomyślał, że pielęgniarka może usłyszeć szamotaninę i wejść, aby sprawdzić co się dzieje. Jedynym sposobem unieruchomienia starca, jaki przyszedł mu do głowy, było położenie się na nim. Wciąż trzymając poduszkę przyciśniętą do jego twarzy, wczołgał się więc na łóżko i przygniótł sobą wijące się ciało! Przypominało to jakiś groteskowy akt seksualny z kobietą i Miranda z trudem powstrzymał wyrrywający mu się z ust histeryczny śmiech. Seth w dalszym ciągu walczył, ale ciężar ciała napastnika ograniczał jego ruchy i łóżko przestało trzeszczeć. Micky uparcie przyciskał poduszkę.

Wreszcie stary człowiek znieruchomiał. Aby się upewnić, że już po wszystkim, Micky pozostawał w niezmienionej pozycji tak długo, dopóki starczyło mu odwagi. Potem ostrożnie podniósł poduszkę i spojrzał na białą, nieruchomą twarz. Oczy były zamknięte i starzec sprawiał wrażenie martwego. Teraz trzeba było jeszcze sprawdzić, czy bije mu serce. Powoli, z obawą, przyłożył głowę do piersi Seta. Nagle oczy Pilastera otworzyły się szeroko i bankier głęboko, spazmatycznie nabrał powietrza w płuca.

Micky o mało nie krzyknął z przerażenia. Zaraz jednak opanował się i znowu przycisnął poduszkę do jego twarzy. Czuł, że dygoce ze zmęczenia i obrzydzenia, ale nie przestawał dusić starca. Dalszych prób obrony już jednak nie było. Wiedział, że powinien wytrwać tak przez kilka minut, aby upewnić się, że Seth tym razem rzeczywiście skonał. Ale obawiał się pielęgniarki, która mogła zwrócić uwagę na

panującą w pokoju ciszę. Musiał zacząć mówić, aby stworzyć pozory, że wszystko jest w porządku. Nic mu jednak nie przychodziło do głowy. Mów cokolwiek, przekonywał sam siebie, nieważne co, byle tylko słychać było szmer głosów.

- Czuję się zupełnie dobrze - wymamrotał rozpaczliwie. - Zupełnie dobrze, zupełnie dobrze. A jak pan się miewa? Dobrze, dobrze. Cieszę się, że czuje się pan lepiej. Wspaniale, Panie Pilaster. Bardzo się cieszę, że tak dobrze pan wygląda, tak wspaniale, o wiele lepiej, o dobry Boże, już nie mogę, bardzo dobrze, wspaniale, wspaniale...

Nie mógł już dłużej wytrzymać. Z grymasem obrzydzenia Położył dłoń na jego piersi, w miejscu, gdzie - jak sądził - Powinno znajdować się serce. Błądą skórę starca pokrywały rzadkie białe włosy. Okryte nocną koszulą ciało było ciepłe, ale nie wyczuwał uderzeń serca. Czy tym razem faktycznie nie żyjesz? - zastanowił się. I wydało mu się, że słyszy gniewny i zniecierpliwiony głos Taty:

„Tak, durniu, nie żyje i wynoś się teraz stąd!“. Nie podnosząc poduszki z twarzy Setha, stoczył się z ciała i wstał.

Poczuł ogarniające go mdłości. Był słaby i roztrzęsiony do tego stopnia, że aby zachować równowagę, musiał przytrzymać się łóżka. Zabiłem go, pomyślał. Zabiłem go.

Na podeście schodów rozległ się głos.

Micky spojrział na leżące na łóżku zwłoki. Poduszka wciąż spoczywała na twarzy Setha. Schwycił ją i zobaczył otwarte, nieruchome oczy starca.

Drzwi otworzyły się i weszła Augusta. Stała w drzwiach, patrząc na skotłowane łóżko, nieruchomą twarz i niewidzące oczy Setha oraz na poduszkę w ręku Micky'ego. Krew odpłynęła z jej policzków.

Miranda spoglądał na nią w bezradnym milczeniu i czekał, aż się odezwie.

Nie ruszała się z miejsca, przez długą chwilę wodząc wzrokiem od Setha do Micky'ego i z powrotem. Wreszcie wolno i cicho zamknęła drzwi.

Wzięła od Micky'ego poduszkę. Uniósłszy głowę starca, umieściła ją na miejscu, wygładziła kołdrę i prześcieradło. Podniosła z podłogi „The Economist”, położyła go na piersi zmarłego i przycisnęła jego dłońmi. Teraz senior rodu sprawiał wrażenie, jakby zasnął, czytając gazetę. A potem zamknęła mu oczy. Wreszcie podeszła do Micky'ego.

- Drżysz cały - powiedziała. Ujęła dłońmi jego głowę i pocałowała go w usta. Przez chwilę był zbyt oszołomiony, aby cokolwiek zrobić. I nagle w mgnieniu oka jego przerażenie przeszło w pożądanie. Objął Augustę i przytulił, czując na swoim torsie jej biust. Rozchyliła usta i ich języki się spotkały. Micky schwycił jej piersi i ścisnął mocno. Westchnęła. Niemal natychmiast poczuł erekcję. Augusta przywarła do niego podbrzuszem, ocierając się o jego sztywny członek. Oboje oddychali ciężko. Ujęła jego dłoń, włożyła ją do ust i przygryzła, aby powstrzymać wyrrywający się z gardła krzyk. Zaciśnęła mocno powieki i zadrżała. Uświadomił sobie, że przeżywa orgazm, i był tak podniecony, że sam również osiągnął zaspokojenie.

Wszystko to trwało zaledwie chwilę. Potem przez krótki czas stali przytuleni, dysząc ciężko, i Micky był zbyt oszołomiony, aby móc myśleć.

Wreszcie Augusta uspokoiła się i uwolniła z jego objęć.

- Idę do mojego pokoju - oznajmiła cicho. - Powinieneś natychmiast opuścić ten dom.
- Augusto!
- Zwracaj się do mnie „pani Pilaster”!
- Tak jest...
- Tu nic się nie stało - oświadczyła ostrym szeptem. - Rozumiesz? Nic tu nie zaszło!
- Tak jest - powtórzył.

Wyglądziła przód sukni i poprawiła włosy. Przyglądał się jej bezradnie, obezwładniony siłą jej woli. Odwróciła się i podeszła do drzwi. Odruchowo otworzył je przed nią i sam również wyszedł na korytarz. Pielęgniarka spojrzała na nich pytająco. Augusta przyłożyła palec do ust, nakazując ciszę.

- Właśnie zasnął - rzekła półgłosem. Micky był zaskoczony jej zimną krwią.
 - Sen dobrze mu robi - powiedziała pielęgniarka. - Nie będę go budziła przez najbliższą godzinę albo i dłużej.
- Augusta skinęła potakująco głową.
- Bardzo słusznie. Na pewno jest mu teraz zupełnie dobrze.

CZEŚĆ DRUGA

1879

Rozdział pierwszy - Styczeń

Hugh powrócił do Londynu po sześciu latach. W tym okresie Pilasterowie podwoili swój majątek i on miał w tym swój udział.

W Bostonie sprawdził się zadziwiająco dobrze; lepiej, niż mógłby o tym marzyć. Stany Zjednoczone odzyskiwały siły po wojnie secesyjnej i handel przez Atlantyk rozwijał się wspaniale, a Hugh dbał o to, aby Bank Pilasterów finansował poważną część tych interesów.

Udało mu się skłonić partnerów do zainwestowania w serię dochodowych edycji północnoamerykańskich akcji i obligacji. Po wojnie rząd i koła handlowo - przemysłowe potrzebowały gotówki i Bank Pilasterów dostarczył pieniędzy.

W końcu stał się ekspertem w sprawach chaotycznego rynku akcji kolejowych i potrafił określić, na których liniach można zbić fortunę, a które nie zdołają przekroczyć pierwszego pasma gór. Wuj Joseph, mając w pamięci nowojorski krach w tysiąc osiemset siedemdziesiątym trzecim roku, był bardzo ostrożny, ale Hugh również odziedziczył ów konserwatyzm Pilasterów i polecał jedynie akcje pewne, starannie unikając wszystkiego, Co sprawiało wrażenie efektownych działań spekulacyjnych. Ocena sytuacji okazała się trafna. Obecnie Pilasterowie byli niekwestionowanymi światowymi liderami w zdobywaniu kapitału na rozwój przemysłu w Stanach Zjednoczonych. Hugh otrzymywał tysiąc funtów rocznie, ale zdawał sobie sprawę, że jest wart o wiele więcej.

Gdy zszedł ze statku w Liverpool u, przywitał go kierownik miejscowego oddziału Banku Pilasterów, człowiek, z którym od wyjazdu do Bostonu przynajmniej raz w tygodniu wymieniał telegramy. Nigdy dotąd się nie spotkali i kiedy przedstawili się sobie, urzędnik wykrzyknął:

- Dobry Boże, nie sądziłem, że jest pan tak młody, łaskawy panie! - Jego słowa sprawiły wielką przyjemność Hughowi, który właśnie tego ranka znalazł pierwszy srebrny włos w swojej kruczoczarnej czuprynie. Miał dwadzieścia sześć lat. Pojechał pociągiem do Folkestone, nie zatrzymując się w Londynie. Partnerzy z Banku Pilasterów mogli uważać, że przed odwiedzeniem matki powinien zobaczyć się z nimi, on jednak był innego zdania. Poświęcił im sześć lat życia i chciał ofiarować matce przynajmniej jeden dzień.

Wydawała się jeszcze piękniejsza swą spokojną urodą niż dawniej, ale wciąż ubierała się na czarno. Jego obecnie dwunastoletnia siostra Dotty właściwie go nie

pamiętała i była nieco zawstydzona, dopóki nie posadził jej sobie na kolanach i nie przypomniał, jak nieporządnie złożyła niegdyś jego koszule. Prosił matkę, aby przeprowadziła się do większego domu, bo teraz mógł już bez trudu opłacać za nią czynsz, ale odmówiła, radząc mu, by oszczędzał pieniądze i gromadził kapitał. Zdołał tylko namówić ją, żeby zatrudniła dodatkowego służącego do pomocy starzejacej się gospodyni, pani Builth. Następnego dnia wsiadł do pociągu linii Londyn - Chatham - Dover. Przyjechał na stację Holborn Viaduct, nieopodal której wznoszono wielki nowy hotel. Budowali go ludzie, którzy spodziewali się, że Holborn stanie się ożywionym miejscem przesiadek Anglików, wybierających się do Nicei czy St. Petersburga. Hugh nie zainwestowałby w to przedsięwzięcie - przewidywał, że ze stacji będą korzystali przede wszystkim pracownicy z City mieszkający w rozwijających się przedmieściach południowego Londynu.

Był jasny zimowy ranek. Przeszedł piechotą do Banku Pilasterów. Zapomniał już londyńskiego powietrza - o wiele bardziej zadymionego niż w Bostonie czy Nowym Jorku. Zatrzymał się na chwilę przed bankiem i spojrzał na jego imponującą fasadę.

Poinformował partnerów, że chciałby przyjechać do domu na urlop, aby zobaczyć się z matką i siostrą. Ale tak naprawdę był jeszcze inny powód jego powrotu do Londynu. Miał zamiar złożyć im sensacyjną propozycję.

Przybył z ofertą połączenia północnoamerykańskich operacji Pilasterów z działaniami nowojorskiego banku Madler i Bell. W ten sposób powstałaby nowa spółka, która nazywałaby się Madler, Bell i Pilaster. Fuzja przyniosłaby bankowi mnóstwo pieniędzy i ukoronowała jego osiągnięcia w Stanach Zjednoczonych. Dzięki niej mógłby też pozostać w Londynie i awansować ze stanowiska zwiadowcy do pozycji człowieka podejmującego decyzje. Mogło to również oznaczać koniec wygnania.

Poprawił nerwowo krawat i wszedł do środka.

Sala kasowa, która przed wieloma laty wywarła na nim tak wielkie wrażenie swoją marmurową posadzką i dostojnymi gośćmi, teraz wydała mu się zaledwie pełna powagi. Gdy zaczął iść po schodach w górę, spotkał Jonasa Mulberry'ego, swojego dawnego przełożonego. Mulberry'ego zaskoczył i uradował jego widok.

- Pan Hugh! - zawołał, potrząsając z ożywieniem jego dłonią. - Czy wrócił pan na stałe?

- Mam nadzieję. Jak się miewa pani Mulberry?

- Dziękuję, doskonale.

- Proszę przekazać jej moje ukłony. A jak trójka maleństw?

- Obecnie już piątka. Dzięki Bogu, wszystkie w dobrym zdrowiu.

Hughowi przyszło do głowy, że kierownik biura może znać odpowiedź na nurtujące go pytanie.

- Panie Mulberry, czy pan już tu pracował, kiedy pana Josepha mianowano partnerem?

- Byłem nowym młodszym urzędnikiem. W czerwcu minie dwadzieścia pięć lat.

- A więc pan Joseph miał wówczas...

- Dwadzieścia dziewięć lat.

- Dziękuję panu.

Hugh stanął przed drzwiami Pokoju Partnerów, zastukał i wszedł do środka. Czterej partnerzy byli na miejscu. Wuj Joseph siedział za biurkiem Starszego Partnera - postarzały z większą łysiną, coraz bardziej podobny do Setha. Mąż ciotki Madeleine, major Hartshorn, którego nos przypominał czerwienią szramę na czole, czytał „Timesa” przy kominku. Wuj Samuel, jak zawsze elegancko ubrany, w ciemnoszarym dwurzędowym żakiecie i perłowoszarej kamizelce, marszcząc czoło, studiował kontrakt. Najmłodszy z partnerów, Młody William, który obecnie liczył sobie trzydzieści jeden lat, pisał coś przy biurku w notesie. Samuel pierwszy go powitał.

- Mój drogi chłopcze! - zawołał, wstając i podając mu rękę. - Wspaniale wyglądasz!

Hugh przywitał się ze wszystkimi i przyjął kieliszek sherry. Potem spojrzął na wiszące na ścianach portrety poprzednich Starszych Partnerów.

- Sześć lat temu w tym właśnie pokoju sprzedałem sir Johnowi Cammelowi rosyjskie obligacje państwowe za sto tysięcy funtów - przypomniał.

- Rzeczywiście - przytaknął Samuel.

- Pięć procent prowizji z tej sprzedaży, które otrzymują Pilasterowie, w dalszym ciągu wynosi więcej, niż otrzymałem przez całe osiem lat mojej pracy w banku - stwierdził z uśmiechem Hugh.

- Mam nadzieję, że nie prosisz o podwyżkę - odezwał się z irytacją Joseph. - I tak jesteś już najwyżej opłacanym pracownikiem w całym banku.

- Nie licząc partnerów - zauważył Hugh.

- Oczywiście - warknął Joseph.

Hugh zorientował się, że początek rozmowy nie wypadł najlepiej. Jak zawsze za bardzo się spieszył, skarcił siebie w myśli. Zwolnij tempo.

- Nie proszę o podwyżkę - oznajmił. - Chciałbym jednak przedstawić partnerom pewną propozycję.

- W takim razie lepiej usiądź i opowiedz nam o wszystkim - zaproponował Samuel. Hugh odstawił nietknięty kieliszek i zebrał myśli. Ogromnie zależało mu, aby zgodzili się na jego plan. Sukces byłby zarówno ukoronowaniem jego dotychczasowych działań, jak i powodem triumfu nad przeciwnościami. Jednym pociągnięciem może zwiększyć obroty banku bardziej niż większość partnerów zdołałaby to zrobić przez rok. A jeżeli wyrażą aprobatę, będą raczej zobowiązani uczynić go partnerem.

- Boston przestał już być finansowym centrum Stanów Zjednoczonych - zaczął. - Obecnie jest nim Nowy Jork i właśnie tam powinniśmy przenieść nasze biura. Jest jednak pewien kłopot. W ciągu ostatnich sześciu lat poważną część naszych operacji przeprowadziliśmy wspólnie z nowojorską spółką Madler i Bell. Właściwie Sidney Madler wziął mnie pod swoje skrzydła, kiedy byłem jeszcze zupełnie zielony. Gdybyśmy przenieśli się do Nowego Jorku, musielibyśmy z nimi konkurować.

- Nie ma nic złego w zdrowej konkurencji - oświadczył major Hartshorn. Rzadko zdarzało mu się wnieść do dyskusji coś istotnego, ale zwykle, zamiast siedzieć cicho, dogmatycznym tonem wygłaszał komunały.

- Być może. Przyszedł mi jednak do głowy lepszy pomysł. Mianowicie, żeby

połączyć nasze północnoamerykańskie przedsięwzięcia z Madlerem i Bellem.

- Połączyć? - zapytał Hartshorn. - Co to znaczy?

- Założyć spółkę kapitałową. Nazywałyby się Madler, Bell i Pilaster. Biura mogłyby się mieścić w Nowym Jorku i w Bostonie.

- Jak by działała?

- Przedsiębiorstwo przeprowadzałyby wszelkie operacje związane z finansowaniem przedsięwzięć importowo - eksportowych, a zyski byłyby dzielone. Pilasterowie mieliby szansę uczestniczyć we wszystkich nowych emisjach obligacji i akcji, którymi obraca Madler i Bell. Zajmowałbym się tymi sprawami z Londynu.

- Nie podoba mi się ten pomysł - stwierdził Joseph. - To by znaczyło, że przekazalibyśmy nasze interesy pod obcą kontrolę.

- Ale nie powiedziałem jeszcze o najważniejszym aspekcie planu - zaprotestował Hugh. - Wszystkie europejskie interesy Madlera i Bella, które obecnie są rozdzielone pomiędzy kilku agentów w Londynie, zostałyby przekazane Pilasterom.

- To przecież wynosi... - mruknął z zaskoczeniem Joseph.

- Ponad pięćdziesiąt tysięcy funtów prowizji rocznie.

- Dobry Boże! - zawołał Hartshorn.

Wszyscy byli zaskoczeni. Nigdy dotąd nie zakładali wspólnego przedsięwzięcia i nie spodziewali się tak zdumiewającej propozycji od kogoś, kto nawet nie był partnerem. Ale perspektywa pięćdziesięciu tysięcy funtów rocznie prowizji była nie do odrzucenia.

- Oczywiście rozmawiałeś z nimi na ten temat? - bardziej stwierdził, niż spytał Samuel.

- Tak. Obaj bardzo chętnie zaakceptują ten układ.

- A ty kierowałbyś tym wspólnym przedsiębiorstwem z Londynu? - odezwał się Młody William.

Hugh wiedział, że William uważa go za rywala, który byłby o wiele mniej niebezpieczny, gdyby znajdował się w odległości trzydziestu pięciu tysięcy kilometrów.

- Czemu nie? - odparł. - W końcu to Londyn dostarcza pieniędzy.

- A jaki byłby twój status?

Na to pytanie Hugh wolałby na razie nie odpowiadać. William zadał je świadomie, aby wprawić go w zakłopotanie. Teraz musiał postawić wszystko na jedną kartę.

- Sądzę, że panowie Madler i Bell oczekują, iż będą prowadzić interesy z partnerem.

- Jesteś zbyt młody, aby zostać partnerem - zareagował natychmiast Joseph.

- Mam dwadzieścia sześć lat, wuju - odrzekł Hugh. - Ty zostałeś partnerem w wieku dwudziestu dziewięciu.

- Trzy lata to bardzo dużo czasu.

- A pięćdziesiąt tysięcy funtów jest bardzo dużą sumą. - Hugh uświadomił sobie, że zachowuje się wyzywająco - co było jego wadą - i szybko się wycofał. Zdawał sobie sprawę, że jeśli postawi ich w sytuacji bez wyjścia, nie zgodzą się. Po prostu dla zasady.

- Oczywiście moje sugestie wymagają przemyślenia. Na pewno będziecie je chcieli bardziej szczegółowo omówić. Chyba powinienem zostawić was samych.

Samuel skinął dyskretnie głową i Hugh skierował się w stronę drzwi.

- Niezależnie od tego, jaką decyzję podejmiemy - oznajmił Samuel - należą ci się podziękowania za tę niezwykle ciekawą propozycję. Jestem pewien, że wszyscy się ze mną zgadzają.

Spojrzał pytająco na swoich partnerów, którzy skinęli potakująco głowami.

- Naturalnie, naturalnie - mruknął wuj Joseph.

Hugh nie wiedział, czy ma być rozczarowany, że nie zgodzili się na jego plan, czy też zadowolony, że nie odrzucili go kategorycznie. Miał nieprzyjemne uczucie zawodu, nie mógł jednak nic zrobić.

- Dziękuję - powiedział i wyszedł.

O czwartej po południu stał przed ogromnym, wykwintnym domem Augusty w Kensington Gore.

W ciągu sześciu lat londyńska sadza przyciemniła czerwień cegieł i zabrudziła biel kamienia, ale wciąż na stromym dachu widniały rzeźby ptaków i zwierząt, na samym zaś szczycie pysznił się statek pod pełnymi żaglami. A mówią, że to Amerykanie mają skłonności do ostentacji! - pomyślał Hugh.

Wiedział z listów matki, że Joseph i Augusta wydali część swojego wciąż rosnącego majątku na dwa nowe domy, zamek w Szkocji i dwór w Buckinghamshire.

Ciotka chciała sprzedać dom w Kensington i kupić pałacyk w Mayfair, ale wuj stanowczo zaprotestował - lubił to miejsce.

Gdy Hugh wyjeżdżał z Anglii, budynek był stosunkowo nowy, ale wiązało się z nim wiele wspomnień. Tu cierpiał prześladowania Augusty, zalecał się do Florence Stalworthy, rozbił nos Edwardowi i kochał się z Maisie Robinson. Wspomnienie Maisie było najbardziej żywe. W pamięci utkwiło mu jednak nie Poniżenie i hańba, lecz namiętność i podniecenie. Od tamtej nocy nie słyszał jej ani nie widział, a mimo to nie mógł zapomnieć.

Rodzina musiała pamiętać cały skandal w wersji podanej Przez ciotkę: zdeprawowany syn Tobiasa Pilastera sprowadził do domu dziwkę, a kiedy go przyłapano, podstępnie zaatakował biednego, nieskazitelnego Edwarda. Niech więc tak zostanie Niech sobie myślą, co chcą, ale muszą uznać go jako Pilastera i bankiera, a wkrótce - jeśli dopisze mu szczęście - będą musieli mianować go partnerem.

Zastanawiał się, jak bardzo jego rodzina zmieniła się w ciągu tych sześciu lat. Matka w comiesięcznych listach informowała go systematycznie o tym, co się dzieje. Wiedział więc, że kuzynka Clementine zaręczyła się, Edward - mimo wysiłków Augusty pozostał kawalerem, a młody William i Beatrice mieli dziewczynkę. Matka jednak nie donosiła mu o jakichkolwiek zakulisowych sprawach.

Czy Samuel wciąż mieszkał ze swoim „sekretarzem”? Czy Augusta w dalszym ciągu była tak bezwzględna, czy też może złagodniała z wiekiem? Czy Edward się ustatkował? Czy Micky Miranda ożenił się wreszcie z jedną z dziewczyn, które tuzinami zakochiwały się w nim każdego sezonu?

Nadeszła pora, aby stanąć przed całą rodziną. Przeszedł przez ulicę i zastukał do drzwi.

Otworzył mu Hastead, lizusowaty kamerdyner Augusty. Właściwie się nie zmienił i jego oczy wciąż patrzyły w różne strony.

- Dzień dobry, paniczku Hughu - powiedział. Lodowaty ton jego głosu świadczył, że Hugh nadal pozostaje w tym domu w niełasce. Powitanie Hasteada zawsze stanowiło odbicie uczuć, jakie w danej chwili żywiła do gościa Augusta.

Przeszedł przez wejściowy korytarz do holu. Oczekiwał go tam komitet powitalny w osobach trzech wiedzów rodziny Pilasterów: Augusty, jej szwagierki Madeleine i córki Clementine.

Augusta mimo swoich czterdziestu siedmiu lat wyglądała zdumiewająco dobrze; na jej twarzy o klasycznych rysach i ciemnych brwiach ciągle gościł wyraz dumy, a jeżeli nawet nieco przytyła, przy jej wzroście nie rzucało się to w oczy.

Clementine stanowiła szczuplejszą wersję matki, nie roztaczała jednak wokół siebie atmosfery niezłomnej władczości i nie można jej było uznać za piękność.

Natomiast ciotka Madeleine była nieodrodną córą rodu Pilasterów - od końca wielkiego nosa po kosztowne koronkowe obrębienie jej sukni koloru morskiego lodu.

Hugh zacisnął zęby i ucałował wszystkie trzy.

- No cóż, Hughu - oświadczyła Augusta. - Mam nadzieję, że doświadczenia na obczyźnie spowodowały, iż jesteś obecnie mądrzejszym młodym człowiekiem niż dawniej.

Nie pozwoliła nikomu zapomnieć, że wyjechał w niełasce.

- Sądzę, że wszyscy mądrzejemy z wiekiem, droga ciciu. - odparł i z satysfakcją spostrzegł, że jej twarz zaczerwieniła się z gniewu.

- Zaiste! - rzuciła zimno.

- Hughu - wtrąciła się Clementine - pozwól, że ci przedstawię mojego narzeczonego, sir Harry'ego Tonksa.

Podali sobie ręce. Harry był zbyt młody, aby uzyskać tytuł szlachecki, więc „sir” oznaczało, że jest baronetem, kimś w rodzaju pośledniejszego arystokraty. Hugh nie zazdrościł mu małżeństwa z Clementine. Nie była tak zła jak jej matka, ale zawsze tkwiła w niej jakaś złośliwość.

- Jak przebiegł pański rejs? - zainteresował się Harry.

- Błyskawicznie - rzekł Hugh. - Płynąłem jednym z tych nowych śrubowych parowców.

Trwał zaledwie siedem dni.

- Na Jowisza! Wspaniałe, doprawdy wspaniałe.

- Z jakiej części Anglii pan pochodzi, sir Harry? - zapytał Hugh.

- Mam majątek w Dorsetshire. Większość moich dzierżawców hoduje chmiel. Ziemianin, pomyślał Hugh. Jeżeli ma choć trochę zdrowego rozsądku, powinien sprzedać swoje farmy i ulokować pieniądze w Banku Pilasterów. W gruncie rzeczy Harry sprawiał wrażenie niezbyt błyskotliwego i raczej skłonnego do posłuszeństwa. Wydawał się młodszą wersją męża Madeleine, George'a. Kobiety Pilasterów lubiły wychodzić za mężczyzn, którzy im się nie sprzeciwiali. Kiedy się starzeli, stawali się

zrzedliwi ' rozgoryczeni, ale rzadko się buntowali.

- Chodźmy do salonu - powiedziała Augusta. - Wszyscy czekają, aby cię zobaczyć. Wszedł za nią i zatrzymał się w progu. Znajomy rozległy Pokój z wielkimi kominkami w każdym rogu i drzwiami balkonowymi prowadzącymi do długiego ogrodu był całkowicie zmieniony. Japońskie umeblowanie i obicia zniknęły. Pokój Rządzono na nowo w stylu, w którym dominowały wyraziste wzory o intensywnej kolorystyce. Hugh przyjrzał się uważniej i zobaczył, że są to wyłącznie kwiaty - wielkie żółte stokrotki na dywanie, czerwone róże wspinające się po tapetach, maki na zasłonach i różowe chryzantemy na jedwabiu, którym udrapowano nogi krzesel, lustra, niektóre stoły i fortepian.

- Zmieniłaś ten pokój, ciociu - zauważył zupełnie niepotrzebnie.

- Wszystko pochodzi z nowego sklepu Williama Morrisa na Oxford Street - poinformowała Clementine. - Taka jest najnowsza moda.

- Trzeba będzie jednak dobrać inny dywan - dodała Augusta. - Ma nieodpowiedni kolor.

Nigdy nie była z niczego zadowolona, przypomniał sobie Hugh.

W salonie zgromadziła się przeważająca część rodziny Pilasterów.

Wszystkich oczywiście interesowała jego osoba. Wyjechał w niełasce i być może sądzili, że nigdy już go nie zobaczą. Nie docenili go jednak i oto zjawia się ponownie jako zwycięski bohater. Trzeba go więc obejrzeć.

Pierwszą osobą, z którą się przywitał, był kuzyn Edward. Wyglądał starzej niż na swoje dwadzieścia dziewięć lat, już nabrał tuszy, a jego rumiana twarz nadawała mu wygląd żarłoka.

- A więc wróciłeś - stwierdził. Próbował się uśmiechnąć, ale zamiast tego usta wykrzywiły mu się tylko w niechętnym grymasie. Hugh nie mógł mieć o to do niego pretensji. Zawsze porównywano ich ze sobą i teraz jego sukces zwracał tylko uwagę na oczywisty brak jakichkolwiek osiągnięć Edwarda.

Obok Edwarda stał Micky Miranda. Wciąż przystojny i nienagannie ubrany, wydawał się jeszcze bardziej ugrzeczniejszy i pewny siebie.

- Witaj, Miranda - rzekł Hugh. - W dalszym ciągu pracujesz dla ambasadora Cordovy?

- Ja jestem ambasadorem Cordovy - odparł Micky. Właściwie wiadomość ta nie zaskoczyła Hugh'a.

Z przyjemnością zobaczył swoją dawną przyjaciółkę, Rachel Bodwin. Nigdy nie była ładną dziewczyną, ale teraz stała się przystojną kobietą. Jej ostre rysy i blisko osadzone oczy, które uważał za pospolite sześć lat temu, teraz nadawały jej dziwnie zagadkowy wyraz.

- Witaj, Rachel - powiedział. - Jak się miewasz? Co obecnie porabiasz?

- Walczę o zreformowanie prawa własności kobiet - odrzekła. A potem skrzywiła się i dodała: - Oczywiście, ku utrapieniu moich rodziców, którzy woleliby, abym walczyła o męża.

Przypomniał sobie, że zawsze była niepokojąco szczera. Sam uważał ją za ciekawą

osobę, ale mógł sobie wyobrazić, że onieśmiela wielu dostępnych kawalerów. Mężczyźni woleli, aby kobiety były trochę nieśmiałe i niezbyt mądre. Rozmawiając z nią, zastanawiał się, czy Augusta wciąż chce ich skojarzyć. Nie miało to zresztą większego znaczenia, bo jedynym mężczyzną, jakim Rachel się kiedykolwiek interesowała, był Micky Miranda. Nawet teraz starała się go włączyć do ich rozmowy. Hugh nigdy nie potrafił zrozumieć, dlaczego dziewczęta uważają Micky'ego za tak atrakcyjnego. Zwłaszcza intrygowało go zachowanie Rachel, ponieważ była wystarczająco inteligentna, aby zdać sobie sprawę, że Miranda jest łajdakiem, a jednak wydawała się zafascynowana nim właśnie z tego powodu. Podszedł do Młodego Williama i jego żony. Beatrice powitała go serdecznie. Doszedł do wniosku, że Augusta nie miała na nią aż tak dużego wpływu jak na pozostałe kobiety Pilasterów. Hastead przerwał powitania, podając mu kopertę.

- Właśnie przyniósł to posłaniec - oznajmił.

W kopercie znajdowała się kartka napisana, jak przypuszczał Hugh, ręką sekretarza:

123 Piccadilly

Londyn, W.

Wtorek

Pani Solomonowa Greenbourne prosi o łaskawe przybycie na obiad dziś wieczorem.

Poniżej znajdował się nagryzmołony znajomym charakterem Spisek:

Witaj w domu! - Solly.

Ucieszył się z tego zaproszenia. Solly zawsze był sympatyczny i przyjacielski.

Dlaczego Pilasterowie nie potrafią być tacy swobodni? - pomyślał. Czy ta ich sztywność to cecha metodystów? Ale może w żydowskiej rodzinie Greenbourne'ów też istniały napięcia, o których nie wiedział.

- Posłaniec czeka na odpowiedź, panie Hughu - przypomniał mu Hastead.

- Pozdrowienia dla pani Greenbourne i z przyjemnością przyjmuję zaproszenie. Kamerdyner skłonił się i wyszedł. Beatrice zapytała:

- Mój Boże, będziesz jadł obiad z Solomonem Greenbourne'em? Ależ to cudowne!

- Nie widzę w tym nic nadzwyczajnego - odparł ze zdziwieniem Hugh. - Chodziłem z Sollym do szkoły i zawsze go lubiłem, a zaproszenie do zjedzenia z nim obiadu nigdy nie było jakimś wyjątkowym zaszczytem.

- Ale jest nim teraz - wyjaśniła Beatrice.

- Solly ożenił się z niezwykle energiczną kobietą - dodał William. - Pani Greenbourne uwielbia urządzać przyjęcia, które uchodzą za najlepsze w Londynie.

- Oboje należą do Grupy Marlborough - oznajmiła z szacunkiem Beatrice. - Są przyjaciółmi księcia Walii.

Narzeczony Clementine, Harry, usłyszawszy tę wymianę zdań, stwierdził z

pogardą:

- Nie wiem, dokąd zmierza angielskie towarzystwo, skoro następca tronu przedkłada Żydów nad chrześcijan.

- Doprawdy? - odparł Hugh. - Muszę przyznać, że nigdy nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego ludzie nie lubią Żydów.

- Osobiście ich nie cierpię - oświadczył Harry.

- Skoro się wżeniasz w bankierską rodzinę, musisz się liczyć z tym, że w przyszłości będziesz się z nimi bardzo często stykał.

Harry zrobił lekko urażoną minę.

- Augusta jest niechętna Grupie Marlborough, Żydom i innym. Najwidoczniej ich obyczaje nie są takie, jakie powinny być - zauważył William.

- I założę się, że nie zapraszają ciotki Augusty na swoje przyjęcia - dodał Hugh.

Beatrice zachichotała, a William stwierdził:

- Z całą pewnością nie!

- No cóż - oznajmił Hugh. - Nie mogę się doczekać spotkania z panią Greenbourne. Piccadilly była ulicą pałaców. O ósmej chłodnego styczniowego wieczoru jej szeroką jezdnię zajmowały liczne powozy i dorożki, a na oświetlonych latarniami gazowymi chodnikach tłoczyli się mężczyźni ubrani podobnie jak Hugh w białe muszki i fraki oraz kobiety w aksamitnych płaszczach z futrzanymi kołnierkami. Nie brakowało też wymalowanych prostytutek obu płci.

Hugh szedł zagłębiony w myślach. Augusta była nadal wrogo do niego nastawiona.

Miał nadzieję, że nieco złagodniała, ale jednak się nie zmieniła. A ponieważ to ona przewodziła klanowi, jego szansę na życzliwość rodziny wciąż były niewielkie.

Natomiast sytuacja w banku przedstawiała się lepiej. Interesy zmuszały ludzi do bardziej obiektywnych ocen. Augusta na pewno spróbuje uniemożliwić jego awans, ale na terenie banku mógł się przynajmniej bronić. Wiedziała, jak manipulować ludźmi, lecz w sprawach bankowości była zupełną ignorantką.

Ostatecznie dzień nie był taki zły i z przyjemnością oczekiwał wieczoru wśród przyjaciół.

Kiedy Hugh wyjeżdżał do Ameryki, Solly Greenbourne mieszkał ze swoim ojcem Benem w wielkim domu, którego okna wychodziły na Green Park. Teraz miał już swój własny, niewiele mniejszy dom. Hugh przeszedł przez imponujące drzwi do rozległego, wyłożonego białym marmurem holu i zatrzymał się, aby spojrzeć na ekstrawaganckie czerwono - pomarańczowe schody. Pani Greenbourne miała chyba coś wspólnego z Augustą Pilaster - żadna z nich nie wierzyła w skromność. W holu znajdowali się kamerdyner i dwaj lokaje. Kamerdyner Przyjął od niego kapelusz po to tylko, aby przekazać go lokajowi, po czym drugi lokaj poprowadził go po schodach. Na Podeście Hugh zerknął przez otwarte drzwi i zobaczył pustą, Wypolerowaną podłogę sali balowej z długim szeregiem zamkniętych okien. Wreszcie wprowadzono go do salonu.

Hugh nie był ekspertem od wystroju wnętrza, natychmiast jednak rozpoznał przesadny, wystawny styl Ludwika XVI. Sufit pokrywały gipsowe sztukaterie, na

ścianach widniały kosmate tapety, a cieniutkie złożone nóżki stolików i krzesel wyglądały tak, jakby miały się załamać pod ciężarem siadających. Wszystko utrzymane było w żółtych, pomarańczowo - czerwonych, złotych i zielonych kolorach.

Hugh doskonale mógł sobie wyobrazić, że niektórzy - ukrywając zazdrość pod udawanym obrzydzeniem - twierdzą, iż jest to wulgarne. W rzeczywistości jednak całość sprawiała niezwykle zmysłowe wrażenie. Był to pokój, w którym niewiarygodnie bogaci ludzie robili wszystko, na co mieli ochotę. Kilku gości już przybyło. Stali, pijąc szampana i paląc papierosy. Było to coś nowego dla Hugh'a, który nigdy dotąd nie widział, aby palono w salonie. Solly spostrzegł go, odszedł od grupy roześmianych ludzi i skierował się w jego stronę.

- Pilaster, jak się cieszę, że przyszedłeś! Co u ciebie słychać, na litość boską?

Hugh zauważył, że Solly stał się nieco bardziej wylewny. Wciąż był tęgi i nosił okulary, a na jego białej kamizelce widniała już jakaś plama. Sprawiał jednak wrażenie jeszcze bardziej wesołego niż przedtem i - co natychmiast uderzyło Hugh'a - bardziej szczęśliwego.

- Doskonale, Greenbourne - odparł.

- Wiem! Obserwowałem twoją karierę. Chciałbym, żeby nasz bank miał w Ameryce kogoś takiego jak ty. Zapewne Pilasterowie płacą ci ogromne pieniądze - zasługujesz na nie.

- A ty, jak widzę, zacząłeś prowadzić życie towarzyskie.

- To nie moja zasługa, lecz mojej żony. - Odwrócił się i postukał w nagie białe ramię niskiej kobiety w seledynowej sukni. Stała do nich tyłem, ale w wyglądzie jej pleców było coś dziwnie znajomego. Solly odezwał się do niej:

- Kochanie, czy pamiętasz mego starego przyjaciela, Hugh'a Pilastera?

Jeszcze kończyła rozmowę z gośćmi i Hugh pomyślał. - Dlaczego na jej widok brak mi oddechu? Potem odwróciła się bardzo powoli, zupełnie jakby otwierała drzwi prowadzące w przeszłość, i wtedy jego serce zamarło.

- Oczywiście, że go pamiętam - odparła. - Jak się pan miewa, panie Pilaster? Hugh stał oniemiały i patrzył na kobietę, która została panią Solomonową Greenbourne.

To była Maisie.

Augusta siedziała przy toaletce, zakładając pojedynczy sznur pereł, w którym zawsze występowała na proszonych obiadach. Była to jej najdroższa biżuteria. Metodyści nie pochwalali drogich ozdób i świętoszkowaty Joseph korzystał z tej wymówki, aby nie kupować jej kosztowności. Z przyjemnością zakazałby jej również tak częstych zmian wystroju domu, ale w tym wypadku nie pytała go o zdanie. Gdyby zastosowała się do jego widzimisie, mieszkaliby nie lepiej niż jego urzędnicy. Zrządził przy każdej przeróbce, ale żądał jedynie, aby zostawiła w spokoju jego sypialnię.

Z otwartej szkatułki wyjęła pierścioneł, podarowany jej przez Stranga trzydzieści lat temu. Miał kształt złotego węża z brylantową głową i oczyma z rubinów. Włożyła go na palec i jak zwykle przycisnęła do warg, wspominając przeszłość.

- Odeślij pierścioneł i spróbuj o nim zapomnieć - poleciła jej wtedy matka. Siedemnastoletnia Augusta odpowiedziała:

- Już go odesłałam i zapomnę o wszystkim. - Skłamała jednak. Trzymała pierścionek ukryty w grzbiecie Biblii i na zawsze zachowała w pamięci Stranga. Przysięgła sobie, że skoro nie może mieć jego miłości, osiągnie wszystko inne, co mógłby jej dać.

Już dawno pogodziła się z myślą, że nigdy nie zostanie hrabiną Strang. Ale postanowiła otrzymać tytuł. Joseph go nie miał, czyli musi go dla niego zdobyć.

Zastanawiała się nad tym problemem przez wiele lat, badając mechanizmy nobilitacji. Spędziła niejedną bezsenną noc na planowaniu i marzeniach, a teraz nadszedł odpowiedni moment, aby zrealizować swoje zamiary.

Zdecydowała się rozpocząć kampanię dziś wieczorem, w czasie obiadu. Wśród zaproszonych gości znajdowali się trzej ludzie, którzy powinni odegrać główną rolę w uzyskaniu przez Josepha tytułu hrabiowskiego.

Mógłby przyjąć tytuł hrabiego Whitehaven, pomyślała. Whitehaven było portem, w którym cztery pokolenia temu rodzina Pilasterów zaczęła swoje interesy.

Prapradziadek Josepha, Amos Pilaster, zdobył majątek, podejmując hazardową decyzję, która przeszła do legendy. Zainwestował mianowicie wszystkie swoje pieniądze w statek do przewozu niewolników. Potem jednak zajął się mniej zyskownymi interesami, kupując serżę oraz drukowany perkal i eksportując je do obu Ameryk. Ich londyński dom nazywano już Whitehaven House - na pamiątkę miejsca założenia rodzinnej firmy. Tak więc jeżeli plan się powiedzie, Augusta zostanie hrabiną Whitehaven.

Wyobraziła sobie, jak wraz z Josephem wchodzi do wielkiego salonu, a kamerdyner anonsuje: „Hrabia i hrabina Whitehaven” i uśmiechnęła się na tę myśl. Ujrzała męża, który wygłasza swą dziewiczą mowę w Izbie Lordów na temat związany z finansami, a inni parowie słuchają go z pełną szacunku uwagą. Usłyszała kupców zwracających się do niej głośno „lady Whitehaven” i ludzi odwracających głowy, żeby zobaczyć, o kim mowa.

Pragnęła zaszczytów również dla Edwarda. Któregoś dnia odziedziczy tytuł ojca, a tymczasem będzie mógł na kartach wizytowych pisać Hon. Edward Pilaster.

Wiedziała dokładnie, co powinna zrobić, a mimo to czuła pewien niepokój.

Zdobywanie tytułu nie przypominało kupowania dywanu - nie można było pójść do sklepu i powiedzieć: „Chcę właśnie ten, ile kosztuje?”. Wszystko należało załatwić delikatnie, oględnie, napomknieniami i aluzjami. Dziś wieczorem będzie musiała poruszać się wyjątkowo zręcznie. Jeżeli wykona niewłaściwy ruch, jej starannie opracowany plan może bardzo łatwo spalić na panewce. A jeśli źle oceniła tych ludzi, jest zgubiona.

Pokojówka zadzwoniła oznajmiając:

- Przybył pan Hobbes, proszę pani.

Wkrótce będzie mówiła do mnie „pani hrabino”, pomyślała Augusta.

Odłożyła pierścionek Stranga, wstała z za toaletki i przeszła do sypialni Josepha.

Był już ubrany do obiadu. Siedział przy serwantce, w której trzymał swoją kolekcję ozdobnych tabakerek, oglądając jedną z nich przy świetle gazowym.

Augusta zastanawiała się, czy powinna wspomnieć mu teraz o Hughu.

W dalszym ciągu sprawiał kłopoty. Sześć lat temu myślała, że załatwiła tę sprawę raz na zawsze, ale pojawił się znowu, grożąc zepchnięciem Edwarda w cień. Mówiło się nawet, że ma szansę zostać partnerem. Augusta nie mogła dłużej tego tolerować. Postanowiła, że Edward zostanie kiedyś Starszym Partnerem, i nie pozwoli, aby kuzyn go wyprzedził.

Czy aby na pewno powinna tak bardzo się tym przejmować? Być może nie zaszkodziłoby, gdyby to Hugh poprowadził interesy. Edward mógłby się zająć czymś innym, na przykład polityką. Ale bank był sercem rodziny. Ludzie, którzy z niego odchodzili - tak jak Tobias, ojciec Hugh'a - nie zdołali niczego osiągnąć. W banku tworzono majątek i sprawowano z niego władzę. Pilasterowie mogli obalić monarchę, odmawiając mu pożyczki - niewielu polityków dysponowało takimi możliwościami. Nie do pomyślenia więc, aby to Hugh został Starszym Partnerem, przyjmował ambasadorów, pił kawę z ministrem skarbu, a także zajmował czołowe miejsce na zebraniach klanu, patrząc z góry na Augustę i jej część rodziny. Tym razem jednak pozbycie się kuzyna nie przyjdzie jej łatwo. Był starszy, mądrzejszy i miał ustaloną pozycję w banku. Ten paskudny chłopak pracował ciężko i cierpliwie przez sześć lat, aby odzyskać dobrą opinię. Czy ona zdoła to odwrócić?

Doszła do wniosku, że nie jest to odpowiedni moment, żeby zacząć rozmowę z Josephem na temat Hugh'a. Zależało jej na tym, aby w czasie obiadu był w dobrym nastroju.

- Jeżeli chcesz, możesz jeszcze chwilę zostać na górze - powiedziała do męża. - Na razie przybył tylko Arnold Hobbes.

- Bardzo chętnie, jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

Ucieszyła się, że będzie mogła porozmawiać z Hobbesem w cztery oczy.

Hobbes był wydawcą politycznego czasopisma „The Forum”, które w zasadzie reprezentowało linię polityczną konserwatystów, popierało arystokrację oraz kościół państwowy i występowało przeciwko liberałom - partii ludzi interesu oraz metodystów. Pilasterowie byli zarówno ludźmi interesu jak i metodystami, ale władzę sprawowali obecnie konserwatyści.

Dotychczas Augusta spotkała Hobbesa zaledwie raz czy dwa razy i przypuszczała, że jej zaproszenie mogło go zaskoczyć. Była jednak przekonana, że je przyjmie. W końcu chyba niezbyt często proszono go do tak bogatych domów jak jej. Pozycja Hobbesa była dość dziwna. Będąc człowiekiem wpływowym, jako że jego czasopismo cieszyło się poczytnością i szacunkiem, był zarazem biedny, bo nie przynosiło zbyt dużego dochodu. To dość niewygodne dla niego połączenie doskonale odpowiadało planom Augusty. Mógł jej pomóc i zamierzała go kupić. Obawiała się tylko, aby nie okazał się człowiekiem niezłomnych zasad, ponieważ taka wada całkowicie przekreśliłaby jego przydatność. Ale jeżeli dobrze go oceniła, nie powinien pogardzić dodatkowymi pieniędzmi.

Czuła się zdenerwowana. Przez chwilę stała pod drzwiami salonu i powtarzała sobie w myślach: „Uspokój się, doskonale dasz sobie z tym radę”. Wkrótce niepokój minął i weszła do salonu.

Hobbes wstał szybko, aby ją przywitać. Był nerwowym, błyskotliwym człowiekiem

o ptasich, gwałtownych ruchach, ubranym według oceny Augusty w garnitur uszyty przynajmniej przed dziesięciu laty. Podprowadziła go do miejsca przy oknie, aby w ten sposób nadać ich rozmowie intymny charakter, chociaż wcale nie byli dawnymi przyjaciółmi.

- Proszę mi powiedzieć, jakie grzechy ma pan dziś na sumieniu? - zapytała wesoło.

- Zbeształ pan pana Gladstone'a? Podważał zasady naszej polityki w Indiach? Prześladował katolików?

Spojrzał na nią przez zabrudzone okulary.

- Pisałem o City of Glasgow Bank - odparł. Augusta zmarszczyła czoło.

- O tym banku, który niedawno ogłosił upadłość?

- Tak jest. Wie pani, to zrujnowało wiele szkockich związków zawodowych.

- Wydaje mi się, że przypominam sobie rozmowy na ten temat - stwierdziła Augusta.

- Mój mąż powtarzał, że City of Glasgow od wielu lat uważano za niepewny. . - Nie rozumiem tego - rzekł z podnieceniem. - Ludzie wiedzą, że bank jest niepewny, a mimo to pozwala mu się działać aż do momentu bankructwa, narażając tysiące ludzi na Utratę oszczędności całego życia!

Augusta nie miała pojęcia o prowadzeniu interesów i też nic nie rozumiała. Dostrzegła jednak szansę poprowadzenia rozmowy w odpowiadającym jej kierunku.

- Być może świat polityki i świat interesów są zanadto od siebie oddalone - zauważyła.

- Tak, chyba na tym musi polegać problem. Bliższe kontakty między biznesmenami i mężami stanu zapewne zapobiegłyby takim katastrofom.

- Zastanawiam się... - odezwała się Augusta z wahaniem w głosie, zupełnie jakby ten pomysł przyszedł jej dopiero co do głowy. - Zastanawiam się, czy ktoś taki jak pan mógłby rozważyć możliwość zostania dyrektorem jednej czy dwóch spółek.

- Oczywiście, mógłbym - odparł zaskoczony.

- Bo widzi pan... Bezpośrednie doświadczenie w zarządzaniu przedsiębiorstwem przydałoby się panu do komentowania w pańskim czasopiśmie spraw związanych z interesami.

- Niewątpliwie ma pani rację.

- Dochody nie są wielkie - sto albo dwieście funtów rocznie. - Zobaczyła, że oczy dziennikarza rozbłysły. Dla niego było to mnóstwo pieniędzy. - Ale obowiązki są mało kłopotliwe.

- Niezwykle interesująca myśl - oznajmił.

Nie uszło jej uwagi, jak bardzo stara się ukryć podniecenie.

- Jeżeli pana to interesuje, mąż mógłby bez trudu wszystko zorganizować. Stale musi rekomendować dyrektorów rządów przedsiębiorstw, w których ma jakieś udziały. Proszę przemyśleć sprawę i powiedzieć mi, czy chciałby pan, abym mu o tym Upomniała.

- Oczywiście.

Jak na razie wszystko w porządku, pomyślała Augusta. Ale pokazanie przynęty było najłatwiejszą sprawą. Teraz przyszła pora na haczyk.

- I świat interesów powinien uzyskać jakieś zadośćuczynienie - dodała. - Wydaje mi się, że dobrze byłoby, gdyby więcej biznesmenów służyło ojczyźnie w Izbie Lordów.

Lekko przymrużył oczy i domyśliła się, że zaczynał rozumieć, jakiego rodzaju interesu zaproponowała.

- Bez wątpienia - odparł neutralnym tonem. Augusta przystąpiła do rozwijania tematu.

- Obie izby parlamentu mogłyby mieć pożytek z wiedzy i mądrości najwybitniejszych ludzi interesu, zwłaszcza w czasie debat dotyczących finansów kraju. Ale istnieje zadziwiające uprzedzenie, jeżeli chodzi o podniesienie biznesmena do godności para.

- Owszem i uważam je za całkowicie irracjonalne - przyznał Hobbes. - Nasi kupcy, przemysłowcy i bankierzy są o wiele bardziej odpowiedzialni za dobrobyt społeczeństwa niż posiadacze ziemscy i kler. A jednak właśnie ci ostatni bywają nobilitowani za swoją służbę dla kraju, gdy tymczasem ludzie stanowiący twórczą siłę narodu są pomijani.

- Powinien pan napisać artykuł na ten temat. Pańskie czasopismo zawsze w przeszłości walczyło o unowocześnienie naszych przestarzałych instytucji. - Uśmiechnęła się do niego ciepło. Wyłożyła karty. Oczywiście wiedział, że walka ta będzie ceną, jaką przyjdzie mu zapłacić za proponowane dyrektorstwo spółki. Czy wyprostuje się sztywno, zrobi urażoną minę i poprosi o wyjaśnienia? A może wyjdzie obrażony? Albo uśmiechnie się i elegancko odrzuci ofertę? W takiej sytuacji będzie musiała zacząć wszystko od nowa z kimś innym.

Zapadła długa cisza, a potem Hobbes oznajmił:

- Zapewne ma pani rację. Augusta odetchnęła.

- Chyba rzeczywiście powinniśmy zająć się problemem ściślejszej współpracy między ludźmi interesu a rządem - stwierdził.

- Tytuły parów dla biznesmenów - przypomniała.

- I stanowiska dyrektorów zarządów dla dziennikarzy - dodał.

Augusta wyczuła, że posunęli się w szczeroci tak daleko, jak było to możliwe, i na tym należało skończyć. Raczej nie poczuł, że go przekupuje, bo mógłby się poczuć upokorzony i odmówić. Była zadowolona z tego, co udało jej się osiągnąć. Zamierzała zmienić temat rozmowy, ale przybycie następnych gości zaoszczędziło jej kłopotu.

Wszyscy pozostali wkroczyli w jednej grupie, a jednocześnie pojawił się Joseph. Chwilę później wszedł Hasted i oznajmił:

- Podano do stołu, jaśnie panie. - Augusta marzyła, aby usłyszeć z jego ust: „panie hrabio”.

Przeszli z salonu przez hol do jadalni. Ta dość krótka droga martwiła Augustę. W arystokratycznych domach bardzo często był to długi, elegancki spacer, który stanowił kulminacyjny punkt rytuału proszonego obiadu. Pilasterowie tradycyjnie i niechęcią odnosili się do naśladowania obyczajów wyższych sfer, ale ona myślała zupełnie

inaczej. Ich dom wydawał jej się beznadziejnie prowincjonalny, lecz nie udało jej się namówić Josepha do zamieszkania gdzie indziej. Dzisiaj postarała się, aby Edward towarzyszył przy obiedzie Emily Mapie, skromnej, ładnej dziewiętnastolatce, która przybyła wraz z matką i ojcem, kaznodzieją metodystów. Ludzie ci, najwyraźniej oszołomieni domem i zgromadzonymi gośćmi, niezbyt dobrze tu pasowali, ale Augusta rozpaczliwie szukała odpowiedniej partii dla syna. Skończył już dwadzieścia dziewięć lat i ku jej zmartwieniu nie przejawiał najmniejszego zainteresowania żadną liczącą się panną. Nie mógł jednak nie zwrócić uwagi na Emily - miała wielkie błękitne oczy i słodki uśmiech. Jej rodzice byliby zachwyceni tym małżeństwem, a dziewczyna na pewno podporządkowałaby się ich woli. Być może Edwarda również należało zmusić. Kłopot polegał bowiem na tym, że w ogóle nie przejawiał ochoty do żeniaczki. Dobrze się bawił ze swoimi przyjaciółmi, bywał w klubie i założenie rodziny bynajmniej go nie nęciło. Przez jakiś czas uważała, że jest to zwykły etap życia młodego człowieka, ale trwał on już zbyt długo i ostatnio zaczęła się niepokoić, czy w ogóle Edward zechce się rozstać z kawalerskim stanem. Możliwe, że będzie musiała wywrzeć na niego pewien nacisk.

Po swojej lewej stronie Augusta posadziła Michaela Fortescue'a, przystojnego młodego człowieka o politycznych aspiracjach, podobno blisko związanego z nobilitowanym i nazywanym teraz lordem Beaconsfield premierem Benjaminem Disraelim. Był on drugą z trzech osób, których pomoc chciała sobie zapewnić w staraniach o tytuł dla Josepha. Nie był tak sprytny jak Hobbes, ale bardziej wyrafinowany i pewny siebie. Hobbesa mogła przekupić, ale jego będzie musiała oczarować. Diakon Mapie odmówił modlitwę i Hastead rozlał wino, którego Joseph oraz Augusta wprawdzie nie pili, ale trzymali je dla gości. Gdy podano rosół, Augusta uśmiechnęła się ciepło do Fortescue'a i zapytała cichym, serdecznym głosem:

- Kiedy zobaczymy pana w parlamencie?
- Chciałbym to wiedzieć - odparł.
- Wszyscy mówią o panu jako o wyjątkowo błyskotliwym młodym człowieku.

Jej słowa sprawiły mu przyjemność, ale zawarte w nich pochlebstwo wyraźnie go zakłopotowało.

- Nie jestem tego pewien.
- I jest pan również przystojny, a to nigdy nie przeszkadza.

Spojrzał na nią dość zaskoczony. Nie spodziewał się, że będzie z nim flirtowała, ale nie miał nic przeciwko temu.

- Nie powinien pan czekać na wybory powszechne - ciągnęła. - Dlaczego nie weźmie pan udziału w wyborach dodatkowych? To nie jest chyba trudne do przeprowadzenia - krążą pogłoski, że cieszy się pan poparciem premiera.

- Jest pani bardzo uprzejma, lecz wybory dodatkowe są kosztowne, pani Pilaster. Na taką odpowiedź właśnie liczyła, lecz nie dała tego po sobie poznać.

- Rzeczywiście? - zdziwiła się.
- A ja nie należę do ludzi zamożnych.
- Nie wiedziałam o tym - skłamała. - W takim razie radziłabym znaleźć osobę, która

by pana sfinansowała.

- Może bankiera? - rzekł na wpół żartobliwie, na wpół ze smutkiem.

- Niewykluczone. Pan Pilaster pragnąłby wziąć aktywniejszy udział w rządzeniu narodem. - I mógłby, gdyby zaproponowano mu tytuł para, dodała w myślach. - Nie bardzo rozumiem, dlaczego człowiek interesów ma się konieczne wiązać z liberałami. Między nami mówiąc, jest skłonny raczej podzielać poglądy młodszych konserwatystów.

Tak jak się spodziewała, jej pełen zaufania ton poskutkował. Tym razem zapytał wprost:

- W jaki sposób pan Pilaster chciałby służyć narodowi? Oprócz finansowania kandydata w wyborach.

A więc bezpośrednio wyzwanie. Czy powinna odpowiedzieć równie szczerze, czy w dalszym ciągu posługiwać się aluzjami? Uznała, że należy postawić na otwartość.

- Może w Izbie Lordów? Czy uważa pan, że są jakieś szanse? - Rozmowa sprawiała przyjemność zarówno jej, jak i jemu.

- Szanse? Oczywiście. Ale czy są takie możliwości, to już zupełnie inna sprawa. Czy mam się rozeznąć w sytuacji?

Pytanie było bardziej obcesowe, niż Augusta się spodziewała.

- Czy mógłby pan zrobić to dyskretnie? Zawahał się.

- Sądzę, że tak.

- Będzie to niezwykle miło z pańskiej strony - oznajmiła z satysfakcją. Uczyniła z niego współspiskowca.

- Poinformuję panią o wszystkim, czego się dowiem.

- A jeżeli zostaną ogłoszone odpowiednie wybory uzupełniające...

- Jest pani bardzo dobra.

Dotknęła jego ramienia. Jest nadzwyczaj atrakcyjnym młodym człowiekiem, pomyślała. Spiskowanie z nim to prawdziwa przyjemność.

- Wydaje mi się, że doskonale się rozumiemy - wyszeptała. Zauważyła, że Fortescue ma niezwykle duże dłonie. Przytrzymała jeszcze przez chwilę jego ramię, spoglądając mu w oczy. Potem odwróciła się. Czuła się znakomicie. Załatwiła sprawę z dwoma najważniejszymi ludźmi i nie popełniła żadnego błędu. Przy następnym daniu rozmawiała z siedzącym po jej prawej ręce lordem Morte'em. Tym razem była to jedynie uprzejma konwersacja o niczym - naprawdę chodziło jej o zapewnienie sobie przychylności jego żony, ale z tym musiała poczekać, aż skończy się obiad.

Mężczyźni zostali w jadalni, aby wypalić papierosa lub cygaro, a Augusta zabrała panię do swojej sypialni. Tam przez kilka minut mogła zająć się na osobności lady Morte. Harriet Morte - o piętnaście lat starsza od niej dama dworu królowej Wiktorii - miała siwe włosy i wyniosły sposób bycia. Podobnie jak Arnold Hobbes i Michael Fortescue dysponowała poważnymi wpływami. Augusta liczyła na to, że tak jak obaj mężczyźni okaże się przekupna. Tamci jednak chwycili przynętę, ponieważ nie byli bogaci. Natomiast lord i lady Morte byli nie tyle biedni, ile rozrzutni. Mieli pieniądze, ale wydawali ich więcej, niż mogli sobie pozwolić. Lady Harriet nosiła wspaniałe

suknie i olśniewającą biżuterię, a jej mąż - wbrew czterdziestoletniemu przykremu doświadczeniu - uważał, że doskonale zna się na koniach wyścigowych.

Augusta czuła się w jej towarzystwie trochę onieśmielona. Kobiety zawsze były trudniejsze. Nie przyjmowały niczego z góry za dobrą monetę i dobrze wiedziały, kiedy próbowano nimi manipulować. A trzydzieści lat spędzone na dworze na pewno wyostrzyły wrażliwość lady Morte do takiego stopnia, że nic nie mogło ująć jej uwagi.

Augusta zaczęła od stwierdzenia:

- Pan Pilaster i ja jesteśmy wielkimi wielbicielami naszej kochanej królowej. Lady Morte skinęła głową, jakby chciała powiedzieć: „Oczywiście”. Ale wcale nie było to takie oczywiste. Większość społeczeństwa nie lubiła królowej Wiktorii, ponieważ była zamknięta w sobie, zbyt stateczna, mało elastyczna i oderwana od spraw swoich poddanych.

- Gdybyśmy mogli w jakiś sposób dopomóc pani w jej szlachetnych obowiązkach, byłibyśmy głęboko uradowani - kontynuowała Augusta.

- Jakże to uprzejme z pani strony. - Lady Morte zdawała się nieco zaintrygowana.

Zawahała się, potem jednak zdecydowała się zapytać: - Ale cóż właściwie mogliby państwo zrobić w tej sprawie?

- A co robią bankierzy? Pożyczają. - Augusta ściszyła głos. - Wyobrażam sobie, że życie dworskie musi być straszliwie kosztowne.

Lady Morte zeszytniała lekko. W jej sferze rozmowa o pieniądzach była przecież tabu. Augusta brnęła jednak dalej.

- Gdyby państwo zdecydowali się otworzyć rachunek u Pilasterów, nigdy już nie mieliby żadnych problemów...

Lady Morte czuła się urażona, z drugiej jednak strony proponowano jej niezwykle przywilej dysponowania nieograniczonym kredytem w jednym z największych banków na świecie. Instynkt nakazywał jej natychmiast przywołać rozmówczynię do porządku, ale chciwość powstrzymała ją przed nierozważnym krokiem. Augusta widziała tę walkę uczuć malującą się na twarzy damy dworu. Nie dała jej czasu na zastanowienie.

- Proszę mi wybaczyć tę nadmierną szczerość - ciągnęła - lecz wynika to jedynie z pragnienia, aby służyć państwu pomocą. - Lady Morte oczywiście w nic takiego nie uwierzyła. Uznała, że Augustcie najwyraźniej zależy na zaskarbieniu sobie przychylności rodziny królewskiej. Nie potrafiła znaleźć żadnego innego motywu tej propozycji, jej rozmówczyni zaś nie zamierzała udzielić tego wieczoru jakichkolwiek dodatkowych informacji.

Lady Morte wahała się jeszcze przez chwilę, a potem oznajmiła:

- Jest pani bardzo uprzejma.

Augustcie udało się pokonać trzecią przeszkodę. Jeżeli trafnie oceniła tę kobietę, po pół roku będzie ona zadłużona po uszy w Banku Pilasterów. A wtedy dowie się, czego chciała od niej Augusta.

Lady Morte z nieco zakłopotaną miną weszła do łazienki, którą właśnie opuściła pani Mapie, matka Emily. Augusta była pewna, że wracając do domu, Morte'owie dojdą do wniosku, iż ludzie ze sfer handlowo - bankowych są niewiarygodnie wprost

wulgarni i źle wychowani, ale wkrótce on straci tysiąc funtów postawionych na koma, a tego samego dnia jej krawiec zażąda zapłacenia zaległego od miesiący rachunku na trzysta funtów i wtedy oboje przypomną sobie Jej ofertę. Wówczas też uznają, że bankierzy bywają całkiem użyteczni.

Damy spotkały się ponownie przy kawie w salonie na parterze. Lady Morte wciąż zachowywała dystans, lecz nie była nieuprzejma. Mężczyźni przyłączyli się do nich kilka minut później. Joseph zaprosił pana Mapie na górę, aby pokazać mu swoją kolekcję tabakierek. Augusta była zadowolona, mąż bowiem proponował to jedynie komuś, kogo polubił. Emily grała na fortepianie. Pani Mapie prosiła ją, aby zaśpiewała, ale dziewczyna odparła, że jest przeziębiona, i z zadziwiającym uporem przeciwstawiała się prośbom matki. Augusta pomyślała z niepokojem, że może wcale nie jest taka pokorna, na jaką wygląda.

Wykonała wszystkie zaplanowane na ten wieczór zadania. Teraz pragnęła jedynie, żeby wszyscy poszli już sobie do domu, aby mogła przemyśleć całe spotkanie i ustalić, ile zdołała osiągnąć. Zmusiła się jednak do prowadzenia uprzejmej rozmowy jeszcze przez godzinę. Hobbes jest na haczyku, pomyślała; z Fortescue'em - jedynym, który jej się spodobał - dobiła targu i mogła liczyć na dotrzymanie umowy; lady Morte zaś ukazała śliską drogę, która zaprowadzi ją do pełnego uzależnienia. Wkroczenie na nią pozostawało jedynie kwestią czasu. Augusta czuła ulgę i zadowolenie.

Kiedy wreszcie goście wyszli, Edward zamierzał udać się do klubu, ale matka go zatrzymała.

- Usiądź na chwilę i posłuchaj - powiedziała. - Chcę porozmawiać z tobą i twoim ojcem. - Joseph, który wybierał się już do łóżka, usiadł znowu. - Kiedy zrobisz Edwarda partnerem w banku? - zwróciła się do męża.

Joseph natychmiast okazał niezadowolenie.

- Kiedy będzie starszy.

- Słyszałam jednak, że Hugh nim zostanie, a jest trzy lata młodszy od Edwarda. - Augusta nie miała pojęcia, w jaki sposób zarabia się pieniądze, zawsze jednak doskonale orientowała się we wszelkich bankowych awansach lub degradacjach członków rodziny. Mężczyźni zazwyczaj nie rozmawiali przy damach o interesach, ale ona dowiadywała się o wszystkim w czasie swoich proszonych herbatek.

- Starszeństwo jest tylko jednym z czynników kwalifikujących kogoś na stanowisko partnera - odparł z irytacją w głosie Joseph. - Innym jest umiejętność prowadzenia interesów, którą Hugh opanował w stopniu, jakiego nie widziałem dotąd u tak młodego człowieka. Innymi kryteriami mogą być duża inwestycja kapitałowa w banku, wysoka pozycja społeczna albo wpływy polityczne. Obawiam się, że jak dotąd Edward niczym takim nie dysponuje.

- Ale jest twoim synem!

- A bank jest interesem, nie zaś przyjęciem towarzyskim! - wybuchnął rozgniewany Joseph. Nie cierpiał, gdy rzucała mu wyzwanie. - Stanowisko nie jest jedynie sprawą pozycji społecznej czy starszeństwa. Najważniejsza jest umiejętność robienia pieniędzy - dodał.

Augusta przeżyła chwilę zwątpienia. Czy powinna tak bardzo domagać się awansu

dla Edwarda, skoro nie przejawia on zdolności w tym kierunku? Ale to przecież nonsens, jej syn jest zupełnie w porządku. Może nie potrafi dodawać kolumn cyfr tak szybko jak Hugh, lecz w końcu pochodzenie da o sobie znać.

- Edward mógłby dokonać poważnej inwestycji w banku, gdybyś tego zechciał. Wystarczyłoby wydzielić mu odpowiednią sumę.

Joseph zrobił upartą minę. Augusta znała ją dobrze - pojawiała się na jego twarzy zawsze, kiedy zabraniał jej przeniesienia do innego domu albo dokonywania zmian w jego sypialni.

- Nie zrobię tego, dopóki chłopak się nie ożeni! - oznajmił i wyszedł z pokoju.

- Rozzłościłaś go - stwierdził Edward.

- Tylko dla twojego dobra, Teddy, kochanie. - Ale pogorszyłaś sytuację!

- Wcale nie - westchnęła Augusta. - Czasami twoja wspaniałomyślność nie pozwala ci dostrzec tego, co dzieje się naprawdę. Twój tata być może sądzi, że zajął niewzruszone stanowisko, ale jeżeli się nad tym zastanowisz, uświadomisz sobie, że obiecał przydzielić ci dużą sumę i uczynić partnerem, gdy tylko się ożenisz.

- Dobry Boże, chyba tak - odparł zdziwiony Edward. - Nie spojrziałem na to od tej strony.

- Na tym polega twój problem, kochanie. Nie jesteś tak chytry jak Hugh.

- Poszczyściło mu się w Ameryce.

- Tak. Chciałbyś się ożenić, prawda? Usiadł przy niej i wziął ją za rękę.

- A po co miałbym się żerne, skoro ty o mnie dbasz?

- Ale kto będzie się tobą opiekował, kiedy mnie zabraknie? Czy podoba ci się ta mała Emily Mapie? Sądzę, że jest czarująca.

- Powiedziała mi, że polowanie na lisy jest okrutne - oznajmił z pogardą Edward.

- Twój ojciec przyzna ci przynajmniej sto tysięcy funtów, a może więcej, może nawet ćwierć miliona.

Na Edwardzie nie wywarło to wrażenia.

- Mam wszystko, czego pragnę, i lubię mieszkać u ciebie - rzekł.

- A ja lubię, kiedy jesteś blisko mnie. Jednakże chciałabym również zobaczyć cię jako szczęśliwego męża, u boku miłej żony, z własnym majątkiem i stanowiskiem partnera w banku. Obiecuj, że o tym pomyślisz.

- Pomyśle o tym. - Pocałował ją w policzek. - A teraz naprawdę muszę już iść, mam. Umówiłem się na spotkanie z pewnymi ludźmi już pół godziny temu.

- No to idź.

Wstał i ruszył do drzwi.

- Dobranoc, mamó.

- Dobranoc - odparła. - Myśl o Emily!

Dwór Kingsbridge był jednym z największych w Anglii. Maisie mieszkała w nim już kilka razy i wciąż nie widziała nawet jego połowy. Znajdowało się w nim dwadzieścia głównych sypialni, nie licząc pokoiów dla mniej więcej pięćdziesięciu osób służby. Był ogrzewany węglem, oświetlany świecami i miał tylko jedną łazienkę, ale brak

współczesnych wygód wynagradzał staroświecki luksus - łoża z ciężkimi jedwabnymi baldachimami i zasłonami, cudowne stare wina z rozległych piwnic, konie, strzelby, książki i niekończące się zabawy. Młody książę Kingsbridge posiadał kiedyś ponad sto tysięcy akrów najlepszej ziemi w Wiltshire, ale za radą Solly'ego sprzedał połowę i za otrzymane pieniądze kupił dużą część South Kensington. W konsekwencji Kinga - jak go nazywano - właściwie nie dotknęło załamanie rolnictwa, które zubożyło pokazałą liczbę wielkich rodów, i wciąż mógł przyjmować swoich przyjaciół we wspaniałym stylu. Przez pierwszy tydzień przebywał wraz z nimi książę Walii. Solly, Kingo i książę zdradzali upodobanie do nieco rozhukanych zabaw i Maisie pomagała w ich organizowaniu. To ona zamieniła bitą śmietankę na mydlaną pianę w deserze Kinga, odpięła drzemiacemu w bibliotece Solly'emu szelki, wskutek czego gdy wstał, spadły mu spodnie, to ona wreszcie skleiała stronice „Timesa” tak, że nie dało się ich rozdzielić. Przypadkowo właśnie książę pierwszy wziął gazetę do ręki i kiedy zaczął szamotać się z kartkami, zapanowała pewna konsternacja, ponieważ nikt nie był pewien, jak na to zareaguje. Następca tronu uwielbiał wprawdzie robić kawały, ale sam nigdy nie stawał się ich ofiarą. Kiedy jednak, zorientowawszy się w sytuacji, zaczął chichotać, wszyscy ryknęli głośnym śmiechem - nie tylko z uciechy, ale i z uczuciem ulgi. Książę wyjechał i przybył Hugh Pilaster. I wtedy zaczęły się kłopoty. Zaproszenie Hugh'a było pomysłem Solly'ego, który go lubił. Maisie nie mogła wymyślić żadnego przekonującego powodu, aby tego nie robił, podobnie jak nie potrafiła zaprotestować przeciw zaproszeniu go na obiad w Londynie. Tego wieczoru Hugh dość szybko się opanował i okazał bardzo dobrym partnerem przy stole. Być może jego maniery nie były doskonałe, ponieważ sześć lat pracy w bostońskich składach nie stwarzało takich możliwości jak przebywanie w londyńskich salonach, ale jego naturalny wdzięk wyrównywał wszelkie braki. Przez dwa dni, które spędził dotychczas w Kingsbridge, bawił ich opowieściami o Ameryce, kraju, w którym żadne z nich nie było.

Na ironię zakrawało, że uznała jego maniery za nie dość wytworne. Sześć lat temu sytuacja wyglądała dokładnie na odwrót. Ale Maisie uczyła się szybko. Bez kłopotu przyswoiła sobie sposób mówienia wyższych klas, choć gramatyka zajęła jej nieco więcej czasu. Najtrudniej było zorientować się we wszystkich drobnych subtelnościach zachowania, szczegółach świadczących o społecznej wyższości, takich jak sposób przechodzenia przez drzwi, odzywania się do ulubionego pieska, zmiany tematu rozmowy, niezwracania uwagi na pijanego. Uczyła się jednak wytrwale i obecnie wszystko, co robiła, wydawało się całkowicie naturalne. Hugh otrząsnął się z szoku, jakim było ich spotkanie, ale Maisie jeszcze się to nie udało. Wiedziała, że nigdy nie zdoła zapomnieć wyrazu jego twarzy. W przeciwieństwie do niej Hugh nie był przygotowany na to, że się zobaczą. To dlatego jego uczucia ujawniły się tak wyraźnie i Maisie z konsternacją dostrzegła ból malujący się w jego oczach. Sześć lat temu zraniła go głęboko i wciąż o tym pamiętał.

Od tamtego czasu Maisie bez przerwy prześladował obraz Hugh'a i wiadomość o jego przyjeździe wytrąciła ją z równowagi. Nie chciała go widzieć. Nie chciała powrotu przeszłości. Była żoną Solly'ego, który był dobrym mężem, i nieznośna wydawała jej się myśl, że jego też mogłaby zranić. A poza tym był Bertie, największy skarb jej życia.

Ich synek miał na imię Hubert, ale nazywali go Bertie, tak jak księcia Walii. Bertie

Greenbourne skończy pięć lat pierwszego maja, ale utrzymywali to w tajemnicy - jego urodziny obchodzono we wrześniu, aby ukryć fakt, że urodził się zaledwie sześć miesięcy po ich ślubie. Prawdę znała jedynie rodzina Solly'ego - Bertie urodził się w Szwajcarii, w czasie podróży dookoła świata, która była zarazem ich podróżą poślubną. Od tej pory Maisie czuła się szczęśliwa. Rodzice Solly'ego nie przyjęli jej dobrze. Byli wyniosłymi, snobistycznymi niemieckimi Żydami, którzy od wielu pokoleń mieszkali w Anglii i z pogardą patrzyli na mówiących w jidysz rosyjskich Żydów. Fakt, że spodziewała się dziecka innego mężczyzny, tylko potwierdził ich uprzedzenia i dał powód do jej odtrącenia. Jednakże siostra Solly'ego, Kate, która była mniej więcej w wieku Maisie i miała siedmioletnią córeczkę, w czasie nieobecności rodziców zawsze okazywała szwagierce sympatię.

Solly kochał Maisie i Bertiego, chociaż nie wiedział, czyim był dzieckiem. To w zupełności jej wystarczało. Dopóki nie wrócił Hugh...

Jak zwykle wstała wcześniej i przeszła do dziecięcego skrzydła wielkiego domu. Bertie jadł śniadanie w dziecięcej jadalni razem z dziećmi Kinga - Annę i Alfredem. Pilnowały ich trzy niańki. Pocałowała go w lepką buzię i zapytała:

- Co jesz?

- Owsiankę z miodem - odpowiedział z rozwlekłą wymową wyższych sfer, której nauka przychodziła Maisie z takim trudem i o której od czasu do czasu zapomniała.

- Smakuje ci?

- Miód mi smakuje.

- Chyba trochę spróbuję - oświadczyła Maisie, siadając przy stole. Było to bardziej strawne niż wędzone śledzie na zimno i duszone nerki, które dostawali na śniadanie dorośli.

Bertie nie był podobny do Hugh'a. Jako niemowlę przypominał Solly'ego, ponieważ wszystkie niemowlaki przypominały Solly'ego, a teraz dzięki ciemnym włosom i piwnym oczom upodobił się do ojca Maisie. Od czasu do czasu dostrzegła w nim wprawdzie pewne cechy Hugh'a, zwłaszcza kiedy uśmiechał się figlarnie, ale na szczęście nie było rzucającego się w oczy podobieństwa. Niania przyniosła talerz owsianki z miodem i Maisie zaczęła jeść.

- Smakuje ci, mamó? - odezwał się Bertie.

- Nie mów z pełną buzią - upomniała go Annę Kingsbridge, która korzystając z dostojeństwa swoich siedmiu lat, królowała nad nim i swoim pięcioletnim braciszkiem Freddyem.

- Jest wspaniała - odparła Maisie. Inna niania zapytała:

- Czy dzieci chciałyby grzanki z masłem? Przytaknęły chórem.

Maisie początkowo uważała za niewłaściwe, aby dzieci Wyrastały w otoczeniu służby, i obawiała się, że Bertie będzie Zanadto chroniony. Przekonała się jednak, że bogate dzieci bawią się w kurzu, wspinają po murach i staczają bójki tak samo jak dzieci biedaków, a cała różnica polega na tym, że ludzie, którzy potem je myją i czyszczą, otrzymują za to pieniądze.

Bardzo chciałyby mieć więcej dzieci, tym razem Solly'ego ale w czasie porodu zaszły

w jej organizmie jakieś niekorzystne zmiany i szwajcarscy lekarze orzekli, że nigdy już nie zajdzie w ciążę. Nie mylili się, bo od pięciu lat sypiała z Sollym i ani razu nie ominął jej okres. Bertie pozostanie jej jedynym dzieckiem.

Ogromnie było jej żal męża, że nie doczeka się własnego dziecka, chociaż wciąż powtarzał, że jest bardziej szczęśliwy, niż na to zasługuje. Żona Kinga, księżna - dla przyjaciół Liz - przyłączyła się do dziecięcego śniadania wkrótce po przyjściu Maisie. Kiedy myły ręce i buzie swoich dzieci, Liz powiedziała:

- Wiesz, moja matka nigdy by tego nie zrobiła. Widywała nas tylko wtedy, gdy byliśmy wyszorowani do czysta i odświętnie ubrani. To takie nienaturalne. - Maisie uśmiechnęła się. Księżna uważała się za niezwykle życiową i demokratyczną osobę, ponieważ sama myła dzieciom twarze.

Pozostały z maluchami do dziesiątej, do momentu przyjścia guwernantki. Pod jej kierunkiem dzieci zajęły się rysowaniem i malowaniem, a Maisie i Liz wróciły do swoich pokoi. Dzień zapowiadał się spokojnie, nie planowano bowiem polowania.

Niektórzy mężczyźni wybrali się na ryby, inni wędrowali po lasach z psem albo dwoma, strzelając do królików. Damy i ci panowie, którzy lubili panie bardziej niż psy, spacerowali przed lunchem po parku.

Solly zjadł już śniadanie i szykował się do wyjścia. Przywdział brązowy tweedowy garnitur z krótką marynarką. Maisie pocałowała go i pomogła mu się obuć. Gdyby się nie zjawiła, musiałby wezwać lokaja, ponieważ nie był w stanie schylić się, aby zawiązać sznurowadła. Włożyła futro i kapelusz, Solly zaś ciężki płaszcz w szkocką kratę z pelerynką oraz melonik. Zeszli do holu, aby spotkać się z resztą towarzystwa.

Był jasny mroźny poranek, cudowny, kiedy miało się futro i koszmary, jeżeli ktoś mieszkał w pełnej przeciągów ruderze i chodził na bosaka. Maisie lubiła wspominać ubóstwo, w jakim spędziła dzieciństwo - wzmagало to przyjemność wynikającą z poślubienia jednego z najbogatszych ludzi na świecie.

Szła z Kingiem u jednego boku i Sollym u drugiego. Za nimi podążali Hugh i Liz.

Chociaż Maisie nie mogła go widzieć, wciąż czuła jego obecność, słyszała, jak gawędzi z Liz, rozśmieszając ją bez przerwy, i wyobrażała sobie błyski rzucane przez jego niebieskie oczy. Po przejściu niespełna kilometra zbliżyli się do bramy głównej. Kiedy zawrócili, aby przejść przez ogród, Maisie dostrzegła znajomą, wysoką i czarnobrodą postać nadchodzącą od strony wioski. Odniosła wrażenie, że to jej ojciec, ale po chwili poznała brata, Danny'ego.

Danny wrócił do miasta, w którym kiedyś mieszkali. Dowiedział się, że rodzice wyprowadzili się, nie pozostawiając żadnego adresu. Rozczarowany udał się dalej na północ, do Glasgow, i założył tam Robotnicze Stowarzyszenie Opieki Społecznej, które nie tylko ubezpieczało pracowników na wypadek utraty pracy, ale również walczyło o ustalenie przepisów bezpieczeństwa pracy w fabrykach, prawo wstępowania do związków zawodowych i opracowanie zasad finansowej działalności spółek. Jego nazwisko zaczęło pojawiać się w prasie, ale jako Dana, nie Danny'ego Robinsona, ponieważ był obecnie zbyt znaną postacią, aby posługiwać się zdrobnieniem. Tata przeczytał o nim, przybył do jego biura i nastąpiło radosne spotkanie.

Okazało się, że wkrótce po ucieczce Maisie i Danny'ego rodzice spotkali innych

Żydów. Pożyczili pieniądze, aby przenieść się do Manchesteru, w którym ojciec znalazł inną pracę i nigdy już nie borykali się z takimi kłopotami jak dawniej.

Matka wyleczyła się całkowicie i teraz cieszyła się zupełnie dobrym zdrowiem.

Maisie wyszła za mąż, kiedy rodzina już się połączyła. Solly z radością podarowałby teściowi dom i wyznaczył pensję do końca życia, ale pan Robinson nie chciał próżnować. Poprosił zięcia, aby pożyczył mu pieniądze na otwarcie sklepu i obecne rodzice sprzedawali kawior oraz inne delikatesy zamożnym mieszkańcom Manchesteru. Gdy Maisie pojechała do nich w odwiedziny, zdjęła brylanty, włożyła fartuch i stanęła za ladą, absolutnie pewna, że nikt z Grupy Marlborough nie zawita do Manchesteru. A nawet gdyby tak się stało, z pewnością nie będą osobiście robić zakupów.

Wizyta Danny'ego w Kingsbridge przestraszyła Maisie. Z zapartym tchem podbiegła do niego, wołając:

- Danny! Co się stało? Czy coś z mamą?

- Tata i mama czują się doskonale, podobnie jak cała reszta - odparł z amerykańską wymową.

- Dzięki Bogu. Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

- Napisałaś do mnie.

- Ach tak.

Danny, ze swoją kędzierzawą brodą i błyszczącymi oczyma, sprawiał wrażenie tureckiego wojownika, ale ubrany był jak urzędnik w znoszony czarny garnitur i melonik. Wszystko wskazywało, że szedł z daleka, ponieważ buty miał zabłocone i wyglądał na zmęczonego. Kingo spojrział na niego pytająco, ale Solly z właściwym sobie wdziękiem stanął na wysokości zadania. Uścisnął Danny'emu dłoń i powiedział:

- Jak się masz, Robinson? To mój przyjaciel, książę Kingsbridge. Kingo, pozwól, że przedstawię ci mojego szwagra, Dana Robinsona, sekretarza generalnego Robotniczego Stowarzyszenia Opieki Społecznej.

Wiele osób byłoby oszołomionych faktem, że przedstawia się ich księciu, ale nie Danny.

- Jak się pan miewa, wasza wysokość? - zapytał grzecznie.

Kingo podał mu ostrożnie rękę. Maisie domyśliła się, że zdaniem księcia niższym warstwom społecznym należy okazywać uprzejmość, ale nie można z tym przesadzać. Solly dodał:

- A to nasz przyjaciel, Hugh Pilaster.

Maisie poczuła ogromne napięcie. Niepokojąc się o rodziców, zapomniała, że Hugh idzie tuż za nią. Danny znał tajemnice związane z Pilasterem, których Maisie nigdy nie wyznała mężowi. Wiedział, że Hugh jest ojcem Bertiego, i kiedyś chciał mu skrócić za to kark. Nigdy się nie spotkali, ale Danny niczego nie zapominał.

Jak się teraz zachowa?

Upłynęło jednak sześć lat i czas zrobił swoje. Danny spojrział na Pilastera lodowato, lecz podał mu rękę.

Hugh, zupełnie nieświadom faktu, że jest ojcem, i nie wyczuwając napięcia, odezwał się do niego przyjaźnie:

- Czy to pan jest tym bratem, który uciekł z domu i popłynął do Bostonu?
- Oczywiście.
- Ciekawe, że Hugh o tym wie! - zdziwił się Solly.

Nie miał pojęcia, jak dobrze Hugh i Maisie się znali, nie zdawał sobie sprawy, że spędzili ze sobą noc, opowiadając historie swojego życia. Maisie czuła się oszołomiona tą rozmową; to było jak ślizganie się po cienkim lodzie, pod którego powierzchnią kryło się zbyt dużo tajemnic. Postarała się szybko wrócić na twardy grunt.

- Danny, co cię tu sprowadziło?

Na jego zmęczonej twarzy pojawił się wyraz goryczy.

- Już nie jestem sekretarzem Robotniczego Stowarzyszenia Opieki Społecznej - powiedział. - Trzeci raz w życiu zrujnowali mnie nieudolni bankierzy.

- Danny, proszę! - zaprotestowała Maisie. Jej brat doskonale wiedział, że Solly i Hugh są bankierami.

Ale Hugh powstrzymał ją.

- Nie przejmuj się! My również nienawidzimy nieudolnych bankierów. Stanowią zagrożenie dla wszystkich. Ale co się właściwie stało, panie Robinson?

- Straciłem pięć lat na organizowanie stowarzyszenia - wyjaśnił Danny. - Było wspaniałym, ogromnym sukcesem. Wypłacaliśmy setki funtów zasiłku każdego tygodnia i zbieraliśmy tysiące funtów składek. Co jednak mieliśmy robić z nadwyżkami?

- Przypuszczam, że gromadziliście je, licząc się z możliwością nadejścia gorszych czasów - stwierdził Solly.

- I jak myślisz, gdzie je trzymaliśmy?
- Spodziewam się, że w banku.
- Ściśle mówiąc, w banku City of Glasgow.
- O Boże! - westchnął Solly.
- Nie rozumiem - oświadczyła Maisie.
- Bank City of Glasgow zbankrutował - rzekł Solly.

- Och, nie! - zawołała Maisie. Chciało jej się płakać. Danny skinął głową.

- I wszystkie szylingi wpłacone przez ciężko pracujących ludzi zaprzepaścili durnie w cylindrach. A wy się dziwicie, że ludzie mówią o rewolucji. - Westchnął.

- Po tej katastrofie usiłowałem ocalić stowarzyszenie, ale sprawa była beznadziejna. Musiałem się poddać.

- Panie Robinson - odezwał się nagle Kingo. - Bardzo mi przykro z powodu tego, co spotkało pana i członków pańskiego stowarzyszenia. Czy zechce pan coś zjeść i napić się czegoś? Pewnie przeszedł pan piechotą z dziesięć kilometrów od stacji kolejowej.

- Owszem, bardzo dziękuję.
- Zaprowadzę Danny'ego do domu - zaproponowała Maisie - a wy jeszcze sobie

pospacerujcie. - Wiedziała, jak bardzo jej brat przeżywa tę sprawę. Pragnęła więc porozmawiać z nim na osobności i zrobić, co w jej mocy, aby zmniejszyć jego ból. Pozostali najwidoczniej również odczuli tragizm sytuacji.

- Czy zechce pan zatrzymać się na noc, panie Robinson? - zapytał Kingo. Maisie skrzywiła się lekko. Książę był jednak zbyt wspaniałomyślny. Bez trudu mógł zachowywać się uprzejmie przez kilka minut tutaj, w parku, ale gdyby Danny został na noc, Kingo i jego rozpróżnieni przyjaciele szybko mieliby dość ubogiego ubrania i robotniczych problemów Robinsona. Zaczęliby robić mu afronty i ponownie go zranili. Danny jednak odparł:

- Muszę wrócić dziś w nocy do Londynu. Przyjechałem tu tylko po to, żeby spędzić kilka godzin z siostrą.

- W takim razie proszę pozwolić, aby mój powóz odwiózł pana na stację, kiedy będzie już pan gotowy - oświadczył Kingo.

- To doprawdy bardzo uprzejme z pana strony. Maisie wzięła brata pod ramię.

- Chodź, Danny. Postaram się o jakiś lunch dla ciebie.

Po wyjeździe brata do Londynu Maisie przyszła do męża na popołudniową drzemkę. Solly leżał na łóżku w czerwonym jedwabnym szlafroku i patrzył, jak się rozbiera.

- Nie mogę ocalić stowarzyszenia Dana - powiedział. - Nawet gdybym widział w tym jakiś finansowy sens - a nie widzę - nie zdołałbym przekonać innych partnerów. Maisie poczuła nagły przypływ miłości do niego. Nie prosiła go, aby pomógł Danny'emu.

- Jesteś taki dobry - rzekła. Rozchyliła mu szlafrok i pocałowała go w wielki brzuch. - Zrobiłeś już tyle dla mojej rodziny, że nie musisz się usprawiedliwiać.

A poza tym, jak wiesz, Danny nic by od ciebie nie przyjął. Jest na to zbyt dumny.

- Ale co teraz robi?

Wyszła z halek i zsunęła pończochy.

- Jutro spotyka się ze Zjednoczonym Towarzystwem Inżynierów. Chce zostać członkiem parlamentu i liczy, że wesprą go finansowo.

- I jak przypuszczam, będzie występował o wprowadzenie ściślejszych przepisów rządowych dla banków.

- Nie bardzo ci się to podoba?

- Nigdy nie lubimy, żeby rząd dyktował nam, co powinniśmy robić. Prawda, że występuje wiele bankructw, lecz może być ich jeszcze więcej, jeżeli do prowadzenia banków zabiorą się politycy. - Przetoczył się na bok i oparł głowę na łokciu, aby lepiej widzieć, jak się rozbiera. - Wolałbym nie zostawiać cię samej dziś w nocy.

Maisie też by wolała. Wprawdzie trochę podniecała ją myśl, że będzie tu z Hughiem w czasie nieobecności Solly'ego, zarazem jednak tym bardziej czuła się winna.

- Nie przejmuj się - powiedziała.

- Tak mi wstyd za moją rodzinę.

- Niepotrzebnie.

Była Pascha i Solly wybierał się do rodziców, by wraz z nimi wziąć udział w sederowym nabożeństwie. Maisie nie została zaproszona. Rozumiała powody niechęci, którą żywił do niej Ben Greenbourne i właściwie uważała, że w jakimś stopniu zasługuje na takie traktowanie, ale Solly był tym bardzo zmartwiony. Pewnie nawet pokłóciłby się z ojcem, gdyby mu na to pozwoliła, ale nie chciała obciążać tym swojego sumienia. Dlatego wymogła na nim, aby w dalszym ciągu normalnie widywał się z rodzicami.

- Jesteś pewna, że nie masz nic przeciwko temu? - zapytał z niepokojem.

- Posłuchaj, gdyby sprawiało mi to bardzo dużą przykrość mogłabym pojechać do Manchesteru i spędzić Paschę z moimi rodzicami. - Zamyśliła się przez chwilę. - W gruncie rzeczy nigdy nie czułam silnej więzi z tradycjami żydowskimi, w każdym razie od czasu wyjazdu z Rosji. Kiedy przyjechaliśmy do Anglii, w całym mieście nie było Żydów. Ludzie, z którymi przebywałam w cyrku, w większości w nic nie wierzyli. Gdy zaś już wyszłam za Żyda, nie jestem mile widziana w jego rodzinie.

Najwyraźniej takie jest moje przeznaczenie i prawdę mówiąc, nic mnie to nie obchodzi. Bóg nigdy nic dla mnie nie zrobił. - Uśmiechnęła się. - Wprawdzie mama twierdzi, że dał mi ciebie, ale to bzdura. Sama cię zdobyłam. Poczul się nieco pewniej.

- Będzie mi ciebie brakowało dziś w nocy.

Usiadła na krawędzi łóżka i pochyliła nad nim tak, by mógł wtulić twarz między jej piersi.

- Mnie również.

- Mmmm.

Po chwili położyli się obok siebie i zaczął pieścić ją między nogami, podczas gdy ona całowała go, przesuwała językiem po ciele i wreszcie zaczęła ssać jego członek. Bardzo lubił takie pieszczoty po południu i cicho krzyknął w momencie, gdy wytrysnął w jej usta. Zmieniła pozycję i oparła głowę na zgięciu jego ramienia.

- Jak to smakuje? - zapytał sennie. Oblizwała wargi.

- Jak kawior.

Zachichotał i przymknął oczy.

Zaczęła pieścić sama siebie. Wkrótce Solly już chrapał. Kiedy się zaspokoila, nawet się nie poruszył.

- Ludzi, którzy zarządzali bankiem City of Glasgow, powinno się zamknąć w więzieniu - oświadczyła Maisie tuż przed obiadem.

- Dość radykalny pogląd - odparł Hugh. Uznała tę uwagę za kołtuńską.

- Radykalny?! - zapytała z irytacją. - Ale nie tak radykalny jak to, co dzieje się z robotnikami, gdy przepadną ich pieniądze!

- Nikt nie jest doskonały, nawet robotnicy, o których mówisz - upierał się Hugh.

- Jeżeli cieśla popełni błąd i dom się zawali, czy również powinien pójść do więzienia?

- To zupełnie co innego!

- Dlaczego?

- Ponieważ cieśla dostaje trzydzieści szylingów tygodniowo i musi wykonywać polecenia brygadiera, natomiast bankier zarabia tysiące i usprawiedliwia się ponoszoną odpowiedzialnością.

- Prawda. Ale bankier też jest człowiekiem i ma na utrzymaniu żonę i dzieci.

- To samo można by powiedzieć o mordercach, a jednak wiesz się ich, nie zważając na los osieroconych dzieci.

- Jednakże zabójcy przypadkowego, na przykład kogoś, kto strzelając do królika, trafił człowieka ukrytego za krzakiem, nie posyła się do więzienia. Dlaczego więc mielibyśmy zamykać bankierów, którzy zaprzepaścili czyjeś pieniądze?

- Żeby inni bankierzy byli ostrożniejsi!

- Ale postępując zgodnie z taką logiką, trzeba by powiesić człowieka, który strzelał do królika, żeby inni myśliwi bardziej uważali.

- Hugh, zaczynasz być przewrotny.

- Nie, wcale nie. Po prostu zastanawiam się, dlaczego należałoby traktować nierozważnych bankierów bardziej surowo niż nieostrożnych myśliwych.

- Różnica polega na tym, że taki niecelny strzał nie skazuje co roku na nędzę tysięcy pracujących ludzi, a nieudolni bankierzy - tak.

W tym momencie leniwie wtrącił się Kingo:

- Jak słyszałem, dyrektorzy banku City of Glasgow prawdopodobnie pójdą do więzienia. I dyrektor banku również.

- Też tak sądzę - stwierdził Hugh.

Maisie miała ochotę krzyknąć z wściekłości.

- W takim razie dlaczego mi się sprzeciwiałeś? Uśmiechnął się.

- Bo chciałem się przekonać, czy potrafisz uzasadnić swoje stanowisko. Przypomniała sobie, że zawsze umiał doprowadzić ją do takiego stanu, i ugryzła się w język. Jej wybuchowy temperament stanowił część jej uroku i był jednym z powodów, dla których Grupa Marlborough zaakceptowała ją mimo jej pochodzenia. Znudziłoby się jednak szybko, gdyby takie sceny trwały zbyt długo. Nastrój Maisie zmienił się więc błyskawicznie.

- Panie, obraził mnie pan! - zawołała teatralnie. - Wyzywam pana na pojedynek!

- A jakąż to bronią pojedynkują się damy? - roześmiał się Hugh.

- Szydełkami o świcie!

Rozbawiła wszystkich tym zdaniem i w tej samej chwili wszedł służący, oznajmiając, że podano obiad.

Przy długim stole zawsze siedziało osiemnaście lub dwadzieścia osób. Maisie uwielbiała wykrochmalone obrusy, delikatną porcelanę, setki świec odbijających się w lśniącym szkle, nienaganne - czarne z białym - wieczorowe stroje mężczyzn, wspaniałe barwy i kosztowną biżuterię kobiet. Każdego wieczoru serwowano szampana, ale ponieważ wydawało jej się, że od niego tyje, pozwalała sobie jedynie na łyk lub dwa. Zorientowała się, że posadzono ją obok Hugh'a. Księżna - jako kobieta tolerancyjna - wyznaczała jej miejsce obok Kinga, ponieważ lubił ładne kobiety, dziś jednak

najwyraźniej postanowiła zmienić ten zwyczaj. Nikt nie odmówił modlitwy, ponieważ w tym kręgu na sprawy religii przeznaczano jedynie niedziele.

Podano zupę i Maisie podjęła ożywioną rozmowę z siedzącymi po obu jej stronach mężczyznami, ale przez cały czas myślała o bracie. Biedny Danny! Taki mądry, pełen poświęcenia, wspinały przywódca - i tak pechowy. Była ciekawa, czy uda mu się zrealizować ambitny plan zostania członkiem parlamentu. Życzyła mu tego. Ojciec byłby taki dumny.

Dzisiaj w nieoczekiwany sposób w jej nowe życie wtargnęła przeszłość. Danny nie należał do żadnej określonej warstwy społecznej. Reprezentował robotników, ubierał się jak przedstawiciel klasy średniej, a jednocześnie swoją pewnością siebie i nieco aroganckim sposobem bycia przypominał Kinga i jego przyjaciół. Na pierwszy rzut oka trudno było stwierdzić, czy jest członkiem wyższych sfer, który wybrał męczeński żywot wśród robotników, czy też młodzieńcem z rodziny robotniczej, który zdołał się wybić. Podobnie było z Maisie. Każdy, kto miał choć odrobinę wyczucia różnic klasowych, mógł od razu rozpoznać, że nie jest urodzoną damą. Tak dobrze jednak odgrywała swoją rolę, była tak ładna i pełna uroku, że nikt nie wierzył do końca w uparte plotki, że Solly poznał ją w sali tańca. Jeżeli były jakiegokolwiek problemy z przyjęciem jej przez londyńskie towarzystwo, rozstrzygnął je książę Walii, syn królowej Wiktorii i przyszły król, wyznając, że jest nią „zniewolony”, i przysyłając jej złotą papierośnicę z brylantowym zapięciem. Podczas obiadu coraz bardziej uświadamiała sobie obecność Hugh'a u swego boku. Za wszelką cenę usiłowała prowadzić lekką konwersację i poświęcać przynajmniej tyle samo czasu mężczyźnie siedzącemu po jej drugiej stronie. Wciąż jednak miała wrażenie, że przeszłość stoi przy jej ramieniu, czekając, aż ją zauważy, jak cierpliwy, ostrożny petent.

Od jego powrotu do Londynu zetknęła się z nim kilka razy, a tutaj spędzili już ze sobą czterdzieści osiem godzin, ale nie rozmawiali o tym, co się zdarzyło sześć lat temu. Hugh wiedział jedynie, że zniknęła bez śladu, aby pojawić się jako pani Solomonowa Greenbourne. Prędzej czy później będzie musiała udzielić mu wyjaśnień. Obawiała się, że taka rozmowa obudzi dawne uczucia zarówno w nim, jak i w niej. Ale trzeba było poruszyć ten temat. Być może należało to zrobić właśnie teraz, w czasie nieobecności Solly'ego.

Odpowiednia chwila nadeszła, gdy parę osób wokół nich zaczęło głośno rozmawiać. Maisie postanowiła skorzystać z okazji. Odwróciła się w stronę Hugh'a i nagle odżyły w niej uczucia. Kilkakrotnie zaczęła mówić i nie potrafiła skończyć zdania. Wreszcie udało jej się wydusić z siebie:

- Zrujnowałabym ci karierę. - Próba powstrzymania łez wymagała tak wielkiego wysiłku, że nie była w stanie dodać nic więcej.

Natychmiast zrozumiał, co ma na myśli.

- Kto ci to powiedział?

Gdyby okazywał współczucie, może by się załamała, ale na szczęście jego pytanie zabrzmiało agresywnie i dzięki temu zdołała odrzec:

- Twoja ciotka Augusta.

- Podejrzywałem, że maczała w tym palce.

- Miała rację.

- Nie wierzę w to - stwierdził z gniewem. - Solly'emu nie przeszkodziłaś w karierze.

- Uspokój się. Solly nie był napiętnowany jako rodzinna czarna owca, a mimo to nie poszło łatwo. Jego rodzina dotychczas mnie nienawidzi.

- Chociaż jesteś Żydówką?

- Tak. Żydzi potrafią być takimi samymi snobami jak wszyscy inni. - Postanowiła nigdy nie wyjawić mu prawdziwego powodu ich niechęci: że Bertie nie jest synem Solly'ego.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi po prostu, co i dlaczego zamierzasz zrobić?

- Nie mogłam. - Przypomniała sobie tamte koszmarne dni i znowu poczuła dławienie w gardle. Odetchnęła głęboko, aby się uspokoić. - Było mi bardzo trudno tak z tobą zerwać. Serce mi pękało. Nie zdobyłabym się jednak na rozstanie, gdybym musiała się usprawiedliwiać. Wciąż nie ustępował.

- Mogłaś przynajmniej przesłać kilka słów. Głos Maisie zniżył się prawie do szeptu.

- Nie byłam zdolna do napisania czegokolwiek.

Wreszcie chyba trochę zmiękł. Upił łyk wina i odwrócił od niej wzrok.

- Ta nieświadomość była potworna, nie wiedziałem nawet, czy żyjesz. - Mówił ostro, ale znowu przypomniała sobie ból w jego spojrzeniu.

- Przepraszam - rzekła słabo. - Bardzo mi przykro, że cię zraniłam. Nie chciałam tego. Pragnęłam oszczędzić ci nieszczęścia. Zrobiłam to z miłości. - Gdy tylko usłyszała własne słowa, natychmiast tego pożałowała.

Błyskawicznie to podchwycił.

- A czy teraz kochasz Solly'ego? - zapytał agresywnie.

- Tak.

- Wydaje się, że jest wam bardzo dobrze.

- Kiedy tak się żyje... nietrudno być zadowolonym. W dalszym ciągu był na nią zły.

- A więc masz to, do czego zawsze dążyłaś.

Było to dość brutalne stwierdzenie, ale Maisie uznała, że zasłużyła na nie, i tylko skinęła głową.

- Co się stało z April?

Zawahała się. Hugh posuwał się już za daleko.

- A więc stawiasz mnie na równi z April? - odparła z urazą. Jego gniew ustąpił. Uśmiechnął się ze smutkiem i odpowiedział:

- Nie. Nigdy nie byłaś taka jak April. Wiem o tym. Ale mimo wszystko ciekaw jestem, co się z nią stało. Widujesz ją jeszcze?

- Tak. Ale dyskretnie. - April była neutralnym tematem. Rozmowa o niej pozwalała opuścić niebezpieczne emocjonalne rejony. Maisie postanowiła zaspokoić jego ciekawość. - Znasz lokal zwany „U Nellie”?

- Przecież to dom publiczny - odrzekł cicho.

Nie mogła się powstrzymać przed zadaniem mu pytania:

- Czy byłeś tam kiedyś? Zrobił zakłopotaną minę.

- Tak, raz. Katastrofa.

Nie zaskoczyło jej to wyznanie - pamiętała, jak naiwny i niedoświadczony był dwudziestoletni Hugh.

- No cóż, April jest teraz jego właścicielką.

- Dobry Boże, jak to było możliwe?

- Najpierw została utrzymanką słynnego powieściopisarza i mieszkała w cudownym małym domku w Clapham. Znudził się nią mniej więcej w czasie, kiedy Nell zaczęła myśleć o wycofaniu się z interesów. April sprzedała więc domek i kupiła jej lokal.

- Niesamowite - oznajmił Hugh. - Nigdy nie zapomnę Nell. Była najgrubszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem.

Przy stole zapadła nieoczekiwana cisza i jego ostatnie zdanie usłyszało kilkoro sąsiadów. Rozległ się ogólny śmiech i ktoś spytał:

- Kim była ta tłusta dama? - Hugh tylko się uśmiechnął i nie odpowiedział. Potem starali się unikać niebezpiecznych tematów, ale mimo to Maisie czuła się oszołomiona i lekko obolała - zupełnie jakby upadła i potłukła się nieco.

Kiedy obiad się skończył i panowie wypalili cygara, Kingo oznajmił, że ma ochotę potańczyć. Zwinięto więc dywan w salonie i wezwano lokaja, który potrafił grać polki na fortepianie.

Maisie tańczyła z każdym oprócz Hugh'a. Gdy jednak stało się już widoczne, że go unika, zatańczyła i z nim. Wydało jej się, że cofnęła się o sześć lat i znowu znaleźli się w Cremorne Gardens. Właściwie jej nie prowadził. Niemal instynktownie wykonywali te same ruchy. Maisie nie mogła się powstrzymać od nielojalnej myśli, że Solly jest niezgrabnym tancerzem.

Później zatańczyła z następnym partnerem, a potem inni mężczyźni przestali ją prosić. Gdy wybiła jedenasta i podano brandy, porzucono sztywne reguły - panowie rozluźnili białe muszki, niektóre panie zrzuciły buty i Maisie tańczyła już tylko z Hughiem. Zdawała sobie sprawę, że powinna czuć się winna, ale nigdy nie była w tym szczególnie dobra. Dobrze się bawiła i nie zamierzała przestać.

Kiedy grający na fortepianie lokaj się zmęczył, księżna postanowiła zaczerpnąć świeżego powietrza i pokojówki pomknęły po futra, aby wszyscy mogli pospacerować po ogrodzie. W ciemnościach na zewnątrz Maisie ujęła Hugh'a pod ramię.

- Cały świat wie, co robiłam przez minione sześć lat - oznajmiła. - Ale co się działo z tobą?

- Ameryka mi się spodobała - odparł. - Nie ma tam systemu klasowego. Są biedni i bogaci, ale nie ma arystokracji i tych wszystkich bzdur związanych z pozycją i protokołem. To, co zrobiłaś - twoje małżeństwo z Sollym i nawiązanie przyjaźni z najwyższymi postawionymi osobistościami, jest dość niezwykle i założyłbym się, że dotąd nie powiedziałaś im prawdy o swoim pochodzeniu.

- Chyba coś podejrzewają, ale rzeczywiście nic nie wiedzą.

- W Ameryce mogłabyś się chlubić swoim biednym dzieciństwem tak jak Kingo szczyli się swoimi przodkami, którzy brali udział w bitwie pod Azincourt. Interesował

ją Hugh, nie Ameryka.

- Nie ożeniłeś się?

- Nie.

- A czy w Bostonie... była jakaś dziewczyna, którą lubiłeś?

- Próbowałem, Maisie - odparł.

Natychmiast pożałowała swojego pytania, ponieważ przeczuwała, że jego odpowiedź zniszczy jej szczęście. Było już jednak za późno. Pytanie padło i właśnie na nie odpowiadał:

- W Bostonie poznałem ładne, przyjemne i inteligentne dziewczyny, które byłyby wspaniałymi żonami i matkami. Zwróciłem uwagę na niektóre z nich i chyba mnie lubiły. Ale kiedy nadchodził moment, w którym powinienem albo się oświadczyć, albo wycofać, za każdym razem uświadamiałem sobie, że moje uczucia są niewystarczające. Nie były tym, co czułem do ciebie. Nie były miłością.

W końcu padły te słowa.

- Przestań - szepnęła Maisie.

- Parę matek obraziło się na mnie, a potem zyskałem opinię niestałego i dziewczyny były już ostrożne. Zachowywały się sympatycznie, ale uważały, że coś ze mną jest nie tak. Hugh Pilaster, angielski bankier i pożeracz serc, przestał być poważnym kandydatem na męża. A jeżeli dziewczyna, mimo mojej reputacji, zakochiwała się we mnie, starałem się ją zniechęcić. Nie lubię łamać ludziom serc. Zbyt dobrze pamiętam, co się wtedy czuje.

Jej twarz była mokra od łez i cieszyła się z okrywającego ich przyjaznego mroku.

- Tak mi przykro - wyszeptała cicho, prawie niedosłyszalnie.

- W każdym razie wiem, co ze mną jest nie tak. Przypuszczam, że zawsze wiedziałem, ale ostatnie dni usunęły wszelkie Wątpliwości.

Szli już za innymi. Nagle Hugh zatrzymał się i stanął naprzeciwko niej.

- Hugh, proszę cię, nie mów tego - rzekła.

- Wciąż cię kocham. Po prostu. Wszystko zostało zniszczone.

- Sądzę, że ty również mnie kochasz - ciągnął bezlitośnie. - A może nie? Spojrzała na niego. Widziała odbijające się w jego oczach światła domu, ale jego twarz kryła się w cieniu. Pochylił głowę i pocałował ją w usta, a ona nie odsunęła się.

- Słone łzy - stwierdził po chwili. - Kochasz mnie. Nie myliłem się. - Wyjął z kieszeni złożoną chusteczkę i delikatnie otarł jej mokre policzki.

Musiła go powstrzymać.

- Trzeba dołączyć do innych - rzekła. - Ludzie będą plotkować. - Odwróciła się i zrobiła krok do przodu. Mógł albo puścić jej ramię, albo ruszyć razem z nią. Wybrał tę drugą możliwość.

- Dziwię się, że przejmujesz się ludzkim gadaniem - powiedział. - Wasza grupa jest przecież znana z tego, że nie zwraca uwagi na takie drobiazgi. Właściwie nie myślała o innych. Bała się samej siebie. Zmusiła go, aby szedł szybciej, aż zrównali się z pozostałymi. Wtedy odsunęła jego ramię i zaczęła rozmawiać z księżną.

Zaniepokoiła ją nieco uwaga Hugh'a, że Grupa Marlborough znana jest ze swojej tolerancji obyczajowej. Była to prawda, ale wolałaby, żeby nie użył takiego sformułowania jak przed chwilą, i nie bardzo wiedziała dlaczego.

Kiedy wrócili do domu, zegar w holu wybijał właśnie północ. Maisie poczuła nagle, jak bardzo wyczerpało ją całodziennie napięcie.

- Idę do łóżka - oświadczyła.

Zauważyła, że księżna - kryjąc lekki uśmiech - spojrzała uważnie na Hugh'a, a potem na nią. Uświadomiła sobie, że wszyscy przypuszczają, iż ona i Hugh spędzą tę noc wspólnie. Damy udały się na górę, pozostawiając panów, aby mogli pograć jeszcze w bilard i wypić kieliszek do poduszki. Kiedy pozostałe panie całowały ją na dobranoc, Maisie dostrzegła w oczach każdej z nich ten sam błysk podniecenia i pewnej zazdrości.

Weszła do sypialni i zamknęła za sobą drzwi. W kominku płonął wesoło ogień, na okapie i toaletce paliły się świece. Na nocnym stoliku jak zawsze stała taca z kanapkami i butelka sherry, na wypadek gdyby zgłodniała w nocy. Nigdy z nich nie korzystała, ale dobrze wyszkolona służba Kingsbridge Manor niezmiennie dopełniała swojego obowiązku.

Zacęła się rozbierać. Może wszyscy się mylili, może Hugh do niej nie przyjdzie?

Myśl ta przeszła ją bólem i zapragnęła, aby pojawił się w drzwiach, aby mogła objąć go i pocałować naprawdę - nie ukradkiem i z poczuciem winy jak w ogrodzie, lecz bezwstydnie i żarliwie. Uczucie to przywołało znowu wspomnienie nocy po wyścigach w Goodwood, wąskiego łóżka w domu Augusty i wyrazu jego twarzy, gdy zdjęła suknię.

Obejrzała swoje ciało w wysokim lustrze. Hugh zauważył, jak bardzo się zmieniło. Jej niegdyś maleńkie, prawie płaskie sutki, teraz, po wykarmieniu Bertiego, stały się większe, ciemniejsze i sterczące. Gdy była dziewczyną, nie potrzebowała nosić gorsetu, miała bowiem talię jak osa, ale po ciąży jej obwód w pasie nie wrócił już do normy.

Usłyszała wchodzących po schodach mężczyzn, ich ciężkie kroki i śmiech z jakiegoś żartu. Hugh się nie mylił - żaden z nich nie byłby oburzony drobnym cudzołóstwem na wiejskim przyjęciu. Czy nie poczuli się do lojalności wobec swojego przyjaciela Solly'ego? - pomyślała ironicznie. I wtedy jak policzek zabolą ją myśl, że na dobrą sprawę to ona powinna czuć się nielojalna.

Na cały wieczór wyrzuciła z pamięci męża, ale teraz powrócił do niej - nieszkodliwy, przyjacielski Solly, miły, szlachetny Solly, człowiek, który kochał ją do szaleństwa i dbał o Bertiego, wiedząc, że jest dzieckiem innego mężczyzny. I oto wystarczyło kilka godzin jego nieobecności, żeby postanowiła wpuścić innego do swojego łóżka. Jakąż kobietą jestem? - zadała sobie pytanie.

Gwałtownie, pod wpływem nagłego impulsu, podeszła do drzwi i zamknęła je na klucz.

Zrozumiała, dlaczego tak nie spodobały się jej słowa Hugh'a: „Wasza grupa jest znana z tego, że nie zwraca uwagi na takie drobiazgi”. Sprawily, że jej uczucia do niego wydały się czymś zwyczajnym, pospolitym, po prostu jednym z wielu flirtów romansów i zdrad małżeńskich, które dawały damom z towarzystwa temat do plotek. Solly był wart czegoś więcej niż zdrada spowodowana zwyczajną miłością.

Ale przecież pragnę Hugh'a, pomyślała.

Pod wpływem decyzji, aby zrezygnować ze spędzenia z nim nocy, zachciało jej się płakać. Przypomniała sobie jego chłopięcy uśmiech i twarde tors, niebieskie oczy, a także wyraz twarzy, gdy patrzył na jej ciało - pełen zachwytu i szczęścia, pożądania i rozkoszy. Odrzucenie tego było bardzo trudne.

Rozległo się delikatne pukanie do drzwi.

Stała naga pośrodku pokoju, oniemiała i jak sparaliżowana.

Klamka poruszyła się i drzwi drgnęły lekko, ale oczywiście nie ustąpiły.

Usłyszała, jak cichy głos wypowiada jej imię. Podeszła do drzwi i ujęła klucz.

- Maisie - usłyszała jego szept. - To ja, Hugh.

Pragnęła go tak bardzo, że na sam dźwięk jego głosu poczuła wilgoć w środku. Włożyła palec do ust i przygryzła go z całej siły, ale nawet ból nie stłumił jej pożądania. Zastukał jeszcze raz.

- Maisie, wpuść mnie!

Oparła się o ścianę. Łzy spływały po jej twarzy i kapały z brody na piersi.

- Przynajmniej porozmawiajmy!

Wiedziała, że jeżeli mu otworzy, nie będzie rozmowy - weźmie go w ramiona i ogarnięci podnieceniem upadną na podłogę.

- Powiedz cokolwiek. Jesteś tam? Wiem, że jesteś.

Stała nieruchomo, płacząc w milczeniu.

- Proszę! - błagał. - Proszę.

Po chwili usłyszała, jak odchodzi.

Maisie źle spała i obudziła się wcześniej, ale świt nowego dnia nie poprawił jej nastroju. Zanim reszta towarzystwa wstała, przeszła jak zwykle do dziecięcego skrzydła. Przed drzwiami jadalni dziecięcej zatrzymała się gwałtownie. Nie tylko ona była już na nogach. Z pokoju dobiegał męski głos. Zaczęła nasłuchiwać. To mówił Hugh.

. - Iw tej właśnie chwili olbrzym się obudził - usłyszała.

Rozległ się dziecięcy pisk pełnego zachwytu przerażenia i Maisie poznała Bertiego.

Hugh opowiadał dalej:

- Jack zaczął schodzić po łodydze fasoli najszybciej jak potrafił, ale olbrzym ruszył za nim!

Córeczka Kinga, Annę, odezwała się z wyższością wszystkowiedzącej siedmiolatki:

- Bertie chowa się za swoim krzeselkiem, bo się boi. A *ja*. nie.

Maisie miała ochotę schować się tak jak jej synek. Odwróciła się i ruszyła w stronę swojego pokoju, ale zaraz zatrzymała się znowu. Przecież nadejdzie tego dnia taki moment, kiedy będzie musiała spotkać się z Hughiem, może więc tutaj, wśród dzieci, będzie jej łatwiej. Opanowała się i weszła do środka. Hugh oczarował trójkę maluchów. Bertie prawie nie zauważył wejścia matki. Hugh spojrzął na nią pełnymi bólu oczyma.

- Nie przerywaj sobie - powiedziała. Usiadła przy synku i objęła go mocno. Hugh

ponownie zwrócił się do dzieci:

- I jak myślicie, co zrobił Jack?
- Wiem - odparła Annę. - Wziął siekierę.
- Słusznie.

Maisie tuliła Bertiego, który patrzył wielkimi oczyma na mężczyznę będącego jego prawdziwym ojcem. Jeżeli wytrwam teraz, pomyślała, potrafię wszystko znieść.

- I kiedy olbrzym był wciąż w połowie łądygi fasoli, Jack ją zrąbał! Olbrzym spadł na ziemię... i zginął. Odtąd Jack ze swoją mamą żyli długo i szczęśliwie.

- Opowiedz jeszcze raz - poprosił Bertie.

W poselstwie Cordovy panowało zamieszanie. Nazajutrz przypadało Święto Niepodległości Cordovy i po południu miało się odbyć wielkie przyjęcie dla członków parlamentu, przedstawicieli Foreign Office, dyplomatów i dziennikarzy. Od samego rana Micky'emu Mirandzie przysporzyła dodatkowych kłopotów ostra nota od brytyjskiego ministra spraw zagranicznych w sprawie dwóch angielskich turystów, zamordowanych w czasie wyprawy badawczej w Andach. Kiedy jednak pojawił się Edward Pilaster, Micky rzucił wszystko, ponieważ to, co chciał mu powiedzieć, było o wiele ważniejsze od przyjęcia i noty. Potrzebował pół miliona funtów i liczył, że uzyska te pieniądze od Pilastera.

Micky był ambasadorem Cordovy od roku. Zdobycie tego stanowiska wymagało nie tylko całego jego sprytu - dodatkowo rodzina w kraju musiała wydać majątek na łąpówki. Obiecał ojcu, że wróci mu wyłożoną sumę, i teraz musiał dotrzymać słowa.

- Wolałby raczej umrzeć, niż sprawić mu zawód.

Zaprowadził Edwarda do swojego gabinetu, wielkiego pokoju na drugim piętrze, udekorowanego olbrzymią flagą Cordovy. Podszedł do dużego stołu i rozłożył mapę kraju, przyciskając jej rogi pudełkiem na cygara, karafką sherry, szklanką i szarym cylindrem Pilastera. Zawahał się. Po raz pierwszy w życiu zamierzał poprosić kogoś o pół miliona funtów.

- Tutaj, na północy kraju, leży prowincja Santamaria - zaczął.
- Znam geografie Cordovy - przerwał mu z rozdrażnieniem Edward.

- Oczywiście, że tak - przytaknął pojednawczym tonem Micky. Bank Pilasterów miał olbrzymi udział w interesach prowadzonych z Cordovą - finansował eksport saletry, solonej wołowiny i srebra oraz import maszyn górniczych, broni i towarów luksusowych. Wszystkimi tymi operacjami zajmował się Edward dzięki Mirandzie, który najpierw został attache, a potem ambasadorem i utrudniał jak mógł życie każdemu, kto nie chciał korzystać z usług Banku Pilasterów w finansowaniu handlu z jego ojczyzną. W rezultacie Edwarda uważano obecnie za głównego londyńskiego eksperta w sprawach Cordovy. - Oczywiście, że tak - powtórzył Micky. - I dobrze wiesz, że cała saletra wydobyta przez mojego ojca musi być przewieziona z Santamarii do Palmy karawanami mułów. Ale może nie orientujesz się, że istnieje doskonała możliwość wybudowania wzdłuż tego szlaku linii kolejowej.

- Skąd ta pewność? Kolej to skomplikowane przedsięwzięcie. Miranda wziął z biurka oprawny tom.

- Ponieważ mój ojciec zlecił szkockiemu inżynierowi Gordonowi Halfpenny'emu przeprowadzenie badań. Tutaj są wszystkie szczegóły, łącznie z kosztami. Popatrz.

- Ile? - zapytał Edward.

- Pięćset tysięcy funtów.

Pilaster Przekartkował raport.

- A co ze stroną polityczną?

Micky spojrzął na wielki portret prezydenta Garcii w mundurze naczelnego wodza. Za każdym razem, gdy patrzył na ten wizerunek, przysięgał sobie, że któregoś dnia w tym miejscu zawisnie na ścianie jego własna podobizna.

- Prezydent sprzyja projektowi. Uważa, że to wzmocni jego władzę wojskową na prowincji. - Garcia miał do Taty zaufanie. Od czasu, gdy Miranda senior został z pomocą wyprodukowanych w Birmingham dwóch tysięcy karabinów Westley - Richards gubernatorem prowincji Santamaria, członkowie jego rodziny stali się żarliwymi zwolennikami i sojusznikami prezydenta. Garcia nie podejrzewał, jakie naprawdę motywy kryją się za projektem budowy kolei do Palmy. A chodziło o to, że dzięki niej Mirandowie mogliby zaatakować stolicę w ciągu dwóch dni, a nie dwóch tygodni.

- W jaki sposób będzie finansowana ta inwestycja? - zapytał Edward.

- Zdobędziemy pieniądze na rynku londyńskim - oznajmił wyniośle Micky. - W gruncie rzeczy spodziewałem się, że Bank Pilasterów zechce zająć się tą sprawą.

- Starał się oddychać wolno i normalnie. Był to punkt kulminacyjny długiej i pracowicie pielęgnowanej znajomości z rodziną Pilasterów. Nadeszła pora zbierania owoców wieloletnich przygotowań.

Edward pokręcił jednak głową i odparł:

- Nie sędzę.

Micky był nieprzyjemnie zaskoczony. Oczekiwał, że przyjaciel przynajmniej zgodzi się przemyśleć propozycję.

- Ale przecież przez cały czas zdobywacie kapitał na budowę linii kolejowych.

Myślałem, że będziesz zadowolony z nadarzającej się sposobności!

- Cordova nie jest takim samym krajem jak Kanada czy Rosja - oświadczył Edward.

- Inwestorom nie podoba się wasz układ polityczny, w którym każdy prowincjonalny caudillo dysponuje prywatną armią. To średniowiecze. Micky nie pomyślał o tym.

- Mimo to sfinansowałeś kopalnię srebra Taty. - Stało się to trzy lata temu i przyniosło ojcu niezwykle przydatne sto tysięcy funtów.

- Właśnie! I okazało się, że jest ona jedyną kopalnią srebra w Ameryce Południowej, która przynosi tak kiepskie zyski.

W rzeczywistości kopalnia była bardzo dochodowa, ale stary Miranda zagarniał prawie wszystko, niewiele pozostawiając dla udziałowców. Gdyby dla przyzwoitości choć trochę się ograniczył! Tata jednak nigdy nie słuchał rad.

Micky starał się opanować ogarniającą go panikę, lecz jego uczucia musiały się jakoś

uzewnętrznąć, bo Edward zapytał z niepokojem:

- Posłuchaj, stary, czy to jest aż tak strasznie ważne? Wyglądasz na zmartwionego.

- Prawdę mówiąc, dla mojej rodziny ma to ogromne znaczenie - przyznał Micky. Jeśliby Edward naprawdę zechciał, zdobyłby te pieniądze. Był o tym przekonany. - Z całą pewnością gdyby tak prestiżowy bank jak Pilasterów poparł ten projekt, ludzie doszliby do wniosku, że Cordova jest dobrym miejscem do inwestowania.

- Coś w tym jest - stwierdził Edward. - Gdyby któryś z partnerów wysunął ten pomysł i rzeczywiście zechciał go zrealizować, najprawdopodobniej sprawa byłaby do wygrania. Ale nie jestem partnerem.

Micky wyraźnie nie docenił trudności, jakie sprawiało uzyskanie pół miliona funtów. Ale nie był jeszcze pokonany. Postara się znaleźć sposób, aby je zdobyć.

- Będę musiał przemyśleć wszystko na nowo - oznajmił z wymuszoną beztrząską. Edward dopił sherry i wstał.

- Możemy już iść na lunch?

Tej nocy Micky i Pilasterowie wybrali się do Opery Komicznej obejrzeć HMS Pinafore. Micky zjawił się na miejscu kilka minut wcześniej. Czekać w foyer, natknął się na związaną z Pilasterami rodzinę Bodwinów. Albert Bodwin był prawnikiem, który wykonywał dla banku wiele zleceń, a Augusta swego czasu usilnie starała się wydać jego córkę Rachel za Hugh'a.

Miranda przede wszystkim myślał o sposobie zdobycia pieniędzy na budowę kolei, ale zupełnie odruchowo zaczął flirtować z Rachel.

- Co słyhać w ruchu na rzecz emancypacji kobiet, panno Bodwin? Jej matka zaczerwieniła się i rzekła:

- Wolalabym, żeby pan nie mówił o tym, señor Miranda.

- W takim razie już nie będę, pani Bodwin, gdyż pani życzenia są dla mnie równie wiążące jak ustawa parlamentu.

Odwrócił się do Rachel. Nie można jej było nazwać przystojną - miała zbyt blisko osadzone oczy, ale odznaczała się przy tym dobrą figurą, długimi nogami, wąską talią i obfitym biustem. W nagłym przypiływie fantazji wyobraził sobie, jak leży naga, z rękami przywiązanymi do łóżka i rozkrzyżowanymi nogami, i spodobała mu się ta wizja. Odrywając wzrok od jej piersi, dostrzegł spojrzenie Rachel. Większość dziewcząt zaczerwieniłaby się i odwróciła, ona jednak popatrzyła na niego z zadziwiającą otwartością, uśmiechnęła się i to on poczuł się zakłopotany. Szukając jakiegoś tematu do rozmowy, powiedział:

- Czy wie pani, że pani przyjaciel Hugh Pilaster powrócił z kolonii?

- Owszem, widziałam go w Whitehaven House. Pan był tam również.

- Ach tak, zapomniałem.

- Zawsze lubiłam Hugh'a.

Ale nie chciałaś za niego wyjść, pomyślał Micky. Rachel była na rynku małżeńskim od wielu już lat i zaczynała sprawiać wrażenie przeterminowanego towaru, pomyślał niesympatycznie. Ale instynkt podpowiadał mu, że jest kobietą niezwykle zmysłową. Problem polegał na tym, że była zbyt mądra i tym właśnie odstraszała kandydatów.

Musiała jednak czuć się coraz gorzej. Zbliżała się do trzydziestki i z pewnością zastanawiała się, czy jest skazana na staropanieństwo. Niektóre kobiety ze spokojem pogodziłyby się z tym stanem rzeczy, ale Micky podejrzewał, że Rachel do nich nie należy.

Lubiła go, ale prawdę mówiąc, lubili go wszyscy - młodzi i starzy, kobiety i mężczyźni. Odpowiadało mu, gdy bogate i wpływowe osoby ulegały jego urokowi, ponieważ dawało mu to władzę, lecz Rachel była nikim i jej zainteresowanie nie miało dla niego żadnej wartości.

Przybyli Pilasterowie i Micky natychmiast poświęcił całą uwagę Augustcie, odzianej we wspaniałą wieczorową suknię w kolorze głębokiego truskawkowego różu.

- Wygląda pani... cudownie, pani Pilaster - odezwał się cicho, a ona uśmiechnęła się z zadowoleniem.

Obie rodziny rozmawiały przez kilka minut, aż nadszedł czas zająć miejsca. Bodwinowie siedzieli w amfiteatrze, a Pilasterowie wynajmowali łożę. Kiedy się rozstawali, Rachel uśmiechnęła się ciepło i rzekła przyciszonym głosem:

- Może zobaczymy się później, señor Miranda. - Jej ojciec usłyszał to jednak, spojrzął z dezaprobatą, a potem ujął ją pod ramię i szybkim krokiem odprowadził na bok. Natomiast pani Bodwin przesłała mu uśmiech na pożegnanie. Pan Bodwin może nie chce, aby jego córka straciła głowę dla cudzoziemca, pomyślał Micky, ale jego żona nie jest już tak wybredna.

Przez cały pierwszy akt martwił się pożyczką kolejową. Nie przyszło mu do głowy, że prymitywne stosunki polityczne w Cordovie, które pozwoliły rodzinie Mirandów wywalczyć sobie drogę do władzy i bogactwa, mogą się wydać inwestorom zbyt ryzykowne. Oznaczało to prawdopodobnie, że nie zdoła namówić żadnego innego banku do finansowania projektu. Jedynym sposobem zdobycia pieniędzy pozostawało więc wykorzystanie jego zakulisowych wpływów w Banku Pilasterów. A jedynymi osobami, na które mógł liczyć, byli Edward i jego matka.

Podczas antraktu na krótko został w łoży sam na sam z Augustą i natychmiast przystąpił do działania, wiedząc, że doceni jego bezpośredniość.

- Kiedy Edward zostanie partnerem w banku? - zapytał.

- Poruszyłeś bolesną sprawę - odparła kwaśno. - Dlaczego pytasz? Opowiedział jej w skrócie o kolei, pomijając oczywiście dalsze plany swojego ojca.

- Nie mogę uzyskać pieniędzy z innego banku, ponieważ żaden z nich nie słyszał o Cordovie. Celowo ich nie informowałem, chcąc, aby skorzystał na tym Edward. - Nie był to prawdziwy powód, ale przecież Augusta zupełnie nie znała się na interesach. - Gdyby jednak Edwardowi udało się przepchnąć jakoś ten projekt, na pewno odniósłby sukces. Augusta skinęła głową.

- Mój mąż obiecał mianować go partnerem, gdy tylko się ożeni - wyjaśniła. Micky zdziwił się. Ożenek Edwarda! Pomysł był wprawdzie zaskakujący, ale dlaczego nie? Augusta mówiła dalej:

- Nawet wybraliśmy mu już narzeczoną: Emily Mapie, córkę dziekana Mapie'a.

- A jaka ona jest?

- Ładna, młodziutka - ma zaledwie dziewiętnaście lat - i rozsądna. Jej rodzice aprobują ten związek.

Chyba jest odpowiednią partią dla Edwarda, pomyślał Micky. Lubi ładne dziewczyny, ale potrzebuje takiej, nad którą mógłby dominować.

- Na czym więc polega problem? Augusta zmarszczyła brwi.

- Właściwie nie wiem. Nie pojmuję, dlaczego Edward nie może się zdecydować na oświadczyzny.

Wiadomość ta wcale go nie zaskoczyła. Nie mógł sobie wyobrazić Edwarda w roli męża, bez względu na to, jak doskonała byłaby wybranka. Co zyskałby na ożenku? Nie chce Przecież mieć dzieci. Teraz jednak pojawił się motyw - stanowisko partnera. Nawet jeżeli Edwardowi na nim nie zależało, zależało jemu, Micky'emu.

- Co by tu zrobić, żeby go do tego skłonić? Augusta spojrzała na niego ostro i odparła:

- Coś mi się wydaje, że uczyniłby to, gdybyś ty się ożenił.

Micky odwrócił wzrok. Uwaga była celna. Nie wyobrażała sobie, co dzieje się w pokojach domu publicznego „U Nellie”, ale obdarzona była matczyną intuicją. On również podejrzewał, że gdyby pierwszy się zdecydował, Edward poszedłby w jego ślady.

- Ja miałbym się ożenić? - Roześmiał się cicho. Oczywiście, że prędzej czy później to zrobi - każdy tak postępuje - ale na pewno nie w najbliższej przyszłości.

Gdyby jednak małżeństwo było ceną sfinansowania kolei...

Nie chodzi jedynie o kolej, pomyślał. Jedna udana pożyczka pociągała za sobą następną. Takie państwa jak Rosja czy Kanada co roku zaciągały na londyńskim rynku nowe pożyczki - na koleje, porty, towarzystwa wodociągów i ogólne finansowanie potrzeb rządu. Nie było powodu, aby Cordova nie postępowała analogicznie. Micky mógłby pobierać prowizję, oficjalnie lub nie, z każdego uzyskanego pensa. I co ważniejsze - pieniądze docierałyby do jego rodziny w kraju, czyniąc ją coraz bogatszą.

Nie było alternatywy. Ojciec by mu nie przebaczył, gdyby go zawiódł. Aby uniknąć jego gniewu, ożeniłby się nawet trzy razy.

Znowu popatrzył na Augustę. Nigdy nie rozmawiali o tym, co stało się w sypialni starego Setha we wrześniu tysiąc osiemset siedemdziesiątego trzeciego roku, ale nie mogła tego zapomnieć. Był to seks bez stosunku, niewierność bez formalnej zdrady, coś i nic. Oboje byli całkowicie ubrani, wszystko trwało zaledwie kilka sekund, a jednak było bardziej namiętne, wstrząsające i warte zapamiętania, niż cokolwiek, co Micky robił z dziewczynkami w domu publicznym „U Nellie”. Był też głęboko przekonany, że stanowiło równie ogromne przeżycie dla Augusty. Co naprawdę czuła, myśląc o jego ewentualnym małżeństwie? Przecież połowa kobiet w Londynie byłaby zazdrosna. Nie wiedział, co ukrywa w swoim sercu, postanowił więc zapytać ją wprost. Zajrzał jej w oczy i rzekł:

- Czy chce pani, abym się ożenił?

Zawahała się. Przez chwilę na jej twarzy odmalował się żal, ale zaraz jej rysy stwardniały i oznajmiła zdecydowanie:

- Tak.

Obserwował ją, lecz wytrzymała jego spojrzenie. Zrozumiał, że mówiła zupełnie serio, i poczuł dziwne rozczarowanie.

- Trzeba załatwić tę sprawę szybko - oświadczyła. - Nie można trzymać Emily Mapie i jej rodziców bez końca w niepewności.

Innymi słowy, lepiej, żebym ożenił się wkrótce, uznał Micky. W takim razie zrobię to. Niech tak będzie.

Do łóżki wrócili Joseph i Edward i zaczęto rozmawiać na inne tematy.

Przez cały następny akt Micky myślał o Edwardzie. Przyjaźnili się już piętnaście lat. Pilaster był słaby i niepewny, chętnie spełniający życzenia, ale pozbawiony inicjatywy i energii życiowej. Jego ideałem życiowym było pozwolić innym, aby pomagali mu i nim kierowali. Micky zaspokajał tę potrzebę od czasów, kiedy w szkole zaczął odrabiać za niego łacinę. Teraz należało go zmusić do małżeństwa niezbędnego dla kariery ich obu. W czasie drugiej przerwy Micky zwrócił się do Augusty:

- Edward potrzebuje kogoś do pomocy w banku - sprytnego urzędnika, który byłby wobec niego lojalny i dbał o jego interesy.

Augusta zastanawiała się przez chwilę.

- Rzeczywiście, bardzo dobry pomysł - oświadczyła. - Kogoś, komu oboje moglibyśmy zaufać.

- Mam kuzyna, który pracuje u nas w ambasadzie. Nazywa się Simon Oliver. Właściwie jego nazwisko brzmiało Olivera, ale je zanglicyzował. Jest sprytnym i całkowicie godnym zaufania chłopakiem.

- Przyrowadź go na herbatę - zaproponowała. - Jeżeli mi się spodoba, porozmawiam z Josephem.

- Doskonale.

Zaczął się ostatni akt. Augusta i ja często myślimy identycznie, pomyślał Micky, i właściwie z nią powinienem się ożenić. Razem podbiliśmy świat. Odpędził jednak ten fantastyczny pomysł. Kogo więc wybrać na żonę? Posażna panna nie wchodziła w rachubę, ponieważ nie miał jej nic do zaproponowania. Było kilka takich, które zdobyłby bez trudu, ale zawładnięcie sercem którejś z nich stanowiłoby dopiero pierwszy krok. Potem nastąpiłaby długa walka z rodzicami bez gwarancji sukcesu. Nie, jemu potrzebna była dziewczyna o skromnym pochodzeniu, która by już go lubiła i chętnie przyjęła jego oświadczenia. Wzrok Micky'ego błędził po rzędach teatru - i rozjaśnił się w chwili, gdy napotkał Rachel Bodwin. Doskonale pasowałaby do tej roli. Już była na wpół w nim zakochana. Rozpaczliwie poszukiwała męża. Jej ojciec co prawda niezbyt lubił Micky'ego, ale matka owszem.

Wraz z córką zdołają przełamać jego opór.

Co jednak najważniejsze, Rachel podniecała Mirandę.

Pewnie jest dziewczyną, niewinną i pełną niepokoju. Będzie z nią robił takie rzeczy, które ją oszołomią i wzbudzą odrazę. Może nawet będzie protestowała, co tylko doda pikanterii sytuacji. W końcu żona musi poddać się wymaganiom seksualnym męża, bez względu na to, jak dziwaczne czy obrzydliwe się okażą, ponieważ nie ma komu się

poskarżyć. Znowu wyobraził ją sobie przywiązaną do łóżka, ale tym razem wiła się cała - z bólu, pożądania albo i jednego, i drugiego...

Przedstawienie dobiegło końca. Kiedy wychodzili z teatru, Micky rozejrzał się, szukając wzrokiem Bodwinów. Spotkali się na chodniku, gdy Pilasterowie czekali na swój powóz, a Albert Bodwin przywoływał dorożkę. Micky uśmiechnął się czarująco do pani Bodwin i zapytał:

- Czy uczyniłaby mi pani zaszczyt, przyjmując moją wizytę jutro po południu? Pytanie najwyraźniej ją zaskoczyło.

- Cała przyjemność po mojej stronie, señor Miranda.

- Jest pani niezwykle łaskawa. - Ucisnął dłoń Rachel, spojrzął jej w oczy i rzekł: - A więc do jutra.

- Z góry się cieszę na to spotkanie - odpowiedziała. Zajechał powóz Augusty i Micky otworzył drzwi.

- Co pani o niej myśli? - szepnął.

- Ma zbyt blisko osadzone oczy - odparła, wsiadając. Usadowiła się, a potem dorzuciła przez otwarte drzwi: - poza tym wygląda jak ja. - Zatrzasnęła drzwi i powóz ruszył.

Godzinę później Micky i Edward jedli kolację w prywatnym pokoju „U Nellie”. Oprócz stołu znajdowały się w nim sofa, szafa, umywalka i wielkie łóżko. April Tilsley całkowicie zmieniła wystrój wnętrza. Przede wszystkim zatroszczyła się o eleganckie obicia Williama Morrisa oraz kilka oprawionych rycin przedstawiających ludzi wykonujących czynności seksualne za pomocą rozmaitych owoców i warzyw. Ale w tego rodzaju przedsiębiorstwie na porządku dziennym było, że ludzie upijali się i zachowywali niewłaściwie. W rezultacie tapety były już porwane, zasłony poplamione, a dywan podarty. Mdłe światło świec maskowało jednak niechlujny wygląd pokoju, a także ujmowało lat obu kobietom.

Obsługiwały ich dwie ulubienice - Nuriel i Lily - które miały na sobie czerwone jedwabne buty i wielkie, ozdobne kapelusze. Poza tym były całkowicie nagie. Za ścianami pokoju rozlegały się ochryple śpiewy i odgłosy jakiejś zażartej kłótni, ale w środku panowała cisza, zakłócana jedynie potrzaskiwaniem ognia w kominku i szeptami podających kolację dziewcząt. Atmosfera pomogła Nicky'emu rozluźnić się i sprawa pożyczki kolejowej przestała go na razie niepokoić. Przynajmniej powziął już jakiś plan. Teraz musiał spróbować go zrealizować. Popatrzył na siedzącego z drugiej strony stołu Edwarda. Bardzo owocna przyjaźń, pomyślał. Niekiedy nawet go lubił. Edward był od niego całkowicie uzależniony, co Nicky'ego trochę męczyło, ale zarazem dawało mu nad nim władzę. Pomagali sobie nawzajem i wspólnie cieszyli się wszystkimi występkami, jakich dostarczało najbardziej wyrafinowane i zepsute miasto świata. Kiedy skończyli jeść, Nicky nalał kolejny kieliszek wina i oznajmił:

- Zamierzam ożenić się z Rachel Bodwin. Nuriel i Lily zachichotały.

Edward patrzył na niego długą chwilę i wreszcie oświadczył:

- Nie wierzę.

Miranda wzruszył ramionami.

- Możesz wierzyć lub nie, ale to prawda.

- Faktycznie chcesz się ożenić?

- Tak.

- Ty świnió!

Nicky spojrział z zaskoczeniem na przyjaciela.

- Co? Dlaczego nie powinienem się żenić?

Edward wstał i pochylił się agresywnie nad stołem.

- Jesteś cholerną świnią, Miranda, i tylko tyle ci powiem. Nicky nie spodziewał się takiej reakcji.

- Co za diabeł w ciebie wstąpił? - zapytał. - Przecież sam się żenisz z Emily Napie?

- Skąd o tym wiesz?

- Od twojej matki.

- No cóż, nie żenię się z nikim.

- Dlaczego? Nasz dwadzieścia dziewięć lat, podobnie jak ja. Najwyższa pora, żeby człowiek urządził sobie coś, co przypominałoby przyzwoity dom.

- Niech diabli wezmą przyzwoity dom! - ryknął Edward. Przewrócił stół, tłukąc zastawę i rozlewając wino.

Nicky odskoczył, a obie nagie kobiety skuliły się z przerażenia.

- Uspokój się! - krzyknął Miranda.

- Po tylu latach! - szalał Edward. - Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem! Nicky był oszołomiony jego wściekłością. Musiał go jakoś udobruchać. Taka scena mogła zniechęcić Edwarda do małżeństwa, a to byłby efekt całkowicie odwrotny od zamierzonego.

- To przecież nie katastrofa - odezwał się uspokajająco. - Małżeństwo nie będzie miało żadnego wpływu na nasze życie.

- Musi!

- Nie, wcale nie. Będziemy dalej tu przychodzić.

Edward spojrział podejrzliwie, ale już spokojniejszym tonem zapytał:

. - Naprawdę?

. - Tak. I nadal będziemy odwiedzać klub. Przecież po to są kluby. Mężczyźni chodzą do nich, aby uwolnić się od żon.

- Chyba tak.

Drzwi otworzyły się i wkroczyła April.

- Co to były za hałasy? O, Edwardzie, tłuczesz moją porcelanę?

- Przepraszam, April. Zapłacę za nią.

- Właśnie tłumaczyliśmy Edwardowi - wyjaśnił Nicky - że będzie mógł tu przychodzić nawet wówczas, gdy się ożeni.

- Dobry Boże, mam nadzieję, że tak będzie - odparła April. - Gdyby nie odwiedzali nas żonaci mężczyźni, musiałabym zamknąć lokal. - Odwróciła się do drzwi i zawołała:

- Sid! Przynies miotłę.

Nicky z ulgą zauważył, że Edward szybko się uspokaja.

- Kiedy się ożenimy - powiedział - początkowo pewnie będziemy musieli spędzić kilka wieczorów w domu i wydać parę proszonych obiadów. Ale po jakimś czasie wszystko wróci do normy.

Edward zmarszczył brwi.

- Czy nasze żony nie będą się temu sprzeciwiały? Miranda wzruszył ramionami.

- A kogo to obchodzi? Co mogą nam zrobić?

- Niezadowolona żona chyba może sprawiać mężowi kłopoty.

Micky zrozumiał, że Edward uważa swoją matkę za typowy przykład żony. Na szczęście niewiele kobiet było tak mądrych i obdarzonych tak silną wolą jak Augusta.

- Cały sekret kryje się w tym, aby nie być dla nich zbyt dobrym - wyjaśnił, odwołując się do swoich obserwacji żonatych kolegów z klubu Cowes. - Jeżeli jesteś dobry dla żony, chce, żebyś ciągle z nią przebywał. Traktuj ją ostro, a będzie szczęśliwa, widząc, jak wieczorami idziesz do klubu i zostawiasz ją w spokoju.

Muriel objęła Edwarda za szyję.

- Kiedy się ożenisz, Edwardzie, wszystko pozostanie tak jak dawniej, obiecuję - rzekła. - Będę ci ssła kutasa, a ty będziesz sobie patrzył, jak Micky pieprzy Lily, tak jak lubisz.

- Naprawdę? - zapytał z głupkowskim uśmiechem.

- Oczywiście, że tak.

- A więc nic się właściwie nie zmieni - oznajmił, spoglądając na przyjaciela.

- O tak - odparł Miranda. - Zmieni się tylko jedno: zostaniesz partnerem w banku.

Rozdział drugi - Kwiecień

W teatrzyku muzycznym było gorąco jak w łaźni tureckiej. Cuchnęło piwem, gotowanymi skorupiakami i niedomytymi ludźmi. Na scenie młoda kobieta ubrana w kolorowe szmaty stała przed namalowaną dekoracją przedstawiającą pub. Trzymała lalkę, która symbolizowała noworodka, i śpiewała o tym, jak została uwiedziona porzucona. Widzowie, siedzący na ławach obok długich drewnianych stołów, trzymali się pod rękę i śpiewali chóralnie refren:

A wszystko przez kropelkę dżinu!

Hugh też śpiewał na całe gardło. Czuł się doskonale. Zjadł talerz małży i wypił kilka kufli ciepłego słodowego piwa. Przyciskano go do Nory Dempster, osoby niezwykle odpowiedniej do przytulania. Miała miękkie, przyjemne ciało, oszałamiający uśmiech i prawdopodobnie ocaliła mu życie.

Po wizycie w Kingsbridge Manor wpadł w potworną depresję. Widok Maisie obudził dawne upiory i od chwili, gdy odtrąciła go ponownie, upiory te prześladowały go bez wytchnienia.

Był w stanie przetrwać dzień, bo rozliczne problemy w pracy Pozwalały mu zapomnieć o bólu. Organizowanie zaakceptowanego wreszcie przez partnerów Banku Pilasterów wspólnego przedsiębiorstwa z Madlerem i Bellem wymagało wiele czasu zachodu. Wkrótce zresztą sam miał zostać partnerem i miały się w końcu spełnić jego marzenia. Ale wieczorami nic go już nie cieszyło. Zapraszano go na różne przyjęcia, bale i obiady, ponieważ dzięki przyjaźni z Sollym stał się członkiem Grupy Marlborough, i często z tych zaproszeń korzystał. Kiedy jednak nie było tam Maisie, czuł się znudzony, gdy zaś była - nieszczęśliwy. A więc większość wieczorów spędzał w swoim mieszkaniu, rozmyślając o niej, albo spacerował po ulicach z beznadziejnym pragnieniem jej spotkania.

I właśnie na ulicy spotkał Norę. Szedł do Petera Robinsona na Oxford Street - sklepu, w którym sprzedawano kiedyś materiały na zasłony i draperie, ale teraz nazywano go „domem towarowym” - aby kupić urodzinowy prezent dla Doty. Później zamierzał wsiąść do pociągu jadącego do Folkestone. Czuł się jednak tak fatalnie, że nie wiedział, jak zdoła znieść odwiedziny u matki, i zupełnie nie potrafił wybrać prezentu. Wyszedł ze sklepu, gdy już zaczynało się zmierzchać, i Nora dosłownie wpadła na niego. Zachwiała się, więc schwytał ją za ramiona.

Nigdy nie zapomni tego pierwszego wrażenia. Trzymał ją w objęciach, czując prze

warstwę odzieży jej delikatne, ustępliwe ciało i ciepły, aromatyczny zapach. Na moment ciemna, zimna ulica londyńska zniknęła i wydało mu się, że znalazł się w niewielkim, zamkniętym świecie nieoczekiwanej rozkoszy. W tej samej chwili Nora upuściła dopiero co kupioną ceramiczną wazę, która roztrzaskała się na chodniku.

Krzyknęła z rozpaczą i wyglądało na to, że zaraz wybuchnie płaczem. Hugh oczywiście zaproponował, że kupi jej nową.

Miała mniej więcej dwadzieścia cztery, może dwadzieścia pięć lat, ładną buzię, a spod czepeczka wysuwały się jasnoblonde włosy. Ubrana była tanio, ale sympatycznie - w wyszywaną w kwiaty różową suknię i obcisły zakiet wykończony króliczym futerkiem. Mówiła rozlewnym cockneyem.

Gdy kupowali wazę, wspomniawszy jej mimochodem, że nie może się zdecydować, co podarować siostrze na urodziny - Nora zasugerowała, aby kupić kolorową parasolkę, a potem uparła się, że pomoże mu ją wybrać. Wreszcie odwiózł ją do domu dorożką.

Dowiedział się, że mieszka z ojcem, komiwojażerem sprzedającym specyfiki medyczne. Matka nie żyła. Dzielnica była nieco gorsza, niż się spodziewał - typowa raczej dla robotniczej biedoty niż klasy średniej. Uznał, że pewnie nigdy już Nory nie zobaczy, i przez całą niedzielę w Folkestone jak zawsze myślał o Maisie. W poniedziałek otrzymał w banku liścik, w którym dziewczyna dziękowała mu za jego uprzejmość. Jej charakter pisma był drobny, równy i dziewczęcy. Zauważył to, zanim zgniótł kartkę w kulę i wrzucił do kosza na śmieci.

Następnego dnia w południe wyszedł z banku do restauracji na porcję kotletów z jagnięciami i zobaczył Norę idącą w jego stronę. Początkowo nie poznał jej, jedynie pomyślał, że ma ładną twarzyczkę, ale potem uśmiechnęła się do niego i przypomniał ją sobie. Kiedy uchylił kapelusza, zatrzymała się, aby z nim porozmawiać. Czerwieniąc się wyjaśniła mu, że pracuje jako pomocnica u gorseciarki i właśnie wraca do sklepu od klientki. Jakiś nagły impuls kazał mu zaprosić ją wieczorem na tańce.

Odparła, że chętnie by poszła, ale nie ma odpowiedniego kapelusza. Zabrał ją więc do najbliższej modystki, rozwiązując w ten sposób jej problem. Większość ich romansu odbywała się w czasie zakupów. Dotychczas nie było jej stać na wiele rzeczy i hojność Hugh'a sprawiała jej nieskrywaną radość. Jego zaś cieszyło kupowanie jej rękawiczek, butów, płaszcza, bransolet - wszystkiego, czego zapragnęła. Jego siostra, przez którą przemawiała mądrość całych dwunastu lat, oświadczyła, że Nora lubi go jedynie dla jego pieniędzy. Roześmiał się i powiedział:

- A kto by mnie lubił za mój wygląd?

Maisie nie zniknęła z jego myśli - w gruncie rzeczy pamiętał o niej każdego dnia - ale wspomnienia nie przyprawiały go już o głęboką rozpacz. Miał na co oczekiwać - były to następne spotkania z Norą. W ciągu kilku tygodni odzyskał dzięki niej całą radość życia.

Podczas jednej z wypraw po zakupy u kuśnierza na Bond Street spotkali Maisie. Hugh przedstawił jej siebie z pewnym skrepowaniem. Nora była oszołomiona faktem, że poznała panią Solomonową Greenbourne, a Maisie zaprosiła ich na herbatę do swojego domu na Piccadilly. Tego wieczoru Hugh spotkał ją jeszcze raz na balu i z zaskoczeniem przekonał się, że Maisie nader nieprzychylnie wyraża się o Norze.

- Bardzo mi przykro, ale mi się nie podoba - oświadczyła. - Według mnie jest wyrachowaną, chciwą kobietą i nie wierzę, aby choć trochę cię kochała. Na litość boską, nie żęń się z nią.

Hugh poczuł się urażony i uznał, że Maisie jest po prostu zazdrosna. A poza tym wcale nie myślał o małżeństwie.

Kiedy przedstawienie się skończyło, wyszli na zewnątrz. Była gęsta, kłębiąca się mgła o posmaku sadzy. Owinęli szaliki wokół szyj, osłaniając nimi usta, i ruszyli w stronę domu Nory w Camden Town.

Mieli wrażenie, że znajdują się pod wodą. Wszystkie dźwięki były stłumione, a ludzie i przedmioty wyłaniały się z mgły nagle, bez żadnego ostrzeżenia - dziwka, czekająca na klienta pod gazową latarnią, pijak wychodzący chwiejnym krokiem z pubu, policjant na patrolu, zamiatacz ulic, powóz z zapalonymi światłami, wolno sunący po jezdni, mokry pies w rynsztoku i lśniąca oczy kota w zaułku. Hugh i Nora trzymali się za ręce i co chwila zatrzymywali w gęstym mroku, aby opuścić szaliki i się całować. Jej wargi były miękkie i pozwalała mu wsuwać dłoń pod płaszcz i pieścić swoje piersi. Mgła spowodowała, że wszystko zdawało się wyciszone, tajemnicze i romantyczne.

Zazwyczaj żegnał się z nią na rogu ulicy, ale tego wieczoru, ze względu na mgłę, odprowadził ją aż pod same drzwi. Chciał ją znowu pocałować, ale obawiał się, że ojciec może otworzyć drzwi i ich zobaczyć. Nora jednak zaskoczyła go, mówiąc:

- Może wstąpiłbyś? Nigdy nie był w jej domu.
- Co sobie pomyśli twój ojciec? - zapytał.
- Wyjechał do Huddersfield - wyjaśniła i otworzyła drzwi.

Gdy Hugh wchodził do środka, serce zaczęło bić mu szybciej. Nie wiedział, co będzie dalej, ale z całą pewnością oczekiwało go coś podniecającego. Pomógł Norze zdjąć płaszcz i jego wzrok spoczął na jej okrytych błękitną suknią bujnych kształtach.

Dom był niewielki, mniejszy nawet od domu jego matki w Folkestone. Schody zajmowały większą część wąskiego holu, z którego prowadziło dwoje drzwi - zapewne do saloniku od frontu i kuchni od tyłu. Na górze zapewne mieściły się dwie sypialnie, a najprawdopodobniej w kuchni stała blaszana wanienka. Ustęp był w podwórzu.

Hugh powiesił płaszcz i kapelusz na wieszaku. W kuchni czekał pies i Nora otworzyła drzwi, wypuszczając małego czarnego szkockiego teriera z niebieską wstążeczką na szyi. Entuzjastycznie powitał dziewczynę i ostrożnie ominął obcego.

- Blackie pilnuje mnie, kiedy tata wyjeżdża - poinformowała Nora i Hugh natychmiast odczytał podwójne znaczenie jej słów.

Przeszedł za nią do saloniku. Meble były stare i zniszczone, ale Nora ożywiła pokój kupionymi wspólnie przedmiotami - obrazkiem przedstawiającym zamek Balmoral, kolorowymi poduszkami i dywanikiem. Zapaliła świece i zaciągnęła zasłony.

Stał pośrodku pokoju, nie bardzo wiedząc, co ze sobą zrobić, ale uwolniła go od tych cierpień, mówiąc:

- Może uda ci się rozpalić ogień. - Na palenisku kominka żarzyło się kilka węgla.

Hugh wziął szczepki i za pomocą małych miechów pobudził ogień do życia. Kiedy

skończył, odwrócił się i zobaczył ją siedzącą na sofie. Zdjęła kapelusz i rozpuściła włosy. Poklepała kanapę obok siebie i posłusznie zajął wskazane miejsce. Blackie popatrzył na niego zazdrośnie i Hugh zastanowił się, jak szybko uda mu się wyrzucić psa z pokoju.

Trzymali się za ręce i patrzyli w ogień. Odczuwał spokój i nie mógł sobie wyobrazić, że mógłby chcieć robić cokolwiek innego przez resztę życia. Po jakimś czasie pocałował ją ponownie i ostrożnie dotknął jej piersi. Była jędrna i wypełniała całą jego dłoń. Ucisnął ją lekko i dziewczyna westchnęła głęboko.

Hughowi od wielu lat nie było tak dobrze, ale pragnął więcej. Wciąż gładząc jej piersi, pocałował ją mocniej.

Stopniowo pochylała się coraz bardziej do tyłu, aż wreszcie Prawie na niej leżał.

Zaczęli ciężko oddychać. Był pewien, że Nora musi czuć jego członek opierający się o jej miękkie udo, i gdzieś na dnie umysłu coś mu mówiło, że nadużywa zaufania młodej dziewczyny w czasie nieobecności jej ojca. Ale ten głos rozlegał się słabo i nie mógł zagłuszyć wzbierającego w nim podniecenia. Pragnął dotykać jej najintymniej szych miejsc. Wsunął dłoń między jej nogi. Natychmiast zeszywniała i pies, wyczuwając napięcie, zaczął szczekać. Hugh odsunął się i zaproponował:

- Wyprowadźmy stąd psa.

Nora sprawiała wrażenie zaniepokojonej.

- Może powinniśmy przestać?

Już nie potrafił. Z drugiej jednak strony słowo „może” dodało mu otuchy.

- Nie mogę przestać - odparł. - Wyprowadź psa.

- Ale... nawet nie jesteśmy zaręczeni.

- Moglibyśmy się zaręczyć - odparł bez zastanowienia. Zbladła nieco.

- Mówisz poważnie?

Sam zadał sobie to pytanie. Od początku uważał ich związek za przelotny flirt, a nie poważną znajomość. A jednak przed kilkoma minutami wydało mu się, że pragnie spędzić resztę życia, siedząc z Norą przed kominkiem i trzymając ją za rękę. Czy rzeczywiście chciałby się z nią ożenić? Zdał sobie sprawę, że tak, że w gruncie rzeczy nie ma nic przeciwko temu. Oczywiście, wiązały się z tym pewne kłopoty. Rodzina stwierdzi, że popełnia megalomanię, ale taka rodzina może sobie iść do diabła. Ma dwadzieścia sześć lat, zarabia tysiąc funtów rocznie i wkrótce zostanie partnerem w jednym z cieszących się największym prestiżem na świecie banków. Wolno mu się żenić z każdą kobietą, którą zechce. Jego matka zmartwi się, ale mu pomoże i będzie zadowolona, widząc, że jest szczęśliwy. A wszyscy pozostali niech sobie mówią, co się im podoba. Nigdy nic dla niego nie zrobili. Spojrzał na Norę - ładniutką, różową i uroczą, leżącą na starej sofie z włosami rozpuszczonymi na nagich ramionach. Bardzo jej pragnął, teraz, natychmiast. Zbyt długo był sam. Maisie na zawsze związała się z Sollym i nigdy do niego nie wróci.

Już czas, aby znalazł sobie kogoś, kto dzieliłby z nim łóżko i życie. Czemu tym kimś nie miałyby być Nora?

Przywołał psa:

- Chodź tu, Blackie. - Zwierzę podeszło do niego ostrożnie. Pogładził je po głowie, a potem schwycił za wstążkę na karku. - Idź pilnować holu - powiedział. Wyprowadził psa na zewnątrz i zamknął drzwi. Blackie zaszczekał dwukrotnie, a potem posłusznie umilkł.

Usiadł przy Norze i wziął ją za rękę. Wyglądała na zaniepokojoną.

- Noro, czy wyjdiesz za mnie? - zapytał. Zaczerwieniła się.

- Tak - odparła.

Pocałował ją. Rozchyliła wargi i namiętnie oddała pocałunek. Dotknął jej kolana.

Ujęła jego dłoń i przesunęła ją pod spódnicę, w górę uda, aż do pachwiny. Przez flanelę jej bielizny poczuł sztywne włosy i miękkie łono. Wargi dziewczyny przesunęły się po jego policzku, aż do ucha, i usłyszał:

- Hugh, kochanie, uczyn mnie swoją, dzisiaj, teraz.

- Tak - odrzekł ochryple. - Tak.

Bal kostiumowy u księżnej Tenbigh był pierwszym wielkim wydarzeniem londyńskiego sezonu w tysiąc osiemset siedemdziesiątym dziewiątym roku. Wszyscy mówili o nim od tygodni. Na wspaniałe kostiumy wydawano fortuny i ludzie robili wszystko, aby tylko zdobyć zaproszenie.

Augusta i Joseph Pilasterowie nie zostali zaproszeni. Nic zresztą dziwnego - nie należeli do najwyższych warstw londyńskiego towarzystwa. Ale Augusta chciała tam pójść i postanowiła, że dopnie tego.

Gdy tylko usłyszała o balu, wspomniała o swoim pragnieniu Harriet Morte. Ta jednak zrobiła zakłopotaną minę i pominęła sprawę milczeniem. Jako dama dworu królowej Wiktorii miała ogromne wpływy, poza tym była daleką kuzynką księżnej Tenbigh, a mimo to nie zaproponowała, że zdobędzie zaproszenie dla Pilasterów.

Augusta sprawdziła stan konta jej męża w Banku Pilasterów i dowiedziała się, że został przekroczony o tysiąc funtów. Następnego dnia lord otrzymał notę z zapytaniem, kiedy ma nadzieję uregulować tę należność.

Tego samego dnia Augusta złożyła wizytę lady Morte. Przeprosiła ją, tłumacząc, że list wysłał pomyłkowo urzędnik, którego już z tego powodu zwolniono. A potem ponownie wspomniała o balu.

Na zazwyczaj beznamietnej twarzy damy dworu przez chwilę gościł wyraz straszliwej nienawiści. Zrozumiała, jaki jest prawdziwy cel tej wizyty. Augusta jednak była niewzruszona. Zależało jej tylko na koneksjach lady Morte i jej sympatia była najzupełniej zbędna. A Harriet Morte stanęła wobec prostego wyboru: albo skorzystać ze swoich możliwości i zdobyć dla Pilasterów zaproszenie na bal, albo zdobyć tysiąc funtów, żeby uregulować niedobór. Wybrała łatwiejsze rozwiązanie i następnego dnia przybyły zaproszenia.

Augustę zirytował i zabolął fakt, że dama dworu nie pomogła jej z własnej woli, lecz trzeba ją było do tego zmusić. Z czystej złośliwości wymogła na niej zaproszenia również dla Edwarda.

Augusta wybrała dla siebie strój królowej Elżbiety, a dla Josepha - hrabiego Leicestera. Wieczorem przed balem zjedli obiad w domu, a następnie się przebrali.

Zrobiła to pierwsza, po czym przeszła do sypialni męża, aby pomóc mu włożyć kostium i porozmawiać o jego bratanku Hughu.

Była zła, że Hugh'a postanowiono mianować partnerem w banku jednocześnie z Edwardem. Co gorsza, wszyscy wiedzieli, że jej syn uzyskuje to stanowisko tylko dlatego, że się ożenił i zainwestował w banku ćwierć miliona funtów, Hugh zaś zawdzięczał swój awans spektakularnie korzystnej umowie z Madlerem i Bellem z Nowego Jorku. Ludzie już widzieli w nim potencjalnego Starszego Partnera. Na samą myśl o tym Augusta zgrzytała zębami.

Obie nominacje miały nastąpić w końcu kwietnia, gdy formalnie odnawiano umowy o partnerstwie. Ale na początku miesiąca, ku ogromnej radości ciotki, Hugh popełnił niewiarygodny błąd, żeniąc się z pulchną dziewczyną z nizin społecznych z Camden Town.

Incydent sprzed sześciu lat udowodnił, że chłopak ma słabość do dziewczyn z rynsztoka, ale Augusta nigdy nie ośmieliłaby się nawet marzyć, że się z którąś z nich ożeni. Ślub zawarł po cichu, w Folkestone, w obecności jedynie matki, siostry i ojca panny młodej, stawiając w ten sposób całą rodzinę przed faktem dokonanym. Poprawiając Josephowi kryzę, Augusta oznajmiła:

- Teraz, gdy Hugh ożenił się z pokojówką, chyba przemyślisz jeszcze raz decyzję uczynienia go partnerem.

- Nie jest pokojówką, ale gorseciarką. A raczej była. Teraz jest panią Pilaster.

- Jednakże partner w Banku Pilasterów nie powinien raczej brać za żonę panny sklepowej.

- Uważam, że może się żenić, z kim mu się podoba. Augusta obawiała się podobnej reakcji męża.

- Nie twierdziłbyś tak, gdyby Nora była brzydka, koścista i złośliwa - skomentowała kąśliwie. - Jesteś tak tolerancyjny tylko dlatego, że jest ładna i skłonna do flirtów.

- Po prostu nie widzę problemu.

- Partner musi się spotykać z ministrami, dyplomatami, wybitnymi ludźmi interesu.

A ona nie wie, jak się zachować. Może go w każdej chwili skompromitować.

- Nauczy się. - Joseph zawahał się, a potem dodał: - Czasami wydaje mi się, że zapominasz o własnym pochodzeniu, moja droga.

Augusta wyprostowała się majestatycznie.

- Mój ojciec miał trzy sklepy! - oznajmiła gwałtownie. - Jak śmiesz porównywać mnie z tą małą ulicznicą!

Wycofał się natychmiast.

- Oczywiście, przepraszam cię. Była oburzona.

- A poza tym nigdy nie pracowałam w sklepach mojego ojca - dodała. - Wychowywano mnie na damę.

- Przeprosiłem i nie mówmy już o tym. Pora iść.

Augusta zacisnęła wargi, ale wewnątrz wciąż kipiła z wściekłości. Edward i Emily czekali na nich w holu, przebrani za Henryka H i Eleonorę Akwitańską. Edward miał

kłopoty z podwiązkami Wykonanymi ze złotej plecionki i rzekł:

- Jedźcie sami, mamó, a potem odeślijcie nam powóz. Jego żona jednak wtrąciła się szybko:

- O nie, chcę jechać już teraz. Poprawisz podwiązki po drodze.

Emily miała wielkie niebieskie oczy i ładniutką buzię małej dziewczynki. Wyglądała uroczo w bogato haftowanej dwunastowiecznej sukni i pelerynie oraz z wysokim kwefem na głowie. Augusta szybko przekonała się, że jej synowa wcale nie jest tak pokorna, na jaką wygląda. W czasie przygotowań do ślubu okazało się, że Emily jest nader stanowczą osobką. Z przyjemnością pozwoliła Augustynie zająć się weselnym śniadaniem, ale z uporem starała się postawić na swoim w sprawie swojej sukni i druchen.

Gdy powóz ruszył, Augusta przypomniała sobie, że małżeństwo Henryka II i Eleonory było burzliwe. Miała jednak nadzieję, że Emily nie sprawi Edwardowi zbyt wielu kłopotów, chociaż od dnia ślubu syn był wciąż w złym humorze, co mogło wskazywać, że ich pożycie nie układa się najlepiej. Próbowwała delikatnie wypytać Edwarda, ale nie powiedział jej ani słowa.

Najważniejszy jednak był fakt, że się ożenił i zostanie partnerem w banku. Był już zabezpieczony. Wszystko inne zawsze da się załatwić.

Bal zaczynał się o wpół do jedenastej i Pilasterowie przybyli na czas. Wszystkie okna pałacu Tenbighow płonęły światłami. Przed budynkiem stał już tłum gapiów, a na Park Lane długi szereg powozów oczekiwał na możliwość wjazdu na podwórzec. Tłum bił brawo na widok każdego przebranego uczestnika balu. Czekając na swoją kolej, Augusta zdołała dostrzec Antoniusza i Kleopatę, kilku Okrągłogłowych i paru Kawalerów, dwie boginie greckie i trzech Napoleonów. Wreszcie ich powóz zatrzymał się na podjeździe i mogli wysiąść. Wewnątrz następna kolejka ciągnęła się od holu do biegnących łukiem schodów, na których szcycie witali swoich gości księstwo Tenbigh, przebrani za Salomona i Sabę. Hall był pełen kwiatów, a przybyłym umilała czas przygrywająca orkiestra. Za Pilasterami podążał Micky Miranda, zaproszony ze względu na swój status dyplomaty. Towarzyszyła mu jego żona Rachel. Micky w czerwonych jedwabnych szatach kardynała Wolsleya wyglądał bardziej fascynująco niż kiedykolwiek i przez chwilę jego widok przyprawił Augustę o gwałtowne drżenie serca. Spojrzała krytycznie na jego żonę, która wybrała dość zaskakujący kostium niewolnicy. Augusta namówiła Micky ego do małżeństwa, ale nie mogła stłumić uczucia niechęci do tej dość pospolitej dziewczyny, która go zdobyła. Rachel odpowiedziała jej równie lodowatym spojrzeniem i gdy Micky ucałował dłoń Augusty, gestem posiadaczki ujęła go pod rękę. Kiedy wolno wchodzili po schodach, Miranda zwrócił się do żony:

- Na balu jest ambasador Hiszpanii, bądź dla niego miła.

- Sam bądź dla niego miły - odparła zdecydowanym tonem. - Uważam, że to padalec. Micky zmarszczył brwi, ale nic nie odrzekł. Rachel, ze swoimi rewolucyjnymi poglądami i zdecydowanym sposobem bycia, byłaby doskonałą żoną wojującego dziennikarza albo radykalnego posła do parlamentu. Augusta uważała, że Micky zasługuje na mniej ekscentryczną i ładniejszą małżonkę.

W polu widzenia Pilasterów pojawiła się inna para młodożeńców - Hugh i Nora. Hugh, dzięki przyjaźni z Greenbourne'ami, stał się członkiem Grupy Marlborough i ku ogromnemu żalowi ciotki wszędzie go zapraszano. Ubrany był w strój indyjskiego radży, a Nora miała na sobie ubiór zaklinaczki węży i jej wysoko rozcięta, obsypana cekinami suknia odsłaniała haremowe spodnie. Sztuczne węże owijały jej ręce i nogi, a jeden z nich opierał się na jej obfitym biuście. Augusta wzdrygnęła się.

- Doprawdy, żona Hugh'a jest niewiarygodnie wulgarna - mruknęła do Josepha. Okazało się, że postanowił być wyrozumiały.

- W końcu to bal kostiumowy.

- Żadna inna kobieta nie była tak pozbawiona gustu, aby pokazywać nogi.

- Nie widzę specjalnej różnicy między luźnymi spodniami a suknią.

Pewnie podobają mu się nogi Nory, pomyślała z niesmakiem Augusta. Jakże łatwo podobne kobiety mogą zamącić w głowach mężczyznom.

- Po prostu uważam, że nie jest odpowiednią żoną dla partnera Banku Pilasterów.

- Nora nie będzie podejmowała decyzji finansowych.

Augusta miała ochotę krzyknąć z wściekłości. Najwyraźniej nie wystarczał fakt, że żona Hugh'a pochodzi z nizin społecznych. Musiałaby zrobić coś niewybaczalnego, żeby Joseph i inni partnerzy zwrócili się przeciwko niemu. To była myśl.

Jej gniew zgasł równie szybko, jak wybuchł. Być może, doszła do wniosku, jest pewien sposób, aby wpędzić Norę w kłopoty. Popatrzyła na schody, a potem na swoją ofiarę.

Nora i Hugh rozmawiali z węgierskim attache, hrabią de Tokoly, człowiekiem o wątpliwych zasadach moralnych, przebrany nader trafnie w strój Henryka VII.

Nora jest właśnie taką dziewczyną, jaką hrabia byłby oczarowany, pomyślała złośliwie. Szanujące się damy przeszłyby przez salę, unikając kontaktu z tym człowiekiem. Zapraszano go jednak wszędzie ze względu na jego wysoką rangę dyplomaty. Twarz Hugh'a nie zdradzała nawet cienia niezadowolenia z powodu trzepoczącej rzesami żony, pogrążonej w rozmowie ze starym lubieżnikiem. Wręcz przeciwnie - malowało się na niej coś graniczącego niemal z uwielbieniem. Wciąż był zbyt zakochany, aby widzieć w tym coś niewłaściwego. To nie potrwa długo.

- Nora rozmawia z de Tokolyem - szepnęła do Josepha. - Lepiej niech uważa na swoją opinię.

- Zapamiętaj, że nie wolno ci być dla niego nieuprzejmą - odparł ostro. - Chcielibyśmy rozpiścić pożyczkę na dwa miliony funtów dla jego rządu.

Augusta absolutnie nie dbała o de Tokolya. Wciąż zastanawiała się nad tym, co począć z Norą. Dziewczynę łatwo było zaatakować właśnie teraz, gdy wszystko było jej zupełnie nieznane, bo nie miała jeszcze czasu przyswoić sobie manier wyższych sfer. Jeżeli udałoby się doprowadzić do jej kompromitacji dziś wieczór, najlepiej w obecności księcia Walii.

Właśnie gdy myślała o księciu, na zewnątrz rozległy się głośnie wiwaty informujące o przybyciu pary królewskiej. Chwilę później wkroczyli książę i księżna Aleksandra, przebrani za króla Artura i królową Ginewrę, oraz cała ich świta w rycerskich zbrojach i

średniowiecznych sukniach. Orkiestra raptownie urwała granego walca Straussa i rozpoczęła hymn narodowy. Wszyscy goście skłonili się głęboko, a przez szereg stojący na schodach przebiegła jakby fala. Księżę coraz bardziej tyje, pomyślała Augusta, schylając się w ukłonie. Nie była pewna, czy w jego brodzie pojawiła się już siwizna, ale wyraźnie zaczynał łysieć na czubku głowy. Zawsze żal jej było ładnej księżny, która musiała wiele wycierpieć z powodu rozrzuconego i romansowo usposobionego małżonka. Na szczycie schodów księstwo Tenbigh powitali królewskich gości i wprowadzili ich do sali balowej. Pozostali goście ruszyli gwałtownie za nimi. Ściany długiej sali balowej zdobiło mnóstwo kwiatów sprowadzonych z wiejskiej rezydencji gospodarzy i światło tysięcy świec odbijało się w wysokich lustrach umieszczonych pomiędzy oknami. Przebrani za elżbietańskich dworzan lokaje podawali szampana. Księżę i księżna Walii zajęli miejsca na znajdującym się w końcu sali podwyższeniu, dzięki czemu mogli przed nimi przedefilować goście w najciekawszych kostiumach. Gdy tylko następcą tronu z małżonką zasiedli, z salonu wyszła pierwsza grupa. Przy podwyższeniu powstał tłok i nagle Augusta zorientowała się, że stoi ramię w ramię z hrabią de Tokolyem.

- Cóż za czarującą dziewczyną jest żona pani kuzyna, pani Pilaster - stwierdził. Uśmiechnęła się do niego lodowato.

- Jest pan niezmiernie łaskawy, panie hrabio. Uniósł brew.

- Czyżbym dosłyszał nutę dezaprobaty? Nie wątpię, że wolelibyście państwo, aby młody Hugh wybrał małżonkę ze swojej sfery.

- Zna pan więc odpowiedź.

- Ale jej urok jest nieodparty.

- Niewątpliwie.

- Później zamierzam poprosić ją o taniec. Czy pani zdaniem Przyjmie zaproszenie? Augusta nie mogła się powstrzymać przed zjadliwą odpowiedzią:

- Jestem tego pewna. Nie odznacza się zbyt wybrednym gustem.

Odwróciła się. Bez wątpienia nie należało zbytnio liczyć na to, że Nora wywoła jakiś incydent z Tokolyem...

Nagle przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Hrabia mógł się bardzo przydać w tej rozgrywce. Jeżeli uda się jej w odpowiedni sposób doprowadzić do jego spotkania z Norą, efekt może okazać się wybuchowy.

Myśli przelatywały jej błyskawicznie przez głowę. Dziś wieczór nadarzała się idealna sposobność. Trzeba jednak działać natychmiast.

Lekko zadyszana z podniecenia rozejrzała się, dostrzegła Micky'ego i podeszła do niego.

- Chciałabym, żebyś coś dla mnie zrobił. Teraz, zaraz... - oznajmiła. Spojrzał na nią porozumiewawczo.

- Do usług - mruknął.

Pominęła milczeniem jego insynuację.

- Znasz hrabiego de Tokolya?

- Oczywiście. Wszyscy dyplomaci się znają.

- Daj mu do zrozumienia, że Nora nie jest lepsza, niż mu się wydaje. Micky skrzywił wargi w półuśmiechu.

- Tyl ko tyle?

- Możesz to rozwinąć, jeżeli sobie życzysz.

- Czy powinienem zrobić aluzję, że wiem o tym, powiedzmy, z osobistego doświadczenia?

Rozmowa zaczynała przekraczać granice przyzwoitości, ale pomysł Micky'ego był wyśmieniony i skinęła potakująco głową.

- Bardzo dobrze.

- Domyśla się pani, co on później zrobi? - zapytał Micky.

- Liczę, że złoży jej nieprzyzwoitą propozycję.

- Jeżeli tego właśnie pani sobie życzy...

- Tak.

Micky skłonił się.

- Jak zawsze jestem pani oddanym sługą. W tym i we wszystkim innym. Skwitowała jego komplement zniecierpliwionym machnięciem ręki. Była zbyt zdenerwowana, aby słuchać jego krotoczwilnej galanterii. Poszukała wzrokiem Nory i zauważyła jej podziw dla otaczającego ją bogactwa ozdób i ekstrawaganckich kostiumów. Najwyraźniej dziewczyna nigdy w życiu nie widziała niczego podobnego i absolutnie nie miała się na baczności. Bez zastanowienia Augusta przecisnęła się przez tłum i stanęła przy jej boku.

- Chciałam ci dać dobrą radę - szepnęła jej do ucha.

- Będę ogromnie zobowiązana - odparła Nora.

Hugh najprawdopodobniej w złośliwy sposób opisał żonie charakter ciotki, ale dziewczyna nie okazywała najmniejszego śladu wrogości. Wydawało się, że jeszcze nie wyrobiła sobie o niej opinii i miała obojętny do niej stosunek.

- Zauważyłam, że rozmawiałaś z hrabią de Tokolyem - rzekła.

- Oblesny staruch - stwierdziła Nora.

Augusta skrzywiła się, słysząc wulgarność tego określenia, ale mówiła dalej:

- Bądź z nim ostrożna, jeżeli cenisz sobie swoją reputację.

- Ostrożna? - spytała Nora. - Co chce pani przez to powiedzieć?

- Oczywiście, bądź uprzejma, ale cokolwiek się zdarzy, nie pozwalaj mu na jakiegokolwiek swobodne zachowanie. Wystarczy najmniejszy cień przyzwolenia, żeby - jeżeli nie przywoła się go natychmiast do porządku - stał się bardzo kłopotliwy.

Nora skinęła potakująco głową.

- Proszę się nie martwić, wiem, jak sobie dawać radę z takimi typami. Hugh stał nieopodal, rozmawiając z księciem Norwich. Spostrzegł ciotkę, popatrzył podejrzliwie i natychmiast znalazł się u boku żony. Augusta powiedziała już jednak wszystko, co zamierzała, i odwróciła się, aby oglądać korowód. Ziarno zostało posiane. Teraz należało tylko czekać na rezultat.

Przed księciem Walii przechodziła właśnie część Grupy Marlborough, między innymi księżę i księżna Kingsbridge oraz Solly i Maisie Greenbourne'owie. Byli

przebrani za Wschodnich wielmożów, szachów, paszów i sułtanów i zamiast składać dworski ukłon, klękali i wybijali salaamy, wywołując śmiech korpulentnego księcia i aplauz widowni. Augusta nie cierpiała Maisie Greenbourne, ale tym razem właściwie nie zwróciła na nią uwagi. Analizowała w myślach najrozmaitsze warianty sytuacji. Intryga mogła się nie powieść na skutek setki najrozmaitszych zbiegów okoliczności: de Tokolya może urzec ładna buzia, Nora da mu kosza w elegancki sposób, Hugh będzie znajdował się zbyt blisko hrabiego, aby ten mógł się zachować obraźliwie... Ale przy odrobinie szczęścia dramat, którego akcję zawiązała, zostanie jednak odegrany - i wówczas wybuchnie skandal. Pochód zbliżał się do końca, kiedy Augusta ze zgrozą zobaczyła Davida Middletona przedzierającego się przez tłum w jej stronę.

Po raz ostatni widziała go sześć lat temu, gdy wypytywał ją o okoliczności śmierci swojego brata Petera. Wtedy oznajmiła mu, że dwaj świadkowie, Hugh Pilaster i Antonio Silva, wyjechali za granicę. Teraz jednak Hugh powrócił i Middleton znów się pojawił. Jak zwyczajnemu prawnikowi udało się zdobyć zaproszenie na tak wielkie wydarzenie towarzyskie?

Przypomniała sobie, że był dalekim krewnym księcia Tenbigh. Nie mogła tego przewidzieć, a w sytuacji tej krył się załączek katastrofy. Przecież nie sposób wszystkiego przewidzieć! - pomyślała rozpaczliwie.

Z przerażeniem spostrzegła, że Middleton podchodzi wprost do Hugh'a. Przecisnęła się przez tłum i usłyszała:

- Halo, panie Pilaster, dowiedziałem się, że wrócił pan do Anglii. Czy pan mnie sobie przypomina? Jestem bratem Petera Middletona.

Augusta odwróciła się do nich tyłem, aby jej nie rozpoznali, i wyęzając słuch, starała się wśród gwaru wychwycić, co mówią.

- Oczywiście. Był pan na rozprawie - odparł Hugh. - Pozwoli pan, że przedstawię mu moją żonę.

- Miło mi, pani Pilaster - rzucił zdawkowo Middleton i ponownie zwrócił się do Hugh'a: - Wie pan, że nigdy nie zadowalał mnie wyrok.

Augusta zrobiło się zimno. Middleton musiał być naprawdę ogarnięty obsesją, skoro poruszył tak nieodpowiedni temat w samym środku balu kostiumowego. To był koszmar. Czyż biedny Teddy nigdy nie uwolni się od tych starych podejrzeń? Nie usłyszała, co odparł Hugh, ale ton jego głosu był ostrożnie neutralny. Middleton mówił głośniejszym głosem i dobiegło do niej jego następne zdanie:

- Cała szkoła nie wierzyła w opowiedzianą przez Edwarda historię o rzekomej próbie uratowania mojego brata przed utonięciem.

Augusta była niemal sparaliżowana. Obawiała się odpowiedzi Hugh'a, ten jednak w dalszym ciągu zachowywał się rozważnie i stwierdził jedynie, że wszystko zdarzyło się dawno temu. Nagle u boku Augusty znalazł się Micky. Twarz miał spokojną i rozluźnioną, ale w jego ruchach dostrzegła napięcie.

- Czy to ten Middleton? - szepnął jej do ucha. Skinęła głową.

- Właśnie mi się zdawało, że go poznaję.

- Cicho, słuchaj - upomniała go.

Middleton zaczął zachowywać się nieco agresywniej.

- Przypuszczam, że wie pan, co się tam naprawdę stało - oznajmił wyzywającym tonem.

- Doprawdy? - W miarę jak Hugh stawał się mniej przyjazny, jego słowa brzmiały wyraźniej.

- Proszę mi wybaczyć obcesowość, panie Pilaster, ale Peter był moim bratem. Przez całe lata zastanawiałem się nad tym, co się wtedy wydarzyło. Czy nie uważa pan, że mam prawo to wiedzieć?

Zapadła chwila ciszy. Augusta zdawała sobie sprawę, że taki apel do poczucia sprawiedliwości może wywołać odzew u świętoszkowatego Hugh'a. Najchętniej wtrąciłaby się do rozmowy, aby zmusić ich do zamilknięcia, zmiany tematu albo rozejścia się, ale wiedziała, że byłoby to równoznaczne z przyznaniem się, że ma coś do ukrycia. Stała więc bezradna, przerażona, wprost sparaliżowana. Mimo ciągłego gwaru starała się jak najwięcej usłyszeć. Wreszcie Hugh odparł:

- Nie byłem świadkiem śmierci Petera, panie Middleton, i nie mogę powiedzieć, co się wówczas stało. Nie wiem nic na pewno, a snucie domysłów w takiej sytuacji byłoby niewskazane.

- A więc ma pan jakieś podejrzenia? Domyśla się pan, co zaszło?

- W sprawach takich jak ta nie ma miejsca na domysły. Byłoby to nieodpowiedzialne.

Rozumiem, że chce pan dowiedzieć się prawdy. Gdybym ją znał, uważałbym za swój obowiązek poinformować pana o wszystkim. Ale jej nie znam.

- Wydaje mi się, że osłania pan swojego kuzyna. Hugh poczuł się urażony.

- Do licha, panie Middleton, tego już za wiele. Ma pan prawo być rozgoryczony, ale proszę nie podawać w wątpliwość mojej uczciwości.

Augusta ponownie odetchnęła. Ulga sprawiła, że poczuła, jak dygoczą jej nogi, i ukradkiem oparła się o Micky'ego. Bezcenne zasady Hugh'a zadziałały na jej korzyść. Podejrzał, że Edward przyczynił się do śmierci Petera, ponieważ jednak było to tylko podejrzenie, wolał nie wypowiadać się na ten temat. A teraz Middleton go zirytował. Dżentelmen nigdy nie kłamał i sugestia, że nie mówi prawdy, była dla tak młodego człowieka jak Hugh poważną obrazą. Obaj ci mężczyźni pewnie już nigdy nie będą ze sobą rozmawiali.

Kryzys wybuchnął gwałtownie jak letnia burza, przestraszył ją i minął równie nagle, pozostawiając ją nieco zmęczoną, ale bezpieczną.

Przemarsz zakończył się. Orkiestra zaczęła kadryla. Książę Walii poprosił księżnę Tenbigh, a książę Tenbigh księżnę Aleksandrę i razem utworzyli pierwszą czwórkę. Pozostałe grupki poszły ich siadem. Tańczono raczej spokojnie, zapewne dlatego, że wiele osób miało na sobie ciężkie kostiumy i niewygodne nakrycia głowy.

- Chyba pan Middleton nie stanowi już dla nas niebezpieczeństwa - odezwała się do Micky'ego Augusta.

- Owszem, jeżeli Hugh będzie trzymał język za zębami.

- A twój przyjaciel Silva pozostanie w Cordovie.

- W miarę upływu lat jego rodzina dysponuje coraz mniejszymi wpływami. Nie

spodziewam się zobaczyć go kiedykolwiek w Europie.

- Doskonale. - Augusta znowu powróciła myślami do swojego planu. - Rozmawiałeś z de Tokolyem?

- Owszem.

- Doskonale.

- Mam jedynie nadzieję, że pani wie, co robi. Spojrzała na niego z dezaprobatą.

- To było niemądre z mojej strony. Pani zawsze wie, co robi - usprawiedliwił się.

Następnie zagrano walca i Micky poprosił ją do tańca. Kiedy była jeszcze dziewczynką, uważano walc za nieprzyzwoity, ponieważ partnerzy byli bardzo blisko siebie, a mężczyzna obejmował kobietę w pasie. Ale obecnie tańczyły go nawet osoby z rodziny królewskiej.

Gdy tylko Micky ją objął, Augusta poczuła się jak odmieniona. Zupełnie jakby znowu miała siedemnaście lat i była ze Strangiem. Kiedy tańczył, myślał o partnerce, a nie o tym, jak stawiać stopy, i Micky zachowywał się tak samo. Dzięki niemu uległa złudzeniu, że ponownie jest młoda, piękna i beztroska. Czuła jego delikatne ręce, zapach tytoniu i brylantyny, ciepło przytulonego do niej ciała. Nagle zaczęła zazdrościć Rachel, która dzieliła z nim łóżko. W jej pamięci odżyła scena sprzed sześciu lat, w sypialni starego Seta, ale teraz już niemal wątpiła w jej realność.

Niektóre kobiety z jej sfery miały potajemne romanse i chociaż Augusta niekiedy marzyła o takim związku z Mickym, nie mogła znieść myśli o skradaniu się zaułkami, spotkaniach w jakichś podejrzanych miejscach, pospiesznych pieszczotach, wymówkach i kłamstwach. A poza tym takie romanse często wychodziły na jaw. Wolałyby raczej porzucić Josepha i uciec z Mickym. Na pewno chłopak chętnie by się zgodził, a w każdym razie gdyby się na to zdecydowała, potrafiłaby go do tego zmusić. Zawsze jednak, kiedy nachodziły ją takie marzenia, zaczynała myśleć o wszystkim, z czego musiałyby zrezygnować - o trzech domach, powozie, pieniądzech na stroje, pozycji towarzyskiej, zaproszeniach na bale takie jak ten. Strang dałby jej to wszystko, ale Micky mógłby ofiarować jedynie swoją pełną uwodzicielskiego czaru osobę. A to jednak jej nie wystarczało.

- Proszę spojrzeć tam - odezwał się Micky.

Popatrzyła w kierunku, który wskazał jej skinieniem głowy i zobaczyła Norę tańczącą z hrabią Tokolyem. Poczuła ogarniające ją napięcie.

- Zbliźmy się do nich - zaproponowała.

Nie było to łatwe, ponieważ w tamtym końcu sali przebywał książę Walii ze swym otoczeniem, i wszyscy starali się znaleźć blisko niego, ale Micky zgrabnie przeprowadził ich przez tłok. Orkiestra wciąż grała, bez przerwy powtarzając tę samą banalną melodię. Na razie Nora i hrabia wyglądali jak wszystkie inne tańczące pary. Od czasu do czasu mówił coś do niej cicho, ona zaś kiwała głową i uśmiechała się. Być może przyciskał ją zbyt mocno, ale nie aż tak mocno, by wywołało to jakieś komentarze.

Augusta zastanawiała się, czy przypadkiem nie pomyliła się w ocenie swoich obu ofiar. Zdenerwowanie usztywniło ją i tańczyła źle.

Walc zbliżał się ku końcowi, a ona nadal nie odrywała wzroku od interesującej ją

pary. Nagle zauważyła jakąś zmianę w ich zachowaniu. Na twarzy Nory pojawił się wyraz konsternacji - hrabia musiał powiedzieć coś, co jej się nie spodobało. Nadzieje Augusty ożyły. Jego słowa nie okazały się jednak wystarczającym powodem do urzędzenia mu sceny i tańczyli dalej.

Brzmiały ostatnie takty walca i Augusta była już gotowa pożegnać się z nadzieją, kiedy nastąpiła oczekiwana eksplozja.

Była jedyną osobą, która widziała początek całego wydarzenia. Hrabia pochylił się do ucha Nory i coś jej szepnął. Żona Hugh'a zaczerwieniła się, a potem przerwała taniec i odepchnęła go. Nikt oprócz Augusty nie zauważył tego, ponieważ taniec dobiegł właśnie końca. Hrabia jednak dalej próbował szczęścia i z twarzą wykrzywioną w charakterystycznym lubieżnym uśmiechu odezwał się znowu. W tej samej chwili orkiestra przestała grać i w zapadłej nagle ciszy wymierzony mu przez Norę policzek zabrzmiał jak wystrzał z pistoletu. Nie było to salonowe klepięcie zadane przez damę, ale cios, który ostudziłby zapalę pijanego adoratora w knajpie. Hrabia zatoczył się do tyłu i wpadł na księcia Walii. Całe otoczenie jęknęło z wrażenia. Księżę potknął się i przed upadkiem powstrzymał go jedynie księżę Tenbigh. W pełnej przerażenia ciszy cockney Nory rozległ się głośno i wyraźnie:

- Nigdy więcej nie zbliżaj się do mnie, ty paskudny, stary świntuchu!

Przez następną sekundę tworzyli żywy obraz - rozgniewana kobieta, upokorzony hrabia i zaskoczony księżę. Augustę ogarnęła fala niesłychanej radości. Udało się... Udało się lepiej, niż mogła sobie wyobrazić!

Zaraz jednak przy boku Nory pojawił się Hugh i ujął ją za rękę, hrabia wyprostował się i odszedł, a pełna niepokoju grupa osób otoczyła księcia, kryjąc go przed wzrokiem innych. Salę wypełnił nagle nienaturalnie głośny gwar rozmów. Augusta spojrzała na Micky'ego z triumfem.

- Wspaniale! - mruknął ze szczerym podziwem. - Jest pani doskonała, Augusto! - Ucisnął nieco mocniej jej ramię i sprowadził z parkietu.

Joseph czekał już na nią.

- Cóż za paskudna dziewczyna! - wybuchnął. - Urządzić taką scenę pod nosem samego księcia... Przyniosła wstyd całej rodzinie i niewątpliwie spowodowała utratę poważnego kontraktu!

O takiej reakcji Augusta marzyła.

- Teraz może wreszcie uwierzysz, że Hugh nie powinien zostać partnerem - oznajmiła.

Popatrzył na nią uważnie. Przez jedną koszmarną chwilę przypuszczała, że przesadziła i Joseph domyślił się, kto zaaranżował cały incydent. Ale jeżeli nawet przyszła mu taka myśl do głowy, natychmiast musiał ją odsunąć, ponieważ odezwał się:

- Masz rację, kochanie. Miałaś ją od samego początku. Hugh prowadził Norę do wyjścia.

- Oczywiście wychodzimy stąd - oznajmił spokojnie, mijając ich.

- Wszyscy musimy wyjść - odparła Augusta. Wcale jednak nie chciała, żeby wyszli

natychmiast. Istniało niebezpieczeństwo, że jeżeli dziś w nocy nic więcej nie zostanie powiedziane, jutro rano, kiedy wszyscy ochłoną, mogą uznać, że cały incydent nie był aż tak wielką katastrofą, jak się Początkowo wydawało. Zapobiec temu mogła jedynie poważna sprzeczka - rozpalone namiętności, gniewne słowa, oskarżenia, których nie da się łatwo zapomnieć. Zatrzymała Norę kładąc jej dłoń na ramieniu.

- Próbowałam cię ostrzec przed hrabią de Tokolyem - oznajmiła oskarżycielskim tonem.

- Kiedy taki człowiek obraża damę podczas tańca, nie można mu zrobić nic oprócz sceny - odparł Hugh.

- Nie bądź śmieszny - rzuciła ostro Augusta. - Każda dobrze urodzona dziewczyna wiedziałaby dokładnie, jak postąpić. Mogłaby powiedzieć, że źle się czuje, i posłać po powóz.

Oczywiście ciotka miała rację i Hugh wcale nie próbował temu zaprzeczyć. Augusta znów zaczęła się obawiać, że wszyscy mogą się uspokoić i cała sprawa umrze śmiercią naturalną. Ale Joseph wciąż był rozgniewany i odezwał się do bratanka:

- Bóg jeden raczy wiedzieć, ile szkód wyrządziłeś dziś wieczór rodzinie i bankowi.

Hugh zaczerwienił się.

- A konkretnie? - zapytał sztywno.

Podważając oskarżenie, Hugh jedynie pogarsza swoją sytuację, pomyślała z satysfakcją Augusta. Był zbyt młody, aby wiedzieć, że powinien teraz zamilknąć i jechać do domu.

Joseph rozszłościł się jeszcze bardziej.

- Z całą pewnością utraciliśmy węgierskie konto i nigdy już nie zostaniemy zaproszeni na uroczystość z udziałem rodziny królewskiej.

- Doskonale zdaję sobie z tego sprawę - potwierdził Hugh. - Chciałem tylko zapytać, dlaczego wuj uznał, że to ja spowodowałem te szkody.

- Ponieważ wprowadziłeś do naszej rodziny kobietę, która nie potrafi się zachować!

Coraz lepiej, stwierdziła Augusta ze złośliwą radością. Hugh był już czerwony jak burak, ale starał się opanować wściekłość.

- Wyjašnjmy sobie wszystko do końca. A więc żona Pilastera powinna raczej znosić obelgi i poniżenia na balu, niż narazić na niebezpieczeństwo czyjeś interesy? Taka jest twoja filozofia, wuju?

Joseph poczuł się obrażony.

- Ty bezczelny szczeniaku! - wybuchnął. - Tym mezaliansem zdyskwalifikowałeś się na zawsze jako partner w banku!

Powiedział to, pomyślała z uniesieniem Augusta. Powiedział to! Hugh umilkł gwałtownie. W przeciwieństwie do ciotki nie planował tej rozmowy, nie przemyślał wszystkich konsekwencji sprzeczki. Teraz jednak zaczęło do niego docierać znaczenie tego, co się stało. Obserwowała, jak jego wściekłość zmienia się w niepokój, potem w obawę i wreszcie w rozpacz.

Z trudem ukryła uśmiech triumfu. Osiągnęła, czego pragnęła, zwyciężyła. Później

Joseph będzie może żałował swojej decyzji, lecz było zupełnie nieprawdopodobne, aby ją cofnął - nie pozwoliłaby mu na to jego duma.

- A więc tak - odezwał się wreszcie Hugh, spoglądając raczej na Augustę niż na jej męża. Ze zdziwieniem spostrzegła, że jest bliski łez. - Doskonale, Augusto. Wygrałaś. Nie wiem, w jaki sposób to zrobiłaś, ale nie mam wątpliwości, że to ty sprowokowałaś ten incydent. - Zwrócił się do Josepha. - Ale powinieneś się nad tym zastanowić, wuju Josephie. Powinieneś zastanowić się, kto naprawdę dba o bank... - Spojrzał znowu na ciotkę i zakończył: - A kto jest jego prawdziwym wrogiem.

Wiść o upadku Hugh'a rozeszła się po City w ciągu kilku zaledwie godzin. Następnego popołudnia ludzie, którzy błagali go, aby zainteresował się ich planami zdobycia pożyczek na linie kolejowe, stalownie, stocznie i podmiejskie budownictwo mieszkaniowe, odwoływali swoje spotkania. W banku urzędnicy dotychczas okazujący mu głęboki szacunek, teraz traktowali go po prostu jako jeszcze jednego kierownika. Przekonał się, że może iść do każdej z restauracji położonych w pobliżu Bank of England, nie wywołując natychmiast - jak dotąd - zgromadzenia osób pragnących poznać jego opinię na temat linii kolejowej Grand Trunk, cen obligacji Luizjany i długu państwowego Stanów Zjednoczonych. W Pokoju Partnerów wybuchła awantura. Wuj Samuel był oburzony, gdy Joseph oznajmił, że Hugh nie może zostać mianowany partnerem. Młody William poparł jednak swojego brata, major Hartshorn zrobił to samo i Samuela przegłosowano. O sprzeczce między partnerami poinformował Hugh'a Jonas Mulberry, łysy, posępny kierownik administracji.

- Muszę stwierdzić, że niezmiernie żałuję tej decyzji, panie Hughu - oznajmił szczerze. - Kiedy jako młodzieniec był pan moim podwładnym, nigdy nie próbował pan zrzucić na mnie winy za swoje błędy - w przeciwieństwie do niektórych innych członków rodziny, z którymi miałem w przeszłości do czynienia.

- Nie ośmieliłbym się, panie Mulberry - odparł z uśmiechem Hugh.

Nora płakała przez cały tydzień. Hugh nie chciał winić jej za to, co się stało. Nikt go nie zmuszał do ożenku z nią. Musiał sam ponosić odpowiedzialność za swoje decyzje. Gdyby Pilasterowie obdarzeni byli choć odrobiną przyzwoitości, udzieliliby mu poparcia, ale zupełnie nie mógł na nich liczyć. Gdy Nora wreszcie otrząsnęła się ze żałowania, nie okazała mężowi żadnego współczucia, czym bardzo go zaskoczyła. Nie potrafiła zrozumieć, ile znaczyło dla niego uzyskanie tego stanowiska. Z pewnym rozczarowaniem uświadomił sobie, że jego żona nie jest w stanie zrozumieć innych. Być może wynikało to z faktu, że wychowywała się w biedzie i bez matki, co zmusiło ją do przedkładania własnych interesów nad wszystko inne. Jej zachowanie nieco nim wstrząsnęło, ale zapominał o tym każdej nocy, gdy kładli się w nocnych koszulach do wielkiego, miękkiego łóżka i się kochali.

Uraza wzbierała w Hughu jak wrzód, teraz jednak miał żonę, wielki nowy dom i sześcioro służby na utrzymaniu, musiał więc pozostać w banku. Otrzymał własny gabinet bezpośrednio nad Pokojem Partnerów i powiesił w nim na ścianie wielką mapę Ameryki Północnej. W każdy poniedziałek rano pisał tygodniowy raport - podsumowanie spraw związanych z interesami północnoamerykańskimi - i przysyłał go telegraficznie do Sidneya Madlera w Nowym Jorku. W następny poniedziałek po

balu u księżnej Tenbigh, idąc do mieszczącej się na parterze stacji telegrafu, spotkał obcego ciemnowłosego mężczyznę w wieku mniej więcej dwudziestu jeden lat. Hugh uśmiechnął się i powiedział:

- Dzień dobry, kim pan jest?

. - Nazywam się Simon Oliver - odparł młodzieniec z nieco hiszpańską wymową.

- Musi pan być nowym pracownikiem - stwierdził Hugh, podając mu rękę. - Jestem Hugh Pilaster.

- Dzień dobry panu - odparł Oliver z wyraźną rezerwą.

- Zajmuję się pożyczkami północnoamerykańskimi - wyjaśnił Hugh i zapytał. - A pan?

- Jestem urzędnikiem pana Edwarda. Hugh domyślił się.

- Jest pan z Ameryki Południowej?

- Tak, z Cordovy.

To miało sens. Ponieważ Edward zajmował się sprawami południowoamerykańskimi, a Cordovą w szczególności, pracownik pochodzący z tego właśnie kraju mógł być użyteczny, tym bardziej że Edward nie znał hiszpańskiego.

- Chodziłem do szkoły z ambasadorem Cordovy, Mickym Mirandą - oznajmił Hugh.

- Na pewno go pan zna.

- Jest moim kuzynem.

- Aha.

Nie było wprawdzie rodzinnego podobieństwa między Oliverem a Mirandą, ale nienaganny wygląd młodego człowieka - doskonale skrojone, wyprasowane i wyszczotkowane ubranie, włosy wybrylantynowane i przyczesane, lśniące buty - wskazywał, że niewątpliwie stara się naśladować swego odnoszącego sukcesy starszego krewnego.

- No cóż, mam nadzieję, że spodoba się panu praca u nas.

- Dziękuję panu.

Pogrążony w myślach Hugh powrócił do swojego gabinetu. Edward potrzebował wszelkiej pomocy, ale niepokojący był fakt, że kuzyn Micky'ego zajmował tak potencjalnie wpływowe stanowisko w banku.

Kilka dni później przekonał się, że jego niepokój był uzasadniony. Znowu Jonas Mulberry poinformował go o tym, co się dzieje w Pokoju Partnerów. Przyszedł wprawdzie do jego gabinetu z harmonogramem płatności, których bank miał dokonać w Londynie na rzecz rządu Stanów Zjednoczonych, ale w gruncie rzeczy chciał porozmawiać.

- Wcale mi się to nie podoba, panie Hughu - oświadczył. - Południowoamerykańskie obligacje nigdy nie były zbyt dobre. - Jego przypominająca pysk spaniela twarz wydawała się jeszcze dłuższa.

- Przecież nie wypuszczamy południowoamerykańskich obligacji, prawda? Mulberry pokiwał głową.

- Niestety, pan Edward zaproponował emisję i partnerzy wyrazili zgodę.

- Na co jest przeznaczona?
 - Na nową linię kolejową ze stolicy Palmy do prowincji Santamaria.
 - Gdzie gubernatorem jest Miranda...
 - Ojciec przyjaciela pana Edwarda, Micky'ego Mirandy.
 - I wuj urzędnika Edwarda, Simona Olivera. Mulberry pokręcił z dezaprobatą głową.
 - Pracowałem już tutaj, kiedy rząd Wenezueli nie wywiązał się ze swoich obligacji piętnaście lat temu. Moj ojciec, niech spoczywa w pokoju, pamiętał, jak Argentyna zrobiła to samo w tysiąc osiemset dwudziestym ósmym roku. I proszę spojrzeć na obligacje meksykańskie - płacą dywidendy od czasu do czasu. Czy ktoś słyszał o obligacjach spłacanych od czasu do czasu? Hugh skinął głową.
 - A poza tym inwestorzy, którzy lubią koleje, mogą dostać pięć i sześć dziesiątych procent w Stanach Zjednoczonych. Po co szukać szczęścia w Cordovie?
 - Otóż to.
- Hugh podrapał się w głowę.
- No cóż, spróbuję się dowiedzieć, co zamierzają. Mulberry trzymał w ręku plik dokumentów.
 - Pan Samuel prosił o zestawienie pasywów dalekowschodnich. Może mu pan przekazać te dane.
- Hugh uśmiechnął się.
- O wszystkim pan myśli. - Wziął papiery i zszedł do Pokoju Partnerów. Znajdowali się w nim jedynie Samuel i Joseph. Jeden dyktował listy stenografowi, a drugi wpatrywał się w mapę Chin. Hugh położył dokument na biurku Samuela i oznajmił:
 - Mulberry prosił, abym to przekazał.
 - Dziękuję. - Samuel podniósł głowę i uśmiechnął się domyślnie. - Masz jeszcze jakąś sprawę.
 - Tak. Zastanawiam się, dlaczego popieramy kolej Santamaria.
- Wuj Joseph przerwał na chwilę dyktowanie listu.
- Rzeczywiście, nie jest to nasza najbardziej atrakcyjna inwestycja, ale kiedy wesprzemy ją autorytetem Pilasterów, wszystko powinno być w porządku.
 - Można tak powiedzieć o każdej proponowanej nam edycji obligacji - zaprotestował Hugh. - A przecież naszą dobrą reputację zawdzięczamy właśnie temu, że nigdy nie oferujemy inwestorom obligacji, która jest zaledwie „w porządku”.
 - Twój wuj Joseph przypuszcza, że w Ameryce Południowej są obecnie warunki do ożywienia koniunktury.
- Słyszając swoje imię, Joseph włączył się do rozmowy:
- Po prostu zanurzamy palec w wodzie, aby sprawdzić, jaką ma temperaturę.
 - Mimo wszystko jest to ryzyko.
 - Gdyby mój pradziad nie zaryzykował, nie ulokowałby wszystkich pieniędzy w kupno statku do przewozu niewolników i nie byłoby dziś Banku Pilasterów. - Ale dotychczas - stwierdził Hugh - Pilasterowie zawsze pozostawiali takie badanie temperatury mniejszym, bardziej nastawionym na spekulację bankom.

Wuj Joseph nie lubił, gdy mu się przeciwstawiano, i odparł z wyraźną irytacją w głosie:

- Jeden wyjątek nie przyniesie nam szkody.
- Ale taka skłonność do robienia wyjątków może nam bardzo zaszkodzić.
- Ocena nie należy do ciebie.

Hugh zmarszczył brwi. Jego instynkt wyraźnie mu podpowiadał, że inwestycja nie ma handlowych uzasadnień i Joseph nie jest w stanie obronić swoich racji. Jakie więc były przyczyny tej decyzji? Po namyśle znalazł wreszcie odpowiedź.

- A więc chodzi o Edwarda, prawda? Wuj chce go poprzeć, ponieważ jest to jego pierwsza umowa na stanowisku partnera.

- Nie masz prawa podawać w wątpliwość moich motywów!

- A ty, wuju, nie masz prawa ryzykować powierzonych ci przez ludzi pieniędzy tylko dlatego, aby wesprzeć własnego syna. Drobni inwestorzy w Brighton i Harrogate postawią na tę kolej i jeżeli zbankrutuje, wszystko stracą.

- Nie jesteś partnerem, a więc niepotrzebna nam twoja opinia na ten temat. Hugh nie cierpiał ludzi, którzy w czasie dyskusji uciekali się do podobnych wykrętów, więc dodał kąśliwie:

- Jestem jednak Pilasterem i kiedy narażasz na szwank dobre imię banku, wyrządzasz szkodę mnie osobiście.

- Chyba powiedziałaś już dosyć - wtrącił się Samuel.

Hugh zdawał sobie sprawę, że powinien zamilknąć, ale nie potrafił się powstrzymać.

- Obawiam się, że jeszcze nie. - Uświadomił sobie, że krzyczy, i próbował zniżyć głos. - Twoje postępowanie podważa autorytet banku, który jest naszym największym kapitałem. Tego rodzaju decyzja jest po prostu jego trwonieniem. Joseph przestał nad sobą panować.

- Nie waż się mnie pouczać w moim własnym banku o zasadach prowadzenia interesów, bezczelny chłystku. Wynoś się z pokoju!

Hugh przez długą chwilę patrzył na niego wściekły i przygnębiony. Głupi, słaby Edward był partnerem i przy pomocy swego nieroztropnego ojca wplątywał bank w kiepskie interesy, on zaś nic nie mógł na to poradzić. Kipiąc z gniewu, odwrócił się i wyszedł, trzaskając drzwiami.

Dziesięć minut później udał się do Solly'ego Greenbourne'a poprosić go o pracę. Nie był wcale pewien, że Greenbourne'owie go przyjmą. Ze względu na swoje kontakty w Kanadzie i Stanach był niezwykle cennym nabytkiem dla każdego banku. Z drugiej jednak strony uważano, że niezbyt elegancko jest wykradać rywalom członków ścisłego kierownictwa. Poza tym Greenbourne'owie mogli się obawiać, że w czasie rodzinnych obiadów Hugh będzie zdradzał ich tajemnice, a fakt, że nie jest Żydem, mógł tylko zwiększać te obawy.

Pilasterowie stali się jednak dla niego ślepym zaułkiem. Musiał od nich odejść. Rankiem padał deszcz, ale wczesnym przedpołudniem wyszło słońce i nad ulicą unosiły się kłęby pary. Architektura City była dziwną mieszaniną wspaniałych klasycystycznych budynków i zniszczonych starych domów. Bank Pilasterów należał

do pierwszego typu, Bank Greenbourne'ów - do drugiego i na podstawie wyglądu nie sposób się było domyślić, że ten drugi jest większy i ważniejszy. Rozpoczął swoją działalność przed trzema pokoleniami, udzielając pożyczek importerom futer.

Mieścił się wówczas w dwóch pokojach starego domu przy Thames Street. Kiedy w miarę rozwoju potrzebna była dodatkowa powierzchnia na biura, właściciele po prostu kupowali następny dom i obecnie bank zajmował cztery przyległe do siebie budynki i trzy kolejne w bezpośrednim sąsiedztwie. W tych nędznie wyglądających domach prowadzono bardziej rozległe interesy niż w przepychu i wspaniałościach gmachu Pilasterów. W środku nie było nawet śladu nabożnej ciszy sali kasowej Banku Pilasterów. Hugh musiał przeciskać się przez tłum ludzi oczekujących jak suplikanci na dopuszczenie przed oblicze średniowiecznego władcy. Każdy z nich był przekonany, że jeżeli tylko zdoła zamienić kilka słów z Benem Greenbourne'em, przedstawić swoją sprawę albo wysunąć propozycję, rychło zbije fortunę. Kręte korytarze i wąskie schody zastawione były blaszanymi pudłami wypełnionymi starymi aktami, kartonami papieru listowego i kopert oraz gąsiorami atramentu, a każdy zakamarek przerobiono na pokój jakiegoś urzędnika. Hugh znalazł Solly'ego w wielkim pomieszczeniu o nierównej podłodze i z rozklekotanym oknem wychodzącym na rzekę.

Potężne ciało bankiera było do połowy ukryte za biurkiem zarzuconym stertami papierów.

- Mieszkam w pałacu, a pracuję w norze - stwierdził Ponuro Solly. - Wciąż próbuję przekonać ojca, aby zlecił budowę specjalnie zaprojektowanego gmachu, takiego jak wasz, ale zawsze odpowiada mi, że nieruchomości nie przynoszą dochodów.

Hugh usiadł na garbatej sofie i przyjął kieliszek drogiego sherry. Czuł się nieswojo, ponieważ gdzieś w podświadomości wciąż błąkały się myśli o Maisie. Uwiódł ją, zanim została żoną Solly'ego, i niedawno zrobiłby to ponownie, gdyby go wpuściła. Ale teraz wszystko już się skończyło, powiedział sobie. Maisie zamknęła przed nim drzwi swojej sypialni w Kingsbridge Manor, on zaś ożenił się z Norą. Nie miał zamiaru stać się niewiernym mężem. Mimo to był zakłopotany.

- Przyszedłem porozmawiać z tobą o interesach - oświadczył. Solly wykonał zapraszający gest.

- Proszę bardzo.

- Jak wiesz, specjalizuję się w sprawach rynku północnoamerykańskiego .

- A jakże! Tak go opanowaliście, że nawet nie możemy na niego popatrzeć.

- No właśnie. I w ten sposób tracicie sporo możliwości przeprowadzenia dobrych interesów.

- Nie musisz mnie tym dręczyć. Ojciec wciąż mnie pyta, dlaczego choć trochę nie przypominam ciebie.

- Potrzebny jest wam ktoś, kto miałby doświadczenie na tamtym terenie, zorganizował wam nowojorskie biuro i zajął się akwizycją przedsięwzięć.

- Tak. Ktoś taki i dobra wróżka.

- Mówię poważnie, Greenbourne. Jestem do waszej dyspozycji.

- Ty?!

- Chcę dla was pracować.

Solly był oszołomiony. Spojrzał znad okularów, jakby chciał sprawdzić, czy rzeczywiście jego rozmówcą jest Hugh. Milczał przez chwilę i wreszcie rzekł:

- Przypuszczam, że powodem twojej decyzji jest ów incydent na balu u księżnej Tenbigh.

- Oświadczono mi, że nie zostanę partnerem ze względu na moją żonę. - Solly zrozumie moją sytuację, ponieważ sam również ożenił się z dziewczyną z niższej sfery, pomyślał.

- Bardzo ci współczuję - odparł Solly.

- Ale nie proszę cię o przysługę - oznajmił Hugh. - Wiem, ile jestem wart, i jeżeli chcecie mnie mieć, musicie zapłacić moją cenę. Zarabiam obecnie tysiąc funtów rocznie i spodziewam się otrzymywać z każdym rokiem coraz więcej, dopóki będę przynosił bankowi zyski.

- Nie widzę problemu. - Solly zamyślił się przez chwilę - Ogromnie ci dziękuję za tę propozycję. Jesteś dobrym przyjacielem i wspomniałym człowiekiem interesów.

Przyjęcie ciebie uznano by za mój wielki sukces. - Hugh, który właśnie znowu myślał o Maisie, poczuł lekkie wyrzuty sumienia, słysząc określenie „dobry przyjaciel”, Solly zaś ciągnął: - Niczego nie życzylibym sobie bardziej niż tego, abyś pracował obok mnie...

- Wydaje mi się, że słyszę niewypowiedziane „ale” - przerwał mu Hugh, czując, że ogarnia go niepokój. Solly pokręcił głową.

- Jeżeli o mnie chodzi, nie ma żadnych „ale”. Oczywiście, nie mogę cię zatrudnić tak, jak zatrudniam księgowego. Muszę uzgodnić tę decyzję z ojcem. Ale wiesz, jak to jest w bankowym światku - zysk jest argumentem, który przebija wszystko. Nie wyobrażam sobie, żeby ojciec odrzucił możliwość zdobycia potężnego północnoamerykańskiego rynku.

Hugh starał się nie dać po sobie poznać, jak bardzo zależy mu na tej sprawie, nie zdołał się jednak powstrzymać przed zadaniem pytania:

- Kiedy z nim porozmawiasz?

- Czemu nie od razu? - Solly wstał zza biurka. - Poczekaj minutkę i poczęstuj się jeszcze sherry. - Wyszedł z gabinetu.

Hugh popijał sherry, ale był tak zdenerwowany, że z trudem przełykał. Nigdy dotąd nie poszukiwał pracy. Było irytujące, że cała jego przyszłość zależy od kaprysu starego Bena Greenbourne'a. Po raz pierwszy wczuł się w sytuację starających się o urzędniczą posadę wyświeżonych młodych ludzi w wykrochmalonych kołnierzykach, z którymi niekiedy rozmawiał. Nie mogąc się opanować, wstał i podszedł do okna. Na drugim brzegu rzeki przeładowywano beły tytoniu z barki do magazynu - jeżeli był to tytoń Virginia, cała transakcja została sfinansowana właśnie przez niego.

Ogarnęło go przecucie jakiejś ważnej zmiany, podobne do tego sprzed sześciu lat, gdy wsiadał na statek do Bostonu; wrażenie, że nic już nie będzie takie samo.

Solly wrócił z ojcem. Ben Greenbourne miał sztywną, wyprostowaną sylwetkę i okrągłą, krótko ostrzyżoną głowę pruskiego junkra. Hugh wstał, aby się przywitać, i

spojrzał na niego z niepokojem. Czyżby poważna mina starego bankiera oznaczała „nie”?

- Solly poinformował mnie, że pańska rodzina postanowiła nie zaproponować panu partnerstwa - zaczął Ben Greenbourne. Wyrażał się z chłodną precyzją, ostro akcentując każde słowo. Jak bardzo różni się od swojego syna, pomyślał Hugh.

- Ścisłe mówiąc, zaproponowano mi je, a następnie wycofano ofertę - rzekł Hugh. Greenbourne skinął głową. Był człowiekiem, który doceniał dokładność.

- Nie do mnie należy krytykowanie cudzych opinii. Jeżeli jednak pańskie północnoamerykańskie doświadczenie jest na sprzedaż, chętnie je kupię. Serce Hugh'a podskoczyło z radości. Zabrzmiało to jak propozycja pracy.

- Dziękuję panu - powiedział.

- Ale nie chciałbym, aby robił pan sobie fałszywe nadzieje, muszę więc jedną sprawę postawić jasno. Nie może pan liczyć na to, że kiedykolwiek zostanie tu partnerem.

Hugh jak na razie nie sięgał tak daleko myślą, mimo wszystko jednak wiadomość ta stanowiła dla niego pewien cios.

- Rozumiem - odparł.

- Mówię o tym teraz, aby w przyszłości nie uznał pan, że brak takiego awansu wynika ze złej oceny pańskiej pracy. Wielu chrześcijan jest naszymi dobrymi kolegami i drogimi przyjaciółmi, ale partnerami zawsze byli i będą wyłącznie Żydzi.

- Doceniam pańską szczerość - oznajmił Hugh, myśląc jednocześnie: Mój Boże, ależ z ciebie nieczuły człowiek.

- Czy w dalszym ciągu podtrzymuje pan swoją propozycję?

- Tak.

Ben Greenbourne ponownie uścisnął mu dłoń.

- W takim razie bardzo liczę na naszą dalszą współpracę - stwierdził i wyszedł z pokoju.

Solly uśmiechnął się szeroko.

- Witaj w firmie! Hugh usiadł ciężko.

- Dziękuję - rzekł. Jego ulgę i radość nieco osłabiała świadomość, że nigdy nie zostanie partnerem, ale starał się nadrabiać miną. Będzie otrzymywał wysoką pensję i żył wygodnie, lecz nie czeka go przyszłość milionera, bo do tego trzeba być partnerem.

- Kiedy możesz zacząć? - zapytał z zapałem Solly. Hugh nie pomyślał o tym.

- Chyba powinienem złożyć trzymiesięczne wypowiedzenie.

- Jeżeli ci się uda, postaraj się skrócić ten okres.

- Oczywiście, Solly. Nie potrafię wyrazić, jak jestem zadowolony. - Ja również.

Hughowi nie przychodziło już nic więcej do głowy, więc wstał, aby się pożegnać, Solly jednak zapytał:

- Czy mógłbym zaproponować ci coś jeszcze?

- Ależ oczywiście. - Usiadł ponownie.

- Chodzi mi o Norę. Mam nadzieję, że się nie obrazisz.

Hugh zawahał się. Byli starymi przyjaciółmi, ale w gruncie rzeczy wolałby nie rozmawiać z Sollym o swojej żonie. Nawet jego własne do niej uczucia były dość ambiwalentne. Był zakłopotany urządzoną przez nią sceną, a jednocześnie ją usprawiedliwiał. Krępowaty go nieco jej wymowa, sposób bycia i niskie pochodzenie, zarazem jednak był dumny z jej urody i osobistego czaru. Nie wypadało odmawiać człowiekowi, który właśnie ocalił Jego karierę, więc powiedział:

- Proszę bardzo, mów.

- Jak wiesz, ja również ożeniłem się z dziewczyną, która... nie przywykła do wyższych sfer.

Hugh skinął głową. Doskonale to wiedział. Nie wyobrażał sobie, w jaki sposób Maisie i Solly uporali się z tą sytuacją, bo przebywał wówczas za granicą, ale rezultaty były zdumiewające. Maisie stała się jedną z czołowych pan domu w londyńskim towarzystwie i jeżeli ktokolwiek pamiętał jej skromne pochodzenie, nigdy o tym nie wspomiano. Było to niezwykle, ale przecież się zdarzało. Hugh słyszał o dwóch czy trzech pięknościach z nizin społecznych, w przeszłości zaakceptowanych przez wyższe sfery. Solly ciągnął:

- Maisie najlepiej rozumie, z jakimi kłopotami styka się Nora. Mogłaby jej bardzo pomóc - doradzić, co robić i mówić, jakich błędów unikać, gdzie kupować suknie i kapelusze, jak postępować z kamerdynerem, gospodynią i tak dalej. Maisie zawsze cię lubiła i jestem pewien, że z radością to dla ciebie zrobi. Nie widzę powodu, żeby Nora nie miała powtórzyć sztuczki Maisie i nie stała się także filarem towarzystwa.

Hugh był wzruszony niemal do łez. To poparcie ze strony przyjaciela ogromnie go przejęło.

- Przekażę jej twój a propozycję - oznajmił krótko. Wstał.

- Chyba cię nie uraziłem? - zapytał z niepokojem Solly, żegnając się z nim. Hugh skierował się w stronę drzwi.

- Wręcz przeciwnie. Do licha, Greenbourne, jesteś lepszym przyjacielem, niż na to zasługuję.

Gdy Hugh wrócił do Banku Pilasterów, czekał na niego list.

10.30

Drogi Hughu

Muszę się z tobą natychmiast zobaczyć. Znajdziesz mnie w kawiarni Piage'a tuż za rogiem. Będę na ciebie czekał.

Twój stary przyjaciel Antonio Silvia

A więc Tonio powrócił! Zwichnął swoją karierę, przegrywając w karty z Edwardem i Mickym więcej, niż było go na to stać, i opuścił kraj w niesławie prawie jednocześnie z Hughiem. CO się z nim potem działo? Ogromnie zaciekawiony Hugh ruszył prosto do

kawiarni. Zobaczył postarzałego, nędznie ubranego i przygaszonego Tonia siedzącego w kącie i czytającego „Timesa”. Oprócz strzechy marchewkoworudych włosów nie pozostało w nim już nic z psotnego uczniaka czy młodego utracjusza. Mimo że był w tym samym wieku co Hugh, wokół jego oczu zaczęły już rysować się cienkie kreseczki zmarszczek.

- W Bostonie doskonale mi się powiodło - odpowiedział Hugh na pierwsze jego pytanie. - Wróciłem w styczniu. Ale teraz znowu mam kłopoty z moją przekłętą rodziną. A co u ciebie?

- W Cordovie nastąpiło wiele zmian. Moja rodzina nie jest już tak wpływowa jak niegdyś. Wciąż kontrolujemy Milpitę, stolicę prowincji, z której pochodzimy, ale w samej stolicy między nas a prezydenta Garcie wpełchnęli się inni.

- Kto?

- Partia Mirandy.

- Rodzina Micky'ego?

- Właśnie. Przejęli kopalnie saletry na północy kraju i na tym się wzbogacili. Zmonopolizowali również handel z Europą dzięki związkom z bankiem twojej rodziny.

Wiadomość ta zaskoczyła Hugh'a.

- Wiem, że Edward prowadzi wiele interesów z Cordovą, lecz nie zdawałem sobie sprawy, że wszystkie przechodzą przez Micky'ego. Nie sądzę jednak, aby miało to jakieś znaczenie.

- A jednak ma - odparł Tonio. Wyjął z wewnętrznej kieszeni płaszczka plik papierów. - Poświęć minutę na przeczytanie tego. Ten artykuł napisałem do „Ti mesa”.

Hugh wziął rękopis i zabrał się do lektury. Był to opis warunków pracy w kopalni saletry należącej do rodziny Mirandów. Ponieważ jej działalność finansował Bank Pilasterów, Tonio obciążał go odpowiedzialnością za brutalne traktowanie górników. Początkowo Hugh czytał tekst obojętnie - długie godziny, niskie zarobki i praca dzieci były elementami wspólnymi dla wszystkich kopalń na świecie. Ale gdy zagłębił się w lekturę, stwierdził, że sytuacja wygląda tam o wiele gorzej. W kopalniach Mirandów nadzorcy byli uzbrojeni w baty oraz rewolwery i często z nich korzystali, aby wymusić posłuch i dyscyplinę. Robotników, w tym również kobiety i dzieci poddawano chłoscie za zbyt wolną pracę, a jeżeli próbowali odejść przed wygaśnięciem terminu kontraktu, strażnicy mieli prawo ich zastrzelić. Tonio dysponował zeznaniami naocznych świadków, którzy opisali takie egzekucje. Hugh był wstrząśnięty.

- To przecież zbrodnia!

- Właśnie.

- Czy wasz prezydent o tym wie?

- Wie. Ale Mirandowie są obecnie jego faworytami.

- A twoja rodzina...

- Dawniej moglibyśmy spróbować położyć temu kres. Teraz musimy wyteżać wszystkie siły, aby utrzymać kontrolę nad własną prowincją.

Sama myśl, że jego rodzina i jej bank finansują tak brutalny wyzysk, doprowadziła Hugh'a do wściekłości, ale usiłował odsunąć na bok emocje i spokojnie przemyśleć

konsekwencje ewentualnej publikacji. Artykuł Tonia należał do materiałów, jakie „Times” uwielbiał drukować. Jego wydrukowanie wywołałoby liczne mowy w parlamencie, posypałyby się też listy w tygodnikach. Sumienie biznesmenów, z których wielu było metodystami, mogłoby im nakazać daleko idącą ostrożność w nawiązywaniu dalszych kontaktów z Pilasterami. Byłoby to wyjątkowo niekorzystne dla banku.

Czy w ogóle powinno mnie to obchodzić? - pomyślał Hugh. Bank potraktował go paskudnie i właśnie miał zamiar go opuścić. Ale nie mógł zlekceważyć tego problemu. Wciąż był przecież pracownikiem banku, pod koniec miesiąca otrzyma w nim pensję i przynajmniej do tego czasu powinien być lojalny wobec Pilasterów. Czego Tonio oczekiwał? Fakt, że pokazał mu artykuł przed jego opublikowaniem, kazał się domyślać, że chciał zawrzeć jakąś umowę.

- Do czego zmierzasz? - zapytał Silwę. - Czy liczysz na to, że przestaniemy finansować wydobycie saletry?

Tonio pokręcił głową.

- Gdyby Pilasterowie się wycofali, na ich miejsce przyszedłby ktoś inny, inny bank z bardziej elastycznym sumieniem. Nie, musimy działać bardziej subtelnie.

- Chodzi ci zapewne o coś konkretnego.

- Mirandowie planują budowę kolei.

- Owszem. Linię Santamaria.

- Dzięki tej kolei Tata Miranda stanie się najbogatszym i najpotężniejszym człowiekiem w całym kraju, z wyjątkiem jedynie prezydenta. A Tata Miranda jest brutalem. Zamierzam powstrzymać tę budowę.

- I dlatego właśnie postanowiłeś opublikować ten artykuł?

- Kilka artykułów. Będę również organizował zebrania, wygłaszał mowy, namawiał członków parlamentu i spróbuję uzyskać audiencję u ministra spraw zagranicznych.

Zrobię wszystko, aby uniemożliwić finansowanie tej kolei.

To może być skuteczne, pomyślał Hugh. Inwestorzy starają się unikać wszelkich kontrowersyjnych poczynań. Zwrócił uwagę, że Tonio bardzo się zmienił. Z młodego utracjusza, który nie mógł powstrzymać się przed hazardem, stał się poważnym, dorosłym człowiekiem walczącym z wyzyskiem i złym traktowaniem górników.

- Dlaczego więc przyszedłeś do mnie? - zapytał.

- Moglibyśmy wszystko uprościć. Jeżeli bank postanowi nie emitować obligacji kolejowej, nie opublikuję artykułu. W ten sposób unikniecie bardzo nieprzyjemnego rozgłosu, a ja osiągnę swój cel. - Tonio uśmiechnął się z zakłopotaniem. - Mam nadzieję, że nie uznasz tego za szantaż. Wiem, że jest to dość brutalne, ale nie tak brutalne, jak chłostanie dzieci pracujących w kopalni.

Hugh pokręcił głową.

- Wcale nie. Podziwiam twój zapał krzyżowca. Konsekwencje, jakie mogą spotkać bank, mnie już bezpośrednio nie dotyczą. Zamierzam właśnie złożyć rezygnację.

- Doprawdy?! - Tonio był zdziwiony. - Dlaczego?

- To długa historia. Opowiem ci kiedy indziej. Przedstawię jednak partnerom twoją propozycję. Dowiem się, jakie jest ich zdanie w tej sprawie i czy są skłonni coś z tym zrobić. Ale jestem przekonany, że nie zechcą wysłuchać mojej opinii.

Wciąż trzymał w ręku rękopis Tonia.

- Czy mogę zatrzymać ten artykuł?

- Tak. Mam kopię.

Na arkuszach papieru widniał nadruk hotelu „Rosyjskiego” na Berwick Street, w Soho. Hugh nigdy o nim nie słyszał, najwyraźniej nie należał do najelegantszych londyńskich obiektów tego typu.

- Powiadomię cię o stanowisku partnerów.

- Dziękuję ci. - Tonio zmienił temat. - Przykro mi, że cała nasza rozmowa dotyczyła wyłącznie interesów. Spotkajmy się kiedyś i pogadajmy o dawnych czasach.

- Musisz poznać moją żonę.

- Z przyjemnością.

- Będę z tobą w kontakcie.

Hugh opuścił kawiarnię i wrócił do banku. Kiedy spojrzął na wielki zegar w sali kasowej, ze zdziwieniem stwierdził, że nie ma jeszcze pierwszej - a tyle zdarzyło się tego ranka. Skierował się prosto do Pokoju Partnerów, gdzie zastał Samuela, Josepha i Edwarda. Podał artykuł Tonia Samuelowi, który przeczytał go i przekazał Edwardowi.

Edward o mało nie dostał apopleksji z wściekłości i nie był w stanie dokończyć lektury. Poczerwieniał na twarzy, wyciągnął palec w stronę Hugh'a i rzucił:

- To ty razem ze swoim starym szkolnym kolegą wysmażyłeś całą tę intrygę! Próbujesz zniweczyć wszystkie nasze południowoamerykańskie interesy! Zazdrościsz mi, bo nie zostałeś partnerem!

Hugh doskonale rozumiał powód tej hysterii. Interesy z Ameryką Południową były jedynym znaczącym wkładem Edwarda w przedsięwzięcia banku. Gdyby je zlikwidowano, stałby się bezużyteczny. Westchnął głośno.

- Nazywano cię w szkole „zakutym łbem” i to ci pozostało - oznajmił. - Chodzi o to, czy bank chce ponosić odpowiedzialność za wzrost siły i wpływów taty Mirandy, człowieka, który najwyraźniej nie ma najmniejszych oporów przed chłostaniem kobiet i mordowaniem dzieci.

- Nie wierzę w coś takiego! - zawołał Edward. - Rodzina Silvów rywalizuje z Mirandami. To po prostu złośliwa, oszczercza propaganda!

- Jestem pewien, że tak właśnie powie twój przyjaciel Micky. Ale czy będzie miał rację?

Wuj Joseph spojrzął podejrzliwie na Hugh'a.

- Zaledwie kilka godzin temu przyszedłeś tu i próbowałeś mnie namówić do rezygnacji z tej edycji. Zastanawiam się, czy przypadkiem cała ta sprawa nie jest próbą sabotowania pierwszej większej sprawy, jaką prowadzi Edward jako partner.

Hugh wstał.

- Jeżeli wuj zamierza podawać w wątpliwość moje dobre intencje, natychmiast stąd

wyjde.

Powstrzymał go Samuel.

- Siadaj, Hugh - polecił. - Nie musimy ustalać, czy ta historia jest prawdziwa, czy też nie. Jesteśmy bankierami, nie sędziami. Fakt, że kolej Santamaria może się stać kontrowersyjnym przedsięwzięciem, powoduje zwiększenie ryzyka, a to oznacza, że powinniśmy tę kwestię rozważyć na nowo.

- Nie pozwolę, aby mnie szantażowano! - odparł agresywnym tonem Joseph. - Niech ten południowoamerykański chłystek publikuje swój artykuł i idzie do diabła!

- To jeden sposób załatwienia sprawy - zastanawiał się na głos Samuel, traktując wojowniczą wypowiedź kuzyna poważniej, niż na to zasługiwała. - Możemy poczekać i zorientować się, jaki wpływ wywrze ta publikacja na notowania wyemitowanych już południowoamerykańskich obligacji. Nie jest ich wiele, ale wystarczą do oceny sytuacji. Jeżeli gwałtownie spadną, wycofamy się z kolei Santamaria. Jeżeli nie, będziemy działać dalej. Nieco uspokojony Joseph oświadczył:

- Nie mam nic przeciwko temu, aby poddać się ocenie rynku.

- Jest jednak jeszcze jeden sposób, który można by rozważyć - ciągnął Samuel. - Moglibyśmy zwrócić się do innego banku, żeby wypuścił te obligacje razem z nami i wspólnie z nami je uruchomił. Dzięki temu ewentualny negatywny oddźwięk ulegnie osłabieniu, bo będzie skierowany przeciwko dwóm celom.

Niezwykle sensowna propozycja, pomyślał Hugh. Ale nie było to pociągnięcie, na które zdecydowałby się on sam wolałby po prostu odwołać emisję obligacji. Obmyślona przez Samuela strategia zmniejszyłaby jednak ryzyko do minimum, a o to właśnie chodziło. Samuel był o wiele lepszym bankowcem niż Joseph.

- Dobrze - oznajmił Joseph z właściwą mu pobudliwością. - Edwardzie, zorientuj się, czy możesz pozyskać nam wspólnika.

- Do kogo powinienem się zwrócić? - zapytał z niepokojem jego syn. Hugh uświadomił sobie, że kuzyn nie ma pojęcia, jak się do tego zabrać.

- To duża edycja - wyjaśnił mu Samuel. - W gruncie rzeczy niewiele banków zdecydowałoby się podjąć tak znaczne ryzyko w Ameryce Południowej. Powinieneś iść do Greenbourne'ów. Są jedynym wystarczająco dużym bankiem. Znasz Solly'ego Greenbourne'a?

- Tak, widuję się z nim.

Hugh zastanawiał się, czy poradzić Solly'emu, aby odrzucił ofertę Edwarda, i natychmiast uznał, że nie. Został przyjęty jako ekspert w sprawach rynku północnoamerykańskiego i uważano go za przejaw zarozumiałstwa, gdyby wypowiadał swoją opinię na inne tematy. Postanowił podjąć jeszcze jedną próbę namówienia wuja Josepha do całkowitego wycofania się z rozpisania obligacji.

- Dlaczego po prostu nie umyjemy rąk i nie zrezygnujemy z kolei Santamaria? - zapytał. - Ten interes nie rokuje wysokich dochodów. Od samego początku ryzyko było wysokie, a teraz dodatkowo grozi nam negatywna opinia publiczna. Czy rzeczywiście musimy się angażować?

- Partnerzy podjęli już decyzję i nie do ciebie należy jej kwestionowanie - odparł z

rozdrażnieniem Edward.

Hugh poddał się.

- W porządku - oznajmił. - Nie jestem partnerem w banku, a wkrótce nie będę nawet jego pracownikiem.

Wuj Joseph spojrział na niego, marszcząc brwi.

- Co to ma znaczyć?

- Rezygnuję z pracy w banku. Joseph był wyraźnie poruszony.

- Nie możesz tego zrobić!

. - Z całą pewnością mogę. Jestem zwykłym pracownikiem i tak właśnie mnie traktowałeś, stryju. A więc jako zwykły pracownik odchodzę, aby podjąć lepszą pracę gdzie indziej.

- Gdzie?

- U Greenbourne'ów.

Oczy Josepha o mało nie wyszły z orbit.

- Ale jesteś jedynym, który zna wszystkich w Ameryce Północnej!

- Zapewne dlatego Ben Greenbourne tak chętnie mnie zatrudnił - odparł Hugh. Z przyjemnością obserwował, jak bardzo jego słowa rozgniewały wuja Josepha.

- Przecież odbierzesz nam te interesy!

- Powinieneś pomyśleć o tym, kiedy postanowiłeś cofnąć decyzję o mianowaniu mnie partnerem.

- Ile będą ci płacić?

Hugh wstał.

- To już nie powinno cię obchodzić - odparł stanowczo.

- Jak śmiesz mówić w ten sposób do mojego ojca?! - wrzasnął piskliwie Edward. Nagle oburzenie Josepha jakby wyparowało i Hugh ze zdziwieniem zauważył, że wuj uspokoił się raptownie.

- Och, zamknij się, Edwardzie - powiedział łagodnie. - Dobrego bankiera powinna cechować również pewna doza pospolitego sprytu. Są chwile, kiedy chciałbym, abyś choć trochę przypominał Hugh'a. Może jest czarną owcą w rodzinie, ale przynajmniej trudno odmówić mu odwagi. - Odwrócił się do bratanka. - No dobrze, wynoś się - rzekł bez złości. - Mam nadzieję, że źle na tym wyjdiesz, ale wcale bym się nie założył.

- Bez wątpienia jest to coś najbardziej zbliżonego do dobrych życzeń, co mógłbym usłyszeć od tej części rodziny - oświadczył Hugh. - Żegnam.

- Jakże się miewa droga Rachel? - zapytała Augusta, nalewając Micky'emu herbatę.

- Doskonale. Może przyjdzie nieco później.

Prawdę mówiąc, niezbyt rozumiał swoją żonę. Kiedy się pobrali, była dziewczyną, ale zachowywała się jak dziwka. Oddawała mu się zawsze i wszędzie z niesłabnącym entuzjazmem. Jednym z pierwszych pomysłów, jaki wypróbował, było przywiązanie jej do łóżka. Chciał w ten sposób przywołać na nowo wizję, która go tak podnieciła w momencie, kiedy zaczęła pociągać go erotycznie. Nieco rozczarował się jednak, gdy zgodziła się z ochotą. Jak dotąd nic, co jej proponował, nie wzbudzało w niej oporów.

Brał ją nawet w salonie, gdzie w każdej chwili mogła wejść służba, i wydawało się, że sprawia jej to jeszcze większą przyjemność. Jednakże we wszystkich innych sferach życia wcale nie była uległa. Kłóciła się z nim na temat domu, służby, pieniędzy, polityki i religii. Kiedy znudziły go sprzeczki, próbował nie zwracać na nią uwagi, potem nawet ją obrażał, ale nie poskutkowało. Wciąż się łudziła, że ma takie same prawo do własnego zdania jak mężczyzna.

- Chyba pomaga ci w pracy? - rzekła Augusta. Micky skinął głową.

- Nawet bardzo przydaje się w mojej pracy ambasadora - odparł. - Jest świetną, pełną wdzięku panią domu.

- Mam wrażenie, że doskonale się sprawdziła, przygotowując przyjęcie, które wydałeś na cześć ambasadora Portillo - stwierdziła Augusta. Portillo był ambasadorem Portugalii i Pilasterowie oczywiście zostali zaproszeni.

- Wpadła na głupi pomysł otworzenia szpitala położniczego dla niezamężnych kobiet - oznajmił Micky, nie kryjąc irytacji.

Augusta pokręciła z dezaprobatą głową.

- To nie przystoi kobiecie z jej pozycją towarzyską. A poza tym istnieją już ze dwa takie szpitale.

- Oświadczyła, że to instytucje religijne, w których uświadamia się kobietom, jak są zdeprawowane. Natomiast w jej szpitalu pomagano by wszystkim, nie prawiąc nauk moralnych.

- Coraz gorzej - oburzyła się. - Pomyśl o reakcji prasy!

- Właśnie! Bardzo stanowczo sprzeciwiam się temu projektowi.

- Jest szczęśliwą dziewczyną - stwierdziła Augusta, obdarzając go czułym uśmiechem.

Zdał sobie sprawę, że z nim flirtuje, i nie zareagował. Prawdę mówiąc, był zbyt zaabsorbowany Rachel. Oczywiście nie kochał jej, ale fascynowały go panujące między nimi stosunki, a poza tym pochłaniała całą jego energię seksualną. Aby wynagrodzić Augustie swój brak zainteresowania, potrzymał przez chwilę jej rękę, gdy podawała mu filiżankę z herbatą.

- Pochlebia mi pani - rzekł cicho.

- Bez wątplenia. Ale widzę, że coś cię niepokoi.

- Droga pani Pilaster jest spostrzegawcza jak zawsze. Jakże zdołałbym cokolwiek przed panią ukryć? - Puścił jej dłoń i wziął herbatę. - Tak, jestem nieco zdenerwowany sprawą kolei Santamaria.

- Myślałam, że partnerzy wyrazili już zgodę.

- Owszem, ale te sprawy załatwia się tak długo.

- Świat finansów nigdy się nie spieszy.

- W przeciwieństwie do mojej rodziny, wiem o tym. Ojciec dwa razy w tygodniu przysyła mi telegramy.

W pokoju pojawił się Edward. Wyraźnie rozsadzały go najnowsze wieści.

- Wrócił Antonio Silva! - oznajmił, zanim zdążył zamknąć drzwi. Augusta zbladła.

- Skąd wiesz?

- Hugh go widział!

- Okropne! - powiedziała i Micky ze zdziwieniem spostrzegł, że jej ręka, w której trzyma spodeczek z filiżanką, wyraźnie drży.

- A David Middleton wciąż zadaje pytania - dodał Micky, przypominając sobie rozmowę prawnika z Hughiem na balu u księżnej Tenbigh. Udawał, że jest zmartwiony, ale prawdę mówiąc, był nawet zadowolony z tej wiadomości. Lubił, gdy od czasu do czasu coś przypominało Auguście i Edwardowi ich wspólną tajemnicę.

- To nie wszystko - dorzucił Edward. - Próbuje uniemożliwić wypuszczenie obligacji kolejowych Santamaria.

Micky zmarszczył brwi. Rodzina Tonia sprzeciwiała się planowi budowy kolei, ale została przegłosowana przez prezydenta Garcję. Co Silva mógłby zdziałać tutaj, w Londynie?

Podobne pytanie przyszło do głowy Auguście.

- W jaki sposób?

Edward podał matce plik papierów.

- Przeczytaj.

- Co to takiego? - zapytał Micky.

- Artykuł o kopalniach saletry należących do twojej rodziny. Tonio ma zamiar opublikować go w „Timesie”.

Augusta przebiegła wzrokiem tekst.

- Twierdzi, że życie górnika w kopalniach saletry jest bardzo niebezpieczne i niemiłe - rzekła z pogardą. - Czy ktoś kiedykolwiek twierdził, że ma to być proszony obiad?

- Informuje również, że za nieposłuszeństwo kobiety poddaje się chłóście, a dzieci zabija.

- Ale jaki to ma związek z wypuszczeniem obligacji? - zdziwiła się.

- Kolej ma być środkiem transportu saletry do stolicy. Inwestorzy nie lubią niczego kontrowersyjnego. Wielu z nich już traktuje obligacje południowoamerykańskie z dużą ostrożnością, a takie informacje mogą spowodować, że będą się ich bali jak ognia.

Micky był wstrząśnięty. Wiadomości rzeczywiście sprawiały wrażenie fatalnych.

- Co twój ojciec na to? - zapytał Edwarda.

- Próbujemy namówić inny bank, żeby przystąpił razem z nami do interesu, ale w zasadzie jesteśmy skłonni pozwolić Toniowi opublikować artykuł i zobaczyć, co się stanie. Jeżeli rozgłos spowoduje spadek akcji południowoamerykańskich, trzeba będzie zrezygnować z kolei Santamaria.

Niech tego Tonia diabli wezmą! Okazał się sprytny, a Tata był głupcem, sądząc, że można zarządzać kopalniami jak obozami niewolników i jednocześnie zabiegać o pieniądze w cywilizowanym świecie.

Jak wybrnąć z tej sytuacji? Micky zastanawiał się intensywnie. Silwę należało uciszyć, ale nie da się tego zrobić perswazją czy przekupstwem. Uświadomił sobie, że będzie musiał sięgnąć do bardziej brutalnych, ryzykownych metod. Zrobiło mu się zimno,

udawał jednak spokój.

- Czy mógłbym zobaczyć ten artykuł? Augusta podała mu go. pierwszą rzeczą, na którą zwrócił uwagę, był adres hotelu u góry arkusza papieru.

- No cóż, nie widzę żadnego problemu - oznajmił z beztroską, której wcale nie czuł.

Edward zaprotestował.

- Przecież nawet go nie przeczytałeś!

- Wcale nie musiałem. Zobaczyłem adres.

- I co z tego?

- Teraz, kiedy wiemy, gdzie go znaleźć, będziemy mogli dojść z nim do porozumienia - oświadczył. - Zostawcie to mnie.

Rozdział trzeci - Maj

Solly uwielbiał obserwować ubierającą się Maisie.

Co wieczór wkładała narzutkę i wzywała pokojówki, aby upięły jej włosy i powplatały w nie kwiaty, pióra albo paciorki. Potem zaś odsyłała służbę i czekała na męża.

Dziś wieczorem wychodzili, jak zresztą niemal codziennie. W sezonie zostawali w domu jedynie wówczas, gdy wydawali przyjęcie. Od Wielkanocy do końca czerwca nigdy nie jedli obiadu sami.

Solly wszedł do sypialni o wpół do siódmej. Miał na sobie frakowe spodnie i białą kamizelkę, w rękę trzymał duży kieliszek szampana. Włosy Maisie przybrane były żółtymi jedwabnymi kwiatami. Zsunęła z ramion koszulę i aby sprawić mu przyjemność, stanęła nago przed lustrem.

Zaczęła się ubierać.

Najpierw wsunęła się w płócienną koszulę z karczkiem wyhaftowanym w kwiatki.

Jedwabne wstążki na ramiączkach pozwalały w niewidoczny sposób przywiązać bieliznę do wieczorowej sukni. Następnie naciągnęła cienkie wełniane pończochy, podtrzymując je nad kolanami elastycznymi podwiązkami. Z kolei włożyła długie do kolan, luźne bawełniane majtki z plecionymi lamówkami i wiązane w pasie, a potem wykonane z żółtego jedwabiu wieczorowe pantofelki.

Solly wziął z manekina gorset, pomógł jej go przywdziać, po czym mocno zasznurował na plecach. Większości kobiet musiały pomagać w ubieraniu pokojówki, ponieważ nie były w stanie poradzić sobie ze skomplikowanym gorsetem i suknią. Solly jednak wolał sam opanować te czynności, aby tylko mieć przyjemność patrzenia na jej toaletę. Krynoliny i turniury wyszły już z mody, ale Maisie zdecydowała się na bawełnianą halkę z ozdobionym falbankami trenem i koronkowym obrębieniem podtrzymującym tren samej sukni. Solly zawiązał tasiemki halki i wreszcie żona mogła włożyć suknię.

Była to kreacja z jedwabnej tafty w żółte i białe paski, z luźno udrapowanym stanikiem, co podkreślało obfity biust Maisie, spiętym na ramieniu kokardą.

Pozostała część stroju była równie bogato udrapowana i lekko ściągnięta w pasie, na wysokości kolan i u dołu. Prasowanie tej toalety zajmowało pokojówce cały dzień.

Maisie usiadła na podłodze, a Solly podniósł suknię nad jej głowę, tak że znalazła się

jak pod namiotem. Potem wstała ostrożnie, wkładając ręce w ramiączka, a głowę w dekolt. Następnie wspólnie ułożyli w odpowiedni sposób fałdy spódnicy.

Otworzyła szkatułkę z biżuterią i wyjęła naszyjnik ze szmaragdów i brylantów oraz uzupełniającą komplet parę kolczyków. Solly ofiarował jej ten garnitur na pierwszą rocznicę ślubu. Kiedy je zakładała, powiedział:

- Będziemy teraz o wiele częściej widywać naszego starego przyjaciela Hugh'a Pilastera.

Maisie powstrzymała westchnienie. Łatwowierność Solly'ego bywała męcząca. Zwyczajny podejrzliwy mąż wyczułby więź istniejącą między nią a Hughiem i wpadałby w zły humor za każdym razem, ilekroć wymieniano by jego imię, ale Solly był zbyt niewinny. Nie miał pojęcia, że wciąż wystawia ją na pokusę.

- Oo, a co się stało? - zapytała, starając się, by jej głos zabrzmiał obojętnie.

- Będzie pracował w naszym banku.

- Dlaczego porzuca Pilasterów? Myślałam, że dobrze mu się tam powodzi.

- Odmówili mu awansu na partnera.

- Och, nie! - Znała Hugh'a lepiej niż ktokolwiek inny wiedziała, jak bardzo cierpiał z powodu bankructwa i samobójstwa swojego ojca. Mogła sobie wyobrazić, jak go ta odmowa załamała. - Pilasterowie są strasznie złośliwą rodziną - oznajmiła z uczuciem.

- Przyczyną tej decyzji była jego żona. Maisie skinęła głową.

- Wcale mnie to nie dziwi. - Widziała, co się stało na balu u księżnej Tenbigh, i nie mogła oprzeć się wrażeniu, że Augusta zdołała w jakiś sposób zaaranżować cały ten incydent, aby zdyskredytować Hugh'a.

- Chyba żal ci Nory.

- Mhm. - Maisie poznała ją kilka tygodni przed ślubem i natychmiast poczuła do niej antypatię. Kiedyś nawet głęboko uraziła Hugh'a, mówiąc, że dziewczyna jest nieczułą łowczynią fortuny i nie powinien się z nią żenić.

- W każdym razie zaproponowałam Hughowi twoją pomoc.

- Co?! - zawołała ostro Maisie. Podniosła głowę znad lustra. - Pomóc jej?!

- No tak. Odzyskać dobre imię. Wiesz, jakie to przykre, kiedy z powodu pochodzenia patrzą na ciebie z góry, bo sama musiałaś walczyć z podobnymi uprzedzeniami.

- A teraz powinnam uczyć każdą dziewczynę z ulicy, której uda się przez małżeństwo wejść do towarzystwa? - zapytała zjadliwie Maisie.

- Chyba postąpiłem niewłaściwie - stwierdził zmartwiony Solly. - Myślałem, że chętnie mi pomożesz, bo przecież zawsze lubiłaś Hugh'a.

Maisie podeszła do komódki po rękawiczki.

- Wolalabym, żebyś najpierw porozumiał się ze mną.

Otworzyła komodę. Na wewnętrznej stronie drzwi wisiał oprawiony w ramki stary cyrkowy afisz przedstawiający ją w trykotach, stojącą na grzbiecie białego konia.

Straciła ochotę do dalszej sprzeczki i nagle poczuła się zawstydzona. Podbiegła do Solly'ego i objęła go gwałtownie.

- Och, Solly, jak mogę być taka niewdzięczna?
- No, no, uspokój się - mruzczał, głaszcząc jej nagie ramię.
- Byłeś taki dobry, hojny dla mnie i mojej rodziny. Oczywiście, że to zrobię, jeżeli tego sobie życzysz.

- Nie chciałbym cię do niczego zmuszać.

- Ależ skąd, wcale mnie nie zmuszasz. Dlaczego nie miałabym jej pomóc, aby osiągnęła to samo co ja? - Spojrzała na pulchną, zaniepokojoną twarz męża i pogłaskała go po policzku. - Przestań się martwić. Przez chwilę zachowałam się strasznie samolubnie, ale już minęło. Idź włożyć frak. Jestem gotowa. - Stała na palcach i pocałowała go w usta, a potem odwróciła się i zaczęła naciągać rękawiczki.

Wiedziała, co spowodowało jej wybuch. W całej tej sytuacji kryła się gorzka ironia: poproszono ją o przygotowanie Nory do odgrywania roli pani Pilaster - roli, o której sama marzyła. W głębi serca wciąż pragnęła zostać żoną Hugh'a i nienawidziła Nory za zdobycie mężczyzny, którego sama utraciła. Zawstydziała się swojej reakcji. A przecież powinna być zadowolona z ożenku Hugh'a. Był bardzo nieszczęśliwy, do czego się w dużym stopniu przyczyniła, a teraz już nie musiała się o niego martwić. Miała poczucie straty, jeżeli nie żalu, lecz uznała, że trzeba o wszystkim zapomnieć. Podejmie się więc tego zadania i Nora Pilaster powróci do łask londyńskich wyższych sfer.

Solly wrócił we fraku i razem poszli do pokoju dziecinnego. Bertie był już w nocnej koszulce i bawił się drewnianym modelem pociągu. Bardzo lubił oglądać swoją wystrojoną mamę i byłby niezwykle rozczarowany, gdyby z jakiegoś powodu wyszła wieczorem, nie pokazując mu, jak jest ubrana. Opowiedział jej, że był po południu w parku i zaprzyjaźnił się z dużym psem, a Solly położył się na podłodze i przez jakiś czas bawili się kolejką. Gdy Bertie leżał już w łóżku, Maisie z Sollym zeszli na dół i wsiedli do Powozu.

Najpierw udawali się na proszony obiad, a potem na bal. Obie imprezy odbywały się niedaleko, zaledwie półtora kilometra od ich domu na Piccadilly, ale Maisie nie chciała iść pieszo - zanim doszłyby na miejsce, tren, dół sukni i jedwabne pantofelki byłyby już brudne! Podejmując tę decyzję, uśmiechnęła się na myśl, że dziewczyna, która kiedyś szła cztery dni do Newcastle, teraz musi mieć powóz, aby przebyć kilometr.

Mogła zacząć swoją walkę o Norę jeszcze tego wieczoru. Kiedy bowiem weszła do salonu markiza Hatchforda, pierwszą osobą, którą zobaczyła, był hrabia de Tokoly.

Znała go zupełnie dobrze. Zawsze starał się z nią flirtować, mogła więc rozmawiać z nim zupełnie szczerze.

- Proszę wybaczyć Norze Pilaster ten policzek, hrabio - zwróciła się do niego.

- Wybaczyć? - zapytał. - Czułem się pochlebiony! Uświadomiła mi, że w moim wieku wciąż jeszcze mogę spowodować, aby młoda kobieta mnie spoliczkowała. To przecież wielki komplement!

Wtedy tak tego nie odebrałaś, pomyślała Maisie. Była jednak zadowolona, że postanowił cały incydent zbagatelizować.

- Gdyby nie potraktowała mnie poważnie - dodał - ooo, to dopiero byłaby obelga. I tak właśnie powinna była postąpić Nora, uznała Maisie.

- Proszę mi coś wyjaśnić - rzekła. - Czy Augusta Pilaster zachęcała pana do flirtu ze swoją szwagierką?

- Cóż za koszmarnie przypuszczenie! - odparł. - Pani Pilaster jako rajfurka? Nie, nic takiego nie zrobiła!

- A może ktoś inny? Spojrzał na nią, mrużąc oczy.

- Jest pani sprytna, pani Greenbourne, zawsze panią podziwiałem z tego powodu. O wiele sprytniejsza od Nory Pilaster. Nigdy nie stanie się taka jak pani. - Ale nie odpowiedział pan na moje pytanie.

- Ponieważ tak panią podziwiam, nie będę ukrywał prawdy. Ambasador Cordovy, señor Miranda, szepnął mi, że Nora jest... jak to ująć... łatwa.

A więc tak wyglądały sprawy.

- Namówiła go do tego Augusta, jestem pewna. To para, która działa ręką w rękę. De Tokoly zachnął się.

- Mam nadzieję, że nie byłem pionkiem w ich grze.

- Ktoś, kto postępuje w sposób tak łatwy do przewidzenia, naraża się na podobne niebezpieczeństwa - stwierdziła zjadliwie Maisie.

Następnego dnia zaprowadziła Norę do krawcowej i gdy żona Hugh'a oglądała różne fasony i materiały, postanowiła dowiedzieć się czegoś więcej o wydarzeniu na balu.

- Czy Augusta wcześniej mówiła ci coś o hrabim? - zapytała.

- Ostrzegła mnie, że bym nie pozwoliła mu na zbyt swobodne wobec mnie zachowanie.

- A więc, można rzec, byłaś na niego przyszykowana.

- Tak.

- A gdyby Augusta nic ci nie powiedziała, postąpiłabyś tak samo? Nora zamysliła się.

- Pewnie nie dałabym mu w gębę... Nie odważyłabym się. Ale ostrzeżenie Augusty dało mi do myślenia i uznałam, że należy okazać stanowczość.

- No tak - skinęła głową Maisie. - Ona chciała, żeby doszło do scysji, bo jednocześnie kazała komuś innemu poinformować hrabiego, że jesteś łatwą dziewczyną.

Nora była oszołomiona.

- Jesteś pewna?

- Wiem to od niego. Augusta jest podstępna suką i nie ma żadnych skrupułów. - Maisie uświadomiła sobie, że mówi z wymową z Newcastle, co obecnie rzadko jej się zdarzało. Natychmiast naprawiła błąd. - Nigdy nie lekceważ jej umiejętności zastawiania pułapek.

- Nie przestraszy mnie - odparła zadziornie Nora. - Ja również nie mam zbyt wielu skrupułów.

Maisie uwierzyła jej i pożałowała Hugh'a.

Styl palonaise jest najbardziej odpowiedni dla Nory, pomyślała, widząc, jak krawcowa upina suknię na jej obfitych kształtach. Wyszukane ozdoby - plisowane

kryzki, kokardki wokół dekoltu i falbany - wyglądały na niej wspaniale. A długi gorset skutecznie ujarzmił jej zbyt bujne kształty.

- Ładny wygląd to połowa sukcesu - wyjaśniła Maisie gdy Nora podziwiała się w lustrze. - Przecież gdy chodzi o mężczyzn, tylko to się liczy. Ale trzeba znacznie większego wysiłku, aby zostać zaakceptowaną przez kobiety.

- Zawsze lepiej mi szło z mężczyznami niż kobietami - stwierdziła Nora. Maisie wcale się nie zdziwiła - Nora była takim właśnie typem.

- Musisz być taka sama jak ja - ciągnęła Nora. - Dlatego udało nam się dostać tu, gdzie jesteśmy.

Czy rzeczywiście jesteśmy takie same? - zastanowiła się Maisie.

- Wcale nie zamierzam ci dorównać - dodała żona Hugh'a. - Każda ambitna dziewczyna w Londynie ci zazdrości.

Maisie skrzywiła się na myśl, że polujące na majątek kobiety uważają ją za bohaterkę, ale nie zaprotestowała, uznając, że pewnie zasługuje na taką opinię. Nora wyszła za męża dla pieniędzy, z czego szczerze się zwierzyła, zakładając, że Maisie postąpiła tak samo. I miała rację.

- Nie chcę się skarżyć - paplała Nora - ale niestety wybrałam sobie rodzinną czarną owcę, tę bez kapitału. A ty wyszłaś za jednego z najbogatszych ludzi na świecie.

Ale byś się zdziwiła, pomyślała Maisie, gdybyś wiedziała, jak chętnie bym się z tobą zamieniła. Odpędziła tę myśl. Dobrze, a więc Nora i ona były takie same. Postara się pomóc jej zdobyć uznanie snobów i jędz, które władały towarzystwem.

- Nigdy nie mów, ile coś kosztuje - zaczęła, wspominając swoje pierwsze błędy. - Zawsze bądź spokojna i niewzruszona, bez względu na to, co się dzieje. Jeżeli twój stangret dostanie ataku serca, rozpadnie się powóz, kapelusz porwie wiatr i spadną ci majtki, powiedz jedynie: „Och, cóż za przygoda” - i wezwij dorożkę. Pamiętaj, że na wsi jest lepiej niż w mieście, lenistwo szlachetniejsze od pracy, stare cenniejsze od nowego, a tytuł ważniejszy od pieniędzy. Musisz wiedzieć trochę o wszystkim, ale nigdy nie staraj się być specjalistką. Próbuje mówić, nie poruszając ustami - to poprawi twoją wymowę. Opowiadaj ludziom, że twój pradziadek miał farmę w Yorkshire - Jest zbyt duże, aby ktokolwiek chciał to sprawdzić, a rolnictwo uchodzi za szlachetny sposób stania się biednym. Nora zrobiła minę, spojrzała na nią nieprzytomnym wzrokiem i rzekła leniwie:

- Och, mój Boże, tyle do zapamiętania, jakże w ogóle to możliwe?

- Doskonale - oznajmiła Maisie. - Na pewno wspaniale ci pójdzie.

Micky Miranda stał w drzwiach na Berwick Street. Miał na sobie lekki płaszcz, który chronił go przed chłodem wiosennego wieczoru. Palił cygaro i obserwował ulicę. Niedaleko paliła się gazowa latarnia, on jednak skrył się w cieniu, dzięki czemu przechodnie nie mogli dojrzeć jego twarzy. Był zdenerwowany, niezadowolony z siebie. Nie lubił przemocy. To były sposoby Taty i Paula. Dla niego korzystanie z takich metod oznaczało przyznanie się do porażki.

Berwick Street była wąską, brudną uliczką z tanimi pubami i hotelikami. Psy wyszukiwały pożywienie w rynsztokach, a małe dzieci bawiły się w świetle latarni.

Micky stał tu od momentu zapadnięcia zmroku i nie widział ani jednego policjanta. Teraz dochodziła już północ.

Hotel „Rosyjski” znajdował się po drugiej stronie ulicy. Jego najlepsze dni już minęły, ale w dalszym ciągu wyróżniał się spośród swojego otoczenia. Nad wejściem paliło się światło i Micky mógł dojrzeć hol oraz kontuar recepcji, ale jak dotąd, nikogo przy nim nie było.

Dwaj inni mężczyźni kręcili się po przeciwległym chodniku, Po obu stronach wejścia do hotelu. Razem z nim czekali na Antonia Silvę.

W obecności Edwarda i Augusty Micky udawał spokój, ale prawdę mówiąc, był przerażony perspektywą ukazania się w „Timesie” artykułu Tonia. Tyle wysiłku kosztowało go skłonienie Pilasterów do zaangażowania się w budowę kolei Santamaria. Aby umożliwić wypuszczenie tych przeklętych obligacji, ożenił się nawet z tą dziwką Rachel. Cała jego kariera uzależniona była od powodzenia tego przedsięwzięcia. Gdyby zawiódł rodzinę, ojciec nie tylko byłby wściekły, ale również chciałby się zemścić. Dysponował wystarczającą władzą, by doprowadzić do zwolnienia syna ze stanowiska ambasadora. Bez pieniędzy i pozycji społecznej Micky nie mógłby pozostać w Londynie, musiałby powrócić do domu i doznać upokorzeń niełaski. W każdym razie skończyłoby się życie, które tak mu się podobało.

Rachel zażądała wyjaśnienia, gdzie zamierza spędzić wieczór. Wyśmiał ją.

- Nigdy nie próbuj zadawać mi takich pytań - oświadczył. Zaskoczyła go jednak, mówiąc:

- No to ja również wychodzę.

- Dokąd?

- Nigdy nie próbuj zadawać mi takich pytań. Micky zamknął ją w sypialni.

Kiedy wróci, na pewno będzie zła, lecz takie sytuacje zdarzały się już wcześniej.

Zwykle rzucał ją wtedy na łóżko i zrywał z niej ubranie, a ona zawsze chętnie mu się poddawała. Był pewien, że dzisiaj będzie tak samo.

Żałował, że nie może mieć tej pewności w wypadku Tonia. Nie był nawet pewien, czy mieszka jeszcze w tym hotelu, ale nie mógł wejść i zapytać, nie wzbudzając podejrzeń.

Działał najszybciej, jak potrafił. Ale odnalezienie i wynajęcie dwóch bandziorów, obejrzenie miejsca i urządzenie zasadzki zajęło mu czterdzieści osiem godzin. W tym czasie Tonio mógł się już przeprowadzić. A wówczas byłby kłopot.

Ostrożny człowiek zmieniałby hotele co kilka dni i nie używałby papieru listowego z adresem. Tonio jednak nie należał do przecznych. Wręcz przeciwnie - zawsze był beztrojski. - Istnieje wszelkie prawdopodobieństwo, że w dalszym ciągu tutaj mieszka, pomyślał Miranda.

Miał rację. Kilka minut po północy pojawił się Silva.

Micky'emu wydawało się, że poznaje go po chodzie, gdy na końcu Berwick Street od strony Leicester Square pojawiła się postać mężczyzny. Znieruchomiał, walcząc z pragnieniem, aby natychmiast stąd odejść. Począł, aż mężczyzna minie latarnię i będzie mógł wyraźnie zobaczyć jego twarz. Nie było wątpliwości - to był Tonio.

Micky dostrzegł nawet charakterystyczny rudy kolor jego bokobrodów. Miotaly nim jednocześnie dwa uczucia: ulga, że Silva się znalazł, i niepokój przed brutalną, niebezpieczną napaścią, która zaraz nastąpi.

I wtedy ujrzął policjantów.

Był to chyba najgorszy z możliwych pech. Dwaj policjanci - w hełmach, pelerynach i z pałkami u pasów - szli z przeciwległych końców Berwick Street, świecąc latarniami w ciemne zakątki. Micky stał nieruchomo. Nie mógł nic zrobić. Zauważyli go, dżentelmena w cylindrze i z cygarem, i z szacunkiem skinęli głowami. Nie interesowało ich, co człowiek z lepszych sfer robi w drzwiach domu na nędznej uliczce - ich sprawą było zajmować się przestępcami. Minęli Tonia, gdy od drzwi hotelowych dzieliło go jakieś piętnaście czy dwadzieścia metrów. Micky dygotał ze zdenerwowania. Za chwilę Tonio będzie bezpieczny w hotelu. Nagle policjanci skręcili za róg i zniknęli z pola widzenia. Miranda dał znak dwom opryszkom. Ruszyli błyskawicznie.

Zanim Tonio dotarł do drzwi hotelu, napastnicy schwycili go i wepchnęli do pobliskiego zaułka. Zdażył krzyknąć, ale zaraz go uciszyli.

Micky odrzucił niedopałek cygara, przekroczył ulicę i wszedł do zaułka. Bandyci wepchnęli swojej ofierze do ust szalik i okładali ją żelaznymi prętami. Kapelusz Tonia spadł na ziemię, cała jego głowa i twarz spływały krwią. Jego ciało osłaniał płaszcz, ale bandyci uderzali go w kolana, kostki i nieosłonięte dłonie.

Na ten widok Micky'emu zrobiło się niedobrze.

- Przestańcie, durnie! - syknął. - Nie widzicie, że ma już dosyć? - Wcale nie chciał, aby zabili Silvę. Chodziło mu o to, aby napad sprawiał wrażenie zwykłego rabunku połączonego z ciężkim pobiciem. Morderstwo wywołałoby o wiele większe zainteresowanie, a policjanci z pewnością zapamiętali twarz dżentelmena z cygarem.

Z wyraźnym żalem obaj opryszkowie przestali okładać Tonia, który opadł bezwładnie na ziemię.

- Opróżnijcie mu kieszenie! - rozkazał Micky.

Tonio nawet nie drgnął, gdy zabrali mu zegarek z dewizką, portfel, kilka monet, jedwabną chustkę i klucz.

- Dajcie mi klucz! - zażądał Miranda. - Reszta jest wasza Barker, starszy z bandytów, którego przezywano „Pies” powiedział:

- Dawaj pan forszę!

Rzucił każdemu po dziesięć funtów złotymi suwerenami.

„Pies” wręczył mu klucz. Był do niego przyczepiony kartonik z nagryzmołoną cyfrą jedenaście. Micky'emu to wystarczyło.

Odwrócił się, aby wyjść z zaułka, i zobaczył, że ich obserwowano. Na ulicy stał mężczyzna i przyglądał się wszystkiemu. Serce Micky'ego zaczęło walić jak szalone.

„Pies” spostrzegł go chwilę później. Zaklął pod nosem i uniósł żelazny pręt, chcąc zdzielić nim intruza. Nagle Micky schwycił go za rękę.

- Nie! - zaprotestował. - Nie trzeba. Przypatrz mu się.

Przypadkowy obserwator miał otwarte usta i tępe spojrzenie - był debilem. „Pies” opuścił drąg.

- Nieszkodliwy - oświadczył. - Ma nierówno pod sufitem.

Micky precyzyjnie się koło debila i wyszedł na ulicę. Kiedy się obejrzał, zauważył, że „Pies” i jego towarzysz ściągnęli buty. Oddalił się z nadzieją, że nigdy ich już nie spotka.

Skręcił do hotelu „Rosyjskiego”. Za kontuarem recepcjonisty w niewielkim holu wciąż nikogo nie było. Wszedł po schodach na górę.

Hotel mieścił się w trzech budynkach połączonych w jedną całość i Micky stracił kilka minut, zanim zorientował się w jego układzie i znalazł pokój numer jedenaście.

Pomieszczenie było ciasne i brudne, zatłoczone meblami, niegdyś pretensjonalnymi, a teraz po prostu zniszczonymi. Micky odłożył kapelusz i laskę na fotel, a potem zaczął szybko i metodycznie przeszukiwać pokój. W biurku znalazł kopię artykułu do „Timesa” i zabrał ją, ale to było za mało - Tonio albo miał jeszcze inne kopie, albo mógł odtworzyć treść z pamięci. Aby opublikować ten tekst, Silva musiał przedstawić jakieś dowody, i właśnie ich Micky szukał.

W bielizniarce zauważył powieść Hrabina Sodomy. Chętnie by ją zabrał, ale uznał, że nie warto niepotrzebnie ryzykować. Wyrzucił bieliznę Tonia z szuflad na podłogę, ale nie znalazł interesujących go materiałów.

Sprawdził za i pod bielizniarką, pod łóżkiem i szafą. Wszedł nawet na stół, żeby sprawdzić wierzch szafy. Nie było tam nic oprócz grubych warstw kurzu.

Ściągnął z łóżka kołdrę i prześcieradło, obmacał poduszki w nadziei, że poczuje coś twardego, zbadał materac. I właśnie pod materacem znajdowało się to, czego szukał.

Wielka koperta zawierała plik arkuszy papieru przewiązanych plecionymi taśmami adwokackimi, zanim jednak zdążył się z nimi zapoznać, usłyszał kroki w korytarzu.

Upuścił papiery i stanął za drzwiami. Kroki minęły pokój i ucichły.

Rozwiązał taśmy i przejrzał dokumenty. Były napisane po hiszpańsku i opatrzone pieczęcią adwokata z Palmy. Zorientował się, że są to zaprzysiężone zeznania świadków, którzy widzieli wymierzanie chłosty i egzekucje w kopalniach saletry należących do rodziny Mirandów.

Uniósł papiery do ust i pocałował je. Stanowiły odpowiedź na jego modlitwy.

Włożył je do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Zanim je zniszczy, musi spisać nazwiska i adresy świadków. Prawnicy mogą mieć kopie zeznań, ale będą one nic niewarte, gdy zabraknie samych świadków. A ich dni są już policzone. Micky prześle ich adresy Tacie, który skutecznie ich uciszy.

Czy powinien jeszcze coś zrobić? Rozejrzył się po pokoju. Panował w nim kompletny bałagan. Nie miał tu już nic do roboty. Zdobył wszystko, na czym mu zależało. Niepoparty dowodami artykuł Tonia był zupełnie bezwartościowy.

Opuścił pokój i zszedł po schodach. Z zaskoczeniem zobaczył siedzącego w holu recepcjonistę. Mężczyzna podniósł głowę i zapytał stanowczo:

- Czy mogę wiedzieć, czego pan szuka?

Micky podjął błyskawiczną decyzję. Jeżeli go zignoruje, postanie po prostu uznany za grubiańkę, jeśli zaś zatrzyma się i zacznie wyjaśniać, pozwoli recepcjoniście obejrzeć swoją twarz. Bez słowa więc wyszedł na ulicę. Nikt za nim nie wybiegł.

Gdy mijał zaułek, usłyszał słabe wołanie o pomoc - Tonio czołgał się w stronę ulicy, zostawiając za sobą smugę krwi. Micky miał ochotę zwymiotować. Skrzywił się z obrzydzeniem, odwrócił głowę i odszedł.

Popołudniami bogate damy i rozpróżniaczeni dżentelmeni odwiedzali się nawzajem.

Było to męczące zajęcie i przez cztery dni w tygodniu Maisie zlecała służbie, aby mówiła, że nie ma jej w domu. W piątki przyjmowała gości i wówczas przez jej dom przewijało się dwadzieścia lub trzydzieści osób. Zazwyczaj byli to ci sami ludzie: Grupa Marlborough, paru Żydów, kobiety o „postępowych” poglądach, takich jak Rachel Bodwin, i kilka żon najważniejszych bankowych znajomych Solly'ego.

Emily Pilaster należała do tej ostatniej kategorii. Jej mąż Edward prowadził z Sollym wspólne interesy związane z linią kolejową w Cordovie i Maisie przypuszczała, że temu właśnie zawdzięcza jej wizytę. Około szóstej wszyscy goście się rozeszli, ale Emily pozostała.

Była ładną, mniej więcej dwudziestoletnią dziewczyną o dużych niebieskich oczach.

Na pierwszy rzut oka widać było, że jest nieszczęśliwa. Maisie wcale się nie zdziwiła, gdy wreszcie Emily zapytała:

- Przepraszam, ale czy mogłabym z panią porozmawiać o pewnej osobistej sprawie?
- Oczywiście, w czym mogę pomóc?
- Nie chciałabym pani urazić, ale nie mam się kogo poradzić.

Maisie przypuszczała, że chodzi o jakiś problem seksualnej natury. Nie pierwszy raz dziewczyna z dobrej rodziny przychodziła do niej z prośbą o radę w sprawie, której nie mogła omówić z własną matką. Być może słyszały plotki o jej burzliwej przeszłości albo po prostu przekonały się, że jest osobą przystępną.

- Dość trudno jest mnie urazić - odparła. - Słucham panią.

- Mój mąż mnie nienawidzi - oświadczyła Emily i wybuchnęła płaczem.

Maisie zrobiło się jej żal. Poznała Edwarda w Argyll Rooms i już wtedy okazał się świnią. Bez wątpienia od tamtego czasu stał się jeszcze gorszy. Mogła tylko współczuć nieszczęsnej kobiecie, która wyszła za niego za mąż.

- Widzi pani - ciągnęła Emily, łkając - jego rodzice chcieli, aby się ożenił, ale on się sprzeciwiał. Zaproponowali mu więc wielki zapis i wtedy zmienił zdanie. Przyjął jego oświadczenia, ponieważ życzyli sobie tego moi rodzice. Wydał mi się równie dobry jak każdy inny, a ja pragnę mieć dzieci. Edward nigdy mnie nie lubił, a teraz, kiedy ma już pieniądze i został partnerem, wprost nie może na mnie patrzeć. Maisie westchnęła.

- Może zabrzmi to brutalnie, ale jest pani w takiej samej sytuacji jak tysiące kobiet.

Emily otarła oczy chusteczką i z wysiłkiem usiłowała powstrzymać łzy.

- Wiem i proszę nie sądzić, że się nad sobą użalam. Muszę sama sobie z tym poradzić. Potrafiłabym znieść tę sytuację, gdybym tylko miała dziecko. To wszystko, czego naprawdę pragnę.

Dzieci stanowią pociechę większości nieszczęśliwych żon, pomyślała Maisie.

- Czy jest jakiś powód, który to pani uniemożliwia?

Emily kręciła się z zakłopotaniem na sofie, ale jej dziecięca buzia była pełna

determinacji.

- Od dwóch miesięcy jestem mężatką i nic się nie zdarzyło.
- Jest jeszcze dość wcześnie...
- Nie, nie sędzę. Spodziewałam się, że już będę w ciąży.

Maisie zdawała sobie sprawę, że takiej dziewczynie trudno mówić o podobnych sprawach ze szczegółami, musiała więc zadawać jej pytania.

- Czy mąż przychodzi do pani łóżka?
- Początkowo tak, ale teraz przestał.
- A kiedy przychodził, co było nie tak?
- Kłopot polega na tym, że nie jestem pewna, co się powinno dziać.

Maisie westchnęła. Jak matki mogły pozwalać, aby ich córki szły do ołtarza, nie mając o niczym pojęcia. Przypomniała sobie, że ojciec Emily jest pastorem metodystów. To trochę tłumaczyło nieświadomość dziewczyny, ale z pewnością w niczym jej nie pomagało.

- Powinno się zdarzyć, co następuje - zaczęła. - Kiedy mąż całuje i dotyka żonę, jego wisiorek robi się długi i sztywny i wtedy wkłada go do pani cipki. Większości dziewczyn to się podoba. Twarz Emily zrobiła się pąsowa.

- Całował mnie i dotykał, lecz nic więcej.
- Czy jego wisiorek sztywniał?
- Było ciemno.
- Nie dotykała go pani?
- Raz kazał mi go pocierać.

- I jaki był? Twardy jak świeczka czy obwisły jak dżdżownica? A może jak kiełbasa przed ugotowaniem?

- Obwisły.
- Czy zeszywniał, kiedy go pani pocierała?
- Nie. Wtedy się bardzo rozgniewał, uderzył mnie i powiedział, że jestem do niczego.

Czy to rzeczywiście moja wina, pani Greenbourne?

- Nie, raczej nie, chociaż mężczyźni najczęściej obwiniają o to kobiety. Takie niedomaganie jest dość powszechnym problemem i nazywa się impotencją.

- Co jest jego powodem?
- Bywają różne przyczyny.
- Czy to znaczy, że nie mogę mieć dziecka?

- Nie, dopóki nie zdoła pani sprawić, żeby jego wisiorek sztywniał. Emily wyglądała, jakby zamierzała znowu się rozpłakać.

- A ja tak pragnę dziecka. Jestem samotna i nieszczęśliwa, ale gdybym je miała, zniósłabym wszystko.

Maisie zastanawiała się, na czym polega problem Edwarda i czy jest jakiś sposób, aby pomóc Emily. Być może uda jej się ustalić, czy jest stale impotentem, czy tylko z żoną. April Tisley powinna to wiedzieć. Kiedy Maisie ostatni raz z nią rozmawiała,

Edward wciąż był klientem domu publicznego „U Nellie”. Ale to było kilka lat temu - w końcu damie do towarzystwa trudno jest podtrzymywać bliskie stosunki z czołową londyńską madame.

- Znam kogoś, kto jest blisko z Edwardem - oznajmiła ostrożnie. - Być może zdoła ona rzucić pewne światło na tę sprawę. Emily przełknęła łyżę.

- Czy to znaczy, że ma kochankę? Proszę... Muszę znać prawdę. Zdecydowana dziewczyna, pomyślała Maisie. Może jest nieuświadomiona i naiwna, ale zdecydowana osiągnąć wszystko, czego pragnie.

- Ta kobieta nie jest jego kochanką. Ale jeżeli istotnie ma kogoś, na pewno będzie o tym wiedziała.

Emily skinęła głową.

- Chciałabym się spotkać z pani przyjaciółką.

- Raczej nie powinna pani osobiście...

- Chcę tego. Edward to mój mąż i jeżeli jest coś złego, muszę się o tym dowiedzieć ze źródła. - Znowu zrobiła upartą, stanowczą minę i dodała: - Zrobię wszystko, proszę mi wierzyć, wszystko. Jeżeli nie pomogę sobie sama, zmarnuję życie.

Maisie postanowiła poddać próbie jej determinację.

- Moja przyjaciółka ma na imię April. Prowadzi burdel niedaleko Leicester Square.

Mniej więcej dwie minuty drogi stąd. Czy jest pani gotowa pójść tam ze mną? Teraz?

- A co to jest burdel? - spytała Emily.

Dorożka zatrzymała się przed lokalem „U Nellie”. Maisie wyjrzała ostrożnie, uważnie sprawdzając ulicę. Nie mogła dopuścić, aby ktoś znajomy zobaczył ją wchodzącą do domu publicznego. Była jednak pora, kiedy większość ludzi z jej sfery przebierała się do obiadu, i na ulicy widać było jedynie kilku biedaków. Zapłaciła stangretowi z góry i razem z Emily szybko wysiadły. Drzwi do burdelu nie były zamknięte i weszły do środka.

Światło dzienne nie było łaskawe dla lokalu. W nocy jest tu jakiś podejrzany blichtr, pomyślała Maisie, ale teraz wszystko sprawia wrażenie brudnego i podniszczonego. Pluszowe obicia wyblakły, na stołach widniały ślady po szklankach i cygarach; jedwabne tapety odstawały gdzieś od ścian, a erotyczne obrazy wyglądały po prostu wulgarnie. Stara kobieta z fajką w ustach zamiatała podłogę i wcale nie zdziwiła się, widząc dwie damy z towarzystwa. Kiedy Maisie zapytała o właścicielkę, sprzątaczką gestem ręki wskazała na schody.

Znalazły April w kuchni na górze. Piła herbatę w towarzystwie kilku innych kobiet w szlafrokach - najwidoczniej była to pora, kiedy interes jeszcze się nie rozkręcił. April nie poznała gościa i przez długą chwilę obie kobiety patrzyły na siebie. Maisie stwierdziła, że jej stara przyjaciółka niewiele się zmieniła - wciąż była szczupła, o ostrych rysach twarzy i bystrym spojrzeniu. Być może zbyt wiele niedospanych nocy i taniego szampana sprawiło, że wyglądała na nieco zmęczoną, ale jednocześnie miała zdecydowany sposób bycia kobiety, której się powiodło.

- Czym mogę służyć? - zapytała.

- Nie poznasz mnie, April? - odezwała się Maisie i April natychmiast pisnęła z

radości, zerwała się i uścisnęła ją z całej siły.

Po powitalnych uściskach i pocałunkach April zwróciła się do dziwek:

- Dziewczęta, oto kobieta, która dokonała tego, o czym wszystkie marzymy. Początkowo Miriam Rabinowicz, potem Maisie Robinson, a teraz pani Solomonowa Greenbournel!

Wszystkie prostytutki zaczęły wiwatować, jakby Maisie była jakąś bohaterką. Poczuli się zażenowani - nie przypuszczała, że jej przyjaciółka tak bez osłonek przedstawi historię jej życia, zwłaszcza w obecności Emily Pilaster. Ale było już za późno.

- Napijmy się dżinu, żeby to uczcić - zaproponowała April. Usiadły, a jedna z kobiet wyjęła butelkę i kilka szklanek i rozlała alkohol. Maisie nigdy nie przepadała za dżinem, a teraz, gdy przyzwyczała się już do najlepszego szampana, smakował jej jeszcze mniej, wypła jednak, nie chcąc okazać się niegrzeczna. Kątem oka zauważyła, że Emily upiła łyk i skrzywiła się. Szklanki natychmiast zostały napełnione ponownie.

- No dobrze, a co was tu sprowadza? - zapytała April.

- Problem małżeński - odparła Maisie. - Moja obecna tu przyjaciółka ma męża impotentą.

- Przyprowadź go do nas, kochanie. - April zwróciła się do Emily. - Sprawdzimy go.

- Podejrzewam, że już jest twoim klientem - wyjaśniła Maisie. - Jak się nazywa?

- Edward Pilaster.

April była wyraźnie wstrząśnięta.

- O mój Boże! - Spojrzała ostro na Emily. - A więc ty jesteś Emily. Biedactwo.

- Zna pani moje imię - stwierdziła upokorzona dziewczyna. - To znaczy, że opowiada o mnie. - Napiła się dżinu.

- Edward nie jest impotentem - oznajmiła wysoka ciemnowłosa prostytutka z dużym biustem.

Emily zaczerwieniła się.

- Przepraszam - dodała kobieta. - Ale prosi najczęściej o mnie. - Maisie pomyślała, że wprawdzie nie wygląda szczególnie atrakcyjnie w wyświechtanym szlafroku i z papierosem trzymanym po męsku w ustach, ale zapewne wieczorami prezentuje się znacznie lepiej.

Emily opanowała się.

- Jakie to dziwne - rzekła. - Jest moim mężem, a pani wie o nim więcej niż ja. Nie znam nawet pani imienia.

- Jestem Lily.

Zapadła chwila niezręcznej ciszy. Maisie upiła łyk dżinu. Druga kolejka zawsze smakowała lepiej od pierwszej. Scena była przedziwna: kuchnia, kobiety w dezabilu, papierosy, dżin - i Emily, która godzinę temu nie miała pojęcia, jak Powinien wyglądać stosunek, teraz rozważająca problem impotencji swojego małżonka z jego ulubioną dziwką.

- No cóż, znam odpowiedź - oświadczyła zdecydowanie April. - Dlaczego Edward

jest impotentem przy swojej żonie? Ponieważ nie ma przy nim Micky'ego. Kiedy jest z kobietą sam, nigdy mu nie staje.

- Micky? - zapytała z niedowierzaniem Emily. - Micky Miranda? Ambasador Cordovy? April skinęła głową.

- Wszystko robią wspólnie, zwłaszcza tutaj. Parę razy Edward przyszedł sam, ale mu nie wyszło.

Emily sprawiała wrażenie oszołomionej. Maisie zadała pytanie, które nasuwało się samo:

- A co konkretnie robią? Odpowiedziała jej Lily:

- Nic szczególnie skomplikowanego. Przez te wszystkie lata wypróbowali kilka wariantów. Obecnie najbardziej lubią iść do łóżka we dwóch z jedną dziewczyną, zazwyczaj ze mną lub Muriel.

- Ale czy Edward rzeczywiście zachowuje się wtedy jak mężczyzna? Czy robi mu się sztywny i tak dalej?

- Nie ma żadnych problemów - skinęła głową Lily.

- Czy uważasz, że to jedyny sposób, aby mu się udało? Lily zmarszczyła brwi.

- Sądzę, że nie ma większego znaczenia, co się dzieje, ile jest dziewczyn i tak dalej. Kiedy Micky jest na miejscu, wszystko jest w porządku, w przeciwnym razie - nic z tego.

- Zupełnie jakby Edward tak naprawdę kochał się w Mickym - zauważyła Maisie.

- Ja chyba śnię - szepnęła słabym głosem Emily. Wypiła duży łyk dżinu. - Czy to może być prawda? Czy rzeczywiście dzieją się takie rzeczy?

- Żeby pani tylko wiedziała! - odezwała się April. - W porównaniu z niektórymi naszymi klientami Edward i Micky są potulni jak baranki.

Nawet Maisie była zaskoczona. Myśl o Edwardzie i Mickym razem z kobietą w łóżku była tak zdumiewająca, że miała ochotę roześmiać się głośno i z najwyższym wysiłkiem opanowała wzbierający w gardle chichot.

Przypomniała sobie, jak niezwykle Edward był podniecony, zaskoczywszy ją i Hugh'a, kiedy się kochali, i instynktownie pojęła, że podziała tak na niego myśl, iż mógłby ją mieć natychmiast po kuzynie.

- Nadziewana bułeczka! - zawołała. Kilka kobiet zachichotało.

- Słusznie - roześmiała się April. Emily uśmiechnęła się ze zdziwioną miną.

- Nie rozumiem - powiedziała.

- Niektórzy mężczyźni lubią nadziewane bułeczki - wyjaśniła April. Dziwki roześmiały się głośniej. - To znaczy kobiety, które przed chwilą pieprzyli inni faceci.

Emily zaczęła chichotać i po chwili już wszystkie śmiały się histerycznie. Wynik połączonego działania dżinu, niezwyklej sytuacji i rozmowy o szczególnych upodobaniach seksualnych mężczyzn, pomyślała Maisie. Użycie przez nią wulgarnego zwrotu rozładowało napięcie. Za każdym razem, gdy śmiech przycichał, któraś z nich wołała: „Nadziewana bułeczka!” i znowu zaczynały chichotać jak oszalałe. W końcu były już zbyt zmęczone, aby się śmiać. Gdy się wreszcie uspokoiły, Maisie rzekła:

- Ale co to daje Emily? Chce mieć dziecko, a przecież nie może zaprosić do swojego łóżka męża razem z Mickym.

Emily wyglądała na nieszczęśliwą. April spojrzała na nią i spytała:

- Do jakiego stopnia jesteś zdecydowana?

- Zrobię wszystko - odparła dziewczyna. - Naprawdę, wszystko na świecie.

- Jeżeli mówisz serio - powiedziała wolno April - jest coś, co mogłybyśmy wypróbować.

Joseph Pilaster skończył wielki talerz smażonych jagnięcych nerek i jajecznicy i zabrał się do smarowania masłem grzanki. Augusta często się zastanawiała, czy przypadkiem zły humor mężczyzn nie jest spowodowany tym, co jedli. Sama myśl o cynaderkach na śniadanie przyprawiała ją o ból żołądka.

- Przyjechał do Londynu Sidney Madler - oznajmił. - Muszę zobaczyć się z nim dziś rano.

Przez chwilę Augusta nie bardzo wiedziała, o kim mowa.

- Madler? - zapytała.

- Z Nowego Jorku. Jest wściekły, że Hugh nie został partnerem.

- A co go to obchodzi? - zdziwiła się Augusta. - Co za bezczelność! - Mówiła lekceważąco, ale wiadomość zaniepokoiła ją.

- Wiem, co mi powie - stwierdził Joseph. - Kiedy organizowaliśmy z Madlerem i Bellem naszą spółkę, zawarliśmy nieformalne porozumienie, że londyńską część operacji będzie prowadził Hugh. No, a teraz chłopak zrezygnował.

- Przecież tego nie chciałeś.

- Nie, ale można go było utrzymać, proponując mu partnerstwo.

Augusta dostrzegła niebezpieczeństwo. Joseph mógł zmięknąć i sama myśl o tym ją przerażała. Musiała go podtrzymać w postanowieniu.

- Mam nadzieję, że nie pozwolisz obcym decydować, kto powinien być partnerem w Banku Pilasterów.

- Oczywiście, że nie.

Przyszła jej do głowy pewna myśl.

- Czy Madler może rozwiązać umowę?

- Tak, choć jak na razie tym nie groził.

- Czy to jest warte dużo pieniędzy?

- Było. Ale teraz, kiedy Hugh przejdzie do Greenbourne'ów, najprawdopodobniej zabierze ze sobą większość prowadzonych interesów.

- A więc to, co sobie myśli pan Madler, jest właściwie mało istotne.

- Być może. Będę jednak musiał jakoś mu to wyjaśnić. Przyjechał przecież aż z Nowego Jorku, aby interweniować w tej sprawie.

- Powiedz mu, że Hugh ożenił się z nieodpowiednią kobietą. Wtedy chyba zrozumie sytuację.

- Masz rację. - Joseph wstał. - Do widzenia, kochanie. Augusta pocałowała go.

- Nie pozwól się zastraszyć, Josephie - rzekła. Wyprostował się i zacisnął wargi w pełnym uporu grymasie.

- Oczywiście.

Po wyjściu męża Augusta siedziała jeszcze przez chwilę przy stole, pijąc kawę. Zastanawiała się, jak poważne jest obecne zagrożenie. Doszła do wniosku, że powinna uważnie obserwować dalszy rozwój sytuacji.

Zaskoczyła ją wiadomość, że odejście Hugh'a będzie kosztowało bank sporą sumę. Nie przyszło jej do głowy, że wspieranie Edwarda i pogwałcenie kuzyna będzie dla niej oznaczało stratę pieniędzy. Zanepokoiliła się, czy przypadkiem nie naraża na niebezpieczeństwo banku, który stanowił podstawę jej wszystkich nadziei i planów, zaraz jednak uznała to za śmieszne. Bank Pilasterów był niezwykle bogaty i nic nie mogło mu zaszkodzić.

Kiedy kończyła śniadanie, do jadalni wślizgnął się Hasteed, aby poinformować ją o przybyciu pana Fortescue'a. Natychmiast wyrzuciła z myśli Sidneya Madlera. Ta sprawa była o wiele ważniejsza. Poczuła, jak serce zaczyna jej bić mocniej.

Michael Fortescue był jej kupionym politykiem i dłużnikiem. Dzięki pomocy finansowej Josepha wygrał wybory uzupełniające w Deaconridge i obecnie zasiadał w parlamencie. Augusta bardzo wyraźnie określiła, w jaki sposób może spłacić dług - pomagając jej zdobyć tytuł dla męża. Wybory kosztowały pięć tysięcy funtów, co było sumą wystarczającą na kupno pięknego domu w Londynie, ale doprawdy niewielką jako cena za zdobycie szlachectwa. Wizyty składało się zazwyczaj po południu, a więc poranni goście przybywali zazwyczaj z jakąś pilną sprawą. Była pewna, że Fortescue nie zjawiłby się tak wcześnie, gdyby nie miał jej nic do powiedzenia na temat tytułu.

- Zaprowadź pana Fortescue'a do obserwatorium - poleciła kamerdynerowi. - Zaraz tam przyjdę.

Siedziała przez parę minut w bezruchu, starając się uspokoić. Jak do tej pory, jej kampania przebiegała zgodnie z planem. Arnold Hobbes opublikował w swoim czasopiśmie „The Forum” serię artykułów wzywających do nobilitowania ludzi interesu. Lady Morte rozmawiała o tym z królową, wychwalając Josepha pod niebiosa, i poinformowała Augustę, że jej królewska wysokość była pod wrażeniem.

A Fortescue zwrócił uwagę Premiera Disraeliego na fakt, że opinia publiczna zdecydowanie popiera ten pomysł. Może wreszcie wszystkie te wysiłki przyniosły upragnione owoce. Napięcie stawało się niemal nie do zniesienia i gdy z trudem łapiąc oddech, szła po schodach, w jej głowie wciąż tłukły się słowa, które miała nadzieję wkrótce usłyszeć: „Lady Whitehaven... Hrabia i hrabina Whitehaven... Tak jest, milady, jak pani hrabina sobie życzy...”. Obserwatorium było dziwnym pokojem. Znajdowało się nad holem głównym i wchodziło się do niego przez drzwi umieszczone w połowie schodów. Wykuszowe okno wychodziło na ulicę, ale nie jemu pokój zawdzięczał swoją nazwę, ale jeszcze jednemu, wewnętrznemu oknu, przez które można było niezauważenie obserwować ludzi przebywających w holu głównym. Augusta przez lata widziała stąd wiele dziwnych wydarzeń. Pokój był niewielki i przytulny, z niskim sufitem i kominkiem.

Tutaj przyjmowała swoich porannych gości.

Fortescue sprawiał wrażenie nieco spiętego. Augusta usiadła przy nim koło okna i uśmiechnęła się ciepło, dodając mu otuchy.

- Właśnie widziałem się z premierem - oznajmił. Przez chwilę Augusta nie mogła wydobyć słowa.

- Czy rozmawialiście panowie o szlachectwie?

- Oczywiście. Udało mi się go przekonać, że najwyższy czas, aby sfery bankowe znalazły swoją reprezentację w Izbie Lordów. Jest skłonny nadać tytuł człowiekowi z City.

- Wspaniale! - zawołała. Ale niewyraźna mina Fortescue'a bynajmniej nie potwierdzała, że przyniósł dobrą nowinę. - Dlaczego więc jest pan taki ponury? - zapytała z niepokojem.

- Mam również złą wiadomość - przyznał nieco wystraszony.

- Co takiego?

- Obawiam się, że zamierza nadać szlachectwo Benowi Greenbourne'owi .

- Nie! - Augusta poczuła się, jakby ktoś ją uderzył. - Jak to możliwe?

- Wydaje mi się, że może nadawać tytuły, komu zechce - bronił się Fortescue. - Jest przecież premierem.

- Ale nie po to zadawałam sobie tyle trudu, aby z moich starań skorzystał Ben Greenbourne!

- Przyznaję, że to ironia losu - stwierdził wolno Fortescue. - Zrobiłem jednak wszystko, co w mojej mocy.

- Niech pan nie będzie taki z siebie zadowolony! - rzuciła ostro. - Zwłaszcza jeżeli chce pan, abym mu pomogła w następnych wyborach.

W oczach młodego mężczyzny błysnął bunt. Przestraszyła się, że straciła jego poparcie, i za chwilę oświadczy, że spłacił już swój dług. Na szczęście spuścił wzrok i oznajmił:

- Zapewniam panią, że jestem ogromnie przygnębiony tą wiadomością...

- Proszę być cicho, muszę pomyśleć - odparła i zaczęła chodzić tam i z powrotem po niewielkim pokoju. - Trzeba znaleźć sposób, aby zmienić decyzję premiera... Należałoby obrócić całą sprawę w skandal. Jaki jest słaby punkt Bena Greenbourne'a? - Nagle uświadomiła sobie, że po śmierci Bena tytuł odziedziczyłby jego syn Solly. Wtedy Maisie stałaby się hrabiną. Sama myśl o tym budziła jej obrzydzenie. - Jakie są sympatie polityczne Greenbourne'a?

- Tego nikt nie wie.

Spojrzała na młodego człowieka i spostrzegła, że jest zasepiony. Potraktowała go zbyt ostro. Usiadła przy nim i ujęła oburącz jego wielką dłoń.

- Pańskie polityczne wyczucie jest godne podziwu i właśnie dlatego zwróciłam na pana uwagę. Proszę podzielić się ze mną swoimi przypuszczeniami.

Fortescue natychmiast odtajał. Zawsze tak było z mężczyznami, gdy tylko zadała sobie trochę trudu, żeby być dla nich miła.

- Gdyby go nacisnąć, zapewne zdeklarowałby się jako liberał. Większość

biznesmenów jest liberałami, podobnie jak większość Żydów. Ale nigdy nie wyrażał publicznie swoich opinii i dlatego niełatwo byłoby zrobić z niego przeciwnika konserwatywnego rządu...

- Jest Żydem - oznajmiła Augusta. - I to przede wszystkim należałoby wykorzystać.

Fortescue popatrzył na nią z powątpiewaniem.

- Premier też jest Żydem z pochodzenia, a przecież został mianowany lordem Beaconsfield.

- Wiem, ale jest praktykującym katolikiem. Poza tym. Fortescue uniósł pytająco brew.

- Mam intuicję - oświadczyła Augusta - a ona mi podpowiada, że żydostwo Bena Greenbourne'a jest kluczem do wszystkiego.

- Jeżeli mógłbym coś jeszcze zrobić...

- Był pan wspaniały. Na razie jednak dziękuję. Ale kiedy premier zacznie mieć wątpliwości co do osoby Bena Greenbourne'a, proszę mu tylko przypomnieć o Josephie Pilasterze.

- Może pani na mnie liczyć, pani Pilaster.

Lady Morte mieszkała w domu na Curzon Street, na którego jej męża zdecydowanie nie było stać. Drzwi otworzył Auguste lokaj w liberii i wypudrowanej peruce, a następnie zaprowadził ją do pokoju zastawionego kosztownymi drobiazgami ze sklepów na Bond Street - złotymi kandelabrami, obrazkami w srebrnych oprawach, porcelanowymi ozdóbkami i kryształowymi wazonami. Był tam również cudowny antyczny kałamarz wysadzany klejnotami, który musiał kosztować przynajmniej tyle, co młody koń wyścigowy. Augusta pogardzała Harriet Morte za jej słabość do wydawania pieniędzy, których nie miała, a jednocześnie to, co widziała, upewniało ją, że dama dworu nadal jest tak ekstrawagancka jak dawniej. Czekać chodziła po pokoju tam i z powrotem. Za każdym razem, gdy uświadamiała sobie, że zamiast Josepha może zostać uhonorowany Ben Greenbourne, czuła ogarniającą ją panikę. Nie zdołałaby już chyba zorganizować takiej kampanii po raz drugi. I skręcała się ze złości na myśl, że w rezultacie wszystkich jej wysiłków tytuł hrabiny przypadnie kiedyś tej małej ulicznicy Maisie Greenbourne... Lady Morte weszła ze słowami:

- Jakże urocą niespodziankę sprawiła mi pani tak wczesnymi odwiedzinami! - Wyrażała w ten sposób swoje niezadowolenie z przedpołudniowej wizyty Augusty. Jej siwe włosy wyglądały na pospiesznie uczesane i Augusta domyślała się, że lady Morte nie jest jeszcze całkowicie ubrana.

Ale musiałaś mnie przyjąć, prawda? - pomyślała złośliwie. Boisz się, że mogłam przyjść w sprawie waszego konta w banku, nie masz więc wyboru.

Odezwała się jednak uprzejmym tonem, który powinien pochlebić gospodyni.

- Przyszłam prosić panią o radę w pewnej ważnej sprawie.

- W czymkolwiek mogę być pomocna...

- Premier wyraził zgodę na uszlachcenie bankiera.

- Wspaniale! Jak pani wiadomo, wspominałam o tym jej królewskiej wysokości. Niewątpliwie wpłynęło to na tę decyzję.

- Niestety, chce przyznać tytuł Benowi Greenbourne'owi.
- Och, mój Boże. Co za pech.

Augusta domyślała się, że Harriet Morte w duchu cieszy się z tej wiadomości. Wiedziała, że jej nienawidzi.

- Chyba coś gorszego niż pech - stwierdziła. - Włożyłam wiele wysiłku w osiągnięcie tego celu, a teraz widzę, że korzyści przypadną największemu rywalowi mojego męża!

- Rozumiem.

- Pragnęłabym temu zapobiec.

- Nie jestem pewna, czy zdołam pomóc. Augusta udała, że myśli na głos.

- Tytuły szlacheckie zatwierdza królowa, prawda?

- Tak, istotnie. Formalnie ona je przyznaje.

- A więc mogłaby coś zrobić, gdyby pani ją o to poprosiła. Dama dworu roześmiała się lekko.

- Droga pani Pilaster, chyba przecenia pani moje wpływy. - Augusta ugryzła się w język i nie zareagowała na protekcyjny ton. Lady Morte mówiła dalej: - Jej królewska wysokość bardziej się liczy z opinią swojego premiera niż moją. A poza tym, jaki miałby być powód takiego sprzeciwu?

- Greenbourne jest Żydem. Harriet Morte pokiwała głową.

- Jeszcze niedawno fakt ten wykluczyłby nobilitację. Pamiętam, jak Gladstone chciał nadać tytuł szlachecki Lionelowi Rothschildowi i królowa stanowczo odmówiła. Ale to było dziesięć lat temu. Teraz mamy Disraelego.

- Ale Disraeli jest chrześcijaninem, a Greenbourne praktykującym Żydem.

- Zastanawiam się, czy to może mieć znaczenie - powiedziała z namysłem lady Morte. - Wie pani, niewykluczone, iż Królowa bez przerwy zwraca uwagę księciu Walii, że wśród jego przyjaciół jest tak wielu Żydów.

- W takim razie gdyby wspomniała pani, że premier zamierza nadać szlachectwo jednemu z nich...

- Poruszę ten temat w sprzyjających okolicznościach, ale nie ręczę, że moje słowa odniosą taki skutek, na jaki pani liczy.

Augusta myślała intensywnie.

- Co można by zrobić, aby sprawa stała się przedmiotem baczniejszej uwagi jej królewskiej wysokości?

- Przydałyby się jakieś publiczne protesty... interpelacje w parlamencie albo artykuły w prasie...

- Prasa - powtórzyła Augusta, myśląc o Arnoldzie Hobbesie. - Tak! - oświadczyła.

- Sądzę, że mogłabym zapewnić sobie jej wsparcie.

Hobbes był kompletnie wytrącony z równowagi obecnością pani Pilaster w swoim ciasnym, poplamionym atramentem biurze. Nie mógł się zdecydować, czy ma sprzątać, zając się gościem czy go wyprosić. Robił więc wszystko naraz - przenosił arkusze papieru i pliki szpalt z podłogi na stół i z powrotem, podstawił krzesło, podsunął kieliszek sherry i talerz z herbatnikami, a jednocześnie proponował pójść gdzie indziej.

Augusta pozwoliła mu szaleć przez parę minut i wreszcie oświadczyła:

- Panie Hobbes, niech pan usiądzie i posłucha mnie przez chwilę.

- Oczywiście, oczywiście - odparł, zajmując miejsce w fotelu i spoglądając na nią przez brudne szkła okularów.

W kilku krótkich zdaniach poinformowała go o możliwości nobilitowania Bena Greenbourne'a.

- Godne pożałowania, niezwykle godne pożałowania - wybełkotał nerwowo. - Sądzę jednak, że „The Forum” nie można obwiniać o brak entuzjazmu w popieraniu sprawy, którą pani łaskawie zechciała mi przedstawić.

I w zamian za co otrzymałeś dwie lukratywne prezesury spółek kontrolowanych przez mego męża, pomyślała.

- Wiem, że to nie pańska wina - rzuciła z irytacją. - Ale teraz trzeba podjąć działania w tej sprawie.

- Moje czasopismo znajduje się w kłopotliwej sytuacji - oznajmił zmartwiony. - Skoro tak hałaśliwie domagaliśmy się aby bankier otrzymał tytuł szlachecki, niezmiernie trudno będzie całkowicie zmienić kurs i protestować, gdy nasze życzenie zostało spełnione.

- Ale nigdy nie żądał pan, aby nobilitowano Żydów.

- Słusznie, słusznie, chociaż tak wielu bankierów jest Żydami.

- Czy nie mógłby pan napisać, że jest dostatecznie dużo chrześcijańskich bankierów, spośród których premier może dokonać wyboru?

Wciąż był niezdecydowany.

- Moglibyśmy...

- W takim razie niech pan tak zrobi!

- Proszę wybaczyć, pani Pilaster, ale to nie wystarczy.

- Nie rozumiem pana - rzekła ze zniecierpliwieniem.

- Chodzi o pewne zawodowe podejście. Potrzebuję czegoś, co my, dziennikarze, nazywamy punktem zaczepienia. Na przykład można by oskarżyć Disraeliego, albo lorda Beaconsfield, jak się go teraz nazywa, o protegowanie ludzi swojej rasy. Jest on jednak człowiekiem tak prawym, że tego rodzaju insynuacja mijałaby się z celem.

Augusta nie cierpiała dzielenia włosa na czworo, lecz powstrzymała niecierpliwość, dostrzegając wagę problemu. Zastanawiała się przez chwilę i nagle zaświtała jej pewna myśl.

- Czy kiedy Disraeli obejmował swe miejsce w Izbie Lordów, odbyła się normalna ceremonia?

- Jestem przekonany, że tak.

- Złożył przysięgę lojalności na chrześcijańską Biblię?

- Oczywiście.

- Na Stary i Nowy Testament?

- Zaczynam rozumieć, do czego pani zmierza, pani Pilaster. Czy Ben Greenbourne zechce złożyć przysięgę na chrześcijańską Biblię? Na podstawie tego, co o nim wiem,

raczej nie.

Augusta pokręciła z powątpiewaniem głową.

- Może się podporządkować, jeżeli zostanie zaskoczony. Nie jest człowiekiem, który dąży do konfrontacji. Ale ma bardzo sztywny kark, kiedy rzuci mu się wyzwanie. Gdyby publicznie zażądano, aby złożył przysięgę w taki sam sposób jak wszyscy, mógłby się zbuntować. Nie zaakceptowałby przymusu.

- Głośne publiczne wezwanie - mruknął pod nosem Hobbes. - Tak...

- Mógłby pan coś takiego zrobić?

Hobbesowi coraz bardziej podobał się ten pomysł.

- Już sobie wyobrażam tytuł - oznajmił z podnieceniem. - Błuznierstwo w Izbie Lordów, O, teraz, pani Pilaster, mamy właśnie ten poszukiwany punkt zaczepienia.

Jest pani wspaniała. Powinna pani zostać dziennikarzem!

- Pochlebia mi pan - odparła, ale nie wyczuł w jej głosie sarkazmu. Nagle Hobbes zamyślił się.

- Pan Greenbourne jest bardzo wpływowym człowiekiem.

- Pan Pilaster również.

- Oczywiście, oczywiście.

- Mogę więc na pana liczyć?

Hobbes szybko zrobił rachunek strat i zysków i postanowił poprzeć Pilasterów.

- Proszę pozostawić mi swobodę działania.

Augusta skinęła głową. Zaczynała czuć się coraz lepiej. Lady Morte nastawi królową przeciwko Greenbourne'owi, Hobbes rozpocznie wrzawę w prasie, a Fortescue był na podorzędziu, aby w odpowiedniej chwili szepnąć premierowi nazwisko Josepha Pilastera. Znowu perspektywy wydawały się doskonałe. Wstała z zamiarem wyjścia, ale dziennikarz miał coś jeszcze do powiedzenia.

- Czy mógłbym zadać pytanie w innej sprawie?

- Ależ oczywiście.

- Zaproponowano mi zakup maszyny drukarskiej po niezwykle przystępnej cenie. Obecnie, jak pani wie, zlecamy innym druk naszego pisma. Gdybyśmy mieli własną drukarnię, zmniejszyłyby się koszty i moglibyśmy uzyskać dodatkowe dochody, drukując również publikacje na zamówienie.

- Zupełnie zrozumiałe - odparła ze zniecierpliwieniem Augusta.

- Zastanawiałem się, czy Bank Pilasterów nie zechciałby udzielić nam pożyczki inwestycyjnej.

A więc taka była cena dalszego poparcia.

- Ile?

- Sto sześćdziesiąt funtów.

Suma była śmieszna. Jeżeli będzie walczył przeciwko nobilitowaniu Żydów z takim zapałem i energią, jaką wykazał, prowadząc kampanię o uszlachcanie bankierów, okaże się wart tej sumy.

- Zapewniam panią, że cena jest okazjna...
- Porozmawiam z panem Pilasterem. - Wiedziała, że Joseph się zgodzi, ale nie chciała, aby Hobbes pomyślał, iż poszło mu zbyt łatwo. Bardziej będzie sobie cenił przysługę, jeżeli zostanie mu udzielona z oporami.
- Dziękuję pani. Zawsze miło mi panią widzieć, pani Pilaster.
- Niewątpliwie - odparła, wychodząc.

Rozdział czwarty - Czerwiec

W ambasadzie Cordovy panowała cisza. Biura na parterze były puste - trzech urzędnicy przed wieloma godzinami poszli do domu. Micky i Rachel wydawali proszony obiad dla niewielkiej grupy gości - sir Petera Mountoya, wiceministra spraw zagranicznych, jego małżonki, ambasadora Danii i kawalera Michele z ambasady Włoch, ale goście już się rozeszli i służba udała się do swoich pomieszczeń. Micky zbierał się do wyjścia.

Nowe wrażenia związane z ożenkiem zaczynały blaknąć. Próbował zaszokować lub zgorszyć swą niedoświadczoną erotycznie żonę lecz bezskutecznie. Jej niezmienny entuzjizm, z jakim przyjmowała każdą zaproponowaną przez niego perwersję, zaczynał go denerwować. Postanowiła kiedyś, że spełni każde jego życzenie, a skoro podjęła tego rodzaju decyzję, nic nie było w stanie jej podważyć. Nigdy dotąd nie spotkał kobiety tak niesłuchanie konsekwentnej.

W łóżku mogła robić wszystko, czego od niej zażądał, ale poza sypialnią uważała, że kobieta nie powinna być niewolnicą swojego męża. Obie zasady były dla niej święte. W rezultacie wciąż sprzeczali się o sprawy domowe, chociaż czasami Micky'emu udawało się przemienić jedną sytuację w drugą. Na przykład w połowie kłótni na temat służby lub pieniędzy mógł powiedzieć: „Podnieś spódnice i kładź się na podłodze i sprzeczka kończyła się namiętym uściskiem. Ale sposób ten nie działał już za każdym razem - niekiedy podejmowała dyskusję natychmiast, gdy z niej zszedł.

Ostatnio wraz z Edwardem coraz więcej czasu spędzali w swoich starych spelunkach.

Dzisiaj w domu publicznym „U Nellie” odbywała się Noc Masek, jeden z pomysłów April - wszystkie kobiety miały wystąpić w maskach na twarzach. April twierdziła, że z okazji tej korzystały niezaspokojone seksualnie damy z wyższych sfer, włączając się pomiędzy panienki. Rzeczywiście, niektóre z kobiet nie zaliczały się do stałych pensjonariuszek, ale Micky podejrzewał, że są to raczej kobiety z klasy średniej znajdujące się w rozpaczliwej sytuacji finansowej, nie zaś znudzone damy poszukujące perwersyjnego dreszczyku. Bez względu jednak na to, jak wyglądała prawda, Noc Masek zawsze była interesująca.

Wyszczotkował włosy i napełnił pudełko cygarami, a potem zszedł na dół. Tam ze zdziwieniem zobaczył Rachel zagradzającą mu drogę do drzwi. Stała ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, a na jej twarzy malował się wyraz determinacji.

Micky przygotował się do starcia.

- Jest jedenasta w nocy - oznajmiła. - Dokąd idziesz?

- Do diabła! - odparł. - Zejdź mi z drogi. - Wziął cylinder i laskę.

- Czy idziesz do domu publicznego, który nazywa się „U Nellie”? Był tak zaskoczony, że przez chwilę milczał.

- Widzę, że tak - stwierdziła.

- Kto ci o tym doniósł? - zapytał. Zawahała się, a potem odrzekła:

- Emily Pilaster. Powiedziała mi, że regularnie chodzisz tam z Edwardem.

- Nie powinnaś słuchać babskich plotek.

Była blada jak płótno i najwyraźniej przerażona. Micky uznał to za coś niezwykłego. Być może dzisiejsza sprzeczka będzie zupełnie inna od poprzednich.

- Musisz przestać tam chodzić - oświadczyła.

- Mówiłem ci już, żebyś nie wydawała rozkazów swojemu Panu.

- To nie rozkaz, ale ultimatum.

- Nie bądź głupia. Zejdź mi z drogi.

- Tylko jeżeli obiecasz, że nigdy już tam nie pójdziesz. W przeciwnym razie opuszczę cię. Wyjdę z tego domu jeszcze dziś w nocy i nigdy nie wrócę. Widział, że nie żartuje. Dlatego wyglądała na przestraszoną. Nawet przygotowała już buty.

- Nie wyjdiesz - oznajmił. - Zamknę cię w twoim pokoju.

- Przekonasz się, że to nie takie łatwe. Wyrzuciłam klucze do wszystkich pokoi.

W całym domu nie znajdziesz ani jednego pomieszczenia, które można by zamknąć. Wykonała zręczne posunięcie. Zapowiadało się jedno z ciekawszych starć. Uśmiechnął się do niej i polecił:

- Zdejmij majtki.

- Dzisiaj nic z tego, Micky - odparła. - Sądziłam, że w ten sposób okazujesz mi miłość. Teraz jednak uświadomiłam sobie, że seks jest po prostu twoją metodą kontrolowania ludzi. Wątpię, czy kiedykolwiek sprawiał ci przyjemność. Wyciągnął rękę i schwycił ją za pierś. Była ciepła i ciężka, mimo warstw ubrania.

Pieścił ją, obserwując twarz Rachel, ale wyraz jej twarzy nie zmienił się. Nie zamierzała dziś w nocy ulec namiętności. Zacisnął dłoń mocno, sprawiając jej ból, a potem puścił.

- Co w ciebie wstąpiło? - zapytał z autentycznym zdumieniem.

- W takich miejscach jak „U Nellie” mężczyźni zarażają się poważnymi chorobami.

- Dziewczyny są tam bardzo czyste...

- Proszę cię, Micky, nie udawaj, że jesteś głupi.

Miała rację. Nie było czegoś takiego jak czysta prostytutka.

W gruncie rzeczy dopisywało mu szczęście - mimo że przez wiele lat odwiedzał burdele, przyplątała się do niego tylko łagodna forma kiły.

- W porządku - przyznał. - Mógłbym złapać wstydliwą chorobę.

- I mnie zarazić. Wzruszył ramionami.

- Na tym polega ryzyko bycia żoną. Równie dobrze mogę zarazić cię odra, jeżeli na nią zachoruję.

- Ale syfilis bywa dziedziczny.

- Do czego zmierzasz?

- Że ja z kolei mogłabym przekazać go naszym dzieciom, gdybyśmy je mieli. A tego bym nie chciała. Nie wydam na świat dziecka obciążonego tak straszną chorobą. - Jej napięcie objawiało się szybkim, urywanym oddechem. Rzeczywiście tak uważa, pomyślał. - I dlatego cię opuszczę, jeżeli nie zrezygnujesz ze wszelkich kontaktów z prostytutkami. Dalsza dyskusja była bezcelowa.

- Zobaczmy, czy wyjdiesz ze złamanym nosem - powiedział, unosząc łaskę do ciosu.

Była na to przygotowana. Zrobiła unik i pobiegła w stronę drzwi. Micky z zaskoczeniem stwierdził, że są otwarte - musiała wszystko przygotować, spodziewając się przemocy z jego strony - i błyskawicznie wymknęła się na zewnątrz.

Wybiegł za nią i na dworze oczekiwała go następna niespodzianka - przy krawężniku stał powóz, do którego Rachel wskoczyła. Był oszołomiony, widząc, jak precyzyjnie to zaplanowała. Zamierzał właśnie wdrzeć się do powozu, gdy drogę zastąpiła mu potężna postać w cylindrze. Był to ojciec Rachel, pan Bodwin, prawnik.

- Zakładam, że odmówił pan zmiany sposobu życia - oznajmił.

- Porywa pan moją żonę? - zapytał Micky. Był wściekły, że tak wyprowadzono go w pole.

- Opuszcza pana z własnej nieprzymuszonej woli. - Głos Bodwina drżał lekko, ale prawnik stawiał mu czoło. - Powróci, kiedy zrezygnuje pan ze swoich występnych poczynań i oczywiście podda się zadowolającemu badaniu lekarskiemu.

Przez chwilę Micky miał ochotę go uderzyć - ale tylko przez chwilę. Gdyby się nie powstrzymał, prawnik z pewnością oskarżyłby go o czynną napaść, a taki skandal skompromitowałby go jako dyplomatę. Rachel nie była tego warta. O co mam walczyć? - zadał sobie pytanie w tej patowej sytuacji.

- Może ją pan sobie zatrzymać - oświadczył. - Skończyłem z nią. - Wrócił do domu i zatrzasnął drzwi.

Usłyszał odjeżdżający powóz. Z pewnym zdumieniem skonstatował, że żałuje odejścia Rachel. Oczywiście, ożenił się z nią wyłącznie dla wygody - był to jedyny sposób, aby namówić Edwarda do zrobienia tego samego - i pod niektórymi względami życie bez niej będzie łatwiejsze. Jednakże ich pojedynki inteligencji sprawiały mu jakąś dziwną przyjemność. Nigdy dotąd nie przeżywał czegoś podobnego z kobietą. Co prawda Rachel często była również męcząca. Ostatecznie doszedł do wniosku, że lepiej mu będzie samemu.

Gdy wreszcie odzyskał oddech, włożył cylinder i wyszedł. Była ciepła letnia noc, z rozgwieżdżonym, czystym niebem. Londyńskie powietrze zawsze było lepsze w lecie, bo ludzie nie musieli palić węglem, aby ogrzać domy.

Idąc Regent Street, wrócił myślami do interesów. Od chwili, kiedy miesiąc temu kazał pobić Tonia Silvę, nie usłyszał już więcej o jego artykule na temat kopalni saletry.

Najprawdopodobniej Silva wciąż leczył rany. Micky wysłał Tacie zakodowany telegram z nazwiskami i adresami świadków, którzy podpisali zeznania znalezione w pokoju Tonia. Przypuszczalnie byli już martwi. Hugh, podnosząc niepotrzebny alarm, wyszedł na głupca i Edward był uszczęśliwiony. Tymczasem Edward uzyskał od Solly'ego Greenbourne'a wstępną zgodę na wspólną emisję obligacji kolejowych Santamaria. Sprawa nie była łatwa. Solly, podobnie jak większość inwestorów, bardzo ostrożnie podchodził do spraw południowoamerykańskich. Przed zawarciem umowy Edward musiał zaproponować większą prowizję i wziąć udział w opracowanym przez Greenbourne'a planie gry akcjami. Podkreślał przy tym fakt, że byli kolegami szkolnymi, i Micky podejrzewał, że ostatecznie szalę przechyliła poczciwość Solly'ego.

Teraz spisywano umowy. Trwało to dosyć długo. Micky'emu szalenie utrudniała życie niecierpliwość Taty, który nie mógł zrozumieć, że takich interesów nie sposób załatwić w ciągu paru godzin. Żądał pieniędzy natychmiast.

Gdy jednak Micky pomyślał o pokonanych już przeszkodach, był z siebie zadowolony.

Po zdecydowanej odmowie Edwarda zadanie wydawało mu się niemożliwe do zrealizowania, ale dzięki pomocy Augusty zdołał skłonić jej syna do małżeństwa i załatwić mu partnerstwo w banku. Potem uporał się z opozycją Hugh'a Pilastera i Tonia Silvy. Teraz miał zebrać owoce swoich wysiłków. W kraju kolej Santamaria na zawsze pozostanie kolejją. Pół miliona funtów stanowiło ogromną sumę, większą niż wynosił budżet wojskowy Cordovy. To jedno osiągnięcie będzie miało większe znaczenie niż wszystko, czego kiedykolwiek dokonał jego brat Paulo. Kilka minut później znalazł się w lokalu „U Nellie”. Zabawa była już w toku - stoliki zajęte, powietrze gęste od tytoniowego dymu, a przez dźwięki niewielkiej orkiestry głośno grającej melodie taneczne przebijały się nieprzyzwoite żarty i ochrypy śmiech. Wszystkie kobiety miały na twarzach maski - niektóre niewielkie i zwykłe, inne dość skomplikowane, a kilka okryło całe głowy, tak że widać im było jedynie oczy.

Micky przecisnął się przez tłum, kłaniając się znajomym i całując po drodze kilka dziewczyn. Edward był w pokoju do gry, ale gdy tylko go zobaczył, wstał od stołu.

- April ma dla nas dziewczinę - powiedział bełkotliwie. Było już późno i najwyraźniej dużo wypił.

Dziewictwo nigdy nie stanowiło szczególnej obsesji Micky'ego, ale zawsze było pewnym bodźcem, jeżeli dziewczyna się bała. Poczł dreszczyk podniecenia.

- Ile ma lat?

- Siedemnaście.

A więc pewnie dwadzieścia trzy, pomyślał, wiedząc, jak April określa wiek swoich dziewczyn. Mimo to był zaintrygowany.

- Widziałeś ją?

- Tak. Oczywiście jest w masce.

- Jasne.

Micky zastanawiał się, jaką historyjkę im opowie. Czy okaże się dziewczyną z prowincji, która uciekła z domu i znalazła się w Londynie bez środków do życia? A

może porwano ją z farmy albo po prostu jest pokojówką znużoną harowaniem po szesnaście godzin dziennie za sześć szylingów tygodniowo. Kobieta w małej czarnej maseczce dotknęła jego ramienia. Maską była tylko symbolem i bez trudu rozpoznał April.

- Prawdziwa dziewczina - zapewniła.

Niewątpliwie kazała Edwardowi zapłacić majątek za przywilej zdeflorowania dziewczyny.

- Włożyłaś jej rękę, żeby sprawdzić, czy ma błonę? - zapytał sceptycznie. April pokręciła głową.

- Nie musiałam. Wiem, kiedy dziewczyna nie kłamie.

- Jeżeli nie poczuję, jak pęka, nie dostaniesz pieniędzy - ostrzegł ją, chociaż wiadomo było, że to Edward płaci.

- Zgoda.

- Co opowiada?

- Jest sierotą, którą wychowywał wuj. Chciał się jej jak najszybciej pozbyć, wydając za starszego mężczyznę. Kiedy odmówiła, wyrzucił ją na ulicę, a ja uchroniłam biedaczkę od życia w nędzy.

- Jesteś aniołem - stwierdził sarkastycznie Micky. Nie wierzył w ani jedno jej słowo. Nie mógł dostrzec wyrazu twarzy zamaskowanej April, ale przeczuwał, że coś się za tym kryje. Spojrzał na nią podejrzliwie.

- Powiedz mi prawdę - rzekł.

- Już to zrobiłam. Jeżeli jej nie chcecie, mam tu sześciu innych, którzy zapłacą tyle co wy.

- Chcemy, chcemy - odparł ze zniecierpliwieniem Edward. - Przestań się sprzeczać, Micky. Chodźmy ją obejrzyć.

- Pokój numer trzy - poinformowała April. - Czeka na was.

Ruszyli po schodach pełnych obejmujących się par i weszli do wskazanego pokoju. Dziewczyna stała w rogu. Miała na sobie prostą muślinową suknię, a całą jej głowę okrywał kaptur z otworami jedynie na oczy i usta. Znów Micky'ego ogarnęły wątpliwości. Może jest obrzydliwa albo okaleczona? A może to jakiś dowcip? Gdy tak patrzył na nią, uświadomił sobie, że dziewczyna trzęsie się ze strachu, i przestał się wahać, czując wzbierające w podbrzuszu podniecenie. Aby przestraszyć ją jeszcze bardziej, przeszedł szybko przez pokój, rozsunął jej dekolt i wsunął do środka rękę. Zadrżała. W jej bardzo niebieskich oczach pojawiło się przerażenie, ale nie cofnęła się. Miała niewielkie, twarde piersi. Jej lęk sprawił, że zapragnął być brutalny. Zazwyczaj razem z Edwardem pobawiliby się trochę z kobietą, ale tę postanowił wziąć właśnie nagle.

- Uklęknij na łóżku - polecił.

Zrobiła, co kazał. Stał za nią i podwinął jej suknię. Krzyknęła cicho ze strachu. Pod spodem była naga.

Wszedł w nią łatwiej, niż się spodziewał. April musiała dać jej jakiś krem, żeby się przygotowała. Poczł opór jej błony dziewiczej. Złapał ją za biodra i przycisnął

brutalnie do siebie, wbijają się tak głęboko, aż błona pękła. Zaczęła łkać i tak go to podnieciło, że natychmiast osiągnął orgazm.

Ustał miejsca Edwardowi. Jego członek był czerwony od krwi. Ogarnęło go niezadowolenie, że jest już po wszystkim, i doszedł do wniosku, że wolałby zostać w domu i pójść do łóżka z Rachel. W tej samej chwili przypomniał sobie, że go porzuciła, i poczuł się paskudnie.

Edward odwrócił dziewczynę na plecy. Niemal stoczyła się z łóżka, więc chwycił ją za kostki i przesunął z powrotem na środek. Podczas tej szamotaniny jej kaptur częściowo się zsunął.

- Dobry Boże! - krzyknął.

- Co się stało? - zapytał bez szczególnego zainteresowania Micky.

Edward klęczał między udami dziewczyny i patrzył na fragment jej odsłoniętej twarzy. Micky uznał, że chodzi o jakąś jego znajomą. Patrzył zafascynowany, jak próbowała ściągnąć kaptur znowu w dół, Pilaster jednak powstrzymał ją i zerwał go całkowicie.

I wtedy Micky zobaczył wielkie niebieskie oczy i dziecinną twarz żony Edwarda, Emily.

- Nigdy nie słyszałem o czymś takim! - zawołał i zaczął się śmiać. Pilaster ryknął z wściekłości.

- Ty wstrętna dziwko! - wrzasnął. - Zrobiłaś to, żeby mnie skompromitować!

- Nie, nie, Edwardzie! Żeby ci... Żeby nam pomóc!

- Teraz już wszyscy wiedzą! - Uderzył ją w twarz. Krzyknęła, próbując mu się wyrwać, więc uderzył ją jeszcze raz.

Micky śmiał się coraz bardziej. Była to najśmieszniejsza rzecz, jaką w życiu widział. Facet poszedł do burdelu i spotkał w nim własną żonę! Do pokoju wpadła zaalarmowana krzykami April.

- Zostaw ją! - rozkazała, próbując odciągnąć Edwarda Odepchnął ją.

- Mogę karać własną żonę, jeżeli mam na to ochotę! - ryknął.

- Ty durniu, ona tylko chce mieć dziecko!

- Zamiast tego będzie miała moją piść!

Zmagali się przez chwilę. Edward ponownie uderzył Emily a April wyrznęła go w ucho. Jęknął z bólu i zaskoczenia, podczas gdy Micky zwijał się ze śmiechu. Wreszcie April zdołała odciągnąć Pilastera od żony. Emily zerwała się z łóżka, ale ku ogólnemu zaskoczeniu wcale nie uciekła, tylko odezwała się do męża:

- Proszę, Edwardzie, nie rezygnuj. Zrobię wszystko, co każesz, wszystko! Ponownie rzucił się w jej stronę. April schwyciła go za nogi i upadł na kolana.

- Wyjdź stąd, Emily, zanim cię zabije! Dziewczyna wybiegła z płaczem. Edward wciąż pieniał się z wściekłości.

- Nigdy już nie przyjdę do tego przekłętą burdelu! - zagroził April. Micky upadł na sofę, trzymając się za boki, i śmiał się do rozpuku.

Sobótkowy bal u Maisie Greenbourne uchodził za jedno z najwspanialszych

wydarzeń londyńskiego sezonu. Zawsze była tu najlepsza orkiestra, najwspanialsze jedzenie, wyzywająco ekstrawagancko udekorowany dom i morze szampana. Ale głównym powodem, dla którego wszyscy chcieli otrzymać zaproszenie, był fakt, że na bal zawsze przychodził książę Walii.

Tego roku Maisie postanowiła wykorzystać tę okazję, aby pokazać światu nową Norę Pilaster.

Plan był bardzo ryzykowny, ponieważ gdyby się nie powiódł, obje doznałyby upokorzenia. Ale jego powodzenie sprawiłoby, że nikt już nie ośmieliłby się kręcić nosem na Norę. przed balem Maisie wydała niewielki proszony obiad na dwadzieścia cztery osoby.

Byli wśród nich Hugh i Nora, wyglądająca czarująco w błękitnej sukni pokrytej małymi satynowymi kokardkami. Jedno nagie ramię zwracało uwagę na jej różową karnację i wspaniałą figurę.

Goście byli zaskoczeni, widząc ją przy stole, ale uznali, że pani Greenbourne wie, co robi. A Maisie pragnęła wierzyć, że mają rację. Znała sposób myślenia księcia i była prawie pewna, że potrafi przewidzieć jego reakcje. Od czasu do czasu jednak zachowywał się w sposób zupełnie zaskakujący, obrażając się na przyjaciół, zwłaszcza gdy podejrzewał, że próbowali go wykorzystać. W takim wypadku Maisie groziło to samo co Norze - odtrącenie przez londyńskie towarzystwo. Kiedy o tym myślała, dziwiła się sobie, że podejmuje aż tak wielkie ryzyko. Zdawała sobie jednak sprawę, że robi to wszystko nie dla niej, lecz dla Hugh'a.

Okres wypowiedzenia Hugh'a w Banku Pilasterów dobiegał końca. Minęły już dwa miesiące od dnia złożenia przez niego rezygnacji. Solly z niecierpliwością oczekiwał chwili, gdy rozpocznie pracę u Greenbourne'ów, ale Pilasterowie zażądali, żeby Hugh pozostał przez pełne trzy miesiące. Bez wątpienia chcieli odwlec moment, gdy zacznie pracować dla ich konkurentów. Po obiedzie Maisie porozmawiała krótko z Norą.

- Trzymaj się blisko mnie - powiedziała. - Kiedy nadejdzie moment, w którym będę mogła przedstawić cię księciu, nie chcę rozglądać się za tobą. Musisz od razu być pod ręką.

- Będę się ciebie trzymała jak Szkot pięćofuntowego banknotu - odparła Nora cockneyem, ale zaraz przeszła na wymowę wyższych sfer: - Nie obawiaj się. Nie ucieknę!

Goście zaczęli się schodzić o wpół do jedenastej. Maisie dotychczas nie zapraszała Augusty Pilaster, ale w tym roku odstąpiła od tej zasady, chcąc, aby była świadkiem triumfu Nory. Spodziewała się raczej, że Augusta odmówi, ale ona Przyszła i to jako jedna z pierwszych. Maisie zaprosiła również nowojorskiego preceptora Hugh'a, Sidneya Madlera, czarującego sześćdziesięcioletka z białą brodą. Pojawił się w wyraźnie amerykańskiej wersji stroju wieczorowego, z krótką marynarką i czarną muszką.

Zanim przybył książę, Maisie i Solly przez godzinę ściskali dłonie przybywających gości. Potem poprowadzili następcę tronu do sali balowej i przedstawili mu Bena Greenbourne'a, który skłonił się sztywno jak pruski junkier.

A następnie Maisie zatańczyła z księciem.

- Mam cudowną ploteczkę dla waszej wysokości - oznajmiła, gdy wirowali w walcu.

- I liczę, że księżę nie pogniewa się na mnie. Przycisnął ją mocniej i szepnął jej do ucha:

- Jakież to intrygujące, pani Greenbourne... Proszę mówić.

- Dotyczy tego incydentu na balu u księżnej Tenbigh. Poczula, że lekko zeszywniał.

- Ach tak. Przyznam, że był nieco kłopotliwy. - Ściszył głos. - Kiedy ta dziewczyna nazwała de Tokolya paskudnym starym świntuchem, przez chwilę myślałem, że mówi do mnie!

Maisie roześmiała się wesoło, jakby pomysł ten był całkowicie absurdalny, chociaż wiedziała, że wiele osób mogło pomyśleć tak samo.

- Ale proszę mówić - zachęcił ją księżę. - Czy było w tej sytuacji coś więcej, niż przypuszczano?

- Raczej tak. De Tokolya poinformowano, całkowicie fałszywie, że ta młoda kobieta jest, że tak powiem, otwarta na propozycje.

- Otwarta na propozycje! - Roześmiał się serdecznie. - Muszę zapamiętać to sformułowanie.

- Ją z kolei ostrzeżono przed nim, doradzając, aby natychmiast zareagowała w razie jego zbyt swobodnego wobec niej zachowania.

- A więc scena była zaaranżowana. Sprytne. Kto się za tym wszystkim kryje?

Maisie zawahała się przez chwilę. Nigdy dotąd nie wykorzystywała swojej przyjaźni z księciem, aby kogoś pognębić. Ale Augusta z pewnością na to zasługiwała.

- Czy wasza wysokość wie, kim jest Augusta Pilaster?

- Oczywiście. Damą, która rządzi inną rodziną bankierską.

- To ona jest inspiratorką tego incydentu. Dziewczyna, Mora, wyszła za bratanka Augusty, Hugh'a. Augusta zrobiła to z nienawiści, aby go zniszczyć.

- Cóż za źmija! Nie powinna organizować takich scen w mojej obecności. Mam ochotę jakoś ją ukarać.

Na ten właśnie moment Maisie czekała.

- Wystarczy, jeżeli wasza wysokość zauważy Norę i da jej znać, iż jej wybaczył - powiedziała i wstrzymała oddech, czekając na jego reakcję.

- I może zignoruję Augustę. Tak, chyba tak zrobię. Taniec się skończył.

- Czy mogę waszej wysokości przedstawić Norę? Jest tu dzisiaj. Popatrzył na nią ironicznie.

- Zaplanowała pani to wszystko, mała spryciario?

Tego właśnie się obawiała. Wcale nie był taki głupi. Lepiej więc nie zaprzeczać.

Spojrzała z zawstydzeniem i postarała się zaczerwienić.

- Wasza wysokość mnie przejrzał. Jakże było głupio z mojej strony sądzić, że uda mi się zamydląć oczy waszej wysokości. - Zmieniła wyraz twarzy i obdarzyła go otwartym, szczerym spojrzeniem. - Co powinnam uczynić, aby uzyskać przebaczenie? Po twarzy księcia przemknął lubieżny uśmiešek.

- Niech mnie pani nie wodzi na pokuszenie. Och, wybaczam.

Maisie odetchnęła z ulgą. Upiekło się jej. Teraz nadeszła pora na Norę.

- Gdzież jest ta Nora? - zapytał.

Zgodnie z poleceniem znajdowała się tuż przy nich. Kiedy Maisie zerknęła na nią, natychmiast podeszła.

- Wasza królewska wysokość - odezwała się Maisie - czy wolno mi przedstawić panią Hughową Pilaster?

Nora wykonała dworski ukłon i zatrzepotała rzęsami. Księżę spojrzał na jej nagie ramiona i obfity biust.

- Czarująca! - oznajmił z entuzjazmem. - Wprost czarująca.

Hugh z zaskoczeniem i radością patrzył na żonę, wesoło rozmawiającą z księciem Walii.

Wczoraj towarzystwo traktowało ją jak pariasa. Jakby stanowiła przykład, że nie można zrobić jedwabnej torebki ze świńskiego ucha. Przyczyniła się do utraty przez bank dużego kontraktu i zniszczyła w zarodku jego karierę. Teraz zaś stała się nagle obiektem zazdrości każdej obecnej na balu kobiety - jej strój był idealny, maniery czarujące i flirtowała z następcą tronu. A przemiany tej dokonała Maisie.

Hugh zerknął na stojącą nieopodal w towarzystwie wuja Josepha Augustę.

Wpatrywała się w Norę i księcia, usiłując zachować obojętną minę, ale on wyraźnie widział, że jest zdumiona. Jakże musi cierpieć, pomyślał, że Maisie, dziewczyna z nizin społecznych, z której szydziła sześć lat temu, jest teraz o wiele bardziej wpływowa niż ona.

Z doskonałym wyczuciem chwili podszedł do nich Sidney Madler i spoglądając z niedowierzaniem na Josepha, zapytał:

- Czy o tej właśnie kobiecie mówił pan, że absolutnie nie nadaje się na żonę bankiera?

Zanim Joseph zdążył odpowiedzieć, wtrąciła się Augusta, mówiąc zwodniczo łagodnym głosem:

- Przez nią bank utracił poważny kontrakt.

- Ściśle mówiąc, wcale tak się nie stało - odezwał się Hugh. - Ta pożyczka jest realizowana.

- Hrabia de Tokoly nie przeszkadzał? - zwróciła się do męża.

- Okazało się, że gniew dość szybko mu przeszedł - przyznał Joseph. Augusta usiłowała udąć, że bardzo ją to cieszy.

- Cóż za szczęście! - oznajmiła z widoczną na pierwszy rzut oka nieszczerością.

- Potrzeby finansowe w ostatecznym rozrachunku przełamują nawet uprzedzenia społeczne - stwierdził Madler.

- Tak - przyznał Joseph. - Chyba ma pan rację. Sądzę, że zbyt pochopnie odmówiłem Hughowi stanowiska partnera. Augusta przerwała mu morderczo słodkim tonem:

- Cóż ty mówisz, Josephie?

- To interesy, kochanie. Męska rozmowa - oświadczył stanowczo. - Nie musisz zaprzętać sobie tym głowy. - Odwrócił się do bratanka. - Absolutnie nie chcemy, żebyś

pracował dla Greenbourne'ów.

Hugh nie wiedział, co odpowiedzieć. Zdawał sobie sprawę, że Sidney Madler, popierany przez Samuela, bardzo ostro go bronił, ale wuj Joseph prawie nigdy nie przyznawał się do popełnienia błędu. Dlaczego więc, pomyślał z narastającym podnieceniem, teraz w ogóle poruszył tę kwestię?

- Dobrze wiesz, wuju, dlaczego do nich przechodzę - rzekł.

- Przecież nigdy nie uczynią cię partnerem - zauważył Joseph. - Musiałbyś być Żydem.

- W pełni jestem tego świadom.

- Czy w takim razie nie wolałbyś pracować dla rodziny?

Hugh poczuł się zawiedziony: proponowano mu tylko pozostanie na zwykłej posadzie urzędniczej.

- Nie, nie wolałbym - odparł z oburzeniem i dostrzegł, że Josephem wstrząsnęła siła jego uczucia. - Mówiąc szczerze, wolę pracować dla Greenbourne'ów, gdzie będę wolny od rodzinnych intryg... - rzucił wyzywające spojrzenie Auguste - i gdzie moja odpowiedzialność i wynagrodzenie będą zależeć wyłącznie od tego, co sobą reprezentuję jako bankier.

- Wolisz Żydów od własnej rodziny? - zapytała zgorszonym tonem Augusta.

- Nie wtrącaj się - upomniał ją ostro mąż. - Doskonale wiesz, dlaczego cię o to pytam, Hughu. Pan Madler uważa, że zawiedliśmy jego oczekiwania, i wszyscy partnerzy obawiają się, że odchodząc, zabierzesz ze sobą nasze północnoamerykańskie sprawy.

Hugh za wszelką cenę starał się opanować. Nadeszła pora, aby twardo postawić swoje warunki.

- Nie wróciłbym, nawet gdybyś podwoił mi pensję - oświadczył, paląc za sobą mosty. - Istnieje tylko jedna Propozycja, która mogłaby zmienić moją decyzję - jest nią Partnerstwo.

- Piekielnie trudno z tobą pertraktować - westchnął Joseph.

- Tak powinno być w wypadku każdego dobrego bankiera - zauważył Madler.

- A więc dobrze - oświadczył w końcu Joseph. - Proponuję ci partnerstwo. Hugh poczuł straszliwe osłabienie. Wycofali się, pomyślał, Poddali się. Wygrałem.

Z trudem mógł uwierzyć, że wszystko stało się naprawdę.

Zerknął na Augustę. Nie odzywała się, a jej twarz była opanowaną kamienną maską.

Wiedziała, że przegrała.

- W takim razie... - zaczął i przerwał, rozkoszując się tą chwilą - w takim razie zgadzam się.

Augusta ostatecznie utraciła zimną krew. Zaczerwieniła się i jej oczy zdawały się wychodzić z orbit.

- Będziecie tego żałowali do końca życia! - syknęła i ruszyła w stronę wyjścia. Szła do drzwi przez zgromadzony w sali balowej tłum, a ludzie wytrzeszczali na nią oczy. Zdawała sobie sprawę, że naj ej twarzy wyraźnie widać miotającą nią wściekłość. Bardzo pragnęła ukryć swoje uczucia, ale była zbyt wyprowadzona z równowagi.

Zatriumfowali ci, których nienawidziła i którymi pogardzała. Ta ulicznica Maisie, źle wychowany Hugh i oburzająca Nora rzucili jej wyzwanie i uzyskali wszystko, czego chcieli. Miała wrażenie, że jej żołądek zwija się w kłębek, i było jej niedobrze.

Wreszcie dotarła do drzwi i wyszła na podest drugiego piętra, gdzie było trochę mniej ludzi. Zatrzymała przechodzącego lokaja i rozkazała mu:

- Niech natychmiast zajedzie powóz pani Pilaster! - Ruszył biegiem spełnić jej polecenie. Przynajmniej mogła jeszcze zmusić lokajów do posłuchu.

Opuściła przyjęcie, nie odzywając się do nikogo. Jej mąż mógł sobie wracać do domu dorozką. Kipiała ze złości przez całą drogę do Kensington. W holu czekał na nią jej kamerdyner Hasteed.

- Pan Hobbes jest w salonie, łaskawa pani - oznajmił zaspianym głosem. - Poinformowałem go, że nie wróci pani przed świtem, ale uparł się, że poczeka.

- Czegóż, u licha, chce?

- Nie powiedział.

Augusta nie miała ochoty na spotkanie z wydawcą „The Forum”. Cóż on tu robi o tak późnej porze? Chętnie zignorowałaby go i poszła prosto do swojego pokoju, ale pomyślała o nobilitacji i postanowiła, że lepiej będzie, jeżeli z nim porozmawia.

Weszła do salonu. Hobbes spał przy gasnącym kominku.

- Dzień dobry! - rzekła głośno.

Drgnął gwałtownie, zerwał się na równe nogi i spojrzał na nią przez brudne okulary.

- Pani Pilaster! Eee, tak, dzień dobry.

- Cóż pana sprowadza do mnie w nocy?

- Sądziłem, że zechce pani przeczytać to pierwsza - oznajmił, podając jej pismo. Był to nowy numer „The Forum”, jeszcze ciepły i pachnący farbą drukarską. Otworzyła go na stronie tytułowej i zauważyła tytuł artykułu wstępnego:

CZY ŻYD MOŻE BYĆ LORDDEM?

Poczuła, że poprawia się jej nastrój. Dzisiejsze fiasko to tylko jedna porażka, uznała. Jeszcze są inne bitwy do wygrania. Przeczytała kilka akapitów.

Zapewne nie ma cienia prawdy w krążących w Westminsterze i po londyńskich klubach plotkach, że premier rozważa możliwość nobilitowania wybitnego bankiera żydowskiej rasy i wiary.

Nigdy nie pochwalaliśmy prześladowania obcych religii, jednakże tolerancja nie powinna posuwać się za daleko. Przyznanie najwyższych honorów człowiekowi, który otwarcie odrzuca chrześcijańskie zbawienie, graniczyłoby niemal z bluźnierstwem. Oczywiście, premier sam jest Żydem z pochodzenia, jednakże nawrócił się i złożył jej królewskiej wysokości przysięgę wierności na chrześcijańską Biblię. Jego nobilitacja nie budziła więc żadnych konstytucyjnych zastrzeżeń. Musimy jednak zapytać, czy wymieniany w plotkach nieochrzczony bankier byłby skłonny pójść na tak wielki kompromis ze swoją wiarą, by złożyć przysięgę zarówno na Stary, jak i Nowy Testament. Gdyby należał na złożenie przysięgi wyłącznie na Stary Testament, czyż biskupi zasiadający w Izbie Lordów mogliby powstrzymać się przed wyrażeniem swego protestu?

Bez wątplenia ów człowiek jest lojalnym obywatelem i uczciwym człowiekiem interesów...

Dalej tekst utrzymany był mniej więcej w takim samym tonie. Augusta z zadowoleniem podniosła wzrok znad gazety.

- Doskonale - orzekła. - To powinno wywołać poruszenie.

- Mam nadzieję.

Szybkim, ptasim ruchem Hobbes sięgnął do wewnętrznej kieszeni surduta i wyjął kartkę papieru.

- Pozwoliłem sobie zamówić maszynę drukarską, o której pani wspominałem. Pokwitowanie...

- Niech pan przyjdzie rano do banku - rzuciła ostro, nie zwracając uwagi na podawany dokument. Z jakiegoś powodu nie mogła zmusić się do okazywania Hobbesowi uprzejmości przez dłuższy czas, nawet gdy wyświadczył jej tak ogromną przysługę. Coś ją intrygowało w jego sposobie bycia. Z wysiłkiem postarała się okazać mu więcej uprzejmości i dodała łagodniejszym tonem: - Mój mążzonek da panu czek.

Hobbes skłonił się.

- W takim razie pozwolę sobie pożegnać panią - powiedział i wyszedł. Augusta westchnęła z zadowoleniem. Teraz zobaczą, kto jest górą. Maisie Greenbourne mogła uważać, że przewodzi londyńskiej socjecie. No cóż, niech sobie tańczy z księciem Walii choćby przez całą noc, ale nie ma szans wygrać z potęgą prasy. Greenbourne'owie będą potrzebowali wiele czasu, aby otrząsnąć się po tym ciosie. A tymczasem Joseph uzyska swoje szlachectwo.

W zdecydowanie lepszym nastroju usiadła, żeby jeszcze raz przeczytać artykuł. Rankiem po balu Hugh obudził się w radosnym nastroju. Jego żonę zaakceptowały wyższe sfery, a on miał zostać partnerem w Banku Pilasterów. To dawało mu szansę zarabiania nie tysięcy, ale setek tysięcy rocznie. Pewnego dnia stanie się bogaty.

Solly'ego rozczaruje wiadomość, że jednak nie będzie u niego pracował. Ale Solly jest poczciwy i zrozumie jego decyzję.

Narzucił szlafrok. Z szuflady nocnego stolika wyjął ozdobnie opakowane pudełeczko od jubilera i wsunął je do kieszeni. A potem skierował się do sypialni żony.

Pokój Nory był duży, lecz sprawiał wrażenie zatłoczonego. Okna, lustra i łóżko spowite były draperiami z wzorzystego jedwabiu, podłogę pokrywały ułożone w dwóch i trzech warstwach dywany, na krzesłach i fotelach leżały haftowane poduszki, na każdej półeczce i stoliku tłoczyły się obrazki w ramkach, porcelanowe laleczki, miniaturowe pudełka i inne drobiazgi. Dominującymi kolorami były jej ulubiony róż i błękit, ale widać też było wszystkie inne barwy - na tapetach, pościeli, zasłonach, obiciach.

Nora siedziała na łóżku otoczona koronkowymi poduszkami i piła herbatę. Hugh usiadł na jego krawędzi i oznajmił:

- Minionej nocy byłaś cudowna.

- Pokazałam im wszystkim, na co mnie stać - rzekła z zadowoloną miną. - Tańczyłam z księciem Walii.

- Nie mógł oderwać oczu od twojego biustu - zauważył. Wyciągnął rękę i zaczął pieścić jej piersi przez jedwab zapiętej wysoko pod szyję koszuli nocnej.

Z irytacją odepchnęła jego dłoń.

- Hugh! Nie teraz. Poczul się urażony.

- Dlaczego?

- To drugi raz w tym tygodniu.

- Kiedy byliśmy świeżo po ślubie, kochaliśmy się bez Przerwy.

- Właśnie. Kiedy byliśmy świeżo po ślubie. Ale przecież Kobieta nie może robić tego zawsze.

Zmarszczył czoło. On byłby bardzo szczęśliwy, gdyby mogli robić to codziennie. Czy w końcu nie dlatego człowiek się żeni? Ale tak naprawdę nie wiedział, czy jego potrzeby Są normalne. Być może jest zbyt pobudliwy.

- A więc jak często według ciebie należałoby się kochać? - zapytał niepewnie. Była zadowolona z jego pytania, zupełnie jakby czekała na sposobność wyjaśnienia tej kwestii.

- Najwyżej raz w tygodniu - oświadczyła stanowczo.

- Doprawdy? - Jego radość zdawała się ulatniać i nagle zrobiło mu się bardzo smutno. Tydzień wydawał się bardzo długim okresem. Poglaskał przez kołdrę jej udo.

- Może trochę częściej?

- Nie! - odparła ostro.

Hugh był zmartwiony. Kiedyś odnosił wrażenie, że kochała się z wyraźnym entuzjazmem. Było to coś, co sprawiało przyjemność im obojgu. W jaki sposób stało się tylko obowiązkiem, który spełniała wyłącznie dla jego przyjemności? Czyżby nigdy tego nie lubiła, lecz jedynie udawała? Poczul się przygnębiony. Właściwie nie miał ochoty dawać jej podarunku, ale go kupił i nie zamierzał odnosić do sklepu.

- No cóż, w każdym razie przyniosłem ci ten drobiazg, aby uczcić twój triumf na balu u Maisie Greenbourne - oznajmił z pewnym rozżaleniem i podał jej pudełko. Jej zachowanie natychmiast się zmieniło.

- Och, Hugh, wiesz, jak uwielbiam prezenty! - zawołała. Zerwała wstążki i otworzyła pudełeczko. Wewnątrz znajdował się zawieszony na złotym łańcuszku wisiorek w kształcie bukietu kwiatów wykonanych z rubinów i szafirów osadzonych na złotych łożdach. - Jaki piękny - powiedziała.

- A więc go nałóż. Przesunęła go przez głowę.

Nie wyglądał najlepiej na przodzie jej koszuli nocnej.

- Będzie się lepiej prezentował przy wieczorowej sukni z głębokim dekoltem - zauważył.

Nora spojrzała na niego kokieteryjnie i zaczęła rozpinąć koszulę. Hugh patrzył głodnym wzrokiem na jej wyłaniający się biust. Wisiorek spoczywał w rowku rozdzielającym jej piersi jak kropla deszczu na pączku róży. Uśmiechnęła się do niego, w dalszym ciągu rozcinając guziki, a potem rozchyliła koszulę, ukazując piersi w całej ich okazałości.

- Chcesz je pocałować? - zapytała.

Zupełnie nie wiedział, co o tym myśleć. Czy drażniła się z nim, czy pragnęła się kochać? Pochylił się i ujął wargami jej sutki.

- Chodź do łóżka - zaproponowała.

- Wydawało mi się, że...

- No cóż... dziewczyna powinna okazywać wdzięczność, prawda? Odchyliła kołdrę.

Poczuł się paskudnie. Tak więc biżuteria sprawiła, że zmieniła zdanie. Ale mimo wszystko nie mógł oprzeć się zaproszeniu. Zrzucił szlafrok, nienawidząc siebie za tę słabość, i położył obok niej.

A kiedy osiągnął spełnienie, miał ochotę się rozplakać.

Z poranną pocztą przyszedł list od Tonia Silvy.

Tonio zniknął wkrótce po ich spotkaniu w kawiarni Plage'a. W „Timesie” nie ukazał się żaden artykuł. Hugh, który tak gwałtownie ostrzegał przed niebezpieczeństwem grożącym bankowi, poczuł się dość głupio, a Edward przy każdej okazji przypominał partnerom ten fałszywy alarm. Całą tę jednak historię zepchnęła w cień sprawa przejścia Hugh'a do Greenbourne'ów.

Hugh napisał do hotelu „Rosyjskiego”, ale nie otrzymał odpowiedzi. Martwił się o przyjaciela, lecz nie mógł nic więcej zrobić.

Otworzył z niepokojem list. Był wysłany ze szpitala i zawierał Prośbę o odwiedzinę. Kończył się słowami: „Cokolwiek zrobisz, nie mów nikomu, gdzie jestem”.

Co się stało? Dwa miesiące temu Tonio cieszył się idealnym zdrowiem. I dlaczego znalazł się w publicznym szpitalu? Hugh był skonsternowany. Tylko biedni leczyli się w szpitalach, które były ponurymi i brudnymi miejscami. Każdy, kogo było na to stać, wzywał lekarzy i pielęgniarki do domu, nawet w celu wykonania operacji. Zaniepokojony i zdziwiony Hugh udał się wprost do szpitala. Odnalazł Tonia w mrocznej sali, w której znajdowało się trzydzieści blisko siebie ustawionych łóżek. Rude włosy kolegi były ogolone, a twarz i głowa pokryte szramami.

- Dobry Boże! - zawołał Hugh. - Wpadłeś pod coś?

- Pobito mnie - odparł Tonio.

- Jak to się stało?

- Dwa miesiące temu jacyś ludzie zaatakowali mnie na ulicy przed hotelem.

- Przypuszczam, że cię obrabowano.

- Tak.

- Jesteś w strasznym stanie!

- Tylko tak źle wygląda. Mam złamany palec i pękniętą kostkę, a poza tym jedynie siniaki i drobne rany - chociaż jest ich dużo. Ale właściwie już wyzdrowiałem.

- Powinieneś wcześniej się ze mną skontaktować. Musimy cię stąd wydostać. Przyślę do ciebie mojego lekarza i załatwię pielęgniarkę...

- Nie, dziękuję ci, stary. Doceniam twoją hojność, ale mój pobyt tutaj nie wiąże się wyłącznie z pieniędzmi. Jestem tu również bezpieczniejszy. O tym, że tu przebywam, wiesz tylko ty i jeszcze jedna osoba - zaufany kolega, który przynosi mi zapiekankę z

wołowiny, brandy i wiadomości z Cordovy. Mam nadzieję, że nie powiedziałeś nikomu, dokąd idziesz.

- Nawet żonie - zapewnił Hugh.

- Doskonale.

Dawna beztroska Tonia zupełnie zniknęła, pomyślał Hugh. Na dobrą sprawę popadł teraz w drugą skrajność.

- Ale nie możesz przecież przez resztę życia ukrywać się w szpitalu przed ulicznymi opryszkami!

- Ludzie, którzy mnie napadli, nie byli zwykłymi złodziejami.

Hugh zdjął kapelusz i usiadł na krawędzi łóżka, starając się nie zwracać uwagi na ciągle jęki leżącego w pobliżu mężczyzny.

- Opowiedz mi, jak to było - poprosił.

- To nie była zwykła kradzież. Złodzieje zabrali mi klucz i posłużyli się nim, aby wejść do mojego pokoju. Nie zabrano nic cennego, jedynie wszystkie dokumenty dotyczące mojego artykułu dla „Timesa”, w tym również poświadczone notarialnie zeznania świadków.

Hugh był przerażony. Zgrozą przejmowała go myśl, że jakieś transakcje zawierane w ciszy sal Banku Pilasterów mogły mieć związek z ulicznym rozbojem i ranami człowieka leżącego przed nim na szpitalnym łóżku.

- Brzmi to tak, jakbyś oskarżał nasz bank.

- Nie - odparł Tonio. - Bank Pilasterów jest potężnym przedsiębiorstwem, ale nie przypuszczam, aby zdołał zorganizować morderstwa w Cordovie.

- Morderstwa?! - Sytuacja wyglądała coraz gorzej. - Kto został zabity?

- Wszyscy świadkowie, których nazwiska i adresy znajdowały się na zeznaniach skradzionych z mojego pokoju.

- Nie mogę w to uwierzyć.

- Mam szczęście, że żyję. Pewnie bym zginął, gdyby tu, w Londynie, nie badano zabójstw dokładniej niż u mnie w kraju, a więc sprawcy obawiali się zbytniego zainteresowania.

Oszołomiony Hugh z odrazą pomyślał, że do śmierci tych ludzi mogły się przyczynić wypuszczone przez Bank Pilasterów obligacje. - Ale kto za tym wszystkim stoi?

- Micky Miranda.

Hugh pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Jak wiesz, nie przepadam za Mickym, lecz nie przypuszczam, aby był do tego zdolny.

- Kolej Santamaria jest dla niego sprawą życia i śmierci. Dzięki niej jego rodzina stanie się drugą pod względem potęgi w Cordovie.

- Nie wątpię, że Micky zrobiłby wiele i nie zawsze legalnego, aby osiągnąć swoje cele. Ale nie jest zabójcą.

- Owszem, jest - stwierdził Tonio.

- Daj spokój.

- Wiem z całą pewnością, choć nie zachowywałem się jak Ktoś, kto wie. Prawdę mówiąc, byłem cholernym głupcem w stosunku do Mirandy. Wszystko dlatego, że ma ten swój diabelski wdzięk. Na krótko zdołał mnie nawet przekonać, że jest moim przyjacielem. Prawda jednak wygląda tak, że jest na wskroś złym człowiekiem, a przekonałem się o tym jeszcze w szkole.

- Jakim cudem?

Tonio poprawił się na łóżku.

- Wiem, co się naprawdę stało trzynaście lat temu, w popołudnie, kiedy utonął Peter Middleton.

Hugh drgnął gwałtownie. Zastanawiał się nad tym przez tyle lat. Peter był dobrym pływakiem i wydawało się mało prawdopodobne, że utonął przypadkowo. Hugh od dawna był przekonany, że cała sprawa jest podejrzana. Być może pozna w końcu prawdę.

- Mów, człowieku. Nie mogę się doczekać. Tonio zawahał się.

- Mógłbyś mi nalać trochę wina? - poprosił. Na podłodze przy łóżku stała butelka madery. Kiedy Tonio pił małymi łykami, Hugh przypomniał sobie panujący tamtego dnia upał, nieruchome powietrze w Biskupim Lesie, poszarpane skaliste ściany otaczające stawek i zimną, bardzo zimną wodę.

- Koronerowi powiedziano, że Peter miał problemy z utrzymaniem się na wodzie. Ale nikt go nie poinformował, że Edward kilkakrotnie go przytapiał...

- O tym wiem - przerwał mu Hugh. - Dostałem list z Kraju Przylądkowego od „Garbusa” Cammela. Widział to z drugiej strony stawu, ale nie pozostał tam do końca.

- Tak jest. Uciekłeś im i „Garbus” też. Pozostałem ja, Peter, Edward i Micky.

- Co się potem stało? - zapytał niecierpliwie Hugh.

- Wyszedłem z wody i rzuciłem kamieniem w Edwarda. Szczęśliwie trafiłem go w sam środek czoła i zraniłem do krwi. Przestał znęcać się nad Peterem i zaczął mnie ścigać. Wszedłem po ścianie kamieniołomu, usiłując mu zwiąć.

- Edward nigdy nie był zbyt zręczny, nawet wtedy - zauważył Hugh.

- Tak. Dlatego udało mi się sporo go wyprzedzić i w połowie drogi się obejrzałem.

Micky dręczył Petera, który dopłynął do brzegu. Za każdym razem, gdy próbował wyjść z wody, Miranda zanurzał mu głowę pod wodę. Patrzyłem tylko przez chwilę, ale wyraźnie dostrzegłem, co się dzieje. Potem znowu zacząłem się wspinać. Wypił kolejny łyk wina.

- Kiedy dotarłem do krawędzi zbocza, ponownie się odwróciłem. Edward ciągle mnie gonił, ale był daleko i miałem czas złapać oddech. - Tonio przerwał na chwilę i przez jego twarz przemknął grymas. - wówczas Micky był już w wodzie razem z Peterem. Widziałem wszystko doskonale i pamiętam tak, jakby zdarzyło się wczoraj.

Micky, trzymając głowę Petera pod pachą, zanurzył ją pod wodę. Middleton się miotał, ale nie mógł się wyrwać. Miranda go topił, nie mam co do tego najmniejszej wątpliwości. Było to najzwyczajniejsze w świecie morderstwo.

- Dobry Boże! - westchnął Hugh. Tonio pokiwał głową.

- Jeszcze dziś, kiedy o tym myślę, robi mi się niedobrze. Nie wiem, jak długo na nich patrzyłem, w każdym razie Edward o mało mnie nie złapał. Gdy dotarł do skraju urwiska, musiałem uciekać dalej. Wtedy Peter przestał się już szarpać i tylko słabo poruszał rękami.

- A więc tak zginął Middleton. - Hugh był oszołomiony i wstrząśnięty.

- Edward gonił mnie jeszcze trochę po lesie, ale był już zmęczony, więc mu zwałem. A potem znalazłem ciebie.

Hugh przypomniał sobie trzynastoletniego Tonia wędrującego z ubraniami w ręku przez las - nagiego, mokrego i rozpaczliwie łkającego. Jednocześnie odżyło wspomnienie wstrząsu i bólu, który przeżył tego samego dnia, kiedy dowiedział się o śmierci ojca. - Ale dlaczego nigdy nikomu o tym nie powiedziałaś?

- Bałem się Micky'ego, bałem się, że zrobi ze mną to samo co z Peterem. Wciąż się go boję - popatrz, jak wyglądam! Też powinieneś się go obawiać.

- Obawiam się, bądź spokojny - odezwał się z namysłem Hugh. - Wiesz co, nie sądzę, aby Edward i jego matka znali Prawdę o tym wydarzeniu.

- Dlaczego tak uważasz?

- Nie mieli powodu osłaniać Micky'ego. Tonio spojrzał na niego z powątpiewaniem.

- Edward mógł mieć. Już wówczas przyjaźnił się z Mickym.

- Być może, chociaż wątpię, czy potrafiłby dochować tajemnicy dłużej niż dzień lub dwa. Poza tym Augusta doskonale zdawała sobie sprawę, że historyjka o tym, iż Edward próbował uratować Petera, jest kłamstwem.

- Skąd mogła o tym wiedzieć?

- Od mojej matki, a ona ode mnie. Czyli że Augusta była zamieszana w ukrycie prawdy. Mogę uwierzyć, że jest zdolna kłamać w obronie syna, ale nie Micky'ego. A wtedy nawet go nie znała.

- Jak więc twoim zdaniem wyglądał przebieg wypadków? Hugh zmarszczył czoło.

- Wyobraź sobie taką sytuację. Edward przestaje cię gonić i wraca nad staw. Widzi, że Micky wyciąga z wody ciało Petera. I wtedy Miranda krzyczy: „Durniu, zabiłeś go!”. Pamiętaj, że Edward nie widział, iż Micky trzymał głowę Middletona pod wodą. Miranda udaje, że Peter był tak wyczerpany przytapieniem przez Edwarda, iż nie mógł już pływać i utonął. „Co mam robić?” - pyta Edward. Micky odpowiada:

„Nie martw się. Powiemy, że to był wypadek, a ty nawet wskoczyłeś do wody i próbowałeś go ratować”. - W ten sposób Miranda ukrył swoją zbrodnię i zaskarbił sobie stałą wdzięczność zarówno Augusty, jak i Edwarda. Czy to ma sens? Tonio skinął głową.

- Na Boga, myślę, że tak właśnie było.

- Musimy iść na policję - oświadczył z gniewem Hugh.

- Po co?

- Jesteś świadkiem morderstwa. Fakt, że zdarzyło się ono trzynaście lat temu, nie ma znaczenia. Micky musi zostać pociągnięty do odpowiedzialności.

- Zapominasz o czymś: Mirandę chroni immunitet dyplomatyczny.

Hugh nie pomyślał o tym. Jako ambasador Cordovy Micky nie mógł być w Wielkiej Brytanii postawiony przed sądem.

- Ale może być publicznie napiętnowany i odesłany do domu.

Tonio pokręcił głową.

- Jestem jedynym świadkiem. Micky i Edward przedstawią odmienną wersję zdarzeń. Poza tym powszechnie wiadomo, że u nas w kraju rodziny Mirandów i Silvów są zaprzysięgłymi wrogami. Nawet gdyby stało się to wczoraj, mielibyśmy kłopoty z udowodnieniem naszych oskarżeń. - Tonio przerwał na chwilę. - Ale może powiesz Edwardowi, że nie jest mordercą?

- Nie sądzę, aby mi uwierzył. Będzie mnie podejrzewał, że chcę go poróżnić z Mickym. Jest jednak pewna osoba, którą muszę o tym poinformować.

- Kto?

- David Middleton.

- Dlaczego?

- Wydaje mi się, że ma prawo wiedzieć, w jaki sposób zginął jego brat - odparł Hugh. - Pytał mnie o to na balu u księżnej Tenbigh. Prawdę mówiąc, zachowywał się dość grubiańsko, ale zaręczyłem mu słowem honoru, że jeżeli poznam prawdę, to mu ją przekażę.

- Sądzisz, że pójdzie na policję?

- Przypuszczam, że podobnie jak my uzna to za bezcelowe. - Nagle poczuł, jak bardzo przygnębia go ponura sala szpitalna i rozmowa o dawnym morderstwie. - Lepiej pójdę do pracy - stwierdził, wstając. - Wkrótce zostanę partnerem w banku.

- Gratuluję ci! Jestem pewien, że zasługujesz na to stanowisko. - Tonio spojrzał na niego z nadzieją. - Czy będziesz w stanie powstrzymać budowę kolei Santamaria?

Hugh pokręcił głową.

- Bardzo mi przykro, Tonio. Chociaż ten projekt bardzo mi się nie podoba, obecnie nie mogę nic w tej sprawie zrobić. Edward uzgodnił z Greenbourne'ami, że wspólnie wypuszczą obligacje. Partnerzy w obu bankach zaaprobowali edycję i właśnie sporządzane są kontrakty. Obawiam się, że przegraliśmy bitwę.

- Do licha! - Tonio wyglądał na załamanego.

- Twoja rodzina będzie musiała znaleźć inne sposoby walki z Mirandami.

- Boję się, że nie znajdzie.

- Przykro mi - powtórzył Hugh. W tej samej chwili przyszła mu do głowy pewna myśl i zmarszczył brwi. - Wiesz, wyjaśniłeś mi zagadkę, w jaki sposób utonął Peter, który był przecież bardzo dobrym pływakiem, ale twoja odpowiedź stała się źródłem jeszcze większej zagadki.

- Nie bardzo cię rozumiem.

- Pomyśl, Peter spokojnie pływał, Edward przytopił go po prostu z czystej złości, my uciekliśmy, Edward zaczął nas gonić, a Micky w tym czasie z zimną krwią zabił Middletona. Nie miało to nic wspólnego z poprzednimi wydarzeniami.

Dlaczego tak się stało? Co Peter zrobił?

- Faktycznie, to jest pytanie.

- Micky Miranda zamordował Petera Middletona... Ale dlaczego?

Rozdział piąty - Lipiec

W dniu, w którym ogłoszono przyznanie Josephowi tytułu szlacheckiego, Augusta zachowywała się jak kwoka, która zniosła jajko. Micky przybył do jej domu jak zwykle w porze popołudniowej herbaty i zastał w salonie tłum ludzi składających gratulacje nowej hrabinie Whitehaven. Jej kamerdyner Hastead miał przyklejony do ust li zusowski uśmiech i przy każdej okazji odmieniał przez wszystkie przypadki słowa „pani hrabina”.

Ona jest niezwykła, pomyślał Micky, obserwując, jak wszyscy krzątają się wokół niej niczym pszczoły w pełnym słońca ogrodzie, widocznym za otwartymi oknami. Zaplanowała całą kampanię jak generał. W pewnym momencie rozeszła się pogłoska, że tytuł przypadnie Benowi Greenbourne'owi, ale spowodowało to taki wybuch nastrojów antysemitycznych w prasie, że projekt upadł. Augusta nie przyznała się nawet przed Mickyem, że to ona maczała palce w tej nagonce prasowej, ale był tego pewien. W jakiś sposób przypominała mu ojca. Tata odznaczał się takim samym nieubłaganym zdecydowaniem. Augusta jednak była inteligentniejsza. Podziw Micky'ego wzrastał w miarę upływu lat.

Jedynym człowiekiem, któremu nie mogła sprostać nawet Jej pomysliwość, był Hugh Pilaster. Zadziwiająco, jak trudno było go zniszczyć. Wdeptany w ziemię niczym ogrodowy chwast, odrastał bardziej prosty i silniejszy niż poprzednio.

Na szczęście nie był w stanie powstrzymać budowy linii Santamaria. Micky i Edward przechytrzyli Hugh'a i Tonia.

- A przy okazji - spytał Micky Edwarda - kiedy piszesz kontrakt z Greenbourne'ami?

- Jutro.

- Doskonale! - Odetchnie, kiedy wreszcie sprawa zostanie sfinalizowana. Ciągnęła się już pół roku i Tata co tydzień słał mu gniewne depesze z pytaniem, czy w końcu otrzyma pieniądze.

Tego wieczoru Edward i Micky jedli obiad w klubie Cowes. Do Edwarda nieustannie podchodzili ludzie, aby złożyć mu gratulacje. Wiadomo było, że któregoś dnia odziedziczy tytuł. Micky był zadowolony. Jego bliskość z Edwardem i Pilasterami stanowiła podstawę wszystkiego, co osiągnął, i im większy był ich prestiż, tym większą władzą dysponował on sam.

Po obiedzie przeszli do palarni. Było jeszcze dość wcześnie i mieli dla siebie cały pokój.

- Dochodzę do wniosku, że Anglicy boją się swoich żon - oznajmił Micky, zapalając cygaro. - Tylko w ten sposób można wyjaśnić fenomen londyńskich klubów.

- O czym, u diabła, mówisz? - zapytał Edward.

- Rozejrzyj się wokół siebie - odparł Micky. - To miejsce przypomina twój albo mój dom. Bogate umeblowanie, wszędzie służba, nudne jedzenie i nieograniczona ilość alkoholu. Możemy tu spożywać posiłki, otrzymywać pocztę, czytać gazety, zdrzemnąć się, a jeśli wypijemy zbyt dużo, aby wczłgać się do dorożki, to nawet przenocować. Jedyna różnica między klubem Anglika a jego domem polega na tym, że do klubu nie mają wstępu kobiety.

- W Cordovie nie ma klubów?

- Oczywiście, że nie. Nikt by do nich nie przychodził. Jeżeli Cordovańczyk chce się upić, zagrać w karty, pogadać o polityce albo o dziwkach, zapalić cygaro, bekać i puszcząć bąki, robi to we własnym domu, a jeżeli jego żona jest do tego stopnia głupia, że spróbuje protestować, dostaje baty dopóty, dopóki nie zrozumie, gdzie jest jej miejsce. Ale angielski dżentelmen boi się swojej żony tak bardzo, że ucieka z domu, aby się zabawić. Po to właśnie są kluby.

- Nie wyglądasz na człowieka, który boi się Rachel. Nie dajesz się jej, prawda?

- Odesłałem do matki - wyjaśnił wyniośle Micky. Postanowił Nie wtajemniczać Edwarda w przebieg wydarzeń. Wszyscy musieli zauważyć, że już nie pełni swoich funkcji w ambasadzie.

- Czy nie ma komentarzy?

- Wyjaśniam, że jest chora.

- Ale przecież powszechnie wiadomo, że próbuje założyć klinikę położniczą dla niezamężnych kobiet. Ta sprawa stała się publicznym skandalem.

- Och, to bez znaczenia. Ludzie mi współczują, że mam trudną żonę.

- Rozwiedziesz się z nią?

- Nie. To właśnie byłaby prawdziwa kompromitacja. Dyplomata nie może być rozwiedziony. Obawiam się, że będę musiał znieść małżeństwo z nią, dopóki jestem ambasadorem Cordovy. Dzięki Bogu, że przed odejściem nie zaszła w ciążę. - A właściwie prawdziwy cud, pomyślał. Być może jest bezpłodna. Skinął na kelnera i zamówił brandy. - Skoro już mowa o żonach - zaczął ostrożnie - co z Emily? Edward zrobił zakłopotaną minę.

- Widuję ją równie rzadko jak ty Rachel - odparł. - Wiesz, że jakiś czas temu kupiłem dom w Leicestershire. Stale tam przebywa.

- A więc znowu jesteście kawalerami. Edward uśmiechnął się.

- Nigdy przecież nie było inaczej, prawda?

Micky popatrzył w stronę drzwi i zobaczył w nich potężną postać Solly'ego Greenbourne' a. Z jakiegoś powodu widok ten przestraszył go, co wydawało się dziwne, jako że Solly był chyba najbardziej nieszkodliwym człowiekiem w całym Londynie.

- Oto następny przyjaciel przychodzi z gratulacjami - Powiedział do Edwarda, gdy grubas szedł ku nim przez Pokój.

Gdy był już blisko, Micky uświadomił sobie, że Solly nie uśmiecha się swoim zwykłym, życzliwym uśmiechem. Wręcz Przeciwnie - był zdecydowanie rozgniewany.

Miranda instynktownie poczuł, że będą jakieś problemy z koleją Santamaria.

Próbował się uspokoić, tłumacząc sobie, że stał się nerwowy jak stara kobieta.

Ale przecież Greenbourne nigdy się nie złościł...

Niepokój sprawił, że Micky zaczął przyjaźnie błaznować.

- Witaj, Solly, mój stary... Jak się ma geniusz City?

Grubas jednak zupełnie nie zwrócił na niego uwagi. Nawet nie odpowiadając na pozdrowienie, odwrócił się plecami do Mirandy i spojrzał na Edwarda.

- Pilaster, jesteś cholernym łajdakiem! - oznajmił.

Micky był zaskoczony i przerażony. Solly i Edward mieli przecież wkrótce podpisać umowę. Sprawa była niewątpliwie poważna - Solly nigdy nie sprzeczał się z ludźmi. Co, u licha stało się powodem tej gwałtownej zmiany? Edward był nie mniej zdumiony.

- O czym, u diabła, mówisz, Greenbourne?

Solly poczerwieniał i z trudem wydobył z siebie słowa.

- Doniesiono mi, że ty i ta wiedźma, którą nazywasz matką, kryjecie się za tymi obrzydliwymi artykułami w „The Forum”.

Och nie! - jęknął w duchu Micky. To byłaby katastrofa. Podejrzewał Augustę, lecz nie miał dowodów. Ale w jaki sposób dowiedział się o tym Solly? Edwardowi też to przyszło do głowy.

- Kto napakował tych bzdur do twego tłustego łba?

- Jedna z przyjaciółek twojej matki jest damą dworu królowej - odparł Solly i Micky domyślił się, że mówi o Harriet Morte, która najwyraźniej pozostawała pod wpływem Augusty. - Wyszło szydło z worka - poinformowała o wszystkim księcia Walii. Właśnie u niego byłem.

Solly musi być prawie nieprzytomny z wściekłości, skoro popełnia niedyskrecję, ujawniając temat swojej rozmowy z członkiem rodziny królewskiej, pomyślał Micky.

Widocznie ten łagodny człowiek został doprowadzony do ostateczności. - W jaki sposób zneutralizować skutki tej awantury na tyle szybko, aby jutro można było podpisać kontrakt? Micky rozpaczliwie usiłował uspokoić nastroje.

- Solly, stary, przecież nie możesz być pewien, że to prawda...

Grubas obrócił się w jego stronę. Oczy wychodziły mu z orbit i pot spływał po twarzy.

- Nie mogę? Po tym jak przeczytałem dziś w gazecie, że Joseph Pilaster otrzymał tytuł, który miał przapaść Benowi Greenbourne'owi?!

- Mimo wszystko...

- Czy wyobrażasz sobie, co to znaczy dla mojego ojca?

Micky zaczął rozumieć, co zdołało przebić pancierz pogody ducha Solly'ego. Chodziło mu nie o siebie, lecz o ojca. Dziad Bena Greenbourne' a przybył do Londynu z belą rosyjskich futer, pięcioma funtami w kieszeni i w dziurawych butach. Miejsce w Izbie Lordów byłoby dla Bena ostatecznym potwierdzeniem zaakceptowania go przez

społeczeństwo angielskie. Wprawdzie Joseph również pragnąłby ukoronować swoją karierę tytułem - jego rodzina też zdobyła obecną pozycję własnymi siłami - ale dla Żyda byłoby to zdecydowanie większe osiągnięcie. Stanowiłoby triumf nie tylko samego Bena Greenbourne'a i jego rodziny, ale i całej żydowskiej społeczności w Wielkiej Brytanii.

- Nic na to nie poradzę, że jesteś Żydem - stwierdził Edward. Micky wtrącił się szybko.

- Nie powinniście dopuścić, aby poróżniły was sprawy waszych rodziców. W końcu jesteście partnerami w poważnym przedsięwzięciu...

- Nie bądź idiotą, Miranda - odparł Solly z gwałtownością, która wstrząsnęła Mickym. - Możesz zapomnieć o kolei Santamaria czy jakimkolwiek innym wspólnym przedsięwzięciu z Bankiem Greenbourne'ów. Kiedy nasi partnerzy usłyszą tę historię, nigdy nie zechcą robić żadnych interesów z Pilasterami.

Patrząc na wychodzącego z pokoju Greenbourne'a, Micky czuł dławienie w gardle. Na widok Solly'ego łatwo było zapomnieć, jak potężnymi ludźmi są bankierzy. A jednak tenże Solly pod wpływem chwilowej wściekłości był w stanie jednym zdaniem zniweczyć wszystkie jego nadzieje.

- Co za cholerna bezczelność! - odezwał się słabym głosem Edward. - Typowo żydowska.

Micky omal nie kazał mu się zamknąć. Edward wyjdzie z tej awantury bez szwanku, ale jemu może się nie udać. Rozczarowany i wściekły Tata będzie szukał kozła ofiarnego i wtedy on, Micky, odczuje cały ciężar jego gniewu. Czy rzeczywiście nie ma nadziei? Próbował się opanować i zacząć myśleć. Czy mógłby w jakiś sposób zapobiec anulowaniu umowy? Jeżeli tak, musi załatwić sprawę błyskawicznie zanim Solly przekaze wiadomość pozostałym Greenbourne'om. Czy można zmienić decyzję Solly'ego? Musiał spróbować. Wstał gwałtownie.

- Dokąd idziesz? - zapytał Edward.

Micky postanowił nie wtajemniczać go w swoje zamiary.

- Do pokoju do gry - odparł. - Nie chcesz pograć?

- Tak, oczywiście. - Edward podniósł się z fotela.

U stóp schodów Micky skręcił w stronę toalet i powiedział:

- Idź tam... Przyjdę za chwilę.

Edward udał się na górę, on zaś wszedł do szatni, schwycił cylinder i laskę, po czym wybiegł przez frontowe drzwi.

Rozejrzał się po Pali Mali, przerażony, że mógłby zgubić Greenbourne'a. Był zmierzch, zapalano już latarnie gazowe i nigdzie nie było go widać. Aż nagle dostrzegł w odległości stu metrów tęgą postać w wieczorowym stroju, podążającą szybkim krokiem w stronę St. James.

Micky ruszył za nim. Wyjaśni Solly'emu, jak ważna jest ta kolej dla niego i dla Cordovy. Powie mu, że z powodu tego, co zrobiła Augusta, zostaną ukarane miliony biednych wieśniaków. Solly ma miękkie serce, więc może zdoła go uspokoić i przekonać.

Skoro Solly wracał właśnie od księcia Walii, to znaczy, że nie zdążył jeszcze nikomu przekazać otrzymanej wiadomości. Nikt nie słyszał kłótni w klubie - w palarni znajdowali się tylko oni trzej. Najprawdopodobniej Ben Greenbourne jeszcze nie wie, kto odebrał mu tytuł.

Oczywiście, prędzej czy później sprawa wyjdzie na jaw. Książę może powiedzieć o tym komuś innemu. Ale kontrakt miał być podpisany już jutro. Gdyby udało się utrzymać tajemnicę do tego czasu, wszystko dobrze by się ułożyło.

Potem - gdy już Tata wybuduje kolej - Greenbourne'owie i Pilasterowie mogą się kłócić aż do końca świata. pali Mali był zatłoczony przechadzającymi się po trotuarach prostytutkami, mężczyznami wchodzącymi i wychodzącymi z klubów, lampiarzami zajmującymi się swoją pracą, powozami i dorożkami wypełniającymi całą jezdnię. Micky nie był w stanie dogonić Solly'ego. Zaczął ogarniać go lęk. Aż nagle grubas skręcił w boczną uliczkę, prowadzącą do jego domu na Piccadilly.

Micky podążył za nim. Boczna ulica nie była tak zatłoczona, więc puścił się biegiem.

- Greenbourne! - zawołał. - Poczekaj!

Solly zatrzymał się i odwrócił, dysząc ciężko. Poznał Mirandę i zamierzał iść dalej. Micky schwycił go za ramię.

- Muszę z tobą pogadać!

Solly był tak zdyszany, że prawie nie mógł mówić.

- Weź te cholerne łapy! - wy sapał. Wyrwał się i ruszył przed siebie. Miranda dogonił go i znów złapał za rękę. Solly próbował się wyszarpnąć, ale Micky trzymał mocno.

- Posłuchaj mnie!

- Powiedziałem, żebyś dał mi spokój! - odparł ostro Solly.

- Tylko chwilę, do diabła! - Micky też zaczynał się już złościć.

Ale Greenbourne nie chciał go słuchać. Wyszarpnął się gwałtownie i zrobił dwa kroki do przodu.

Dalej było skrzyżowanie i musiał zatrzymać się przy krawężniku, aby przepuścić szybko jadący powóz. Micky wykorzystał tę okazję, aby ponownie do niego przemówić.

- Solly, uspokój się! - zaczął. - Chodzi mi tylko o to, żebyś się opamiętał!

- Idź do diabła! - wrzasnął grubas.

Jezdnia była już pusta. Aby zatrzymać Solly'ego, Micky schwycił go za klapy. Greenbourne próbował się wyrwać, ale Miranda trzymał mocno.

- Posłuchaj mnie! - krzyknął.

- Puszczaj!

Solly uwolnił rękę i uderzył go w nos.

Zabolało. Micky poczuł smak krwi i ogarnęła go furia.

- Niech cię diabli! - zawołał. Puścił klapy fraka Solly'ego i zdzielił go w policzek.

Greenbourne odwrócił się i wszedł na jezdnię. I w tej samej chwili obaj ujrzeli pędzący powóz. Solly odskoczył, aby zejść mu z drogi.

Micky dostrzegł swoją szansę. Jeżeli Solly zginie, skończą się kłopoty Mirandów.

Nie było czasu na rozważanie szans, na zastanawianie się czy wahania.

Z całej siły popchnął Greenbourne'a na środek jezdni, prosto pod rozpędzony powóz.

Stangret krzyknął i ściągnął cugle. Solly potknął się, zobaczył tuż przed sobą konie, upadł na ziemię i wrzasnął.

Przez jedną trwającą w nieskończoność chwilę Micky widział pędzące konie, ciężkie koła powozu, przerażonego stangreta i wielką, bezradną postać Solly'ego leżącą na plecach.

A potem konie przebiegły po Greenbournie i Miranda patrzył, jak jego ciało drga i wije się pod uderzeniami kopyt. Przednie koło powozu uderzyło Solly'ego w głowę, a w ułamek sekundy później przez jego twarz przetoczyło się tylne, miażdżąc czaszkę.

Micky odwrócił się. Zrobiło mu się niedobrze, ale zdołał opanować kurcze żołądka.

Potem zaczął dygotać. Był tak osłabiony, że musiał oprzeć się o ścianę.

Z wysiłkiem spojrzał na leżące na jezdni nieruchome ciało. Zmasakrowana twarz, krew na bruku. Solly był martwy.

A on ocalony.

Teraz Ben Greenbourne nie dowie się, co zrobiła Augusta, i umowa zostanie podpisana. A gdy wybudują kolej, Micky stanie się bohaterem Cordovy.

Poczuł ciepły strumyczek krwi spływający mu po wardze. Wyjął chusteczkę i przytknął ją do nosa. Przez chwilę przyglądał się martwemu koledze.

Zdenerwowałeś się jedyny raz w życiu i to cię zabiło, pomyślał.

Rozejrzał się po oświetlonej gazowymi latarniami ulicy. W pobliżu nie było ni kogo.

Tylko stangret widział, co zaszło.

Powóz zatrzymał się w odległości trzydziestu metrów. Mężczyzna zeskoczył z kozła, a przez okno wyjrzała jakaś kobieta. Micky odwrócił się i szybko ruszył z powrotem w stronę pali Mali.

Usłyszał, że stangret woła za nim:

- Hej, ty!

Przyspieszył kroku i nie oglądając się, skręcił w Pali Mali. Wkrótce zniknął w tłumie.

Na Boga, zrobiłem to, myślał. Teraz, kiedy nie miał już przed oczami zmasakrowanego ciała, obrzydzenie zaczęło znikać i z wolna ogarniało go uczucie triumfu. Błyskawiczny refleks i zuchwałe działanie pozwoliły mu pokonać kolejną przeszkodę.

Wbiegł po stopniach prowadzących do klubu. Przy odrobinie szczęścia nikt nie powinien zauważyć jego nieobecności. Kiedy jednak minął frontowe drzwi, wpadł prosto na wychodzącego Hugh'a Pilastera.

Hugh skinął głową i rzekł:

- Dobry wieczór, Miranda.

- Dobry wieczór, Pilaster - odparł Micky, klnąc go w duchu. Wszedł do szatni. Nos miał zaczerwieniony i sprawiał wrażenie nieco wymiętego. Poprawił ubranie i przyglądał włosy, myśląc przy tym o Hughu Pilasterze. Gdyby nie znalazł się w

nieodpowiedniej chwili przy wejściu, nikt by nie wiedział, że Micky w ogóle opuszczał klub - nie było go zaledwie kilka minut. Ale czy to ważne? Któż by go podejrzewał o zabicie Solly'ego? A nawet gdyby, to przecież tak krótka nieobecność niczego nie dowodziła. Martwił się jednak, że nie ma doskonałego alibi .

Dokładnie umył ręce i szybko wszedł po schodach do pokoju gry.

Edward zasiadł już do bakarata i przy stole znajdowało się jedno wolne krzesło.

Zajął je Micky. Nikt ani słowem nie Wspomniał, że długo go nie było.

Rozdano mu karty.

- Wyglądasz trochę blado - zauważył Edward.

- Tak - odparł spokojnie Miranda. - Obawiam się, że zupa rybna była niezbyt świeża.

Przyjaciół przywołał gestem kelnera.

- Przynieście temu panu szklaneczkę brandy.

Micky spojrzął na swoje karty. Miał dziewiątkę i dziesiątkę, idealny układ. Postawił suwerena. Dziś wieczorem po prostu nie mógł przegrać. Hugh odwiedził Maisie dwa dni po śmierci Solly'ego.

Zastał ją samą, siedzącą spokojnie i nieruchomo na sofie. Była elegancko ubrana w czarną suknię i sprawiała wrażenie małej i nic nieznaczącej w pałacowych wspaniałościach salonu domu na Piccadilly. Na jej twarzy malował się smutek i wyglądała, jakby nie spała całą noc. Poczul, że serce ściska mu się z żalu. Rzuciła mu się w ramiona i zawołała:

- Och, Hugh, on był najlepszy z nas wszystkich!

Dotychczas Hugh był zbyt oszołomiony, by płakać, ale słysząc te słowa, nie mógł powstrzymać łez. Solly zginął straszliwą śmiercią, choć zasługiwał na ten los mniej niż ktokolwiek inny.

- Nie było w nim gniewu i złości - powiedział Hugh. - Chyba w ogóle nie był do tego zdolny. Znałem go od piętnastu lat i nie przypominam sobie, aby kiedykolwiek był dla kogoś nieuprzejmy.

- Dlaczego takie rzeczy się zdarzają? - zastanawiała się zrozpaczona Maisie. Hugh zawahał się. Przed kilkoma dniami dowiedział się od Tonia Silvy, że Micky Miranda zabił Petera Middletona, i nie mógł powstrzymać się od myśli, czy nie przyczynił się również do śmierci Solly'ego. Policja poszukiwała dobrze ubranego mężczyzny, który sprzeczał się z Greenbourne'em na chwilę przed jego śmiercią. Micky wchodził do klubu Cowes mniej więcej w tym czasie, gdy zginął Solly, a więc z całą pewnością był w pobliżu miejsca wypadku.

Miranda nie miał jednak motywu. Wręcz przeciwnie, bardzo mu zależało na sfinalizowaniu przez Solly'ego umowy w sprawie kolei Santamaria. Przecież nie zabiłby swojego dobroczyńcę.

Hugh postanowił nic nie mówić Maisie o swoich nieuzasadnionych podejrzeniach.

- Wszystkie okoliczności wskazują, że był to nieszczęśliwy wypadek - oznajmił.

- Stangret twierdzi, że ktoś popchnął Solly'ego. Dlaczego świadek miałby uciec, gdyby nie był winny?

- Może usiłował obrabować Solly'ego? Tak przynajmniej utrzymuje prasa. Gazety rozpisywały się na ten temat. Koszmarna śmierć wybitnego bankiera, jednego z najbogatszych ludzi na świecie, była wszak sensacją.

- Czy złodzieje noszą stroje wieczorowe?

- Było prawie ciemno. Stangret mógł źle ocenić ubranie tego człowieka. Maisie odsunęła się od Hugh'a i znowu usiadła.

- A ty, gdybyś trochę poczekał, mógłbyś teraz ożenić się ze mną, nie z Norą - oświadczyła.

Hugh był zaskoczony jej szczerością. Kiedy usłyszał o wypadku Solly'ego, przyszła mu do głowy podobna myśl, ale poczuł się nią zawstydzony. Było to typowe dla Maisie - przejść od razu do rzeczy i powiedzieć, o czym oboje marzyli. Nie wiedział, jak zareagować, więc wykrecił się głupim dowcipem:

- Gdyby teraz Pilaster ożenił się z panią Greenbourne, nie byłoby to właściwie małżeństwo, lecz fuzja.

Pokręciła głową.

- Nie należę do Greenbourne'ów. Rodzina Solly'ego nigdy mnie tak naprawdę nie zaakceptowała.

- Ale musiałaś przecież odziedziczyć spory udział w banku.

- Nie odziedziczyłam niczego, Hugh.

- To niemożliwe!

- Lecz prawdziwe. Solly nie miał własnych pieniędzy, ojciec wypłacał mu ogromną miesięczną pensję, lecz nigdy nie wydzielił mu żadnego kapitału. Z mojego powodu.

Ten dom jest wynajęty. Moją własnością są jedynie ubrania, meble i biżuteria, a więc nie umrę z głodu. Nie dziedziczę Jednak udziału w banku. Ani ja, ani Bertie.

Hugh był zaskoczony i zły. Jak ktoś mógł być tak niesprawiedliwy wobec Maisie!

- Jego ojciec nie będzie łożył nawet na twojego syna?

- Ani grosza. Widziałam się z teściem dziś rano.

Potraktowano ją wyjątkowo paskudnie i Hugh, jako jej przyjaciel, poczuł się osobiście dotknięty.

- To haniebnie! - oświadczył.

- Nie ujęłabym tego w ten sposób - zaprotestowała Maisie. - Dałam Solly'emu pięć lat szczęścia, a w zamian otrzymałam pięć lat wspaniałego życia. Mogę powrócić do zwykłych warunków. Sprzedam biżuterię, zainwestuję i zdołam utrzymać się z procentów.

Trudno mu było się z tym pogodzić.

- Czy zamieszkaż u rodziców?

- W Manchesterze? Nie, nie sądzę, abym miała ochotę jechać tak daleko. Pozostanę w Londynie. Rachel Bodwin otwiera klinikę dla niezamężnych matek. Może będę pracowała u niej.

- Bardzo dużo się mówi o szpitalu Rachel. Wiele osób uważa to za skandal.

- A więc świetnie mi odpowiada!

Hugh wciąż był zmartwiony i urażony złym potraktowaniem synowej przez Bena Greenbourne'a. Postanowił z nim porozmawiać i nakłonić go do zmiany zdania, ale nie chciał wspominać o tym Maisie. Obawiał się jej rozczarowania, gdyby mu się nie powiodło.

- Nie podejmuj żadnych nieprzemyślanych decyzji, dobrze? - poradził.

- Jakich?

- Na przykład nie wyprowadzaj się z tego domu. Greenbourne może próbować zająć twoje meble.

- Dobrze.

- I będzie ci potrzebny prawnik, który reprezentowałby twoje interesy. Pokręciła przecząco głową.

- Nie należę już do klasy ludzi, którzy wzywają prawnika tak jak lokaja. Muszę liczyć się z kosztami. Nie zwrócę się do adwokata, chyba że uznam, iż jestem oszukiwana. Ale nie sądzę, aby coś takiego zaszło. Ben Greenbourne jest człowiekiem uczciwym, tyle że twardym - twardym jak żelazo i jak gład zimnym. Zadziwiające, że spędził kogoś tak serdecznego jak Solly.

- podchodzisz do wszystkiego bardzo filozoficznie - zauważył Hugh. Podziwiał jej odwagę.

Maisie wzruszyła ramionami.

- Miałam niezwykle życie, Hugh. Zaznałam nędzy w wieku jedenastu lat i luksusu, gdy skończyłam dziewiętnaście... - Dotknęła pierścionka z brylantem na swoim palcu. - Ten brylant jest pewnie wart więcej pieniędzy, niż moja matka widziała w całym swoim życiu. Wydawałam najlepsze przyjęcia w Londynie. Poznałam wszystkich, którzy cokolwiek znaczyli. Tańczyłam z księciem Walii. Niczego nie żałuję. Z wyjątkiem tego, że ożeniłeś się z Norą.

- Jestem bardzo do niej przywiązany - rzekł niezbyt przekonującym tonem.

- Byłeś zły, bo nie zgodziłam się na romans z tobą - oświadczyła brutalnie Maisie. - Chciałeś się wyładować. I wybrałeś Norę, ponieważ przypominała ci mnie.

Ale ona nie jest mną i czujesz się nieszczęśliwy.

Hugh skrzywił się, jakby go spoliczkowała. Jej słowa były boleśnie bliskie prawdy.

- Nigdy jej nie lubiłeś - powiedział.

- Możesz uważać, że jestem zazdrosna, i chyba masz rację, ale zawsze będę twierdziła, że wcale cię nie kochała i wyszła za ciebie dla pieniędzy. Założę się, że po ślubie mogłeś się o tym przekonać, prawda?

Hugh przypomniał sobie Norę odmawiającą kochania się częściej niż raz w tygodniu i reakcję, gdy dostawała prezenty. Przygnębiony odwrócił wzrok.

- Zawsze żyła w biedzie - odparł. - Nic dziwnego, że stała się materialistką.

- Nie w takiej biedzie jak ja - zauważyła z pogardą Maisie. - Nawet ciebie z powodu braku pieniędzy zabrano ze szkoły. Nie można tym tłumaczyć fałszywych wartości. Cały świat pełen jest biednych ludzi, którzy rozumieją, że miłość i Przyjaźń są ważniejsze niż bogactwo.

Jej ton sprawił, że Hugh zaprotestował:

- Nie jest taka zła, jak sądzisz.

- Ale mimo to nie jesteś szczęśliwy.

Czuł zamęt w głowie, lecz postanowił być konsekwentny.

- No cóż, w każdym razie jestem mężem Nory i nie mogę jej opuścić - oświadczył.

- Na tym polega przysięga małżeństwa. Maisie uśmiechnęła się przez łzy.

- Wiedziałam, że tak powiesz.

Nagle Hugh przypomniał sobie nagie ciało Maisie, jej krągłe pokryte piegami piersi i rudozłotą kępkę włosów na podbrzuszu. Zaczął żałować, że nie może cofnąć tych wzniosłych słów. Wstał, by się pożegnać. Maisie również podniosła się z sofy.

- Dziękuję ci, że przyszedłeś, kochany Hughu - rzekła.

Zamierzał jedynie uścisnąć jej dłoń, ale zamiast tego pochylił się, żeby pocałować ją w policzek, po czym nagle zorientował się, że całuje jej usta. Był to delikatny, czuły pocałunek, który trwał długo i niemal zniweczył jego postanowienie. W końcu jednak oderwał się od niej i bez słowa wyszedł z pokoju. Dom Bena Greenbourne'a był kolejnym pałacem na Piccadilly. Hugh skierował się tam natychmiast po wizycie u Maisie. Był zadowolony, że musi coś zrobić, bo pozwalało mu to odwrócić uwagę od chaosu panującego w jego sercu. Poprosił o spotkanie z seniorem rodziny.

- Powiedźcie, że jest to niezwykle pilna sprawa - polecił kamerdynerowi. Oczekując na przyjęcie, zauważył w holu zakryte lustro i domyślił się, że jest to część żydowskiego obrządku pogrzebowego.

Rozmowa z Maisie wytrąciła go z równowagi. Kiedy ją ujrzał, znowu powróciły pragnienia. Wiedział, że bez niej nigdy nie będzie naprawdę szczęśliwy. Ale Nora była jego żoną. Wniosła w jego życie ciepło i uczucie wówczas, gdy Maisie go odrzuciła, i dlatego właśnie się z nią ożenił. Po co składać obietnice małżeńskie, jeżeli ma się zamiar później je złamać?

Kamerdyner wprowadził go do biblioteki. Wychodziło z niej właśnie kilka osób, pozostawiając w pokoju samego Bena Greenbourne'a. Bankier był bez butów i siedział na prostym stołku. Na stole przed nim leżały owoce i ciasta. Dla ścisłości Greenbourne liczył sobie ponad sześćdziesiąt lat - Solly był jego późnym dzieckiem. Wyglądał na starego i zmęczonego, ale w jego oczach nie było łez. Wstał, wyprostowany i oficjalny jak zawsze, przywitał się z Hughiem i poprosił gestem, aby usiadł na drugim stołku. W ręku trzymał stary list.

- Niech pan posłucha - rzekł i zaczął czytać: - „Drogi Tato. Mamy nowego nauczyciela łaciny, wielbnego Greena, i idzie mi coraz lepiej, dostaję już co tydzień dziesięć na dziesięć. Waterford złapał szczura w schowku na szczotki i próbuje go nauczyć jeść z ręki. Dostajemy tutaj mało jedzenia, więc czy mógłbyś mi przysłać ciasto? Twój kochający syn, Solomon”. - Złożył list. - Miał czternaście lat, kiedy to napisał. Hugh widział, że Greenbourne cierpi mimo narzuconego sobie opanowania.

- Pamiętam tego szczura - powiedział. - Odgryzł Waterfordowi palec wskazujący.

- Jakżebym chciał przywrócić tamte lata - westchnął Greenbourne i Hugh dostrzegł, że maska opanowania i kontroli zaczyna pękać.

- Jestem chyba jednym z najdawniejszych przyjaciół Solly'ego - oznajmił.
- Chyba tak. Podziwiał pana, choć był pan od niego młodszy.
- Nie rozumiem dlaczego. Po prostu Solly zawsze myślał o ludziach jak najlepiej.
- Był zbyt miękki.

Rozmowa przybierała nie taki obrót, jakiego życzyłby sobie Hugh, więc wtrącił:

- Przyszedłem tu nie tylko jako przyjaciel Solly'ego, ale i Maisie. Greenbourne natychmiast zeszytniał. Smutek na jego twarzy zniknął i znowu stary Benjamin zaczął przypominać karykaturę pruskiego junkra. Hugh zastanawiał się, jak można do tego stopnia nienawidzić tak pięknej i pełnej radości kobiety.

- Poznałem ją później niż Solly - ciągnął Hugh. - Zakochałem się w niej, ale zdobyłem ją Solly.

- Był bogatszy.

- Panie Greenbourne, mam nadzieję, że pozwoli mi pan na szczerość. Maisie była bez grosza i szukała bogatego męża, Ale po wyjściu za Solly'ego dotrzymała swojej części umowy. Była dla niego dobrą żoną.

- Za co otrzymywała odpowiednie wynagrodzenie - odparł Greenbourne. - Przez pięć lat prowadziła życie damy.

- Śmieszne, ale ona jest tego samego zdania. Nie sądzę jednak, aby to wystarczało. A co z małym Bertiem? Nie zamierza pan chyba pozostawić wnuka w nędzy?

- Wnuka? - zdziwił się Greenbourne. - Hubert nie jest moim krewnym. Hugh miał dziwne przeczucie, że zaraz nastąpi coś niezwykłego. Sytuacja przypominała nieco koszmar, w którym za chwilę musi się coś zdarzyć.

- Nie rozumiem, co chce pan przez to powiedzieć - oznajmił.

- Ta kobieta, wychodząc za mojego syna, była już w ciąży. Hugh poczuł, że zapało mu dech...

- Solly wiedział o tym, jak również o tym, że dziecko nie jest jego - ciągnął Greenbourne. - Mimo to wziął ją - nie muszę chyba dodawać, że wbrew mojej woli. Oczywiście, dołożyliśmy wszelkich starań, aby utrzymać sprawę w tajemnicy, lecz teraz nie widzę już takiej potrzeby... - Przerwał, przełknął ślinę i mówił dalej:

- Po ślubie wyjechali w podróż dookoła świata. Dziecko urodziło się w Szwajcarii i tam załatwili metrykę z fałszywą datą urodzin. Kiedy wrócili do domu po prawie dwuletniej nieobecności, trudno było się zorientować, że mały jest w gruncie rzeczy o cztery miesiące starszy, niż podają.

Hughowi zamarło serce. Musiał zadać jedno pytanie, ale bał się usłyszeć odpowiedź.

- Kto... kto jest ojcem?

- Nigdy tego nie ujawniła. Solly też nie wiedział. Ale on wiedział. Dziecko było jego.

Patrzył na Bena Greenbourne'a, niezdolny wymówić słowo.

Mógł porozmawiać z Maisie i skłonić ją do wyznania prawdy, ale był pewien, że tylko potwierdzi jego przypuszczenia. Wbrew pozorom nigdy nie była rozpustna.

Uwiódł przecież dziewicę, i właśnie wtedy, tej jedynej nocy, począł z nią dziecko.

Nawet nadała mu imię Hubert, które tak bardzo przypominało jego własne.

- Oczywiście, cała sprawa jest oburzająca - stwierdził Greenbourne, widząc zmieszanie gościa i nie rozumiejąc jego przyczyny.

Mam dziecko, myślał Hugh. Syna. Huberta. Bertiego. Myśl o tym przepełniała go bólem.

- Sądzę, że teraz pan rozumie, dlaczego, gdy mój syn odszedł, nie chcę mieć nic wspólnego z tą kobietą i jej dzieckiem.

- Och, proszę się nie martwić - odparł z roztargnieniem Hugh. - Zaopiekuję się nimi .

- Pan?! - spytał zaskoczony Greenbourne. - Dlaczego miałby pan to zrobić?

- Och... No cóż, chyba tylko ja im pozostałem - odparł.

- Niech pan się nie daje nabierać, młody Pilasterze - ostrzegł go łagodnie Greenbourne. - Musi się pan zatroszczyć o własną żonę.

Hugh nie zamierzał wdawać się w dalsze wyjaśnienia. Był zbyt oszołomiony, aby wymyślać jakąś historię. Zaprzagnął jak najszybciej opuścić to miejsce. Wstał.

- Muszę już iść. Proszę przyjąć wyrazy najgłębszego współczucia, panie Greenbourne. Solly był najlepszym ze znanych mi ludzi.

Bankier schylił głowę i Hugh wyszedł.

W holu z zasłoniętymi lustrami odebrał kapelusz od lokaja i po chwili znalazł się na zalanej słońcem Piccadilly. Kierując się do swojego domu w Kensington, postanowił przejść przez Hyde Park. Mógł wziąć dorożkę, ale chciał przemyśleć to, co usłyszał.

Teraz wszystko się zmieniło. Nora była jego żoną, ale Maisie matką jego syna.

Nora mogła zadbać o siebie - podobnie zresztą jak Maisie - lecz dziecko potrzebowało ojca. I znowu zadał sobie pytanie, co ma począć z resztą swojego życia. Duchowny powiedziałby mu zapewne, że nic się nie zmienił i powinien pozostać z kobietą, którą poślubił przed ołtarzem, ale duchowni niewiele wiedzieli o życiu. Hugh nie akceptował sztywnych reguł metodystów. Nigdy nie był w stanie uwierzyć że rozwiązanie każdego współczesnego dylematu moralnego można znaleźć w Biblii. Nora uwiodła go i poślubiła z wyrachowania. Maisie miała rację - i wszystko, co ich łączyło, było zaledwie kawałkiem papieru. A to niewiele w porównaniu z dzieckiem - . dzieckiem miłości tak silnej, że przetrwała wiele lat i prób.

Czyżbym próbował się usprawiedliwić? - zastanawiał się. Szukam uzasadnienia moralnego dla realizacji pragnienia, o którym wiem, że jest niesłuszne? Rozważał też praktyczną stronę zagadnienia. Właściwie nie miał powodów do rozwodu. Był jednak przekonany, że jeśli zaproponuje Norze wystarczająco dużą sumę pieniędzy, bez problemu wyrazi zgodę. Wtedy jednak Pilasterowie zażądają jego rezygnacji z pracy w banku. Towarzyskie piętno rozwodu było zbyt duże, aby mógł dalej pełnić obowiązki partnera. Może uda mu się dostać inną pracę, ale poważani ludzie w Londynie nie zechcą przyjmować go razem z Maisie, nawet gdy już się z nią ożeni. Niewątpliwie będą musieli wyjechać za granicę. Taka perspektywa wydała mu się pociągająca i pomyślał, że Maisie też się spodoba. Mógłby wrócić do Bostonu albo - jeszcze lepiej - do Nowego Jorku. Może nigdy nie zostanie milionerem, ale jakie ma to znaczenie w porównaniu z radością przebywania z kobietą, którą zawsze kochał?

Zorientował się, że stoi przed swoim domem, stanowiącym część nowego,

eleganckiego zespołu budynków z czerwonej cegły w Kensington. Stąd niedaleko było do ekstrawaganckiego budynku jego ciotki Augusty w Kensington Gore. Pewnie Nora przebiera się właśnie do lunchu w swojej przeładowanej ozdobami sypialni. Co powstrzymało go przed wejściem do środka i oświadczenia, że ją opuszcza? Przecież chciał tego, z całą pewnością. Lecz czy jest to słuszne? Najważniejsze jednak było dziecko. Opuszczenie Nory dla Maisie uważał za czyn naganny, ale przecież przede wszystkim chodziło o dobro Bertiego. Zastanawiał się, jak zareaguje Nora, gdy jej o tym powie.

Wyobraził sobie jej zaciętą twarz i usłyszał nieprzyjemne nuty w Jej głosie, kiedy mówi:

- Będzie cię to kosztowało każdego pensa, który do ciebie należy.

Dziwne, lecz ta wizja pomogła mu podjąć decyzję. Wszedł do domu i wbiegł po schodach.

Siedziała przed lustrem, zakładając wisiorek, który jej ofiarował. Przypomniało mu to o obowiązku kupowania jej biżuterii w zamian za małżeńskie usługi.

Odezwała się pierwsza:

- Mam dla ciebie wiadomość.

- Mniejsza z tym...

Ale nie dała się uciszyć. Na jej twarzy widniał niezwykle wyraz - na wpół triumfalny, na wpół nadąsany.

- Teraz przez jakiś czas będziesz się musiał powstrzymać przed przychodzeniem do mojego łóżka.

Zorientował się, że nie pozwoli mu się odezwać, dopóki nie powie wszystkiego, co zamierza.

- O czym, u licha, mówisz? - zapytał ze zniecierpliwieniem.

- Zdarzyło się nieuniknione.

Nagle Hugh się domyślił i poczuł, jakby uderzył go rozpędzony pociąg. Było już za późno, teraz nie zdoła jej opuścić. Przeszył go ból. Stracił Maisie, stracił swojego syna.

Popatrzył jej w oczy i dostrzegł w nich wyzwanie, zupełnie jak gdyby podejrzewała, co chciał zrobić. Być może rzeczywiście tak było.

Zmusił się do uśmiechu.

- Nieuniknione? - zapytał. I wtedy oświadczyła:

- Będę miała dziecko.

CZEŚĆ TRZECIA

1890

Rozdział pierwszy - Wrzesień

Joseph Pilaster zmarł we wrześniu tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego roku, po siedemnastu latach pełnienia funkcji Starszego Partnera. W tym czasie bogactwo Wielkiej Brytanii wciąż rosło, a wraz z nim zamożność Pilasterów. Obecnie byli niemal tak bogaci jak Greenbourne'owie. Majątek Josepha przekraczał dwa miliony funtów i w jego skład wchodziła również kolekcja sześćdziesięciu pięciu wysadzanych drogimi kamieniami tabakierek - po jednej na każdy rok życia - która sama w sobie warta była sto tysięcy funtów i którą pozostawił synowi Edwardowi. Wszyscy członkowie rodziny mieli swoje kapitały zainwestowane w banku, który płacił im niezmiennie pięć procent odsetek, podczas gdy zwykli depozytariusze otrzymywali najczęściej około półtora procent. Partnerzy uzyskiwali nawet więcej.

Oprócz bowiem pięciu procent od kapitału dzielili również między sobą zyski na dość skomplikowanej zasadzie. Po dziesięciu latach takiego udziału w zyskach Hugh był już w połowie drogi do zostania milionerem.

Rankiem w dniu pogrzebu wuja przeglądał się w lustrze, wypatrując znaków swojej śmiertelności. Skończył już trzydzieści siedem lat. Włosy mu posiwiwały, ale zarost nadal był czarny. Przez moment zastanawiał się, czy wyglądałby młodziej, gdyby opuścił wąsy, które dotąd - zgodnie z modą - podkreślał. Wuj Joseph miał szczęście, pomyślał. W czasie jego działalności jako Starszego Partnera sytuacja w świecie finansów była stabilna i zarysowały się tylko dwie sytuacje kryzysowe - upadek Banku City of Glasgow w tysiąc osiemset siedem dziesiątym ósmym roku i krach francuskiego banku Union Generale w tysiąc osiemset osiemdziesiątym drugim. W obu jednak przypadkach Bank of England powstrzymał kryzys, na krótko podnosząc stopę dyskontową do sześciu procent, czyli w dalszym ciągu daleko poniżej poziomu paniki. Zdaniem Hugh'a Joseph zbyt zaangażował bank w południowoamerykańskie inwestycje, ale krach, którego stale się obawiał, nie nadchodził, a dla zmarłego wuja na pewno już nie nastąpi.

Jednakże udział w ryzykownych interesach przypominał wynajmowanie mieszkań lokatorom rozwalającego się domu - czynsz będzie napływał do samego końca, ale kiedy budynek ostatecznie się rozpadnie, nie będzie już ani czynszu, ani domu.

Teraz, po śmierci Josepha, Hugh chciał oprzeć bank na solidnych podstawach, sprzedając lub poprawiając niektóre z chwiejnych inwestycji w Ameryce Południowej.

Umył się, ogolił, włożył szlafrok i wszedł do sypialni Nory. Oczekiwała go - zawsze

kochali się w piątek rano, a on dawno już zaakceptował zasadę „raz w tygodniu”. Była bardzo pulchna, a jej okrągła twarz prawie pozbawiona zmarszczek.

W dalszym ciągu ładnie wyglądała.

Kiedy się z nią kochał, zamykał oczy i wyobrażał sobie, że jest z Maisie.

Czasami miał ochotę całkowicie z tego zrezygnować. Ale te poranne piątkowe spotkania dały mu już trzech synów, których kochał do szaleństwa - Tobiasa, nazywanego tak na cześć ojca Hugh'a, Samuela - na cześć wuja, i Solomona, dla upamiętnienia Solly'ego Greenbourne'a. Toby, najstarszy, za rok rozpocznie naukę w szkole w Windfield. Nora rodziła dzieci z łatwością, ale natychmiast potem przestawała się nimi interesować. W rezultacie Hugh - chcąc zrekompensować chłopcom oziębłość matki - poświęcał im wiele czasu.

Bertie, syn Hugh'a i Maisie, miał już szesnaście lat i od dawna uczęszczał do Windfield, gdzie był doskonałym uczniem i gwiazdą drużyny krykieta. Hugh płacił jego chesne, odwiedzał szkołę w dniu rozdawania nagród i właściwie występował roli ojca chrzestnego. Być może paru cyników podejrzewało, że jest prawdziwym ojcem Bertiego, ale inni - wiedząc o jego przyjaźni z Sollym, a także o tym, że Ben Greenbourne odmówił łożenia na utrzymanie chłopca - uważali, że jest po prostu wierny pamięci kolegi. Kiedy zsunął się z Nory, zapytała:

- O której jest uroczystość?

- O jedenastej w domu modlitwy metodystów w Kensington. A potem lunch w Whitehaven House.

Hugh i Nora w dalszym ciągu mieszkali w Kensington, ale gdy zaczęło przybywać dzieci, przeprowadzili się do większego domu. Nora wybrała wielki budynek w równie ozdobnym, nieco flamandzkim stylu jak dom Augusty, który stał się największym krzykiem mody, przynajmniej na przedmieściach. Augusta nigdy nie była zadowolona z Whitehaven House. Chciała mieć taki pałac na Piccadilly jak Greenbourne'owie. Ale w Pilasterach wciąż tkwiła pewna doza purytanizmu metodystów i Joseph był zdania, że dotychczasowy dom jest wystarczająco luksusowy dla każdego, bez względu na to, jakim bogactwem dysponuje. Teraz budynek należał do Edwarda. Być może Augusta przekona syna, aby sprzedał go i kupił jej coś wspanialszego.

Gdy Hugh zszedł na śniadanie, w jadalni była już jego matka, która wraz z Dotty przyjechała wczoraj z Folkestone. Pocałował ją, usiadł, a ona bez żadnych wstępów zapytała:

- Jak myślisz, Hugh, czy on ją naprawdę kocha?

Nie musiał pytać, o kim mówi. Dotty, która skończyła już dwadzieścia cztery lata, zaręczyła się z lordem Ipswichem, najstarszym synem księcia Norwich. Nick Ipswich był spadkobiercą zbankrutowanych majątków książęcych i matka obawiała się, że chce się ożenić z Dotty dla jej pieniędzy, a raczej dla Pieniędzy jej brata.

Hugh popatrzył na nią z miłością. Wciąż - w dwadzieścia cztery lata po śmierci ojca - ubierała się na czarno. Jej włosy były już całkiem białe, ale jemu wydawała się tak piękna jak dawniej.

- Naprawdę, mam - zapewnił.

Ponieważ Dotty nie miała ojca, Nick oficjalnie poprosił Hugh'a o wyrażenie zgody na poślubienie jego siostry. W tego rodzaju sytuacjach zazwyczaj adwokaci obu stron spisywali przed zaręczynami intercyzę, ale Nick zdecydował postąpić inaczej.

- Powiedziałem panie Pilaster, że jestem biedny - wyjaśnił Hughowi. - Ona zaś stwierdziła, że zna zarówno biedę, jak i bogactwo, i uważa, że szczęście zależy od ludzi, z którymi się dzieli życie, a nie od posiadanych pieniędzy. - Brzmiało to niezwykle idealistycznie. Hugh, który wprawdzie i tak zamierzał dać siostrze hojny posag, z radością skonstatował, że Nick szczerze ją kocha, niezależnie od jej stanu majątkowego.

Augusta była wściekła, że Dotty tak doskonale wychodzi za mąż. Po śmierci ojca Nicka dziewczyna zostanie księżną, czyli kimś stojącym o wiele wyżej niż hrabina.

Dotty zeszła na dół kilka minut później. Bardzo się zmieniła przez te lata.

Wstydliva, rozchichotana dziewczyna przeobraziła się w piękną ciemnowłosą kobietę, zmysłową, porywczą i o silnej woli. Hugh domyślał się, że musiała onieśmielać wielu młodych ludzi i pewnie dlatego, mając dwadzieścia cztery lata, jeszcze nie wyszła za mąż. Nicky Ipswich był jednak człowiekiem spokojnym, silnym i nie potrzebował pokornej żony. Hugh przewidywał, że będą namiętym, wiecznie sprzeczącym się małżeństwem, tak bardzo różniącym się od jego własnego.

Nick przybył punktualnie o dziesiątej, gdy jeszcze kończyli śniadanie. Hugh zaproponował, aby się do nich przysiadł, chłopak - zajmując miejsce obok Dotty - poprosił o filiżankę kawy. Był inteligentnym młodzieńcem w wieku dwudziestu dwóch lat, świeżo po Oksfordzie, który jednak - w przeciwieństwie do innych młodych arystokratów - zdał egzaminy i zdobył dyplom. Był przystojny w typowo angielski sposób - miał blond włosy, niebieskie oczy i regularne rysy, a Dotty patrzyła na niego tak, jakby zamierzała go zjeść. Hugh zazdrościł im ich prostej, głębokiej miłości.

Czuł się zbyt młody, aby odgrywać rolę głowy rodziny, ale ponieważ zaproponował to spotkanie, od razu przeszedł do sedna sprawy.

- Dotty, twój narzeczony i ja przeprowadziliśmy kilka rozmów na temat pieniędzy. Matka wstała, chcąc wyjść, ale Hugh ją zatrzymał.

- Kobiety obecnie powinny znać się na finansach, mamó. Tego wymaga współczesne życie.

Uśmiechnęła się do niego, jakby był głupiutkim chłopcem, lecz usiadła. Hugh mówił dalej:

- Jak wszyscy wiecie, Nick ma zamiar rozpocząć karierę zawodową i przygotowuje się do aplikantury adwokackiej, ponieważ majątki książęce nie przynoszą już dochodów.

Hugh jako bankier doskonale się orientował, w jaki sposób ojciec Nicka wszystko stracił. Był postępowym ziemianinem i kiedy w połowie wieku nastąpiła koniunktura dla rolnictwa, zaciągnął pożyczki na sfinansowanie ulepszeń - meliorację, zasadzenie wielu kilometrów żywopłotów, zakup kosztownych maszyn parowych do zbiorów i młócki. Ale w latach siedemdziesiątych zaczęła się depresja, która wciąż jeszcze trwała. Ceny gruntów gwałtownie spadły i ziemie księcia stały się mniej warte niż ciężące na nich długie hipoteczne.

- Gdyby jednak Nick zdołał uwolnić hipoteki i zracjonalizować zarządzanie majątkami, mogłyby one przynosić dość znaczący dochód. Po prostu wymagają, podobnie jak każde inne przedsiębiorstwo, dobrego zarządzania.

- Planuję sprzedać większą część rozproszonych farm i rozmaitych nieruchomości - dodał Nick - a następnie skoncentrować się na jak najefektywniejszym wykorzystaniu tego, co pozostanie. Poza tym chciałbym wybudować domy na gruntach, które należą do nas w Sydenham, w południowym Londynie.

- Ustaliliśmy - włączył się znowu Hugh - że dla uzdrowienia sytuacji finansowej w majątku potrzeba mniej więcej stu tysięcy funtów. I tyle właśnie chcę dać Dotty w posagu.

Dziewczyna westchnęła głośno, a mama wybuchnęła łzami. Nick zaś, który wiedział już o tym, oznajmił:

- To wyjątkowo hojnie z pańskiej strony.

Dotty zarzuciła narzeczonemu ręce na szyję i uściśnęła go, a potem obiegnęła stół i ucałowała brata. Poczł się trochę niezręcznie, ale zarazem cieszył się, że mógł ich tak bardzo uszczęśliwić. Był pewny, że Nick dobrze wykorzysta te pieniądze i zapewni jego siostrze spokojny, bezpieczny dom. Nora zeszła ubrana w purpurowo - czarną suknię, gotowa do wyjścia na pogrzeb. Śniadanie zawsze jadła w swoim pokoju.

- Gdzież są ci chłopcy? - zapytała z irytacją, spoglądając na zegar. - Mówiłam tej nieszczęsnej guwernantce, żeby ich przygotowała...

Jej tyradę przerwało przybycie guwernantki z dziećmi - jedenastoletnim Tobym, sześciolatkiem Samem i czteroletnim Solem. Na ich widok - w czarnych marynarkach, czarnych krawatach i takichże cylinderekach - Hugh poczuł przypływ dumy.

- Moje żołnierzyki - powiedział. - Jaka była stopa dyskontowa Bank of England, Toby?

- Bez zmian dwa i pół procent, proszę taty - odparł Tobias, który każdego ranka musiał przejrzeć „Timesa”.

Sam miał do przekazania niezwykłą wiadomość.

- Mamo - zawołał z podnieceniem - mam zwierzątko! Guwernantka spojrziała na niego z niepokojem.

- Nic mi nie mówiłeś...

Chłopiec wyjął z kieszeni pudełko po zapałkach, wyciągnął je w stronę matki i otworzył.

- Pajaczek Bili! - oznajmił z dumą.

Nora wrzasnęła, wytrąciła mu pudełko z ręki i odskoczyła do tyłu.

- Paskudny chłopak! - krzyknęła.

Sam rzucił się na podłogę, aby odzyskać pudełko.

- Bili uciekł! - zawołał i wybuchnął płaczem.

- Jak mogła pani do tego dopuścić! - Nora z furią napadła na guwernantkę.

- Bardzo przepraszam, nie wiedziałam...

- Nic się nie stało - wtrącił się Hugh, próbując rozładować atmosferę. Objął żonę. - Po

prostu nie byłaś na to przygotowana, Noro. - Wyprowadził ją do holu.

- No, ruszajmy, pora jechać.

Gdy wychodzili z domu, położył dłoń na ramieniu Sama.

- Sam, mam nadzieję, że nauczyłeś się już, iż nie należy straszyć dam.

- Straciłem moje zwierzątko - odparł ze smutkiem chłopiec.

- Ale pająki i tak niezbyt lubią mieszkać w pudełkach po zapałkach. Może chciałbyś jakieś inne zwierzątko? Co byś powiedział na kanarka? Natychmiast się rozpromienił.

- A mógłbym go mieć?

- Pod warunkiem, że będziesz go karmił i poił, bo inaczej umrze.

- Będę, będę.

- W takim razie jutro jakiegoś poszukamy.

- Hurra!

Padał rześisty deszcz i pojechali do domu modlitwy metodystów w Kensington zamkniętymi powozami. Chłopcy nigdy dotąd nie uczestniczyli w pogrzebie i Toby, który był raczej poważnym chłopcem, zapytał:

- Czy powinniśmy płakać?

- Nie gadaj głupstw! - ofuknęła go Nora.

Hugh bardzo pragnął, aby odnosiła się do synów serdeczniej. Kiedy jej matka zmarła, Nora była niemowlęciem, i domyślał się, że dlatego z takim trudem przychodziło jej zajmować się własnymi dziećmi, ponieważ sama nie doświadczyła matczynej troski i nie miała żadnego przykładu. Ale mimo wszystko powinna bardziej się starać.

- Jeżeli będziesz chciał, możesz płakać - wyjaśnił Toby'emu. - Na pogrzebach wolno.

- Chyba nie będę. Nie kochałem zbytnio wujka Josepha.

- A ja kochałem pająka Billy'ego - oświadczył Sam. Natomiast najmłodszy, Soi, stwierdził:

- Jestem za duży, żeby płakać.

Dom modlitwy w Kensington był wyrazem utrwalonych w kamieniu sprzecznych uczuć zamożnych metodystów, którzy - wierząc w religijną prostotę - pragnęli jednocześnie okazać swoje bogactwo. Chociaż nazywał się domem modlitwy, był równie ozdobny jak kościół anglikański czy katolicki. Nie było w nim co prawda ołtarza, ale znajdowały się wspaniałe organy. Obrządek zabraniał umieszczania w świątyni obrazów i rzeźb, ale ten brak wynagradzała barokowa architektura z ekstrawaganckimi sztukateriami i wypracowanymi ozdobami.

Tego ranka kościół był wypełniony po brzegi. Pracownicy banku otrzymali wolny dzień, aby mogli uczestniczyć w uroczystościach, przybyli również przedstawiciele wszystkich poważnych instytucji finansowych w City. Hugh skinął głową dyrektorowi naczelnemu Bank of England, ministrowi skarbu i ponad siedemdziesięcioletniemu Benowi Greenbourne'owi - staremu, ale wciąż wyprostowanemu jak młody junkier.

Rodzinę przeprowadzono do zarezerwowanych miejsc w pierwszym rzędzie. Hugh siedział obok wuja Samuela, jak zawsze nienagannie ubranego w czarny surdut,

sztynny kołnierzyk i modnie zawiązany jedwabny krawat. Podobnie jak Greenbourne, Samuel liczył sobie przeszło siedemdziesiąt lat i był sprawny fizycznie oraz umysłowo.

Teraz, po śmierci Josepha, uchodził za najbardziej oczywistego kandydata na stanowisko Starszego Partnera. Był przecież najstarszym i najbardziej doświadczonym partnerem. Jednakże on i Augusta serdecznie się nienawidzili i zdawano sobie sprawę, że będzie ona zażarcie sprzeciwiać się tej nominacji.

Spodziewano się, iż poprze raczej czterdziestodwuletniego młodszego brata Josepha, Młodego Williama.

Spośród innych partnerów dwaj w ogóle nie wchodzili w rachubę, ponieważ nie nosili nazwiska Pilaster - major Hartshorn i sir Harry Tonks, mąż córki Josepha, Clementine. Pozostałymi partnerami byli Hugh i Edward.

Hugh chciał zostać Starszym Partnerem - pragnął tego z całego serca. Chociaż był najmłodszym partnerem, uważano go za najzdolniejszego bankiera spośród nich wszystkich. Wiedział, że potrafiłby rozwinąć bank i wzmocnić bardziej niż kiedykolwiek, a zarazem zmniejszyć zagrożenie ryzykownymi pożyczkami, na których opierał się Joseph. Nie miał jednak wątpliwości, że sprzeciw Augusty byłby w jego wypadku jeszcze bardziej zdecydowany niż wobec kandydatury Samuela. Nie mógł czekać, aż ciotka będzie stara lub umrze. Skończyła dopiero pięćdziesiąt osiem lat i mogła doskonale egzystować co najmniej piętnaście lat, równie energiczna i złośliwa jak zawsze.

Partnerem był też Edward. Siedział obok matki w pierwszym rzędzie. Był teraz tęgim mężczyzną w średnim wieku o czerwonej twarzy, a ostatnio nabawił się jakiejś bardzo nieładnej wysypki - Nie był ani inteligentny, ani pracowity i nadal prawie nie znał się na bankowości. Przychodził do pracy dziesiątej, wychodził na lunch koło południa i bardzo często już nie wracał. Pił sherry do śniadania i przez cały dzień nie trzeźwiał. Polegał więc całkowicie na swoim sekretarzu, Simonie Oliverze, który miał chronić go przed kłopotami, pomysł mianowania go Starszym Partnerem wydawał się absurdalny.

Była obecna też żona Edwarda, co zdarzało się bardzo rzadko. Mieszkali osobno - on w Whitehaven House z matką, ona zaś w ich domu na wsi; w Londynie zjawiała się tylko na uroczystościach rodzinnych, takich jak śluby czy pogrzeby. Emily była niegdyś śliczną dziewczyną o wielkich niebieskich oczach i dziecinnym uśmiechu, ale przez te lata na jej twarzy pojawiły się zmarszczki rozczarowania.

Nie miała z Edwardem dzieci i Hugh podejrzewał, że oboje nienawidzili się serdecznie.

Obok Emily siedział jak zawsze diabelnie przystojny Micky Miranda, ubrany w szary płaszcz z czarnym kołnierzem z norek. Hugh obawiał się go, od kiedy dowiedział się, że zamordował Petera Middletona. Edward i Micky działali zawsze ręką w rękę, a Miranda związany był ponadto z wieloma południowoamerykańskimi inwestycjami popieranymi przez bank w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

Nabożeństwo było długie i męczące, a procesja z kościoła na cmentarz w bezustannym wrześnieowym deszczu trwała ponad godzinę, ponieważ w kondukcje podążały setki powozów.

Hugh przyglądał się Augustcie, stojącej pod wielkim parasolem trzymanym przez Edwarda. Miała srebrne włosy i wyglądała wspaniale w wielkim czarnym kapeluszu.

Zastanawiał się, czy okaże jakieś ludzkie uczucia w momencie, gdy opuszczą trumnę z ciałem jej męża. Ale jej twarz przypominała wyrzeźbione w marmurze dumne oblicze rzymskiego senatora i nie malował się na niej ból czy żal.

Po pogrzebie w Whitehaven House odbył się lunch dla całej szeroko rozumianej rodziny Pilasterów, a więc wszystkich Partnerów z żonami i dziećmi, ale także bliskich współpracowników i przyjaciół domu, takich jak Micky. Aby zgromadzeni mogli zasiąść wspólnie, Augusta kazała w największym pokoju zestawić dwa stoły jadalne.

Hugh od paru już lat nie był w tym domu i zauważył, że od jego ostatniej wizyty wnętrza znów zmieniono, tym razem na modny właśnie styl arabski. W drzwiach pojawiły się mauretańskie łuki, meble były bogato rzeźbione, a na obiciach widniały kolorowe abstrakcyjne wzory arabskie. W pokoju znajdował się również parawan z panoramą Kairu oraz pulpit z Koranem.

Augusta posadziła Edwarda na miejscu jego ojca i Hugh uznał to za nietakt.

Umieszczanie go na honorowym miejscu tym jaskrawiej podkreślało, jak bardzo nie nadaje się na następcę zmarłego. Joseph był trochę kapryśnym i niekonsekwentnym szefem, ale na pewno nie durniem.

Augusta - rzecz jasna - jak zawsze miała w tym swój cel. Pod koniec posiłku oznajmiła z typową do siebie bezpośredniością:

- Należy jak najszybciej wybrać nowego Starszego Partnera i oczywiście zostanie nim Edward.

Hugha ogarnęło przerażenie. Augusta zawsze była ślepo zapatrzona w swojego syna, ale ten jej pomysł przechodził wszelkie oczekiwania. Z pewnością nie uda jej się tego przeforsować, ale zirytował go jej tupet.

Wahał się przez chwilę, zastanawiając się, jak zareagować. Postanowił na razie zachować rezerwę.

- Myślę, że partnerzy powinni przedyskutować twoją propozycję jutro - oznajmił. Ale Augustę niełatwo było zbić z tropu.

- Dziękuję ci, młody Hughu, że mówisz mi, o czym mogę rozmawiać w moim własnym domu, a o czym nie - odparła.

- Skoro nalegasz. - Szybko zebrał myśli. - W decyzji tej nie ma nic oczywistego, chociaż ty, droga ciociu, najwyraźniej nie rozumiesz subtelności związanych z tym zagadnieniem. Być może wynika to z faktu, że nigdy nie pracowałaś w banku, a właściwie w ogóle nigdy nie pracowałaś...

- Jak śmiesz...

Podniósł głos i udało mu się ją uciszyć.

- Najstarszym żyjącym partnerem jest wuj Samuel - kontynuował. Uświadomił sobie, że zachowuje się zbyt agresywnie, i znowu zaczął mówić ciszej. - Jestem pewien, że wszyscy zgodzimy się, iż byłby on najwłaściwszym wyborem, jest dojrzałym, doświadczonym człowiekiem i na pewno zostałby zaakceptowany przez środowisko finansowe.

Wuj Samuel pochyleniem głowy podziękował za komplement, ale się nie odezwał.

Nikt nie zaprotestował, ale też nikt go nie poparł. Przypuszczał, że nie chcieli narażać się Augustcie. Tchórze, pomyślał, woła, żebym zrobił to w ich imieniu. Niech więc tak będzie. Mówił dalej:

- Jednakże wuj Samuel już raz odmówił przyjęcia tego zaszczytu. Jeżeli uczyni tak ponownie, najstarszym Pilasterem jest Młody William, który również cieszy się powszechnym uznaniem w City.

- To nie City dokonuje wyboru - oznajmiła ze zniecierpliwieniem Augusta - lecz rodzina Pilasterów.

- Ściśle mówiąc, partnerzy Pilasterów - poprawił ją Hugh. - Ale tak jak partnerzy muszą cieszyć się zaufaniem rodziny, również bank musi mieć zaufanie szerokich kół finansjery. Jeżeli je utracimy, będziemy skończeni.

Augusta zaczęła się złościć.

- Mamy prawo wybrać, kogo się nam podoba!

Hugh pokręcił energicznie głową. Nic nie irytowało go bardziej niż tego rodzaju nieobliczalne wypowiedzi.

- Nie mamy praw, lecz jedynie obowiązki - oznajmił z naciskiem. - Ludzie powierzyli nam miliony funtów. Nie możemy więc postępować, jak nam się podoba. Naszym obowiązkiem jest zachowywać się odpowiedzialnie!

Ciotka spróbowała użyć innego argumentu.

- Edward jest synem i spadkobiercą.

- Ale stanowisko Starszego Partnera nie jest dziedziczne! - odparł z oburzeniem Hugh. - Przypada najzdolniejszemu. Tym razem oburzyła się Augusta.

- Edward jest równie dobry jak każdy inny!

Hugh powiódł wzrokiem wokół stołu, dramatycznie zatrzymując przez chwilę wzrok na każdym z obecnych.

- Czy ktoś z ręką na sercu może stwierdzić, że właśnie Edward jest najzdolniejszym bankierem spośród nas?

Nikt się nie odezwał.

- Południowoamerykańskie obligacje Edwarda przyniosły bankowi fortunę - przypomniała Augusta.

Hugh skinął głową.

- Zgadza się. W ciągu ostatnich dziesięciu lat sprzedaliśmy południowoamerykańskie obligacje wartości wielu milionów funtów i wszystkie te operacje przeprowadził Edward. Ale to niebezpieczne pieniądze. Ludzie inwestują w ten interes, ponieważ ufają Pilasterom. Jeżeli jednak któryś z tych rządów zawiesi płatności odsetek, ceny wszystkich obligacji spadną na łeb, na szyję i całą winą zostaną obarczeni Pilasterowie. Dzięki sukcesowi Edwarda nasza reputacja, czyli nasz najcenniejszy kapitał, jest obecnie w rękach grupy brutalnych despotów i niepiśmiennych generałów. - Hugh zorientował się, że ponoszą go emocje. Kształtował dobrą opinię banku własną inteligencją i ciężką pracą, doprowadzało go więc do

wściekłości, że Augusta chce ją narazić na niebezpieczeństwo.

- Sam sprzedajesz obligacje północnoamerykańskie - zaproponowała ciotka. - Ryzyko zawsze istnieje. Na tym właśnie polega bankierstwo. - Powiedziała to triumfalnie, jakby udowadniając, że na czymś go przyłapała.

- Stany Zjednoczone mają nowoczesny demokratyczny rząd, ogromne bogactwa naturalne i nie mają wrogów. Teraz, kiedy zlikwidowano tam niewolnictwo, jest szansa, że przez następne sto lat będzie to stabilny kraj. Natomiast Ameryka Południowa wprost przeciwnie - jest zbiorowiskiem zwalczających się dyktatur, które mogą nie przetrwać dziesięciu dni. Ryzyko istnieje w obu wypadkach, ale na północy jest o wiele mniejsze. Bankierstwo jest skalkulowanym ryzykiem!

- Po prostu zazdrościsz Edwardowi, zawsze mu zazdrościłeś! - oświadczyła ciotka. Hugh zastanawiał się, dlaczego pozostali partnerzy milczą. I nagle uświadomił sobie, że Augusta musiała z nimi rozmawiać już wcześniej. Ale chyba nie zdołała ich namówić, aby wybrali Edwarda na Starszego Partnera? Ogarnął go poważny niepokój.

- Co wam powiedziała? - zapytał gwałtownie. Popatrzył po kolei na każdego z nich.

- William? George? Harry? No, zamurowało was? Omawialiście już tę sprawę i Augusta was przekupiła?

Sprawiali wrażenie nieco zmieszanych. W końcu odezwał się William.

- Nikt nie został przekupiony, Hughu. Ale Augusta i Edward wyraźnie oświadczyli, że jeśli Edward nie zostanie Starszym Partnerem, oni... - Był wyraźnie zakłopotany.

- Wykrztuś wreszcie - ponaglił go Hugh.

- Wycofają z interesu swój kapitał.

- Co?! - Hugh był oszłomiony. Wycofanie kapitału uważano w tej rodzinie za śmiertelny grzech. Jego ojcu nigdy nie wybaczone takiej decyzji. Jeśli nawet Augusta chciała tylko zagrozić poczynieniem takiego kroku, nie należało tej pogroźki lekceważyć.

Razem z Edwardem kontrolowała około czterdziestu procent kapitałów banku, czyli ponad dwa miliony funtów. Gdyby je wycofali pod koniec roku finansowego, do czego mieli prawo, bank znalazłby się w niebezpiecznej sytuacji. Zadziwiające, że Augusta mogła rzucić taką groźbę, a co gorsza - partnerzy byli gotowi jej się poddać.

- Oddajecie w jej ręce całą władzę! - stwierdził Hugh. - Za każdym razem, gdy będzie chciała coś osiągnąć, wystarczy, że zagrozi wycofaniem kapitału, a natychmiast ustąpicie. Równie dobrze moglibyście ją uczynić Starszym Partnerem!

- Nie waż się tak mówić o mojej matce! - rzucił buńczucznie Edward. - Co to za maniery!

- Do diabła z manierami! - odparł niegrzecznie Hugh. Wiedział, że tracąc panowanie, tylko pogarsza swoje położenie, ale był zbyt rozgniewany, by się powstrzymać. - Macie zamiar zrujnować wielki bank. Augusta jest zaślepiona, Edward głupi, a cała reszta zbyt tchórzliwa, żeby ich powstrzymać! - Odepchnął krzesło i wstał, ciskając serwetkę na stół jak rękawice. - Ale jest tu jeden człowiek, który nie da się zastraszyć.

Przerwał i nabrał powietrza w płuca, zdając sobie sprawę, że następne słowa mogą zmienić jego życie. Wszyscy wpatrywali się w niego. Nie miał wyboru.

- Składam rezygnację - oświadczył. Gdy odwrócił się od stołu i spojrzał na Augustę, dostrzegł na jej twarzy triumfalny uśmiech.

Tego wieczoru odwiedził go wuj Samuel. Chociaż był już starym człowiekiem, cechowała go taka sama próżność jak dwadzieścia lat temu. Dalej żył ze Stephenem Caine'em, swoim „sekretarzem”, i Hugh jako jedyny z Pilasterów bywał w ich eleganckim, pełnym kotów domu w rozwiązanym Chelsea. Pewnego razu, kiedy wypili już pół butelki porto, Stephen oznajmił, że uważa się za jedyną żonę w rodzinie Pilasterów, która nie jest jędzą.

W momencie przybycia Samuela Hugh znajdował się w bibliotece. Trzymał na kolanach otwartą książkę, ale jej nie czytał. Wpatrywał się w ogień i myślał o przyszłości. Miał mnóstwo pieniędzy, wystarczająco dużo, aby spędzić wygodnie resztę życia, nie zajmując się żadną pracą, ale nigdy już nie zostanie Starszym Partnerem.

Wuj Samuel sprawiał wrażenie zmęczonego i smutnego.

- Prawie całe życie stałem na straconej pozycji wobec kuzyna Josepha - oznajmił.

- Żałuję, że nie było odwrotnie.

Zapytany, czego się napije, Samuel poprosił o porto. Hugh zawołał kamerdynera i poprosił o przyniesienie karafki.

- Co teraz myślisz o całej sprawie? - zapytał Samuel.

- Byłem wściekły, a teraz jestem tylko przygnębiony - odparł Hugh. - Edward jest beznadziejny i zupełnie nie nadaje się na Starszego Partnera, ale nic na to nie można poradzić. A jak ty się czujesz, wuju?

- Podobnie. Również zrezygnuję. Nie mogę wycofać swojego kapitału, przynajmniej nie w tej chwili, ale zrobię to pod koniec roku. Oznajmiłem im to po twoim dramatycznym wyjściu. Powinienem był wyrazić swoje zdanie wcześniej, lecz i tak niczego bym nie zmienił.

- Co jeszcze powiedzieli?

- No cóż, właśnie dlatego tu jestem, drogi chłopcze. Z przykrością muszę stwierdzić, że przybywam w charakterze posła od nieprzyjaciela. Poproszono mnie, abym przekonał cię, żebyś nie składał rezygnacji.

- W takim razie są cholernymi głupcami.

- Z całą pewnością. Proponuję jednak, żebyś rozważył pewną sprawę. Otóż jeżeli zrezygnujesz natychmiast, wszyscy w City domyślą się motywów twojej decyzji. I wyciągną odpowiednie wnioski - skoro Hugh Pilaster uważa, że Edward nie potrafi poprowadzić banku, pewnie ma rację. Inaczej mówiąc, spowoduje to utratę zaufania.

- No cóż, jeżeli bank ma kiepskie kierownictwo, ludzie powinni tracić do niego zaufanie. W przeciwnym razie utracą pieniądze.

- A co będzie, jeżeli twoja rezygnacja wywoła kryzys finansowy? Hugh o tym nie pomyślał.

- Czy istnieje takie niebezpieczeństwo?

- Tak sądzę.

- Nie muszę chyba mówić, że tego bym nie chciał. - Kryzys mógłby wywołać upadek

innych, zupełnie dobrze prosperujących przedsiębiorstw, podobnie jak załamanie się Overend i Gurney zniszczyło firmę jego ojca w tysiąc osiemset sześćdziesiątym szóstym.

- Być może powinieneś pozostać do końca roku finansowego, tak jak ja - stwierdził Samuel. - To kwestia zaledwie kilku miesięcy. Do tej pory Edward będzie już przez jakiś czas piastował swoje stanowisko, wszyscy się do tego przyzwyczają i będziesz mógł odejść bez zbyteńnego zamieszania.

Kamerdyner przyniósł karafkę. Hugh z namysłem wypił łyk. Propozycja nie podobała mu się, ale zdawał sobie sprawę, że powinien się na nią zgodzić. Skoro prawi się innym kazania o obowiązkach wobec depozytariuszy i szerokich kręgów finansowych, należy postępować zgodnie z głoszonymi zasadami. Jeżeli pozwoli, aby bank ucierpiał tylko z powodu jego urażonych uczuć, okaże się taki sam jak Augusta. Poza tym, zostając, zyska czas na przemyślenie dalszych planów życiowych. Westchnął głośno.

- Dobrze - oznajmił wreszcie. - Pozostanę do końca tego roku. Samuel kiwnął głową.

- Tak właśnie sądziłem - powiedział. - Podjąłeś słuszną decyzję... Ty zawsze podejmujesz właściwe decyzje.

Zanim Maisie Greenbourne ostatecznie pożegnała się jedenaście lat temu z wyższymi sferami, odwiedziła wszystkich swoich przyjaciół - których było wielu, i to bogatych - i namówiła ich, aby ofiarowali pieniądze na prowadzony przez Rachel szpital dla kobiet w Southwark. Tak więc na pokrycie jego bieżących kosztów wystarczały wpływy z dokonanych inwestycji.

Kapitałem zarządzał ojciec Rachel, jedyny mężczyzna pomagający w prowadzeniu szpitala. Początkowo Maisie zamierzała sama zająć się inwestycjami, ale przekonała się, że bankierzy i maklerzy nie traktują jej poważnie. Ignorowali jej polecenia, żądali upoważnienia męża i ukrywali przed nią informacje. Mogła wprawdzie z nimi walczyć, ale zarządzanie szpitala zajmowało jej i Rachel zbyt wiele czasu i dlatego zleciły prowadzenie finansów panu Bodwinowi. Maisie była wdową, ale Rachel wciąż nie przestała być żoną Mirandy. Micky, chociaż się z nim nie widywała, nie miał najmniejszej ochoty się z nią rozwieść.

Od dziesięciu lat trwał jej dyskretny romans z bratem Maisie, Danem Robinsonem, teraz już członkiem parlamentu. Obecnie wszyscy troje mieszkali w domu Maisie w Walworth na przedmieściu Londynu.

Szpital mieścił się w robotniczej dzielnicy, w samym sercu miasta. Maisie i Rachel wzięły w długoterminową dzierżawę cztery sąsiadujące ze sobą domy koło katedry w Southwark i kazały przebić wewnętrzne drzwi w ścianach na każdym piętrze. Zamiast szeregów łóżek w ogromnych, przypominających jaskinie salach, były tam małe, przyjemne pokoiki na dwa lub trzy łóżka.

W gabinecie Maisie, zacisznym zakątku nieopodal głównego wejścia, znajdowały się dwa wygodne fotele, niewielkie biurko, szafa na książki, w których zapisywała wszystkie dane, wazon z kwiatami, wypłowiały dywan i kolorowe zasłony. Na ścianie wisiał oprawiony afisz „Zadziwiająca Maisie”.

Naprzeciwko niej siedziała kobieta w dziewiątym miesiącu ciąży - Była bosa,

obszarpana i miała ostrożne, pełne determinacji spojrzenie zagłodzonego kota, który wchodzi do obcego domu w nadziei, że zostanie nakarmiony.

- Jak się nazywasz, kochanie? - zapytała Maisie.

- Rosę Porter, psze pani.

Pensjonariuszki zawsze zwracały się do niej w ten sposób, jakby była wielką damą, i dawno już zrezygnowała z namawiania ich, aby mówiły jej po imieniu.

- Wypiłabyś filiżankę herbaty?

- Tak, bardzo proszę, psze pani.

Maisie nalala herbaty do prostego fajansowego kubka, dodała mleka i cukru.

- Wyglądasz na zmęczoną.

- Szłam przez całą drogę z Bath, psze pani. Z Bath było sto pięćdziesiąt kilometrów.

- Musiało ci to zająć tydzień! - zawołała Maisie. - Biedactwo. Rosę wybuchnęła płaczem.

Reakcja była zupełnie normalna i Maisie zdążyła się już do tego przyzwyczać. Najlepiej było dać im się wypłakać. Usiadła na poręczy fotela Rosę, objęła ją i przytuliła.

- Wiem, że jestem grzeszna - załkała dziewczyna.

- Nie jesteś - odparła Maisie. - Wszystkie tu jesteśmy kobietami i rozumiemy takie sprawy. Nie mówimy o grzechu. Od tego są duchowni i politycy.

Po chwili Rosę uspokoiła się i wypila herbatę. Maisie wyjęła odpowiednią księgę z półki i usiadła przy biurku. Sporządzała notatki o każdej przyjętej do szpitala kobiecie i bardzo często te dane okazywały się wielce przydatne. Jeżeli jakiś świętoszkowaty konserwatysta wstawał w parlamencie i twierdził, że większość niezamężnych matek jest prostytutkami albo że chcą jedynie porzucić swoje dzieci lub jakieś podobne bzdury, mogła odpowiedzieć mu starannie sformułowanym, uprzejmym listem popartym faktami, a potem powtarzała te informacje w mowach Wygłaszanych w całym kraju.

- Powiedz mi, co się stało - zwróciła się do Rose - Czym się zajmowałaś, zanim zaszłaś w ciążę?

- Byłam kucharką u pani Foljambe w Bath.

- Jak poznałaś swojego młodego człowieka?

- Podszedł do mnie na ulicy i zaczął rozmawiać. Było to moje wolne popołudnie i miałam nową żółtą parasolkę. Wyglądała wspaniale i właśnie ta żółta parasolka doprowadziła mnie do zguby.

Maisie stopniowo wyciągnęła z niej bardzo typową historię, Zupełnie typową. Mężczyzna był tapicerem, szanowanym i dobrze zarabiającym pracownikiem. Zalecał się do niej i myśleli o małżeństwie. Ciepłymi wieczorami pieścili się, siedząc w parku po zapadnięciu zmroku, otoczeni przez inne parki, zajmujące się tym samym.

Okazji do współżycia mieli niewiele, ale udało im się zrobić to kilka razy, kiedy jej chlebodawczyni była nieobecna albo jego gospodyni pijana. A potem on stracił pracę i przeniósł się w poszukiwaniu zarobku do innego miasta. Napisał do niej raz czy dwa razy, po czym zniknął z jej życia. A później zorientowała się, że jest w ciąży.

- Spróbujemy się z nim skontaktować - obiecała Maisie.

- Nie sądzę, żeby mnie jeszcze kochał.

- Zobaczymy. - Zaskakująco wielu mężczyzn chciało się w końcu żenić z porzuconymi kobietami. Nawet jeżeli uciekli, dowiedziawszy się, że dziewczyna jest w ciąży, potem często żalowali swojego kroku. W wypadku Rose istniała spora szansa na takie właśnie rozwiązanie sprawy. Chłopak wyjechał, bo utracił pracę, a nie dlatego, że przestał ją kochać, i nawet nie wiedział, iż zostanie ojcem. Maisie zawsze usiłowała nakłonić mężczyzn, aby przyszli do szpitala zobaczyć matkę i dziecko. Widok bezbronnego niemowlaka, własnego dziecka, czasami wyzwał w nich najlepsze instynkty. Rose skrzywiła się i Maisie zapytała:

- O co chodzi?

- Bolał mnie plecy. To chyba od tego chodzenia. Maisie uśmiechnęła się.

- To nie ból pleców, ale twoje dziecko zaczyna się niecierpliwic. Musimy położyć cię do łóżka.

Zaprowadziła dziewczynę na górę i przekazała pielęgniarce.

- Wszystko będzie w porządku - powiedziała. - Urodzisz cudownego bobasa, przeszła do innego pokoju i stanęła koło łóżka kobiety, którą nazywali Panną Nikt, ponieważ odmówiła podania jakichkolwiek szczegółów, nawet nazwiska. Była ciemnowłosa dziewczyną w wieku około osiemnastu lat. Mówiła z wymową typową dla wyższych klas, miała drogą bieliznę i Maisie była niemal pewna, że jest Żydówką.

- Jak się czujesz, kochanie?

- Bardzo mi wygodnie... i jestem taka wdzięczna, pani Greenbourne.

Pod każdym względem różniła się od Rose i na dobrą sprawę mogły pochodzić z dwóch przeciwległych krańców Ziemi, ale obie znalazły się w identycznej sytuacji i czekał je taki sam bolesny poród.

Wróciła do swojego gabinetu i znów zabrała się do przerwanego listu, który pisała do wydawcy „Timesa”:

Klinika dla Kobiet Bridge Street

Southwark

Londyn, SE

10 września 1890 r.

Do Wydawcy „Timesa”

Szanowny Panie

Z zainteresowaniem przeczytałam list dr. Charlesa Wickama na temat fizycznej wyższości mężczyzn nad kobietami.

Poprzednio nie była pewna, co ma napisać dalej, ale przybycie Rose Porter dodało jej natchnienia.

Właśnie przyjechałam do szpitala młodą ciężarną kobietę, która przyszła tu na piechotę z Bath.

Wydawca zapewne usunie słowo „ciężarna”, uznając je za wulgarne, ale Maisie nie miała zamiaru wyręczać go w cenzurowaniu listu.

Zauważyłam, że dr Wickham pisze z klubu Cowes, i nie mogę się powstrzymać od wyrażenia zainteresowania, jak wielu członków klubu zdołałoby przejść z Bath do Londynu?

Oczywiście, jako kobieta nigdy nie byłam w klubie, często jednak widywałam jego członków przywołujących dorożkę, aby przewiozła ich na odległość kilometra lub mniejszą. Muszę stwierdzić, że większość z nich nie wygląda na zdolnych do przejścia z Piccadilly Circus do Parliament Square. A już na pewno nie byłiby w stanie pracować na dwudziestoczterogodzinnych zmianach w warsztatach East Endu jak czynią to codziennie tysiące angielskich kobiet...

Przerwało jej stukanie do drzwi.

- Proszę wejść! - zawołała.

W drzwiach pojawiła się kobieta, która nie była ani biedna, ani w ciąży. Miała wielkie niebieskie oczy, dziewczęcą twarzyczkę i była bogato ubrana. Maisie natychmiast poznała Emily, żonę Edwarda Pilastera.

Wstała i ucałowała ją. Emily Pilaster była jedną z patronek szpitala. W skład tej grupy wchodziły zadziwiająco różne kobiety, na przykład stara przyjaciółka Maisie April Tilsley, do której należały obecnie trzy londyńskie domy publiczne.

Kobiety te przekazywały stare ubrania, meble, nadwyżki jedzenia z kuchni i różne inne rzeczy, takie jak papier i atrament, niekiedy również znajdowały pracę dla matek po połogu. Większość z nich jednak przede wszystkim udzielała Maisie i Rachel moralnego wsparcia, zwłaszcza gdy złożone z mężczyzn władze szkalowały je za to, że w ich szpitalu nie odbywały się obowiązkowe modlitwy, śpiewanie hymnów i nie wygłaszano kazań na temat grzeszności macierzyństwa bez sakramentu małżeństwa.

Maisie czuła się częściowo odpowiedzialna za katastrofę, w jaką przekształciła się wizyta Emily w domu publicznym April podczas Nocy Masek, od tej pory Emily i obrzydliwy Edward żyli w dyskretnej separacji bogatych małżeństw nienawidzących się nawzajem.

Tego ranka Emily była podniecona, a jej oczy błyszczały. Usiadła, potem wstała i sprawdziła, czy drzwi są dokładnie zamknięte. Aż wreszcie oświadczyła:

- Zakochałam się.

Maisie nie była pewna, czy wiadomość jest rzeczywiście tak wspaniała, ale powiedziała:

- Cudownie. Kto to taki?

Robert Charlesworth. Jest poetą i pisze artykuły o sztuce włoskiej. Przez większą część roku mieszka we Florencji, ale wynajmuje domek w naszej wsi. Lubi Anglię we wrześnie.

Maisie domyśliła się, że Robert Charlesworth ma wystarczająco dużo pieniędzy, aby

żyć wygodnie, nie zajmując się żadną konkretną pracą.

- Brzmi to niezwykle romantycznie - oznajmiła.

- Och tak, jest taki sentymentalny, na pewno ci się spodoba.

- Z pewnością - odparła Maisie, choć prawdę mówiąc, nie cierpiała sentymentalnych poetów z prywatnymi źródłami dochodu. Cieszyła się jednak szczęściem Emily, która miała dotąd w życiu więcej pecha, niż na to zasługiwała.

- Czy zostałeś już jego kochanką? - zapytała. Emily zaczerwieniła się.

- Och, Maisie, zawsze zadajesz takie kłopotliwe pytania. Oczywiście, że nie! Maisie wciąż nie mogła wyjść z podziwu, że po tym, co się stało w Noc Masek, Emily może być czymkolwiek zakłopotana. Ale doświadczenie podpowiadało jej, że to raczej ona sama jest pod tym względem kimś nietypowym. Większość kobiet potrafiła przymknąć oczy prawie na wszystko, co było im niewygodne. Ale Maisie nie cierpiała grzecznych eufemizmów i taktownych zdań.

- No cóż - oznajmiła wprost - nie chodzi o to, że nie możesz zostać jego żoną, prawda?

- Właśnie dlatego tu jestem - przyznała Emily. - Czy wiesz coś na temat unieważnienia małżeństwa?

- Dobry Boże! - Maisie myślała przez chwilę. - Na podstawie faktu, że nie zostało skonsumowane?

- Tak.

Maisie skinęła głową.

- Owszem, jest taka możliwość. - Nie zdziwiło jej, że Emily przyszła do niej, aby zasięgnąć porady prawnej. Nie było przecież kobiet prawniczek, a mężczyzna najprawdopodobniej udałby się natychmiast do Edwarda i o wszystkim mu opowiedział. Maisie, walcząc o prawa kobiet, musiała dokładnie zapoznać się z obowiązującymi przepisami dotyczącymi małżeństwa i rozwodów. - Będziesz musiała udać się do Wydziału Spadków i Rozwodów Sądu Najwyższego - wyjaśniła - i tam udowodnić, że Edward zawsze jest impotentem. Nie tylko z tobą.

Emily spochmurniała.

- Ojej - szepnęła. - Wiemy przecież, że tak nie jest.

- Poza tym poważnym problemem będzie fakt, że nie jesteś dziewczyną.

- W takim razie sprawa wygląda beznadziejnie - rzekła żałośnie Emily.

- Jedynym sposobem osiągnięcia celu jest przekonanie Edwarda, aby zechciał współpracować. Jak myślisz, zgodzi się?

Emily rozpromieniła się.

- Niewykluczone.

- Gdyby podpisał oświadczenie, że jest impotentem, i nie przeciwstawiał się unieważnieniu małżeństwa, twoje zeznania nie byłyby podważane.

- W takim razie znajdę sposób, aby go zmusić do tego.

Na twarzy Emily pojawił się grymas uporu i Maisie przypomniała sobie, jak nieoczekiwaną stanowczość potrafi wykazać.

- Bądź dyskretna. Tego typu umowa między mężem i żoną jest niezgodna z prawem i istnieje człowiek nazywany królewskim prokuratorem do spraw rozwodowych, który w takich wypadkach odgrywa rolę kogoś w rodzaju policjanta.

- Czy potem będę mogła wyjść za Roberta?

- Tak. Nieskonsumowanie małżeństwa jest w świetle prawa kanonicznego wystarczającą podstawą do uzyskania rozwodu. Potrwa około roku, zanim sprawa stanie na wokandzie, później musi jeszcze upłynąć sześć miesięcy, aby wyrok się uprawomocnił. W końcu jednak będziesz mogła ponownie wyjść za mąż.

- Och, mam nadzieję, że Edward się zgodzi.

- Co do ciebie czuje?

- Nienawidzi mnie.

- Sądzisz, że zechce się od ciebie uwolnić?

- Nie obchodzę go, dopóki trzymam się z daleka.

- A jeżeli przestaniesz?

- Chodzi ci o to, żebyśmy zaczęła mu przeszkadzać?

- Właśnie.

- Myślę, że mi się to uda.

Maisie była pewna, że kiedy Emily zdecyduje się na podobny krok, potrafi stać się koszmarnie nieznośna.

- Potrzebny mi będzie adwokat, który napisałby odpowiedni list do Edwarda - powiedziała Emily.

- Poproszę ojca Rachel, jest prawnikiem.

- Pomożesz mi?

- Oczywiście. - Maisie spojrzała na zegar. - Nie mogę zobaczyć się z nim dzisiaj, bo zaczyna się rok szkolny w Windfield i muszę zawieźć tam Bertiego, ale porozumiem się z nim rano. Emily wstała.

- Maisie, jesteś najlepszą przyjaciółką, jaką może mieć kobieta.

- Wiesz co, na pewno sprawa wywoła ogromne poruszenie w rodzinie Pilasterów. Augusta dostanie apopleksji.

- Nie boję się jej - odparła Emily.

Maisie Greenbourne zawsze zwracała ogromną uwagę w szkole w Windfield.

Wiedziano, że jest wdową po bajecznie bogatym Sollym Greenbournie, chociaż sama miała bardzo niewiele pieniędzy. Była również słynna jako kobieta „postępowa”, która walczyła o prawa kobiet i podobno zachęcała pokojówki, aby rodziły nieślubne dzieci. A poza tym gdy przyprowadzała Bertiego do szkoły, zawsze towarzyszył jej Hugh Pilaster, przystojny bankier, który płacił chesne za jej syna. Bez wątplenia niektórzy rodzice podejrzewali, że Pilaster jest jego prawdziwym ojcem.

Domyślała się jednak, że najważniejszym powodem, dla którego wzbudzała zainteresowanie, było to, że w wieku trzydziestu czterech lat wciąż jeszcze mogła zawrócić niejednemu mężczyźnie w głowie.

Dzisiaj ubrana była w suknię pomidorowego koloru z krótkim żakiem i kapelusz z piórem. Wiedziała, że wygląda ładnie i swobodnie. Tak naprawdę jednak te odwiedziny w szkole, wspólne przebywanie z Bertiem i Hughiem sprawiały jej ból. Minęło już siedemnaście lat od nocy, którą spędziła z Hughiem, ale kochała go tak samo jak wówczas. Większość swojego czasu poświęcała całkowicie na rozwiązywanie problemów biednych dziewcząt zgłaszających się do jej szpitala i to pozwalało jej zapomnieć o własnym zmartwieniu. Ale dwa lub trzy razy w roku spotykała się z Hughiem i wtedy ból powracał.

Od jedenastu lat wiedział, że jest prawdziwym ojcem Bertiego - niechcący naprowadził go na tę myśl Ben Greenbourne. A gdy ją o to zapytał, potwierdziła. Od tego czasu robił dla Bertiego wszystko, oprócz usynowienia. Chłopiec wierzył, że jego ojcem jest zmarły, przemiły Solomon Greenbourne, i prawda sprawiłaby mu tylko niepotrzebne cierpienie.

Nazwała syna Hubertem ze względu na podobieństwo brzmienia do Hugh, a zdrobienie jego imienia było dyskretnym komplementem pod adresem księcia Walii, którego również tak nazywano. Maisie nigdy go już nie widziała - przestała przecież być żoną milionera i uroczą panią domu podejmującą ludzi z towarzystwa.

Była teraz po prostu wdową, mieszkającą w skromnym domu na południowym przedmieściu Londynu, a takie osoby nie należą do kręgu książęcych przyjaciół. Kiedyś Maisie wyjaśniła Bertiemu, że pan Pilaster był najlepszym przyjacielem jego ojca. Na szczęście między chłopcem i Hughiem nie było rzucającego się w oczy podobieństwa. Właściwie dzięki miękkim ciemnym włosom i smutnym piwnym oczom syn bardziej przypominał dziadka, jej ojca. Był wysokim, silnym młodzieńcem, dobrym sportowcem i pilnym studentem, i była z niego dumna, choć niekiedy serce jej pękało.

Przy tego rodzaju okazjach Hugh był dla Maisie nienagannie uprzejmy i starannie odgrywał rolę przyjaciela rodziny, ale wiedziała, że gorycz i słodycz tej sytuacji są dla niego równie bolesne jak dla niej.

Wiedziała od ojca Rachel, że w City uważano go za geniusza. Kiedy mówił o banku, oczy mu błyszczały, był pełen radości życia i domyślała się, że jego praca daje mu wiele satysfakcji. Gdy jednak konwersacja zaczynała dotyczyć spraw domowych, stawał się przygaszony i małowówny. Nie lubił rozmów o swoim domu, życiu towarzyskim, a zwłaszcza o żonie. Jedynymi członkami rodziny, o których wspominał, byli jego trzej synowie, których kochał do szaleństwa. Zawsze jednak Maisie dostrzegła wówczas w jego oczach smutek i domyślała się, że Nora nie jest czułą matką. Przez wszystkie te lata obserwowała, jak Hugh pograża się w zimnym, pozbawionym uczuć małżeństwie.

Dziś miał na sobie srebrnoszary tweedowy garnitur, doskonale harmonizujący z jego przyprószonymi siwizną włosami, i niebieski krawat dobrany pod kolor oczu. Był nieco tęższy niż dawniej, ale wciąż od czasu do czasu na jego twarzy pojawiał się kpiarski uśmiech. Tworzyli razem interesującą parę - ale nią nie byli i to właśnie, że wyglądali i zachowywali się jak małżeństwo, napełniało ją takim smutkiem. Gdy wchodzili na teren szkoły w Windfield, ujęła go pod ramię i pomyślała, że zapisałyby duszę diabłu, byle tylko być z nim kiedyś razem. Pomogli Bertiemu rozpakować kufer, a on poczęstował ich w swoim pokoju herbatą. Hugh przywiózł ze sobą ciasto, które

przypuszczalnie starczy na tydzień dla całej szóstej klasy.

- Mój chłopak Toby będzie się tu uczył od następnego półrocza - oświadczył Hugh, kiedy pili herbatę. - Czy mógłbyś mieć na niego oko?

- Z przyjemnością - odparł Bertie. - Dopilnuję, żeby nie pływał w Biskupim Lesie.

- Maisie popatrzyła na niego, marszcząc brwi, i syn natychmiast się opamiętał. - Przepraszam, to był kiepski żart.

- Ciągłe się o tym mówi, prawda? - zapytał Hugh.

- Co roku przełożony opowiada o tym, jak utonął Peter Middleton, aby napędzić dzieciakom strachu, ale nadal chodzą tam pływać.

Po herbatce pożegnali się z Bertiem i Maisie jak zawsze miała ochotę rozplakać się na samą myśl, że musi zostawić swojego małego, o wiele już od niej wyższego chłopczyka. Wrócili piechotą do miasteczka i wsiedli do londyńskiego pociągu. Byli sami w przedziale pierwszej klasy. Gdy przyglądali się przepływającemu za oknami krajobrazowi, Hugh w pewnej chwili powiedział:

- Edward zostanie Starszym Partnerem w banku. Maisie była zdumiona.

- Ale przecież jest na to za głupi!

- Owszem. Pod koniec roku złożę rezygnację.

- Och, Hugh! - Wiedziała, ile znaczy dla niego bank i jak wielkie wiązał z nim nadzieje. - Co będziesz robił?

- Zastanowię się. Do końca roku finansowego jest jeszcze sporo czasu.

- Czy Edward nie zrukuje banku?

- Obawiam się, że może.

Maisie zrobiło się go żal. Miał więcej pecha w życiu, niż na to zasługiwał, podczas gdy Edwardowi ciągle towarzyszyło szczęście.

- Edward jest również lordem Whitehaven - przypomniała. - Czy zdajesz sobie sprawę, że gdyby tytuł otrzymał Ben Greenbourne, Bertie by go dziedziczył?

- Tak.

- Ale Augusta nie dopuściła do tego.

- Augusta? - zapytał Hugh ze zdziwieniem, unosząc brwi.

- Tak. Bo to ona kryła się za tymi obrzydliwościami w prasie. Pamiętasz artykuł Czy Żyd może być lordem!

- Tak, ale skąd pewność, że to jej sprawka?

- Powiedział nam o tym książkę Walii.

- No, no! - Hugh pokręcił głową. - Augusta nigdy nie przestanie mnie zadziwiać.

- W każdym razie biedna Emily jest obecnie lady Whitehaven.

- Przynajmniej tyle ma z tego nieszczęsnego małżeństwa.

- Zdradzę ci coś w tajemnicy - oznajmiła Maisie. Zaczęła mówić szeptem, chociaż nikogo w pobliżu nie było. - Emily chce poprosić Edwarda o unieważnienie małżeństwa.

- Doskonale! Zapewne ze względu na jego nieskonsumowanie?

- Tak. Nie dziwi cię to?

- Można się tego było domyślić. Nigdy się nie dotykają, Zachowują się wobec siebie tak niezręcznie, że trudno uwierzyć, iż są mężem i żoną.

- Była zmuszona żyć w zakłamaniu przez wszystkie te lata i teraz wreszcie postanowiła położyć temu kres.

- Będzie miała kłopoty z moją rodziną - przypomniał.

- To znaczy z Augustą. - Maisie też o tym pomyślała. - Emily zdaje sobie z tego sprawę, ale jest bardzo uparta i może dopiąć swego.

- Ma kogoś innego?

- Tak, ale nie chce zostać jego kochanką. Nie rozumiem, dlaczego jest taka zasadnicza. Przecież Edward spędza każdą noc w burdelu.

Hugh uśmiechnął się do niej smutnym, pełnym miłości uśmiechem.

- Ty też pewnego razu byłaś zasadnicza.

Maisie przypomniała sobie tę noc w Kingsbridge Manor, kiedy zamknęła przed nim drzwi swej sypialni.

- Byłam żoną dobrego człowieka, którego zdradzilibyśmy oboje. Sytuacja Emily jest zupełnie inna.

Hugh skinął głową.

- Mimo wszystko chyba rozumiem Emily. To właśnie kłamstwo sprawia, że zdrada małżeńska jest czymś wstydlivym.

Maisie zaprotestowała:

- Ludzie powinni chwycić szczęście przy każdej nadarzającej się okazji. Mamy tylko jedno życie.

- Ale kiedy chwytasz szczęście, możesz wypuścić coś bardziej wartościowego: swoją uczciwość.

- Dla mnie to zbyt abstrakcyjne - stwierdziła lekceważąco Maisie.

- Podobnie jak dla mnie tej nocy w domu Kinga, kiedy z ochotą nadużyłbym zaufania Solly'ego, gdybyś mi na to pozwoliła. Jednakże w miarę upływu lat pojęcie uczciwości nabierało dla mnie konkretnej treści. Teraz wydaje mi się ona najważniejszą wartością. - Ale czym jest uczciwość?

- Po prostu mówieniem prawdy, dotrzymywaniem obietnic i ponoszeniem odpowiedzialności za swoje błędy. Tak w interesach, jak i w życiu codziennym. Chodzi o to, aby człowiek był tym, za kogo się podaje, i postępował zgodnie z głoszonymi zasadami. A bankier tym bardziej nie powinien być kłamcą. W końcu jeżeli nie może zaufać mu własna żona, to kto może?

Maisie czuła, że ogarnia ją na niego złość, i zastanawiała się dlaczego. Siedziała przez chwilę w milczeniu, spoglądając przez okno na pogrążone w zmierzchu przedmieścia Londynu. Cóż mu pozostanie z życia, kiedy opuści bank? Nie kochał swojej żony, a ta z kolei nie kochała ich dzieci. Dlaczego nie miały znaleźć szczęścia w jej ramionach, kobiety, którą zawsze kochał?

Na stacji Paddington odprowadził ją do dorożki i pomógł jej wsiąść. Kiedy się

żegnali, przytrzymała jego ręce i zaproponowała:

- Pojedź ze mną do domu.

Popatrzył na nią ze smutkiem i pokręcił głową.

- Kochamy się... Zawsze się kochaliśmy - powiedziała błagalnym tonem. - Jedź ze mną i do diabła z konsekwencjami.

- Ale przecież całe życie to konsekwencje, nie sądzisz?

- Hugh! Proszę!

Uwolnił dłonie i cofnął się.

- Do widzenia, droga Maisie.

Patrzyła na niego bezradnie. Owładnęło ją tłumione przez lata pożądanie. Gdyby była wystarczająco mocna, wciągnęłaby go do dorożki siłą. Poczucie bezradności doprowadzało ją do szału. Pozostałaby tak chyba na zawsze, gdyby nie skinął głową woźnicy i nie poleciał:

- Ruszajcie!

Dorożkarz ciął konia batem i koła zaczęły się obracać. Chwilę później Hugh zniknął jej z oczu.

Hugh spał tej nocy fatalnie. Wciąż budził się i przypominał sobie rozmowę z Maisie. Żałował, że z nią nie pojechał. Spałby teraz w jej ramionach, z głową opartą na jej piersiach, zamiast wiercić się w pustym łóżku.

Dręczyło go jednak coś jeszcze. Miał wrażenie, że Maisie powiedziała coś niezwykle ważnego, zaskakującego i groźnego, ale znaczenie jej słów wciąż mu umykało.

Rozmawiali o banku, o tym, że Edward zostanie Starszym partnerem, o tytule Edwarda, planach Emily dotyczących unieważnienia małżeństwa, o nocy w Kingsbridge Manor, o sprzecznych wartościach uczciwości i szczęścia... Gdzie tkwiło to niezwykle objawienie?

Starał się odtworzyć przebieg rozmowy: „Pojedź ze mną do domu... Ludzie powinni chwytać szczęście przy każdej okazji... Emily jest obecnie lady Whitehaven. Czy zdajesz sobie sprawę, że gdyby tytuł otrzymał Ben Greenbourne, Bertie by go dziedziczył?”

Nie, coś opuścił. Edward zdobył tytuł, który powinien być przypisać Benowi Greenbourne'owi, gdyby nie interwencja Augusty, która zorganizowała tę paskudną kampanię prasową. Przywołując w pamięci tamte wydarzenia, doszedł do wniosku, że powinien był się tego domyślić. Książę Walii w jakiś sposób się o tym dowiedział i poinformował Maisie oraz Solly'ego.

Hugh kręcił się niespokojnie. Dlaczego uznał ten fakt za tak bardzo ważny? Był to po prostu kolejny przykład bezwzględności Augusty. Przez cały czas trzymano tę sprawę w tajemnicy. Ale Solly wiedział.

Nagle usiadł gwałtownie na łóżku, wpatrując się w ciemność.

Solly wiedział!

Jeżeli zdawał sobie sprawę, że Pilasterowie ponoszą odpowiedzialność za antysemicką nagonkę prasową na jego ojca, nie zechciałby prowadzić z nimi dalej interesów i przede wszystkim odwołałby obligację kolejową Santamaria.

Powiedziałby Edwardowi, że się wycofuje, a Edward powtórzyłby tę wiadomość Micky'emu.

- O mój Boże! - westchnął na głos Hugh.

Często zastanawiał się, czy Miranda nie miał czegoś wspólnego ze śmiercią Solly'ego. Pamiętał, że Micky był w pobliżu miejsca wypadku, ale przez cały czas nie potrafił znaleźć ewentualnych motywów zbrodni. Był przekonany, że Solly zamierzał podpisać umowę umożliwiającą Micky'emu realizację jego planów, a więc Mirandzie powinno zależeć na tym, aby żył. Jeżeli jednak Greenbourne chciał anulować umowę, Micky mógł go zabić, aby ocalić swoje przedsięwzięcie. Czy to on był owym dobrze ubranym mężczyzną, który sprzeczał się z Sollym na chwilę przed jego śmiercią? Stangret przez cały czas twierdził, że ofiarę zepchnięto pod rozpędzony powóz. Czy zrobił to Micky? Sama myśl o tym budziła w Hughu przerażenie i obrzydzenie.

Wstał z łóżka i podkręcił lampę gazową, przekonany że nie zaśnie już tej nocy. Włożył szlafrok i usiadł przy dogasającym na kominku ogniu. Czy Micky zamordował jego dwóch przyjaciół, Petera Middletona i Solly'ego Greenbourne'a?

A jeśli tak, co teraz należało zrobić?

Pytanie to dręczyło go również następnego dnia, aż nagle zaszło wydarzenie, które dało mu odpowiedź.

Cały ranek spędził przy biurku w Pokoju Partnerów. Niegdyś marzył, aby zająć miejsce w tym spokojnym, elegancko urządzonej centrum władzy i pod okiem spoglądających z portretów przodków podejmować decyzje dotyczące wielu milionów funtów. Teraz jednak już się pogodził z myślą, że przyjdzie mu się pożegnać z tym miejscem i swoimi planami.

Porządkował sprawy, zamykając rozpoczęte interesy i nie rozpoczynał nowych.

Wciąż jednak dręczyła go sprawa śmierci biednego Solly'ego. Do szaleństwa doprowadzało go podejrzenie, że tak dobry człowiek jak Solly został zabity przez takiego pasożyta i łajdaka jak Micky. Prawdę mówiąc, chętnie udusiłby Mirandę gołymi rękami. Oczywiście, nie mógł tego zrobić, ale co gorsza, nie mógł również powiadomić o wszystkim policji. Nie miał przecież żadnego dowodu.

Jego pomocnik, Jonas Mulberry, był tego ranka niezwykle podniecony. Pod rozmaitymi pretekstami zaglądał kilkakrotnie do Pokoju Partnerów, ale wciąż nie mówił, o co mu chodzi. Wreszcie Hugh domyślił się, że chce mu powiedzieć coś ważnego, ale tak, aby nie usłyszeli go inni partnerzy.

Kilka minut przed południem Hugh szedł korytarzem do pokoju, w którym znajdował się telefon. Aparat zainstalowano dwa lata temu i wszyscy żalowali już decyzji, że nie umieszczono go w Pokoju Partnerów, ponieważ każdego z nich wzywano do telefonu kilka razy dziennie. Nie zdziwił się, gdy po drodze natknął się na Mulberry'ego. Zatrzymał go i zapytał:

- Czy coś pana niepokoi?

- Tak, panie Hughu - z wyraźną ulgą odparł Mulberry. - Przypadkiem zobaczyłem pewne dokumenty sporządzane przez pomocnika pana Edwarda, Simona Olivera - oznajmił cicho.

- Proszę wejść tu ze mną na chwilę. - Kiedy znaleźli się w pokoju telefonicznym, Hugh zamknął drzwi. - Co było w tych dokumentach?

- Projekt rozpisania pożyczki dla Cordovy... na dwa miliony funtów!

- Och, nie! - westchnął Hugh. - Bank powinien mniej się angażować w południowoamerykańskie długi, a nie bardziej!

- Wiedziałem, że będzie pan tego zdania.

- A na co konkretnie byłaby przeznaczona ta pożyczka?

- Na budowę nowego portu w prowincji Santamaria.

- Kolejna Kombinacja señora Mirandy.

- Tak. Obawiam się, że on i jego kuzyn Simon Oliver mają bardzo duży wpływ na pana Edwarda.

- W porządku, Mulberry. Dziękuję, że mnie pan poinformował. Spróbuję załatwić tę sprawę.

Hugh powrócił do Pokoju Partnerów, całkowicie zapominając o telefonie. Czy pozostali członkowie zarządu pozwolą Edwardowi zrealizować ten projekt? Bardzo możliwe. Hugh i Samuel odchodzili z banku i nie mieli już tak dużego wpływu na podejmowanie decyzji. Młody William nie podzielał obaw na temat zadłużeń Ameryki Południowej. Major Hartshorn i Harry Tonks zrobią, co im każą. A Edward był obecnie Starszym Partnerem.

Hugh zastanawiał się, co ma właściwie z tym począć? Wciąż jeszcze pracował w banku i otrzymywał swój udział w zyskach, nie mógł więc uchylać się od odpowiedzialności za bieg wydarzeń.

Cały kłopot polegał na tym, że Edward nie kierował się zdrowym rozsądkiem, lecz - jak słusznie zauważył Mulberry - był całkowicie pod wpływem Micky'ego Mirandy. Czy jest jakiś sposób, aby osłabić ten wpływ? Hugh zdawał sobie sprawę, że jeśli powie Edwardowi, iż Micky jest mordercą, kuzyn mu nie uwierzy, mimo to jednak postanowił spróbować. W końcu nie miał nic do stracenia, a poza tym musiał coś zrobić z tym straszliwym odkryciem, które uczynił ostatnie nocy.

Edward wyszedł już na lunch i pod wpływem nagłego impulsu Hugh postanowił pójść za nim.

Domyślając się, dokąd Edward się udał, wziął dorożkę do klubu Cowes i przez całą drogę z City na Pali Mali starał się znaleźć jak najbardziej przekonujące i w miarę łagodne słowa, którymi mógłby wpłynąć na kuzyna. Wszystko jednak, co przychodziło mu do głowy, brzmiało sztucznie i gdy wreszcie dotarł na miejsce, postanowił przekazać mu całą prawdę bez osłonek i liczyć, że odniesie to pożądany skutek.

Było jeszcze wcześniej i zastał Edwarda siedzącego samotnie w palarni z dużym kieliszkiem madery w ręce. Zauważył, że wysypka kuzyna wyraźnie się zaostrzyła - w miejscu gdzie kołnierzyk koszuli ocierał się o szyję, na skórze widniała czerwona krwawa pręga.

Hugh usiadł przy tym samym stole i zamówił herbatę. Kiedy byli chłopcami, nienawidził Edwarda serdecznie za jego sadyzm i brutalność. Ostatnio jednak zaczął dostrzegać, że był on również ofiarą dwojga podłych ludzi - Augusty i Micky'ego.

Matka niszczyła go swoją nadopiekuńczością, a Miranda deprawował. Natomiast uczucia Edwarda wobec Hugh'a wcale się nie zmieniły i teraz bynajmniej nie ukrywał, że nie ma najmniejszej ochoty na jego towarzystwo.

- Nie przyszedłeś tu chyba na herbatę - odezwał się. - Czego chcesz? Zapowiadało się nie najlepiej, ale nie było na to rady. Hugh zaczął mówić, bez szczególnej jednak nadziei na pomyślny rezultat:

- Chcę cię poinformować o czymś przerażającym.

- Doprawdy?

- Pewnie trudno ci będzie uwierzyć, lecz to prawda. Jestem przekonany, że Micky Miranda jest mordercą.

- Och, na litość boską - odparł ze złością Edward. - Nie zwracaj mi głowy takimi bzdurami!

- Zanim zupełnie zlekceważysz to, co powiem, najpierw mnie wysłuchaj - kontynuował Hugh. - Ja odchodzę z banku. Ty jesteś Starszym Partnerem, nie mam więc już o co walczyć. Ale wczoraj dowiedziałem się o czymś ważnym. Solly Greenbourne był świadom tego, że za kampanią prasową przeciwko nadaniu tytułu szlacheckiego Benowi Greenbourne'owi kryła się twoja matka.

Edward drgnął mimowolnie, jakby kuzyn poruszył temat dobrze mu znany. Hugh poczuł lekki przypływ nadziei.

- Jestem na właściwym tropie, prawda? - zapytał. I kierując się swoimi wcześniejszymi domysłami, dodał: - Solly zagroził, że wycofa się ze sprawy obligacji na kolej Santamaria, tak?

Edward skinął głową.

Hugh pochylił się do przodu, z wysiłkiem usiłując ukryć podniecenie.

- Siedziałem przy tym właśnie stole z Mickim, kiedy wszedł Solly, wściekły jak wszyscy diabli - przyznał Edward. - Ale...

- I tej właśnie nocy Solly zginął.

- Tak, lecz Micky był ze mną przez cały czas. Najpierw graliśmy tu w karty, a potem poszliśmy do burdelu „U Nellie”.

- Z pewnością zostawił cię na chwilę. Wystarczyło kilka minut.

- Nie...

- Widziałem go wchodzącego do klubu mniej więcej w tym czasie, kiedy zdarzyła się tragedia z Sollym.

- Musiało to być wcześniej, niż sądzisz.

- Mógł wyjść do toalety czy coś w tym rodzaju.

- Miałby za mało czasu.

Na twarzy Edwarda pojawił się pełen sceptycyzmu grymas.

Nadzieje Hugh'a znowu zaczęły się rozwiewać. Przez chwilę udało mu się wzbudzić w umyśle kuzyna wątpliwości, ale trwało to krótko.

- Chyba zgłupiałeś - ciągnął Edward. - Micky nie jest mordercą. Cały ten pomysł jest absurdalny.

Hugh postanowił więc powiedzieć mu o Peterze Middletonie. Był to właściwie akt rozpaczy, skoro bowiem Edward nie chciał uwierzyć, że Micky mógł zabić Solly'ego jedenaście lat temu, trudno było przypuszczać, że uwierzy w zamordowanie Petera dwadzieścia cztery lata temu. Ale musiał spróbować.

- Micky zabił również Petera Middletona - oznajmił, zdając sobie sprawę, że jego oskarżenie może się wydać szalone.

- Przecież to śmieszne!

- Na pewno uważasz, iż to ty go zabiłeś. Przytapiałeś go wielokrotnie, a potem zacząłeś gonić Tonia. Doszedłeś do wniosku, że Peter był zbyt osłabiony, aby dopłynąć do brzegu i utonął. Ale jest coś, czego nie wiesz.

Edward był wyraźnie zaintrygowany, choć z jego twarzy nie zniknął pełen sceptycyzmu grymas.

- Co takiego? - zapytał.

- Peter bardzo dobrze pływał.

- Był przecież takim chuchrem.

- Tak... ale przez całe lato codziennie ćwiczył pływanie. Był cherlakiem, lecz potrafił przepłynąć wiele kilometrów. Dopłynąłby do brzegu bez trudu... Tonio widział to na własne oczy.

- Co... - przełknął ślinę Edward. - Co jeszcze widział Tonio?

- Kiedy ty wspinałeś się po zboczu kamieniołomu, Micky trzymał głowę Petera pod wodą tak długo, aż go utopił.

Hugh z wielkim zaskoczeniem stwierdził, że tym razem Edward nie zaprotestował. Zamiast tego odezwał się:

- Dlaczego tak długo z tym czekałeś?

- Nie sądziłem, że mi uwierzysz. A teraz zrobiłem to tylko dlatego, że nie widzę innego sposobu, aby wyperswadować ci uruchamianie tej najnowszej inwestycji w Cordovie. - Przyjrzał się uważnie twarzy kuzyna i skonstatował: - Ale widzę, że mi uwierzyłeś, prawda? Edward skinął głową.

- Dlaczego?

- Ponieważ znam powód.

- Jaki? - zapytał Hugh z podnieceniem. Zastanawiał się przecież nad tym od lat.

- Dlaczego Micky zabił Petera?

Edward wypił spory łyk wina i zamyślił się przez tak długą chwilę, że Hugh zaczął się obawiać, że nie odezwie się już ani słowem. Wreszcie jednak rzekł:

- W Cordovie rodzina Mirandów jest bogata, ale tutaj za ich dolary można kupić niewiele. Kiedy Micky przyjechał do Windfield, przepuścił całoroczne kieszonkowe w ciągu kilku tygodni. Chwalił się jednak bogactwem swojej rodziny, bo był zbyt dumny, aby ujawnić prawdę. Kiedy więc skończyły mu się pieniądze... kradł. Hugh przypomniał sobie skandal, który wstrząsnął szkołą w czerwcu tysiąc osiemset sześćdziesiątego szóstego roku.

- Te sześć suwerenów, które zginęły panu Offertonowi - odezwał się z namysłem -

ukradł Micky?

- Tak.

- Niech mnie licho.

. - A Peter dowiedział się o tym.

- W jaki sposób?

- Zobaczył Micky'ego wychodzącego z gabinetu Offertona. Kiedy zaczęto mówić o kradzieży, domyślił się, kto jest sprawcą. Zagroził, że o wszystkim powie, jeżeli Micky się nie przyzna. Kiedy więc przyłapaliśmy go w stawie, uznaliśmy, że nadarzyła się szczęśliwa okoliczność. Przytapiałem Middletona, aby go przestraszyć i zmusić do milczenia. Ale nigdy nie przypuszczałem...

- Że Micky go zabije...

- I przez tyle lat kazał mi wierzyć, że to moja wina, a on mnie osłania! - stwierdził Edward. - Co za świnią!

Hugh uświadomił sobie, że wbrew wszelkim oczekiwaniom udało mu się zachwiać wiarę kuzyna w Mirandę. Miał ogromną ochotę dodać: „A teraz, kiedy już wiesz, jaki on jest, zrezygnuj z portu Santamaria”. Zdawał sobie jednak sprawę, że musi postępować ostrożnie, i uznał, że na razie wystarczy. Edward powinien sam wyciągnąć dalsze wnioski.

- Przykro mi, że tak cię zdenerwowałem - oznajmił, wstając. Kuzyn siedział zamyślony, pocierając przęgę na szyi.

- Tak - odparł z roztargnieniem.

- Muszę już iść.

Edward nie zareagował i sprawiał wrażenie, jakby całkowicie zapomniał o jego istnieniu. Wpatrywał się w kieliszek i Hugh z osłupieniem spostrzegł, że kuzyn płacze.

Wyszedł cicho i zamknął za sobą drzwi.

Auguście podobało się jej wdowieństwo. Przede wszystkim dobrze jej było w czerni.

Żałoba doskonale pasowała do jej ciemnych oczu, czarnych brwi i srebrnych włosów.

Joseph nie żył już od czterech tygodni i wciąż ze zdziwieniem konstatowała, jak w niewielkim stopniu odczuwa jego brak. Jedynie od czasu do czasu zaskoczona uświadamiała sobie, że nie przychodzi do niej z narzekaniem na niedosmażony befsztyk albo kurz w bibliotece. Jadła samotnie obiad raz albo dwa razy w tygodniu, ale zawsze potrafiła dobrze się bawić w swoim towarzystwie. Zmienił się też nieco jej status życiowy. Nie była już żoną Starszego Partnera, lecz jego matką. Poza tym stała się hrabiną wdową Whitehaven. Miała wszystko, co dawał jej Joseph, bez narażania się na kłopoty, które jej sprawiał.

I mogła ponownie wyjść za mąż. Wprawdzie jej pięćdziesiąt osiem lat wykluczało już macierzyństwo, ale wciąż ogarniało ją niemal dziewczęce pożądanie, a prawdę mówiąc, nawet nasilało się od chwili śmierci Josepha. Kiedy Micky Miranda dotykał jej ramienia, spoglądał w oczy albo muskał ręką biodro, silniej niż kiedykolwiek ogarniało ją wrażenie rozkoszy, połączone z przypominającą o zawrót głowy słabością.

Patrząc na swoje odbicie w lustrze, myślała: Jesteśmy tak do siebie podobni z Mickym, nawet w barwie włosów. Moglibyśmy mieć takie śliczne ciemnookie malenstwa.

W tej samej chwili do pokoju weszło jej jasnowłose i niebieskookie dziecko.

Edward wyglądał fatalnie. Nie był już dobrze zbudowany, ale wyraźnie tęgi i coś złego działo się z jego skórą. Często wpadał w zły humor w porze herbaty, kiedy przestało działać wypite podczas lunchu wino.

Nie zważając na jego nastrój, powiedziała:

- Słyszałam, że podobno Emily żąda od ciebie unieważnienia małżeństwa. Co to za historia?

- Chce wyjść za kogoś innego - odparł posępnie Edward.

- Nie może... Jest twoją żoną!

- Niezupenie - stwierdził.

O czym, na Boga, on mówi? Bardzo go kochała, ale czasami potrafił być tak irytujący.

- Nie bądź głupi - oznajmiła ostro. - Oczywiście, że jest twoją żoną.

- Ożeniłem się z nią, ponieważ ty tego chciałaś, mamo. A ona zgodziła się, bo zmusili ją rodzice. Nigdy się nie kochaliśmy i... - zawahał się, a potem wykrztusił wreszcie: - Nigdy nie skonsumowaliśmy małżeństwa.

A więc do tego zmierzał. Augusta była zdumiona, że ośmielił się bezpośrednio nawiązać do spraw seksualnych - takich tematów nie poruszało się przy kobietach, ale wiadomość, że małżeństwo okazało się nieudane, wcale jej nie zaskoczyła - domyślała się tego od lat.

Mimo wszystko nie mogła pozwolić, żeby Emily uszło to płazem.

- Nie możemy dopuścić do skandalu - oświadczyła stanowczo.

- Nie będzie skandalu...

- Naturalnie, że będzie! - krzyknęła, wyprowadzona z równowagi jego krótkowzrocznością. - Cały Londyn będzie o tym plotkował przynajmniej przez rok i sprawa znajdzie odbicie w tanich piśmiślach. - Edward był obecnie lordem Whitehaven i taka pikantna sensacja dotycząca arystokraty idealnie nadawała się dla tygodników kupowanych przez służące.

- Ale czy nie uważasz, że Emily ma prawo do wolności? - zapytał żalonym tonem syn.

Augusta zignorowała tę słabą próbę odwołania się do jej poczucia sprawiedliwości.

- Czy może cię zmusić?

- Chce, abym podpisał dokument stwierdzający, że małżeństwo nie zostało skonsumowane. A potem już wszystko przebiegnie według określonej procedury.

- A jeżeli nie podpiszesz?

- Wtedy sytuacja się skomplikuje. Tych rzeczy nie da się łatwo udowodnić.

- W takim razie załatwione. Nie ma się o co martwić. Zostawmy już ten kłopotliwy temat.

- Ale... .

- Poinformuj ją, że nie uzyska unieważnienia. I nie życzę sobie więcej o tym słyszeć.
- Bardzo dobrze, mammo.

Jego szybka kapitulacja zaskoczyła Augustę. Zawsze stawiała na swoim, ale zazwyczaj wymagało to większego nakładu sił. Musiał mieć jakiś inny problem.

- O co chodzi, Teddy? - zapytała łagodniejszym tonem Westchnął ciężko.
- Hugh powiedział mi pewną piekielną rzecz - oznajmił.
- Co takiego?

- Twierdzi, że Micky zabił Solly'ego Greenbourne'a. Augusta poczuła dreszczyk niezdrowej fascynacji.

- W jaki sposób? Przecież Solly'ego przejechano.
- Hugh twierdzi, że Micky wepchnął go pod powóz.
- Wierzysz w to?
- Micky był ze mną tego wieczoru, ale mógł się wymknąć na kilka minut. Co o tym myślisz, mammo?

Augusta skinęła głową. Micky był zuchwały i niebezpieczny... I tak pociągający! Bez wątpienia stać go było na to, aby bezkarnie popełnić tak zuchwałe morderstwo.

- Trudno mi w to uwierzyć - zaprotestował Edward. - Wiem, że Micky jest pod wieloma względami zepsuty, ale żeby mógł zabić...

- Mógł i zabił - stwierdziła matka.
- Skąd masz taką pewność?

Edward wyglądał tak żałośnie, że Augusta zapragnęła podzielić się z nim swoją tajemnicą. Ale czy będzie to rozsądny krok? Doszła do wniosku, że niczym jej nie zagrozi. Wstrząs, spowodowany wiadomością przekazaną mu przez Hugh'a, sprawił, że jej syn wydawał się myśleć, co zdarzało mu się tak rzadko. Być może prawda dobrze mu zrobi, zmusi go do większej powagi. Postanowiła mu powiedzieć.

- Micky zabił twojego wuja Seta - oświadczyła.
- Dobry Boże!

- Udusił go poduszką. Złapałam go na gorącym uczynku. Wspomnienie późniejszej sceny podnieciło ją.

- Ale dlaczego to zrobił?
- Spieszyło mu się, żeby wysłać karabiny do Cordovy, pamiętasz?
- Pamiętam.

Edward milczał przez chwilę. Augusta zamknęła oczy, przypominając sobie pokój z martwym starcem i długie, szalone chwile w objęciach Micky'ego. Edward wyrwał ją z tych marzeń.

- Jest coś jeszcze, i to gorszego. Przypominasz sobie tego chłopaka, Petera Middletona?

- Oczywiście. - Nigdy go nie zapomni. Jego śmierć do tej pory wisiała nad jej rodziną niby kłątwa. - Czego jeszcze się dowiedziałeś?
- Hugh twierdzi, że zabił go Micky. Ta wiadomość wstrząsnęła Augustą.

- Co? Nie... Nie mogę w to uwierzyć. Edward pokiwał głową.
 - Umyślnie przytrzymał mu głowę pod wodą i utopił go.
- Przeraziła ją nie sama myśl o morderstwie, ale o podstępie Micky'ego.
- Hugh na pewno kłamie.
 - Podobno Tonio Silva wszystko widział.
 - Ale to by oznaczało, że Micky przez wszystkie te lata nas oszukiwał!
 - Mam wrażenie, że to prawda, mamo.

Augusta uświadomiła sobie, że Edward nie bez powodu uwierzył w tę niewiarygodną historię.

- Dlaczego tak uważasz?

- Ponieważ wiedziałem coś, z czego nie zdawał sobie sprawy Hugh, coś, co potwierdza jego informację. Widzisz, Micky ukradł pieniądze jednemu z nauczycieli. Peter przyłapał go na tym i groził, że o wszystkim powie. Micky rozpaczliwie szukał sposobu, aby go uciszyć.

- Micky'emu zawsze brakowało pieniędzy - przypomniała sobie Augusta. Pokręciła z niedowierzaniem głową. - I przez wszystkie lata uważaliśmy... - Że Peter zginął z mojej winy. Augusta kiwnęła głową.

- A Micky nie wyprowadzał nas z błędu - kontynuował Edward. - Nie mogę się z tym pogodzić, mamo. Sądziłem, że jestem mordercą, a on utrzymywał mnie w tym przekonaniu. Czyż tak się postępuje z przyjacielem? Augusta spojrzała ze współczuciem na syna.

- Odtrącisz go teraz?

- Oczywiście - Edward był pogrążony w żalu. - Ale jest moim jedynym przyjacielem.

Augusta miała ochotę niemal się rozpłakać. Siedzieli, patrząc na siebie, rozmyślając o tym, co zrobili, i dlaczego.

- Prawie przez dwadzieścia pięć lat traktowaliśmy go jak członka rodziny. A jest potworem - podsumował Edward.

Potworem, przytaknęła w myśli Augusta. Taka jest prawda.

Ale mimo wszystko kochała go. Nawet jeżeli zabił troje ludzi, kochała Micky'ego Mirandę. Wiedziała, że chociaż tak ją oszukał, gdyby w tej chwili wszedł do pokoju, pragnęłaby znaleźć się w jego ramionach.

Popatrzyła na syna i z wyrazu jego twarzy zorientowała się, że przeżywa coś podobnego. Wyczuwała to już wcześniej, teraz jednak jej intuicyjne domysły znalazły potwierdzenie.

Edward również kochał Micky'ego.

Rozdział drugi - Październik

Micky Miranda był zaniepokojony. Siedział w salonie klubu Cowes, palił cygaro i zastanawiał się, w jaki sposób obraził Edwarda, który wyraźnie go unikał. Nie pojawiał się w klubie, nie przychodził do burdelu „U Nellie”, nawet nie bywał na popołudniowej herbatce w salonie matki. Micky nie widział go już od tygodnia. Zapytał Augustę, o co chodzi, ale odpowiedziała mu, że nie wie. Ona również zachowywała się dosyć dziwnie i podejrzewał, że zna przyczynę, dla której Edward od niego stroni.

Coś takiego nie zdarzyło się od dwudziestu lat. Wprawdzie od czasu do czasu Edward obrażał się i chodził jak chmura gradowa, ale nigdy nie trwało to dłużej niż dzień lub dwa. Tym razem jednak sytuacja wyglądała poważnie... A to mogło zaszkodzić sprawie pożyczki portowej.

W ciągu ostatniego dziesięciolecia Bank Pilasterów wypuszczał cordovańskie obligacje mniej więcej raz do roku. Część tych pieniędzy stanowiła kapitał przeznaczony na budowę linii kolejowych, kopalń i prowadzenie prac nawadniających, część zaś emitowano w formie zwykłych pożyczek dla rządu.

Wszystkie one - w pośredni lub bezpośredni sposób - bogaciły rodzinę Mirandów, a Tata Miranda stał się rzeczywiście najpotężniejszym po prezydencie człowiekiem w Cordovie.

Micky pobierał prowizję od każdej operacji - chociaż w banku nikt o tym nie wiedział - i był obecnie bardzo bogatym człowiekiem. Co ważniejsze, jego umiejętność zdobywania pieniędzy sprawiła, że stał się jedną ze znaczniejszych postaci na cordovańskiej scenie politycznej i niekwestionowanym spadkobiercą swojego ojca.

A Tata zamierzał właśnie rozpocząć rewolucję.

Plany były już gotowe. Armia Mirandy, wykorzystując kolej miała błyskawicznie uderzyć na południe i otoczyć stolicę, a jednocześnie zaatakować Milpitę, zaopatrując ją port na wybrzeżu Oceanu Spokojnego.

Ale rewolucje są kosztowne. Tata polecił więc Micky'emu zdobyć ogromną pożyczkę w wysokości dwóch milionów funtów szterlingów na zakup broni i zaopatrzenia niezbędnego do prowadzenia wojny domowej. Obiecał przy tym wspaniałą nagrodę: gdy sam zostanie prezydentem, mianuje Micky'ego premierem o władzy ustępującej jedynie jego potędze, wyznaczy go też swoim następcą.

Micky zawsze o tym marzył.

Mógłby powrócić do Cordovy jako bohater, prawa ręka prezydenta i jego sukcesor,

władający kuzynami i wujami, i - co najbardziej go cieszyło - swoim starszym bratem.

A teraz z powodu Edwarda wszystko zawisło na włosku. Edward był niezbędny dla realizacji tego planu. Micky dał Pilasterom nieoficjalny monopol na handel z Cordovą, aby umocnić pozycję przyjaciela w banku. Udało się. Edward był teraz Starszym Partnerem. Ale w konsekwencji nikt w londyńskich kręgach finansowych nie miał możliwości dotarcia do cordovańskiego rynku i inne banki nie dysponowały odpowiednimi informacjami, aby zająć się inwestycjami w jego ojczyźnie. Poza tym każdy przedstawiony im przez Micky'ego projekt potraktowano by z dodatkową podejrzliwością, zakładając, że został odrzucony przez Pilasterów.

Miranda próbował już uzyskać pieniądze dla Cordovy z innych banków i zawsze spotykał się z odmową.

Dąsy Edwarda stały się więc źródłem poważnego zdenerwowania i przyczyną bezsennych nocy Micky'ego. Ponieważ Augusta również nie chciała albo nie mogła wyjaśnić całej zagadki, Miranda stracił możliwość dotarcia do prawdy - był przecież jedynym przyjacielem Edwarda.

Kiedy tak rozmyślał, paląc cygaro, zauważył nagle Hugh'a Pilastera siedzącego samotnie nad kieliszkiem. Była już siódma i Hugh miał na sobie wieczorowy strój.

Zapewne wybierał się z kimś na obiad.

Nie lubili się nawzajem, Hugh jednak mógł być zorientowany, co się dzieje, a Micky niczym nie ryzykował. Wstał więc i podszedł do jego stołu.

- Dobry wieczór, Pilaster - przywitał się.

- Dobry wieczór, Miranda.

- Czy widziałeś ostatnio swojego kuzyna Edwarda? Zupełnie jakby się rozplątał w powietrzu.

- Przychodzi do banku codziennie.

- Aha. - Micky zawahał się. Hugh nie poprosił go, aby się przysiadł, więc zapytał: - Czy mogę? - I zajął miejsce, nie czekając na odpowiedź. - Może przypadkiem wiesz, czym się mu naraziłem? - dodał ciszej.

Hugh namyślał się chwilę, a potem rzekł:

- Nie widzę powodu, aby ci tego nie wyjaśnić. Edward dowiedział się, że zabiłeś Petera Middletona i okłamywałeś go przez dwadzieścia pięć lat.

Micky miał ochotę zerwać się z krzesła. Jak, u diabła, się tego dowiedzieli? Cisnęło mu się na usta pytanie, ale zdał sobie sprawę, że nie może go zadać, nie przyznając się jednocześnie do winy. Udał więc gniew i wstał gwałtownie.

- Zapomnę, że to powiedziałeś - oznajmił i wyszedł z pokoju.

Uświadomił sobie, że policja nie zagraża mu bardziej niż do tej pory. Nikt nie mógł mu niczego udowodnić, a wszystko zdarzyło się tak dawno, że ponowne wszczęcie śledztwa miałyby się z celem. Prawdziwym niebezpieczeństwem było nieprzyznanie Tacie potrzebnych mu dwóch milionów funtów.

Koniecznie musiał uzyskać przebaczenie Edwarda, ale w tym celu należało się z nim zobaczyć.

Tego wieczoru nie mógł nic zrobić, ponieważ był zaproszony na dyplomatyczne przyjęcie w ambasadzie francuskiej, a potem na kolację z kilkoma konserwatywnymi posłami do parlamentu.

Nazajutrz jednak zjawił się w porze lunchu „U Nellie”, obudził April i namówił ją, aby wysłała do Edwarda liścik z obietnicą „czegoś specjalnego”, jeżeli przyjdzie do niej tego wieczoru.

Micky wynajął najlepszy pokój w burdelu i zamówił aktualną faworytę Edwarda, Henriettę, szczupłą dziewczynę o krótko przyciętych ciemnych włosach. Poleciał jej, aby ubrała się w męski strój wieczorowy i cylinder, ponieważ Pilaster uważał to za podniecające.

O wpół do dziesiątej czekał już na niego. W pokoju znajdowało się wielkie łóżko z baldachimem, dwie sofy, duży ozdobny kominek, umywalka i kilka wyjątkowo obscenicznych obrazków przedstawiających zaślinionego posługacza wykonującego rozmaite czynności seksualne z bladymi zwłokami przepięknej młodej dziewczyny. Ubrany wyłącznie w jedwabny szlafrok Micky rozparł się wygodnie na pluszowej kanapie i popijał brandy w towarzystwie Henrietty. Dziewczyna szybko się znudziła.

- Podobają ci się te obrazki? - zapytała.

Wzruszył ramionami bez słowa. Nie miał ochoty z nią rozmawiać. Kobiety właściwie mało go interesowały, a sam stosunek był przereklamowaną mechaniczną czynnością.

W seksie lubił wyłącznie władzę, którą dzięki niemu osiągał. Kobiety i mężczyźni zawsze się w nim kochali i nigdy nie nudziło go wykorzystywanie ich namiętności do sprawowania nad nimi kontroli, uzależniania ich i poniżania. Nawet jego młodzieńcze pożądanie Augusty Pilaster częściowo spowodowane było pragnieniem jej okiełznania i poskromienia.

Pod tym względem Henrietta nie mogła niczego mu zaoferować - nie warto było sprawować nad nią kontroli, nie dysponowała niczym, co warto byłoby wykorzystać, a poniżanie kogoś takiego jak prostytutka też nie sprawiało mu najmniejszej przyjemności. Palił więc cygaro i martwił się, czy Edward w ogóle przyjdzie. Minęła godzina, potem następna i Micky zaczął już tracić nadzieję. Czy istniał jakiś inny sposób, aby się z nim zobaczyć? Bardzo trudno było dotrzeć do kogoś, kto tego nie chciał. Mógł „nie być w domu” i okazać się nieosiągalny w pracy. Czekanie przed bankiem, aby złapać go, gdy będzie wychodził na lunch, Miranda uznał za poniżające, a poza tym Edward z łatwością mógłby go zignorować. Prędzej czy później spotkają się wprawdzie na jakimś przyjęciu, ale taka okazja może się nie nadarzyć przez wiele tygodni, a tak długie oczekiwanie było absolutnie nie do przyjęcia.

Wreszcie, tuż przed północą, April wsunęła głowę przez drzwi i oznajmiła:

- Przyszedł.

- A jednak - westchnął z ulgą Micky.

- Właśnie pije w barze, ale powiedział, że nie będzie grał w karty. Przypuszczam, że pojawi się tu za kilka minut.

Micky poczuł, jak narasta w nim napięcie. Był winny wobec Pilastera. Zawiodł jego zaufanie. Pozwolił mu cierpieć przez ćwierć wieku, utrzymując go w przekonaniu, że

zabił Petera Middletona. Tak, Edward bardzo wiele musiałby mu wybaczyć.

Ale Micky miał pewien plan.

Kazał Henriecie usiąść na sofie, nasunąć cylinder na oczy, założyć nogę na nogę i palić papierosa. Przykręcił lampę, po czym zajął miejsce na stojącym za drzwiami łóżku.

Chwilę później wszedł Edward, lecz w słabym świetle nie zauważył Mirandy. Zatrzymał się w drzwiach, popatrzył na Henriettę i rzekł:

- Halo... kim jesteś? Podniosła głowę i odparła:

- Witaj, Edwardzie.

- Ach, to ty. - Wszedł do środka i zamknął drzwi. - No, gdzie jest to „coś specjalnego”, o czym mówiła mi April? Już cię widziałem we fraku.

- Chodziło o mnie - odezwał się Micky i wstał. Edward zmarszczył brwi.

- Nie mam ochoty z tobą rozmawiać - oznajmił i skierował się ku drzwiom. Micky zagroził mu drogę.

- Przynajmniej wyjaśnij dlaczego. Przecież przyjaźniliśmy się tak długo.

- Dowiedziałem się prawdy o Peterze Middletonie. Miranda skinął głową.

- Czy pozwolisz mi się wytłumaczyć?

- A co tu jest do tłumaczenia?

- Dlaczego popełniłem tak koszmarny błąd i dlaczego nigdy nie zdobyłem się na odwagę, aby się do tego przyznać.

Pilaster w dalszym ciągu wyglądał na nieprzekonanego.

- Usiądź chociaż na chwilę przy Henriecie i pozwól mi mówić. Edward zawahał się, ale posłuchał.

- Proszę.

Micky podszedł do barku i nalał mu brandy. Edward wziął od niego szklanekę i skinął głową. Henrietta przysunęła się bliżej i wzięła go za rękę. Wypił łyk, rozejrzał się i rzucił:

- Nie cierpię tych obrazków.

- Ja też - przytaknęła dziewczyna. - Dostaję od nich gęsiej skórki.

- Zamknij się, Henrietta - uciszył ją Miranda.

- Przepraszam, że się odezwałam - rzuciła wyzywająco.

Micky usiadł na stojącej naprzeciwko sofie i zwrócił się do Edwarda.

- Postąpiłem źle, zdradziłem cię - zaczął. - Ale miałem wtedy piętnaście lat i od tej pory przez cały czas byliśmy najlepszymi przyjaciółmi. Czy naprawdę chcesz wszystko przekreślić z powodu szkolnych grzeszków?

- Ale mogłeś mi przecież w ciągu tych dwudziestu pięciu lat powiedzieć prawdę! - krzyknął z oburzeniem Pilaster. Miranda zrobił smutną minę.

- Mogłem i powinienem, ale kiedy raz się skłamię, trudno się potem do tego przyznać. Bałem się zniszczyć naszą *przyjaźń*. Ale teraz jednak tak się stało... prawda?

- Tak - stwierdził Edward, lecz w jego głosie zabrzmiały nutki niezdecydowania.

Micky uświadomił sobie, że nadeszła pora, aby zrobić ostateczny krok. Wstał i zrzucił szlafrok.

Wiedział, że wygląda wspaniale - był szczupły, skórę miał gładką, prawie nie owłosioną, jeżeli nie liczyć kręconych włosów na piersi i podbrzuszu.

Henrietta natychmiast podniosła się z sofy i uklękła przed nim. Micky obserwował Edwarda, w którego oczach błysnęło pożądanie. Po chwili jednak znowu zrobił upartą minę i odwrócił głowę.

Miranda postanowił zagrać ostatnią kartą.

- Zostaw nas samych, Henrietto - polecił.

Spojrzała na niego z zaskoczeniem, po czym bez słowa wyszła.

- Dlaczego to zrobiłeś? - zapytał Edward, patrząc na niego.

- A po co nam ona potrzebna? - odparł Micky. Podszedł do sofy i stanął tak blisko, że jego podbrzusze znalazło się w odległości zaledwie kilku centymetrów od twarzy Edwarda. Wyciągnął ostrożnie rękę, dotknął jego głowy i delikatnie pogłaskał po włosach. Edward się nie poruszył.

- Lepiej nam będzie bez niej... prawda? - spytał Micky. Pilaster przełknął głośno ślinę i nie odezwał się. - Prawda? - nalegał Micky.

- Tak - wyszeptał wreszcie Edward. - Tak.

W następnym tygodniu Micky po raz pierwszy zagłębił się w nabożnej ciszy Pokoju Partnerów Banku Pilasterów. Organizował im interesy od siedemnastu lat, ale kiedy przychodził do banku, zawsze wprowadzano go do któregoś z innych pokoi i posłaniec przywoływał Edwarda. Podejrzewał, że Anglik zostałby wpuszczony do tego sanktuarium o wiele wcześniej. Kochał Londyn, lecz wiedział, że zawsze będzie tu uważany za obcego.

Z pewną nerwowością rozpostarł na wielkim stole plan portu Santamaria. Na rysunku przedstawiony był całkowicie nowy port na atlantyckim wybrzeżu Cordovy, wyposażony w stocznię remontową i linię kolejową.

Oczywiście nic z tego nie zostanie wybudowane. Dwa miliony funtów miały w całości zasilić budżet wojenny Mirandów. Ale badania geodezyjne były prawdziwe, plany sporządzone zgodnie z zasadami sztuki i gdyby propozycja była rzeczywiście uczciwa, taki port mógłby przynieść spore dochody.

Jednak w tej chwili było to chyba najbardziej ambitne oszustwo w historii. Kiedy Micky objaśniał partnerom plan, omawiał sprawę materiałów budowlanych, koszty siły roboczej, taryfy celne i spodziewane dochody, z wysiłkiem starał się zachować spokój. Cała jego kariera, przyszłość rodziny i losy kraju zależały od decyzji, która dzisiaj zapadnie w tym pokoju.

Partnerzy również byli spięci. Znajdowali się w komplecie cała szóstka - major Hartshorn i sir Harry Tonks, Samuel' Młody William oraz Edward i Hugh. Oczekiwała go walka, ale Edward dysponował przewagą: Był Starszym Partnerem, a major i sir Harry zawsze spełniali polecenia swych żon, które z kolei otrzymywały rozkazy od Augusty. Poprą więc Edwarda. Samuel natomiast stanie po stronie Hugh'a. Tylko reakcja Młodego Williama była wielką niewiadomą. Edward kipiał entuzjazmem, jak

zresztą można się było tego spodziewać. Wybaczył Micky'emu, znowu stali się najlepszymi przyjaciółmi i był to jego pierwszy wielki interes, od kiedy objął swoje stanowisko. Cieszył się, że zaczyna swoją działalność od tak poważnej sprawy. Sir Harry zabrał głos jako następny:

- Propozycja została starannie przemyślana, a poza tym przez dziesięć lat obligacje Cordovy były dla nas korzystne. Projekt sprawia na mnie korzystne wrażenie.

Zgodnie z przewidywaniami sprzeciwił się Hugh.

- Sprawdziłem, jak wygląda sytuacja z kilkoma ostatnio przez nas wypuszczonymi obligacjami południowoamerykańskimi - oznajmił i rozdał siedzącym przy stole egzemplarze raportu.

Gdy Hugh kontynuował, Micky wpatrywał się w tabelę.

- W ciągu ostatnich trzech lat proponowana stopa procentowa wzrosła z sześciu do siedmiu i pół procent, ale mimo jej podniesienia liczba niesprzedanych obligacji za każdym razem rośnie.

Micky znał się na finansach wystarczająco dobrze, aby zrozumieć, co to oznacza - inwestorzy uznali południowoamerykańskie obligacje za coraz mniej atrakcyjne. Spokojny ton głosu Hugh'a i nieodparta logika jego wypowiedzi doprowadzała Mirandę do pasji.

- Poza tym - ciągnął Hugh - przy każdej z tych trzech emisji bank zmuszony był wykupić obligacje na wolnym rynku, aby sztucznie utrzymać ich cenę.

A zatem, uświadomił sobie Micky, cyfry podane w tabeli przedstawiały problem w lepszym świetle, niż było to w rzeczywistości.

- Nasze nadmierne zainteresowanie tym nasyconym rynkiem spowodowało, że dysponujemy obecnie obligacjami Cordovy na sumę niemal miliona funtów. Nasz bank za bardzo zaangażował się w tym jedynym sektorze.

Argumenty były przekonujące. Próbując zachować spokój, Micky doszedł do wniosku, że gdyby to on był partnerem, na pewno głosowałby przeciwko emisji. Ale dla niego stawką było coś więcej niż pieniądze.

Przez kilka sekund nikt się nie odzywał. Edward siedział z wściekłą miną, lecz powstrzymywał się przed zabraniem głosu, zdając sobie sprawę, że lepiej będzie, jeżeli Hugh'a zaatakują któryś z pozostałych partnerów. Wreszcie odezwał się sir Harry:

- Przyjmuję te spostrzeżenia do wiadomości, Hugh, ale wydaje mi się, że nieco przesadzasz.

Zawtórował mu George Hartshorn.

- Wszyscy uznaliśmy, że plan sam w sobie jest rozsądny, ryzyko stosunkowo niewielkie, a spodziewane zyski poważne. Sądzę, że powinniśmy go zaakceptować. Micky wiedział z góry, że obaj szwagrowie poprą Edwarda. Teraz czekał na opinię Młodego Williama. Ale następny zabrał głos Samuel.

- Doskonale rozumiem, że wszyscy macie pewne opory przed odrzuceniem pierwszej poważnej propozycji przedstawionej przez nowego Starszego Partnera - oznajmił. Ton jego głosu sugerował, że nie są nieprzyjaciółmi skupionymi we wrogich obozach, ale rozsądnymi ludźmi, którzy przy odrobinie dobrej woli dojdą do zgody.

- Być może nie jesteście skłonni zbyt polegać na opiniach dwóch partnerów, którzy zgłosili już swoją rezygnację. Ale tkwię w tym interesie dwa razy dłużej niż ktokolwiek z obecnych w tym pokoju, a Hugh jest zapewne jednym z najwybitniejszych bankierów na świecie i obaj uważamy, iż projekt ten jest bardziej niebezpieczny, niż to wygląda na pierwszy rzut oka. Nie pozwólcie, aby osobiste względy skłoniły was do zbyt pochopnego odrzucenia tej rady.

Samuel jest dobrym mówcą, pomyślał Micky, ale jego stanowisko było do przewidzenia. Teraz wszyscy spojrzeli na Młodego Williama. Wreszcie zabrał głos i on:

- Obligacje południowoamerykańskie zawsze sprawiały wrażenie bardziej ryzykownych, niż są - zaczął. - Gdybyśmy się ich obawiali, w ciągu ostatnich lat utracilibyśmy sporo dochodowych interesów. - Nieźle, nieźle, pochwalił w duchu Micky, a William mówił dalej: - Nie przypuszczam, aby nastąpiło załamanie finansowe. Cordova pod rządami prezydenta Garcii rośnie w siłę. Przewiduję, że w przyszłości możemy spodziewać się raczej wzrostu dochodów z tych inwestycji. Powinniśmy szukać więcej takich okazji, a nie zmniejszać nasze zaangażowanie. Micky dyskretnie westchnął z ulgą. Wygrał.

- W takim razie czterech partnerów za i dwóch przeciw - oznajmił Edward.

- Chwileczkę - przerwał mu Hugh.

Niech Bóg broni, żeby ten znowu z czymś wyskoczył, pomyślał Micky, zaciskając zęby. Miał ochotę zaprotestować głośno, ale się opanował. Edward popatrzył niechętnie na kuzyna.

- O co ci chodzi? Zostałeś przegłosowany.

- Głosowanie było w tym pokoju zawsze ostatecznością - oznajmił Hugh. - Kiedy między partnerami powstaje różnica zdań, staramy się wypracować jakiś kompromis. Micky wyraźnie widział, że Edward gotów jest odrzucić pomysł, ale wtrącił się William.

- Masz jakąś propozycję, Hughu?

- Chciałbym o coś zapytać Edwarda - odparł tenże. - Czy jesteś pewien, że sprzedasz całą emisję albo przynajmniej większą jej część?

- Tak, jeżeli cena będzie odpowiednia - stwierdził Edward. Wyraz jego twarzy wskazywał jednak, że nie orientuje się, do czego to pytanie zmierza. Micky przeczuwał, że za chwilę Starszy Partner zostanie wyprowadzony w pole.

- W takim razie - ciągnął Hugh - dlaczego nie mielibyśmy sprzedać obligacji na zasadach komisowych, a nie rozpisując subskrypcję emisji? Micky zaklął w duchu. Nie o to mu chodziło. W normalnych okolicznościach, wypuszczając obligacje o wartości, powiedzmy, miliona funtów, bank zobowiązywał się, że zakupi wszystkie niesprzedane obligacje, gwarantując tym samym, że pożyczkobiorca otrzyma pełen milion. W zamian za tę gwarancję bank pobierał znaczną prowizję. Inną metodą było wystawienie obligacji na sprzedaż bez udzielenia takich gwarancji. Bank nie podejmował ryzyka i otrzymywał o wiele niższy procent, ale jeżeli sprzedano obligacji tylko za dziesięć tysięcy, a nie za milion, pożyczkobiorca dostawał jedynie dziesięć tysięcy. W takim wypadku ryzyko podejmował pożyczkobiorca, a w obecnej sytuacji Micky nie mógł ryzykować.

- Hmm. To jest pomysł - mruknął William.

Hugh jest sprytny, przyznał z przygnębieniem Micky. Gdyby w dalszym ciągu przeciwstawiał się planowi, zostałby przegłosowany. Zamiast tego więc zaproponował sposób na zmniejszenie ryzyka. A bankierzy, z natury swojej konserwatywni, zawsze poszukiwali takiego rozwiązania.

- Jeżeli sprzedamy je wszystkie - przyłączył się sir Harry - ciągle jeszcze zarobimy około sześćdziesięciu tysięcy funtów, nawet przy zmniejszonej prowizji.

A jeśli nie sprzedamy, unikniemy poważnych strat.

Powiedz coś, Edwardzie, pomyślał Micky. Jego przyjaciel najwyraźniej tracił kontrolę nad zebranymi, a jednocześnie sprawiał wrażenie człowieka, który nie wie, jak odwrócić bieg wydarzeń.

- I możemy odnotować w protokole jednomyślną decyzję partnerów - stwierdził Samuel. - Co jest niewątpliwie przyjemnym i rzadkim zjawiskiem.

Rozległ się zgodny pomruk potakiwań.

- Nie mogę obiecać, że moi przełożeni zgodzą się na taki układ - zaprotestował desperacko Micky. - W przeszłości bank zawsze podejmował subskrypcję obligacji Cordovy. Jeżeli panowie postanowicie zmienić waszą politykę... - zawahał się - nie wykluczam, iż będę zmuszony zwrócić się do innego banku. - Była to czcza pogroźka, ale czy zdają sobie z tego sprawę?

William odparł z urazą:

- To pańskie prawo. Możliwe, że inny bank będzie się zapatrywał na kwestię ryzyka w odmienny sposób.

Micky zorientował się, że jego pogroźka jedynie skonsolidowała opozycję, i dodał pospiesznie:

- Przywódcy mojego kraju niezwykle cenią sobie związki z Bankiem Pilasterów i nie chcieliby z nich rezygnować.

- Podzielamy ich uczucia - stwierdził Edward.

- Dziękuję. - Miranda zdał sobie sprawę, że nie ma już nic do powiedzenia. Zaczął zwijać mapę portu. Zwyciężono go, ale wcale nie zamierzał się poddać. Te dwa miliony funtów były kluczem do prezydentury w jego kraju. Musi je zdobyć. Na pewno zdoła coś wymyślić.

Edward i Micky umówili się na lunch w sali jadalnej klubu Cowes. Zakładali, że uczczą ich wspólny triumf, ale w tej sytuacji nie było czego świętować.

Przed przybyciem Pilastera Micky obmyślił swoje dalsze działania. Jego jedyną szansą było obecnie przekonanie Edwarda, aby w tajemnicy złamał decyzję partnerów i rozpiął subskrypcję, nie informując ich o tym. Wiedział, że jest to szalony, niegodziwy i zapewne przestępczy czyn, ale nie miał innego wyjścia. Gdy Edward wszedł, Micky siedział już przy stole.

- Jestem bardzo rozczarowany tym, co zaszło dziś rano w banku - oznajmił wprost.

- To z winy mojego przekłętego kuzyna Hugh'a - powiedział Edward, siadając. Przywołał gestem kelnera i polecił mu: - Przynieście mi duży kieliszek madery.

- Rzecz w tym, że bez subskrypcji tracimy gwarancję, iż port zostanie wybudowany.
- Robiłem wszystko, co w mojej mocy - zaprotestował płacząco Edward. -
Widziałeś, byłeś przy tym.

Micky skinął głową. Niestety, była to prawda. Gdyby Edward potrafił wspaniale manipulować ludźmi - tak jak jego matka - zdołałby pokonać Hugh'a. Ale gdyby dysponował takim talentem, nie stałby się pionkiem w jego, Micky'ego, rękach.

Mimo wszystko jednak wcale nie było pewne, że Edward zaakceptuje jego propozycję, i Miranda zastanawiał się, jakich użyć argumentów, żeby go przekonać.

Zamówili lunch. Kiedy kelner odszedł, Edward oznajmił:

- Pomyślałem, że mógłbym wreszcie zamieszkać samodzielnie. Zbyt długo żyję wspólnie z matką.

Micky postarał się, aby w jego głosie zabrzmiało zainteresowanie.

- Kupujesz dom?

- Niewielki. Żaden tam pałac z tuzinami rozbieganych pokojówek, bez przerwy dokładających węgiel do kominków. Po prostu skromny dom prowadzony przez kamerdynera i paru służących.

- Ale w Whitehaven House masz wszystko, czego potrzebujesz.

- Wszystko oprócz prywatności.

Micky zaczął rozumieć, do czego zmierza ta rozmowa.

- Po prostu nie chcesz, żeby twoja matka wiedziała o wszystkim, co robisz...

- Na przykład mógłbyś zostać u mnie na noc - oświadczył Edward, patrząc na niego znacząco.

Miranda natychmiast zorientował się, jak może wykorzystać ten pomysł. Udał smutek i pokręcił głową.

- Ale zanim kupisz ten dom, zapewne będę musiał opuścić Londyn.

Edward był zdruzgotany.

- Co to, u diabła, znaczy?

- Jeżeli nie zdobędę pieniędzy na port, prezydent na pewno mnie odwoła.

- Przecież nie możesz wyjechać! - zawołał z lękiem Pilaster.

- Też bym nie chciał, ale może nie będę miał wyboru.

- Jestem pewien, że obligacje się rozejdą.

- Ja również. Bo jeśli nie...

Edward uderzył pięścią w stół, aż podskoczyły kieliszki.

- Żałuję, że Hugh uniemożliwił mi rozpisanie subskrypcji.

- Myślę, że musisz podporządkować się decyzji partnerów - oznajmił nerwowo Micky.

- Oczywiście! A jakże inaczej?

- No cóż... - zaczął Micky, starając się, aby jego słowa brzmiały obojętnie. - Nie mógłbyś zapewne zignorować dzisiejszych ustaleń i nie mówiąc nikomu, po prostu polecić swoim podwładnym sporządzenie projektu emisyjnego, prawda?

- Chyba mógłbym - odparł zaambarasowanym tonem Edward.

- Jesteś przecież Starszym Partnerem, a to chyba coś znaczy.

- Jasne, że tak.

- Simon Oliver dyskretnie przygotował odpowiednie dokumenty. Możesz mu zaufać.

- Tak.

Micky z trudem mógł uwierzyć, że Edward tak łatwo zgadza się na wszystko.

- Może to zapobiegnie mojemu odwołaniu i pozostanę w Londynie... Kelner przyniósł wino i nalał im do kieliszków.

- W końcu wszystko się wyda - zauważył Edward.

- Ale wtedy będzie już za późno i zrzucisz całą winę na pomyłkę urzędnika. - Micky zdawał sobie sprawę, że jego argumenty brzmią nieprzekonująco, i wątpił, czy Edward je przyjmie.

Ten jednak w ogóle nie zwrócił uwagi na jego słowa.

- Jeżeli zostaniesz... - Przerwał i opuścił wzrok.

- Tak?

- Jeżeli zostaniesz w Londynie, czy czasami będziesz spędzał noce w moim nowym domu?

A więc jemu tylko jedno w głowie, uświadomił sobie z triumfem Micky i uśmiechnął się najbardziej czarująco, jak potrafił.

- Oczywiście. Edward skinął głową.

- To wszystko, czego pragnąłem. Po południu porozmawiam z Simonem. Miranda podniósł kieliszek.

- Za przyjaźń - powiedział.

Edward powtórzył jego gest i uśmiechnął się wstydliwie.

- Za przyjaźń.

Żona Edwarda, Emily, bez żadnych wyjaśnień przeprowadziła się nagle do Whitehaven House.

Chociaż wszyscy uważali dom za własność Augusty, Joseph zapisał go Edwardowi, w związku z czym nie można było wyrzucić stąd Emily. Byłoby to podstawą do rozwodu, a o to jej właśnie chodziło.

W gruncie rzeczy formalnie Emily była panią domu, Augusta zaś teściową, która mieszka u niej na dożywocie. Gdyby synowa otwarcie jej się przeciwstawiła, doszłoby do niezwykle burzliwego starcia. Augusta przyjęłaby taką sytuację z zachwytem, ale Emily była zbyt inteligentna, aby podjąć bezpośrednią walkę.

- To twój dom - stwierdzała za każdym razem słodko. - Możesz w nim robić, co ci się podoba. - Jej protekcyjny ton sprawiał, że Augusta skręcała się z wściekłości.

Emily dysponowała nawet jej tytułem - jako żona Edwarda była obecnie hrabiną Whitehaven, podczas gdy ona jedynie hrabiną wdową.

Augusta w dalszym ciągu wydawała rozkazy służbie, niczym pani domu, i przy

każdej nadarzającej się okazji zmieniała polecenia synowej. Ta jednak nigdy nie narzekała, za to służący zaczęli być krnąbrni. Lubili młodą panią, ponieważ była wobec nich łagodna, i znajdowali sposoby, aby mimo wysiłków teściowej uprzyjemnić jej życie.

Najpotężniejszą bronią, jaką dysponował pracodawca, była groźba zwolnienia ze służby bez referencji, ponieważ nikt nie zatrudniłby takiej osoby. Ale Emily w niezwykle prosty sposób odebrała Augustie i ten oręż. Pewnego dnia zamówiła na lunch solę, teściowa zaś poleciła przygotować łosiosa. Podano jednak solę i Augusta wyrzuciła kucharkę. Wówczas Emily wystawiła jej tak znakomitą opinię, że kucharkę natychmiast zatrudnił książę Kingsbridge, i to za wyższą pensję. Odtąd służba przestała się bać Augusty.

Popołudniami odwiedzali Emily w Whitehaven House jej przyjaciele. Zgodnie ze zwyczajem herbatki o tej porze były rytuałem, w którym główną rolę odgrywała pani domu. W takich sytuacjach Emily uśmiechała się słodko i prosiła teściową, aby zechciała podjąć się tych obowiązków. Dla Augusty jednak oznaczało to konieczność uprzejmego traktowania przyjaciół synowej, co było dla niej równie nie do zniesienia jak pozwolenie Emily na pełnienie honorów domu.

Obiady były jeszcze gorsze. Augusta cierpiała katusze, gdy goście chwalili czarującą lady Whitehaven, która łaskawie pozwala jej zasiadać na honorowym miejscu przy stole.

Augustę wyraźnie wyprowadzono w pole i było to dla niej zupełnie nowe doświadczenie. Dotychczas wymuszała u innych bezwzględny posłuch pod groźbą utraty jej łask. Ale Emily zależało na niełasce teściowej i dlatego nie sposób jej było zastraszyć.

Tym bardziej więc Augusta utwierdzała się w postanowieniu, że nigdy nie pozwoli synowej postawić na swoim.

Ludzie zaczęli zapraszać hrabiego i hrabinę Pilasterów na rozmaite towarzyskie spotkania. Emily korzystała z tych zaproszeń zawsze, niezależnie od tego, czy Edward jej towarzyszył, czy nie, i fakt ów zwracał już uwagę. Kiedy przebywała w Leicestershire, jej separacja z mężem mogła pozostać niezauważona, ale teraz, gdy mieszkali w mieście, sytuacja stawała się kłopotliwa.

Niegdyś Augusta obojętnie przyjmowała opinie wyższych sfer. Przemysłowcy i bankierzy tradycyjnie uważali arystokratów za frywolnych, jeżeli nie zdegenerowanych ludzi i nie liczyli się z ich zdaniem albo przynajmniej tak udawali. Ale Augusta dawno już wyzwoliła się z tej prostolinijnej dumy klas średnich. Była hrabiną wdową Whitehaven i pragnęła uznania londyńskiej elity.

Nie mogła pozwolić, aby jej syn w głupi sposób odrzucał zaproszenia socjety.

Pilnowała więc, żeby towarzyszył żonie na różnych imprezach.

Dzisiaj był szczególnie ważny moment. Markiz Hocastle przybył do Londynu na debatę w Izbie Lordów i jego małżonka wydawała proszony obiad dla tych nielicznych przyjaciół, którzy nie przebywali na wsi lub na polowaniach.

Zaproszenia otrzymali również Edward i Emily, a także hrabina wdowa.

Gdy Augusta zeszła na dół w swojej czarnej jedwabnej sukni, zobaczyła ubranego w wieczorowy strój Mirandę popijającego whisky w salonie. Jej serce drgnęło na widok jego pełnej uroku postaci w białej kamizelce i koszuli ze stojącym kołnierzykiem. Była zadowolona, że wybrała tę właśnie suknię z głębokim dekoltem odsłaniającym jej biust.

Edward zerwał z Micky, gdy dowiedział się prawdy o Peterze Middletonie, ale ta rozłąka nie trwała długo i obecnie byli sobie jeszcze bliżsi niż dawniej. Ucieszyła się z tego, bo właściwie nigdy nie potrafiła gniewać się na Mirandę. Wiedziała, że jest niebezpieczny, ale to czyniło go tylko godniejszym pożądanym.

Świadomość, że zabił troje ludzi, czasami budziła w niej lęk, lecz był to lęk podniecający. Uważała Micky'ego za najbardziej niemoralnego ze wszystkich znanych jej ludzi, ale pragnęła, by rzucił ją na podłogę i zgwałcił.

Miranda wciąż był żonaty. Gdyby chciał, zapewne mógłby się rozwieść z Rachel - wciąż krążyły plotki o niej i Danie, bracie Maisie Robinson, lecz dopóki piastował godność ambasadora, nie wchodziło to w rachubę.

Augusta usiadła na egipskiej sofie w nadziei, że zajmie miejsce obok niej, ale rozczarowała się. Urażona zapytała:

- Po co tu przyszedłeś?
- Idziemy z Edwardem obejrzeć walkę bokserską.
- Nie. On wybiera się na obiad u markiza Hocastle'a.
- Aha - zmieształ się Micky. - Ciekawe, który z nas się pomylił.

Augusta wątpiła, aby rzeczywiście zaszła jakaś pomyłka. Edward uwielbiał boks i najprawdopodobniej zamierzał wykręcić się od uczestnictwa w obiedzie. Musiała zrobić z tym porządek.

- Lepiej idź sam - poradziła Mirandzie.

W jego oczach błysnął bunt i przez chwilę sądziła, że jej się sprzeciwi. Czyżbym traciła nad nim władzę? - pomyślała. Wstał jednak, choć wolno, i oznajmił:

- W takim razie pójdę sobie, jeżeli wytłumaczy mnie pani przed Edwardem.
- Oczywiście.

Ale było już za późno. Zanim Micky dotarł do drzwi, pojawił się Edward. Augusta zauważyła, że jego wysypka jest dzisiaj wyjątkowo zaogniona. Obejmowała już kark, całą szyję i sięgała aż do uszu. Niepokoiliła się tym, ale Edward uspokoił ją, mówiąc że lekarz nie stwierdził nic groźnego.

Zacierając z zadowoleniem rękę, powiedział:

- Z góry się cieszę.
- Edwardzie, nie możesz tam iść - oświadczyła swym najbardziej władczym tonem Augusta.

Popatrzył na nią jak dziecko, które właśnie poinformowano o odwołaniu Bożego Narodzenia.

- Dlaczego? - zapytał błagalnie.

Przez chwilę matce zrobiło się go żal i niewiele brakowało, żeby zmieniła decyzję. Okazała jednak stanowczość i rzekła:

- Doskonale wiesz, że wszyscy jesteśmy zaproszeni na obiad do markiza Hocastle'a.
- Ale nie dziś wieczorem...
- Właśnie dzisiaj.
- Nie mogę iść.
- Musisz!
- Przecież byłem z Emily na obiedzie wczoraj!
- W takim razie dziś będziesz na drugim z kolei kulturalnym obiedzie.
- Dlaczego, u diabła, nas zapraszają?
- Nie klnij w obecności swojej matki! Zapraszają nas, ponieważ są przyjaciółmi Emily.
- Emily może iść do... - Dostrzegł jej spojrzenie i nie dokończył zdania. - Powiedz im, że zachorowałem - zaproponował.
- Nie bądź śmieszny.
- Mam wrażenie, że mogę chodzić, gdzie mi się podoba, mamo.
- Nie możesz obrażać ludzi z wyższych sfer.
- Chcę zobaczyć boks!
- Nie możesz iść!

W tej samej chwili pojawiła się Emily. Musiała wyczuć napiętą atmosferę i natychmiast zapytała:

- Co się stało?
- Idź i przynieś mi do podpisu ten przekłety kawałek papieru, na którym tak ci zależy - zwrócił się do niej Edward.
- O czym mówisz? - wtrąciła się Augusta. - Co za kawałek papieru?
- Moja zgoda na unieważnienie małżeństwa - odparł.

Augusta była wstrząśnięta - i nagle z wściekłością uświadomiła sobie, że ten incydent, jak i wiele innych, wcale nie jest przypadkowy. To były świadome działania Emily. Chciała zirytować Edwarda do tego stopnia, żeby zrobił wszystko, byle tylko się od niej uwolnić. I ona, Augusta, mimowolnie sama jej w tym pomogła, nalegając, aby brał udział w życiu towarzyskim. Czuła się koszmarnie - ona, właśnie ona pozwoliła, żeby nią manipulowano! A teraz niewiele brakuje, żeby plan Emily się powiódł!

- Emily! Zostań tu! - rozkazała. Synowa uśmiechnęła się słodko i wyszła.
- Nie wyrazisz zgody na unieważnienie! - Augusta napadła na Edwarda.
- Skończyłem czterdzieści lat, mamo - przypomniał jej. - Jestem prezesem rodzinnego banku, a to jest mój własny dom. Nie możesz mi mówić, co mam robić. Zrobił ponurą, upartą minę i Augusta raptem uświadomiła sobie, że po raz pierwszy w życiu jej się sprzeciwił. Zaczęła się bać.
- Chodź tu do mnie, Teddy - poprosiła łagodniejszym głosem. Z ociąganiem usiadł przy niej na sofie. Wyciągnęła rękę, aby pogłodzić go po policzku, lecz się odsunął. - Nie dbasz o siebie - oznajmiła. - Nigdy tego nie potrafiłeś. Dlatego Micky i ja zawsze się tobą opiekowaliśmy.

Zrobił jeszcze bardziej upartą minę.

- Może nadeszła pora, abyście przestali.

Augusta zrozumiała, że traci nad nim kontrolę. Zanim jednak zdążyła cokolwiek powiedzieć, wróciła Emily z jakimś dokumentem w ręce. Położyła go na mauretańskim stolczku, na którym znajdowały się już przygotowane pióra i atrament.

Augusta popatrzyła na twarz syna. Czy to możliwe, że obawiał się bardziej żony niż matki? Przyszedł jej do głowy szalony pomysł, aby schwycić papier, wrzucić pióra do ognia i wylać atrament. Opanowała się jednak. Może lepiej poddać się i udawać, że cała sprawa nie ma większego znaczenia? Ale to by oznaczało przyznanie się do porażki. Zajęła już stanowisko i wykluczyła możliwość unieważnienia małżeństwa i jeżeli teraz ulegnie, wszyscy dowiedzą się o jej klęsce.

- Jeśli podpiszesz ten dokument, będziesz musiał zrezygnować ze swojego udziału w banku - uprzedziła Edwarda.

- Nie widzę powodu - odparł. - To nie rozwód.

- Nawet kościół nie sprzeciwia się unieważnieniu małżeństwa, jeżeli istnieją po temu ważne powody - wyjaśniła Emily. Musiała to sprawdzić, bo wyrecytowała jak cytat.

Edward usiadł przy stole, wybrał pióro i zanurzył jego czubek w srebrnym kałamarzu.

Augusta sięgnęła po ostateczną broń.

- Edwardzie! - odezwała się drżącym z gniewu głosem. - Jeśli podpiszesz ten papier, nigdy się już do ciebie nie odezwę!

Zawahał się, ale przyłożył pióro do papieru. Wszyscy milczeli. Jego dłoń poruszyła się i w panującej ciszy skrzypienie pióra zabrzmiało jak grom. Odłożył pióro.

- Jak mogłeś tak potraktować swoją matkę? - zapytała Augusta i tym razem łkanie w jej głosie było całkowicie szczere.

Emily przysypała podpis piaskiem, wzięła dokument i ruszyła ku drzwiom. Augusta zerwała się z miejsca i zagroziła jej drogę.

Edward i Micky patrzyli oszołomieni na stojące twarzą w twarz kobiety.

- Daj mi ten papier! - rozkazała Augusta.

Emily podeszła bliżej, zawahała się i nagle, ku ogólnemu zaskoczeniu, wymierzyła jej policzek. Uderzenie zabolowało. Augusta krzyknęła ze zdziwienia i bólu i zatoczyła się do tyłu. Emily minęła ją szybko, otworzyła drzwi i opuściła pokój.

Augusta usiadła ciężko w fotelu i zaczęła szlochać.

Usłyszała, że Edward i Micky wychodzą, i poczuła się stara, zwyciężona i samotna.

Emisja obligacji portu Santamaria o wartości dwóch milionów funtów zrobiła kłapę, i to w stopniu przekraczającym nawet obawy Hugh'a. W dniu zamknięcia sprzedaży okazało się, że Bank Pilasterów znalazł nabywców na obligacje o wartości zaledwie czterystu tysięcy funtów, a nazajutrz ich cena natychmiast spadła. Hugh był bardzo zadowolony, że zmusił Edwarda do zaniechania subskrypcji. W następnym poniedziałek rano Jonas Mulberry przyniósł partnerom podsumowanie obrotów z poprzedniego tygodnia. Zanim urzędnik wyszedł z pokoju, Hugh zauważył coś dziwnego.

- Chwileczkę, Mulberry - powiedział. - Tu jest chyba jakaś pomyłka. - Depozyty wykazywały duży ubytek gotówki, zdecydowanie przekraczający milion funtów. - Przecież nie było dużych wypłat, prawda?

- Żadnych, o których bym wiedział - przytaknął Mulberry.

Hugh rozejrzał się po pokoju. Na miejscu znajdowali się wszyscy partnerzy oprócz Edwarda, który jeszcze nie przybył.

- Czy ktoś przypomina sobie dużą wypłatę w ubiegłym tygodniu? - zapytał. Nikt sobie nie przypominał. Hugh podniósł się z fotela.

- Sprawdźmy to - zwrócił się do Mulberry'ego.

Poszli schodami na górę do pokoju starszych urzędników.

Pozycja, której szukali, była zbyt poważna, aby mogła być pobraniem gotówki - musiała stanowić przelew z banku do banku. Hugh pamiętał, że istnieje codziennie uaktualniany rejestr takich transakcji. Usiadł przy stole i polecił Mulberry'emu:

- Proszę mi znaleźć książkę przelewów bankowych. Urzędnik zdjął z półki wielką księgę i położył ją przed nim.

- Czy mogę w czymś pomóc, panie Hughu? - zapytał inny pracownik. - To ja prowadzę tę księgę. - Miał zmartwioną minę i łatwo się było domyślić, że boi się, czy przypadkiem on nie popełnił błędu.

- Nazywa się pan Clemmow, prawda? - zapytał Hugh.

- Tak jest, proszę pana.

- Czy w ubiegłym tygodniu były jakieś duże wypłaty? W wysokości miliona funtów albo więcej?

- Tylko jedna - odparł natychmiast urzędnik. - Spółka „Port Santamaria” wycofała milion osiemset tysięcy - kwotę, na którą opiewała emisja obligacji, minus prowizja.

Hugh zerwał się na równe nogi.

- Ale przecież nie mieli aż tyle, zgromadzili jedynie czterysta tysięcy!

Clemmow zbladł.

- Jednakże emisja opiewała na dwa miliony funtów...

- Nie była subskrybowana, lecz w sprzedaży komisyjnej!

- Sprawdziłem ich saldo - wynosiło milion osiemset.

- Do diabła! - wrzasnął Hugh. Wszyscy urzędnicy popatrzyli na niego. - Proszę o księgę!

Kolejny urzędnik z drugiej strony pokoju wyjął potężną księgę, przyniósł ją i otworzył na stronie opatrzonej nagłówkiem: Spółka „Port Santamaria”. Znajdowały się na niej tylko trzy wpisy - kredyt w wysokości dwóch milionów funtów, wypłata dwustu tysięcy funtów prowizji dla banku i przelew salda do innego banku.

Hugh był siny z wściekłości. Pieniądze przepadły! Gdyby zostały umieszczone na tym rachunku przez pomyłkę, błąd dałoby się łatwo naprawić, ale wycofano je z banku już następnego dnia, co wskazywało na starannie zaplanowane oszustwo.

- Na Boga, ktoś pójdzie za to siedzieć! - oświadczył groźnie. - Kto wpisał te pozycje?

- Ja, proszę pana - odparł pracownik, który przyniósł mu księgę. Dygotał ze strachu.

- Na czyje polecenie?
- Zwykła dokumentacja. Wszystko było w porządku.
- Od kogo przyszła?
- Od pana Olivera.

Simon Oliver był Cordovańczykiem i kuzynem Micky'ego Mirandy. Hugh natychmiast zaczął podejrzewać, że to właśnie on kryje się za tym oszustwem.

Nie chciał prowadzić dalszego śledztwa w obecności dwudziestu urzędników. Już zaczął żałować, że dowiedzieli się o całej sprawie, kiedy jednak zaczął wyjaśniać sytuację, nie miał pojęcia, że wpadnie na trop tak wielkiego nadużycia.

Oliver był pomocnikiem Edwarda i pracował na piętrze partnerów, w pokoju sąsiadującym z gabinetem Mulberry'ego.

- Proszę natychmiast znaleźć pana Olivera i sprowadzić go do Pokoju Partnerów - polecił Hugh. Dalsze dochodzenie postanowił przeprowadzić właśnie tam, razem z innymi partnerami.

- Tak jest, panie Hughu - odparł Mulberry. - A wy wszyscy zabierajcie się do pracy - nakazał pozostałym pracownikom. Wrócili do swych biur i wzięli do rąk pióra, ale wychodząc z pokoju, Hugh słyszał gwar podnieconych głosów.

Poszedł do Pokoju Partnerów.

- Nastąpiło poważne nadużycie - oznajmił ponuro. - Spółce „Port Santamaria” wypłacono pełną wartość obligacji, chociaż sprzedaliśmy ich zaledwie za czterysta tysięcy funtów.

Wszyscy byli przerażeni.

- Jak to się, u diabła, stało? - zapytał William.

- Suma została umieszczona na ich koncie, a potem natychmiast przelana do innego banku.

- Kto jest za to odpowiedzialny?

- Przypuszczam, że pomocnik Edwarda, Simon Oliver. Posłałem po niego, ale podejrzewam, że ta świnka jest już na statku płynącym do Cordovy.

- Czy możemy odzyskać pieniądze? - zapytał sir Harry.

- Nie wiem. Są już prawdopodobnie za granicą.

- Przecież nie mogą wybudować portu za kradzione pieniądze!

- Jeżeli w ogóle zamierzają budować jakiś port. Cała sprawa może być cholernym szwindlem.

- Dobry Boże!

Wszedł Mulberry i Hugh ze zdziwieniem zobaczył, że towarzyszy mu Simon Oliver.

Czyżby nie on ukradł te pieniądze? Trzymał w ręku grubą umowę i wyglądał na przerażonego. Niewątpliwie powtórzono mu słowa Hugh'a, że ktoś pójdzie za to do więzienia.

Bez żadnych wstępów Oliver zaczął:

- Emisja Santamaria była subskrybowana. Tak brzmi ta umowa. - Drżącą ręką podał

dokument Hughowi.

- Partnerzy ustalili, że obligacje te mają być rozprowadzane w sprzedaży komisowej
- oświadczył Hugh.

- Pan Edward polecił mi spisać kontrakt subskrypcyjny.

- Możesz to udowodnić?

- Tak! - Podał Hughowi kolejny arkusz papieru. Był to projekt kontraktu, określający warunki umowy, przekazany przez partnera urzędnikowi, aby na tej podstawie sporządził pełną umowę. Napisany został charakterem Edwarda i wyraźnie stwierdzał, że obligacja ma być subskrybowana.

Dokument wyjaśniał całą sprawę. Odpowiedzialny był Edward. Nie zaszło żadne oszustwo i nie sposób było odzyskać pieniędzy. Transakcję przeprowadzono całkowicie legalnie. Hugh, przerażony i wściekły, zwrócił się do Olivera:

- W porządku, Oliver, może pan iść. Ten jednak nie ruszył się.

- Mam nadzieję, że uwalnia mnie to od podejrzeń, proszę pana?

Hugh nie był do końca przekonany o jego niewinności, ale musiał potwierdzić.

- Nie ponosi pan winy za nic, co zrobił na polecenie pana Edwarda.

- Dziękuję panu - rzekł Oliver, wychodząc. Hugh popatrzył na partnerów.

- Edward postąpił wbrew podjętej wspólnie decyzji - oznajmił z goryczą. - Zmienił warunki pożyczki za naszymi plecami i kosztowało to nas milion czterysta tysięcy funtów. Samuel usiadł ciężko.

- Co za koszmar - powiedział.

Sir Harry i major Hartshom tylko patrzyli, oszołomieni.

- Czy zbankrutowaliśmy? - zapytał William.

Hugh uświadomił sobie, że pytanie adresowane jest do niego. No cóż, czy zbankrutowali? To było nie do pomyślenia. Zastanawiał się przez chwilę.

- Zasadniczo nie - odparł. - Chociaż nasza rezerwa finansowa zmniejszyła się o milion czterysta tysięcy funtów, obligacje znajdują się z drugiej strony zestawienia bilansowego, wycenione prawie według ustalonej ceny zakupu. A więc aktywa równają się pasywom i jesteśmy wypłacalni.

- O ile ich cena nie spadnie - dodał Samuel.

- Istotnie. Jeżeli zdarzy się coś, co spowoduje spadek wartości obligacji południowoamerykańskich, będziemy w poważnych kłopotach. - Sama myśl, że potężny Bank Pilasterów mógłby okazać się aż tak słaby, sprawiła, iż poczuł się chory z wściekłości.

- Czy możemy utrzymać sprawę w tajemnicy? - odezwał się sir Harry.

- Wątpię - rzekł Hugh. - Obawiam się, że nie zdołałem jej ukryć w pokoju starszych urzędników. Wiadomość na pewno rozeszła się już po całym gmachu i zanim skończy się lunch, będzie o niej wiedziało całe City.

Jonas Mulberry zadał konkretne pytanie:

- A co z naszą płynnością finansową, panie Hughu? Pod koniec tygodnia będziemy potrzebowali dużej sumy, aby pokryć stałe płatności. Nie możemy sprzedać obligacji

portowych - spowodowałyby to spadek cen.

Rzeczywiście, problem był istotny. Hugh przez chwilę rozważał go, a potem rzekł:

- Pożyczę milion z Banku Kolonialnego. Stary Cunliffe zachowa dyskrecję. Taka suma powinna pokryć nasze potrzeby. - Powiódł wzrokiem po obecnych. - W ten sposób zdołamy przetrwać najbliższy okres. Jednakże nasz bank jest w bardzo złej kondycji. Będziemy musieli jak najszybciej poprawić tę sytuację.

- A co z Edwardem? - zainteresował się William.

Hugh wiedział, co Edward będzie musiał zrobić - zrezygnować. Ale chciał, aby opinię tę wyraził ktoś inny. Odezwał się Samuel:

- Edward musi zrezygnować z działalności w banku. Nikt z nas nie może już mu ufać.

- A jeśli zechce wycofać swój kapitał? - dopytywał się William.

- Nie może - odparł Hugh. - Nie dysponujemy odpowiednią ilością gotówki. Ta groźba utraciła swoją moc.

- Oczywiście - przytaknął William. - Nie pomyślałem o tym.

- W takim razie kto zostanie Starszym Partnerem? - zapytał sir Harry. Przez chwilę panowała cisza, którą przerwał Samuel.

- Och, na litość boską, czy w ogóle są jakieś wątpliwości? Kto odkrył oszustwo dokonane przez Edwarda? Kto zajął się zażegnaniem kryzysu? Do kogo wszyscy zwracacie się o wskazówki? W ciągu ostatniej godziny wszystkie decyzje podjęła jedna osoba. A wy tylko zadawaliście pytania i patrzyliście bezradnie, co się dzieje. Doskonale wiecie, kto musi zostać nowym Starszym Partnerem.

Słowa te zaskoczyły Hugh'a. Był tak zaabsorbowany kłopotami firmy, że nie myślał o sobie. Teraz uświadomił sobie, że Samuel ma rację. Inni zachowywali się w mniejszym lub większym stopniu bezwolnie. On zaś, od chwili gdy zauważył niezgodność w tygodniowym bilansie, postępował jak Starszy Partner. I zdawał sobie sprawę, że jest jedynym człowiekiem zdolnym ocalić ich przed katastrofą. Powoli docierało do niego, że oto spełnia się jego życiowe pragnienie - miał zostać Starszym Partnerem w Banku Pilasterów. Popatrzył na Williama, Harry'ego i George'a. Wszyscy wyglądali na zażenowanych. Wiedzieli, że sami przyczynili się do tej sytuacji, wyrażając zgodę na prezesurę Edwarda. Teraz żalowali, że nie posłuchali Hugh'a wcześniej, i pragnęli naprawić swój błąd. Widział, że chcą, aby objął rządy. Ale musieli powiedzieć to wyraźnie.

Spojrzał na Williama, który był najstarszym Pilasterem po Samuelu.

- Co o tym sądzisz?

William wahał się tylko przez chwilę.

- Uważam, że powinieneś zostać Starszym Partnerem - oświadczył.

- Majorze Hartshorn?

- Zgadza się.

- Sir Harry?

- Oczywiście i tuszę, że wyrazisz zgodę.

A więc stało się. Hugh wciąż nie mógł w to uwierzyć. Nabrał głęboko powietrza w płuca.

- Dziękuję wam za zaufanie. Zgadzą się. Mam nadzieję, że uda mi się przeprowadzić nas wszystkich przez to zagrożenie w taki sposób, że nasza reputacja i nasze majątki pozostaną nienaruszone.

I w tej właśnie chwili w drzwiach pojawił się Edward. Zapadła niezręczna cisza. Rozmawiali na jego temat, jakby był już martwy, i jego widok był dla nich wstrząsem. Początkowo nie zauważył panującej w pokoju atmosfery.

- W całym banku panuje zamieszanie - oznajmił. - Młodszy urzędnicy biegają, starsi szepczą po korytarzach, właściwie nikt nie pracuje... Co się tu, u diabła, dzieje?

Odpowiedziała mu cisza.

Na jego twarzy odmalowało się zmieszanie, a potem poczucie winy.

- Co się stało? - zapytał z miną wyraźnie wskazującą, że się domyślił. - Może zechcecie mi wyjaśnić, dlaczego wszyscy się na mnie gapicie? - nalegał. - W końcu jestem Starszym Partnerem.

- Nie - odparł Hugh. - Już nie jesteś. Ja nim zostałem.

Rozdział trzeci - Listopad

W pogodny, lecz zimny listopadowy poranek panna Dorothy Pilaster wzięła ślub z wicehrabią Nicholasem Ipswichem w domu modlitwy metodystów w Kensington. Nabożeństwo było proste, chociaż kazanie długie, a potem trzystu gości zaproszono do wielkiego ogrzewanego namiotu ustawionego w ogrodzie Hugh'a, gdzie odbył się lunch, w czasie którego podano gorące zakąski, solę Dover, pieczone kuropatwy i sorbet brzoskwinowy.

Hugh był bardzo szczęśliwy. Jego siostra promieniała szczęściem, a jej mąż wzbudzał ogólną sympatię. Najszczęśliwsza jednak była ich matka. Uśmiechając się czarująco, siedziała koło ojca pana młodego, księcia Norwich, i po raz pierwszy od dwudziestu czterech lat nie była w czerni, lecz miała na sobie błękitnoszarą kaszmirową suknię, doskonale harmonizującą z jej gęstymi siwymi włosami i spokojnymi szarymi oczyma. Jej życie skończyło się wraz z samobójstwem męża, przez wiele lat cierpiąca dotkliwe ubóstwo, teraz jednak, w wieku sześćdziesięciu lat, osiągnęła wreszcie wszystko, czego pragnęła. Jej śliczna córka została wicehrabiną Ipswich i któregoś dnia zostanie księżną Norwich, jej syn był bogaty, odnosił sukcesy i zajmował stanowisko Starszego Partnera.

- Przyzwyczyłam się do myśli, że jestem cechowa - szepnęła do Hugh'a pomiędzy daniami. - Myliłam się. - położyła mu dłoń na ramieniu gestem przypominającym błogosławieństwo. - Jestem bardzo szczęśliwa. - Hugh poczuł, że coś ścisnęło go w gardle.

Ponieważ żadna z kobiet nie była w bieli aby nie pomylić jej z panną młodą ani w czerni jako że nie był to pogrzeb, goście tworzyli wielobarwną grupę.

Patrząc na nią, można było odnieść wrażenie, że wybrano ciepłe barwy, aby odstraszyć jesienny chłód - jaskrawy oranż, głęboką żółć, kolor malinowy i różowy.

Mężczyźni jak zwykle byli w czarno - biało - szarej tonacji. Hugh miał na sobie frak z aksamitnymi kłapami i mankietami - oczywiście czarny, ale jak zwykle łamiąc konwenanse, założył do niego jaskrawo błękitną muszkę. Obecnie cieszył się tak wielkim szacunkiem, że nieomal tęsknił za czasami, kiedy był rodzinną czarną owcą.

Wypił łyk swojego ulubionego czerwonego wina Chateau Margaux. Cieszył się, że było go na nie stać. Czuł jednak drobne wyrzuty sumienia, wydając tyle pieniędzy w chwili, gdy sytuacja Banku Pilasterów była nie najlepsza. Wciąż dysponowali obligacjami portowymi Santamaria o wartości miliona czterystu tysięcy funtów oraz

innymi cordovańskimi obligacjami na sumę niemal miliona funtów, ale nie mogli ich sprzedać, nie wywołując gwałtownego i groźnego w skutkach spadku notowań. Ustabilizowanie bilansu musiało potrwać przynajmniej rok. Hughowi udało się jednak zażegnać bezpośredni kryzys i ich obecne zasoby gotówki wystarczały na pokrycie bieżących wypłat. Byli zabezpieczeni przed wszystkim, z wyjątkiem jakiejś nieoczekiwanej katastrofy, takiej jak wojna, trzęsienie ziemi czy epidemia. Hugh uznał więc, że ma prawo urządzić siostrze wystawne wesele. Było to zresztą korzystne również dla banku. W kręgach finansowych wiadano, że Pilasterowie stracili ponad milion na obligacjach portowych. Wielkie przyjęcie umacniało zaufanie, stanowiło dowód, że w dalszym ciągu są niewyobrażalnie bogaci. Skromny ślub wywołałby podejrzenia.

Sto tysięcy posagu Dotty, przekazane jej mężowi, pozostało w banku, przynosząc im pięć procent odsetek. Nick mógł je wycofać w każdej chwili, na razie jednak nie potrzebował tej sumy. Zamierzał pobierać pieniądze stopniowo, w miarę spłacania poczynionych przez ojca obciążeń hipotecznych i reorganizowania majątku. Hugh był zadowolony z decyzji szwagra, ponieważ większe wypłaty były dla banku kłopotliwe.

Wszyscy wiedzieli o dużym posagu Dotty. Hugh i Nick nie zdołali utrzymać tej informacji w ścisłej tajemnicy, a tego rodzaju wieści rozchodziły się błyskawicznie. Mówił już o tym cały Londyn i Hugh przypuszczał, że jest to temat rozmów przy większości stołów.

Rozejrzał się wokoło i dostrzegł jedynego gościa, który nie był zadowolony - wręcz przeciwnie, miał nieszczęśliwą minę straszliwie oszukanego człowieka, eunucha w czasie orgii. Była to jego ciotka Augusta.

- Londyńskie towarzystwo uległo kompletnej degrengoladzie - powiedziała Augusta do pułkownika Mudeforda.

- Obawiam się, że ma pani rację, lady Whitehaven - odparł uprzejmie.

- Urodzenie już się nie liczy - mówiła dalej. - Wszędzie dopuszcza się Żydów!

- Otóż to.

- Zostałam pierwszą hrabiną Whitehaven, ale Pilasterowie byli szanowaną rodziną cały wiek, zanim zaszczycono ich tytułem. Tymczasem dzisiaj człowiek, którego ojciec pracował przy łopacie, może zostać nobilitowany tylko dlatego, że dorobił się fortuny, sprzedając kiełbasę.

- W rzeczy samej. - Pułkownik Mudeford obrócił się w stronę kobiety siedzącej po jego drugiej ręce i zapytał: - Pani Telston, czy życzy pani sobie tego sosu z czerwonych porzeczek?

Augusta przestała się nim interesować. Kipiła z wściekłości, obserwując ten spektakl, w którym musiała uczestniczyć. Hugh Pilaster, syn tego bankruta Tobiasa, częstuje drogim winem Chateau Margaux trzystu gości, Lydia Pilaster, wdowa po Tobiasie, siedzi obok księcia Norwich, Dorothy Pilaster, córka Tobiasa, wyszła za wicehrabiego Ipswicha, otrzymując największy posag, o jakim ktokolwiek słyszał. A tymczasem jej syn, kochany Teddy, potomek wielkiego Josepha Pilastera, został w trybie natychmiastowym usunięty ze stanowiska Starszego Partnera, a jego małżeństwo wkrótce ma zostać unieważnione.

Nie było już żadnych zasad! Każdy mógł wejść do towarzystwa. W tej właśnie chwili jej spojrzenie napotkało największą parwienuszkę ze wszystkich tu zgromadzonych - panią Solomonową Greenbourne, dawniej Maisie Robinson. Zadziwiające, że Hugh miał czelność zaprosić tu kobietę, której całe życie było skandalem. Kiedyś w gruncie rzeczy była prostytutką, potem wyszła za mąż za najbogatszego Żyda w Londynie, a teraz prowadziła szpital, w którym nie lepsze od niej kobiety mogły rodzić swoje bękarty. Ale jednak tu przebywała, siedziała przy następnym stole ubrana w suknię koloru nowiutkiego miedziaka i w najlepsze gawędziła z dyrektorem naczelnym Bank of England. Z całą pewnością mówiła o niezamężnych matkach. A on z nią rozmawiał!

- Proszę się postawić w sytuacji niezamężnej służącej - rzekła Maisie do dyrektora naczelnego. Spojrzał na nią zaskoczony, a ona stłumiła uśmiech. - Proszę pomyśleć o konsekwencjach zostania matką. Traci się pracę i dom, pozostaje bez środków do życia, dziecko nie ma ojca. Czy w takiej sytuacji pomyślałby pan: „Och, ale mogę przecież urodzić w miłym szpitalu pani Greenbourne w Southwark i machnąć na wszystko ręką”? Oczywiście, że nie. Mój szpital nie robi niczego, co zachęcałoby dziewczęta do niemoralnego prowadzenia się. Po prostu chroni je przed rodzeniem w ryszotku.

Do rozmowy wtrącił się Dan Robinson, który siedział po drugiej ręce siostry:

- Podobnie jest z prawem bankowym zobowiązującym banki do ubezpieczania wkładów drobnych ciułaczy, którego projekt przedstawiłem w parlamencie.

- Wiem o tym - odparł dyrektor naczelnny.

- Niektórzy twierdzą, że będzie ono stanowiło zachętę do bankructwa, czyniąc je mniej dotkliwym. Ale to bzdura. Żaden bankier w żadnych okolicznościach nie zechce zbankrutować.

- Z całą pewnością.

- Kiedy bankier prowadzi interesy, nie bierze pod uwagę, że może przez swoją nierozwagę pozostawić bez grosza jakąś wdowę w Bournemouth, lecz martwi się o własny kapitał. Podobnie cierpienia dzieci niezamężnych matek nie zniechęcają pozbawionych skrupułów mężczyzn do uwodzenia służących.

- Rozumiem pańskie stanowisko - rzekł dyrektor naczelnny z kwaśną miną. - Niezwykłe... hmm... ciekawe porównanie.

Maisie uznała, że dręczyli swojego rozmówcę wystarczająco długo, i odwróciła się, pozwalając mu zająć się kuropatwą.

- Czy zauważyłaś, że szlachectwo zawsze przypada niewłaściwym ludziom? - zapytał ją Dan. - Spójrz na Hugh'a i jego kuzyna Edwarda. Hugh jest uczciwy, utalentowany i pracowity, Edward zaś głupi, leniwy i bezwartościowy, jednak to Edward jest hrabią Whitehaven, a Hugh po prostu panem Pilasterem.

Maisie próbowała nie patrzeć na Hugh'a. Chociaż była zadowolona z zaproszenia, obawiała się, że jego widok w otoczeniu rodziny sprawi jej ból. Jego żona, synowie, matka i siostra tworzyli zamknięty krąg rodzinny, do którego nie była dopuszczona. Wiedziała, że jego małżeństwo z Norą jest nieszczęśliwe. Wskazywał na to nawet sposób, w jaki ze sobą rozmawiali - nigdy się nie dotykając, nie uśmiechając do siebie, nie okazując żadnej czułości. A jednak stanowili rodzinę, do której ona nigdy nie będzie należała.

Żałowała, że przyszła na to wesele.

Do Hugh'a podszedł lokaj i powiedział cicho:

- Dzwonią do pana z banku.

- Nie mogę teraz podejść - odparł.

Kilka minut później zjawił się jego kamerdyner.

- Telefonuje pan Mulberry z banku.

- Przecież jestem teraz zajęty! - rzucił z irytacją Hugh.

- Tak jest, proszę pana. - Kamerdyner odwrócił się.

- Nie, poczekajcie chwilę - zatrzymał go Hugh. Mulberry przecież wiedział o przyjęciu weselnym. Był inteligentnym i odpowiedzialnym człowiekiem i na pewno nie domagałby się rozmowy z nim, gdyby nie stało się coś złego.

Bardzo złego.

Hugh'a przeszył dreszcz lęku.

- Lepiej będzie, jeżeli się z nim porozumiem - rzekł do kamerdynera, a potem zwrócił się do matki: - Mamo, wasza książęca wysokość, proszę mi wybaczyć... Pewne sprawy wymagają mojej obecności.

Wyszedł z namiotu i przez trawnik skierował się w stronę domu. Telefon stał w bibliotece. Podniósł słuchawkę i powiedział:

- Hugh Pilaster.

- Tu Mulberry, proszę pana. Bardzo przepraszam, że...

- Co się stało?

- Przyszedł telegram z Nowego Jorku. W Cordovie wybuchła wojna.

- Och nie! - Wiadomość była katastrofalna dla Hugh'a, rodziny i banku. Nie mogło zdarzyć się nic gorszego.

- A właściwie wojna domowa - kontynuował Mulberry. - Bunt. Rodzina Mirandów zaatakowała stolicę.

Hugh czuł, jak łomocze mu serce.

- Czy są jakieś informacje na temat siły buntowników? - Istniałaby jeszcze nikła nadzieja, gdyby rebelia została szybko stłumiona.

- Prezydent Garcia uciekł.

- Do licha! - Fakt ten świadczył, że sytuacja jest poważna. Wysłał w duchu do diabła Edwarda i Micky'ego. - Czy coś jeszcze?

- Dostaliśmy też depezę z oddziału w Cordovie, ale jeszcze nie jest rozszyfrowana.

- Proszę zadzwonić do mnie natychmiast, gdy będzie znana jej treść.

- Tak jest, proszę pana.

Hugh pokręcił korbką, połączył się z centralą, podał nazwisko maklera, z którego usług korzystał bank, i poczekał, aż wezwą go do aparatu.

- Danby, tu Hugh Pilaster. Co się dzieje z cordovańskimi obligacjami?

- Oferujemy je za połowę ceny, ale nie ma chętnych.

Połowa ceny, pomyślał Hugh. Pilasterowie już zbankrutowali. Poczuł ogarniającą go

rozpacz.

- Do jakiego poziomu spadną?

- Przypuszczam, że do zera. Nie otrzymuje się dywidend za obligacje rządowe kraju, w którym toczy się wojna domowa.

Zero. Pilasterowie utracili właśnie dwa i pół miliona funtów. Nie było już nadziei, aby budżet banku uległ wzmocnieniu. Chwyając się słomki, zapytał:

- Załóżmy, że w ciągu najbliższych kilku godzin rebelianci przegrają. Co wtedy?

- Nie sądzę, aby nawet wówczas ktoś zechciał kupić te obligacje - stwierdził Danby. - Inwestorzy będą czekali na rozwój sytuacji. W najlepszym razie minie pięć albo sześć tygodni, zanim odzyskają zaufanie.

- Rozumiem. - Hugh zdawał sobie sprawę, że Danby ma rację. Makler potwierdzał jedynie jego przewidywania.

- Posłuchaj, Pilaster, ale z pańskim bankiem wszystko będzie w porządku, co? - odezwał się z niepokojem Danby. - Musi pan mieć mnóstwo tych obligacji. Krążyły pogłoski, że prawie nie sprzedał pan tej emisji portowej.

Hugh zawahał się. Nie cierpiał kłamać, lecz prawda zniszczyłaby bank.

- Mamy więcej cordovańskich obligacji, niżbym sobie tego życzył. Ale dysponujemy również wieloma innymi walorami.

- Doskonale.

- Muszę wracać do gości - zakończył rozmowę Hugh, chcąc sprawić wrażenie całkowicie spokojnego. - Wydaję przyjęcie na trzysta osób, moja siostra wyszła dziś rano za mąż.

- Słyszałem. Moje gratulacje.

- Do widzenia.

Zanim zdążył poprosić o następny numer, zadzwonił ponownie Mulberry.

- Jest tu pan Cunliffe z Banku Kolonialnego - oznajmił i w jego głosie słychać było prawie panikę. - Prosi o spłatę pożyczki.

- Niech go licho! - burknął z wściekłością Hugh. Bank Kolonialny pożyczył Pilasterom milion funtów na przetrwanie kryzysu, z zastrzeżeniem ich zwrotu na każde żądanie. Cunliffe usłyszał wiadomości, zauważył gwałtowny spadek notowań cordovanskich obligacji, zorientował się, że Pilasterowie są w kłopotach, i postanowił odzyskać swoje pieniądze, zanim bank zbankrutuje.

Był pierwszy w kolejce. Inni pojawią się wkrótce. Jutro rano przed drzwiami będą tłoczyli się depozytariusze, żądając swoich pieniędzy. A Hugh nie zdoła ich spłacić.

- Czy mamy milion funtów, Mulberry?

- Nie, proszę pana.

Słowa te ołowianym ciężarem spadły na barki Hugh'a i nagle poczuł się bardzo stary. To był już koniec. Przeżywał największy koszmar bankiera - ludzie przychodzili po swoje pieniądze, a bank ich nie miał. I koszmar ten przydarzył się właśnie jemu.

- Proszę powiedzieć panu Cunliffe'owi, że nie może pan uzyskać potwierdzenia podpisu, ponieważ wszyscy partnerzy są na weselu.

- Bardzo dobrze, panie Hughu.

- A potem...

- Tak, proszę pana?

Hugh milczał przez chwilę. Wiedział, że nie ma wyboru, ale wciąż wahał się przed wypowiedzeniem tych straszliwych słów. Zaciśnął powieki: lepiej już wyrzucić to z siebie.

- A potem, Mulberry, musi pan zamknąć drzwi banku.

- Och, panie Hughu.

- Przykro mi, Mulberry.

W słuchawce rozległ się dziwny dźwięk i Hugh uświadomił sobie, że Mulberry płacze.

Odwiesił słuchawkę. Patrzył na pełne książek półki swojej biblioteki, lecz widział wspaniałą fasadę Banku Pilasterów i wyobraził sobie, jak zamykają się ozdobne żelazne drzwi, a przechodnie zatrzymują się zdziwieni. Wkrótce zgromadzi się tłum i podniecony, rozgorączkowany będzie wskazywał na te zamknięte drzwi. Po City szybciej niż ogień po składzie drewna rozejdzie się wiadomość: Pilasterowie zbankrutowali! Pilasterowie zbankrutowali. Hugh ukrył twarz w dłoniach.

- Wszyscy jesteśmy bez grosza - oznajmił Hugh.

Początkowo niczego nie rozumieli. Widział to po wyrazie ich twarzy.

Zebrali się w salonie urządzonej przez jego żonę Norę, uwielbiającą przykrywać każdy mebel kwiecistymi materiałami i zastawiać każdą powierzchnię ozdóbkami.

Goście już sobie poszli - Hugh nie przekazał nikomu złych wieści, dopóki trwało przyjęcie - ale cała rodzina pozostała. Augusta zajęła miejsce obok Edwarda i oboje mieli pełne niedowierzania pogardliwe miny. Wuj Samuel siedział koło Hugh'a, pozostali partnerzy zaś stali za sofą, na której przysiadły ich żony - Beatrice, Madeleine i Clementine. Zaczerwieniona od wypitego szampana Nora rozparła się w swoim fotelu koło kominka, a młoda para, Nick i Dotty, trzymali się za ręce, spoglądając przestraszonymi oczyma. Hughowi zrobiło się żal młodożeńców.

- Posąg Dotty przepadł, Nicku. Obawiam się, że wszystkie nasze plany zostały zniweczone.

- Ty jesteś Starszym Partnerem... To twoja wina! - zawołała piskliwie ciotka Madeleine.

Zawsze była głupia i złośliwa. Jej reakcję łatwo było przewidzieć, ale mimo to Hughowi zrobiło się przykro. Jak mogła oskarżać go o tę katastrofę po tym wszystkim, co robił, aby zapobiec nieszczęściu! Jednakże jej młodszy brat, William, upomniał ją z zaskakującą stanowczością:

- Nie gadaj głupstw, Madeleine. To Edward oszukał nas i obciążył bank ogromną liczbą cordovańskich obligacji, które są obecnie zupełnie bezwartościowe. - Hugh był mu wdzięczny za uczciwe postawienie sprawy. William mówił dalej: - Cała wina spoczywa na tych z nas, którzy pozwolili mu zostać Starszym Partnerem. - Popatrzył na Augustę.

Nora sprawiała wrażenie oszołomionej.

- Nie możemy być bez grosza - powiedziała.

- Ale jesteśmy - odparł spokojnie Hugh. - Wszystkie nasze pieniądze są w banku, a bank zbankrutował. - Jej dezorientacja była zrozumiała - nie urodziła się przecież w bankierskiej rodzinie.

Augusta wstała i podeszła do kominka. Hugh zastanawiał się, czy będzie próbowała stanąć w obronie syna, lecz nie była aż tak głupia.

- Mniejsza o to, po czyjej stronie jest wina - oznajmiła. - Musimy ocalić resztę.

W banku wciąż musi być sporo pieniędzy w złocie i banknotach. Powinniśmy je zabrać i ukryć w jakimś bezpiecznym miejscu, zanim zjawią się wierzyciele. A wtedy... Hugh przerwał jej ostro.

- Nie zrobimy nic takiego. To nie nasze pieniądze.

- Ależ oczywiście, że nasze! - zawołała.

- Uspokój się i siadaj, Augusto, albo każę lokajowi cię wyrzucić. Była tak zaskoczona, że umilkła, mimo to jednak nie usiadła.

- Owszem, w banku znajdują się pieniądze - wyjaśnił Hugh - i nie uznano nas jeszcze oficjalnie za bankrutów. Jesteśmy wypłać ni wobec niektórych naszych kredytodawców. Wszyscy jednak musicie zwolnić służbę; zapłacę tym ludziom, jeżeli przyślecie ich do bocznych drzwi z notatką, ile jesteście im winni. Ureguluję też rachunki u waszych dostawców, ale tylko do dzisiejszego dnia. Nie będę honorował żadnych długów, które zaciągniecie od tej chwili.

- Kim jesteś, żebyś mi rozkazywał zwalniać służbę?! - zapytała z oburzeniem Augusta.

Hugh był gotów współczuć im, choć sami sprowadzili na siebie nieszczęście, ale ta bezmyślność była tak męcząca, że warknął na nią:

- Jeżeli ich nie zwolnisz i tak odejdą, bo nie będą opłacani. Ciotko Augusto, spróbuj zrozumieć, że nie masz żadnych pieniędzy.

- Śmieszne! - prychnęła. Ponownie odezwała się Nora:

- Nie możemy zwolnić służby. Nie sposób żyć bez służby w takim domu.

- Nie martw się o to - odparł Hugh. - Nie będziesz mieszkała w tym domu. Trzeba będzie go sprzedać. Wszyscy będziemy musieli sprzedać nasze domy, meble, dzieła sztuki, piwnice z winem i biżuterię.

- Absurd! - wykrzyknęła Augusta.

- Takie jest prawo - wyjaśnił Hugh. - Każdy z partnerów jest osobiście odpowiedzialny za zadłużenie banku.

- Nie jestem partnerem - zauważyła Augusta.

- Ale Edward jest. Przestał być Starszym Partnerem, lecz pozostał zwykłym partnerem, przynajmniej na papierze. I to on jest właścicielem waszego domu - Joseph zapisał go jemu.

- Musimy przecież gdzieś mieszkać - wtrąciła znów Nora.

- Jutro z samego rana wszyscy powinniśmy rozejrzeć się za tanimi, niewielkimi domami do wynajęcia. Jeżeli znajdziecie coś skromnego, nasi kredytodawcy to

zatwierdzą. Jeżeli nie, będziecie musieli wybierać znowu.

- Ani mi się śni wyprowadzać z mojego domu, i to jest moja ostateczna decyzja - oznajmiła Augusta. - Sądzę, że pozostali członkowie rodziny są tego samego zdania. - Spojrzała na szwagierkę. - Madeleine?

- Masz absolutną rację, Augusto - przytaknęła kuzynka. - George i ja pozostaniemy u siebie. Bzdura, nie możemy być nędzarami.

Hugh pogardzał nimi. Nawet w tej chwili, kiedy ich bezmyślność i arogancja doprowadziły wszystkich do ruiny, nie chcieli słuchać głosu zdrowego rozsądku. W końcu i tak będą musieli pozbyć się złudzeń. Ale jeżeli będą próbowali kurczowo zachować bogactwa, które już do nich nie należą, zniszczą opinię rodziny tak, jak zniszczyli fortunę Pilasterów. Postanowił wymóc na nich zachowanie bezwzględnej uczciwości w ubóstwie, tak jak w bogactwie. Wiedział, że czeka go trudna walka ale nie zamierzał się poddawać. Augusta zwróciła się do swojej córki:

- Clementine, jestem pewna, że ty i Harry zajmiecie takie samo stanowisko jak Madeleine i George.

- Nie, matko - odparła Clementine.

Augusta otworzyła usta, a Hugh był nie mniej zaskoczony - jego kuzynka nigdy dotąd nie odważyła się sprzeciwić matce. Przynajmniej jeden członek rodziny zachował trochę zdrowego rozsądku, pomyślał.

- Właśnie słuchanie ciebie wpędziło nas w te kłopoty - dodała Clementine. - Gdyby Starszym Partnerem został Hugh, a nie Edward, wciąż bylibyśmy krezusami. Hugh poczuł się lepiej. Niektórzy w rodzinie zrozumieli, do czego zmierza.

- Pomyliłaś się, matko, i zrujnowałaś nas - ciągnęła Clementine. - Już nigdy nie będę kierowała się twoimi radami. Rację miał Hugh i lepiej będzie, jeżeli pozwolimy mu zrobić wszystko, co zdoła, aby wydobyć nas z tego straszego nieszczęścia.

- Słusznie, Clementine - przytaknął William. - Powinniśmy zachować się tak, jak sugeruje nam Hugh.

Zarysował się stosunek sił. Po stronie Hugh'a byli William, Samuel i Clementine, która trzymała pod pantoflem sir Harry'ego. Najwyraźniej zdecydowali się zachowywać przyzwoicie i uczciwie. Przeciwko niemu występowali Augusta, Edward i Madeleine, która zabierała głos w imieniu majora Hartshorna - ci będą próbowali wyrwać wszystko, co zdołają, kosztem reputacji rodziny. I w tej samej chwili odezwała się wyzywająco Nora:

- Będziesz musiał mnie stąd wynieść!

Hugh poczuł gorycz w ustach. Jego własna żona przyłączała się do wrogów.

- Jesteś jedyną osobą w tym pokoju, która wystąpiła przeciwko współmałżonkowi - powiedział ze smutkiem. - Czy w ogóle nie poczuwasz się wobec mnie do jakiegokolwiek lojalności?

Potrząsnęła głową.

- Nie po to wychodziłam za ciebie, żeby żyć w nędzy.

- Ale jednak wyprowadzisz się z tego domu - oświadczył ponuro. Popatrzył na pozostałych nieprzejednanych: Augustę, Edwarda, Madeleine i majora Hartshorna. - W

końcu wszyscy się poddacie - rzekł. - Jeśli nie zrobicie tego teraz z godnością, zostaniecie zmuszeni w hańbie, przez policjantów, komorników, nękanii przez dziennikarzy, obrzucani błotem przez brukową prasę i pogardzani przez nieopłacaną służbę.

- Jeszcze zobaczymy! - rzuciła Augusta.

Gdy wszyscy wyszli, Hugh usiadł przy kominku i zaczął się zastanawiać, w jaki sposób spłacić kredytodawców.

Był zdecydowany nie dopuścić do formalnego ogłoszenia bankructwa Pilasterów.

Sama myśl o tym była zbyt bolesna, aby ją rozważać. Całe jego życie toczyło się w cieniu bankructwa ojca, a cała kariera stanowiła próbę udowodnienia, że nie został napiętnowany. W głębi serca obawiał się, że jeżeli spotka go ten sam los co ojca, on również może odebrać sobie życie.

Pilasterowie byli skończeni jako bankierzy. Zamknęli drzwi przed swoimi depozytariuszami, a to oznaczało koniec. Ale w perspektywie powinno mu się udać spłacić długi, zwłaszcza jeżeli partnerzy uczciwie sprzedadzą wszystko, co przedstawia jakąś wartość.

W miarę jak mijało popołudnie i powoli zapadł zmierzch, w jego umyśle zaczął kształtować się plan, który rozniecił w nim słabą iskierkę nadziei.

O szóstej poszedł zobaczyć się z Benem Greenbourne'em.

Siedemdziesięcioletni Greenbourne wciąż był w pełni sił i osobiście prowadził interesy. Miał córkę Kate, ale Solly był jego jedynym synem, kiedy więc zdecyduje się ustąpić ze stanowiska, będzie musiał przekazać berło bratankom, a to mu się wcale nie uśmiechało.

Hugh pojechał do pałacu na Piccadilly. Dom imponował już nie zamożnością, ale niezmiernym bogactwem. Każdy zegar był klejnotem, każdy mebel bezcennym antykiem, każda boazeria pokryta staranną snycerką, a każdy dywan specjalnie utkany. Hugh'a wprowadzono do biblioteki, gdzie płonęły lampy gazowe i huczał w kominku ogień.

To w tym właśnie pokoju dowiedział się, że chłopiec, który nazywa się Bertie Greenbourne, jest jego synem.

Zaciekawiony, czy książki są jedynie na pokaz, czekając na gospodarza.

Przekartkował kilka z nich. Niektóre być może zakupiono ze względu na piękne oprawy, pomyślał, ale inne, i to w kilku językach, nosiły ślady wielokrotnego czytania. Greenbourne był rzeczywiście odczytanym człowiekiem.

Gospodarz pojawił się piętnaście minut później i przeprosił Hugh'a, że kazano mu czekać.

- Zatrzymał mnie pewien domowy problem - wyjaśnił ze sztywną pruską galanterią. Jego rodzina wcale nie pochodziła z Prus, przejęła jednak sposób bycia niemieckich wyższych sfer i zachowała go przez sto lat zamieszkiwania w Anglii. Był jak zawsze wyprostowany, ale Hugh zauważył, że jest zmęczony i zaniepokojony.

Nie wyjaśnił, o jaki „domowy problem” chodzi, a Hugh nie pytał.

- Wie pan oczywiście, że dziś po południu obligacje Cordovy straciły wartość -

powiedział Hugh.

- Tak.

- I zapewne słyszał pan, że wskutek tego mój bank zamknął drzwi.

- Tak. Bardzo mi przykro.

- Minęły dwadzieścia dwa lata od ostatniego bankructwa angielskiego banku.

- To był Overend i Gurney. Doskonale pamiętam.

- Ja również. Upadła wtedy firma mojego ojca, który z rozpaczy powiesił się w swoim biurze na Leadenhall Street. Greenbourne był zakłopotany.

- Najmocniej przepraszam, Pilaster. Zapomniałem o tej strasznej sprawie.

- W czasie tego kryzysu upadło wiele firm. Ale jutro stanie się coś o wiele gorszego. - Hugh pochylił się na krzesło do przodu i zaczął swoją wielką przemowę: - W ciągu ostatniego ćwierćwiecza liczba interesów przeprowadzanych tu, w City, wzrosła dziesięciokrotnie. Bankowość stała się tak złożona i skomplikowana, że jesteśmy ze sobą jeszcze silniej związani niż kiedyś. Niektórzy ludzie, których pieniądze utraciliśmy, nie będą w stanie zapłacić swoich długów i również zbankrutują... I tak dalej, i tak dalej. W następnym tygodniu upadną dziesiątki banków, setki przedsiębiorstw będą musiały zaprzestać działalności i dziesiątki tysięcy ludzi znajdą się w nędzy... Chyba że poczynimy kroki, aby temu zapobiec.

- Kroki! - rzucił Greenbourne z wyraźną irytacją. - Jakie kroki można tu poczynić? Jedynym sposobem jest spłacenie długów. Nie może pan tego zrobić, więc jest pan bezradny.

- Owszem. Sam jestem bezradny. Ale mam nadzieję, że koła bankowe mogłyby coś uczynić...

- Chce pan prosić, aby inni bankierzy spłacili wasze długi?! A to niby z jakiego powodu? - Niewiele brakowało, by wybuchnął gniewem.

- Na pewno zgodzi się pan ze mną, że byłoby lepiej dla nas wszystkich, gdyby wierzyciele Pilasterów zostali w pełni spłaceni.

- Oczywiście.

- Załóżmy, że powstałby syndykat bankowy, który przejąłby zarówno aktywa, jak i pasywa Pilasterów. Syndykat taki zagwarantowałby spłatę dowolnego wierzyciela na każde żądanie. A jednocześnie zaczęłby w zorganizowany sposób likwidować aktywa Pilasterów.

Nagle Greenbourne wyraźnie zaczął okazywać zainteresowanie i w miarę jak rozważał przedstawioną przez Hugh'a propozycję, jego irytacja ustępowała.

- Rozumiem. Gdyby członkowie syndykatu cieszyli się szacunkiem i prestiżem, ich gwarancje wystarczyłyby, aby wszystkich uspokoić i wierzyciele nie żądałoby natychmiastowego zwrotu pieniędzy. Przy pewnej dozie szczęścia dopływ gotówki ze sprzedaży aktywów mógłby pokryć płatności.

- I można byłoby zapobiec temu straszemu kryzysowi. Greenbourne pokręcił głową.

- Ale w rezultacie tej operacji członkowie syndykatu straciliby pieniądze, ponieważ

płatności Pilasterów przekraczają ich aktywa.

- Niekoniecznie.

- A to w jaki sposób?

- Owszem, mamy cordovańskie obligacje opiewające na ponad dwa miliony funtów, które obecnie nie są nic warte, ale dysponujemy też innymi sporymi aktywami. Wiele zależy od tego, ile zdołamy uzyskać ze sprzedaży domów partnerów i tak dalej. Oceniam, że nawet w chwili obecnej niedobór wynosi zaledwie milion funtów.

- A więc syndykat musi się liczyć z utratą miliona funtów.

- Niewykluczone. Jednakże obligacje Cordovy nie zawsze muszą być bezwartościowe.

Buntownicy mogą przegrać albo nowy rząd rozpocznie spłacanie odsetek i w pewnym momencie cena obligacji zacznie rosnąć.

- Możliwe.

- Gdyby osiągnęła choćby połowę poprzedniego poziomu, syndykat odzyskałby swoje wkłady. A jeśliby wzrosła, mógłby nawet zarobić.

Greenbourne pokręcił głową.

- To miałyby szansę powodzenia, gdyby nie obligacje portowe Santamaria. Cordovański ambasador, ten Miranda, sprawia na mnie wrażenie złodzieja, a jego ojciec jest najwyraźniej przywódcą rebeliantów. Przypuszczam, że całe dwa miliony poszły na zakup broni i amunicji. W takim wypadku inwestorzy nie zobaczą ani pensa.

Stary Greenbourne jest bystry jak zawsze, pomyślał Hugh. Sam również się tego obawiał.

- Niestety, trudno odmówić panu racji. Mimo wszystko jednak istnieje pewna szansa. A jeżeli dopuści się do paniki finansowej, na pewno straci pan pieniądze w inny sposób.

- Bardzo pomysłowy plan. Zawsze był pan najmądrzejszym z całej rodziny, młody Pilasterze.

- Ale cały ten plan zależy od pana.

- Aha.

- Jeżeli zgodzi się pan stanąć na czele syndykatu, City pójdzie za panem. Jeśli zaś pan odmówi, syndykat nie będzie miał wystarczającego prestiżu, żeby uspokoić wierzycieli.

- Wiem o tym. - Greenbourne nie odznaczał się fałszywą skromnością.

- Czy pomoże mi pan? - Hugh wstrzymał oddech.

Stary mężczyzna przez kilka sekund zastanawiał się w milczeniu, a potem oświadczył stanowczo:

- Nie.

Hugh opuścił głowę. Zawiódł jego ostatni atut. Poczul, że ogarnia go ogromne znurzenie, jakby był zmęczonym, starym człowiekiem i jego życie dobiegało końca.

- Zawsze byłem ostrożny - wyjaśnił Greenbourne. - Tam gdzie inni ludzie widzieli wielkie zyski, ja dostrzegałem wielkie ryzyko i opierałem się pokusie. Pański wuj Joseph był inny. Podejmował ryzyko i zagarniał zyski. Jego syn Edward był gorszy. O

panu nie mogę niczego powiedzieć - objął pan swoje stanowisko dopiero niedawno. Ale Pilasterowie muszą zapłacić cenę za lata wysokich zysków. Nie korzystałem z tych zysków, dlatego więc miałbym płacić wasze długi? Gdybym teraz wydał pieniądze, ratując was, głupi inwestor zostałby nagrodzony, ostrożny zaś ucierpiałby. A jeśliby interesy w banku były prowadzone na takich zasadach, nikt nie musiałby być ostrożny. Wszyscy moglibyśmy ryzykować, bo gdyby niewypłacalny bank był zawsze ratowany, nie byłoby ryzyka. Ale przecież ryzyko istnieje. I zawsze będą kryzysy. Są niezbędne, aby przypomnieć zarówno dobrym, jak i złym inwestorom, że ryzyko jest realne.

Hugh przed przyjściem tutaj zastanawiał się, czy powiedzieć starcowi, że Solly'ego zabił Micky Miranda. Teraz ponownie rozważał tę sprawę i doszedł do tego samego wniosku: sprawiłby mu tylko ból, ale nie skłonił go do ocalenia Pilasterów.

Szukał w myślach czegoś, co mógłby jeszcze dorzucić, czegoś, co w ostatniej chwili zmieniłoby postanowienie Greenbourne'a, gdy do biblioteki wszedł kamerdyner i oznajmił:

- Proszę mi wybaczyć, panie Greenbourne, ale prosił pan, aby dać znać, gdy przybędzie detektyw.

Greenbourne wstał z wyraźnym podnieceniem, lecz dobre wychowanie nie pozwoliło mu wybiec z pokoju bez wytłumaczenia.

- Przepraszam, Pilaster, ale muszę pana opuścić. Moja wnuczka Rebecca... zniknęła... i wszyscy jesteśmy bardzo zaniepokojeni.

- Bardzo mi przykro o tym słyszeć - odparł Hugh. Znał siostrę Solly'ego i niejasno przypominał sobie jej córkę, ładną ciemnowłosą dziewczynę. - Mam nadzieję, że odnajdziecie ją państwo bezpieczną i w dobrym zdrowiu.

- Nie sądzimy, aby stała się ofiarą przemocy. Prawdę mówiąc, jesteśmy prawie pewni, że uciekła z chłopcem. Ale to i tak bardzo przykra sprawa. Proszę mi wybaczyć.

. - Ależ oczywiście.

Greenbourne wyszedł, pozostawiając Hugh'a sam na sam ze zdruzgotanymi nadziejami. Maisie niekiedy zastanawiała się, czy porody nie są czasem zaraźliwe. Często zdarzało się, że na oddziale pełnym kobiet w dziewiątym miesiącu ciąży całe dnie mijały spokojnie, ale kiedy tylko jedna zaczęła rodzić, wszystkie inne w ciągu kilku zaledwie godzin szły w jej ślady.

Podobnie było i dzisiaj - od czwartej rano do tej pory po kolei rodziły się dzieci. Większość prac wykonywały położne i pielęgniarki, ale bywało, że Maisie i Rachel też musiały oderwać się od ksiąg, opuścić swoje biura i biegać z ręcznikami oraz kocami.

O siódmej było już jednak po wszystkim i właśnie razem z Danem Robinsonem, przyjacielem Rachel, piły herbatę w gabinecie Maisie, gdy wszedł Hugh Pilaster.

- Obawiam się, że przynoszę bardzo złe wiadomości - powiedział w progę. Ton jego głosu sprawił, że Maisie, która nalewała herbatę, uniosła głowę i spojrzała na niego uważnie. Dostrzegła na jego twarzy głęboki smutek i pomyślała, że chyba ktoś zmarł.

- Hugh, co się stało?

- Zdaje się, że trzymałyście wszystkie pieniądze szpitala w moim banku, prawda? Jeżeli tylko chodzi o pieniądze, odetchnęła Maisie, wiadomość nie może być aż tak zła.

- Owszem - potwierdziła Rachel. - Mój ojciec prowadzi finanse, ale od kiedy został radcą prawnym banku, ma u was swoje prywatne konto. Sądzę, że było mu wygodnie ulokować tam również pieniądze szpitala.

- I zainwestował je w obligacje cordovańskie.

- Tak.

- O co chodzi, Hugh? - wtrąciła się Maisie. - Na litość boską, mówże!

- Bank zbankrutował.

Maisie poczuła, jak do jej oczu napływają łzy. Żal jej było jednak nie siebie, lecz jego.

- Och, Hugh! - zawołała. Wiedziała, jak bardzo musi być zrozpaczony. Przeżywał to niczym śmierć kogoś bliskiego, bo przecież wszystkie swoje nadzieje i marzenia wiązał właśnie z bankiem. Żałowała, że nie może ulżyć jego cierpieniom, przejmując ich część na siebie.

- Dobry Boże! - odezwał się Dan. - Wybuchnie panika.

- Wszystkie wasze pieniądze przepadły - oznajmił Hugh. - Pewnie będziecie musiały zamknąć szpital. Nie mogę wprost wyrazić, jak bardzo mi przykro. Rachel była biała jak płótno.

- To niemożliwe! - wykrzyknęła. - W jaki sposób pieniądze mogły przepaść? Odpowiedział jej z goryczą Dan:

- Bank nie może spłacić swojego zadłużenia. Na tym właśnie polega bankructwo, że jesteś winny ludziom pieniądze, ale nie jesteś w stanie ich oddać.

Maisie przypomniała sobie nagle młodszego o ćwierć wieku ojca, który dokładnie w taki sam sposób wyjaśniał matce znaczenie słowa „bankructwo”. Dan od lat próbował uchronić zwyczajnych ludzi przed skutkami podobnych kryzysów finansowych, ale jak dotąd niczego nie osiągnął.

- Być może teraz uchwalą twoje prawo bankowe - zwróciła się do brata.

- Ale co zrobiłeś z naszymi pieniędzmi? - zapytała Hugh'a Rachel. Ten westchnął.

- W zasadzie stało się tak z powodu pewnej decyzji Edwarda, podjętej wtedy, gdy był jeszcze Starszym Partnerem. Popęłnił ogromny błąd i bank utracił dużo pieniędzy, ponad milion funtów. Próbowałem zapobiec katastrofie, lecz dziś szczęście mnie opuściło.

- Po prostu nie mogę zrozumieć, jak się to stało! - ubolewała Rachel.

- Powinnaś odzyskać część swoich pieniędzy - pocieszał ją Hugh - ale nie wcześniej niż za rok.

Dan objął Rachel, lecz nie dawała się uspokoić.

- A co się stanie z tymi nieszczęsnymi kobietami, które szukają u nas pomocy? Hugh wyraźnie cierpiał i Maisie miała ochotę nakazać jej, żeby się zamknęła.

- Z radością dałbym wam pieniądze z własnej kieszeni - zapewnił - ale ja również wszystko straciłem.

- Przecież na pewno można coś z tym zrobić? - upierała się Rachel.

- Próbowałem. Właśnie przychodzę od Bena Greenbourne'a. Prosiłem go, aby uratował bank i spłacił wierzycieli, lecz mi odmówił. Ma swoje własne kłopoty,

biedaczysko. Najwyraźniej jego wnuczka Rebecca uciekła z przyjacielem. W każdym razie bez jego pomocy nic nie wskóram.

Rachel wstała.

- Sądzę, że powinnam zobaczyć się z ojcem.
- Muszę iść do Izby Gmin - stwierdził Dan. Wyszli oboje.

Maisie nie mogła zebrać myśli. Była przejęta perspektywą zamknięcia szpitala, niespodziewanym zniszczeniem wszystkiego, nad czym pracowała, ale przede wszystkim żal jej było Hugh'a. Przypomniała sobie noc sprzed siedemnastu lat, po wyścigach w Goodwood, i to, co jej wówczas powiedział. Wciąż jeszcze pamiętała smutek brzmiący w jego głosie, gdy mówił o bankructwie i samobójstwie ojca. Zwierzył jej się wtedy, że chciałby kiedyś zostać najmądrzejszym, najostrożniejszym i najbogatszym bankierem na świecie - zupełnie jakby miało to stłumić ból tamtej straty. Mógł osiągnąć swój cel, a jednak los doświadczył go takim samym cierpieniem jak ojca.

Ich oczy się spotkały i Maisie odczytała w jego wzroku milczące błaganie. Wstała wolno i podeszła do niego. Stała koło krzesła, na którym siedział, ujęła jego głowę i przytuliła do piersi, głaszcząc go po włosach. Ostrożnie objął ją w talii, najpierw z obawą, niepewnie, a potem przytulił się do niej z całej siły.

I wtedy nareszcie się rozplakał.

Kiedy Hugh wyszedł, Maisie zrobiła obchód oddziałów. Teraz widziała wszystko innymi oczyma - pomalowane przez nie same ściany, łóżka kupione w rupieciarniach, ładne zasłony uszyte przez matkę Rachel. Wspominała nadludzkie wprost wysiłki, dzięki którym udało im się doprowadzić do otwarcia szpitala, uporczywą walkę z władzami lekarskimi i miejscową radą, umizgi do szacownych właścicieli domów i podejrzliwego duchowieństwa z sąsiedztwa. Wykazując niezłomny upór, zdołała pokonać przeszkody i wygrać. Szpital działał od dwunastu lat i pomógł setkom nieszczęśliwych kobiet. Ale ona marzyła o jego rozwoju, o dziesiątkach klinik dla kobiet, rozsianych po całym kraju. Niestety, to się już nie powiedzie. Porozmawiała z każdą kobietą, która dzisiaj rodziła. Powód do niepokoju dawała jej tylko Panna Nikt. Miała szczupłą budowę ciała i dziecko urodziło się bardzo drobne. Maisie domyśliła się, że dziewczyna głodziła się, chcąc ukryć swój stan przed rodziną, i zastanawiała się, jak to jest możliwe. Ona sama zaokrągliła się gwałtownie w czasie ciąży i w piątym miesiącu nie sposób już było ukryć brzucha, ale z doświadczenia wiedziała, że innym często się to udaje.

Usiadła na krawędzi łóżka Panny Nikt. Młoda matka tuliła swoją maleńką córeczkę.

- Czy nie jest piękna? - zapytała. Maisie skinęła głową.
- Ma takie same czarne włosy jak ty.
- Moja matka też ma takie.

Maisie wyciągnęła rękę i pogładziła główkę dziecka. Jak wszystkie niemowlęta przypomniało jej Solly'ego. Właściwie... I nagle ją olśniło.

- O mój Boże, wiem, kim jesteś - oznajmiła. Dziewczyna spojrzała na nią.
- Jesteś Rebecca, wnuczka Bena Greenbourne'a, prawda? Ukrywałaś ciążę, dopóki mogłaś, a potem uciekłaś z domu, żeby urodzić.

Dziewczyna patrzyła szeroko otwartymi oczyma.

- Skąd pani wie? Przecież ostatnio widziała mnie pani, kiedy byłam dwuletnim dzieckiem.

- Ale bardzo dobrze znałam twoją matkę. W końcu byłam żoną jej brata. - Kate nie była taką snobką jak reszta rodziny i gdy tylko mogła, traktowała Maisie sympatycznie. - I pamiętam, jak się urodziłaś. Miałaś tak czarne włosy jak twoja córeczka.

- Obieca mi pani, że nic im nie powie? - zapytała przestraszona Rebecca.

- Obiecuję, że nic nie zrobię bez twojej zgody. Ale uważam, że powinnaś dać znać rodzinie. Twój dziadek bardzo się niepokoi.

- Właśnie jego się tak bałam. Maisie skinęła głową.

- Doskonale cię rozumiem. Wiem z własnego doświadczenia, że jest nieczułym starym zrzędą. Jeżeli jednak pozwolisz mi z nim porozmawiać, może zdołam przemówić mu do rozsądku.

- Zrobi to pani? - zapytała Rebecca pełnym nadziei głosem. - Naprawdę?

- Oczywiście. Ale nie zdradzę mu, gdzie jesteś, dopóki nie przyrzeknie, że będzie dla ciebie dobry.

Rebecca spojrzała na dziecko. Niemowlę zamknęło oczy i przestało ssać.

- Śpi - rzekła. Maisie uśmiechnęła się.

- Czy już wybrałaś dla niej imię?

- O tak - oznajmiła dziewczyna. - Chcę, żeby się nazywała Maisie. Gdy Ben Greenbourne wyszedł z sali, jego twarz była mokra od łez.

- Zostawiłem ją na chwilę z Kate - powiedział zduszonym głosem. Wyjął z kieszeni chustkę i bezskutecznie usiłował wytrzeć oczy. Maisie nigdy dotąd nie widziała, aby jej teść do tego stopnia stracił nad sobą panowanie. Wyglądał dość żałośnie, ale doszła do wniosku, że dobrze mu to zrobi.

- Proszę przejść do mojego gabinetu - zaproponowała. - Zrobię panu herbaty.

- Dziękuję.

Zaprowadziła go do pokoju i poprosiła, aby usiadł. Jest drugim mężczyzną, który tu dzisiaj płacze, pomyślała.

- Te młode kobiety... - zaczął. - Czy wszystkie są w takiej samej sytuacji jak Rebecca?

- Nie - odparła Maisie. - Niektóre są wdowami. Część porzucili mężowie. Sporo z nich uciekło od mężczyzn, którzy je bili. Kobieta może znieść wiele i mimo wszystko pozostaje z mężem, nawet jeżeli ją zrani. Kiedy jednak zachodzi w ciążę, zaczyna się bać, że bicie zagrozi dziecku, i dlatego odchodzi. Ale większość naszych kobiet, podobnie jak Rebecca, po prostu popełniła jeden głupi błąd.

- Nie sądzę, aby życie wiele mnie nauczyło - stwierdził. - Teraz widzę, jaki byłem niemądry.

Maisie podała mu filiżankę herbaty.

- Dziękuję - rzekł. - Jest pani bardzo miła. Ja nigdy taki dla pani nie byłem.

- Wszyscy jesteśmy omylni - odparła pogodnie.

- Jak to dobrze, że pani się tym zajmuje - oświadczył. - W przeciwnym razie co by te

nieszczęsne dziewczyny zrobiły?

- Rodziłyby dzieci po rowach i zaułkach - rzekła.

- I pomyśleć, że coś takiego mogłoby się przydarzyć Rebecce.

- Niestety, szpital trzeba będzie zamknąć - dodała.

- A to dlaczego? Popatrzyła mu prosto w oczy.

- Wszystkie pieniądze trzymaliśmy w Banku Pilasterów - wyjaśniła. - Teraz jesteśmy bez grosza.

- A więc tak to wygląda - mruknął i zamyślił się.

Hugh rozebrał się do snu, ale nie chciało mu się spać. Narzucił więc szlafrok i usiadł przed kominkiem, wpatrując się w ogień.

Wciąż analizował sytuację banku, ale nie widział sposobu wyjścia. Nie mógł jednak przestać o tym myśleć.

O północy usłyszał głośne, zdecydowane stukanie do drzwi frontowych. Zszedł na dół, aby zorientować się, o co chodzi. Przy krawężniku stał powóz, a na stopniach przed wejściem - lokaj w liberii.

- Najmocniej przepraszam łaskawego pana, że przybywam tak późno, ale mam pilny list - rzekł, podał mu kopertę i odszedł.

Gdy Hugh zamykał drzwi, na schodach pojawił się kamerdyner.

- Czy wszystko w porządku, proszę pana? - zapytał zaniepokojony.

- Dostałem list - odparł Hugh. - Możecie iść do łóżka.

- Dziękuję panu.

Hugh otworzył kopertę i poznał staranne staroświeckie pismo pedantycznego starego człowieka. Słowa, które odczytał, sprawiły, że serce podskoczyło mu z radości.

Piccadilly 12

Londyn, SW

23 listopada 1890 r.

Drogi Panie Pilaster

Po zastanowieniu się podjąłem decyzję i przyjmuję Pańską propozycję.

Z poważaniem B. Greenbourne

Podniósł wzrok znad listu i z uśmiechem popatrzył na pusty hol.

- A. niech mnie licho - westchnął z zachwytem. - Dlaczego zmienił zdanie? Augusta siedziała w pokoju na zapleczu najlepszego jubilerskiego sklepu na Bond Street. W jaskrawym świetle lamp gazowych migotała umieszczona w szklanych gablotach biżuteria. Cały pokój był pełen luster. Usłużny asystent położył przed nią wyłożoną czarnym aksamitem tacę z brylantowym naszyjnikiem. Kierownik sklepu stał obok niej.

- Ile? - zapytała.

- Dziewięć tysięcy funtów, lady Whitehaven - wyszeptał cenę nabożnie jak modlitwę.

Naszyjnik był prosty - zwykły sznur identycznych, o prostym szlifie brylantów w złotej oprawie. Wyglądałyby wyjątkowo interesująco na czarnej sukni, pomyślała. Ale nie kupowała go dla ozdoby.

- Wspaniały klejnot, szanowna pani, z całą pewnością najpiękniejszy w całym naszym sklepie.

- Proszę mnie nie ponaglać. Zastanawiam się - odpowiedziała.

Była to jej ostatnia, desperacka próba zdobycia pieniędzy. Odwiedziła już bank, żądając stu funtów w złotych suwerenach, ale urzędnik, ten bezczelny Mulberry, odmówił jej. Usiłowała zmienić zapis własności domu z Edwarda na nią, ale również jej się nie udało - tytuły własności znajdowały się w sejfie starego Bodwina, radcy prawnego banku, i zostały zabezpieczone przez Hugh'a. Teraz usiłowała kupić na kredyt brylanty i sprzedać je za gotówkę. Edward początkowo był jej sojusznikiem, ale nawet on się od niej odwrócił.

- Hugh chce jak najlepiej - oznajmił głupio. - Jeżeli rozejdzie się wiadomość, że członkowie rodziny starają się przechwycić wszystko, co im wpadnie w ręce, syndykat się rozpadnie. Udziałowcy zgodzili się zainwestować pieniądze, żeby zapobiec kryzysowi finansowemu, a nie po to, aby utrzymywać rodzinę Pilasterów w luksusie. - Jak na Edwarda, była to długa przemowa.

Rok temu coś takiego wstrząsnęłoby nią do szpiku kości, ale od czasu jego buntu w sprawie unieważnienia małżeństwa przestał być tym słodkim, posłusznym chłopcem, którego kochała. Clementine również zwróciła się przeciwko niej, popierając plany Hugh'a, które zamienią ich w żebraków. Dygotała z wściekłości na samą o tym myśl. Ale z nią im się nie uda. Popatrzyła na kierownika sklepu:

- Biorę go - oznajmiła zdecydowanie.

- Nie mam wątpliwości, bardzo mądra decyzja, lady Whitehaven - pochwalił.

- Proszę przesłać rachunek do banku.

- Doskonale, pani hrabino. Dostarczymy naszyjnik do Whitehaven House.

- Biorę go ze sobą - oświadczyła. - Chcę go dzisiaj założyć. Kierownik zrobił minę, jakby coś go zabolalo.

- Stawia mnie pani w niezwykle kłopotliwej sytuacji, pani hrabino.

- O czym pan mówi? Proszę zapakować!

- Obawiam się, że nie mogę wydać naszyjnika, dopóki nie otrzymam należności.

- Niech pan nie będzie śmieszny. Wie pan, kim jestem?!

- ...ale w gazetach napisano, że bank zamknął drzwi.

- Pan mnie obraża!

- Niezwykle mi przykro.

Augusta wstała i wzięła naszyjnik.

- Nie mam zamiaru wierzyć w te nonsensy. Zabieram go! Spocony kierownik zastąpił jej drogę.

- Błagam, aby pani tego nie robiła.

Ruszyła w stronę wyjścia, lecz mężczyzna ani drgnął.

- Niech mi pan zejdzie z drogi! - rzuciła ostro.

- Będę zmuszony zamknąć drzwi sklepu i posłać po policję - oznajmił.

Augusta zrozumiała, że ledwo przytomny z przerażenia człowiek nie ustąpi choćby o cal. Bał się jej, ale jeszcze bardziej obawiał się stracić brylanty wartości dziewięciu tysięcy funtów. Zdała sobie sprawę, że przegrała, i z wściekłością cisnęła naszyjnik na podłogę. Mężczyzna schwycił go, nie starając się o zachowanie nawet cienia godności. Augusta sama otworzyła sobie drzwi i wyszła do oczekującego na nią powozu.

Trzymała głowę wysoko, lecz była w rozpacz. Ten człowiek na dobrą sprawę oskarżył ją o kradzież. Jakiś cichutki głos w głębi jej duszy szepnął, że właśnie próbowała to zrobić, ale szybko go zagłuszyła.

Gdy weszła do domu, Hastead próbował o czymś ją poinformować, lecz nie miała w tej chwili cierpliwości na domowe głupstwa, i uciszyła go słowami:

- Przynieście mi szklankę ciepłego mleka. Czuję ból żołądka.

Przeszła do swojego pokoju. Usiadła przy toaletce i otworzyła szkatułkę z biżuterią. Było w niej bardzo niewiele, o wartości zaledwie kilkuset funtów. Wysunęła dolną tackę, wyjęła zwinięty kawałek jedwabiu, rozwinęła go, i wyciągnęła złoty pierścionek ofiarowany jej kiedyś przez Stranga. Jak zawsze włożyła go na palec i przycisnęła do ust wysadzaną drogimi kamieniami głowę węża.

Nigdy go nie sprzeda. Jakże inaczej wszystko by wyglądało, gdyby pozwolono jej poślubić Stranga. Przez chwilę miała ochotę się rozpłakać.

Aż nagle usłyszała za drzwiami sypialni jakieś obce głosy. Mężczyzna... a może dwóch i kobieta. Nie przypominały głosów służby, poza tym nikt ze służby nie ośmieliłby się rozmawiać tuż pod jej drzwiami. Wyszła, aby to sprawdzić. Drzwi do sypialni jej zmarłego męża były otwarte i głosy dobiegały właśnie stamtąd. Augusta weszła do środka, zobaczyła młodego człowieka, najwidoczniej urzędnika, i starszą, dobrze ubraną parę z jej własnej sfery. Nigdy dotąd ich nie widziała.

- Na litość boską, kim jesteście?

- Jestem Stoddart, z agencji handlu nieruchomościami, pani hrabino - odparł z szacunkiem młody człowiek. - A to państwo de Graaf, którzy są niezwykle zainteresowani nabyciem tego pięknego domu...

- Wyjść! - rozkazała.

- Otrzymaliśmy polecenie wystawienia tego domu na sprzedaż... - zaprotestował piskliwym głosem urzędnik.

- Proszę natychmiast wyjść! Mój dom nie jest na sprzedaż! - Ale osobiście rozmawiałem...

Pan de Graaf dotknął ramienia Stoddarta i uciszył go.

- Najwyraźniej zaszła godna pożałowania pomyłka - oznajmił łagodnie. Odwrócił się do żony. - Pójdziemy, kochanie? - Państwo de Graaf wyszli ze spokojną godnością, która doprowadziła Augustę do furii. Urzędnik pospieszył za nimi, syjąc przeprosinami.

Na pewno był za to odpowiedzialny Hugh. Nie musiała nawet tego sprawdzać. Dom jest własnością syndykatu, który uratował bank, poinformował ją, a więc oczywiście zechcą go sprzedać. Polecił jej, żeby się wyprowadziła, ale spotkał się z odmową. Mimo to przysłał ewentualnych nabywców, żeby obejrzel dom. Usiadła w fotelu Josepha i w tej samej chwili pojawił się kamerdyner z gorącym mlekiem.

- Nie wpuszczajcie mi więcej takich ludzi, Hastead - oznajmiła. - Dom nie jest na sprzedaż.

- Tak jest, pani hrabino. - Postawił mleko i nie ruszał się z miejsca.

- Coś jeszcze?

- Pani hrabino, rzeźnik przyszedł w sprawie rachunku.

- Powiedźcie mu, że otrzyma zapłatę, kiedy zażyczy sobie tego lady Whitehaven, a nie on.

- Tak jest, pani hrabino. I obydwaj lokaje odeszli dzisiaj.

- Złożyli wypowiedzenie?

- Nie, po prostu odeszli.

- Wstrętni ludzie.

- Pani hrabino, pozostała służba pyta o swoje pobory.

- Czy coś jeszcze?

Popatrzył na nią z zaskoczeniem.

- Ale co mam im przekazać?

- Że nie odpowiedziałam na wasze pytanie.

- Tak jest. - Zawahał się, a potem dorzucił: - Pragnę zauważyć, że odchodzę z końcem tygodnia.

- Dlaczego?

- Wszyscy pozostali Pilasterowie zwolnili swoją służbę. Pan Hugh uprzedził nas, że będziemy opłacani tylko do piątku, bez względu na to, jak długo pozostaniemy.

- Zejdź mi z oczu, zdrajco!

- Tak jest, pani hrabino.

Augusta usiłowała przekonać sama siebie, że cieszy się z odejścia Hasteada. Niech się wynoszą te szczury uciekające z tonącego okrętu. Wypiła łyk mleka, ale bóle w żołądku nie ustąpiły. Rozejrzała się po pokoju. Joseph nigdy nie pozwalał jej go przerobić i ciągle urządzony był w tym samym stylu, który wybrała w tysiąc osiemset siedemdziesiątym trzecim roku z naśladowymi skórę tapetami, ciężkimi brokatowymi zasłonami i lakową serwantką zawierającą zgromadzoną przez męża kolekcję tabakierok. Pokój wydał jej się tak samo martwy jak on.

Pożałowała, że nie może go przywrócić do życia. Nic takiego nie mogłoby się wówczas wydarzyć.

Przez chwilę wyobraziła go sobie, jak stoi przy wykuszowym oknie, trzymając w ręku jedną ze swych ulubionych tabakierok, i obraca ją, aby zaobserwować grę światła w drogocennych kamieniach. Poczowała zupełnie jej nieznaną dławienie w gardle i potrzęsła głową, aby odpędzić tę wizję.

Wkrótce do tej sypialni wprowadzi się pan de Graaf albo ktoś jemu podobny. Bez wątpienia każe zdjąć zasłony oraz tapety i przerobi wnętrze w modnym obecnie stylu Arts and Crafts, z dębowymi boazeriami i twardymi wiejskimi krzesłami.

Będzie musiała się stąd wyprowadzić. Pogodziła się z tą myślą, chociaż udawała, że stawia opór. Ale nie zamierzała przenieść się do ciasnego nowoczesnego domu w St. John's Wood lub Clapham, jak Madeleine i Clementine. Nie mogłaby - przy obecnych ograniczeniach finansowych - żyć dalej w Londynie - gdzie wciąż spotykałaby ludzi, na których kiedyś spoglądała z góry.

Postanowiła wyjechać z kraju.

Jeszcze nie zdecydowała, dokąd się uda. Calais było tanie, ale znajdowało się zbyt blisko Londynu. Paryż był elegancki, ale czuła się zbyt staro, aby zaczynać od nowa życie towarzyskie w obcym mieście. Słyszała, że w położonej na śródziemnomorskim wybrzeżu Francji miejscowości o nazwie Nicea niemal za darmo można utrzymać wielki dom i służbę. Podobno przebywa tam spokojna społeczność cudzoziemców, wśród nich wielu w jej wieku, korzystających z łagodnych zim i morskiego powietrza.

Ale nie mogła żyć przez rok z niczego. Musiała dysponować odpowiednią sumą, aby wynająć dom i opłacić służbę, i chociaż gotowa była żyć skromnie, nie potrafiłaby obyć się bez powozu.

W gotówce zebrała nie więcej niż pięćdziesiąt funtów i stąd wzięła się jej rozpaczliwa próba wyłudzenia brylantów. Dziewięć tysięcy funtów nie było właściwie dużą kwotą, ale może wystarczyłoby na kilka lat.

Wiedziała, że naraża plany Hugh'a na niepowodzenie. Edward miał rację - dobra wola syndykatu zależała od tego, czy rodzina poważnie potraktuje sprawę spłaty długu. Członek rodziny uciekający na kontynent z walizką pełną biżuterii był właśnie tym czynnikiem, który mógł zerwać kruchy sojusz. Sytuacja stawała się więc bardziej interesująca - z prawdziwą przyjemnością podstawił nogę świętoszkowatemu Hughowi.

Ale musiała zdobyć coś wartościowego. Później pójdzie już łatwo - zapakuje kufer, uda się do biura linii okrętowej, aby kupić bilet, zamówi dorożkę na rano i wymknie się na dworzec kolejowy, nie zwracając niczyjej uwagi. Cóż jednak mogłaby spieniężyć?

Rozejrzała się po pokoju męża i zauważyła mały notes. Otworzyła go, zaciekawiona, i stwierdziła, że ktoś, zapewne Stoddart, urzędnik agencji handlu nieruchomościami, robił inwentarz znajdujących się w domu przedmiotów. Poczła gniew, czytając ten spis i sporządzoną od niechcienia wycenę: stół obiadowy L9, egipski parawan 30s, portret kobiety, wal. Joshua Reynolds 100. Obrazy znajdujące się w domu musiały być warte kilka tysięcy funtów, ale nie mogłaby ich zapakować do kufra. Przewróciła stronicę i przeczytała: 65 tabakierok - ustalić z działem jubilerskim. Podniosła głowę. Bezpośrednio przed nią, w serwantce, którą kupiła siedemnaście lat temu, znajdowało się rozwiązanie jej problemów. Zgromadzona przez Josepha kolekcja ozdobionych drogimi kamieniami tabakierok warta była bardzo wiele, może nawet sto tysięcy funtów. Z łatwością ukryje je w kufrze - tabakierki były niewielkie, bez trudu mieściły się w kieszeni kamizelki. Będzie je mogła sprzedawać pojedynczo, w miarę potrzeb.

Poczła, że serce bije jej szybciej. A więc jej modlitwy zostały wysłuchane.

Spróbowała otworzyć serwantkę. Była zamknięta. Na moment ogarnęła ją panika.

Nie była pewna, czy zdoła rozbić ten solidny sprzęt z niewielkimi, ale grubymi szybkami.

Zmusiła się do spokoju. Gdzie Joseph mógł trzymać klucz? Zapewne w biurku.

Podeszła do niego i wysunęła szufladę. Znajdowała się w niej książka z obrzydliwym tytułem Księżna Sodomy, którą pospiesznie odsunęła w głąb, i mały srebrny klucz. Schwyciła go.

Drżącą ręką wsunęła klucz do zamka serwantki. Obróciła go, usłyszała trzask zapadki i w chwilę później drzwiczki się otworzyły.

Westchnęła głęboko i poczekała, aż jej ręce przestaną dygotać. A potem zaczęła zdejmować z półek tabakierki.

Rozdział czwarty - Grudzień

Upadek Pilasterów był towarzyskim skandalem roku. Brukowe gazety donosiły o każdym wydarzeniu - sprzedaży wielkich domów w Kensington, licytacji obrazów, antycznych mebli i skrzyń porto, odwołaniu planowanej sześciomiesięcznej podróży poślubnej po Europie Dotty i Nicka, o wyglądzie skromnych podmiejskich budynków, w których dumni niegdyś i potężni Pilasterowie sami obierali kartofle na obiad i prali swoją bieliznę.

Hugh i Nora wynajmowali niewielki dom z ogrodem w Chingford, wiosce położonej około piętnastu kilometrów od Londynu. Zwolnili całą służbę i tylko krzepka czternastoletnia dziewczyna przychodziła z położonej nieopodal farmy, aby szorować podłogi i myć okna. Nora, która od dwunastu lat nie zajmowała się gospodarstwem domowym, przyjęła tę odmianę bardzo źle i, bezustannie narzekając, włóczyła się po mieszkaniu w brudnym fartuchu, byle jak zamiatając izby i przygotowując niejadalne posiłki. Chłopcom podobało się tu bardziej niż w Londynie, ponieważ mogli bawić się w lesie. Hugh codziennie jeździł do City pociągiem i chodził do banku, gdzie zajmował się przekazywaniem aktywów Pilasterów na rzecz syndykatu. Każdy z partnerów otrzymywał niewielką pensję, choć teoretycznie nie mieli prawa do żadnego uposażenia. Członkowie syndykatu byli jednak sami bankierami i w głębi duszy myśleli: „Dzięki Bogu, że nie mnie to spotkało”. Poza tym współpraca partnerów pomagała w sprzedaży zasobów i już to warte było niewielkiego wynagrodzenia.

Hugh z niepokojem śledził przebieg wojny domowej w Cordovie, bo od jej wyniku zależała wysokość sumy, jaką syndykat utraci. Ogromnie pragnął, aby inwestorzy osiągnęli zyski. Chciał pewnego dnia móc powiedzieć, że na ratowaniu Banku Pilasterów nikt nie stracił. Ale możliwość ta wydawała się bardzo odległa. Początkowo partia Mirandy odnosiła sukcesy. Każdy jej atak był doskonale zaplanowany i przeprowadzony z wielką brutalnością. Prezydent Garcia musiał opuścić stolicę i schronić się w ufortyfikowanym mieście Campanario na południu, w swojej rodzinnej prowincji. Hugh zaczął tracić nadzieję. Gdyby Mirandowie wygrali, zaczęliby rządzić Cordovą jak udziałowym księstwem i z pewnością nie płaciliby dywidend od pożyczek zaciągniętych przez poprzedni rząd. W takim wypadku obligacje w dającej się przewidzieć przyszłości pozostałyby bezwartościowe.

Ale nagle nastąpił nieoczekiwany zwrot. Silvowie, rodzina Tonia, która od kilku lat stanowiła trzon niewielkiej i niezbyt skutecznej dotąd opozycji demokratycznej, opowiedzieli się po stronie prezydenta, w zamian za obietnicę przeprowadzenia po

zwycięstwie wolnych wyborów i reformy rolnej. Hugh znowu odzyskał nadzieję.

Ożywiona nowym duchem armia prezydencka zdobyła społeczne poparcie i w toku zaciętych walk powstrzymała uzurpatorów. Siły były mniej więcej równe, podobnie zasoby finansowe. Mirandowie opróżnili swój skarbiec, stawiając wszystko na jedną kartę, i przypuścili decydujący atak. Na północy znajdowały się kopalnie saletry, na południu zaś srebra, żadna jednak ze stron nie była w stanie uzyskać pieniędzy na zorganizowanie i ubezpieczenie eksportu, ponieważ Pilasterowie nie zajmowali się już interesami, a inne banki nie chciały nawet rozmawiać z klientem, który jutro mógł zniknąć bez śladu.

Obie strony zwróciły się więc do rządu Wielkiej Brytanii z wnioskiem o uznanie, licząc, że pomoże im to uzyskać kredyty. Micky Miranda, który wciąż pełnił funkcję ambasadora Cordovy w Londynie, na wszelkie możliwe sposoby próbował kaptować przedstawicieli Foreign Office, ministrów oraz członków parlamentu i uzyskać ich poparcie dla Taty Mirandy jako nowego prezydenta. Dotychczas jednak premier, lord Salisbury, odmawiał zdeklarowania się po którejś ze stron.

I wtedy właśnie do Londynu przybył Tonio Silva.

Pojawił się w podmiejskim domu Hugh'a w Wigilię Bożego Narodzenia. Hugh siedział w kuchni przy śniadaniu i dawał chłopcom gorące mleko oraz grzanki z masłem.

Nora wciąż się stroiła. Wybierała się do Londynu po zakupy, choć miała niewiele pieniędzy do wydania. Hugh zgodził się zostać w domu i zaopiekować się dziećmi, bo w banku nie było tego dnia nic szczególnego do zrobienia.

Słyszając dzwonek, sam otworzył drzwi. Tonio zapuścił wasy i brodę, niewątpliwie po to, aby ukryć ślady pobicia go sprzed dwunastu lat przez bandziorów Micky'ego, ale Hugh natychmiast poznał jego rude włosy i beztroski uśmiech. Padał śnieg i na kapeluszu oraz ramionach Silvy osiadła warstwa białego puchu.

Zaprowadził przyjaciela do kuchni i poczęstował herbatą.

- Jak mnie znalazłeś? - zapytał.

- Nie przyszło mi to łatwo - odparł Tonio. - W twoim dawnym domu nie zastałem nikogo, a bank był zamknięty. Ale poszedłem do Whitehaven House i widziałem się z twoją ciotką Augustą. Nic się nie zmieniła. Nie знаła twojego adresu, lecz pamiętała, że mieszkasz w Chingford. Powiedziała to takim tonem, jakby wymieniała nazwę jakiejś kolonii karnej, coś w rodzaju Ziemi van Diemena. Hugh pokiwał głową.

- Nie jest tak źle. Chłopcy czują się tu świetnie. Tylko Nora jest niezadowolona.

- Augusta się nie wyprowadziła.

- Nie. Jest chyba najbardziej winna tego nieszczęścia, ale tylko ona nie chce pogodzić się z rzeczywistością. Przekona się, że istnieją gorsze miejsca niż Chingford. - stwierdził Tonio. - Na przykład Cordova.

- Jak tam jest?

- Mój brat zginął podczas walk.

- Bardzo ci współczuję.

- W wojnie nastąpiła patowa sytuacja. Obecnie wszystko zależy od rządu

brytyjskiego. Ta strona, którą uzna, będzie mogła uzyskać kredyty, zaopatrzyć wojsko i zwyciężyć przeciwnika. Dlatego właśnie tu jestem.

- Wysłał cię prezydent Garcia?

- Jeszcze lepiej. Jestem teraz oficjalnie mianowanym ambasadorem Cordovy w Londynie. Miranda został usunięty.

- Wspaniale! - Hugh się ucieszył, był zadowolony, że Micky'ego wreszcie wyrzucono. Doprowadzała go do pasji myśl, że człowiek, który ukradł mu dwa miliony funtów, spaceruje po Londynie, odwiedza kluby, teatry i bywa na proszonych obiadach, jakby nic się nie stało.

- Przywiozłem listy uwierzytelniające i złożyłem je wczoraj w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

- Zamierzasz przekonać premiera, aby poparł waszą stronę?!

- Tak.

Hugh spojrzał na niego pytająco.

- W jaki sposób?

- Garcia jest prezydentem - Wielka Brytania powinna poprzeć prawowity rząd. Dość wątpliwy argument, pomyślał Hugh.

- Liczyłem na to, że z twoją pomocą uda mi się porozmawiać z premierem - powiedział Tonio.

- Lord Salisbury ze wszystkich sił stara się utrzymać na miejscu pokrywkę kipiącego kotła, jakim jest Irlandia. Nie ma czasu na zajmowanie się wojną domową, która toczy się gdzieś w Ameryce Południowej - uprzedził Tonio, choć nie chciał odbierać mu nadziei. W tym momencie w jego umyśle zaczął dojrzywać pewien pomysł.

- No cóż, moim zadaniem jest przekonać Salisbury'ego, że powinien jednak zwrócić uwagę na to, co się dzieje w Ameryce Południowej, nawet jeżeli ma głowę zaprzątniętą czymś innym - oznajmił z pewną irytacją Tonio. Uświadomił sobie jednak, że jego słowa zabrzmiały nieprzekonująco, i po chwili dodał: - Jesteś Anglikiem, jak sądzisz, co zwróciłoby jego uwagę?

- Obiecaj, że uchronisz brytyjskich inwestorów przed stratami.

- W jaki sposób?

- Jeszcze nie wiem. Po prostu głośno myślę. - Hugh przesunął krzesło. Czteroletni Soi budował u jego stóp zamek z drewnianych klocków. Trochę to było dziwne, że w małej kuchence taniego podmiejskiego domu zdecydowano o przyszłości całego kraju. - Brytyjscy inwestorzy włożyli dwa miliony funtów w Spółkę „Port Santamaria”, a Bank Pilasterów był największym udziałowcem. Wszyscy dyrektorzy spółki są członkami lub wspólnikami rodziny Mirandów i nie mam najmniejszej wątpliwości, że cała ta suma zasiliła ich budżet wojenny. Musimy je odzyskać. - Ale jak, skoro wydali je na broń?

- Przecież do rodziny Mirandów muszą chyba należeć jakieś majątki warte miliony?

- Istotnie - kopalnie saletry.

- Jeżeli wasza strona wygra wojnę, czy prezydent Garcia zgodzi się przekazać kopalnie Spółce „Port Santamaria”, aby zrekompensować straty wynikłe z oszustwa?

W takim wypadku obligacje byłyby coś warte.

- Prezydent oświadczył, że mogę obiecać wszystko - wszystko - aby uzyskać poparcie Brytyjczyków dla sił rządowych w Cordovie - zapewnił stanowczo Tonio. Hugh ogarnęło podniecenie. Nagle możliwość spłacenia wszystkich długów Pilasterów wydała się realna.

- Niech pomyślę - powiedział. - Zanim zaczniemy wznosić twoją konstrukcję, najpierw powinniśmy położyć fundamenty. Mam wrażenie, że zdołam nakłonić starego Bena Greenbourne'a, aby wstawił się u lorda Salisbury'ego i przekonał go, iż należy poprzeć brytyjskich inwestorów. Ale co z posłami opozycji w parlamencie? Trzeba spotkać się z bratem Maisie, Danem Robinsonem. Jest członkiem parlamentu i ma obsesję na punkcie niewypłacalności banków. Popiera mój plan ratowania Pilasterów i chce, aby okazał się skuteczny. Niech się upewni, czy możemy liczyć na opozycję w Izbie Gmin. - Zabębnił palcami po stole. - Wszystko zaczyna wyglądać obiecująco.

- Musimy działać szybko - stwierdził Tonio.

- Natychmiast pojedziemy do miasta. Dan Robinson mieszka razem z Maisie w Londynie. Greenbourne jest pewnie w swoim wiejskim domu, ale możemy do niego zadzwonić z banku. - Hugh wstał. - Uprzedzę Norę. - Oswobodził stopy z wybudowanego przez Sola zamku z klocków i wyszedł z kuchni.

Nora była w sypialni i właśnie zmagiała się z niezwykle kunsztownym kapeluszem obramowanym futrem.

- Muszę jechać do miasta - oznajmił, zakładając kołnierzyk i krawat.

- Kto w takim razie dopilnuje chłopców? - zapytała.

- Myślę, że ty.

- Nie! - wrzasnęła. - Jadę po zakupy!

- Przykro mi, Noro, ale sprawa jest bardzo ważna.

- Ja też jestem ważna!

- Oczywiście, ale tym razem nie możesz postawić na swoim. Muszę pilnie porozmawiać z Benem Greenbourne'em.

- Mam tego dosyć! - rzuciła z obrzydzeniem. - Dosyć tego domu, tej nudnej wsi, dzieci i ciebie. Nawet mój ojciec mieszka lepiej niż my! - Ojciec Nory dzięki pożyczce od Pilasterów otworzył pub i powodziło mu się wyjątkowo dobrze. - Powinnam zamieszkać z nim i pracować jako barmanka - oznajmiła. - Lepiej bym się bawiła i przynajmniej by mi płacono za moją pracę!

Hugh patrzył na nią bez słowa. Nagle zdał sobie sprawę, że nigdy już nie będzie z nią spał. Z ich małżeństwa nie pozostało nic. Ona go nienawidziła, a on nią pogardzał.

- Zdejmij kapelusz, Noro - polecił. - Darujesz sobie dziś zakupy. - Wziął surdut i opuścił pokój.

Tonio czekał niecierpliwie w holu. Hugh pocałował chłopców, wziął płaszcz oraz kapelusz i otworzył drzwi.

- Za kilka minut mamy pociąg - poinformował, gdy znaleźli się na dworze. Kiedy szybkim krokiem szli po krótkiej ścieżce ogrodowej, włożył płaszcz i nasunął kapelusz. Śnieg wciąż padał i trawę pokrywała już kilkucentymetrowa warstwa. Dom Hugh'a był

jednym z kilkudziesięciu identycznych szeregowych budynków wybudowanych na dawnym polu rzepy. Żwawo ruszyli w kierunku wioski.

- Najpierw porozumiemy się z Robinsonem - odezwał się Hugh, planując ich dalsze poczynania. - Potem powiem Greenbourne'owi, że opozycja jest już po naszej stronie... Posłuchaj!

- Co takiego?

- To nasz pociąg. Lepiej się pospieszmy.

Przyspieszyli kroku. Na szczęście stacja była po tej samej stronie wsi. Pociąg pojawił się, gdy przechodzili mostem nad torami.

O jego poręcz oparty był mężczyzna, który przyglądał się nadjeżdżającemu pociągowi. Gdy go minęli, odwrócił się gwałtownie i Hugh natychmiast poznał Micky'ego Mirandę.

Trzymał w dłoni rewolwer.

Wszystko rozegrało się błyskawicznie.

Hugh krzyknął ostrzegawczo, ale zagłuszył go hałas nadjeżdżającego pociągu.

Micky skierował rewolwer w stronę Tonia i wystrzelił z niewielkiej odległości.

Silva zachwiał się i upadł. Następnie Miranda wymierzył w Hugh'a, lecz w tej samej chwili para i dym z lokomotywy spowiły most gęstą chmurą i oślepiły ich obu. Hugh rzucił się na ziemię. Usłyszał wystrzał, potem drugi, ale nic nie poczuł. Przetoczył się szybko w bok i ukląkł, wpatrując się w opary.

Dym zaczął się rozwiewać i w jego rzadziejących kłębach Hugh dostrzegł postać Micky'ego. Zerwał się i rzucił na niego. Miranda odwrócił się, ale było już za późno. Hugh uderzył go z rozpędu i powalił na ziemię. Z dłoni Micky'ego wypadł rewolwer, wysokim łukiem przeleciał nad balustradą mostu i spadł na tory.

Podnieśli się obaj jednocześnie. Miranda pochylił się, chcąc sięgnąć po laskę, lecz Hugh skoczył na niego i znów go przewrócił. Miranda zdołał jednak schwycić laskę i wstać.

Hugh ponownie zadał cios, lecz tym razem chybił. Micky zamierzył się i zdzielił go w głowę. Zabolało. Uderzył jeszcze raz. Drugi cios rozwścieczył Hugh'a. Ryknął rozjuszony, rzucił się na napastnika i trafił go czubkiem głowy w twarz. Cofnęli się obaj, dysząc ciężko.

Na stacji rozległ się gwizdek, sygnalizujący odjazd pociągu, i na twarzy Micky'ego pojawiła się panika. Hugh domyślił się, że zamierzał uciec tym pociągiem z miejsca zbrodni. Nie mylił się - Miranda odwrócił się i pobiegł w stronę stacji.

Hugh rzucił się za nim w pościg.

Micky nie był biegaczem i zbyt wiele nocy stracił na pijatykach w domach publicznych, ale Hugh całe swoje dorosłe życie spędził za biurkiem i też był w nie najlepszej kondycji. Miranda wpadł na stację w chwili, gdy pociąg już ruszał, a zadyszany Hugh deptał mu po piętach. Gdy wbiegli na peron, próbował zatrzymać ich kolejarz, krzycząc:

- Hej! A wasze bilety?

W odpowiedzi Hugh wrzasnął:

- Morderca!

Micky pognął przez peron, chcąc dogonić ostatni wagon, a Hugh - do którego dołączył kolejarz - popędził za nim, starając się nie zwracać uwagi na kłujący ból w boku. Micky dopadł pociągu, schwycił za poręcz i wskoczył na stopień. Hugh złapał go za kostkę, ale nie zdołał się utrzymać. Kolejarz potknął się o niego i również upadł.

Kiedy się podnieśli, pociąg był już daleko. Hugh patrzył za nim z rozpaczą i zobaczył jeszcze, jak Micky otwiera drzwi wagonu i znika w środku.

- O co tu chodzi? - zapytał kolejarz, otrzępując śnieg z ubrania. Hugh zgiął się wpół, dysząc ciężko. Nie mógł wykrztusić słowa.

- Zastrzelono człowieka - wyjaśnił wreszcie, odzyskawszy oddech. Gdy tylko poczuł się na siłach, skierował się do wyjścia ze stacji i gestem nakazał mężczyźnie, aby szedł za nim. Zaprowadził go na most. ukląkł przy zwłokach. Tonio dostał między oczy i z jego twarzy niewiele zostało.

- O mój Boże, ale masakra! - westchnął kolejarz.

Hugh przełknął ślinę, próbując opanować mdłości. Zmusił się, by wsunąć dłoń pod surdut Tonia, łudząc się, że wyczuje bicie jego serca. Bezskutecznie. Przypomniał sobie urwisa, z którym kąpał się w stawie w Biskupim Lesie dwadzieścia cztery lata temu, i ogarnął go straszliwy żal.

Powracała mu zdolność jasnego myślenia. Rozumiał już, w jaki sposób Micky'emu udało się zorganizować zamach. Miał przyjaciół w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, jak zresztą każdy szanujący się dyplomata. Jeden z nich musiał dyskretnie dać mu znać - może na przyjęciu czy proszonym obiedzie - że Tonio jest w Londynie. Silva złożył już swoje listy uwierzytelniające, a więc Micky zdawał sobie sprawę, że jego dni są policzone. Gdyby jednak Tonio zginął, sytuacja ponownie by się skomplikowała i w Londynie nie byłoby nikogo, kto wystąpiłby w obronie interesów prezydenta Garcii. De facto Micky pozostałby również ambasadorem, i to była jego jedyna nadzieja. Postanowił podjąć ryzyko i działać szybko - w rachubę wchodził tylko dzień lub dwa dni. Jak odnalazł Tonia? Być może jego ludzie śledzili Silvę albo Augusta poinformowała, że był u niej. W każdym razie przyjechał za nim do Chingford. Nie chciał rozpytywać o dom Hugh'a, aby nie zwracać na siebie uwagi. Wiedział, że prędzej czy później Tonio przyjdzie na stację, a więc kręcił się w jej pobliżu, zdecydowany zabić Silvę oraz każdego świadka zabójstwa, i uciec pociągiem. Gotów na wszystko Micky wymyślił niezwykle ryzykowny plan - i omal mu się udało.

Musiał zabić nie tylko Tonia, ale i Hugh'a, lecz dym lokomotywy sprawił, że chybił. Gdyby nie to, nikt by go nie rozpoznał. W Chingford nie było telegrafu, telefonu ani żadnego środka transportu szybszego od kolei, miał więc szansę znaleźć się w Londynie przed doniesieniem o zbrodni. A bez wątpienia któryś z jego współpracowników zapewniłby mu alibi.

Ale nie zdołał pozbyć się świadka. I nagle Hugh uświadomił sobie, że formalnie Micky nie jest już ambasadorem Cordovy i nie chroni go immunitet dyplomatyczny. A więc może zawisnąć za to morderstwo. Wstał.

- Musimy jak najszybciej zawiadomić o zabójstwie - oznajmił.

- Kilka przystanków dalej, w Walthamstow, jest komisariat policji.

- Kiedy przyjeżdża następny pociąg?

Kolejarz wyjął z kieszeni kamizelki wielki zegarek.

- Za czterdzieści siedem minut - powiedział.

- Wsiądziemy do niego. Pan pójdzie na komisariat w Walthamstow, a ja pojedę do Londynu i powiadomię Scotland Yard.

- Nie ma nikogo, kto zająłby się stacją. Jest Wigilia i zostałem sam.

- Z pewnością pański pracodawca życzyłby sobie, aby spełnił pan obywatelski obowiązek.

- Ma pan rację. - Kolejarz był wyraźnie zadowolony, że ktoś podpowiada mu, co powinien zrobić.

- Lepiej połóżmy gdzieś biednego Silvē. Czy na stacji znajdzie się jakieś miejsce?

- Tylko w poczekalni.

- Zanieśmy go tam i zamknijmy drzwi. - Hugh pochylił się i schwycił ciało pod ramiona. - Niech pan weźmie za nogi. - Razem przenieśli Tonia na stację. Położyli ciało na ławce w poczekalni i zupełnie nie wiedzieli, co robie dalej. Hugh odczuwał niepokój. Nie mógł pozwolić, aby zawładnął nim smutek. Chciał schwycić mordercę, a nie pograżać się w żałobie. Chodził tam i z powrotem, pocierając obolałe miejsce na głowie i co kilka minut spoglądając na zegarek. Kolejarz natomiast siedział na przeciwległej ławce i z pełną leką fascynacją patrzył na zwłoki. Po jakimś czasie Hugh usiadł obok niego i siedzieli tak w milczeniu aż do nadejścia pociągu.

Micky Miranda uciekał, aby ocalić życie. Dotychczasowe szczęście go opuściło. W ciągu minionych dwudziestu pięciu lat popełnił cztery morderstwa i trzy pierwsze uszły mu płazem, ale tym razem noga mu się powinęła. Hugh Pilaster widział, jak zastrzelił Tonia Silvē, i teraz nie było innego sposobu uniknięcia stryczka niż ucieczka z Anglii. Nagle stał się uciekinierem w mieście, które przez większą część jego życia było dla niego domem. Szybkim krokiem przeszedł przez stację kolejową Liverpool Street, starając się nie wpadać w oczy policjantom. Serce biło mu gwałtownie i dyszał ciężko, gdy wskakiwał do dorożki.

Pojechał prosto do biur linii żeglugowej Złotego Wybrzeża i Meksyku.

Było tam pełno ludzi, przede wszystkim Latynosów. Niektórzy próbowali powrócić do Cordovy, inni usiłowali wydostać stamtąd swoich krewnych, jeszcze inni po prostu pytali o wiadomości. Wszędzie panował hałas i bałagan, a Micky nie zamierzał użerać się z hołotą. Przecisnął się do kontuaru, okładając laską na prawo i lewo mężczyzn i kobiety. Jego drogie ubranie i typowa dla wyższych sfer arogancja zwróciły wreszcie uwagę urzędnika.

- Chcę wykupić bilet na rejs do Cordovy - odezwał się Micky.

- W Cordovie jest wojna - poinformował go urzędnik. Miranda powstrzymał się od sarkastycznej odpowiedzi. - Ale chyba nie zawiesziliście wszystkich rejsów?

- Sprzedajemy bilety do Limy w Peru. Stamtąd statek popłynie do Palmy, jeżeli sytuacja polityczna na to pozwoli. Decyzja zapadnie po dotarciu do Limy. Powinno wystarczyć. Micky przede wszystkim pragnął wydostać się z Anglii.

- Kiedy odpływa najbliższy statek?

- Za cztery tygodnie.

Poczuł, że serce w nim zamiera.

- To na nic. Muszę wyruszyć prędzej!

- Jeżeli się pan pospieszy, to zdąży na statek, który dziś w nocy wypływa z Southampton.

Dzięki Bogu! Jeszcze pozostało mu trochę szczęścia.

- Proszę mi zarezerwować apartament. Najlepszy, jaki jest.

- Doskonale, proszę pana. Na jakie nazwisko?

- Miranda.

- Najmocniej przepraszam, czy zechciałby pan powtórzyć?

Anglicy zupełnie nie mogli się połapać w cudzoziemskich nazwiskach. Micky zamierzał już przeliterować swoje, kiedy nagle zmienił zdanie.

- Andrews - powiedział. - M. R. Andrews. - Przyszło mu do głowy, że policja może sprawdzić listy pasażerów, szukając nazwiska Miranda. Był wdzięczny losowi za szaleńczy liberalizm brytyjskiego prawa, które pozwalało ludziom wjeżdżać do kraju i wyjeżdżać z kraju bez paszportów. W Cordovie nie poszłoby tak łatwo. Urzędnik wręczył mu bilet, za który Micky zapłacił banknotami. Przecisnął się ze zniecierpliwieniem przez tłum i wciąż zaniepokojony wyszedł na zewnątrz, gdzie nadal padał śnieg.

Przywołał dorożkę i kazał się zawieźć do ambasady Cordovy, ale po drodze się rozmyślił. Powrót tam byłby niezwykle ryzykowny, a poza tym pozostało mu niewiele czasu.

Policja będzie szukała samotnie podróżującego, dobrze ubranego mężczyzny w wieku około czterdziestu lat. Jedyńm sposobem, aby się jej wymknąć, było udawanie kogoś starszego i podróżującego w towarzystwie. Mógłby na przykład udawać inwalidę, którego wwieziono by na statek w wózku. Ale potrzebowałby współnika. Kto nadawałby się do tego celu? Nie miał zaufania do żadnego ze swoich współpracowników, zwłaszcza teraz, kiedy przestał być ambasadorem. Pozostawał więc Edward.

- Zawieźcie mnie na Hill Street - polecił dorożkarzowi.

Edward mieszkał w niewielkim domu w Mayfair. W przeciwieństwie do pozostałych Pilasterów wynajął go i nie musiał się wyprowadzać, ponieważ opłacił czynsz za trzy miesiące z góry. Wydawało się, że nie obchodzi go fakt, iż Micky zniszczył ich bank i zrujnował całą rodzinę. Jedyńą konsekwencją wydarzeń było jego jeszcze większe uzależnienie się od Mirandy. Od katastrofy Micky nie widywał nikogo z Pilasterów oprócz niego.

Edward otworzył mu drzwi ubrany w poplamiony jedwabny szlafrok i zaprowadził go do sypialni. Palił cygaro i pił whisky o jedenastej rano. Jego wysypka ogarnęła już całą twarz i Micky zaczął się poważnie zastanawiać, czy rzeczywiście może wykorzystać go jako współnika - jego wygląd za bardzo rzucał się w oczy. Ale nie mógł być wybredny.

- Wyjeżdżam z kraju - oznajmił Miranda.
- Och, zabierz mnie ze sobą! - zawołał Edward i wybuchnął płaczem.
- Co się, u diabła, z tobą dzieje? - bez cienia współczucia zapytał Micky.
- Umieram - odparł Edward. - Pojedźmy w jakieś ustronne miejsce i żyjmy w spokoju, dopóki to się nie stanie.
- Wcale nie umierasz, durniu, masz tylko jakąś chorobę skórnią!
- To nie choroba skórna, ale syfilis! Micky jęknął z przerażenia.
- Jezus, Maria, ja również mogłem go złapać!
- Niewykluczone, jeżeli pomyślisz, ile czasu spędziliśmy w burdelu „U Nellie”. - Ale podobno dziewczyny April są czyste!
- Dziwki nigdy nie są czyste.

Micky opanował panikę. Jeżeli zatrzyma się w Londynie, żeby pójść do lekarza, grozi mu strychez. Musi wypłynąć jeszcze dzisiaj. Statek zawija do Lizbony, więc za kilka dni będzie tam mógł uzyskać poradę. A może wcale się nie zaraził, był przecież o wiele zdrowszy od Edwarda i zawsze mył się po stosunku, Pilaster zaś nie zwracał uwagi na takie drobiazgi.

Ale teraz Edward nie mógł mu już pomóc, a poza tym Micky nie zamierzał brać ze sobą do Cordovy syfilityka. Wciąż potrzebował współnika i pozostał mu tylko jeden - Augusta.

Nie był jej tak pewien jak Edwarda. Augusta zawsze zachowywała niezależność, ale stanowiła jego ostatnią szansę. Odwrócił się do wyjścia. . - Nie zostawiaj mnie! - poprosił Edward. Micky nie bawił się w sentymenty.

- Ani myślę zabierać ze sobą umierającego człowieka! - warknął. Edward podniósł głowę i na jego twarzy pojawił się złośliwy grymas.

- Jeżeli tego nie zrobisz...

- To co?

- Doniosę policji, że zabiłeś Petera Middletona, wuja Seta i Solly'ego Greenbourne'a.

A więc Augusta musiała mu powiedzieć o starym Secie. Micky popatrzył na niego. Wyglądał żałośnie. Dlaczego tak długo podtrzymywałem tę znajomość, zastanawiał się. Nagle uświadomił sobie, jak bardzo cieszy się z tego rozstania.

- Proszę bardzo - odparł. - I tak już mnie ścigają za zabicie Tonia Silvy. Równie dobrze mogą mnie powiesić za cztery morderstwa, jak i za jedno. Wyszedł, nie odwracając się. Na Park Lane zatrzymał dorożkę.

- Kensington Gore - polecił dorożkarzowi. - Whitehaven House.

Po drodze martwił się swoim zdrowiem. Nie miał żadnych objawów - żadnej wysypki ani guzów na genitaliach, ale powinien się upewnić! Niech diabli wezmą Edwarda! Niepokoił się również, jak go przyjmie Augusta. Nie widział jej po upadku banku.

Czy mu pomoże? Wiedział, że zawsze próbowała zapanować nad pożądaniem, które do niego czuła, i tylko raz, w niezwyklej sytuacji, uległa swej namiętności. Wtedy on również jej pożądał, ale od tego czasu jego żądze wygasły. Ona zaś teraz chyba jeszcze

bardziej go pragnęła. Liczył na to - postanowił bowiem zaproponować jej wspólną ucieczkę.

Drzwi otworzył mu nie kamerdyner, ale niechlujnie wyglądająca kobieta w fartuchu.

Przechodząc przez hol Micky zwrócił uwagę, że w domu nie jest zbyt czysto.

Augusta najwyraźniej miała kłopoty. Tym lepiej, powinna łatwiej zgodzić się na jego plan.

Kiedy jednak wkroczyła do salonu w purpurowej jedwabnej bluzce z bufiastymi rękawami i czarnej rozkloszowanej spódnicy o wyraźnie zaznaczonym stanie, stwierdził, że jest tak samo władcza jak dawniej. Jej uroda w młodości zapierała dech, a i teraz, w wieku pięćdziesięciu ośmiu lat, Augusta wciąż mogła zawrócić mężczyźnie w głowie. Micky próbował odszukać w sobie dawne młodzieńcze pożądanie, ale bez skutku. Musiał udawać. Nie podała mu ręki.

- Po co tu przyszedłeś? - zapytała chłodnym tonem. - Sprowadziłeś ruinę na mnie i moją rodzinę.

- Nie chciałem...

- Ale musiałeś wiedzieć, że twój ojciec zamierza wywołać wojnę domową.

- Nie podejrzewałem jednak, że z tego powodu cordovańskie obligacje staną się bezwartościowe - zapewnił. - A pani?

Zawahała się. Najwidoczniej również nie zdawała sobie z tego sprawy. Dostrzegł szczelinę w jej pancerzu i spróbował ją rozszerzyć.

- Nie zrobiłbym tego. Gdybym wiedział, prędzej poderzwałbym sobie gardło, niż pozwolił panią skrzywdzić. - Był gotów powiedzieć wszystko, co pragnęłaby usłyszeć.

Zareagowała jednak równie ostro jak poprzednio:

- Namówiłeś Edwarda, żeby oszukał swoich partnerów, bo potrzebne ci były dwa miliony funtów!

- Sądziłem, że w banku jest tyle pieniędzy, że mu to nie zaszkodzi. Odwróciła wzrok.

- Ja również - oznajmiła cicho. Postanowił wykorzystać przewagę.

- W każdym razie teraz nie ma to już żadnego znaczenia. Wyjeżdżam dziś z Anglii i najprawdopodobniej nigdy nie wrócę.

Spojrzała na niego z nagłym niepokojem i wiedział, że wygrał.

- Dlaczego? - zapytała.

Nie było czasu na owijanie w bawełnę.

- Właśnie zastrzeliłem człowieka i ściga mnie policja.

- Och! - zawołała i schwyciła go za rękę. - Kogo?

- Antonia Silvē.

Była tyleż podniecona, co wstrząśnięta. Jej twarz nieco się zaczerwieniła, a oczy błysnęły.

- Tonia? Dlaczego?

- Stanowił dla mnie zagrożenie. Zamówiłem bilet na parowiec, który wypływa dzisiejszej nocy z Southampton.

- Tak prędko!
- Nie mam wyboru.
- I przyszedłeś się pożegnać - powiedziała z przygnębieniem.
- Nie.

Popatrzyła na niego. Czyżby w jej wzroku dostrzegł nadzieję? Zawahał się, a potem postawił wszystko na jedną kartę.

- Chcę, abyś ze mną pojechała.

Jej oczy rozszerzyły się gwałtownie i cofnęła się o krok. Trzymał ją wciąż za rękę.

- Zmuszony do tak szybkiego wyjazdu, uświadomiłem sobie coś, do czego powinienem był przyznać się przed sobą już dawno temu. Przypuszczam, że zawsze się tego domyślałaś. Kocham cię, Augusto.

Odgrywając swoją rolę, obserwował jej twarz, czytając w niej tak, jak marynarz odczytuje powierzchnię morza. Przez chwile usiłowała udawać zaskoczenie, ale niemal natychmiast z tego zrezygnowała. Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością, po czym na jej policzkach wykwitł niemal dziewczęcy rumieniec zażenowania.

Jednakże jej oceniające spojrzenie poinformowało go, że zastanawia się, co może zyskać, a co stracić.

Widział, że wciąż nie podjęła decyzji.

Położył dłoń na jej opiętej gorsetem talii i przyciągnął lekko do siebie. Nie opierała się, lecz z jej twarzy nie zniknął taksujący wyraz. Ciągle jeszcze się wahała.

Kiedy ich głowy zbliżyły się do siebie, a jej piersi opierały się o klapy jego surduta, wyszeptał:

- Nie mogę bez ciebie żyć, kochana Augusto. Czuł, jak dygocze pod jego dotknięciem.

- Jestem w takim wieku, że mogłabym być twoją matką - oznajmiła drżącym głosem. Zaczął szeptać jej prosto do ucha, muskając twarz wargami.

- Ależ skąd! - zapewnił. - Jesteś najbardziej godną pożądaną kobietą, jaką znam.

Wiesz, że pragnąłem cię przez te wszystkie lata. A teraz... - Przesunął dłonie do góry, niemal dotykając jej piersi. - Teraz z trudem mogę się opanować. Augusto... - Przerwał.

- Co? - zapytała.

Prawie ją miał, ale jeszcze nie do końca. Musiał zagrać ostatnią kartę.

- Teraz, kiedy przestałem być ambasadorem, mogę rozwieść się z Rachel.

- Co mówisz?

- Czy wyjdiesz za mnie? - szepnął jej do ucha.

- Tak - odparła. Pocałował ją.

April Tisley wpadła do gabinetu Maisie w klinice dla kobiet, ubrana elegancko w szkarłatny jedwab i lisie futro. Wymachując gazetą, zawołała:

- Słyszałaś, co się stało!?! Maisie wstała.
- April! O co chodzi?
- Micky Miranda zastrzelił Tonia Silvē!

Maisie wiedziała, kim jest Micky, ale musiała upłynąć chwila, zanim przypomniała sobie, że Tonio był jednym z grupy chłopaków, którzy znajdowali się w otoczeniu Solly'ego i Hugh'a w okresie ich młodości. Tonio miał żyłkę hazardzisty i April była dla niego bardzo słodka, dopóki nie przekonała się, że zawsze przegrywał niewielkie sumy, które otrzymywał.

- Micky go zastrzelił? - zapytała ze zdziwieniem. - Nie żyje?

- Tak. Piszą o tym w popołudniowej gazecie.

- Zastanawiam się dlaczego?

- Tego nie piszą. Ale jest tu również... - April zawahała się. - Usiądź, Maisie.

- Dlaczego? Powiedz mi!

- Donoszą tu, że policja chce go przesłuchać w sprawie trzech innych zabójstw - Petera Middletona, Setna Pilastera i... Solomona Greenbourne'a.

Maisie usiadła ciężko.

- Solly! - powiedziała i zrobiło jej się słabo. - Micky zabił Solly'ego? Och, biedny Solly! - Zamknęła oczy i ukryła twarz w dłoniach.

- Musisz łyknąć brandy - oświadczyła April. - Gdzie ją trzymasz?

- Nie mamy jej tutaj - odparła Maisie. Próbowała zapanować nad sobą. - Pokaż mi gazetę.

Przeczytała pierwszy akapit. Informowano w nim, że policja poszukuje byłego ambasadora Cordovy, Miguela Mirandy, aby przesłuchać go w sprawie morderstwa Antonia Silvy.

- Biedny Tonio - westchnęła April. - Był jednym z najmiłszych mężczyzn, przed którymi rozkładałam nogi.

Maisie czytała dalej. Policja pragnęła również przesłuchać Mirandę na okoliczność śmierci Petera Middletona w szkole w Windfield w tysiąc osiemset sześćdziesiątym szóstym, Seth Pilastera, Starszego Partnera Banku Pilasterów, w tysiąc osiemset siedemdziesiątym trzecim i Solomona Greenbourne'a, który został wepchnięty pod pędzący powóz w bocznej uliczce koło Piccadilly w lipcu tysiąc osiemset siedemdziesiątego dziewiątego roku.

- Seta Pilastera, wuja Hugh'a? - zdziwiła się podekscytowana Maisie. - Dlaczego on zabił ich wszystkich?

- Gazety nigdy nie piszą tego, co chciałoby się naprawdę wiedzieć - stwierdziła April.

Trzeci akapit znowu wstrząsnął Maisie. We wsi Chingford, niedaleko Walthamstow, na północny wschód od Londynu, doszło do strzelaniny. Serce zamarło jej na chwilę.

- Chingford! - jęknęła.

- Nigdy o nim nie słyszałam...

- Tam mieszka Hugh!

- Hugh Pilaster? Ciągle jeszcze o nim myślisz?

- Musiał jakoś być w to zamieszany, nie rozumiesz? To nie może być zbieg okoliczności! O Boże, mam nadzieję, że nic mu się nie stało!

- Chyba w gazecie by napisali, gdyby został ranny.
- Wszystko wydarzyło się zaledwie kilka godzin temu. Może jeszcze nie wiedzieli?
- Maisie nie mogła znieść niepewności. Wstała gwałtownie. - Muszę sprawdzić, czy wszystko z nim w porządku - stwierdziła.

- W jaki sposób?

Włożyła kapelusz i wpięła w niego szpilkę.

- Pojadę do jego domu.

- Jego żonie się to nie spodoba.

- Jego żona jest paskudniak. April roześmiała się.

- Co to takiego?

- Wstręciucha. - Maisie narzuciła płaszcz. April też wstała.

- Mój powóz czeka na zewnątrz. Zawiozę cię na stację.

Gdy wsiadły do powozu April, zdały sobie sprawę, że żadna z nich nie wie, z której stacji odjeżdża pociąg do Chingford. Na szczęście stangret, który był zarazem portierem w domu publicznym „U Nellie”, poinformował je, że z Liverpool Street.

Po dotarciu na miejsce Maisie podziękowała wylewnie April i pobiegła na stację.

Panował tu straszliwy tłok - ludzie wyjeżdżali na Boże Narodzenie i powracali z zakupów do swoich podmiejskich domów. Powietrze było zadymione i pełne sadzy.

Podróżni i odprowadzający wykrzykiwali życzenia i pożegnania, zagłuszani zgrzytem hamulców i sapaniem lokomotywy. Przepisnęła się do kasy przez tłum kobiet z pakunkami, wracających wcześniej do domów urzędników w melonikach, usmolonych kolejarzy i palaczy, dzieci, koni i psów.

Musiała czekać na pociąg piętnaście minut, obserwując przy okazji łzawe pożeganie dwojga kochanków, i poczuła, że im zazdrości.

Pociąg ciężko toczył się przez slumsy Bethnal Green, przedmieścia Walthamstow i pokryte śniegiem pola Woodford, zatrzymując się co kilka minut. Chociaż podróż trwała dwa razy krócej niż powozem, Maisie miała wrażenie, że pociąg strasznie się wlecze. Przez cały czas obgryzała paznokcie i wciąż zastanawiała się, czy Hugh jest cały i zdrow.

Kiedy wysiadła w Chingford, zatrzymał ją policjant i poprosił, aby weszła do poczekalni, tam zaś detektyw zapytał, czy znajdowała się w tej okolicy dziś rano.

Najwyraźniej szukali świadków zabójstwa. Odparła, że nigdy wcześniej tu nie a potem pod wpływem impulsu zadała pytanie:

- Czy podczas strzelaniny ktoś został ranny?

- Dwie osoby doznały lekkich obrażeń w trakcie bójki - poinformował detektyw.

- Martwię się o mojego przyjaciela, który znał pana Silvę. Nazywa się Hugh Pilaster.

- Pan Pilaster usiłował zatrzymać napastnika i doznał obrażeń głowy. Ale rany nie są poważne.

- Och, dzięki Bogu! - odetchnęła Maisie. - Czy może mnie pan skierować do jego domu?

Detektyw wyjaśnił jej, jak ma iść.

- Pan Pilaster był dzisiaj w Scotland Yardzie i nie wiem, czy już wrócił. Maisie zastanawiała się, czy teraz, kiedy była już właściwie pewna, że Hughowi nic się nie stało, nie powinna wrócić do Londynu. Uniknęłaby w ten sposób spotkania z koszmarną Norą. Ale poczułaby się szczęśliwsza, gdyby mogła go zobaczyć, a Nory wcale się nie obawiała. Skierowała się więc w stronę jego domu, brnąc po niemal dziesięciocentymetrowej warstwie śniegu.

Cóż za straszliwy kontrast w porównaniu z Kensingtonem pomyślała, idąc po nowej ulicy Chingford, pełnej tanich domów z niezagospodarowanymi ogródkami. Domyślała się, że Hugh ze stoicyzmem znosi swoją obecną sytuację, ale nie była pewna jak przyjęła to Nora. Ta jęczała przecież za niego dla pieniędzy, więc prawdopodobnie nie podoba jej się, że znowu jest biedna.

Gdy zastukała do drzwi domu Hugh'a, usłyszała płacz dziecka. Po chwili otworzył jej chłopiec, mniej więcej jedenastoletni.

- Jesteś Toby, prawda? - odezwała się. - Przyszłam zobaczyć się z twoim ojcem. Nazywam się Greenbourne.

- Obawiam się, że taty nie ma w domu - odparł uprzejmie.

- A kiedy wróci?

- Nie wiem.

Maisie poczuła się zawiedziona. Tak bardzo nastawiła się na spotkanie z Hughiem.

Z rozczarowaniem dodała:

- Może zechcesz mi powtórzyć, że czytałam gazety i przyszłam się upewnić, czy jest zdrowy.

- Oczywiście, powtórzę, proszę pani.

Nie było już nic więcej do powiedzenia. Równie dobrze mogła wrócić na stację i poczekać na pociąg do Londynu. Odwróciła się. Przynajmniej uniknęła starcia z Norą.

Zaniepokoił ją jednak wyraz twarzy chłopca - malował się na niej strach.

Odruchowo odwróciła się ponownie i zapytała:

- Czy twoja mama jest w domu?

- Nie. Obawiam się, że nie.

Dziwne. Hugh'a nie stać już było na guwernantkę i Maisie zrozumiała, że coś jest tu nie w porządku.

- Czy zatem mogłabym porozmawiać z kimś, kto się wami opiekuje? Chłopiec zawahał się.

- Prawdę mówiąc, nie ma nikogo oprócz mnie i moich braci.

A więc przecucie jej nie myliło. Co się tu dzieje? Jak można było pozostawić trójkę dzieci zupełnie samych? Nie bardzo chciała się wtrącać, wiedząc, że narazi się Norze, z drugiej jednak strony nie mogła tak po prostu odejść.

- Jestem dawną przyjaciółką waszego ojca... i matki - powiedziała.

- Widziałem panią na ślubie cioci Dotty - oznajmił Toby.

- Ach tak. Hmm... czy mogę wejść?

Miała wrażenie, że chłopiec przyjął to z ulgą.

- Tak, bardzo proszę - odparł.

Maisie weszła do środka i kierując się płaczem dziecka, dotarła do kuchni położonej na tyłach domu. Na podłodze zanosił się płaczem czterolatek, a sześciolatek siedział przy stole z miną, jakby też zamierzał się rozpłakać.

Wzięła na ręce najmłodszego. Wiedziała, że na cześć Solly'ego otrzymał imię Solomon, ale wszyscy nazywają go Sol.

- Dobrze już, dobrze - zamruczała. - Co się stało?

- Chcę do mamy! - wymamrotał malec i załkał jeszcze głośniej.

- Uspokój się, uspokój - szeptała Maisie, kołysząc go w ramionach. Poczuli, że jego ubranko jest wilgotne, i uświadomiła sobie, że chłopczyk się zmoczył. Rozejrzała się. Wszędzie panował bałagan. Zauważyła rozlane mleko i mnóstwo okruchów chleba na stole, brudne naczynia i zabłoconą podłogę. Było również zimno, ogień dawno już zgasł. Odniosła wrażenie, że dzieci zostały po prostu porzucone.

- Co się tu dzieje? - zapytała Toby'ego.

- Dałem im lunch - wyjaśnił. - Posmarowałem chleb masłem i nakroiłem szynki. Chciałem też przygotować herbatę, ale sparzyłem rękę o czajnik. - Usiłował zachowywać się dzielnie, lecz sam również był bliski płaczu. - Czy wie pani, gdzie jest nasz tata?

- Nie, nie wiem. - Najmłodszy pytał o matkę, ale starszy o ojca, uświadomiła sobie Maisie. - A co z waszą mamą?

Toby wziął z półki nad kominkiem kopertę i podał ją Maisie. Była zaadresowana po prostu Hugh.

- Jest niezaklejona - powiedział - więc przeczytałem.

Maisie wyjęła pojedynczą kartkę papieru, na której dużymi literami, najwyraźniej ze złością, napisano: ŻEGNAJ.

Była wstrząśnięta. Jak matka mogła porzucić trójkę bezradnych małych dzieci? Przecież Nora urodziła każdego z tych chłopców i wykarmiła własną piersią. Maisie pomyślała o matkach w klinice w Southwark. Gdyby którakolwiek z nich dostała taki dom z trzema sypialniami w Chingford, byłaby w siódmym niebie. Na chwilę odsunęła od siebie te myśli.

- Jestem pewna, że wasz ojciec wróci wieczorem - oznajmiła, modląc się, żeby to była prawda. - Ale nie chcielibyśmy przecież, by zastał w domu taki bałagan, prawda? - zwróciła się do trzymanego w ramionach czterolatka.

Sol poważnie pokręcił głową.

- Musimy umyć naczynia, wyczyścić kuchnię, rozpalic ogień i przygotować kolację.

- Spojrzała na sześciolatka. - Jak myślisz, czy to dobry pomysł, Samuelu? Chłopczyk kiwnął główką.

- Lubię grzanki z masłem - oświadczył z nadzieją w głosie.

- W takim razie zaraz je zrobimy. Ale Toby wciąż był niespokojny.

- Jak pani sądzi, kiedy tata naprawdę wróci?

- Nie jestem pewna - odparła szczerze. Kłamanie nie miało sensu, dzieci zawsze to wyczuwały. - Ale wiesz, co ci powiem? Możesz nie kłaść się spać, dopóki nie wróci, bez względu na to, jak będzie późno. Co ty na to?

- Dobrze - zgodził się z wyraźną ulgą.

- A więc zaczynajmy. Toby, jesteś najsilniejszy, więc przynieś wiaderko węgla. Samuelu, weź ścierkę i wytrzyj do czysta stół. Sol może pozamiatać, bo jest najmniejszy i ma najbliżej do podłogi. Dalej, chłopcy, zabieramy się do roboty! Sprawność, z jaką Scotland Yard zareagował na doniesienie, zaimponowała Hughowi.

Do prowadzenia sprawy wyznaczono inspektora Magridge'a, mężczyznę mniej więcej w jego wieku, o ostrych rysach, drobiazgowego i inteligentnego, doskonale nadającego się na stanowisko kierownika w banku. W ciągu godziny inspektor rozesał rysopis Micky'ego Mirandy i zorganizował obserwację wszystkich portów.

Skorzystał również z rady Hugh'a i wysłał detektywa w stopniu sierżanta, aby przesłuchał Edwarda Pilastera. Podwładny wrócił z informacją, że Miranda ma zamiar opuścić Anglię.

Co więcej, Edward zeznał, że Micky jest też winny śmierci Petera Middletona, Seta Pilastera i Solomona Greenbourne'a. Wiadomość, że Miranda zabił wujka Seta, wstrząsnęła Hughiem, ale potwierdził rewelacje kuzyna, mówiąc, iż sam podejrzewał Micky'ego o zabójstwo Petera i Solly'ego.

Ten sam detektyw udał się następnie do zajmowanego wciąż przez Augustę Whitehaven House, aby i z nią porozmawiać. W tym czasie funkcjonariusz, któremu polecono sprawdzić londyńskie biura żeglugowe, dowiedział się, że mężczyzna odpowiadający rysopisowi zamówił bilet na statek „Aztec”, odpływający dziś w nocy z Southampton. Człowiek ten podał nazwisko M. R. Andrews. W związku z tym miejscowa policja wzięła pod ścisłą kontrolę stację kolejową i port.

Detektyw, którego wysłano do Augusty, wrócił z informacją, że w domu nikt nie reaguje na pukanie i dzwonki.

- Mam klucz - oznajmił Hugh.

- Zapewne wyszła - odparł Magridge - a ja chciałbym, żeby sierżant odwiedził ambasadę Cordovy. Czy zechce pan sam sprawdzić Whitehaven House?

Hugh, zadowolony, że ma coś do roboty, pojechał dorożką do Kensington Gore. Dzwonił i stukał - bezskutecznie. Najwidoczniej wszyscy służący już odeszli. Otworzył więc drzwi swoim kluczem i wszedł do środka. Zaskoczyło go panujące tam zimno. Ukrywanie się nie było w stylu Augusty, ale na wszelki wypadek postanowił sprawdzić również jej pokoje. Pobiegł na pierwsze piętro i zajrzał do jej sypialni.

Stanął zdumiony. Drzwi szafy były otwarte na oścież, na łóżku i krzesłach leżały porozrzucane ubrania. To zupełnie nie pasowało do zorganizowanej i pedantycznej Augusty. Hughowi najpierw przyszło do głowy, że ją okradziono, ale zaraz olśniła go inna myśl.

Pognał po schodach na piętro zajmowane przez służbę. Kiedy mieszkał tu siedemnaście lat temu, wszystkie walizki i kufry przechowywano w składziku.

Drzwi do pomieszczenia stały otworem, a w środku było zaledwie kilka walizek.

Zniknął również kufer okrętowy.

Augusta uciekła!

Szybko sprawdził pozostałe pokoje. Zgodnie z oczekiwaniami były opustoszałe. W pokojach służby i sypialniach gościnnych już panowała zatęchła atmosfera opuszczenia. Gdy zajął do dawnej sypialni wuja Josepha, ze zdumieniem stwierdził, że nic się tu nie zmieniło, chociaż wystrój całego domu kilkakrotnie modernizowano. Chciał już wyjść, kiedy jego spojrzenie padło na lakową serwantkę, w której zawsze przechowywano cenną kolekcję tabakierok.

Szafka była pusta.

Hugh zmarszczył brwi. Wiedział, że tabakierok nie przekazano jeszcze do domu aukcyjnego - Auguste jak do tej pory udało się zatrzymać wszystkie należące do niej przedmioty. A to oznaczało, że musiała zabrać je ze sobą.

Były warte około stu tysięcy funtów - a za taką sumę mogłaby żyć w dostatku do końca swych dni. Rzecz jednak w tym, że przestały być jej własnością. Należały do syndykatu.

Postanowił wyruszyć za nią w pościg.

Zbiegł po schodach i wypadł na ulicę. Kilka metrów dalej znajdował się postój dorożek, obok którego stali woźnicy, przytupując dla rozgrzewki. Hugh zbliżył się do nich i zapytał:

- Czy któryś z was wiozł dziś po południu lady Whitehaven?

- Nawet dwaj z nas - odparł dorożkarz. - Jeden wiozł bagaże! - Pozostali parsknęli śmiechem.

Podejrzenia Hugh'a się potwierdziły.

- Dokąd ją zawieźliście?

- Na stację Waterloo, na pociąg portowy o pierwszej.

Pociąg portowy jechał do Southampton, skąd miał odpłynąć Micky. Ta para zawsze działała ręka w rękę. Miranda wечно kręcił się koło niej jak żigolak, całował po rękach, prawił komplementy. Mimo osiemnastu lat różnicy tworzyli dobraną parę.

- Ale spóźnili się na pociąg - dodał dorożkarz.

- Oni? - zapytał Hugh. - Był z nią ktoś jeszcze?

- Starszy jegomość w wózku inwalidzkim.

A więc nie Micky. W takim razie kto? W całej rodzinie nie było nikogo tak chorego, aby musiał korzystać z wózka.

- Powiedzieliście, że się spóźnili na pociąg - rzekł. - A może wiecie, kiedy jest następny?

- O trzeciej.

Spojrzał na zegarek. Była druga trzydzieści. Powinien go złapać.

- Zawieźcie mnie na dworzec - polecił i wskoczył do dorożki.

Dotarł na stację w samą porę, aby kupić bilet i wsiąść do pociągu. Wagony były ze sobą połączone i miały wewnętrzny korytarz, dzięki czemu mógł bez trudu przejść wzdłuż całego składu. Gdy pociąg ruszył i nabierał prędkości, jadąc przez południowe

przedmieścia Londynu, Hugh rozpoczął poszukiwania Augusty.

Nie trwały długo. Odnalazł ją w następnym wagonie.

Przeszedł obok jej przedziału, rzucając jedynie szybkie spojrzenie i starając się nie zwracać na nią uwagi. Micky'ego z nią nie było. Musiał pojechać wcześniejszym pociągiem, bo w tym przedziale siedział jedynie stary mężczyzna z nogami okrytymi kocem.

Przeszedł do następnego wagonu i zajął miejsce. Nie było sensu podejmować z nią walki już teraz. Mogła przecież umieścić tabakierki w którejś z walizek znajdujących się w wagonie bagażowym i nie mieć ich przy sobie. Postanowił poczekać, aż pociąg przybędzie do celu. Wtedy wyskoczy, znajdzie policjanta i pojeździe do niej w chwili wyładowywania bagaży.

A jeżeli Augusta zaprzeczy, że przewozi tabakierki? Wówczas będzie musiał nalegać, aby przeszukano jej walizki. W końcu obowiązkiem policji jest przeprowadzić śledztwa w sprawie zgłoszonej kradzieży i im bardziej ciotka będzie protestowała, tym bardziej wyda się podejrzana.

Gdyby zaś oznajmiła, że tabakierki są jej własnością, zaproponuje, aby - zanim zostanie ustalony prawny właściciel - policja wzięła kosztowności w depozyt.

Patrzył na przesuwające się za oknami ośnieżone pola Wimbledonu, starając się opanować niecierpliwość. Sto tysięcy funtów było sporą częścią zadłużenia Banku Pilasterów i nie mógł pozwolić, aby Augusta je przywłaszczyła. Tabakierki stanowiły również symbol szczerzej woli spłacenia wierzytelności. Gdyby ciotka zdołała je wywieźć, ludzie zaczęliby mówić, że Pilasterowie chwytają wszystko, co im wpadnie w ręce, jak zwyczajni malwersanci. Taka myśl doprowadzała Hugh'a do pasji.

Kiedy pociąg dotarł do Southampton, śnieg ciągle jeszcze padał. Lokomotywa z sapaniem wtoczyła się na peron i Hugh, wychyliwszy się przez okno, zobaczył wokoło policjantów w mundurach. Zrozumiał, że Micky'ego jeszcze nie schwytano.

Wyskoczył, zanim pociąg się zatrzymał, i pierwszy podbiegł do punktu kontroli biletów.

- Jestem Starszym Partnerem Banku Pilasterów - przedstawił się inspektorowi, podając mu swój bilet wizytowy. - Wiem, że poszukujecie mordercy, ale w tym pociągu znajduje się kobieta, która przewozi należące do banku skradzione przedmioty o wartości stu tysięcy funtów. Jestem przekonany, że zamierza dziś w nocy odpłynąć z kraju na pokładzie parowca „Aztec” i zabrać je ze sobą.

- O jakie przedmioty chodzi, panie Pilaster? - zapytał inspektor.

- O kolekcję tabakierok wysadzanych drogimi kamieniami.

- A jak się nazywa ta kobieta?

- To hrabina wdowa Whitehaven. Policjant uniósł brwi.

- Czytuję gazety, proszę pana. Zakładam, że sprawa ma coś wspólnego z upadkiem pańskiego banku?

Hugh skinął głową.

- Te tabakierki muszą zostać sprzedane, aby spłacić ludzi, którzy utracili swoje pieniądze.

- Czy może mi pan wskazać lady Whitehaven? Hugh powiódł wzrokiem po peronie.
- Jest tam, przy wagonie bagażowym. Kobieta w dużym kapeluszu z ptasimi skrzydłami.

- Doskonale - skinął głową inspektor. - Proszę stanąć przy mnie koło punktu kontroli biletów. Zatrzymamy ją, gdy będzie przechodziła.

Hugh z napięciem obserwował pasażerów idących od pociągu. Chociaż był właściwie pewien, że Micky'ego wśród nich nie ma, mimo wszystko bacznie wpatrywał się w twarze mijających go ludzi.

Augusta szła ostatnia, a za nią trzech tragarzy niosło jej bagaż. Kiedy zobaczyła Hugh'a, zbladła gwałtownie.

Inspektor był niezwykle uprzejmy.

- Proszę mi wybaczyć, lady Whitehaven. Czy mógłbym zamienić z panią słowo? Hugh nigdy dotąd nie widział ciotki tak przerażonej, ale nie zmieniło to jej królewskiego sposobu bycia.

- Obawiam się, że nie mogę panu poświęcić czasu, oficerze - oznajmiła chłodno. - Muszę wsiąść na statek, który odpływa dziś w nocy.

- Zaręczam panią, że „Aztec” nie odpłynie bez pani - obiecał inspektor. Popatrzył na tragarzy i rzekł: - Możecie postawić to na chwilę, chłopcy. - Zwrócił się znowu do Augusty: - Pan Pilaster twierdzi, że w pani posiadaniu jest pewna liczba cennych tabakierok, które należą do niego. Czy to prawda? Hugh z zaskoczeniem spostrzegł, że jakby się uspokoiła. Zaniepokoił się, bo mogło to oznaczać, że dysponuje jakimiś nieoczekiwanymi atutami.

- Nie rozumiem, dlaczego miałabym odpowiadać na tak impertynenckie pytanie - oznajmiła arogancko.

- Jeżeli pani tego nie robi, będę musiał skontrolować bagaże.

- No dobrze, mam te tabakierki - odparła. - Ale należą do mnie. Zakupił je mój mąż.

Inspektor odwrócił się do Hugh'a.

- Co pan na to, panie Pilaster?

- Owszem, zostały zakupione przez jej męża, który zapisał je synowi, Edwardowi Pilasterowi. Jego zaś majątek przeszedł na własność banku. Lady Whitehaven próbowała je ukraść.

- Muszę więc poprosić, abyście oboje państwo zechcieli towarzyszyć mi na komisariat, gdzie wyjaśnimy tę sprawę - oświadczył funkcjonariusz. Augusta zrobiła przerażoną minę.

- Ależ nie mogę spóźnić się na statek!

- W takim razie proponuję, żeby pozostawiła pani zakwestionowane przedmioty w depozycie policyjnym. Otrzyma je pani z powrotem w wypadku uznania jej roszczeń. Augusta zawahała się. Hugh wiedział, że rozstanie się z takim bogactwem sprawia jej straszliwy ból. Niewątpliwie jednak zdawała sobie sprawę, że jest w sytuacji bez wyjścia. Została schwytana na gorącym uczynku i właściwie może mówić o szczęściu, jeżeli nie pójdzie do więzienia.

- Gdzie są te tabakierki, pani hrabino? - zapytał inspektor. Hugh czekał.

Augusta wskazała walizkę.

- Wszystkie są tutaj.

- Mogę prosić o klucz?

Znowu się zawahała i ponownie skapitulowała. Wyjęła małe kółko z kluczami do walizek, wybrała jeden z nich i podała policjantowi.

Inspektor otworzył walizkę. Była pełna pudełek z butami. Augusta wskazała jedno.

Funkcjonariusz wyjął z niego drewniane pudełko po cygarach, a kiedy uchylił wieczko, okazało się, że w jego środku znajdują się liczne małe przedmioty starannie owinięte w papier. Wybrał jeden z nich i rozpakował. Było to złote pudełeczko, na którego wieczku drobne brylanciki tworzyły wzór przedstawiający jaszczurkę.

Hugh westchnął z ulgą.

Inspektor popatrzył na niego.

- Czy orientuje się pan, ile ich powinno być? Wszyscy członkowie rodziny wiedzieli.

- Sześćdziesiąt pięć - odparł. - Po jednym na każdy rok życia wuja Josepha.

- Czy zechce je pan przeliczyć?

- Są wszystkie - wtrąciła się Augusta.

Hugh jednak wolał sprawdzić. Faktycznie były wszystkie. Poczł radość zwycięstwa.

Inspektor wziął pudełko i wręczył je podwładnemu.

- Jeżeli pofatyguje się pani z konstabłem Neville'em do komisariatu, otrzyma pani oficjalne pokwitowanie.

- Proszę je przesłać do banku - oznajmiła. - Czy mogę już iść?

Hugh poczuł niepokój. Augusta co prawda była zawiedziona, ale nie załamana. Zupełnie, jakby martwiła się czymś innym, o wiele dla niej ważniejszym niż tabakierki. A poza tym gdzie jest Micky Miranda?

Policjant skłonił się i lady Whitehaven ruszyła dalej, a za nią trójka obładowanych tragarzy.

- Dziękuję, panie inspektorze - powiedział Hugh. - Żałuję tylko, że nie złapał pan również Mirandy.

- Złapiemy go, proszę pana. Nie dostanie się na „Azteca”, chyba że nauczy się fruwać.

Strażnik z wagonu bagażowego przeszedł po peronie, popychając przed sobą fotel inwalidzki. Zatrzymał się przed Hughiem oraz inspektorem i rzekł:

- I co ja mam teraz z tym zrobić?

- O co chodzi? - zapytał cierpliwym tonem policjant.

- Ta kobieta z mnóstwem bagaży i ptakiem na kapeluszu...

- Lady Whitehaven.

- Wsiadła na Waterloo ze starym dżentelmenem. Posadziła go w przedziale pierwszej klasy i poprosiła, żebym zabrał fotel inwalidzki do wagonu bagażowego.

„Bardzo proszę” - odparłem. A w Southampton ona udaje, że o niczym nie wie. „Musielście mnie pomylić z kimś innym” - powiada. „Raczej nie. Nikt inny nie ma takiego kapelusza” - mówię.

- Tak jest - przytaknął Hugh. - Dorożkarz też twierdził, że wyjechała ze starym mężczyzną na wózku inwalidzkim. Właśnie taki człowiek był w jej przedziale.

- No widzi pan! - oznajmił z triumfem strażnik.

Inspektor nagle utracił swój olimpijski spokój i zwrócił się do Hugh'a:

- Czy zauważył pan, żeby ten stary człowiek przechodził przez punkt kontroli biletów?

- Nie. A przyglądałem się każdemu pasażerowi. Ciotka Augusta była ostatnia. - I wtedy zrozumiał: - Dobry Boże! Czy pan myśli, że to był przebrany Micky Miranda?

- Owszem. Lecz gdzie jest teraz? Czy mógł wysiąść na poprzedniej stacji?

- Nie - odparł strażnik. - To ekspres. Między Waterloo i Southampton nigdzie się nie zatrzymuje.

- W takim razie przeszukamy pociąg. Musi wciąż w nim być. Ale nie znaleźli Micky'ego.

„Aztec” obwieszony był kolorowymi lampionami oraz papierowymi wstęgami i gdy Augusta wchodziła na pokład, bożonarodzeniowe przyjęcie trwało w najlepsze. Na głównym pokładzie grała orkiestra, a pasażerowie w strojach wieczorowych pili szampana i tańczyli z odprowadzającymi.

Steward zaprowadził ją wielkimi schodami na górny pokład, do jej apartamentu. Wydała całą gotówkę na najlepszą dostępną kabinę, uważając, że dzięki tabakierkom nie będzie musiała martwić się o pieniądze. Drzwi prowadziły bezpośrednio na pokład, a w środku pomieszczenia znajdowały się duże łóżko, umywalka, wygodne fotele i lampy elektryczne. Na komodzie stały kwiaty, na szafce przy łóżku pudełko czekoladek, na stole butelka szampana w wiaderku z lodem. Augusta chciała polecić stewardowi, aby go zabrał, ale zmieniła zdanie. Zaczynała nowe życie - może od tej pory będzie piła wyłącznie szampana. Zdażyła w ostatniej chwili. Usłyszała tradycyjny okrzyk: „Odprowadzający proszę zejść na brzeg!” dokładnie wówczas, gdy tragarze wnieśli jej bagaże do kabiny. Potem wyszła na wąski pokład, podnosząc kołnierz płaszcza, aby osłonić się przed padającym śniegiem. Przechyliła się przez poręcz i spojrzała w dół. Burta opadała pionowo do samej wody, gdzie holownik oczekiwał już, aby wyprowadzić wielki liniowiec z portu na morze. Obserwowała, jak podnoszą trapy i rzucają cumy. Ryknęła syrena statku, tłum na nabrzeżu zaczął wiwatować i powoli, niemal niepostrzeżenie wielki statek ruszył w rejs. Augusta wróciła do kabiny i zamknęła drzwi. Rozebrała się wolno, po czym włożyła jedwabną koszulę nocną i dobrany kolorystycznie szlafrok. Później wezwała stewarda i poinformowała go, że nie będzie już dziś w nocy niczego potrzebowała.

- Czy mam panią rano obudzić?

- Nie, dziękuję. Zadzwoń.

- Tak jest, proszę pani. Augusta zamknęła drzwi na klucz.

Następnie otworzyła kufer i wypuściła z niego Micky'ego. Chwiejąc się na nogach,

przeszedł przez apartament i upadł na łóżko.

- Jezusie, myślałem, że umrę! - wyjęczał.

- Moje biedactwo, co cię boli?

- Nogi .

Zaczęła masować mu zdrętwiałe mięśnie łydek, czując przez materiał spodni ciepło jego ciała. Minęło wiele czasu, od kiedy dotykała w ten sposób mężczyzny.

Zrobiło jej się gorąco z podniecenia.

Często marzyła o ucieczce z Mickym Mirandą, zarówno przed, jak i po śmierci męża.

Zawsze jednak powstrzymywała ją myśl o tym, że utraciłaby dom, służbę, pozycję towarzyską, pieniądze na stroje i władzę nad rodziną. Ale upadek banku odebrał jej wszystko i mogła wreszcie zrealizować swoje pragnienie.

- Wody! - poprosił słabo Micky.

Napełniła szklankę z karafki stojącej na stoliku przy łóżku. Odwrócił się i usiadł, a potem wypił wodę do dna.

- Jeszcze trochę... Micky?

Pokręcił głową i wzięła od niego naczynie.

- Straciłaś tabakierki - stwierdził z wyrzutem. - Słyszałem wszystko. To przez tę świnię Hugh'a.

- Ale ty masz mnóstwo pieniędzy. - Pokazała mu szampana w wiaderku z lodem. - Wypijmy go! Opuściliśmy Anglię. Uciekłeś!

Patrzył na jej piersi. Zdała sobie sprawę, że jej sutki stwardniały z podniecenia i Micky widzi, jak napinają jedwab koszuli nocnej. Chciała powiedzieć: „Możesz ich dotknąć”, ale się zawahała. Mieli mnóstwo czasu - całą noc. Całą podróż. Resztę życia. Ale nagle nie mogła już dłużej czekać. Czuła się zawstydzona i winna, lecz pragnęła trzymać w ramionach jego nagie ciało i pożądanie to było silniejsze od wstydu. Usiadła na krawędzi łóżka, ujęła jego rękę, podniosła ją do ust i pocałowała. A potem przycisnęła ją do swego biustu. Przez chwilę patrzył na nią dziwnie, a później zaczął głaskać jej opiętą jedwabiem pierś. Jego dotyk był łagodny, czubki palców muskały wrażliwe sutki, więc westchnęła z rozkoszy. Następnie ujął jej pierś, uniósł ją i zakołysał, po czym - chwyciwszy sutkę wskazującym palcem i kciukiem - ścisnął lekko. Zamknęła oczy. Zaciskał palce mocniej, mocniej, aż wreszcie uszczypnął tak boleśnie, że krzyknęła i odskoczyła, zrywając się z łóżka.

- Ty głupia cipo! - parsknął, wstając.

- Nie! - jęknęła. - Nie!

- Rzeczywiście myślałaś, że się z tobą ożenię?

- Tak...

- Nie masz pieniędzy i żadnych wpływów, bank upadł i nawet straciłaś tabakierki.

Cóż mi teraz po tobie?!

Poczuła, jak przeszywa ją ostry, gwałtowny ból.

- Powiedziałeś, że mnie kochasz...

- Masz pięćdziesiąt osiem lat, tyle samo co moja matka, na litość boską! Jesteś stara,

pomarszczona, złośliwa i samolubna. Nie pieprzyłbym cię, nawet gdybyś była ostatnią kobietą na Ziemi!

Zrobiło jej się słabo. Próbowwała nie płakać, ale na próżno. Z jej oczu popłynęły łzy i zaczęła dygotać, szlochając rozpaczliwie. Była zrujnowana - bez domu, pieniędzy i przyjaciół, a człowiek, któremu ufała, zdradził ją. Odwróciła się, aby ukryć twarz. Nie chciała, żeby widział jej hańbę i wstyd.

- Proszę cię, przestań - szepnęła.

- Przystanę - burknął. - Zarezerwowałem sobie na tym statku kabinę i zaraz do niej pójdę.

- Ale kiedy dopłyniemy do Cordovy...

- Nie jedziesz do Cordovy. Możesz zejść ze statku w Lizbonie i wrócić do Anglii.

Nie jesteś mi już potrzebna.

Każde jego słowo przypominało cios i Augusta cofała się krok za krokiem, z wyciągniętymi przed siebie rękami, jakby chciała ochronić się przed przekleństwem. Uderzyła się o drzwi kabiny. Rozpaczliwie pragnąc uciec przed Micky, otworzyła je i wypadła na zewnątrz.

Lodowate nocne powietrze nagle ją otrzeźwiło. Zachowywała się jak bezradna dziewczynka, a nie jak dojrzała, mądra kobieta. Na chwilę utraciła kontrolę nad swoim życiem, ale musi ponownie ją odzyskać.

Mężczyzna w wieczorowym stroju przeszedł obok niej, paląc cygaro. Spojrzał ze zdziwieniem na jej nocny strój, lecz nie zareagował.

Przyszedł jej do głowy pewien pomysł.

Wróciła do kabiny i zamknęła za sobą drzwi. Micky poprawiał przed lustrem krawat.

- Ktoś nadchodzi - oznajmiła szybko. - Policjant!

Arogancja Micky'ego ulotniła się w mgnieniu oka. Ironiczny uśmiech zniknął, a na jego miejsce pojawił się pełen przerażenia grymas.

- O mój Boże! - jęknął. Augusta myślała błyskawicznie.

- Wciąż jesteśmy na brytyjskich wodach - rzekła. - Mogą cię aresztować i odesłać z powrotem na kutrze straży przybrzeżnej. - Nie miała pojęcia, czy to, co mówi, jest prawdą.

- Muszę się ukryć. - Wskoczył do kufra. - Zamknij wieko, szybko! - polecił. Opuściła wieko. A potem zatrzasnęła zamek.

- Tak będzie lepiej - stwierdziła.

Usiadła na łóżku, patrząc na kufer. Ciągle jeszcze przeżywała niedawną scenę i doznane upokorzenie. Przypomniała sobie, jak ją pieścił. Tylko dwaj inni mężczyźni dotykali jej piersi - Strang i Joseph. Myślała o tym, jak uszczypnął jej sutkę, a potem obrzucił wulgarnymi słowami. W miarę jak mijały minuty, jej wściekłość stygła i przeobrażała się w mroczne, straszliwe pragnienie zemsty. Z wnętrza kufra dobiegł stłumiony głos Micky'ego:

- Augusto! Co się dzieje? Nie odpowiedziała.

Zaczął wołać o pomoc. Aby zagłuszyć jego wrzaski, przykryła kufer zdjętymi z łóżka kocami.

Po jakimś czasie umilkł.

Powoli, z namysłem, Augusta usunęła z kufra nalepki z jej nazwiskiem.

Usłyszała zatraskujące się drzwi kabin - pasażerowie szli do sali jadalnej.

Statek zaczął kołysać się lekko, wypływając na wody kanału La Manche. Pograżonej w myślach Augustie wieczór minął szybko.

Między dwunastą a drugą w nocy pasażerowie powracali do swoich kabin. Później orkiestra przestała grać i zapadła cisza, zakłócana jedynie odgłosami pracy maszyn i szumem morza.

Augusta wpatrywała się w kufer, w którym zamknęła Micky'ego. Do kabiny wniósł go na grzbiecie muskularny tragarz. Sama nie była w stanie go podnieść, ale doszła do wniosku, że zdoła go przeciągnąć. Miał po obu stronach mosiężne uchwyty oraz skórzane pętle na górze i dole. Schwyciła jedną z nich i pociągnęła mocno, przechylając kufer na bok. Przechylił się i upadł z głośnym hukiem. Micky znowu zaczął krzyczeć i ponownie musiała użyć koców. Poczekwała, aby sprawdzić, czy ktoś się zjawi, żeby wyjaśnić przyczynę hałasu. Nikt jednak nie przyszedł, a Micky przestał wrzeszczeć.

Znowu złapała za pętlę i pociągnęła. Kufer był bardzo ciężki, ale co kilka centymetrów odpoczywała, nabierając sił.

Dociągnięcie go do drzwi zajęło jej dziesięć minut. Potem wciągnęła pończochy, włożyła buty i futro, a następnie otworzyła drzwi kabiny.

Nikogo nie zauważyła. Pasażerowie spali, nie było też widać żadnego członka załogi patrolującego pokłady. Statek oświetlały słabe lampki elektryczne, a na niebie nie było gwiazd.

Przewlokła kufer przez próg kabiny i znów odpoczęła. Potem poszło już łatwiej, ponieważ pokład był śliski od śniegu. Po dziesięciu minutach dotarła do relingu. Teraz czekało ją trudniejsze zadanie. Trzymając za pętlę, uniosła jeden koniec kufra i spróbowała go wyprostować. Przy pierwszej jednak próbie upuściła ciężar.

Wydało jej się, że uderzył o pokład z głośnym hukiem, ale nikt nie zareagował na hałas. Przez cały czas na statku rozlegały się jakieś dźwięki - kominy z dudnieniem wypływały dym, a kadłub z szumem rozcinał fale.

Do drugiej próby przystąpiła z jeszcze większą determinacją. Przyklękła na jedno kolano, schwyciła pętlę oburącz i powoli uniosła kufer. Kiedy przechyliła go pod kątem czterdziestu pięciu stopni, ciało Micky'ego przesunęło się w środku, osuwając na dno, i nagle bez trudu postawiła ciężar na sztorc.

Pochyliła go znowu, opierając o reling.

Pozostała jej najtrudniejsza część planu. Ujęła dolną pętlę, nabrała głęboko powietrza w płuca i uniosła kufer.

Nie dźwigała całego jego ciężaru, ponieważ górna część opierała się o poręcz, ale mimo maksymalnego wysiłku zdołała unieść go zaledwie na wysokość paru centymetrów. Potem jej chłodne palce ześlizgnęły się i puściła pętlę.

Nie miała sił, aby zrealizować swój zamiar.

Odpoczywała, czując się słaba i odrętwiała. Ale nie mogła się poddać. Tyle wysiłku kosztowało ją przesunięcie kufra aż do tego miejsca. Musiała znowu spróbować.

Pochyliła się i jeszcze raz złapała za pętlę.

Micky odezwał się:

- Augusto, co robisz? Odpowiedziała mu cichym, czystym głosem:

- Pamiętasz, jak umarł Peter Middleton?

Zamilkła na chwilę. Z wnętrza kufra nie dobiegał żaden dźwięk.

- Umrzesz w taki sam sposób - oznajmiła.

- Nie, proszę. Augusto, kochanie! - błagał.

- Woda, która wypełni twoje płuca, będzie chłodniejsza i słona, ale będziesz czuł takie samo przerażenie jak on.

Zaczął krzyczeć.

- Pomocy! Pomocy! Niech ktoś mnie uratuje!

Augusta zacisnęła dłoń na pętli i uniosła ciężar z całej siły.

Dno kufra oderwało się od pokładu. Kiedy Micky zdał sobie sprawę, co się dzieje, jego pełne przerażenia wrzaski stały się tak głośne, że przedzierały się przez szum maszyn i morza. Wkrótce ktoś mógł nadejść. Augusta pociągnęła znowu. Uniosła dół kufra na wysokość piersi i zatrzymała się wyczerpana.! Wydawało jej się, że nie zdobędzie się już na żaden wysiłek.! Gdy jednak ze środka dobiegła ją gorączkowa szamotanina! bezskutecznie usiłującego się wydostać Micky'ego, zamknęła oczy, zacisnęła zęby i popchnęła. Natężając resztkę sił, poczuła, że coś przemieszcza się jej w kręgosłupie. Krzyknęła z bólu, ale wciąż unosiła ciężar. Dno było już wyżej niż góra i kufer przesunął się do przodu o kilka centymetrów, po czym znów znieruchomiał. Ból w plecach zdawał się nie do zniesienia, a Wrzaski Micky'ego w każdej chwili mogły obudzić jakiegoś pasażera.

Wiedziała, że wystarczy jej sił tylko na jeszcze jedną próbę. Ponownie zamknęła oczy, zacisnęła zęby z bólu i popchnęła.

Kufer przesunął się wolno po poręczy i runął w pustkę. Micky wrzasnął przeciągle i jego krzyk porwał wiatr.

Augusta pochyliła się bezwładnie do przodu, opierając się na relingu, i obserwowała, jak wielki przedmiot spada, koziółkując przez wypełnione płatkami śniegu powietrze. Uderzył o powierzchnię wody z potężnym pluskiem i natychmiast się zanurzył.

Chwilę później wypłynął. Będzie się unosił jakiś czas, pomyślała. Ból w plecach był potworny i pragnęła się położyć, ale mimo to stała przy relingu, patrząc, jak kufer kołysze się na falach. A potem zniknął w ciemności. Usłyszała obok siebie głos.

- Miałem wrażenie, że ktoś wołał o pomoc - powiedział z niepokojem jakiś mężczyzna.

Augusta błyskawicznie się opanowała i odwróciła. Zobaczyła przed sobą młodego człowieka w jedwabnym szlafroku i szalu.

- To ja - odparła, zmuszając się do uśmiechu. - Śniły mi się straszliwe koszmary i

zbudził mnie mój własny krzyk. Wysłałam, żeby się otrzeźwić.

- Aha. Czy na pewno dobrze się już pani czuje?
- Och tak. Jest pan bardzo uprzejmy.
- No cóż. W takim razie dobranoc.
- Dobranoc.

Wrócił do swojej kabiny.

Augusta znów spojrzała na morze. Zaraz jakoś dołóżka, lecz chciała jeszcze trochę popatrzeć. Kufer powoli wypełnia się wodą, sącząca się przez wąskie szczeliny, pomyślała. Jej poziom będzie się podnosił, pełnząc centymetr po centymetrze wzdłuż ciała Micky'ego, bezskutecznie usiłującego się wydostać. Kiedy przykryje już jego nos i usta, zdoła na jakiś czas zatrzymać oddech, w końcu jednak będzie musiał spróbować złapać powietrze i wtedy zimna, słona woda morska wedrze mu się do gardła i płuc. Przez chwilę będzie się jeszcze wił i walczył, ogarnięty przerażeniem, a potem jego ruchy będą słabły, aż wreszcie ustaną. Ogarnie go ciemność i Micky umrze.

Gdy ostatni pociąg z Londynu wjechał na stację Chingford, Hugh był potwornie zmęczony. Chociaż pragnął przede wszystkim znaleźć się w łóżku, zatrzymał się na moście, w miejscu, w którym rano Micky zastrzelił Tonia. Zdjął kapelusz i stał tak z gołą głową w padającym śniegu, wspominając swego przyjaciela jako chłopca i mężczyznę. Potem ruszył dalej. Zastanawiał się, jaki wpływ wywrze ta sprawa na Ministerstwo Spraw Zagranicznych i jego stosunek do Cordovy. Micky na razie wymykał się policji. Bez względu jednak na to, czy zostanie schwytany, czy nie, Hugh mógł wykorzystać fakt, że był świadkiem zabójstwa. Gazety z przyjemnością opublikują jego relację, społeczeństwo będzie głęboko oburzone zabójstwem dokonany w biały dzień przez zagranicznego dyplomata, a członkowie parlamentu zapewne zażądadzą jakiejś formy sankcji. To, że mordercą był Micky, mogło całkowicie przekreślić szansę uznania Taty Mirandy przez rząd brytyjski. Być może uda się przekonać Ministerstwo Spraw Zagranicznych, aby w celu ukarania Mirandów poparło Silvów, i w konsekwencji uzyskać rekompensatę dla brytyjskich inwestorów zaangażowanych w Spółkę „Port Santamaria”. Im dłużej o tym myślał, tym większy ogarniał go optymizm. Miał nadzieję, że kiedy dotrze do domu, Nora będzie już spała. Nie chciał wysłuchiwać jej utyskiwań, jak paskudny przeżyła dzień, uwięziona w tej odległej wiosce, bez niczyjej pomocy zajmując się trójką rozbrykanych chłopców. Pragnął po prostu wślizgnąć się pod kołdrę i zamknąć oczy. Jutro przemyśli dzisiejsze wydarzenia i zastanowi się, co mogą przynieść jemu i bankowi.

Idąc ścieżką przez ogródek, z rozczarowaniem zauważył, że przez zasłony przesącza się światło. To oznaczało, że ciągle czuwa. Otworzył drzwi kluczem i wszedł do środka.

Ze zdumieniem zobaczył trójkę swoich ubranych w piżamy synów siedzących na sofie i przeglądających książkę z obrazkami. A między nimi siedziała i czytała im na głos... Maisie.

Wszyscy trzej chłopcy zerwali się i podbiegli do niego. Uścisnął ich i przytulił po kolei - najmłodszego Sola, średniego Samuela i jedenastoletniego Toby'ego. Dwaj młodszy po prostu się cieszyli, ale na twarzy najstarszego malowało się coś jeszcze.

- O co chodzi, staruszkule? - zapytał go Hugh. - Coś się stało? Gdzie jest wasza mama?

- Poszła po zakupy - odparł i wybuchnął płaczem. Otoczył go ramieniem i spojrzał pytająco na Maisie.

- Przyszłam tu około czwartej - powiedziała. - Nora musiała wyjść wkrótce po tobie.

- I zostawiła ich samych? Maisie skinęła głową.

Hugh poczuł, jak wzbiera w nim gniew. Dzieci były same przez większą część dnia.

Wszystko mogło się zdarzyć.

- Jak mogła to zrobić?! - zapytał z goryczą.

- Zostawiła list. - Maisie podała mu kopertę. Otworzył ją i przeczytał: *ŻEGNAJ*.

- Nie była zapieczętowana - wyjaśniła Maisie. - Toby przeczytał i pokazał mnie.

- Trudno wprost uwierzyć - rzekł Hugh, ale gdy tylko usłyszał te słowa, uświadomił sobie, że to nieprawda - mógł uwierzyć aż nazbyt łatwo. Nora zawsze przedkładała swoje życzenia ponad wszystko inne. A teraz opuściła dzieci. Zapewne poszła do pubu swego ojca.

List sugerował, że nie zamierza wrócić.

Nie wiedział, co powinien teraz czuć.

Przede wszystkim musiał zaopiekować się synami i nie dopuścić, aby martwili się jeszcze bardziej. Na jakiś czas postanowił zapomnieć o własnych emocjach.

- Chłopcy, jest już bardzo późno - oznajmił. - Pora do łóżek. Idziemy! Zaprowadził ich na górę. Samuel i Sol spali w jednym pokoju, ale Toby miał oddzielną sypialnię. Hugh otulił najmłodszych, a potem poszedł do najstarszego. Pochylił się nad łóżkiem, żeby go pocałować.

- Pani Greenbourne jest fajna - stwierdził Toby.

- Wiem - przytaknął ojciec. - Była żoną mojego najlepszego przyjaciela, Solly'ego. On umarł.

- Jest też ładna.

- Tak uważasz?

- Tak. Czy mama wróci?

Było to pytanie, którego Hugh się obawiał.

- Oczywiście - odparł.

- Naprawdę? Hugh westchnął.

- Prawdę mówiąc, mój stary, nie wiem.

- A jeżeli nie wróci, czy mogłaby się nami zająć pani Greenbourne? Dziecko zawsze trafi w samo sedno problemu, pomyślał Hugh, i wykręcił się od odpowiedzi.

- Pani Greenbourne prowadzi szpital. Musi się opiekować mnóstwem pacjentów. Nie przypuszczam, żeby znalazła jeszcze czas dla trzech chłopców. A teraz dość już pytań. Dobranoc.

Toby sprawiał wrażenie nie do końca przekonanego, ale więcej nie podejmował tematu.

- Dobranoc, tato.

Hugh zdmuchnął świecę i wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Maisie

przygotowała kakao.

- Jestem pewna, że wolałbyś brandy, ale nigdzie jej nie zauważyłam.

- No cóż - uśmiechnął się. - Nas, przedstawicielei dolnej średniej warstwy, nie stać na alkohole. Kakao mi wystarczy.

Kubki i dzbanek stały na tacy, ale ani on, ani ona nie sięgnęli po nie.

- Przeczytałam o strzelaninie w gazecie i przyjechałam, żeby sprawdzić, czy nic ci się nie stało - wyjaśniła Maisie. - Zobaczyłam, że dzieci są same i dałam im kolację. A potem czekaliśmy na ciebie.

Popatrzyła na niego z pełnym rezygnacji uśmiechem, dając mu do zrozumienia, że teraz inicjatywa należy do niego. Nieoczekiwanie Hugh zaczął dygotać i musiał oprzeć się o krzesło, aby utrzymać równowagę.

- To był niesamowity dzień - stwierdził drżącym głosem. - Czuję się trochę dziwnie.

- Może powinieneś usiąść.

Nagle poczuł, jak ogarnia go fala ogromnej do niej miłości, i zamiast usiąść, objął ją gwałtownie.

- Przytul mnie mocno - odezwał się błagalnie. Otoczyła go ramionami.

- Kocham cię, Maisie - powiedział. - Zawsze cię kochałem.

- Wiem - odparła.

Popatrzył jej w oczy. Były pełne łez i jedna kropla spływała po jej policzku. Osuszył ją pocałunkiem.

- Po tylu latach - rzekł. - Po tylu latach.

- Kochaj się ze mną dziś w nocy - poprosiła. Skinął głową.

- I w każdą następną. Znowu ją pocałował.

Epilog

1892

„Times”:

ZGONY

30 maja w swojej rezydencji w Antibes we Francji zmarł po długiej chorobie hrabia Whitehaven, były Starszy Partner Banku Pilasterów.

- Edward nie żyje - oznajmił Hugh, podnosząc głowę znad gazety.

Maisie siedziała przy nim w przedziale kolejowym, ubrana w żółtą letnią suknię w czerwone kropki i niewielki kapelusik z żółtymi wstążkami z tafty. Jechali na uroczyste zakończenie roku szkolnego w Windfield.

- Był paskudną świnią, ale matka będzie go żałować - odparła.

Augusta i Edward przez ostatnie osiemnaście miesięcy mieszkali wspólnie na południu Francji i syndykat mimo wszystko wypłacał im taką samą pensję jak pozostałym Pilasterom. Oboje byli inwalidami - Edward miał ostatnie stadium syfilisu, Augusta zaś cierpiała na dyskopatię i większość czasu spędzała w wózku inwalidzkim. Podobno mimo choroby była niekwestionowaną królową angielskiej społeczności w tej części świata - swatką, sędzią w sporach, organizatorką imprez i prawodawczynią zasad obowiązujących w towarzystwie.

- Kochał swoją matkę - stwierdził Hugh. Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Dlaczego tak mówisz?

- Bo to jedyna dobra rzecz, jaką mogę o nim powiedzieć. Uśmiechnęła się czule i pocałowała go w czubek nosa.

Pociąg wjechał, sapiąc, na stację Windfield i wysiedli. Był koniec pierwszego roku Toby'ego i ostatni dzień Bertiego w tej szkole. Dzień był ciepły i słoneczny. Maisie otworzyła parasolkę wykonaną z takiego samego kropkowanego jedwabiu jak suknia i ruszyli oboje w stronę szkoły.

W ciągu dwudziestu sześciu lat, które minęły od dnia, kiedy odszedł stąd Hugh, wiele się w niej zmieniło. Jego dawny przełożony, doktor Poleson, dawno już nie żył i na podwórku stał jego posąg. Osławioną klonową laską, którą zawsze nazywano „tłuczkiem”, władał teraz nowy dyrektor, ale używał jej zdecydowanie rzadziej. Sypialnia czwartej klasy wciąż znajdowała się w starej mleczarni obok kaplicy, lecz nieopodal wybudowano nowy gmach z aulą, w której mogli pomieścić się wszyscy chłopcy. Także poziom wykształcenia był wyższy - Toby i Bertie uczyli się nie tylko łaciny i greki, ale również matematyki i geografii. Spotkali Bertiego przed aulą. Od roku czy dwóch lat górował już nad ojcem i był poważnym, pracowitym, grzecznym chłopcem, który nie wpadał w takie kłopoty jak Hugh. Miał w sobie wiele z Rabinowiczów i przypominał raczej Dana, brata Maisie. Pocałował matkę i ucisnął rękę Hugh'a.

- Powstało małe zamieszanie - oznajmił. - Brakuje egzemplarzy pieśni szkolnej i chłopcy z młodszych klas przepisują ją jak szaleni. Muszę iść ich popędzić. Spotkam się z wami po przemowach. - odszedł szybkim krokiem, a Hugh patrzył za nim z miłością, myśląc z nostalgią o tym, jak ważna wydaje się szkoła, zanim się ją opuści.

Następnie spotkali Toby'ego. Młodszy uczniowie nie musieli już nosić cylindrów i fraczków, więc Toby włożył krótki surdut i słomkowy kapelusz.

- Bertie powiedział, że jeżeli nie macie nic przeciwko temu, mogę po przemówieniach przyjść do jego gabinetu na herbatę. Czy się zgadzacie?

- Oczywiście - roześmiał się Hugh.

- Dziękuję, tato! - rzucił i pobiegł.

W szkolnej auli ze zdumieniem zobaczyli Bena Greenbourne'a. Wyglądał o wiele starzej i dość wątro. Maisie, jak zawsze bezpośrednio, zapytała:

- Dzień dobry, co pan tu robi?

- Mój wnuk jest prymusem - burknął. - Przyszedłem wysłuchać jego przemówienia. Hugh poczuł się zaskoczony. Bertie nie był wnukiem Greenbourne'a i starzec dobrze o tym wiedział. Czyżby na starość stawał się łagodniejszy?

- Usiądźcie przy mnie - poprosił Greenbourne.

Hugh spojrział na Maisie. Wzruszyła ramionami i usiadła, a on zrobił to samo.

- Słyszałem, że się pobraliście - rzekł stary bankier.

- W ubiegłym miesiącu - potwierdził Hugh. - Moja żona nie sprzeciwiała się rozwodowi. - Nora mieszkała z komiwojażerem whisky i wynajętemu przez Hugh'a detektywowi zdobyć dowodu zdrady małżeńskiej zajęło niecały tydzień.

- Nie pochwalam rozwodów - oznajmił stanowczo Greenbourne, a potem westchnął. - Ale jestem już za stary, aby mówić ludziom, jak mają żyć. Stulecie dobiega końca.

Przyszłość należy do was. Życzę wam wszystkiego najlepszego.

Hugh uścisnął dłoń Maisie.

- Czy wyślesz chłopca na uniwersytet? - spytał ją Greenbourne.

- Nie stać mnie na to - odparła. - Trudno nam płacić chesne.

- Z przyjemnością będęłożył na jego wykształcenie - oznajmił starzec. Maisie była wyraźnie poruszona.

- To bardzo miło z pana strony.

- Powiniennem być miłszy już dawniej - odpowiedział. - Ale uznałem cię za łowczynię majątku. To był jeden z moich błędów. Gdyby ci chodziło tylko o pieniądze, nie wyszłabyś za młodego Pilastera. Źle cię oceniłem.

- Nie wyrządził mi pan krzywdy.

- Mimo wszystko byłem zbyt surowy. Niewielu rzeczy żałuję, ale tego tak.

Do auli zaczęli wchodzić uczniowie. Najmłodsi siadali na podłodze z przodu, a starsi w krzesłach.

- Hugh adoptował Bertiego - poinformowała Greenbourne'a Maisie. Starzec spojrział na niego przenikliwym wzrokiem.

- Przypuszczam, że jesteś jego prawdziwym ojcem - oznajmił bez osłonek. Hugh skinął głową.

- Mogłem się tego domyślić już dawniej. Ale to bez znaczenia. Chłopiec uważa, że jestem jego dziadkiem, a to nakłada na mnie obowiązki. - Kaszlnął z zakłopotaniem i zmienił temat. - Słyszałem, że syndykat zamierza wypłacić ci dywidendę.

- Owszem - przytaknął Hugh. Wreszcie udało mu się zlikwidować aktywa Banku Pilasterów i syndykat, który uratował bank, miał nawet niewielki zysk. - Wszyscy członkowie otrzymają około pięciu procent od zainwestowanego kapitału.

- Dobra robota. Nie przypuszczałem, że ci się uda.

- To dzięki nowemu rządowi Cordovy. Przekazał majątek rodziny Mirandów na rzecz Spółki „Port Santamaria” i w ten sposób obligacje znowu zaczęły być coś warte.

- Co się stało z tym młodym Mirandą? Był paskudnym człowiekiem.

- Z Mickym? Jego ciało znaleziono w kufrze okrętowym wyrzuconym na plażę wyspy Wight. Dotychczas nie udało się ustalić, jak się tam znalazł i dlaczego był w środku.

Zwrócono się do Hugh'a, aby dokonał identyfikacji ciała. Prawne potwierdzenie śmierci Mirandy było niezbędne, żeby Rachel mogła wreszcie wyjść za Dana Robinsona.

Podszedł do nich jeden z uczniów rozdających wszystkim rodzicom i krewnym ręcznie przepisane egzemplarze pieśni szkolnej.

- A co z tobą? - zapytał Greenbourne Hugh'a. - Co będziesz robił, gdy syndykat zakończy działalność?

- Właśnie chciałem zasięgnąć pańskiej rady w tej sprawie - odparł. - Zamierzam otworzyć nowy bank.

- W jaki sposób?

- Wypuszczając na giełdę akcję Pilasters Limited. Co pan o tym sądzi?

- Odważny pomysł, ale zawsze byłeś oryginalny. - Greenbourne zamyślił się przez chwilę. - I co ciekawe, upadek waszego banku właściwie umocnił twoją reputację. Któż bowiem może być bardziej godny zaufania niż bankier, który potrafił spłacić wszystkich wierzycieli, chociaż jego bank splajtował?

- A więc... uważa pan, że może się udać?

- Jestem pewien. Niewykluczone, że sam w niego zainwestuję.

Hugh popatrzył na starca z wdzięcznością. To ważne, że Greenbourne'owi spodobał się jego plan. Wszyscy w City wsłuchiwali się w jego opinie i aprobatą Greenbourne'a była bardzo wiele warta. Hugh był przekonany, że jego pomysł ma szansę powodzenia, ale stary Ben utwierdził go jeszcze w tym przeświadczeniu. Wszyscy wstali, gdy wkroczył przełożony, a za nim wychowawcy, zaproszony mówca - liberalny poseł do parlamentu - i Bertie, prymus szkoły. Zasiadli na podium, po czym Bertie podszedł do pulpitu i oznajmił dźwięcznym głosem:

- A teraz zaśpiewajmy pieśń szkolną.

Hugh zerknął na Maisie, która uśmiechnęła się z dumą. Zabrzmiały odegrane na

fortepianie znajome nuty wstępu i zgromadzeni zaintonowali pieśń.

Godzinę później Hugh pozostawił ich przy herbacie w gabinecie Bertiego i przez kort do gry w squasha przemknął się do Biskupiego Lasu.

Było gorąco, zupełnie jak dwadzieścia sześć lat temu. Las wyglądał tak samo, a pod gałęziami drzew powietrze było nieruchome i duszne - jak wtedy. Dobrze pamiętał drogę do stawu i odnalazł go bez trudu.

Nie zszedł po zboczu kamieniołomu - nie był już tak zręczny jak dawniej. Usiadł na krawędzi i rzucił kamień do wody. Na jej gładkiej niczym szkło powierzchni pojawiły się rozszerzające się, idealnie równe kręgi.

Pozostał już tylko on, jeżeli nie liczyć Alberta Cammela, mieszkającego w Kraju Przylądkowym. Wszyscy inni nie żyli: utopiony wówczas Peter Middleton; Tonio, zastrzelony przez Micky'ego przed dwoma laty, w Wigilię Bożego Narodzenia;

Micky, który utonął w kufrze okrętowym, i teraz Edward, zmarły i pochowany we Francji.

Hugh miał wrażenie, jakby owego dnia w tysiąc osiemset sześćdziesiątym szóstym roku wydobyło się z głębin tej wody coś złego, wyzwalając mroczne namiętności, które obciążały życie ich wszystkich - nienawiść, chciwość, egoizm i okrucieństwo, oszustwo, bankructwo, chorobę i morderstwo. Ale teraz wszystko już minęło. Jeżeli był tu jakiś zły duch, powrócił na dno stawu. A on, Hugh, zdołał przetrwać.

Wstał. Czas wracać do rodziny. Ruszył przed siebie. Po chwili po raz ostatni obejrzał się.

Wywołane przez kamień kręgi zniknęły i powierzchnia wody znowu była idealnie gładka.